



50 lat
Wydziału Biologii
Uniwersytetu Warszawskiego
we wspomnieniach

50 lat

Wydziału Biologii



50 lat

Wydziału Biologii
Uniwersytetu Warszawskiego
we wspomnieniach



Warszawa 2019

Koncepcja publikacji oraz wybór, redakcja naukowa
i opracowanie tekstów autorskich

Tomasz Jagielski

Izabela Wyszomirska

Współpraca redakcyjna

Jadwiga Baj

Maja Graniszewska

Sławomir Zagórski

Wybór i układ ilustracji

Tomasz Jagielski

Izabela Wyszomirska

Redaktor prowadzący

Małgorzata Yamazaki

Korekta

Irena Bolek

Redakcja techniczna

Maryla Broda

Indeks

Iwona Karpowicz-Dajczer

Projekt okładki i stron tytułowych

Anna Gogolewska

Skład i łamanie

Marcin Szcześniak



Publikacja sfinansowana przez Wydział Biologii Uniwersytetu Warszawskiego
przy udziale Fundacji Uniwersytetu Warszawskiego

© Copyright by Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2019

© Copyright by Wydział Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2019

Wszystkie teksty pochodzą z ustnych wywiadów lub pisemnych wypowiedzi
i są autoryzowane przez ich autorów.

Wszystkie zdjęcia i materiały graficzne pochodzą z archiwum Wydziału Biologii UW.

ISBN 978-83-235-3835-6 (druk)

ISBN 978-83-235-3851-6 (e-pub)

ISBN 978-83-235-3843-1 (pdf online)

ISBN 978-83-235-3859-2 (mobi)

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego

00-497 Warszawa, ul. Nowy Świat 4

e-mail: wuw@uw.edu.pl

księgarnia internetowa: www.wuw.pl

Wydanie 1, Warszawa 2019

50 lat
Wydziału Biologii

Szanowni Państwo!

Przed trzema laty obchodziliśmy uroczyste 200-lecie naszej Uczelni. W tym roku akademickim swój jubileusz obchodzi Wydział Biologii. Korzeniami sięga on początków działalności Uniwersytetu, a w powojennej rzeczywistości, jako odrębna jednostka organizacyjna, istnieje od 50 lat. Na przestrzeni tych dekad Wydział Biologii mógł poszczycić się licznymi dokonaniem i sukcesami.

Szczególnie warto podkreślić osiągnięcia Wydziału w działalności naukowo-badawczej i innowacyjności, a także jego szeroki wpływ na otoczenie społeczne i gospodarcze wyrażający się w postaci patentów, licencji, know-how czy działalności usługowej. Prowadzone na najwyższym światowym poziomie badania naukowe Wydziału, ich duży potencjał wdrożeniowy i komercjalizacyjny, a przy tym szeroka i atrakcyjna oferta dydaktyczna przyczyniają się do osiągania przez Uniwersytet Warszawski wysokiej pozycji w rankingach szkół wyższych w Polsce oraz umacniają jego pozycję na arenie międzynarodowej.

Pół wieku Wydziału Biologii to liczne grono wybitnych badaczy i nauczycieli akademickich, wielu pracowników technicznych i administracyjnych, ale przede wszystkim setki studentów i absolwentów. Ich wspólnemu wysiłkowi, wzajemnej inspiracji i oddaniu Wydział zawdzięcza swoją renomę.

Okazja, jaką stwarza jubileusz, skłania mnie do podziękowań tym wszystkim, którzy choćby epizod swojego życia związali z Wydziałem, a przez to i naszą Uczelnią. Szczególnie chciałbym jednak podziękować wszystkim pracownikom Wydziału – badaczom, nauczycielom akademickim i pracownikom administracyjnym, wszystkim tym, którzy organizują codzienną pracę Wydziału i angażują się w inne działania na rzecz Uniwersytetu. W tym miejscu chciałbym także pogratulować Sekcji Historycznej Wydziału Biologii, która podjęła się opracowania niniejszej monografii, a także organizacji rocznicowych obchodów.

Życzę wszystkim pracownikom, studentom i absolwentom oraz przyjaciółom Wydziału Biologii wielu kolejnych sukcesów oraz wszelkiej pomyślności i zapraszam do wspólnego świętowania!

Marcin Pałys
Rektor Uniwersytetu Warszawskiego

Szanowni Państwo!

Minęło 50 lat od czasu powstania Wydziału Biologii jako niezależnej jednostki Uniwersytetu Warszawskiego. Odrębność tej dyscypliny na naszej Uczelni ma jednak znacznie głębsze korzenie. Choć Wydział zachował wiele tradycyjnych nazw jednostek i kontynuuje kierunki niektórych badań z początków istnienia tej dziedziny, to od czasu powstania zmienił się diametralnie. Pół wieku temu główna siedziba Wydziału mieściła się w Szkole Głównej przy Krakowskim Przedmieściu, ale wiele pomieszczeń Wydziału rozrzuconych było po całej Warszawie. Obecnie Wydział skoncentrowany jest na Kampusie Ochota i kształci trzykrotnie większą liczbę studentów niż pół wieku wcześniej. Rozwój Wydziału to także prowadzenie szeroko zakrojonych badań naukowych wpisujących się w główne nurty zagadnień nauki światowej. Wydział dysponuje zaawansowaną infrastrukturą badawczą, która umożliwia stosowanie najnowocześniejszych metod w badaniach naukowych, w tym wielkoskalowych metod biologii molekularnej i zaawansowanych technik mikroskopowych. Rozwój nauk przyrodniczych w ostatnich dekadach spowodował konieczność prowadzenia interdyscyplinarnych badań z zespołami nauk chemicznych, fizycznych, matematycznych i medycznych. Dzięki lokalizacji na jednym kampusie współpraca ta pozwala nawiązać do tradycji wspólnego niegdyś Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego.

Oddajemy w Państwa ręce wspomnienia z dziejów Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, spisane z zaangażowaniem i z sercem przez Koleżanki i Kolegów z Wydziału. Szczególne podziękowania kieruję do pani Izabeli Wyszomirskiej, a także pani dr Jadwigi Baj, pani dr Mai Graniszewskiej i pana dr. Sławomira Zagórskiego.

Pragnę gorąco podziękować zwłaszcza panu dr. Tomaszowi Jagielskiemu za pracę nad tym dziełem od początku do końca.

Dziękuję także wszystkim, którzy zechcieli podzielić się swoimi wspomnieniami.

Agnieszka Mostowska
Dziekan Wydziału Biologii UW
od 2012 r.

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne	11
Autorzy wspomnień	16
Wybory	19
Lata studenckie	45
Wykładowcy	93
Dyplomy	123
Początki	135
W pracy i poza nią	159
W zespole	177
Wyjazdy	207
Pamiętne dni	235
Osiągnięcia	267
Mistrzowie	289
<i>In memoriam</i>	307
Wczoraj i dziś	325
Refleksje	337
Ilustracje	367
Indeks osób	441

SŁOWO WSTĘPNE

Latem 2018 roku minęło pół wieku od pojawienia się w strukturze Uniwersytetu Warszawskiego Wydziału Biologii. Mimo że jego geneza w stołecznej Alma Mater sięga najwcześniejszych początków Uczelni, przez 150 lat biologia, jako dyscyplina naukowa, była wprowadzana i rozwijana wspólnie z innymi dziedzinami nauk ścisłych i przyrodniczych, takimi jak matematyka, fizyka, chemia czy medycyna i weterynaria. Najpierw więc, w okresie Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego, specjalności biologiczne osadzone były na Wydziale Filozoficznym, potem, w czasach Szkoły Głównej i Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego – na Wydziale Matematyczno-Fizycznym, a jeszcze później, w okresie międzywojnia i tużpowojennym – na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym. Krótka, bo między 1951 a 1968 rokiem biologię, razem z geografią i geologią, studiowało się na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi. Jednak dopiero w 1968 roku biologii przyznano pełną niezależność kierunkową, a Wydział Biologii uzyskał, na mocy zarządzenia Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego z dnia 27 czerwca 1968 roku, status odrębnej jednostki organizacyjnej Uniwersytetu Warszawskiego. W tym samym zarządzeniu na Wydziale Biologii powołano, w miejsce katedr, trzy instytuty: Botaniki, Mikrobiologii i Zoologii. Rok później rangę instytutu zyskała dawna Katedra Biochemii. Tak ukształtowała się pierwotna struktura Wydziału w jego współczesnej, jubileuszowej historii.

Powołanie do życia Wydziału Biologii oraz inne zmiany w organizacji wewnętrznej Uniwersytetu Warszawskiego, wprowadzone wspomnianym aktem rządowym, nie niosły ze sobą wcale atmosfery święta i wyjątkowości. Przeciwnie, ciążył na nich cień niedawnych tragicznych wydarzeń marcowych, bezwzględного aktu przemocy totalitarnego państwa wobec społeczeństwa, w tym szczególnie społeczności akademickiej. Smutne więc

musiały być pierwsze dni nowego Wydziału Biologii, gdy jeszcze nie całkiem opadł pył po spacyfikowanych demonstracjach studenckich, w czasie wciąż jeszcze głośniejszej politycznej propagandy i prześladowań na tle antysemickim i antyinteligentkim, których najohydniejszym przejawem były depatriacja i denaturalizacja wielu obywateli polskich, w tym wybitnych osobistości życia kulturalnego i społecznego kraju.

Przeprowadzone w 1968 roku zmiany organizacyjne w Uniwersytecie Warszawskim stanowiły jeden z elementów pomarcowej polityki władz wobec świata nauki, dążących do ograniczenia wolności akademickiej oraz instytucjonalnego uzależnienia od ośrodków państwowych. Ówczesne przegrupowania międzywydziałowe, w tym wyodrębnienie Wydziału Biologii i kilku innych wydziałów, często postrzegane są jako działanie celowo dysocjacyjne, tj. ukierunkowane na podział wspólnot akademickich na mniejsze grupy, co niewątpliwie miało osłabić relacje międzyludzkie, złamać poczucie jedności i odpowiedzialności za wspólną sprawę, jaką jest Uniwersytet.

Bez względu jednak na intencje, które towarzyszyły pomarcowej reorganizacji Uniwersytetu, założony cel nie został osiągnięty; powstanie Wydziału Biologii zaowocowało ściślejszą współpracą między biologami różnych specjalności, istotnie zwiększając przy tym integrację środowiska. Autonomizacja Wydziału Biologii wzmocniła odruchy samorządności, samoorganizacji i wzajemnej pomocy, dała szansę, by w większym stopniu poczuć się „na swoim” i wziąć za to odpowiedzialność. Pozwoliło to lepiej eksponować znaczenie i wkład dyscypliny w rozwój nauk eksperymentalnych i całej Uczelni, stwarzając jednocześnie okazję, aby silniej akcentować własne potrzeby, skuteczniej zabiegać o pomoc i wsparcie w realizacji własnej działalności.

Trudno wyliczyć, ile sukcesów miał w swojej pięćdziesięcioletniej historii Wydział Biologii. Jeszcze trudniej wymienić wszystkich autorów tych sukcesów, zarówno zespołowych, jak i indywidualnych, tak wśród pracowników, jak i studentów. Niewątpliwie, sama tylko syntetyczna prezentacja najważniejszych osiągnięć Wydziału wystarczyłaby do sporządzenia potężnej monografii, świetnie nadającej się do uczczenia takiego jubileuszu.

Jednak książka, którą przygotowaliśmy na tę wyjątkową rocznicę, dalece odbiega od najczęściej publikowanych przy takich okazjach pamiątkowych ksiąg, kronik czy albumów. I było to zamysłem celowym. Od początku chcieliśmy zastąpić tę tradycyjną, jubileuszową konwencję, z jej kronikarską szczegółowością i nierzadko przesadną powagą, przekazem bardziej bezpośrednim, o swobodnej stylistyce i pozbawionym encyklopedycznej i komentatorskiej nadbudowy. I tak zrodził się pomysł, aby kanwą naszej książki uczynić wspomnienia pracowników Wydziału. W toku bez mała trzyletniej pracy zebrane zostały – na podstawie przygotowanego wcześniej klucza pytań – wywiady, względnie pisane wspomnienia, od 61 osób związanych z Wydziałem na różnych etapach ich życia, w czasach nierzadko wykraczających poza ramy jubileuszu, niekiedy sięgających okresu tuż po wojnie, a często lat 50., 60. Praca nad zebraniem materiału polegała na skrupulatnym

wyborze najciekawszych fragmentów i takim ich zestawieniu, aby pochodząc z wypowiedzi różnych osób, dały się porządkować według wspólnych haseł, które ostatecznie wyznaczyły rozdziały książki. Ta jej wyimkowa konstrukcja, ze zmieniającą się stylistyką języka, nadaje lekturze swoistą wartość i lekkość. Mamy więc rozdział „Wybory”, w którym poznajemy motywy podjęcia studiów biologicznych, „Lata studenckie”, czyli wspomnienia o Wydziale z perspektywy ucznia, a zaraz potem, w rozdziałach „Początki” czy „Osiągnięcia” – z perspektywy badacza i nauczyciela. „Dyplomy” przywołują czasy przygotowywania i obrony prac magisterskich i doktorskich. W „Wyjazdach” wspomniane są, często kluczowe dla naukowej specjalizacji i rozwoju kariery, podróże i pobyty w zagranicznych ośrodkach naukowych. O codziennej pracy, związanych z nią trudnościach, wyzwaniach, sukcesach i porażkach, ale też o życiu pozawydziałowym, towarzysko-rekreacyjnym, czytamy w rozdziałach „W zespole” oraz „W pracy i poza nią”. O tym, jak na przestrzeni lat zmieniał się Wydział, a wraz z nim reguły studiowania, warunki pracy naukowej i dydaktycznej, sposoby finansowania badań, ale i cała rzeczywistość, w jakiej Wydział funkcjonował, wyobrażenie daje rozdział „Wczoraj i dziś”.

Rozdział „Wykładowcy” to galeria wydziałowych indywidualności, trwale zapamiętanych nauczycieli akademickich, a przy tym często wychowawców życia. Pamięci innych osób, szczególnie zapisanych w historii Wydziału, poświęcony jest rozdział „*In memoriam*”.

Z kolei „Mistrzowie” to sylwetki ludzi, w silnie zsubiektywizowanym ujęciu, którzy odegrali istotną rolę dla przebiegu indywidualnych naukowych karier lub jako mentorzy życiowi.

Pięćdziesiąt lat Wydziału Biologii to nie tylko sztafeta pokoleń i osób w postępie nauki, to również wycinkowy obraz wydarzeń historycznych i przeobrażeń społecznych; poruszających świadectw przełomowych momentów w historii Wydziału, społeczności uniwersyteckiej, ale też kraju i narodu, dostarcza rozdział „Pamiętne dni”.

Ostatni rozdział „Refleksje” stanowi zbiór przemyśleń, spostrzeżeń i uwag na rozmaite tematy, od zagadnień dotyczących nauki, przez sprawy społeczno-obyczajowe, po sferę prywatną i życie rodzinne.

W czternastu rozdziałach książki przegląda się ponad pół wieku Wydziału, w jego dniach powszednich i świątecznych, momentach kryzysu i przełomu, chwilach zwątpienia i nadziei. A wszystko to utrwalone w relacjach osób, które znaczącą część swojego życia związały z Wydziałem i były architektami jego historii. Intencją autorów książki było pokazanie dziejów Wydziału w formie żywego, bezpośredniego i spersonalizowanego przekazu, w konwencji rozmowy z czytelnikiem. Cennym uzupełnieniem tekstu jest bogaty materiał zdjęciowy, w większości pochodzący z prywatnych zbiorów autorów wspomnień. Zatrzymane na fotografiach przeróżne sytuacje i zdarzenia pomagają jeszcze lepiej przenieść się w czasie i odwiedzić Wydział sprzed lat.

Praca nad książką wymagała od jej autorów wprost dziennikarskiego warsztatu, z przygotowaniem planu wywiadu, jego nagraniem i transkrypcją, potem redakcyjnym opracowaniem tekstu i autoryzacją, a na koniec kwerendą i opisem materiału zdjęciowego. Przy tym praca ta odbywała się równolegle do regularnych obowiązków zawodowych.

Niniejsza publikacja stanowi owoc trudu wielu osób. Ogromne podziękowania należą się Mai Graniszewskiej, Sławomirowi Zagórskiemu, Karolinie Żyniewicz, Jadwidze Baj oraz Panu Profesorowi Tomaszowi Majewskiemu, ale przede wszystkim pomysłodawczyni samych nagrań i współautorce całego opracowania – Izabeli Wyszomirskiej.

Osobne podziękowania składam Pani Profesor Agnieszce Mostowskiej, Dziekan Wydziału Biologii, która okazywała wiele zainteresowania i wsparcia dla całego przedsięwzięcia, dając przy tym pełną swobodę przy jego projekcie i realizacji.

Autorzy chcieliby, aby ta książka pełniła nie tyle zadanie jubileuszowego „pomnika”, ile była międzypokoleniowym pomostem, który pozwoli lepiej poznać i zachować pamięć zarówno o bohaterach, jak i autorach wspomnień.

Tomasz Jagielski

*Przewodniczący
Sekcji Historycznej
Wydziału Biologii UW*

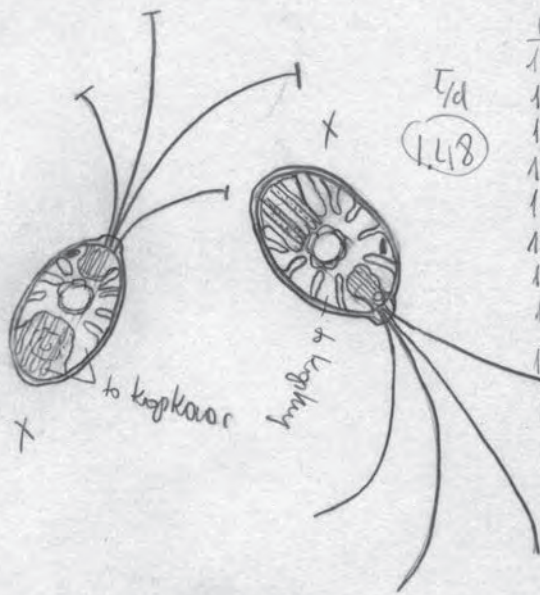
AUTORZY WSPOMNIENÍ

Ewa Bartnik, prof., genetyk
Jacek Bielecki, prof., mikrobiolog
Ewa Bieszkiewicz, dr, mikrobiolog
Maria Magdalena Borowik, dr, parazytolog
Jadwiga Bryła, prof., biochemik
Katarzyna Brzostek, prof., mikrobiolog
Maria Charzyńska, prof., embriolog roślin
Jan Chojnacki, dr, ekolog roślin
Bronisław Cymborowski, prof., fizjolog zwierząt
Jerzy Czerski, dr, fizjolog roślin
Krzysztof Dmowski, dr hab., zoolog
Maria Doligalska, prof., parazytolog
Jan Fronk, dr hab., biochemik
Zbigniew Maciej Gliwicz, prof., hydrobiolog
Ryszard Halba, dr, zoolog
Jerzy Hrebenda, prof., mikrobiolog
Elżbieta Katarzyna Jagusztyn-Krynicka, prof., mikrobiolog
Alina Kacperska-Lewak, prof., fizjolog roślin
Andrzej Kaczanowski, prof., protozoolog
Anna Kalinowska, dr, ekolog
Anna Kozakiewicz, dr, ekolog
Michał Kozakiewicz, prof., ekolog
Anna Kraczkiewicz-Dowjat, dr, mikrobiolog
Stanisław Lewak, prof., fizjolog roślin
Tomasz Majewski, prof., mykolog

Marek Maleszewski, prof., embriolog zwierząt
Bohdan Matuszewski, prof., cytolog zwierząt
Jerzy Moraczewski, prof., cytolog zwierząt
Agnieszka Mostowska, prof., cytolog roślin
Roman Mycielski, prof., mikrobiolog
Katarzyna Niewiadomska, prof., parazytolog
Marek Ostrowski, dr, przyrodnik
Andrzej Paszewski, prof., genetyk
Ewa Pieczyńska, prof., hydrobiolog
Andrzej Piekarówic, prof., wirusolog
Joanna Pijanowska, prof., hydrobiolog
Andrzej Podstolski, prof., fizjolog roślin
Andrzej Prejs, prof., hydrobiolog
Teresa Rogulska, dr, embriolog zwierząt
Elżbieta Romanowska, prof., fizjolog roślin
Anna Rychter, prof., fizjolog roślin
Edward Siński, prof., parazytolog
Rafał Skoczylas, dr, fizjolog zwierząt
Krystyna Skwarło-Sońta, prof., fizjolog zwierząt
Krzysztof Staroń, prof., biochemik
Piotr Stępień, prof., genetyk
Barbara Sudnik-Wójcikowska, dr hab., botanik
Ewa Symonides, prof., ekolog roślin
Maryna Szöllösi (d. Sołtyńska), dr, embriolog zwierząt
Zofia Świetlińska, dr, genetyk
Ligia Tuszyńska, dr hab., dydaktyk
Tomasz Umiński, prof., zoolog
Hanna Werblan-Jakubiec, dr, botanik
Piotr Węgleński, prof., genetyk
Małgorzata Wierzbicka, prof., botanik
Bogusław Wilkomirski, prof., biochemik roślin
Mirostawa Włodarczyk, prof., mikrobiolog
Napoleon Wolański, prof., antropolog
Krystyna Izabela Wolska, prof., mikrobiolog
Marta Wrzosek, dr hab., mykolog
Janina Zielińska, dr, lichenolog

Conteria crucifera Korschikoff

lasko nei ^{mit omi} symehyune
fama



oll.	aeu	4d
11	8	1.38
11	7	1.57
12	9	1.33
11	8	1.38
12	7	1.71
12	8	1.5
13	8	1.63
11	7	1.57
14	11	1.27
15	10	1.5
13	9	1.44

WYBORY

s. 18: Hanna Werblan, Notatki, 1983 r.

Biologia to nie był przypadkowy wybór, bo już w czasie okupacji, w czasie nauki szkolnej grawitowałem między biologią a medycyną. Miałem *Anatomię człowieka* Bochenka, całą *Anatomię ssaków* Poplewskiego. Medycyna odpadła bardzo szybko za sprawą Powstania Warszawskiego. Przeżyłem jedną noc w bliskim sąsiedztwie umierającego po spaleniu człowieka i powiedziałem sobie: „Dosyć, to nie na mój system nerwowy, na moją wrażliwość”.

Już po Powstaniu, jak kończyłem klasę maturalną, wiedziałem, że moim marzeniem jest dostać się na Uniwersytet, na biologię. W tym czasie był tylko jeden Wydział Matematyczno-Przyrodniczy, jeden sekretariat. Geologia, geografia, biologia, łącznie z matematyką, fizyką, chemią itd.

Na medycynę trzeba było zdawać egzamin, na biologię nie. To był rok 1946. Dostałem indeks numer 5620.

Bohdan Matuszewski

Wybór studiów był zasugerowany przez rodzinę. Pochodzę z Białostockiego. Ojca aresztowali Sowieci i wywieźli na Ural – tam zginął. Mama została sama z dziećmi, mieliśmy gospodarstwo rolne. Mój wuj, absolwent SGGW, zakładał Liceum Rolnicze w dawnym majątku Wielopolskich – Krzelów (woj. kieleckie). Wuj ściągnął mamę. Była tam kierowniczką internatu, a ja i brat skończyliśmy to liceum. Uznałam, że nie będzie ze mnie żaden praktyk rolny, a biologia na UW da mi szersze możliwości, i dlatego zdawałam na biologię. Po przyjęciu na studia otrzymałam miejsce w domu akademickim oraz stypendium umożliwiające skromne utrzymanie.

Zofia Świetlińska

Zawsze mi się ta dziedzina podobała. Kiedy dostałam się na Uniwersytet, to nawet byłam trochę zdziwiona, że idę na Wydział Matematyczno-Fizyczny [Wydział Matematyczno-Przyrodniczy – przyp. red.]. Gdzie mam złożyć moje papiery, dowiedziałam się od pedla, który kierował kandydatów na studentów tam gdzie trzeba. Zawsze biologia mnie interesowała, a zwłaszcza botanika, bo zoologia jakoś trochę mniej. Może dlatego, że wykłady z zoologii, na które chodziłam, były trudne i nudne. A kiedy na drugim roku trafiłam na systematykę roślin, spodobało mi się to jeszcze bardziej.

Janina Zielińska

Dosyć wcześnie interesowałem się przyrodą na podstawie książek, pomimo że rodziny przyrodniczej nie miałem. Dziadek był profesorem na Wydziale Farmacji, a ojciec dyrektorem Biblioteki Uniwersyteckiej. Do książek miałem dostęp przez całą młodość. Ojciec pracował w Bibliotece podczas okupacji – wprawdzie już nie jako dyrektor – i jak chciałem jakąś książkę, mówiłem: „Tato, znajdź mi coś”, i ojciec mi przynosił.

Chodziłem do dobrej szkoły, do Batorego, gdzie miałem świetnych nauczycieli biologii i chemii. O tym, że chcę studiować chemię, wiedziałem już w liceum. Uwierzyłem, że jak się nauczę operować związkami chemicznymi, to coś istotnego zrozumieję. Ot, takie chłopiące marzenia.

Stanisław Lewak

Zainteresowanie biologią zawdzięczam nauczycielce, pani prof. Barbarze Bardeckiej, która wykładała ten przedmiot w liceum im. Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie. Były to trudne lata powojenne. Moi rodzice szukali miejsca do życia poza zburzoną Warszawą. Wreszcie pod koniec lat 40. wrócili do swojego miasta i osiedli na Saskiej Kępie.

Szkołę średnią (liceum) skończyłam w 1951 roku. O przyjęciu na studia decydowały wtedy nie tylko wyniki egzaminu, ale również tzw. pochodzenie społeczne. Mój ojciec był nauczycielem, więc dostałam kilka dodatkowych punktów i dzięki temu zostałam przyjęta na Wydział Biologii i Nauk o Ziemi UW, który mieścił się wtedy w gmachu byłej Szkoły Głównej na Krakowskim Przedmieściu.

Alina Kacperska-Lewak

Decyzję o wyborze kierunku studiów podjęłam późno, bo dopiero w klasie maturalnej. Rozważałam dwa, bardzo od siebie odległe kierunki, mianowicie prawo i biologię. Nie było presji rodziny, nie było presji znikąd. Może pewien wpływ na moją decyzję miały rozmowy z koleżankami, może sposób nauczania w szkole. Ostatecznie wybrałam biologię i myślę, że ten wybór powtórzyłabym także dzisiaj. Egzamin wstępny zdawałam w 1951 roku.

Ewa Pieczyńska

Miałam zainteresowania typowo humanistyczne. Ale w tym czasie, kiedy studiowałam, nauki humanistyczne były strasznie upolitycznione. Takie

więc studia, jak polonistyka czy historia, nie wchodziły w grę. Uczylałam się w szkole muzycznej, ale ponieważ zaczęłam naukę późno, na pianistę-wirtuoza się nie nadawałam. Proponowano mi, żebym poszła na klawesyn, ale nie chciałam.

Z mojej szkoły – ze Żmichowskiej – dużo dziewcząt szło na medycynę. Mnie to interesowało, ale pomyślałam sobie: „Owszem, jako studia – bardzo ciekawe, ale jakbym miała kogoś leczyć, to bym się bała”. Interesowała mnie też weterynaria, ale to piekielnie ciężkie studia, wymagające nieraz dużej siły fizycznej, więc zrezygnowałam.

Byłam kiedyś u rodziny pana Neumana, patrzę, na półce stoi monumentalne *Życie ssaków* Brehma. „A może ja bym poszła na biologię” – spytałam pana Neumana, a on na to: „No, no, to ciekawe”.

Teresa Rogulska

Biologia nie jest moją pierwszą i jedyną miłością. Chciałam studiować na Akademii Sztuk Pięknych tkaninę artystyczną. Niestety, ten kierunek był tylko na uczelni w Sopocie. Z przyczyn obecnie niezrozumiałych, szczególnie dla młodych ludzi, nie było to możliwe. To były czasy, kiedy należało wypełnić dane, nie tylko własne, ale także rodziców, a nawet dziadków, trzeba było wskazać ich zawód, pozycję społeczną i pochodzenie. Moje „dane” były „niewłaściwe”. Za radą Ojca, który wiedział, że dziekanem Wydziału Biologii UW jest profesor o nieposzlakowanej opinii, także politycznej, wybrałam biologię na Uniwersytecie Warszawskim, uzyskałam bardzo dobre wyniki z egzaminu i nigdy nie żałowałam podjętej decyzji.

Maria Charzyńska

Prawie do końca liceum nie wiedziałem, jakie studia wybrać. Myślałem o Wydziale Chemii Politechniki Gdańskiej (mieszkałem wówczas w Elblągu), ale teraz myślę, że wybrałem biologię na złość mojej nauczycielce biologii, która mnie katowała w liceum. Byłem ofiarą wszystkich jej wybryków, zawsze mówiła: „Ty to się nie nadajesz do żadnych studiów, a szczególnie przyrodniczych” i tak dalej. Pomyślałem więc: „Nie! Psiakrew, pójdę na biologię i zobaczysz, czy się nie nadaję”. I poszedłem, tym bardziej że byłem zafascynowany lekturą *Łowców mikrobów*. Biologia w jedenastej klasie w 1953 roku to apogeum łysenkizmu, wielka ideologiczna indoktrynacja i nigdy by mnie nie zainteresowała na tyle, żeby ją studiować.

Jerzy Moraczewski

Mój profil przyrodniczy kształtowały początkowo mama i babcia. Babcia ofiarowała mi w '42 roku przepiękne książki Bohdana Dyakowskiego, popularyzatora biologii, potem docenta na UJ: *Z naszej przyrody* i *Nasz las i jego mieszkańcy*. Obie mam po dziś dzień. W pierwszej były piękne kolorowe tablice, litografie, a także wiersze i cytaty z literatury. Pisząc swoje dwie popularne książki, właśnie na nich się wzorowałem, tyle że moje zostały wydane na paskudnym, grubym i szarym papierze. Do dziś mam Dyakowskiego i pocztówki, które wysyłała mi mama, gdy miałem 6 lat i byłem na wakacjach u stryja. Jedna z nich przedstawia pawia z rozłożonym ogonem, a druga jamniki, przecudowne szczeniaki. Mama interesowała się przyrodą. Studiowała rolnictwo na Politechnice Lwowskiej. Uczyła mnie roślin, drzew i rozpoznawania liści. Jak jeździliśmy do majątku stryja na wakacje, to chodziliśmy do lasu i zbieraliśmy grzyby.

Jako piętnastoletni chłopak trafiłem do Poznania do męskiej szkoły. Przez półtora roku byłem odcięty od jakichkolwiek kontaktów z dziewczynami, co na mnie źle wpłynęło. Byłem potwornie nieśmiały i dziś nadal w gruncie rzeczy taki jestem. Nieśmiali często nadrabiają bezczelnością i ja to oczywiście robię. Kiedy po tej męskiej szkole trafiłem w Warszawie do maturalnej klasy w szkole koedukacyjnej, patrzyłem na te dziewczyny z umalowanymi rzęsami, chodzące w nylonach, i nie wiedziałem, co o tym myśleć. Czy mówić do nich per pani, czy jak?

W tej nieszczęsnej poznańskiej szkole mieliśmy bardzo duży gabinet biologiczny i wspaniałą nauczycielkę biologii – Teresę Daleszyńską. Wymagającą, ostrą jak brzytwa, świetnego fachowca. Kiedyś wczesną wiosną ogłosiła, że poznańscy ornitologowie organizują wycieczki ornitologiczne dla uczniów. A ja już wtedy czytałem *Bezkrwawe łowy* Puchalskiego, które były dla mnie niesłychanym odkryciem. Poszedłem na taką wycieczkę, podczas której pan Graczyk pokazywał nam ptaki w parku nad Wartą. Potem byłem jeszcze na dwóch wycieczkach, a następnie zacząłem sam obserwować ptaki rano w parku przed szkołą. Po przeprowadzce do Warszawy, w maturalnej klasie biologii uczyła mnie również wspaniała pedagog – Maria Ziemięc. Miałem więc szczęście do nauczycieli biologii.

Rafał Skoczylas

Skąd biologia? Chyba nauczyciel w szkole podstawowej jakoś tak do mnie trafił, że mnie to zafascynowało. Pamiętam, że miałem słoik, w którym były ślimaki.

Andrzej Kaczanowski

Maturę zdawałam w '56 roku. Miałam dobrą nauczycielkę biologii. Była bardzo łagodna i w związku z tym wszyscy wchodzili jej na głowę, ale ciekawie przedstawiała swój przedmiot. Przeprowadzała na lekcjach sporo eksperymentów, które wtedy nie były tak powszechne, jak obecnie w liceach.

Dostałam się na studia na Uniwersytet Warszawski. Jeszcze przed egzaminem wstępnym musiałam wybrać kierunek – mikrobiologię lub biologię ogólną. Zgłosiłam się na mikrobiologię. Dlaczego? Nie mam zielonego pojęcia. Być może stał za tym prof. Bassalik, który był bardzo sławnym mikrobiologiem. A może dlatego, że zastanawiałam się również, czy nie studiować medycyny.

Ewa Bieszkiewicz

Wybrałem biologię, trochę pod wpływem mojego ojca – też biologa. Mieszkałem wtedy w Lublinie, ale wybrałem Warszawę, ponieważ ojciec, który był profesorem na UMCS, uważał, że nie jest dobrze, jeśli syn studiuje na tym samym wydziale, na którym pracuje ojciec.

Andrzej Paszewski

Całe dzieciństwo to jakieś kijanki, patyczaki, takie rzeczy. Myślałam więc, że na pewno będę albo biologiem, albo weterynarzem. Aż do dziesiątej klasy, kiedy nagle odkryłam rzeźbę, no i rzeźbiłam jak szalona. Zdawałam na Akademię, miałam 16 lat, więc szanse niewielkie w porównaniu z tymi, którzy też zdawali. Dostałam bardzo dobrą notę i powiedzieli: „Na przyszły rok, teraz wolny słuchacz”. Pomyślałam sobie: „To nie. Będę zdawać na przyszły rok”. A że miałam maturę na same piątki i wejście na wszystkie uczelnie z wyjątkiem sportowych i artystycznych, to pomyślałam sobie, że pójdę na biologię. No i poszłam. I bardzo mi się na początku podobało. Nawet zwróciłam się do prof. Raabego: „Czy ja bym – bo ja już taka wielka uczona na tym pierwszym roku – czy ja bym mogła brać udział w jakichś badaniach?”. Przydzielił mnie do Julka Wiprzyckiego, który robił pracę o „puchopierojedach”, czyli pasożytach piór ptasich, *Mallophaga*. No więc zaczęłam przegrzebywać te pióra, wybierać pasożyty. To było okropnie nudne, ale trwało krótko, niestety, bo Julek, odstrzeluwując ptaki osobiście, zastrzelił się. To był koszmar i tragedia na Wydziale.

Wybrałam parazytologię u prof. Wiśniewskiego. Zbieranie materiałów do pracy było w terenie, w Ogonkach na Mazurach. Niestety, pan profesor miał wylew – siedział wtedy przy stole, jadł obiad. Na drugi dzień umarł.

No i Zakład został rozwiązany. Została mi z tamtych czasów przyjaźń z panią Katarzyną Niewiadomską, asystentką – dziś profesor. Jesteśmy w stałym kontakcie do dziś, ile to już lat! Miałam osiemnaście, a mam bez mała osiemdziesiąt, więc dużo.

Pracę magisterską napisałam pod kierunkiem prof. Raabego, *Pasożyty ryb Zatoki Puckiej*.

Maryna Szöllösi

Na biologię dostałem się w 1959 roku, przedtem przez rok byłem nauczycielem w szkole podstawowej. Musiałem zarobić trochę pieniędzy na studia, gdyż pochodzę z biednej rodziny rolniczej. Ojciec w zasadzie zajmował się krawiectwem, nie rolnictwem.

Biologią interesowałem się od zawsze, ponieważ urodziłem się na wsi, przyroda dookoła. Wieś nazywała się Nowowola, województwo białostockie, bardzo piękne okolice rolnicze. Rzeczywiście pasjonowałem się biologią i koniecznie chciałem iść na te właśnie studia.

Na egzaminie były jakieś pytania związane z moim pochodzeniem, a także o to, co mnie zainteresowało, jeśli chodzi o przyrodę. Odpowiedziałem, że ptaki i owady.

Bronisław Cymborowski

Wcale nie byłem zamiłowanym biologiem... Owszem – pociągało mnie morze, ale w perspektywie dalekich podróży i nurkowania, dlatego też próbowałem po ukończeniu szkoły podstawowej dostać się do Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni. Niestety po kilku dniach mnie z tej Szkoły wyrzuciono, gdy odkryto, że moja siostra Wanda, sanitariuszka Batalionu „Kiliński” AK, pozostała po wojnie na Zachodzie. Po maturze postanowiłem więc wydostać się na morze odmienną drogą – zdałem na Politechnikę Gdańską i rozpocząłem studia na Wydziale Budownictwa Okrętowego z nadzieją, że po studiach będę pływał na statkach PLO lub PŻM. Decyzję tę odmienił jednak jeden ze spacerów w moje ulubione miejsca na nabrzeżu Gdyńskim. Trafiłem wtedy na moment, gdy obok budynku Morskiego Instytutu Rybackiego zacumował MS „Michał Siedlecki”, a z jego luków rozpoczęto wyładunek skrzyni z rybami głębinowymi, kałamarnicami i skorupiakami... To wtedy narodził się pomysł, by pływać po morzu nie jako oficer-mechanik, ale jako oceanolog... Po ciekawym roku akademickim 1956/1957 na Wybrzeżu, który rozpoczęły pierwsze październikowe wiece na cześć Gomułki i formowanie studenckich batalionów ochotniczych na odsiecz Budapesztowi najechanemu przez sowieckie czołgi, po zaliczeniu pierwszego roku studiów

okrętowych zrezygnowałem z Politechniki Gdańskiej i złożyłem papiery na biologię na Uniwersytecie Warszawskim. Miałem zamiar powrócić po kilku latach na Wybrzeże, by zrobić pracę dyplomową w Morskim Instytucie Rybackim, ale nigdy do tego nie doszło. Stało się tak za sprawą kierownika Katedry Hydrobiologii UW, pana prof. Mariana Gieyszтора.

Maciej Gliwicz

W liceum byłem bardzo zainteresowany ornitologią i spędzałem dużo czasu, chodząc po podwarszawskich lasach z lornetką i podglądając ptaki. Często jeździłem do Lasek, gdzie wyprawiałem się na obserwacje ornitologiczne razem z księdzem Tadeuszem Fedorowiczem, człowiekiem o wspaniałym życiorysie. W 1939 roku dobrowolnie wsiadł do pociągu wywożącego Polaków ze Lwowa do Kazachstanu. Trafił do armii gen. Andersa, ale nie wyszedł z nią do Persji, gdyż uznał, że ciągle wielu Polaków znajduje się w Związku Radzieckim i jest im potrzebny. Wyszedł dopiero z armią gen. Berlinga i odbył z nią cały szlak bojowy jako naczelnny kapelan. Cieszył się ogromnym uznaniem i szacunkiem, dość powiedzieć, że gdy w czasie stanu wojennego udał się do gen. Jaruzelskiego z prośbą o zwolnienie jakiegoś więźnia, to generał usadził go w fotelu, a sam cały czas stał na baczność. Księdza poznałem, gdy pracował jako kierownik duchowy Zakładu dla Ociemniałych. Po rozpoczęciu studiów szybko zdałem sobie sprawę, że są rzeczy o wiele bardziej interesujące niż ptaki, między innymi genetyka. Był to rok '56. Kończył się okres stalinizmu, w którym genetyka była nauką wyklętą i obowiązywała „nowa biologia” lansowana przez agronoma Trofima Łysenkę. Na Wydziale Biologii genetykę zaczął wykładać wówczas prof. Waław Gajewski. Poprzednio był odsunięty od zajęć i pracował w Ogrodzie Botanicznym. Po '56 został kierownikiem Zakładu Genetyki. Miał wtedy dwie asystentki, Aleksandrę Putrament, siostrę Jerzego, pisarza, i Alinę Doroszewską, matkę Urszuli Doroszewskiej, opozycjonistki w czasach PRL [ob. ambasador RP na Litwie – przyp. red.]. Pod koniec lat 50. prof. Gajewski przyjął mnie do Zakładu. Pod jego kierunkiem wykonałem pracę magisterską, która dotyczyła cytogenetyki owadów z rodzaju *Tetrix*, a później, w roku 1961 pracę doktorską na temat genetycznej kontroli metabolizmu u grzyba *Aspergillus*.

Piotr Węgleński

Dlaczego biologia? Inspiracją była sama przyroda. To mnie od dziecka interesowało, szczególnie drobniejsze przejawy tej przyrody, na przykład ze zwierząt – owady, ale też rośliny. W gruncie rzeczy przyroda jako całość,

choć szczególnie ta przyroda drobna. Przez wiele lat byłem umiarkowanym krótkowidzem i najlepiej widziałem rzeczy drobne, po prostu je dostrzegałem. Poza tym miałem rodzinne tradycje. Mój pradziadek i dziadek byli leśnikami, i to leśnikami profesjonalnymi. Pradziadek był członkiem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a przy okazji dodam, honorowym obywatelem miasta Miłosławia. Dziadek też był zawodowym leśnikiem i na emeryturę przeszedł jako główny inspektor Lasów Państwowych w ówczesnym Ministerstwie Rolnictwa. Zarówno pradziadek, jak i dziadek kompletowali księgozbiór, który w dużej części dotrwał do wojny. Jednak kiedy po wyzwoleniu wróciliśmy do Warszawy, mieszkanie było rozszabrowane i zajęte przez obcych ludzi, nie było prawie nic. Z biblioteki dziadka ostały się tylko cztery książki fachowe, zresztą dobre, jeszcze dziewiętnastowieczne.

Szkoła właściwie niewiele mi dawała. Sam po prostu chodziłem, oglądałem, zbierałem. Wiadomo było, że pójść na biologię.

Tomasz Majewski

Początkowo myślałem o chemii. Liceum skończyłem jednak w małym miasteczku na Dolnym Śląsku, gdzie poziom nauki nie był zbyt wysoki. Tymczasem jednym z przedmiotów, który stał na dobrym poziomie, była biologia. Będąc w jedenastej klasie, znalazłem w bibliotece książkę *Łowcy mikrobów* – o historii badań nad bakteriami – i dzięki niej zainteresowałem się mikrobiologią. Wkrótce dowiedziałem się, że w Warszawie na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi od razu można zdawać na mikrobiologię, i doszedłem do wniosku, że bardzo mi to odpowiada. Wobec tego przyjechałem do Warszawy, przystąpiłem do egzaminów wstępnych, zdałem i – ku zdziwieniu mojemu i innych – dostałem się. Nie było to łatwe, ponieważ było mniej więcej sześciu kandydatów na jedno miejsce.

Andrzej Piekarowicz

Na rok, może dwa przed maturą wiedziałem, że podejmę studia na którymś z kierunków przyrodniczych. Pierwsza była weterynaria, ale już po trzech semestrach byłem przekonany, że to nie to. A zatem biologia. Na moje przyrodnicze wybory niewątpliwym wpływ miał mój wuj, geodeta, przyrodnik amator, z którym spędzałem dużo czasu. Przyczynił się do tego także „bosman Ali”, przyjaciel rodziny, pionier polskiego żeglarstwa na Mazurach. Dzisiaj, gdybym miał wybierać, ponownie wybrałbym biologię.

Andrzej Prejs

Na początku była medycyna, na którą się nie dostałam. Bardzo to przeżyłam, bo byłam bardzo dobrą uczennicą i zabrakło mi punktów za pochodzenie. Wtedy zaświtało mi pytanie, czemu właściwie chcę studiować medycynę. Okazało się, że nie chcę być lekarzem, tylko bardziej interesuje mnie medycyna od strony naukowej, i wtedy pomyślałam o biologii. A ponieważ mama studiowała biologię, więc jakoś mi się to razem złożyło i przez rok chodziłam jako wolny słuchacz na wykłady księdza prof. Szulety i prof. Raabego. W związku z tym śpiewając zdałam na biologię i od razu wiedziałam, że interesuje mnie biochemia.

Anna Rychter

Moim pierwszym wyborem kierunku studiów nie była biologia, lecz weterynaria. Nawet złożyłem papiery do Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu, na Wydział Weterynarii. Przyznam, że to rodzice skłaniali mnie nieco w tym kierunku, uważając, że to będzie bardzo praktyczny zawód. Na weterynarię nie dostałem się. W następnym roku składałem dokumenty na Wydział Biologii i Nauk o Ziemi naszego Uniwersytetu. Byłem bardzo szczęśliwy, kiedy za drugim razem otrzymałem indeks i mogłem rozpocząć studia.

Edward Siński

Moja pierwsza myśl – farmacja, czyli nie tak bardzo daleko od biologii. Jako mała dziewczynka nie chciałam być królową, lecz sprzedawczynią w sklepie, a potem pojawiły się wyższe ambicje i uznałam, że lepiej być sprzedawczynią w aptece – tak to sobie jako dziecko wyobrażałam. A ponieważ byłam chorowita, rodzice starali się, żeby mnie nie wpuścić w jakieś twarde studia (za jakie uznali farmację), żeby tam nie padła, i w związku z tym wykombinowali mikrobiologię. A wtedy rodziców się słuchało. Dla mnie początkowo ta dziedzina wiedzy była zupełnie pustym pojęciem, ale trochę sobie poczytałam i jakoś poszło.

Myśmy od razu zdawali na mikrobiologię, ponieważ wtedy (1958) zdawało się egzamin na botanikę, zoologię, biochemię i mikrobiologię. Poszczególne grupy uformowały się już na egzaminie i potem wszystkie zajęcia odbywaliśmy już właśnie w tych grupach. Na mikrobiologii było nas około 20 osób. Z mojego roku tylko Krysia Grad (Dziechciarz) i ja dostałyśmy od prof. Kunickiego propozycję pozostania na uczelni.

Mirosława Włodarczyk

Biologia to moja pierwsza i jedyna miłość. Aby dostać się na studia na tym Wydziale, należało zdać egzamin pisemny z biologii oraz egzaminy ustne z biologii i chemii. O przyjęciu decydowała liczba uzyskanych punktów.

Maria Magdalena Borowik

Zacznijmy od tego, że ojciec mojej mamy był aptekarzem w Bolimowie. Zawsze fascynowały mnie te ilości buteleczek, odczynników, a poza tym to było bardzo dawno temu, kiedy aptekarz był też lekarzem i udzielał się na całą okolicę. Jakoś ten wpływ rzutował na mnie, ukierunkował w stronę nauk biologicznych, mimo że dziadka w ogóle nie znałem. Ponadto ojciec był leśniczym. No i jeszcze w domu w Turawie pod Opolem były konie, krowy, świnie, psy. W efekcie od dziecka miałem ciągoty biologiczno-botaniczne. W liceum trafiłem na bardzo wymagających biologów i bardzo dobrych chemików. I tak to szło dwutorowo – z jednej strony chemia, i tu się liczył dziadek ze swoimi aptekarskimi przyrządami, a z drugiej biologia. Ciągnęło mnie też ku medycynie, ale byłem bardzo kiepski z matematyki i fizyki. Zastanawiałem się, co by tu zrobić, żeby studiować coś biologicznego, może z odcieniem chemicznym, ale żeby nie było matematyki. Myślałem o medycynie we Wrocławiu, ale tam trzeba było zdawać fizykę. Ostatecznie wykombinowałem, że w Warszawie jest biochemia, czyli połączenie biologii i chemii, a więc coś dla mnie. A chemików mieliśmy w szkole na tyle dobrych, że chyba wszyscy chłopcy w klasie brali udział w olimpiadach chemicznych. Szło nam całkiem nieźle. Mieliśmy spore doświadczenie w pracy laboratoryjnej, bo w pracowni szkolnej pozwalano nam robić dosłownie wszystko – nawet wybuchy czy puszczanie rakiet. Rezultat tego był taki, że dostałem się na studia w Warszawie za pierwszym podejściem w 1960 roku.

Egzamin wstępny pamiętam doskonale. W mojej komisji był chyba prof. Gieysztor, a na pewno byli Charzyńska i Kaczanowski. Opowiadałem o witaminach roślinnych. Poszło mi nie najgorzej.

Andrzej Podstolski

Kończąc liceum w 1960 roku, uczęszczałam jednocześnie do trzeciej klasy średniej szkoły muzycznej. Któregoś dnia moja mama powiedziała: „Wiesz, jesteś dobra z chemii, z biologii. Jest taki nowy kierunek studiów, może spróbujesz?”. A ja na to: „Dobrze, będę zdawała”. Tak zupełnie na luzie. Przypuszczałam, że się nie dostanę i będę mogła kontynuować edukację

muzyczną, ale się dostałam. Wtedy była duża konkurencja, bo 5–6 osób na jedno miejsce, jeśli chodzi o biochemię. To był pierwszy rocznik tego kierunku. Było nas 25 osób, skończyło w terminie 20.

Śpiew sprawiał mi ogromną przyjemność. W średniej szkole muzycznej śpiewałam w chórze. Jak wykonywaliśmy *Stworzenie świata* Haydna, to było niesamowite przeżycie. A potem cieszyłam się ze śpiewania w naszym chórze Wydziału Biologii przez ponad 10 lat.

Jadwiga Bryła

Zainteresowanie biologią siedziało we mnie już od szkoły podstawowej, czyli od lat 60. Interesowałam się ptakami, a potem szerzej – zależnościami tych ptaków od środowiska, wzajemnymi powiązaniem. Myślę, że to wynikało z moich wewnętrznych potrzeb poznawania otoczenia.

Ryszard Halba

Moją miłością w szkole średniej była chemia. Powodem, dla którego przyszłam na biologię, było to, że miałam też bardzo dobrą nauczycielkę biologii, która mnie do tego zachęciła. A biochemia, na którą zdawałam, była wtedy czymś takim, jak w tej chwili jest biotechnologia. To była nowość, coś, co przyciągało.

Wiedziałam, czego nie lubię, a nie bardzo wiedziałam, co lubię. Byłam pewna, że nie umiem rysować. I to było moje nieszczęście, bo trochę myślałam o studiowaniu geografii, ale za moich czasów geografia kojarzyła się z rysowaniem map, czego z pewnością nie potrafiłabym robić. Tymczasem jak znalazłam się na biologii, to okazało się, że przynajmniej na pierwszym roku było prawie wyłącznie rysowanie. To było straszne. Odrysowywałam od koleżanek z ich zeszytów, bo nie widziałam tego, co mam przenieść na papier. Natomiast wzór chemiczny, proszę bardzo. Jak widzę wzór, to wiem, o czym rozmawiamy.

Życie tak naprawdę ukształtowała mi chemia – korepetycji z chemii na wszystkich poziomach udzielałam przez bardzo wiele lat.

Krystyna Skwarło-Sońta

Wśród rozpoczynających studia wraz ze mną były dwie, odmiennie zmotywowane grupy studentów. Jednych interesowała *stricto* biologia i z tego względu znaleźli się na Wydziale. Drugi, do których sam należałam,

interesowali się raczej chemią niż biologią i tę ostatnią traktowali jako szczególnie ciekawą część chemii. Wydawało się fantastyczne, że życie da się opisać za pomocą sformalizowanych reguł fizyki i chemii. Ta grupa studentów była zainteresowana tylko jednym kierunkiem studiów na Wydziale. W czasie, kiedy zaczynałem studiować, były cztery kierunki: mikrobiologia, botanika, zoologia i biochemia. Zarówno ja, jak i osoby o podobnych motywacjach były zdecydowane studiować biochemię, ale nie którykolwiek inny kierunek.

Moje zainteresowania były generalnie przyrodnicze, ale raczej od strony fizyki i chemii niż biologii, która na początku nie wydawała mi się zbyt interesująca. Urok problemów biologicznych objawił się dopiero w trakcie studiów, a przede wszystkim później, podczas pracy. Ale na początku nie. Motywacją do podjęcia studiów na Wydziale był mocno redukcjonistyczny sposób patrzenia na biologię.

Krzysztof Staroń

Mój wybór studiów nie wynikał z jakiejś specjalnej miłości do biologii. Nie miałam skryzalizowanych zainteresowań, choć uczyłam się nieźle. Ale tak konkretnie, to przekonała mnie starsza siostra bliskiej koleżanki, która studiowała mikrobiologię, a potem wiele lat pracowała na Uniwersytecie, aż do emerytury. Nazywała się Barbara Kociszewska, potem Barbara Kaucowa. Mówiła, że na biologii jest fajnie i przyjemnie, to dlaczego nie spróbować? I tak się zaczęło.

Zdawałam od razu na mikrobiologię. Wtedy na Wydziale Biologii były cztery kierunki: biochemia, mikrobiologia, botanika i zoologia. Aby się dostać na biochemię i mikrobiologię, trzeba było mieć więcej punktów.

Krzyszyna I. Wolska

Jak pamiętam, już w liceum chciałam studiować na Wydziale Biologii, a decydującą motywacją było pojawienie się pierwszych danych o kwasach nukleinowych. Kiedy byłam w liceum, zaczynało się już mówić o DNA. Pamiętam, że nauczycielka biologii poprosiła kiedyś jednego z moich kolegów, żeby przygotował na lekcję „coś o tym DNA”. Chciałam zdawać na chemię lub biologię, ale ostatecznie wygrała biologia.

Kiedy zdawałam egzamin wstępny, było chyba 4–5 osób na jedno miejsce. Egzamin składał się z części pisemnej i ustnej. Egzamin ustny odbywał się w budynku Wydziału Geografii na kampusie głównym. Czekaając na korytarzu na swoją kolej, nikogo nie znałam. Ci, co wychodzili, mówili: „Nie daj się zaprowadzić do tej pani w różowym sweterku”. I akurat zaprowadzono

mnie do „pani w różowym sweterku”, którą okazała się prof. Chmielewska. Jednak nie pamiętam, żeby mnie gnębiła. Przeciwnie, wspominam egzamin jako całkiem sympatyczną rozmowę.

Elżbieta K. Jagusztyn-Krynicka

Zainteresowania naukami przyrodniczymi były – jak to się mówi – „od małego”. To było na pewno związane z indywidualnymi wieloma cechami, które każdy z nas posiada. Pewnymi predyspozycjami, które są ukryte, ale które tak naprawdę leżą u podstaw naszego sposobu życia, zainteresowań, towarzystwa, które się dobiera itd. U mnie taką cechą była chęć obcowania z przyrodą, podróżowania i poznawania czegoś nowego, zarówno pod względem geograficznym, jak i intelektualnym.

Marek Ostrowski

Nie było dla mnie żadnej alternatywy poza biologią. Kiedy miałem 10 lat, urządziłem w domu laboratorium chemiczne i robiłem różne kolorowe doświadczenia i wybuchy, różne niebezpieczne, czasami bezsensowne rzeczy. Byłem przekonany, że chcę być biochemikiem i badać organizmy żywe w tym właśnie kontekście.

Moje zainteresowania miały także źródło w genialnej książce Bronisława Filipowicza, ojca obecnego prof. Witolda Filipowicza, wybitnego specjalisty od RNA. Nosila tytuł *Z tajemnic biochemii* i to był zapis rozmów ojca z synem. Piękny wykład z biochemii, pisany wspaniale przystępnym językiem. Ta książka przekonała mnie, że powinienem studiować biochemię, bo ta dziedzina nauki daje szansę na wyjaśnienie istoty życia. W dalszym ciągu tak mi się wydaje, choć oczywiście skojarzenie biochemii z genetyką jest niezbędne.

Nigdy nie miałem wątpliwości, że droga, którą wybrałem, była słuszna. Gdybym miał zacząć od nowa, nie zmieniłbym absolutnie nic.

Piotr Stępień

Kiedy miałam 8 lat, ojciec wyjechał na placówkę do Holandii. Nie chodziłam do polskiej szkoły, tylko amerykańskiej, gdzie miałam genialną biologię i absolutnie fenomenalną chemię. Wtedy stwierdziłam, że chcę zostać biochemikiem.

W klasie maturalnej zachorowałam na gripę, i jedyną lekturą, jaką byłam w stanie czytać, była książka Bronisława Filipowicza *Z tajemnic biochemii*,

którą napisał dla swojego syna Witka, zresztą bardzo wybitnego biologa molekularnego. I czytając tę książkę, siedząc z grypą w łóżku, uznałam, że idę na biologię.

Ewa Bartnik

Jestem dzieckiem dwojga biologów – Zygmunta Kraczkiewicza, profesora cytologii na Uniwersytecie Warszawskim, i Janiny, z domu Martyszewskiej, która była uczennicą prof. Kazimierza Bassalika i była nie tylko rodzinnie, ale i towarzysko związana z Wydziałem Biologii. Można powiedzieć, że urodziłam się na Wydziale Biologii. Uczyłam się chodzić na schodach Szkoły Głównej, książd prof. Józef Szuleta robił mi zdjęcia od niemowlęctwa, moje dziecięce włosy były używane do eksperymentów cytologicznych, służąc do przewiązywania rozwijających się larw owadów.

Mój wybór biologii jako kierunku studiów wydawał się więc banalny i dlatego trudny. Początkowo uważałam, że wszystko, byle nie biologia. A jednak stało się i zostałam biologiem. Z przekonania i spełniającym się w pracy badawczej, w dziedzinie genetyki bakterii, i w dydaktyce nie tylko mikrobiologii, ale i biologii na poziomie liceum.

Skończyłam liceum im. Żmichowskiej. Oddaję przy okazji hołd mojej nauczycielce biologii – pani Marii Donajowej. Moje dwie koleżanki z Instytutu Mikrobiologii – dr Jadwiga Baj i prof. Krystyna Izabela Wolska były też uczennicami pani Donajowej.

W szkole lubiłam matematykę i fizykę, myślałam więc o fizyce, astronomii. Ale jak mi ktoś powiedział, że jeśli pójdę na astronomię, to skończę przy lunecie w okularach, wystraszyłam się. No i wymyśliłam tę biologię jako dziedzinę niezwykle uniwersalną. Ciągnęło mnie do nauk podstawowych albo użytkowych. Potem pomyślałam, że ze względu na ojca nigdy w życiu nie pójdę na Uniwersytet Warszawski. O, do Krakowa pojedę! Ale też w tamtych czasach wyjeżdżać z domu do akademika tylko po to... Ojciec był prorektorem, gdy ja zdawałam. Męka dla mnie! Męka!

Anna Kraczkiewicz-Dowjat

Mieszkałam na Starym Mieście, gdzie było stare budownictwo z wielkimi piwnicami. Miałem w takiej piwnicy swoje własne laboratorium chemiczne. Przeprowadzałem w nim w miarę możliwości różne eksperymenty. A wtedy te możliwości były, bo na przykład przy ul. Foksal mieścił się sklep, gdzie można było kupić prawie wszystko, bez żadnych zezwoleń. Tak że rzeczywiście byłem w tym dobry. Na tyle dobry, że w sezonie letnim, w dziesiątej czy jedenastej klasie, często nauczycielka chemii mówiła: „Idź, Boguś, pograj

sobie w piłkę, bo będziesz przeszkadzał innym”. Natomiast tak naprawdę, to niespełnionym marzeniem mojego życia była chirurgia. Strasznie chciałem zostać chirurgiem, ale mama, która była dentystką, odwiodła mnie od tego. Powiedziała, że „w PRL-u lekarz to w ogóle nie jest dobry zawód”. A pewnie bym się na medycynę dostał, bo egzamin był bardzo podobny jak na chemię. Tyle że na chemii była chemia, fizyka i matematyka, a na medycynie chemia, fizyka i biologia. Ponieważ zdałem matematykę, to pewnie biologię też bym zdał, z całym szacunkiem dla nauk biologicznych. No, ale tak się złożyło, że poszedłem na chemię.

Na kilka dni przed obroną dyplomu zadzwonił promotor i poprosił o natychmiastowy kontakt. Następnego dnia dowiedziałem się, że pani prof. Kasprzyk poszukuje kogoś z Wydziału Chemii. To – jak się potem okazało – była taka akcja rozszerzenia badań biochemicznych, a Instytut Biochemii potrzebował do zespołu chemika, fizyka i lekarza. Lekarz medycyny – Andrzej Kubica – pracował przez pewien czas u pani prof. Bryły. Profesor Toczko zatrudnił fizyka – Andrzeja Kalińskiego. A ja ewentualnie miałem być tym chemikiem.

Pierwszą rozmowę z panią prof. Kasprzyk pamiętam bardzo dobrze i wspominam bardzo miło. Wszystkiego wysłuchała i powiedziała: „Panie Bogusiu, bardzo się cieszę, że pan jest z tą chemią obeznany, ale jak pan chce u mnie pracować, to teraz jeszcze się pan porządnie nauczy biochemii”. A miało to polegać na tym, że co tydzień czy dwa będę u niej zdawać kawałki materiału ze świeżo przetłumaczonego podręcznika Karlsona. Czteryście pięćdziesiąt stron tej książki podzieliła na części i musiałem wzór po wzorze, cykl po cyklu nauczyć się tego wszystkiego na pamięć. Nauczyłem się. No i tak zacząłem pracować na stanowisku asystenta u pani prof. Kasprzyk w Zakładzie Biochemii Roślin.

Bogusław Wilkomirski

Zastanawiając się nad kierunkiem studiów, w ogóle nie myślałem o biologii. Bardzo chciałem studiować fizykę, ale wiedziałem, że na Wydział Fizyki się nie dostanę. Rozważałem, co ze sobą zrobić. Odrzuciłem SGGW i SGPiS (teraz SGH) oraz zdecydowanie kierunki humanistyczne. W rezultacie drogą eliminacji została ta „nieszczęsna” biologia.

Był rok 1968 i biologia na UW była jeszcze częścią Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi. Na egzamin wstępny na ten właśnie Wydział poszedłem bez przygotowania. Zdałem całkiem nieźle. Miałem piątkę z pisemnej biologii, czwórkę z ustnej, cztery plus z chemii, czwórkę z języka, a jednak na studia się nie dostałem. Zabrakło mi jednego czy dwóch punktów.

Takich, co dobrze zdali egzamin wstępny, ale na studia biologiczne się nie dostali, zbierał wtedy pan prof. Roman Andrzejewski (wówczas docent)

z PAN-owskiego Zakładu Ekologii i przyjmował do siebie na coś w rodzaju wolontariatu. Przez rok pracowaliśmy w charakterze laborantów; dla naszej grupy prof. Andrzejewski zorganizował też nieodpłatne kursy z chemii i z biologii przygotowujące nas do ponownego ubiegania się o przyjęcie na studia w następnym roku. Te kursy z biologii prowadziła prof. Joanna Gliwicz (wówczas jeszcze doktor) – żona prof. Macieja Gliwicza. A że prowadziła je bardzo dobrze, niech świadczy fakt, że zdając po raz drugi na biologię (wtedy już na Wydział Biologii UW), dostałem już same piątki i zostałem przyjęty na studia. Mogę więc powiedzieć, że z Wydziałem Biologii związany jestem od samego początku jego istnienia – najpierw jako student (lata 1969–1974), później jako pracownik (od roku 1974 aż do teraz i, mam nadzieję, jeszcze trochę).

Moim pierwszym zadaniem w Zakładzie Ekologii PAN było uczestnictwo w nocnych obserwacjach dzików w Puszczy Kampinoskiej. Od zmroku do północy trzeba było siedzieć w lesie na tzw. ambonie i obserwować zachowania dzików przy karmniku z ziarnem owsa. Dla mnie, młodego człowieka, to było bardzo pasjonujące zajęcie. Potem jeździłem z ekipą naukowców na Mazury, gdzie na wyspie na jeziorze Bełdany prowadzone były badania nad ekologią gryzoni. Myślę, że tamta praca w Zakładzie Ekologii PAN przesądziła o tym, że zostałem ekologiem.

Michał Kozakiewicz

Moim głównym pomysłem na karierę zawodową zawsze było to, żeby być nauczycielem. Natomiast biologia zdarzyła się, można powiedzieć, z przypadku. Najpierw zostałam nauczycielem zawodu średnich szkół medycznych. Prowadziłam przedmioty zawodowe, no i po roku pracy miałam przyjemność zacząć studia właśnie na Wydziale Biologii w Akademii Rolniczo-Pedagogicznej w Siedlcach. Po studiach wróciłam do pracy nauczyciela w Liceum Medycznym, uczyłam biologii. Kiedy uzyskałam stopień doktora w Instytucie Rybactwa Śródlądowego w Olsztynie, zmieniłam pracę i zostałam wykładowczynią ratownictwa medycznego w Studium Wojskowym Uniwersytetu Warszawskiego. W procesie transformacji w Polsce, w roku akademickim 1990/1991, zlikwidowano Studium Wojskowe na UW.

Ligia Tuszyńska

Kiedy miałam 5 lat i byłam na wakacjach, moja ukochana Ciocia Ira (siostra Mamy) poświęcała mi wiele czasu i uwagi. Sama była nauczycielką biologii. Była dla mnie najukochańsza, najpiękniejsza, najmądrzejsza i też

często mi matkowała. Pewnego słonecznego dnia, gdy leżałam na trawie, Ciocia pokazała mi kwiat dyni. Dla mnie był to zachwycający widok! Kwiat był WIELKI, OGROMNY, GIGANTYCZNY i... mocno pomarańczowy i... otwierał na mnie ogromną paszczę, a w dodatku przylatywały do niej pszczoły! To było dla mnie fascynujące – bo pszczoły... brzęczały – co wcale nie było oczywiste dla dziewczynki wychowywanej w mieście. Ciocia pokazała mi, jak pszczoły przylatują do tego kwiatu, pokazała mi pręciki i słupek. Później zobaczyłam, jak pszczoły, obładowane pyłkiem, lecą do następnego kwiatu. FANTASTYCZNE!!! Było to dla mnie tak duże przeżycie, że do dziś wszystko dokładnie pamiętam. Od tego momentu zaczęła się moja przyjaźń z biologią.

Mój dom rodzinny był pełen muzyki. Moja Mama była nauczycielką gry na fortepianie i zarówno ja, jak i mój brat ukończyliśmy szkoły muzyczne. Ale przy ostatecznych wyborach, tych najważniejszych, czyli już po maturze, zdecydowanie zwyciężyła biologia – jako moja pierwsza miłość. Tak też zostało do dziś.

Małgorzata Wierzbicka

Miałem różne pomysły we wczesnej młodości, ale nigdy nie myślałem o biologii. Myślałem natomiast o dziennikarstwie. U mnie w rodzinie były dziennikarskie tradycje. Ojciec pomagał mi często w pisaniu wypracowań, więc nauczyłem się od niego, jak to robić, i miałem w zasadzie studiować polonistykę. Ale moja starsza o pięć lat siostra poszła na Wydział Biologii. Byłem w klasie przedmaturalnej i przyjechałem do niej do pracowni na Nowym Świecie. I tak mi się spodobały te probówki i pipety, że rzeczywiście coś mi się zmieniło w rozumie. Zacząłem poważnie myśleć o biologii. Czyli poszedłem w ślady siostry.

Jacek Bielecki

Biologia to nie był mój jedyny pomysł na życie. Na początku w liceum byłam nastawiona raczej humanistycznie, przez jakiś czas myślałam nawet o studiach polonistycznych. Natomiast w ostatnich dwóch klasach miałam nauczycielkę, która wspaniale prowadziła lekcje i potrafiła zaciekawić biologią do tego stopnia, że z mojej klasy aż pięć osób zdecydowało się zdawać na Wydział Biologii.

Anna Kozakiewicz

Biologią interesowałam się od wczesnego dzieciństwa, ale nie myślałam o studiach biologicznych, tylko o medycznych. Kiedy jednak zaczęłam zgłębiać biologię, stwierdziłam, że to właściwy kierunek dla mnie. Tymczasem rodzicom szalenie zależało, żebym została lekarzem. Pod ich wpływem złożyłam papiery na Akademię Medyczną, jednak w ostatniej chwili doszłam do wniosku, że to moje życie, moje zainteresowania. Odebrałam dokumenty z Akademii i zaniósłam je na biologię. A tu okazało się, że jest już po terminie. W dziekanacie powiedziano mi, że jeśli pan prodziekan prof. Bernard Bezubik się zgodzi, przyjmą moje papiery. Poszłam więc do prof. Bezubika, niesłychanie miłego, bardzo wyrozumiałego człowieka. Wyraził zgodę, żartując: „Moja córka właśnie zdaje na Akademię Medyczną, a więc będzie miała mniejszą konkurencję”. I tak znalazłam się na biologii.

Elżbieta Romanowska

Za kluczowy dla rozwoju moich zainteresowań przyrodniczych można uznać rok 1959, gdy jako siedmioletnie pacholę przeczytałem sobie powolutku książkę E. Łukiny *Ptasie miasteczko* – zapis całorocznych obserwacji ornitologicznych w podmoskiewskiej stacji obrączkowania ptaków. Od tego czasu mój Ojciec – dziennikarz zajmujący się popularyzacją nauki i techniki – podsycił moje zainteresowania, kupując, jakże nieliczne wówczas, w latach 60., książki przyrodnicze, między innymi o motylach, pająkach czy ptakach. Wiele z tych książek zabierałem potem co roku na pozamiejskie wakacje. Hodując i obserwując różne zwierzęta, konfrontowałem teorię z praktyką.

W owym czasie moimi guru byli piszący wspaniałe książki Jan Żabiński i prof. Jan Sokołowski. Akurat w latach 1962–1963 w Polsce zaczęły ukazywać się również pierwsze tomy *Życia zwierząt* Brehma. Czytając o kolejnych gatunkach, zaznaczałem kropkami w spisie treści zwierzęta poznane i zapamiętane. A w końcu stwierdziłem, że przecież sam mogę sobie książki pisać! Powstały cztery zeszyty pisanych najpierw atramentem, a potem na maszynie kompilacji różnych zoologicznych faktów. Były one – wzorem książek prof. Sokołowskiego – bogato ilustrowane własnoręcznymi rysunkami.

Naukę biologii w liceum wspominam z mieszanymi uczuciami. Na początku roku szkolnego nauczycielka zapytała: „Kto na medycynę? Kto na biologię?”. Na zajęciach trzeba było bardzo uważać. Gdy żaden z uczniów z zadaniem pytaniem sobie nie radził, trafiało ono do kolegi – kandydata na medycynę, a gdy i on miał trudności – do mnie. Metoda była mobilizująca, acz niezwykle stresująca – odbierała przyjemność delektowania się spontanicznie zdobywaną wiedzą z ukochanego przedmiotu. W trzeciej klasie zacząłem pisać do gazet pierwsze artykuły popularnonaukowe o tematyce

przyrodniczej. Pojawiła się też pierwsza quasi-zawodowa satysfakcja, gdy nauczycielka czytała je potem całej klasie. Z tego też okresu pochodził mój pierwszy artykuł na temat, który przebił się do publicznej debaty właściwie dopiero teraz – *Historija okrutna acz prawdziwa o smogu, któren miasta dewastował*.

Krzysztof Dmowski

Od zamierzchłych czasów interesowałam się różnymi zwierzątkami. Zawsze było u nas w domu sporo tego zwierzyńca. Jednak przełomem, jeśli chodzi o konkretyzację planów wyboru przyszłego zawodu, było dla mnie spotkanie z dr. Janem Żabińskim. On mnie w jakimś sensie pokierował ku zoologii, bo prowadził przyrodnicze pogadanki oraz konkursy radiowe, w których z zapalem brałam udział. Kiedyś taki konkurs odbywał się w Sali Kongresowej, a dr Żabiński, kiedy odpowiedziałam na wszystkie pytania, bardzo zainteresował się moją skromną osobą. Moich konkurentów w tym konkursie uderzyło to, że jedynie do mnie, trzynastoletniej smarkuli, sławny pan doktor z szacunkiem zwracał się „proszę pani”. A ja wtedy szalałam na punkcie wszystkich nowości przyrodniczych i właśnie odkryłam tajemniczą dziedzinę – ekologię.

Anna Kalinowska

Mimo że wzrastałam w atmosferze zajęć terenowych i wycieczek przyrodniczych, niemalże do matury chciałam pójść na filologię romańską. Bardzo duży wpływ na to, że ostatecznie znalazłam się na biologii, miała moja nauczycielka tego przedmiotu w liceum im. Żmichowskiej.

Agnieszka Mostowska

Kiedy kończyłam szkołę podstawową, interesowałam się szczególnie geografią. Natomiast w szkole średniej miałam wspaniałą nauczycielkę biologii – panią prof. Marię Niemierko. Jej pasja i zaangażowanie wpłynęły ostatecznie na mój wybór. Zostałam geografem roślin i od lat próbuję łączyć obie dziedziny.

Czy dzisiaj wybrałabym podobnie? Myślę, że tak. To był niewątpliwie mój najważniejszy wybór w życiu zawodowym. Na drugim miejscu jest natomiast historia sztuki – tu jestem tylko amatorem. Może na emeryturze będę mogła poświęcić jej więcej czasu.

Barbara Sudnik-Wójcikowska

Decyzję o studiowaniu nauk biologicznych, choć zabrzmiała to trochę banalnie, podjęłam jeszcze w podstawówce. Właściwie to tata zainteresował mnie biologią, a później zainspirował do jej studiowania. Był z wykształcenia leśnikiem, kończył SGGW jako absolwent pierwszego powojennego rocznika. Pokazywał mi swoje zeszyty z zajęć laboratoryjnych z pięknymi szkicami owadów, które sam wykonał, i próbował zainteresować genetyką. Jako licealistka wzięłam udział w – zorganizowanej po raz pierwszy – olimpiadzie biologicznej i znalazłam się w gronie finalistów, dzięki czemu byłam zwolniona z egzaminu kierunkowego na Wydział Biologii UW. Na studiach zafascynował mnie świat bakterii, ale wtedy nie przypuszczałam, że całe moje zawodowe życie będzie związane z mikrobiologią.

Katarzyna Brzostek

Studia biologiczne były drugim moim wyborem. Chciałam zdawać na medycynę, ale w ostatniej chwili zdecydowałam się na biologię. Dlaczego? Nie wiem do tej pory. Może dlatego, że coraz bardziej modna stawała się ekologia i nagle odkryłam, że to wspaniała dziedzina. Na trzecim roku studiów zapisałam się nawet do Zakładu Ekologii, żeby robić tam pracę magisterską. Tymczasem jedna z koleżanek zaczęła mnie namawiać na Zakład Parazytologii. Argumentowała, że tam też są badania środowiskowe, robiła je pani dr Anna Puciłowska, która badała pasożyty ryb. Skierowałam się więc na parazytologię, gdzie odezwało się także moje zamiłowanie do medycyny. Gdy przyjechali ze Stanów pan prof. Mirosław Stankiewicz (wtedy doktor habilitowany) i pan prof. Bezubik, którzy zamierzali wprowadzić immunoparazytologię, ja się tym zainteresowałam i – jak to się mówi – połknęłam bakcyła. I przy tej immunoparazytologii, z takim wydźwiękiem medycznym, tkwię do dzisiaj. I nie żałuję wyboru.

Maria Doligalska

Od wczesnej młodości myślałam o biologii, a właściwie o botanice. Od dziecka bowiem interesowałam się roślinami. Przez wiele lat spędzałam z rodzicami wakacje w Zakopanem, chodziliśmy po górach. Zbierałam rośliny i suszyłam je. W tym czasie zrobiłam swój pierwszy zielnik. Nie wiedziałam, że jest to niezgodne z prawem, ponieważ rośliny były zbierane w Parku Narodowym. W szkole średniej także interesowałam się roślinami i byłam zdecydowana, aby w przyszłości zdawać na studia na Wydział Biologii Uniwersytetu Warszawskiego. Moja mama była temu przeciwna,

ponieważ uważała, że to jest mało prestiżowy zawód. Chciała, abym została lekarzem lub inżynierem. Szczęśliwie jej nie posłuchałam. W 1971 roku uzyskałam maturę w liceum im. Rejtana w Warszawie i złożyłam papiery na Wydział Biologii UW.

Hanna Werblan-Jakubiec

To było złożenie dwóch dziecięcych pasji. Pierwsza, zupełnie oczywista: zwierzątka, roślinki, w ogóle przyroda. A potem, zupełnie nie wiem dlaczego, gdzieś tak około jedenastego roku życia, zacząłem interesować się chemią. Pamiętam, były bardzo fajne książki, choćby *Między zabawą a chemią* itd. W kierunku tej chemii, na ile mi ówczesny intelekt pozwalał, się kształciłem. I to kształciłem zdecydowanie ponad poziom moich rówieśników.

W pewnym momencie uznałem, że chemia tak, ale w kontekście biologicznym. Wobec tego oczywiście biologia molekularna. Jestem o rok młodszy niż odkrycie struktury DNA, ale kiedy zaczynałem studia, kierunek biologia molekularna był bardzo świeży. Ponieważ byłem zdolny, ale leniwy, uznałem, że opłaca mi się zainwestować w olimpiady, a nie w zdawanie egzaminu. Bo wtedy były egzaminy wstępne, wydaje mi się, że trudne. Przez całe więc liceum robiłem olimpiadę chemiczną, stopniowo z coraz większym sukcesem, choć nigdy z wielkim. A w czwartej klasie zrobiłem olimpiadę biologiczną, no i miałem wolny wstęp na Wydział Biologii.

Studia zacząłem w 1973 roku. Był wtedy osobny nabór na tzw. kierunek nauczycielski. Wszyscy uważali, że to są trochę gorsi studenci. Znaczący ci, co gorzej zdali, powiedzmy sobie szczerze, bo akurat znam kilku absolwentów i wcale gorsi nie byli. Była chyba biologia jako całość i osobny nabór od zerowego roku na biologię molekularną, która uchodziła wtedy za bardzo elitarny kierunek. Nie było nawet dwudziestu osób na roku.

Jan Fronk

Biologia była w czasach szkolnych jednym z moich wielu zainteresowań, bardzo za młodu rozległych. Wydawała mi się rozsądnym kompromisem pomiędzy zamiłowaniem do nauk ścisłych i zainteresowaniami humanistycznymi, co do których wierzyłam, że uda mi się je pielęgnować niezależnie od wyboru kierunku studiów. Z ostateczną decyzją co do kierunku studiów zmagalam się bardzo długo. Poważnie myślałam o medycynie, ale najwyraźniej nie byłam dość dojrzała czy wystarczająco zdeterminowana, by wybrać studia medyczne. Tęgo żałuję do dzisiaj.

Joanna Pijanowska

Chyba zawsze wiedziałem, że chcę być biologiem. Rodzice wcale nie byli tym zachwyceni. Mama by pewnie wolała, żebym poszedł na Akademię Medyczną, ale ja zdecydowanie chciałem pójść na biologię, chociaż specjalności swojej nie miałem.

Rodzice poznali się na studiach w Szkole Głównej, dlatego Szkoła Główna to dla mnie takie sentymentalne miejsce. Ja z żoną też się poznaliśmy na studiach, co prawda nie w Szkole Głównej, tylko podczas praktyk robotniczych w Zoo.

Marek Maleszewski

Zupełnie nie wiedziałam, czy mam pójść na biologię, czy wybrać studia humanistyczne. I tak było aż do matury. Na maturze dostałam piątki zarówno z polskiego, jak i z biologii. Byłam tym zaskoczona, ponieważ nie należałam do bardzo dobrych uczniów. Ostatecznie postanowiłam, że pójde na biologię wyłącznie dlatego, że jest bardziej konkretna. Zastanawiałam się nad filozofią i socjologią. Pomyślałam jednak, że wybiorę konkret i materię.

W szkole byłam w klasie biologiczno-chemicznej i miałam bardzo dobrą nauczycielkę biologii – panią Małgorzatę Panabażys. Myślę, że to właśnie jej zawdzięczam pewną otwartość w myśleniu, brak schematyczności. Po maturze uczęszczałam na zajęcia przygotowawcze na naszym Wydziale, które prowadził prof. Bogusław Wilkomirski. Chodził w białym swetrze z golfem i strasznie podobał się dziewczynom. Był uśmiechnięty, na luzie, zachwycający. No i tam poznałam moich pierwszych kolegów i koleżanki, z którymi dosyć długo miałam potem kontakt w czasie studiów. Był wśród nich na przykład Maciek Romański, który teraz pracuje w Wigierskim Parku Narodowym.

Ten kurs to było moje pierwsze zetknięcie z Wydziałem. Odbывał się w Sali Śląskiej na Krakowskim Przedmieściu. A potem przyszedł czas egzaminu – kilkoro kandydatów na jedno miejsce, egzaminy testowe w Auditorium Maximum. I dostałam dwójkę z biologii, co spowodowało, że w ramach egzaminu ustnego byłam odpytywana na końcu, ostatniego dnia. Zamyśl dziekanatu studenckiego i komisji rekrutacyjnej był taki, że osoby, które bardzo źle zdają egzamin pisemny, trzeba zniechęcić i one zasadniczo powinny odpaść. Odpytywanie najgorszych na końcu było niejako karą i ostrzeżeniem, że szanse są nikłe.

Egzamin ustny odbywał się w Ogrodzie Botanicznym, w sali dydaktycznej Zakładu Systematyki i Geografii Roślin. Miałam dosyć dużo czasu między egzaminem pisemnym i ustnym i wtedy chyba po raz pierwszy w życiu

zaczęłam się tak naprawdę porządnie uczyć. Weszłam do sali, naprzeciwko mnie siedziała nieznana mi jeszcze wtedy pani dr Magdalena Borowik, zoolog. Nawiązałyśmy natychmiast kontakt wzrokowy i odpowiadałam na pytania, cały czas patrząc na nią. Jej wzrok, jej uśmiech, jej energia dodały mi animuszu i zdałam ten egzamin na dwie piątki. W efekcie wylądowałam na dość wysokiej pozycji.

Marta Wrzosek



W BIAŁOWIEŻY * 50-5 VI/VII 1975 r "ŚRODOWISKO" W BIAŁOWIEŻY rocznik 1975.



JESTEŚMY W REZERWACIE
NA ZAJĘCIACH....

UW

BIOLOGIA
II rok!



PARĘ OSÓB POCZUŁO GRANDZIWE
EKOLOGICZNE ZAINTERESOWANIE :



JA DEJE OZNACZAŁA
ZAGĘSZCZENIE POPULACJI
Vaccinium myrtillus I
ZBADAM ZALEŻNOŚĆ
MIĘDZY ZAGĘSZCZENIEM
POPULACJI A JAKOŚCIĄ
OWOCÓW...



NATOMIAST TEMATEM MOJEJ PRACY
BĘDZIE FREKWENCJA TRAWKI
ZUBRÓWKI!

LATA STUDENCKIE

Byłem zafascynowany perspektywą studiów biologicznych. Wszystko wydawało mi się ciekawe. Studia były o tyle liberalne, że można było nie zdawać żadnych egzaminów. Po pierwszym roku miałem zdane tylko dwa egzaminy – u księdza prof. Szulety z botaniki i u prof. Pniewskiego (wówczas magistra) z matematyki. Na drugim roku zdałem egzamin z zoologii ogólnej u prof. Gieysztorą i po niewielkiej przerwie z genetyki u prof. Gajewskiego.

Na roku było nas około 20, może 25 osób. Połowa z tego to były „panienki z dobrych domów”, które nie dostały się na stomatologię i wobec tego zapisały się na biologię. Uniwersytet dawał im gwarancję, że po roku wysłuchania wykładów na biologii dostaną się na stomatologię.

Miałem zajęcia z chemii, fizyki, biochemii, chemii fizycznej, fizjologii roślin, fizjologii zwierząt, anatomii porównawczej. Egzamin z anatomii zdałem u prof. Jaczewskiego. On mnie mocno zwalczał, bo nie przyznawałem się do wiary w Łysenkę, a Jaczewski był zawsze szalenie prawomyślny. Gdyby nie prof. Kraczkiewicz, to bym nie zagrażał miejsca na Uniwersytecie.

Pod koniec drugiego roku studiów ja i jedna z moich koleżanek – Marta Ciświcka – złapaliśmy po wykładzie prof. Kraczkiewicza i bardzo grzecznie go poprosiliśmy, żeby nas przyjął do pracowni zwanej pracownią półdzienną. I myśmy tam rozpoczęli studia cytologiczne. Była pani Górska jako jedyna jego asystentka. Studiowała i kończyła studia chyba jeszcze przed wojną. Miała magisterium i wprowadzała nas w różne arkana technologiczne.

W 1949 roku zostałem asystentem prof. Kraczkiewicza. Fakt bycia asystentem to była szalona nobilitacja. To było jak dostąpienie jakiegoś wyjątkowego wyróżnienia, traktowało się to bardzo serio.

A z odczynnikami było tak: dostawałem tzw. pogotowie kasowe, czyli około 20 złotych w gotówce, chodziłem po mieście i kupowałem to, co mogłem kupić. W centrali odczynników chemicznych nabywałem odczynniki. Jak się zobaczyło w jakimś sklepie albo komisie mikroskop, to się go kupowało. Wydatki notowało się w zeszycie i po wydaniu wszystkiego dostawało się następną pensję.

Ksiądz profesor Szuleta nie był jedynym księdzem na Wydziale. Był jeszcze ksiądz prof. Bolesław Rosiński, kierownik Zakładu Antropologii.

Bohdan Matuszewski

W 1949 roku przystąpiłem do egzaminów na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym UW. Dobre duchy udzieliły mi skutecznego wsparcia. Znalazłem swoje nazwisko na liście przyjętych. Po odbiór indeksu trzeba się było zgłosić w sekretariacie. Oczywiście pędzę tam. Przyjmuje mnie młoda pani, sprawdza nazwisko: „Pan Jerzy Czerski. Proszę pana, ale ja mam tu

zastrzeżenie, że mogę panu wydać indeks pod warunkiem, że pan dostarczy świadectwo moralności”.

Jadę na Żoliborz do Starostwa. Przyjmuje mnie znów jakaś młoda pani. Mówię, o co chodzi, ona zapisuje nazwisko i mówi: „Niech pan przyjdzie za tydzień. Sądzę, że będziemy mieli”. Zgłaszam się po tygodniu. „Proszę pana, nie mogę panu wydać”. „Dlaczego?”. „Dlatego, że jest to decyzja UB [Urzędu Bezpieczeństwa – przyp. red.] na ulicy Felińskiego”. Zgłaszam się do UB. Przyjmuje mnie jakiś młody człowiek. Tłumaczę mu. „Proszę pana, chętnie wydamy panu świadectwo moralności, ale pragnęlibyśmy, żeby pan się do nas zapisał”. „To bardzo ważna decyzja. Muszę się zastanowić”. Wyszedłem i myślę sobie – co ja mam teraz zrobić?

Leczę z powrotem na Uniwersytet do tej pani, która ze mną rozmawiała, i opowiadam, jak moja sprawa wygląda. A ona na to: „Nie mogę wydać indeksu, bo tu jest zaznaczone, że muszę mieć świadectwo moralności”. Z sąsiedniego pokoju wychodzi jakiś pan i mówi do mnie: „Proszę iść do Sądów na Leszno i poprosić o świadectwo niekaralności”. Idę do Sądów i wypełniam ankietę. Po tygodniu mogę się zgłosić po odbiór świadectwa. W wyznaczonym czasie dostaję świadectwo niekaralności. Przynoszę je na Uniwersytet, ale słyszę: „Przecież to świadectwo niekaralności, a ja panu wielokrotnie mówiłam, że to ma być świadectwo moralności”. Znów wchodzi ten sam pan, okazuje się, że to prof. Kemula, dziekan Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, i zwraca się do tej pani: „Proszę wydać panu Czerskiemu indeks, bo jeżeli jest niekarany, to jest moralny”.

Pierwsze lata studiów były wyjątkowo trudne. Brak było podstawowej aparatury, odczynników i podręczników. Profesor Szuleta niezbędne do ćwiczeń mikroskopu kupował z wózków na ulicy. Szkiełka podstawowe jeszcze były, ale szkiełek przykrywkowych już nie było, bo to import. Nie mówiąc o odczynnikach.

Bardzo trudnym problemem były mieszkania. W pomieszczeniach na parterze Szkoły Głównej mieszkał prof. Tarwid oraz dr Neuman. Ja przez pewien czas mieszkałem w małym pomieszczeniu, powstałym przez zamknięcie drzwiami końca korytarza.

Studia były dwuetapowe. Pierwszy etap był trzyletni i po tych trzech latach większość kończących studia wysyłano do pracy, przeważnie jako nauczycieli. Mniej więcej jedna trzecia studentów zostawała na dalsze, dwuletnie studia magisterskie. Ta ostatnia grupa podlegała prof. Bassalikowi. Na zebraniu seminaryjnym profesor wybrał mnie jako pierwszego do wygłoszenia referatu. Po temat referatu miałem się zgłosić do dr. Fiuczka. Zgłosiłem się i dr Fiuczek daje mi książkę w języku niemieckim, którego nie znałem. Jej treścią były rozważania na temat energetyki procesów enzymatycznych. Razem z koleżanką Czajkowską, która znała niemiecki, doszliśmy do wniosku, że książka jest dla nas zbyt trudna. Było w niej więcej wzorów i rozważań matematycznych niż treści. W rezultacie postanowiliśmy omówić tylko streszczenie. Nadchodzi czas seminarium. Profesor Bassalik z moimi

kolegami siedzą w ławkach, a ja z przyspieszonym biciem serca i duszą na ramieniu wchodzę na katedrę. Bardzo wolno, spoglądając na profesora, który coraz bardziej czerwienieje, czytam przygotowany referat. Skończyłem, prof. Bassalik wstaje i mówi: „Proszę pana, my rzeczywiście bardzo wiele jeszcze spraw w biologii nie rozumiemy, ale przecież są zagadnienia, które rozumiemy, a z pańskiego wykładu wynika, że my nic nie wiemy. Niech mi pan da tę książkę”. Upływają dwa, trzy, może cztery tygodnie. Profesor Bassalik woła mnie do gabinetu i mówi: „Panie Jurku, ja chciałem pana przeprosić. To jest książka, którą może zrozumieć tylko matematyk. Ja z tego też nic nie rozumiem”.

Jednym z egzaminów, którego się wszyscy lękaliśmy, była fizyka. Do egzaminu prof. Pieńkowski wyznaczał jedną, a najwyżej dwie osoby, i to w godzinach bardzo wczesnych. Mnie profesor wyznaczył egzamin na godzinę piątą rano, w gmachu przy ul. Hożej. Czekam w przedpokoju, patrzę, wchodzi profesor w piżamie i mówi: „Proszę pana, przepraszam, zasnąłem. Niech pan zaczeka, niech się umyję”. Egzamin trwał dość długo. Dostałem czwórkę. Wówczas wyniki egzaminu wypisywano na blankiecie Zakładu Fizyki Doświadczalnej UW.

Jerzy Czernski

Studia zaczęłam w 1949 roku i to był pierwszy rocznik, który miał studia dwustopniowe. Pierwszy stopień to były trzy lata i dostawało się absolutorium i nakaz pracy do szkoły, bo brakowało nauczycieli. A osoby, które miały najlepsze wyniki, zostawały na studia magisterskie, z tym że kierunki specjalizacji lokalizowano w różnych uniwersytetach. Na przykład fizjologia roślin była na Uniwersytecie Warszawskim, a systematyka roślin w Krakowie.

Na pierwszym roku było nas chyba około 100 osób. Nie mieliśmy żadnych podręczników. Uczyliśmy się z własnych notatek. Dla mnie nie było problemem uczęszczanie na wszystkie wykłady, więc moje notatki krążyły.

Była surowa dyscyplina. Podzielono nas na grupy, każda grupa miała starostę. Starosta był zobowiązany sprawdzać listę obecności. Obecność na wykładach była obowiązkowa. Działała Komisja Dyscyplinarna, ale była bardzo łagodna, wszystkich usprawiedliwiała. Wcielono mnie do tej Komisji Dyscyplinarnej i męczyłam się w niej trzy lata. Jej członkami byli prof. Wincenty Lesław Wiśniewski – dziekan, prof. Kazimierz Tarwid – wtedy docent, i ja jako przedstawiciel młodzieży. Docent Tarwid i prof. Wiśniewski orientowali się, że studenci czasami zarobkują, czasami niektórzy studiują równolegle po cichu medycynę, ale na to wszystko przyomykało się oczy. A moja rola polegała tylko na protokołowaniu obrad komisji. O ile pamiętam, nikt nie został relegowany z uczelni. Poza jedną osobą, moją koleżanką z akademika. Nie wiem, z jakich powodów, bo to działo się poza Komisją Dyscyplinarną.

Po pierwszym semestrze, mimo dobrych wyników, po prostu skreślono ją z listy studentów. Miała widocznie jakąś „nieprawomyślną” przeszłość.

Mieliśmy bardzo dużo zajęć, bo w tych pierwszych trzech latach starano się skomasować jak najwięcej wiadomości, żeby ci przyszli nauczyciele czegoś się nauczyli. Na kursie magisterskim było już dużo przyjemniej, lżej.

Po trzecim roku były obowiązkowe praktyki, kandydatów przydziałała Komisja Dyscyplinarna. Wyjeżdżało się do majątków doświadczalnych Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin czy wręcz do PGR-ów. Siedziałam cicho, a Komisja mówi: „Pani oczywiście chce być w Warszawie, więc będzie pani w zielarni na Krakowskim Przedmieściu”. Właśnie tam dostałam praktykę, czego nie mogłam przeboleć, bo tyle osób chciało zostać w Warszawie, a ja właśnie chciałam wyjechać na wieś, ale krępowałam się występować w swojej sprawie.

Po pierwszym etapie studiów zostałam zakwalifikowana na systematykę roślin do Krakowa, ale tam nie pojechałam. Dzięki pracy w Komisji Dyscyplinarnej miałam dosyć bliskie kontakty z doc. Tarwidem. On mi tłumaczył, że systematyka roślin nie ma przyszłości, i pytał, dlaczego ja się na to decyduję. Odpowiedziałam, że miałam w ogóle inny zamiar, bo zdawałam na biologię, licząc na możliwość pracy w hodowli i genetyce roślin. Docent Tarwid na to: „Jeśli tak, to mam dla pani propozycję, bo przy SGGW powstaje jednostka PAN-owska, która będzie się zajmowała genetyką. I gdyby byli zainteresowani pani udziałem, załatwilibyśmy pani studia magisterskie na fizjologii roślin na UW”. W tej nowo powstającej placówce PAN doc. Wacław Gajewski zorganizował Pracownię Systematyki Eksperymentalnej, bo sam zajmował się taksonomią rodzaju *Geum*. A ta nasza systematyka eksperymentalna polegała na tym, że się krzyżowało różne gatunki w obrębie rodzaju i patrzyło, co jest bliżej spokrewnione.

Zofia Świetlińska

Profesorów mieliśmy znakomitych, można powiedzieć, stawka przedwojenna, wojenna, powojenna.

Egzaminy to nie było takie coś, szybko, szybko. Godzinę się przesiedziało z profesorem, przepytał od brzegu do brzegu, na rozmaite tematy. Najtrudniejszy egzamin w tamtym czasie to była paleontologia. Wszystko się jednak udało, egzaminy się udały, nawet ten egzamin. Był zresztą dla mnie przepustką do pracy na Uniwersytecie, bo jak się prof. Jaczewski dowiedział, że jest taka dama, co zdała na piątkę, a to była dopiero czwarta, piąta czy szósta piątka po wojnie, to zaproponował: „Może by pani chciała u mnie pracować?”.

Od czasu do czasu u kogoś w domu się spotkaliśmy, ale takiego życia towarzyskiego jak teraz, że idą sobie, gawędzą, gadają przy piwku, przy

winie, to nie, nic takiego nie było. Życie było znacznie trudniejsze. Na Uniwersytecie działało przedszkole, chodziła do niego moja córka. Śmieję się, że bardzo wcześnie zaczęła studia. I chyba skutecznie, bo teraz sama jest profesorem.

W 1957 roku przyjechał do Warszawy szwedzki Czerwony Krzyż. I było napisane, żeby studenci szli się prześwietlić, no to poszłam. I dostałam wynik w kolorze czerwonym, z natychmiastowym obowiązkiem pojawienia się w szpitalu, bo okazało się, że mam gruźlicę. Piękną robotę zrobili ci Szwedzi. Tylko że potem były cztery lata kuracji i oglądanie Tatr z sanatoryjnej werandy. No i bieda, a wspomagali nas, chorych amerykańscy studenci z Ohio Wesleyan University, podsyłając nam paki z żywnością.

Plac Bankowy to była jedna wielka ruina, a dalej w stronę Żoliborza to już nie ruiny, ale pagórki z gruzu, absolutna cisza i żadnego życia. Przychodziliśmy na ten plac, podjeżdżały wagoniki, myśmy wrzucali do tych wagoników gruz i cegły. To był taki sznurek – podaj cegłę. Tą metodą pracowało się w wolne dni. Takie mniej więcej mieliśmy rozrywki. Muszę dodać, że ruiny Warszawy były dla mnie szokiem, bo i Wilno, z którego pochodzę, i Toruń, do którego trafiłam po wojnie, były tylko trochę albo wcale nietknięte przez działania wojenne. A tu same ruiny.

Katarzyna Niewiadomska

Kiedy zaczynałem studia w 1948 roku, był to jeszcze Wydział Matematyczno-Przyrodniczy. Zajęcia mieliśmy rozrzucone po całej Warszawie. Część na Krakowskim Przedmieściu w Gmachu Pomuzealnym, część w Szkole Głównej, niektóre na ulicy Pasteura, anatomię w podziemiach zburzonego budynku na rogu Oczki i Chałubińskiego, część w Ogrodzie Botanicznym. Jeździło się autobusem z Krakowskiego Przedmieścia. Początkowo autobus nie chodził Nowym Światem, bo jeszcze były gruzy, ale później już tamtędy kursował, z tym że kawałek trzeba było dojść i szło się między gruzami. Po drodze do Obserwatorium Astronomicznego był park Ujazdowski, a przed nim spacerowały matki z wózkami, śmialiśmy się, że obserwujemy przyrost naturalny.

Studia były trymestralne (trwały chyba 10 trymestrów, ale większość studentów pracowała zarobkowo, więc między trymestrami brała niekiedy kilkumiesięczne przerwy) i międzywydziałowe. Zależnie od kierunku specjalizacji studenci antropologii wybierali odpowiednie przedmioty, tak więc poza zajęciami biologicznymi miałem je na Wydziale Lekarskim (wówczas był na UW, np. dwuletnia anatomia prawidłowa), niektóre na Humanistycznym (np. prehistoria sztuki, etnologia), ale także na Weterynaryjnym (anatomia kręgowców). Miałem również zajęcia z hematologii w Pracowni Rh w Państwowym Zakładzie Higieny, w wyniku których prowadziłem jako

wolontariusz ćwiczenia z hematologii dla moich (starszych!) kolegów na Wydziale Biologii UW.

Początkowo należałem do Bratniej Pomocy Studentów Uniwersytetu Warszawskiego, potem do Zrzeszenia Studentów Polskich. W ZSP byłem przewodniczącym Zarządu Wydziałowego i jako taki wchodziłem w skład Rady Wydziału.

Kierownikiem Zakładu Cytologii był prof. Kraczkiewicz. Jego Zakład był na najwyższym piętrze w Gmachu Pomuzealnym. Niżej był Zakład Mikrobiologii prowadzony przez dr. Wisłockiego (męża Michaliny, autorki *Sztuki kochania*), a na dole antropologia, którą kierował ksiądz prof. Bolesław Rosiński, a asystentem był pierwszy magister antropologii na UW Jerzy Dąbski. Byłem drugim z kolei magistrem, trzecim był Andrzej Wierciński.

Gdy wchodziłem w skład Rady Wydziału (wówczas już Biologii i Nauk o Ziemi), zdarzały się zabawne sytuacje, gdy dwóch półgłuchych profesorów rozmawiało ze sobą przez tutkę i nie miało raczej kontaktu z tematem obrad, gdy więc dochodziło do głosowania, jeden z nich zwracał się do dziekana: „Pragniemy z przekonaniem zagłosować, więc prosimy o zreasumowanie dotychczasowych stanowisk”.

W tym czasie na Wydziale Biologii było dwóch profesorów księży, botanik Szuleta i antropolog Rosiński. W jakiejś gazecie w Moskwie („Prawda”?) ukazał się artykuł, że na Uniwersytecie Warszawskim pracują księża, i Rada Wydziału obradowała nad ich wyeliminowaniem, wówczas nawet młodzieżowi przedstawiciele partii i ZMP (chyba Estera Krajewska i Janka Woroszyńska) głosowali przeciwko ich zwolnieniu.

Napoleon Wolański

Na pierwszym roku były bardzo dobrze prowadzone pracownie w Zakładzie Anatomii i Cytologii Roślin. Wykłady miał ksiądz prof. Szuleta. Właściwie on się tymi biednymi studentami trochę opiekował, bo byliśmy jak taka gromada zagubionej młodzieży, która nie wiedziała, co ze sobą ma robić. To był rok '48.

Na drugim roku trafiłam do Zakładu Systematyki i Geografii Roślin. Ci, którzy wybrali kierunek botaniczny, mieli na drugim roku systematykę roślin, a ci na kierunku zoologicznym mieli systematykę zwierząt.

Janina Zielińska

Pracę magisterską zrobiłem u pana prof. Lampego, zajmowałem się barwnikami używanymi do fotografii.

A potem poznałem panią doc. Chmielewską. I byłem pod wielkim wrażeniem jej seminariów. Wiedziałem, że to będzie TO, choć nie używało się jeszcze słowa „biochemia”. Udało mi się dostać do zespołu pani doc. Chmielewskiej, gdzie pracowałem jako chemik, robiąc jakieś analogi witaminy K.

Stanisław Lewak

Moje lata studenckie (1950–1953) przypadły na czas najgorszy – „władza ludowa” już była w pełni „utrwalona”, a jeszcze żył Stalin. Wszystko działało się przy przemożnej obecności ZMP, czyli Związku Młodzieży Polskiej, komunistycznej przybudówki partii, najpierw PPR, potem PZPR. Jeżeli ktoś się wybierał na studia, musiał przedstawić opinię ZMP ze szkoły. Przynależność do ZMP była niemal powszechna. W mojej klasie było nas tylko dwóch nienależących do ZMP. Jestem z tego bardziej dumny niż z faktu, że nigdy nie należałem do PZPR.

Na Uniwersytecie było podobnie. Co pewien czas na Wydziale, tak jak wtedy w każdym zakładzie pracy, odbywały się „narady produkcyjne”. Zbierano wszystkich, studentów, asystentów, profesorów, i „radzono” nad poprawieniem „produkcji”. To mogło wyglądać na przykład tak, że ci z ZMP mówili, że ten a ten profesor „obniża poziom produkcji”, bo stawia zbyt dużo dwójek. Na roku następnym po moim zetempowcy doprowadzili do odebrania wykładów księdzu prof. Szulecie. Wystosowali list zbiorowy, że do czego to podobne, żeby na tak ideologicznym wydziale jak biologia wykładał ksiądz.

„Troska” ZMP rozciągała się na całe życie studenckie, także na zabawy taneczne. Nowe tańce, przenikające z Zachodu, były politycznie podejrzane i zakazane. Najbardziej nowoczesnym dopuszczalnym tańcem zachodnim był fokstrot. W porządku były też tango i walc. Można było tańczyć tańce ludowe. Mnie to akurat nie przeszkadzało, bo uwielbiałem oberka i polkę, więc wytańczyłem się na studiach do woli. Gdyby ktoś jednak puścił płytę z boogie-woogie, mogło to skutkować wyrzuceniem ze studiów.

Jeszcze przed rozpoczęciem studiów, w kwietniu 1950 roku zacząłem pracować, w jakimś mniejszym wymiarze godzin, w Państwowym Muzeum Zoologicznym (dziś Muzeum i Instytut Zoologii PAN). W preparatorni, potem w kolekcji jaj ptasich, potem w kolekcji muszli morskich ślimaków i małży. Po studiach dostawało się nakaz pracy, ale jeżeli ktoś już gdzieś pracował, to prawie automatycznie tam zostawał, więc sądziłem, że Muzeum mam załatwione.

Tomasz Umiński

Nie były to lata bogate w imprezy. Najczęściej odbywały się „wieczornice”. Były one organizowane przez grupy studenckie, często zwane „kolektywami”. Wraz z najbliższymi koleżankami tworzyłyśmy „kolektyw”, który prof. Szuleta nazwał „ptysie”, gdyż spotykał nas często w cukierni na Tamce. Sprzedawano tam pyszne ptysie. Przygotowując jedną z wieczornic, do dekoracji użyłyśmy motywów zwierząt i kwiatów zamiast symboli pokazujących zaangażowanie młodzieży w budowę nowego, socjalistycznego ustroju. Nie wywołało to zadowolenia ówczesnych aktywistów studenckich.

Alina Kacperska-Lewak

Już na początku drugiego roku studiów zebrała się grupa pięciu osób, ze mną włącznie, które uczestniczyły w badaniach jezior okolic Węgorzewa, prowadzonych przez Instytut Rybactwa Śródlądowego. Kierował nami starszy od nas o rok kolega, późniejszy profesor, Kazimierz Dobrowolski. Wyjeżdżaliśmy do Giżycka, spędzaliśmy tam kilka miesięcy w roku, potem na tym samym terenie zbieraliśmy materiały do prac magisterskich. Był to okres silnie scalający naszą grupę, która utrzymywała bliskie kontakty jeszcze przez wiele lat.

Ewa Pieczyńska

Był to okres kwitnącego stalinizmu, ale nasi profesorowie nic na ten temat na wykładach nie mówili. Po prostu omijali. Co mieli robić?

Oczywiście były takie okropne przedmioty, jak „Podstawy marksizmu-leninizmu” i „Ekonomia polityczna”. Jako młody człowiek miałam doskonałą pamięć, ale wspominam to jako koszmar. Nie znosiłam też chemii i matematyki, zupełnie nie moja dziedzina.

Teresa Rogulska

Studia na Wydziale rozpoczęłam w roku akademickim 1952/53. Na moim roku było kilkadziesiąt osób, w większości kobiety. Byliśmy w bardzo dobrych relacjach i przez dziesiątki lat po ukończeniu studiów spotykaliśmy się najpierw co rok, a później co dwa lata aż do 2013 roku. Organizatorem naszych spotkań i ich inicjatorem był nasz kolega, prof. Jerzy Moraczewski, prywatnie także wyjątkowy człowiek.

Pierwsze miesiące na Wydziale pamiętam doskonale. Zajęcia z botaniki i zoologii odbywały się na Krakowskim Przedmieściu w gmachu byłej Szkoły Głównej, a zajęcia z chemii przy ul. Pasteura, na Ochocie. Musieliśmy jechać tramwajem przez całe miasto. Bardzo dobrze pamiętam wykłady z botaniki dla pierwszego roku studiów, które prowadził ksiądz prof. Józef Szuleta w dużej sali na pierwszym piętrze. Prezentowane zagadnienia były podane w formie przystępnej i łatwej do zanotowania (łącznie z wykresami itp.) Jeszcze kilka lat temu miałam ten notes w domu. W tym samym gmachu na parterze prof. Zdzisław Raabe prowadził wykłady z zoologii (Instytut Zoologii, Zakład Cytologii). Były interesujące, ale czasami profesor raczył dziewczęta żarcikami, za którymi nie przepadałam.

Maria Charzyńska

Zaczęliśmy czternastego [września]. Dokładnie pamiętam, bo bardzo byłam przejęty. Przeszedłem w czapce studenckiej UW, którą kupiłem na ulicy Szpitalnej u czapnika; coś takiego wtedy istniało, każda uczelnia miała swój wzór czapki. Pierwszy rok zaczynał dwa tygodnie wcześniej – żeby wprowadzić nas w studia. To wprowadzenie polegało między innymi na wymuszonych „czynach społecznych”. Jeździliśmy wtedy i zbieraliśmy złom na Powiślu. A potem jeździliśmy na wykopki. To były takie studenckie „spontaniczne” czyny społeczne.

Mieliśmy dwa przedmioty ideologiczne. Pierwszym była ekonomia polityczna – jedyny przedmiot, z którego miałem poprawkę, bo grałem na wykładzie w karty. Pani profesor zauważyła nas, zapisała nazwiska i potem wszyscy oblaliśmy egzamin. A drugi przedmiot nazywał się „Historia WKPb” [Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików) – przyp. red.] lub marksizm, leninizm, niezbyt dobrze pamiętam, wykladał prof. Bogacz, a egzamin był jedynie z historii WKPb. Należało pamiętać, o której godzinie oddano strzał z „Aurory”. Na egzaminie prof. Bogacz dociekał, jakie są moje koligacje z socjalistą i piłsudczykiem Jędrzejem Moraczewskim.

Na wykłady chodziliśmy wszyscy, bo wykłady były obowiązkowe. Starosta grupy stał w drzwiach i odhaczał, kto przychodzi, kto nie. Jeśli ktoś nie przyszedł, to potem na zebraniu ZMP musiał się tłumaczyć. Do Związku Młodzieży Polskiej należeli prawie wszyscy, na moim roku tylko cztery osoby nie były jego członkami.

Życie towarzyskie było dość bogate i wesołe. Graliśmy w brydża. Piliśmy razem wódkę i chodziliśmy na różne potańcówki. Odbywały się co tydzień. Były za darmo albo były płatne. Takie potańcówki odbywały się głównie w Sali Śląskiej należącej do Wydziału Geologii, na którym ponad 90 procent studentów to byli chłopcy, a na sąsiadującym z Geologią Wydziale Biologii (wówczas Biologii i Nauk o Ziemi) większość to dziewczyny. Poza tym były

oczywiście „Hybrydy” na Mokotowskiej. „Stodoła” pojawiła się później. Pod względem towarzyskim było niezmiernie wesoło. Organizowaliśmy w Szkole Głównej jakieś tam połowinki, nie połowinki, na które przychodzili profesorowie. Zawsze był prof. Kraczkiewicz, zawsze był prof. Raabe, zawsze był prof. Teleżyński. Byliśmy bardzo życzliwi. I to pozostało do dziś. Co pięć lat organizuję spotkania naszego rocznika '53/'54.

Specjalności w zakładach zoologicznych wybieraliśmy dopiero na magisterium. Ci, którzy chcieli się zajmować protozoologią, szli do prof. Raabego. Na hydrobiologię szło się do prof. Gieysztora, na ekologię do prof. Tarwida, a po jego odejściu – do prof. Petruszewicza. Petruszewicz i pani dr Rudzka prowadzili ekologię zwierząt lądowych, natomiast ekologię wodną, która była w pewnym sensie zdublowaniem hydrobiologii, prof. Tarwid. Była jakaś konkurencja między prof. Tarwidem a prof. Gieysztorem. Miałem zamiar robić pracę magisterską u prof. Tarwida. Byłem z nim umówiony w Dziekanowie na spotkanie, na omówienie mojej pracy, gdy w tym samym dniu go aresztowano. I wtedy poszedłem do prof. Gieysztora.

Jerzy Moraczewski

Byliśmy nietypowym rocznikiem. Zaczęliśmy studia 1 września 1954 roku, a nie 1 października jak zwykle. Było jeszcze ciepło i fajnie. W połowie września odbyła się pierwsza wycieczka zoologiczna pod kierunkiem dr. Teodora Neumana, Hanki Dobrowolskiej, Zdzisia Olesia i Wandy Riedel. Pojechaliśmy do Wilanowa kolejką z dworca na rogu Puławskiej i Niepodległości nad jeziora, które są z tyłu Pałacu Wilanowskiego. Zbieraliśmy tam owady, ślimaki, żaby, czegoś tam nie zbierali! Paru uczestników tej wycieczki wspomina ją do dziś. Było nas na roku 67 osób, podzielonych na cztery grupy. Każda grupa miała starostę. Do jego obowiązków należało odnotowywanie, kto nie był na wykładzie, i informowanie o tym władz dziekańskich. Przez pierwsze dwa tygodnie lataliśmy skrupulatnie na te wykłady, bośmy się bali, że będą jakieś konsekwencje nieobecności. A potem to wygasło, bo nikt się nie chciał bawić w donosicielstwo.

Sekcja Biologii na ówczesnym Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi mieściła się w znacznej części w zabytkowym gmachu byłej Szkoły Głównej Warszawskiej. Parter tego zasłużonego w dziele edukacji budynku, poza szatniami, w całości zajmował Instytut Zoologii, pierwsze piętro zaś mieściło liczne zakłady botaniczne oraz wydziałowe audytorium. To parterowe usytuowanie miało dla nas, pierwszoroczników, z których blisko połowa wybierała się na zoologię, spore znaczenie, bowiem w opustoszałym jeszcze wakacyjnie gmachu naturalną koleją rzeczy było, że penetrowaliśmy długi instytutowy korytarz, w którym stały, pamiętające jeszcze carskie czasy, szafy z równie leciwymi zbiorami. Wiodące z korytarza drzwi do pokojów personelu były

na ogół zamknięte, z dwoma wyjątkami. Pierwsze w kolejności, po lewej stronie, były to drzwi do pracowni laboranta Zakładu Zoologii pana Jana Sucharskiego, drugie z kolei, nieco dalej, na prawo, prowadziły do gabinetu dyrektora, którym był pan prof. Zdzisław Raabe.

Wędrując korytarzem, mijaliśmy owe drzwi i siedzącego za biurkiem Raabego z wielką atencją, bo oto mogliśmy obejrzeć prawdziwego uniwersyteckiego profesora przy pracy. Nasze spotkania z nim były częste, bo chętnie zaglądał na ćwiczenia, a jego wykład rozpoczął dwuletni kurs zoologii. Zawsze elegancko ubrany, idąc na wykład z plikiem małych karteczek w ręku, mijał nas kłębiących się w holu i na schodach, często przyjaźnie zagadując.

W połowie drugiego semestru trzeba się było rozglądać za jakąś pracą. Człowiek nie śmierdział groszem, a wydatki były. Zatrudniłem się w Zakładzie Ekologii PAN, w ekipie hydrobiologicznej, którą prowadziła studentka czwartego roku biologii Ewa Pieczyńska. W ekipie byli między innymi Tadeusz Prus, zmarły niedawno Igor Rybak i późniejszy mąż Pieczyńskiej – Lilek, dziś też już nieżyjący. I w końcu dwoje moich kolegów z roku. Prowadziliśmy badania terenowe w Giżycku. Cała zabawa polegała na tym, że brało się łódkę, płynęło przez jezioro – na przykład Mamry – i co 100–200 metrów szedł w dół aparat do pobierania próbek dna i próbek planktonu. Lina miała znaczniki, żeby było wiadomo, z jakiej głębokości się to wyciąga. Potem przesiewało się próbki na sicie na łodzi, a następnie przelewało do butelek. W stacji Instytutu Rybactwa Śródlądowego w Giżycku oznaczaliśmy znalezione gatunki – głównie larwy komarów ochotkowatych. Do tego służył rosyjski klucz, trzeba się więc było nauczyć entomologicznej ruszczyzny. Nie było to lekkie zajęcie. Pracami tymi kierował prof. Kazimierz Tarwid, wspaniały i cierpliwy dydaktyk, który odwiedził nas w Giżycku kilkakrotnie.

Moja kolejna praca w Instytucie Ekologii PAN przebiegała pod kierunkiem ornitologa mgr. Pinowskiego. Ciągnęło mnie do ptaków, a hydrobiologia leżała mi mniej, niż się spodziewałem. Na skraju Puszczy Kampinoskiej, w Łomnej, była pseudostacja. Mówię „pseudo”, bo był to budynek w stanie surowym, z prowizorycznym dachem, bez okien. W jednym pokoju mieściła się pracownia entomologów, w drugim sypialnia dziewczyn entomolożek, a w trzecim rezydował Pinowski. Do tego dochodził nieotynkowany pokój kierownika administracyjnego tego interesu i nasze, czyli studentów drugiego roku, królestwo. Na podłodze leżały deski, a w otwory okienne wstawiono okna od inspektów i podparto je drągami. Prowadziłem obserwacje zgrupowań ptaków krukowatych na rozległych polach wokół wsi Sadowa, Kępa Kiełpińska, Łomna i Czosnów. Rowerowa trasa o świtanie liczyła kilkanaście kilometrów. Pod bezpośrednim kierunkiem Pinowskiego rozpocząłem własne badania nad ekologią dzięcioła wielkiego. Stały się one tematem mojej pracy magisterskiej, której promotorem był prof. Kazimierz Petruszewicz.

W czerwcu '56, czyli po drugim roku, miałem egzamin z marksizmu. Jedno z pytań na egzaminie brzmiało: „Odchylenie prawicowe, gomułkowszczyzna,

jej przyczyny i błędy”. W październiku ‘56 Gomułka był już I sekretarzem, więc *signum temporis*. Pamiętam, jak staliśmy w końcu czerwca przed Szkołą Główną i czekając na ten egzamin, słuchałem przybyłego rano z Poznania Gienia Nowaka opowiadającego o wypadkach poznańskich, strzelaniach itd. Takie to były czasy.

Rafał Skoczylas

Byłem studentem w czasie wydarzeń październikowych. Ale jeszcze przed październikiem robiłem zielnik na botanice. Zupełnie przypadkowo w 1957 r. byłem świadkiem, jak prof. Gajewski odebrał na korytarzu telefon z Ministerstwa i po skończonej rozmowie powiedział mi, przypadkowemu studentowi obecnemu na korytarzu, że właśnie dostał decyzję, że może powstać na Uniwersytecie Warszawskim Zakład Genetyki. Profesor Gajewski był bardzo spontaniczny i dzielił się informacjami z zupełnie przypadkowymi ludźmi. Wykładał wtedy botanikę, przed wojną zaczynał jako florysta. Ale przede wszystkim chciał robić genetykę, nie miał jednak takiej możliwości, bo genetyka była zakazana. Nie mógł więc wykładać genetyki, lecz nie krył się ze swoimi poglądami.

Chyba na początku 1957 roku prof. Gajewski pojechał pierwszy raz do Ameryki. Koło studenckie zaprosiło go, żeby powiedział coś po powrocie. Dla nas Ameryka była wtedy krajem egzotycznym. I on powiedział, że „genetyka jako imperialistyczna nauka oczywiście jest najlepiej rozwinięta w Ameryce, bo to jest ten najbardziej imperialistyczny kraj”.

Andrzej Kaczanowski

Przez pierwsze lata studiów studenci kierunków mikrobiologii i biochemii uczyli się według innego planu zajęć niż studenci zoologii i botaniki. Niektóre wykłady były wspólne dla wszystkich, bo oczywiście na mikrobiologii trzeba było zaliczyć także zoologię, botanikę i wszystkie fizjologie.

Nad moją pracą magisterską czuwał początkowo dr Mirosław Fiuczek, który, o ile dobrze pamiętam, szybko odszedł z Katedry. Magistrantów było wtedy około 10 osób – Stefan Makowski, ja, Danusia Mularska, Ela Kozłowska – wszystkich nazwisk już nie pamiętam. W pierwszych latach studiowali także z nami (później przenieśli się na fizjologię zwierząt) Jola Sotowska i Krzysztof Śliwiński, który po skończeniu studiów został jednym z redaktorów pisma „Solidarność” (w tamtych czasach bardzo ważnego pisma wspierającego pozytywne zmiany ustrojowe zachodzące wówczas w Polsce).

Mikrobiologię zdawałam jeszcze u prof. Bassalika. Był już wtedy schorowanym, posuniętym w latach człowiekiem. Jego wykłady były bardzo

treściwe, ale musiał je chwilami przerywać z powodu zmęczenia. Musiał się zatrzymać, napić się wody, przez moment odpocząć. Profesora Bassalika otaczał nimb wielkiego naukowca, który właściwie stworzył od nowa cały Wydział, reaktywował go po wojnie.

Na roku było nas mało, tzn. około 60–70 osób. A na mikrobiologii niespełna 20.

Zdarzało się, że od czasu do czasu psociliśmy jak dzieci. Na przykład któregoś dnia przed ćwiczeniami z biochemii wygłupialiśmy się z Krzyśkiem Śliwińskim, kolegą z roku. Do rozpoczęcia zajęć było jeszcze 10 minut. Wskoczyliśmy na stół laboratoryjny i tańczyliśmy, robiliśmy jakieś wygibasy. Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich pani prof. Chmielewska. Popatrzyła na nas groźnie i powiedziała: „Proszę natychmiast zejść. Z kim macie dzisiaj zajęcia?”. „Z doktorem...” – nie pamiętam już jego nazwiska. „Aha, dziękuję”. I wyszła. Podobno strasznie ochrzaniła tego biednego doktora.

W Katedrze Mikrobiologii współpracownicami prof. Bassalika były mgr Cecylia Olczyk, mgr Janina Niewiarowska – notabene znana łączniczka AK, o której powstała piosenka powstańcza *Małgorzatka*, dr Ludmiła Bassalika-Chabielska, mgr Krystyna Danilewicz. To była podstawowa grupa osób, które się zajmowały młodzieżą i prowadziły zajęcia. Wszystkie później przeszły pod opiekę prof. Władysława Kunickiego-Goldfingera.

W pracy magisterskiej zajmowałam się rhizobiami. Badałam seradełę, groch, sterylizowałam w autoklawie po ileś godzin olbrzymie wazony z ziemią. Robiłam to także w soboty, niedziele. Pewnej niedzieli przyszedłam do laboratorium, jeszcze nie z mężem, tylko narzeczonym, który miał mi pomóc wstawiać te ciężkie wazony do autoklawu. No i nie mogliśmy się dostać. Miałam klucz, ale nie mogłam wejść, więc zaczęłam się dobijać. Otworzył mi pan prof. Zbigniew Kwiatkowski. Okazało się, że przyjechała jego żona, a ponieważ nie mieli gdzie spać, więc położyli się na stołach laboratoryjnych obok pomieszczenia, gdzie miałam swoje autoklawy, a ja ich w ten niedzielny poranek obudziłam.

Ewa Bieszkiewicz

Studia zacząłem w 1955 roku, a więc już po okresie stalinowskim, w którym próbowano lansować marksowską „nową biologię” Łysenki i Lepieszkińskiej. Warto przypomnieć, że w latach 50. zorganizowano w Kuźnicach dużą konferencję poświęconą tej biologii. Z jej dokumentów widać, jak ludzie się gimnastykowali, żeby w referatach pozytywnie wypowiadać się o łysenkizmie, ale żeby też nie całkiem odcinać się od tradycyjnej biologii. Lektura tych tekstów jest dosyć zabawna, ponieważ było widać, że w zaprzeczającym istnieniu genów sowiecką biologię nikt już nie wierzył.

Myśmy już nacisku ideologicznego na biologię nie doświadczali. Do pracy na naszym Wydziale został przywrócony botanik, ksiądz prof. Józef Szuleta. Do normalnej działalności akademickiej wrócił też prof. Wacław Gajewski. Jako genetyk był on na pierwszej linii frontu w walce z łysenkizmem i zdecydowanie się mu przeciwstawił, czym dodatkowo zyskał sobie szacunek całego środowiska. Za karę został odsunięty od zajęć ze studentami. Trzeba podkreślić, że z tego powodu nie robił z siebie nigdy prześladowanej ofiary; mówił, że odsunięcie go od dydaktyki umożliwiło mu wydajniejszą pracę badawczą.

Profesor Kazimierz Petruszewicz, ekolog i członek sekretariatu KC PZPR, wciąż jeszcze zwolennik łysenkizmu, zorganizował prof. Gajewskiemu wycieczkę do twórcy tej „teorii”. Profesor Gajewski opowiadał o tej wizycie, o tym, jak Łysenko i jego akolici najpierw chwalili się swymi rewelacyjnymi odkryciami, a potem pokazali laboratorium i mikroskopowe preparaty tkanek roślinnych, które służyły do tego, by udowodnić, że nie istnieje coś takiego jak chromosom. Gajewski patrzy: na tych preparatach kompletnie nic nie widać. – A czym wy je utrwalacie? – pyta. – Etanolem – pada odpowiedź. Aha, wódką – dopowiada Gajewski. I tak się skończyła ta wizyta. Gajewski wrócił nieprzekonany do „nowej biologii”.

Nasze studia miały wtedy bardzo rozbudowany program. Oprócz przedmiotów biologicznych wszyscy musieliśmy słuchać wykładów z ekonomii politycznej, mieliśmy też wykłady i ćwiczenia z geologii i gleboznawstwa – ciekawe, ale później niewiele nam potrzebne. Do niebiologicznych zajęć należały też bardzo ciekawe wykłady z logiki prof. Mariana Przełęckiego oraz z kierunków i zagadnień filozofii prof. Władysława Krajewskiego.

Oдноśnie do samej biologii dominował jeszcze model kształcenia sprzed wojny, na co niewątpliwie miał wpływ skład naszej kadry profesorskiej. Ci, co przetrwali wojnę, nie mieli kontaktu ze światową nauką przez sześć lat, a i potem ten kontakt był ograniczony naszą sytuacją polityczną i trudnym dostępem do literatury, nie mówiąc już o nowoczesnym warsztacie badawczym. Na pierwszych dwóch latach cały rok miał te same zajęcia. Zoologię wykladał prof. Zdzisław Raabe, głównie koncentrując się na swoich ulubionych pierwotniakach. Anatomię roślin wykladał prof. Henryk Teleżyński, fizjologię roślin prof. Piotr Strebeyko, fizjologię zwierząt prof. Marian Rybicki. Słuchaliśmy też uroczych wykładów prof. Aleksandra Godlewskiego z antropologii fizycznej i kulturowej, zafascynowanego ludami Polinezji. Nasz rok miał jeszcze styczność z prof. Kazimierzem Bassalikiem – nestorem polskiej mikrobiologii, który miał, podobnie jak Fleming, obserwować hamowanie na szalkach wzrostu bakterii przez kolonie *Penicillium*, ale nie poszedł dalej za tymi obserwacjami w kierunku wyizolowania antybiotyku.

Biologia, we wszystkich jej działach, rozwijała się już bardzo dynamicznie, więc ilość wiedzy wymagała, jak sądzę, bardziej specjalistycznego kształcenia. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że program chemii organicznej też nie był najlepiej dostosowany do potrzeb biologów – raczej nie była im

potrzebna wiedza na temat różnic w przestrzennym ułożeniu grup hydroksylowych w glukozie i galaktozie, wiedza ważna dla syntez chemicznych, a mniej dla roli tych cukrów w metabolizmie. Nie odczuwałem potrzeby tej wiedzy w mojej pracy w biochemii i w genetyce, nie mówiąc już o naturalistach, tych od „łapania motyli”.

Warto wspomnieć, że nasz rok wspólnie się bawił. W karnawale co tydzień z jednej sali w Szkole Głównej, w której przez pierwsze dwa lata spędzaliśmy razem dużo czasu, wynosiło się wszystkie stoliki, przynosiliśmy adapter i odbywały się regularne zabawy. Przychodzili na nie też koledzy z innych lat. Pojawiał się czasem prof. Zdzisław Raabe i przyjemnie na te zabawy reagował. Był bardzo lubiany przez studentów. Robił żarty, czasami lekko sprośne, ale mu to uchodziło. Stosunki koleżeńskie były dobre i chyba nie było między nami silnej konkurencji. Dziś słyszę, że na medycynie studenci pożyczają sobie za pieniądze notatki z wykładów. W tamtych czasach raczej nikt nie wpadłby na taki pomysł.

Andrzej Paszewski

Na roku było nas 60 osób. Po drugim roku byliśmy podzieleni na kierunki: mikrobiologia, biochemia, botanika, zoologia. Ja byłem na zoologii. No i tutaj miejscem integracji była pracownia półdzienna. Mieliśmy zajęcia z panem Neumanem, który nigdy nie był doktorem, ale zwracano się do niego „panie doktorze”. Bardzo ciekawa postać. Uczył nas technik robienia preparatów, a więc krojenia, barwienia, zatapiania, czyli czegoś, co chyba dzisiaj już nie istnieje w programie studiów.

W teren chodziliśmy z asystentami – Umińskim, Dobrowolskim. Był jeszcze Bień, taki przystojny asystent, w którym dziewczyny się kochały. Odszedł, by studiować historię sztuki.

Nasz rok się bawił. W pracowni trzeciego roku przez cały karnawał odbywały się prywatki. Przychodzili na nie ludzie z innych kierunków biologii. No i zawsze był Raabe i z nami tańczył.

Maryna Szöllösi

Mój rocznik (1957–1962) był nietypowy, bo – przynajmniej w grupie zoologicznej – chłopaków było więcej niż dziewczyn, a wśród nich Maciek Rembiszewski (później wieloletni dyrektor Ogródu Zoologicznego w Warszawie), Wojtek Staręga (znany specjalista od pajęczaków), Cezary Działosz (nasz czwarty partner brydżowy), Krzysztof Zdzitowiecki (później słynny himalaista), Bolek Jabłoński (znany speleolog i ornitolog) i wreszcie Andrzej Kowalczewski, który – aż do swej przedwczesnej śmierci – pozostawał moim

niezastąpionym kolegą w Zakładzie Hydrobiologii UW. Na trzecim roku dołączył do nas Andrzej Myrcha, jeden z pierwszych, którzy po latach budowali najpierw filię UW, a później Uniwersytet Białostocki. Andrzej ożenił się z naszą koleżanką z grupy zoologicznej – Aliną. Alina miała miejsce przy stole laboratoryjnym z mojej lewej strony, a Andrzej siedział za mną. Bez przerwy Alinie dokuczał, a rok później wzięli ślub i jako małżeństwo stali się słynni, stawiając fundamenty pod Biologię na Uniwersytecie w Białymstoku, gdzie po ich śmierci zawieszono obok siebie w nowym budynku Biologii ich piękne portrety.

Na trzecim roku byliśmy dumni z siebie i ze swego stałego lokum – naszej „własnej” sali, zwanej pracownią półdzienną, mimo że spędzaliśmy tam całe dni, a czasami też noce... Byliśmy pierwszym rocznikiem na zoologii, którego nikt nie wyrzucał z pracowni, bo pracownia była „nasza”, tu odbywały się również „nasze” specjalistyczne wykłady, na przykład Janeczki Dobrzańskiej, Andrzeja Kaczanowskiego, Tomka Umińskiego czy Andrzeja Lisieckiego, u którego każde kolokwium zdawało się dopóty, dopóki nie było na piątkę.

Wtedy jeszcze nic nie wiedziałem o Katedrze, później Zakładzie Hydrobiologii. Na trzecim roku słyszałem o prof. Gieysztorze i jego hydrobiologii uprawianej najchętniej na drobnych zbiornikach, ale przecież przygotowywałem się do pracy na morzu i nurkowania na rafach koralowych. Okazja nurkowania nadarzyła się już w końcu pierwszego roku, gdy z Wojtkiem Staręgą i jego żoną Joanną udaliśmy się w podróż na czarnomorskie wybrzeże Bułgarii, wtedy jeszcze, w roku 1958, zupełnie bezludne, ale pełne miłych kierowców i ciężarówek, którymi tę podróż we troje odbywaliśmy autostopem, zatrzymując się na kilka nocy w kolejnych pustych, skalistych zatoczkach w pobliżu granicy z Turcją. Dużo nurkowaliśmy, głównie po omułki, *Mytilus edulis*, które smażyliśmy na maśle lub na niedostępnej wówczas w kraju oliwie.

Po trzecim roku troje z naszej grupy: Andrzej Kowalczewski, Kasia Krasuska i ja, trafiło na praktykę letnią do Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni. Nareszcie znalazłem się w odpowiednim dla siebie miejscu wśród biologów morza i pletwonurków, często na pokładzie instytutowego kutra, z którego robiło się wyprawy podwodne w różnych miejscach Zatoki Puckiej. Miło też było przenosić się niekiedy na pokład „Westa”, ślicznego pełnomorskiego jachtu zacumowanego w basenie jachtowym pod Westerplatte, który należał do przyjaciół Andrzeja. Od trzeciego roku byliśmy zawsze z Andrzejem ostrymi konkurentami, ale to była konkurencja realizowana w szlachetny sposób i prowadząca do kolejnych sukcesów publikacyjnych i dydaktycznych opartych na znakomitym wyposażeniu do pracy na wodzie. O Andrzeju można by opowiadać godzinami... Również godzinami można by opowiadać o Andrzeju Prejsie, który był od nas rok, a później dwa lata niżej, nazbyt zajęty bogatym życiem społecznym na UW, by w porę zdawać kolejne egzaminy. Zajmował się również z prawdziwą pasją koordynacją

Wydziałowego Koła ZSP (Zrzeszenia Studentów Polskich). To on wspólnie ze mną zorganizował w roku 1962/63 jedyne „zimowisko” Wydziałów Biologii i Ekonomii UW w nieodkrytej jeszcze wtedy przez narciarzy miejscowości Małe Ciche pod Tarasówką. Tam zresztą, nieco później, pisałem u zaprzyjaźnionych gazdów swoją pracę magisterską o zooplanktonie stawów tatrzańskich, którą opublikowałem w „Polskim Archiwum Hydrobiologii” w przekładzie Tomka Umińskiego. Andrzej Prejs był również wielokrotnie znakomitym partnerem w dalszej eksploracji jezior tatrzańskich. Z oboma Andrzejami spotkaliśmy się ostatecznie w Katedrze, potem Zakładzie Hydrobiologii UW kierowanym przez Ewę Pieczyńską i tam też minęły nam długie lata wspólnej pracy naukowej i dydaktycznej.

Maciej Gliwicz

Studia rozpocząłem w 1958 roku. Pierwszego października, w Auditorium Maximum, odbyła się uroczysta inauguracja, którą zaszczycił premier Cyrankiewicz, wygłaszający długą przemowę (przedrukowaną nazajutrz w „Życiu Warszawy”, gazetę do dziś zachowałem). Pamiętam też z tej uroczystości charakterystyczną postać ówczesnego, wieloletniego rektora Stanisława Turskiego.

Pierwszym wykładem dla nas, studentów pierwszego roku, była botanika ogólna księdza prof. Józefa Szulety (wiedzieliśmy, że do niedawna był usunięty z UW na skutek donosu studenckich aktywistów, zarzucających mu drwinę z najnowocześniejszych osiągnięć przodującej nauki radzieckiej). Wykład odbywał się w Audytorium Botanicznym na pierwszym piętrze budynku dawnej Szkoły Głównej. Katedra była chyba jeszcze na wzór przedwojennej. I oto na tę katedrę wchodzi wysoki ksiądz w sutannie... To naprawdę było przeżycie. Niemal wszyscy wstali, jeszcze szkolnym zwyczajem. Ksiądz profesor Szuleta był bardzo dobrym wykładowcą. Spokojny, systematyczny, objaśniający po kolei wszystkie szczegóły anatomii i cytologii roślin. Z łatwością mogliśmy wszystko notować, a notatki były o tyle cenne, że podręczników do botaniki właściwie nie było. Do egzaminu profesor i asystenci polecali nam stary podręcznik botaniki Szymkiewicza z roku 1928 (tak zwany „duży Szymkiewicz”). Nowy akademicki podręcznik botaniki, przekład z kolejnego wydania klasycznego podręcznika Strasburgera, ukazał się drukiem na wiosnę następnego (1960) roku, mogliśmy go więc wykorzystać dopiero przy egzaminie z systematyki roślin. Ksiądz profesor wykładał botanikę ogólną przez cały rok, czyli dwa semestry. Na drugim roku była właśnie systematyka roślin i też trwała dwa semestry.

Gdy zdawaliśmy egzamin wstępny, nie było mowy o wyborze kierunku. Dopiero gdy zostaliśmy przyjęci na pierwszy rok biologii, na zebranie organizacyjne przyszedł prodziekan Marian Rybicki (wykładał nam później

fizjologię zwierząt), dał nam cztery kartki i powiedział, żeby się wpisywać, kto chce na jakiej specjalności studiować. Do wyboru były botanika, zoologia, mikrobiologia i biochemia. Widziałem, że prawie wszyscy wpisywali się na mikrobiologię i biochemię, bo kierunki te były już wtedy – tak jak i teraz – w modzie. Ja wpisałem się, jako pierwszy, na botanikę. Potem oczywiście podzielono nas na cztery równoliczne grupy, a na biochemię i mikrobiologię wybrano tych, którzy mieli najlepsze stopnie z egzaminów wstępnych.

Na botanice było nas (z początku) prawie dwadzieścioro, same dziewczęta z wyjątkiem dwóch chłopców, mnie i kolegi, który jednak wkrótce przeniósł się na zoologię. Wymienił się miejscem z koleżanką, której zoologia nie odpowiadała. I tak na resztę studiów zostałem jeden wśród samych dziewczyn. Nie było to przyjemne; ogólnie mówiąc, nie miałem z kim rozmawiać. Ratowała mnie nawiązana przyjaźń z dwoma zoologami, którzy razem ze mną zaczęli studia.

Pierwszy semestr był, w naszym odczuciu, przeznaczony przez władze dziekańskie na odsiew mniej zdolnych i mniej pracowitych kolegów. Szczególnie z powodu niezaliczenia pracowni z chemii wielu odeszło.

Tomasz Majewski

Pierwszy rok był dla mnie szczególnie trudny, bo, po pierwsze, zaczynając studia, nie miałem nawet 17 lat. Po drugie, studia oznaczały zderzenie życia w małym miasteczku z Warszawą, gdzie większość, a w każdym razie spora część tych, którzy dostali się na uczelnię, to byli absolwenci doskonałych warszawskich liceów – im. Władysława IV lub Batorego. Adaptacja do życia studenckiego i tego socjalnego, a także do sposobu uczenia się była dla mnie trudna.

Przez pierwsze dwa lata studiowaliśmy razem z biochemikami, zaliczając takie przedmioty, jak chemia organiczna, nieorganiczna, fizyczna, biochemia, fizyka pierwsza, fizyka druga, matematyka, więc to również powodowało, że te pierwsze lata studiów były trudne.

Mikrobiologia zaczęła się, kiedy doszliśmy do trzeciego roku. Po raz pierwszy wykłady z tego przedmiotu miały odbyć się bez prof. Bassalika. Profesor zmarł w 1960 roku i wykłady po nim przejęła prof. Bassalikowa. Były one trochę nudne, ponieważ pani profesor wchodziła na katedrę i czytała. Trzeba też pamiętać, że nie istniał żaden podręcznik do mikrobiologii. Można było, i ja to często robiłem, korzystać z podręczników radzieckich. Rosjanie nie podpisali jeszcze konwencji o prawach autorskich, wobec czego na Zachodzie wychodził jakiś podręcznik typu akademickiego, to po dwóch miesiącach mieliśmy jego rosyjskie tłumaczenie. Na Nowym Świecie mieściła się radziecka księgarnia naukowa, gdzie za bardzo małe pieniądze można było sobie pozwolić na kupienie podręczników.

Ćwiczenia z mikrobiologii prowadziła pani dr Niewiarowska, wychowanka prof. Bassalika. Miała bardzo duże doświadczenie w prowadzeniu zajęć praktycznych i to dzięki niej i jej zajęciom poznaliśmy od podszewki, czym jest mikrobiologia. „Jedźcie jutro do rzeźni i kupujecie dobrą wołowinę. Będziemy robić podłoże odżywcze” – zlecała pani doktor. To coś, co dzisiejszym studentom w głowie się nie mieści.

W Katedrze Mikrobiologii pracowały wówczas dr Bassalikowa, dr Niewiarowska i dr Danilewicz, która zajmowała się patogenami roślin. Była też dr Olczyk – zajmowała się mikrobiologią przemysłową, i pan dr Fiuczek. Kiedy przybył prof. Kunicki, na pierwszym wykładzie powiedział do nas: „Tu macie 20 zagadnień, które należy opracować w ciągu roku akademickiego. Opiekować się będzie wami dr Fiuczek”.

To były zagadnienia praktyczne. Na przykład, jakie bakterie pojawiają się w trakcie kiszenia kapusty? Kupowaliśmy kapustę, kroili, szatkowali i kisili. Pracownia mikrobiologiczna była w Gmachu Pomuzealnym na czwartym piętrze, naprzeciwko Szkoły Głównej. Byliśmy, praktycznie biorąc, zostawieni sami sobie. Doktor Fiuczek przychodził od czasu do czasu i pytał: „Wszystko dobrze?”. „Dobrze”. „No to OK”.

Raz o mało co, przykro powiedzieć, na drugi świat nie wyprawilem dr. Fiuczka. Jednym z moich zadań było otrzymanie wzrostu bakterii beztlenowych. Oczywiście żadnych termostatów nie mieliśmy. Do tych celów używaliśmy eksykatorów i pomp próżniowych pozwalających na uzyskanie w eksykatorze próżni. Po umieszczeniu w nim płytek obserwowano się, czy rosną bakterie beztlenowe. Pewnego razu poszedłem do gabinetu dr. Fiuczka. Pomógł mi to wszystko zmontować i eksykator wraz z pompą próżniową zostały u niego, a bakterie miały rosnąć do następnego dnia. Pół godziny później pan doktor przychodzi do nas do pracowni, wygląda trochę dziwnie i mówi: „Panie kolego, niech pan pozwoli”. W jego gabinecie stało bardzo dużo szklanej aparatury. Wchodzę, a tam wszystko potłuczone, szkło na stołach, na podłozie. Pytam, co się stało. A on: „Znajdziesz swój eksykator? Nie ma, no właśnie. Nastąpił wybuch”. To się mogło zakończyć tragicznie, ale dr Fiuczek uznał, że to nie moja wina. Najwidoczniej była jakaś skaza w tym eksykatorze.

W pracowni spędzaliśmy po 12 godzin dziennie. Większość osób przychodziło koło dziewiątej rano i siedzieliśmy do szóstej–siódmej wieczorem. Trudno jednak cały czas patrzeć, czy bakterie rosną, czy nie, dlatego zaczęliśmy grać w brydża. I któraś z osób ze starej ekipy doniosła o tym pani Bassalikowej. Za karę skierowano nas do dziekana prof. Rybickiego. On nas trochę utemperował i więcej już w brydża nie graliśmy.

Wszyscy baliśmy się chemii. Bo naczelnym hasłem na chemii było „oblać jak najwięcej”. Nie nauczyć, tylko oblać. Bo co to były za ćwiczenia, kiedy przychodził asystent i mówił: „Tu macie w probówce mieszaninę jodu, a tu przepis, jak macie to zrobić”. A potem asystent wychodził i wracał dopiero pod koniec ćwiczeń. Nie można było się nikogo o cokolwiek zapytać.

Natomiast bardzo dobrze prowadzonym przedmiotem była botanika u księdza prof. Szulety i zoologia u prof. Gieysztora. Później, na trzecim roku, genetyka u prof. Gajewskiego, no i mikrobiologia, jak prof. Kunicki zaczął ją wykładać. Wykłady z tych przedmiotów były świetne i nikt się tych profesorów nie bał.

Wiedzieliśmy, że jeśli się nie zda, nie zaliczy pierwszego roku, to się wylatuje. To było szczególnie groźne dla chłopców. Bo gdy oblało się we wrześniu poprawkę, to już 1 października mogło się mieć powołanie do wojska. Następne lata można było powtarzać, ale pierwszego roku nie.

Niektóre przedmioty były chyba niepotrzebne, bo, na przykład, na pierwszym roku mieliśmy anatomię człowieka. Przychodził asystent na ćwiczenia, przynosił jakąś piszczel i mówił: „To się nazywa tak i tak”, a potem wszystkie te nazwy trzeba było wykuć na pamięć.

Pod koniec czwartego lub na początku piątego roku przyjechała cała ekipa prof. Kunickiego: dr Kwiatkowski (późniejszy profesor), dr Tabaczyński, który niestety zbyt wcześnie zmarł, i jego żona Aurelia Tabaczyńska. A ze starej ekipy pracowała pani prof. Bassalik, która potem przeniosła się do Instytutu Hodowli Zwierząt. Doktor Danilewicz i dr Olczyk przeszły na emeryturę, a dr Niewiarowska dostała poprzez ONZ kontrakt na uniwersytecie w Nigerii. Pojechała do Szwajcarii, żeby przygotować się do tego wyjazdu, i tam miała wypadek samochodowy. Z kolei dr Fiuczek pracował z nami przez parę lat, a potem przeniósł się na Wydział Psychologii, gdzie prowadził zajęcia z biologii.

Andrzej Piekarowicz

Studia na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi rozpocząłem w 1959 roku. Biologia wraz z Geografią stanowiła wówczas Wydział Biologii i Nauk o Ziemi. Rządy w części biologicznej sprawował prof. Rybicki, człowiek surowych zasad i obyczajów, traktujący studentów z całą powagą stosownych paragrafów.

W pierwszych miesiącach było trochę nerwowo. To był kompletnie nowy świat. Trzeba się było uczyć dorosłości, samodzielnie planować, podejmować właściwe decyzje. Zajęcia odbywały się przede wszystkim w budynku Szkoły Głównej i odległym, niezbyt przez nas lubianym, gmachu Wydziału Chemii przy ul. Pasteura. Szkoła Główna – to właściwie jej część od potężnej, drewnianej „furty” po oszklone drzwi na parterze, szerokie, drewniane schody i przylegająca do nich część piętra z dwiema pracowniami botanicznymi i dwiema solidnymi, drewnianymi ławami. Te przeszklone drzwi na parterze stanowiły coś w rodzaju tamy oddzielającej nas od tajemniczego świata Instytutu Zoologii, do którego nam, maluczkim było bardzo daleko.

To, że miałbym kiedyś zostać dyrektorem tegoż Instytutu, przekraczało wtedy granice mojej wyobraźni.

Koniec lat 50. ubiegłego wieku. Zaledwie kilka lat po śmierci Stalina i tyleż lat od publikacji Watsona i Cricka. W Polsce, gdzieś po kątach straszły jeszcze postaci Łysenki i Lepieszyńskiej. Młodzi ludzie kończący licea i rozpoczynający przygodę z biologią w niewielkim stopniu odczuwali owe ożywcze prądy płynące zza tzw. żelaznej kurtyny. Przepaść między szkolną biologią a tym, z czym mieliśmy się zetknąć na Uniwersytecie, była ogromna, nieporównywalnie większa niż obecnie. Nawet ci najbardziej ocytani i aktywni często nie byli w stanie dotrzeć do źródeł wiedzy. Pomocą mógł służyć internet owych czasów, czyli księgarnia radziecka przy Nowym Świecie. Tam, przy odrobinie szczęścia, można było znaleźć tłumaczone *in extenso* naukowe książki i zachodnie czasopisma.

Andrzej Prejs

Po podjęciu studiów, zaraz po pierwszym semestrze rozchorowałem się, przeszedłem poważną operację i byłem leczony przez kilka tygodni w szpitalu. Musiałem przerwać studia, udzielono mi urlopu dziekańskiego. Stąd początek studiów liczę nie od 1961 roku, lecz od 1962, kiedy je wznowiłem po półrocznej przerwie. Pierwszy rok nauki, ten właściwie rozpoczęty w 1962, był dla mnie łatwiejszy, ponieważ miałem już niektóre zajęcia zaliczone. Niemniej jednak pewne późniejsze przedmioty przysporzyły mi sporo trudności. Liceum ogólnokształcące kończyłem w Siewierzu, w małym miasteczku, gdzie biologii uczył mnie bardzo dobry nauczyciel, młody, tuż po studiach absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Byłem więc dość dobrze przygotowany z biologii, ale chemia wyglądała nie najlepiej. Na pierwszym roku studiów było bardzo dużo chemii nieorganicznej i analitycznej, miałem z tymi przedmiotami dość dużo kłopotu. Musiałem to nadrabiać i stąd te trudności.

Zdając egzamin wstępny, zdawaliśmy na określony kierunek. Wtedy na Wydziale były cztery kierunki: zoologia, botanika, mikrobiologia i biochemia. Ja oczywiście wybrałem zoologię. Na zoologię przyjęto, o ile pamiętam, 23 osoby, w większości dziewczyny, a tylko siedmiu chłopców. Mogę wymienić wszystkie nazwiska. Szczególnie bliscy byli mi Janek Cybis, Marek Sawicki, Andrzej Karabin i Jacek Modliński. Do końca studiów stanowiliśmy zżyłą, bardzo wspierającą się grupę, choć już od czwartego roku każdy z nas robił coś innego. Wszystkich z roku mile wspominam.

Na czwartym roku mieliśmy już dobrze funkcjonującą pracownię półdzienną, gdzie w dużej sali każdy miał własny stół laboratoryjny, własne miejsce, jakieś ułożone książki, skrypty, skoroszyty, i przygotowywaliśmy się do wyboru tematu pracy magisterskiej. Przypominam sobie tu zabawną

sytuację. Otóż na korytarzu parteru Szkoły Głównej przed pokojami asystentów stawali w kolejce do zaliczeń studenci młodszych lat, na ogół pierwszy i drugi rok. Któregoś dnia ustawiła się długa kolejka dziewczyn, chyba studentek pierwszego roku, przed pokojem dr Sołtyńskiej. Widząc, jak te dziewczyny bardzo się denerwują, Janek Cybis i ja postanowiliśmy im pomóc. Nasza pracownia była na końcu długiego, ciemnego korytarza, a pokój, w którym one miały zdawać, był na początku. Podeszliśmy do kolejki i zaprosiliśmy pierwsze dwie panie na kolokwium. Bardzo szybko, po jednym czy drugim pytaniu rozległ się śmiech. One to chyba przyjęły nawet za dobry żart. Ale zdarzenie to rozeszło się po Szkole Głównej. Ja i Janek dostaliśmy nagany od pani dziekan prof. Aliny Skirgiełło, włącznie z wpisaniem do akt. Obaj, dwa lata później, będąc już asystentami, przekonaliśmy się na własnej skórze, że przyjmowanie kolokwiów nie jest wcale tak zabawne, że to czasochłonne zajęcie i duża odpowiedzialność.

Studiowaliśmy w taki dość sztywny sposób – ćwiczenia, wykłady, ćwiczenia, wykłady i tak w kółko. Absolutną udręką było jeżdżenie po całym mieście. Wydział był rozrzucony. Ja na samym początku nie znając Warszawy, jeździłem z Bielan, gdzie mieliśmy anatomię człowieka, przez Krakowskie Przedmieście na Czerniaków, gdzie odbywały się zajęcia wojskowe. Jeździło się praktycznie po całej Warszawie. Część czasu spędzaliśmy tutaj, na Ochocie, na Pasteura mieliśmy chemię organiczną, nieorganiczną i fizyczną. Na Wydziale Geologii odbywaliśmy zajęcia z geologii i zabawne zajęcia z gleboznawstwa. Ciepło wspominam wszystkie zajęcia terenowe. Będąc na zoologii, dość dużo wyjeżdżaliśmy w teren ze świetnymi asystentami, że wspomnę tylko Tomasza Umińskiego i Kazika Dobrowolskiego. Były to bardzo ciekawie prowadzone sobotnie zajęcia, nie tylko w Ogrodzie Zoologicznym, ale i w Wilanowie. Wyjeżdżaliśmy również do Białowieży i na Mazury. Tam najprawdopodobniej rodził się już wtedy pomysł utworzenia dla naszego Instytutu stacji terenowej w Urwiłacie koło Mikołajek.

Edward Siński

Pierwsze zajęcia z mikrobiologii podstawowej mieliśmy dopiero na trzecim roku, a na czwartym zaczęła się tzw. mikrobiologia szczegółowa. I to był pierwszy mój wykład z Kunickim.

Bassalik zmarł w 1960 roku, a jego kadra mikrobiologiczna: Ludmiła Janota-Bassalik, Janina Niewiarowska, Cecylia Olczyk, Krystyna Danilewicz, przeszła do nowej Katedry Mikrobiologii i razem z Kwiatkowskim i Tabaczyńskim, importowanymi z Wrocławia, stanowili grupę naszych pierwszych nauczycieli mikrobiologii.

Mirosława Włodarczyk

Studia rozpoczęłam w 1960 roku. Tytuł magistra otrzymałam w 1965. W tym samym roku rozpoczęłam pracę (staż) w Zakładzie Parazytologii Instytutu Zoologii na naszym Wydziale, kierowanym wówczas przez doc. Bernarda Bezubika, później profesora. Na studiach miałam przyznane stypendium naukowe za wysoką średnią ocen, a to umożliwiło mi podjęcie etatowej pracy w uczelni. Studia rozpoczęło około 70 osób, większość stanowiły kobiety, kolegów na roku było kilkunastu. Na drugim roku po wyborze specjalizacji (botanika, zoologia, mikrobiologia lub biochemia) na wybranej przeze mnie zoologii zostało ponad 20 osób, w tym trzech mężczyzn. Wszyscy trzej koledzy ukończyli studia i dostali pracę w Instytucie Zoologii UW – dwaj w Zakładzie Fizjologii, jeden w Zakładzie Hydrobiologii.

Gdy zaczynałam studia, rektorem Uczelni był prof. Stanisław Turski, a dziekanem Wydziału Biologii prof. Marian Rybicki. Dyrektorem Instytutu Zoologii był prof. Zdzisław Raabe. Chyba w latach 70. ubiegłego wieku w Instytucie pojawiła się wspaniała sekretarka, niezastąpiona i nieoceniona pani Krystyna Kowalska (piszę te słowa w grudniu 2018 roku – pani Krysia pracuje do dziś!). Bardzo dobrze wspominam odbywające się na pierwszym roku sobotnie zajęcia terenowe, prowadzone nie tylko przez asystentów Instytutu Zoologii Wydziału Biologii UW, ale również przez pracowników naukowych Polskiej Akademii Nauk (między innymi prof. Macieja Luniaka). Poznawaliśmy faunę zgromadzoną w warszawskim Ogrodzie Zoologicznym, żyjącą na terenie Łazienek, zwiedzaliśmy Muzeum Zoologii PAN, czasową wystawę dinozaurów w Pałacu Kultury i Nauki. Poznawaliśmy faunę strumieni w miejscowości Struga koło Warszawy, obserwowaliśmy zwierzęta Puszczy Kampinoskiej.

W trakcie studiów odpadło z grupy bardzo niewiele osób. Trzymaliśmy się razem, pomagając sobie wzajemnie. Po magisterium na uczelnianych etatach zostało dziesięć osób: dwie w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, jedna w Akademii Medycznej, jedna w Akademii Wychowania Fizycznego, pięć w Uniwersytecie Warszawskim i jedna w Instytucie PAN w Jabłonie. Trzy osoby pracowały w szkolnictwie. Dwie osoby z Wydziału pracowały w ośrodkach naukowych w USA, prof. Piotr Chomczyński – biochemik i dr Małgorzata Kloc – cytolog.

Z kilkoma kolegami ze studiów i z późniejszej pracy utrzymuję do dziś kontakty towarzyskie (było ich więcej – ale już nie żyją). Mam też przyjaciół z innych wydziałów: polonistów, matematyków i historyków. W Zakładzie Parazytologii Instytutu Zoologii Wydziału Biologii UW pracowałam z profesorami Bernardem Bezubikiem, Mirosławem Stankiewiczem, Edwardem Sińskim, Haliną Wędrychowicz, Marią Doligalską oraz z dr Anną Puciłowską. W pracy tak naukowej, jak i dydaktycznej bardzo pomagały

nam zatrudnione na etatach technicznych panie: Monika Zawadzka (kierowniczką zwierzętarni), mgr Danuta Starzyk (późniejsza kierowniczką Biblioteki Wydziału) i Danuta Pietrzykowska.

Maria Magdalena Borowik

Dobrze wspominam pana rektora Stanisława Turskiego. Byłem kiepski z matematyki, a na pierwszym roku mieliśmy matematykę. Szło mi jak po gwoździach. Skończyło się tak, że miałem niezaliczone ćwiczenia. Próbowałem zdawać egzamin, ale dr Sęp, który je prowadził, nie chciał mnie pytać. Ponadto były jakieś sprzeczki pana dr. Sępa z inną grupą studentów. Ostatecznie oni zostali dopuszczeni do egzaminu komisyjnego u pana Stanisława Turskiego. No i Sęp powiedział: „Skoro oni mogą zdawać u profesora Turskiego, to może i niech pan zdaje”. Wtedy ja: „Oczywiście”. Pamiętam ten egzamin u Turskiego. Rozwiązywałem jakieś zadanie, długo to trwało. W końcu Turski stwierdził: „Za wolno pan to robił, za długo. Ale nie chciałbym, żeby stał pan na krawędzi opuszczenia Uniwersytetu. Zaliczcie, kolego, te zajęcia studentowi Podstolskiemu”. No i Sęp, chciał nie chciał, zaliczył mi matematykę na trzy minus. Matematyka miała jednak dla mnie duże znaczenie – tam, na wspólnych zajęciach poznałem moją przyszłą żonę, Marysię Pułaską, studentkę mikrobiologii.

Mam też szereg wspomnień związanych z prof. Ireną Chmielewską. Trzeba powiedzieć, że pani profesor nie była osobą, z którą można było żartować. Była zasadnicza i taka z gruntu prawa. To znaczy, że jeśli było dobrze, to było dobrze, a jeśli źle, to nie ma zmiłuj. Zdanie u niej egzaminu to była wyższa szkoła jazdy, ale przez wszystko to przeszedłem.

Już po studiach, gdy byłem młodym asystentem, pod moją pieczęcią była pracownia magisterska. Któregoś dnia przychodzę rano do pracy w Katedrze Biochemii i widzę, że w korytarzu na parterze gmachu Geologii są ślady jak na plaży, takie falki z piasku. A potem dostrzegam, że te falki stoją w wodzie, że jest gigantyczny potop, woda cieknie z gniazdek, ze wszystkiego. Myślę sobie: ale fajnie, ktoś zrobił potop. W miarę jak szedłem na drugie piętro, mina mi jednak rzedła. Okazało się, że właśnie w tej pracowni, którą miałem się opiekować, ktoś nie zamknął kranu z wodą do chłodnicy. W nocy ciśnienie wzrosło, zasilający wąż wyskoczył i tak lał dookoła po ścianach. Zalało trzy kondygnacje, od drugiego piętra po parter. Pani profesor była wtedy w Armenii. Pomyślałem, że to koniec. Że mogę związać interes, bo zostanę zaraz wyrzucony z pracy. Prądu nie ma, oczywiście nic nie działa. Aliści okazało się, że piętro niżej był Zakład prof. Kaniugi i chyba niejaki Włodzimierz Zagórski zostawił włączoną płuczkę do pipet, bo wtedy pipety były szklane, myło się je najpierw chromianką, a potem płukało w specjalnych przelewowych płuczkach. Okazało się, że ta płuczka

się zapchała i ten potop był również spowodowany przyczynami piętro niżej. Wtedy troszeczkę odetchnąłem, bo prof. Kaniuga miał wysokie notowania u pani prof. Chmielewskiej. Jak Chmielewska wróciła, nie było sprawy. Dosłownie nic. Wszystko uszło na sucho.

Pracę magisterską robiłem u (wtedy) doc. Lewaka z biochemii roślin w zakładzie kierowanym przez prof. Zofię Kasprzyk. Pani profesor – bardzo interesująca osoba. Jowialna, otwarta, mówiła głośno. Miała taki tembr głosu, że śmiałyśmy się, że jak ona mówi, to plomby wpadają w rezonans. Ale była do rany przyłoż. Zajmowała się fotosyntezą, rozpisывała cykl Calvina kredą na tablicy. Pisała, pisała, pisała, wszyscy to kopiowali. A na końcu mówiła: „O, przepraszam, pomyliłam się tam na początku. To wszystko jest nieważne”. No i na tym czasami się wykład kończył. Po obronach magisterskich pani prof. Kasprzyk wydawała słodkie party, na którym głównym daniem były pyszne lody kręczone w ręcznej maszynce przez świeżo upieczonych magistrów ściśle według jej receptury.

Wspominam też pana prof. Aleksandra Godlewskiego, antropologa, który, o ile wiem, był pierwszym dziekanem Wydziału Biologii zaraz po zakończeniu wojny. Wykładał anatomię człowieka, natomiast ćwiczenia z tego przedmiotu prowadził pan dr Wierciński. Na któryś z wykładów prof. Godlewski przyniósł ze sobą kłęb liny, dosłownie, naręcze splątanej liny, w jednym miejscu z przywiązaną czerwoną chustką. Zastanawialiśmy się, o co chodzi, a on powiedział: „To model komórki nerwowej. To czerwone to komórka nerwowa, a cała reszta to neuryt i dendryty. Tak to mniej więcej wygląda w proporcjach. Komórkę macie w głowie, a zakończenia możecie mieć w palcach”.

Profesor Godlewski niestety przeszedł chyba do PAN. Wierciński przez jakiś czas jeszcze prowadził ćwiczenia, a później zajęcia z anatomii odbywały się na AWF i studenci dostawali na nich strasznie w kość. Natomiast tych dwóch panów było po prostu życzliwymi studentom zapalonymi naukowcami. Profesor Godlewski, człowiek starszej daty, na wykładach czasami demonstrował nam zdeformowane czaszki Melanezyjczyków i ciekawie opowiadał o zwyczajach mieszkańców tych wysp. Wierciński był wtedy młodym doktorem zafascynowanym antropologią.

Baliśmy się bardzo wyrzucenia ze studiów, gdyż powtarzanie pierwszego roku nie wchodziło w grę. Trzeba się było sprężyć i przetrwać. Później też był dość srogi reżim. Bez przerwy była presja, że trzeba się uczyć, zdawać kolokwia i egzaminy. Urlopy dziekańskie znaleźliśmy tylko ze słyszenia. Większość kolokwium i egzaminów była ustna, wiele więc zależało też od humoru egzaminatora. Ale w sumie nie było dramatów. Nie zdarzało się, żeby ktoś był tępiony.

Nasz rok biochemiczny liczył 26, a może 28 osób. Kto tam był? Na przykład Jan Stanisław Pyrek, znakomity człowiek, istny geniusz. Na zajęciach z matematyki poprawiał asystentkę. Był świetny z chemii, biochemii, fizyki. Jasiu potrafił wszystko, dużo fotografował. Na parapetach swego mieszkania

przy Marszałkowskiej robił na kliszach autoradiogramy kurzu opadającego na Warszawę po wybuchach nuklearnych w ZSRR. Widziałem je na własne oczy. Robiły wrażenie. Po studiach krótko pracował u pani prof. Kasprzyk, a potem w Instytucie Chemii Organicznej PAN u prof. Kocura, skąd wyjechał do Stanów i już tam został. Niestety nie żyje. To wielka szkoda, że wyjechał. Może w Polsce zrobiłby większą karierę. Ania Radomińska – nawiasem mówiąc, żona Jasia Pyrka. Niedawno miała wykład na Akademii Medycznej jako zaproszony profesor ze Stanów. Jan Kanabus – znakomita postać, ogromnie inteligentny i zdolny. Został w Stanach i tam się kompletnie zmarnował. Jerzy Bogusławski, typ intelektualisty, wraz żoną Zosią Szczęsną też od lat w Stanach. Anna Rychter, wtedy Gientka – profesor i kierownik Zakładu w późniejszym Instytucie Biologii Eksperymentalnej Roślin. Janusz Popowski – pracował na mikrobiologii i w Instytucie Żywności i Żywienia. Ewa Spuz (żona Janusza) – Centrum Zdrowia Dziecka. Andrzej Bidziński – pracował w Instytucie Psychiatrii i Neurologii. Mirka Jakubiak – działała w Instytucie Biochemii i Biofizyki. Ewa Eichelberger – przez długi czas była szefową jednego z zakładów Instytutu Hematologii. Z mojego roku jest też Jadzia Bryła, przez lata dyrektor Instytutu Biochemii.

Życie towarzyskie kwitło. Przyjaźniliśmy się z wieloma osobami z młodszych lat studiów i później z pracy. Anna Rychter, Mirka Jakubiak, o rok młodsza Kasia Dziewanowska, o kilka lat młodsza Bożenna Maciejewska, Irena Sińska, Ania Halińska, Sławek Zagórski, Krysia Szkutnicka. Spotykaliśmy się dosyć często i w różnym składzie urządzaliśmy wspólne wypadki. Pamiętam na przykład obóz narciarski na Przysłopie w Dolinie Miętusiej. Na Przysłopie Miętusim stała chata, którą wynajmowało się od górala Ptosia. W chacie piec, prycze i nic więcej. Nie było wody, prądu. Jeździliśmy na dwa tygodnie do głuszy. Wodę czerpało się ze źródelka na stoku i zwoziło w wiadrach na nartach, prowiant w plecakach z Kościeliska czy Zakopanego. Jeździła tam grupa biologiczno-politechniczna. Tak się składało, że część dziewczyn była z biologii, a koledzy – małżonkowie lub narzeczeni, na przykład Tadek Rychter, Sewek Orzełowski – z Politechniki. Na Miętusią jeździliśmy przez wiele lat, później do Kuźnic. Nie zapomnę przejścia zimowej grani Czerwonych Wierchów na nartach. Słynny był też rajd narciarski chyba z okazji XXX-lecia PRL w Górach Świętokrzyskich – Kasia Dziewanowska w gorączce dawała „popis” nocnego zjazdu ze Św. Krzyża. Razem z Lewakiem wyznaczaliśmy jej trasę – sygnalizując latarkami, skąd ma zacząć i gdzie ma się wywrócić, żeby cało zjechać do bazy noclegowej. To cud, że przeżyła.

A teraz urządzamy sobie *lewakalia*. Spotykamy się w szeroko pojętym gronie wychowanków prof. Lewaka. Co kilka lat organizujemy spotkania gdzieś w terenie. Robimy sobie wspominki, wycieczki. Na te spotkania wciąż przyjeżdża sporo osób.

Biochemia początkowo była zlokalizowana przy ul. Pasteura, a w roku 1960 zajęliśmy częściowo pomieszczenia na Wydziale Geologii. Przejmowaliśmy je stopniowo. Pracownie studenckie były na parterze, na trzecim piętrze grupa roślinna, a na drugim po jednej stronie korytarza grupa prof. Chmielewskiej, którą po jej przejściu na emeryturę ja przejęłam, a po drugiej – grupa prof. Toczeki.

Pamiętam bale w „Stodole”. Jakieś prześcieradło, kokarda przewiązana i suknia na bal gotowa. Nauka zajmowała mi tak wiele czasu, że nie zostało go już na zabawę. Ja nie byłam zabawowa. Byłam obowiązkowa, poza tym chciałam się uczyć. Wiedziałam, że muszę szybko stanąć na nogi i zacząć pracować. Musiałam się też nauczyć języka angielskiego. Byłam samoukiem. Wozilałam w tramwaju podręcznik do angielskiego Dobrzyckiej w zeszytach. A ponieważ podróżowałam z placu Szembeka na Grochowie na Ochotę, więc było sporo czasu na naukę.

Jadwiga Bryła

Na studia poszedłem w 1965 roku. Od początku byłem odizolowany od grupy. Miałem bardzo sprecyzowane zainteresowania i nie pasowałem do zainteresowań innych ludzi. Bardzo wiele osób nie wiedziało, co chce, i to stąd wynikała moja izolacja.

Ryszard Halba

Szefem Zakładu Fizjologii Zwierząt był prof. Marian Rybicki. Bardzo ciekawy człowiek, był wtedy dziekanem. Moi koledzy ułożyli o nim wierszyk, którego początek pamiętam:

*Pierwszy po Bogu, mądry a krótki,
dziekan Rybicki nie lubi wódki.
Nie lubi wódki ni czekolady
i chodzi ciągle po świecie blady.*

Na moim roku było bardzo dużo wybitnych studentów, no ale wielu z nas na trzecim roku, na egzaminie z fizjologii zwierząt, dostało albo dwóję, albo – tak jak ja – słabą trójkę. Profesor patrzy na mnie i mówi: „Zaliczam ten egzamin, bo już nie chcę pani więcej widzieć. Wy, biochemicy, oszukaliście moich asystentów, bo przecież wy nic nie umiecie, a tu same piątki na zaliczeniu”. To było straszne. Mieliśmy co prawda rok wykładów

i ćwiczeń, ale byliśmy słabo przygotowani z zoologii, a pan profesor był specjalistą w zakresie fizjologii przeżuwaczy, która była dla nas raczej wiedzą tajemną. Byliśmy pierwszym rocznikiem studentów biochemii, którzy odbywali wykłady i ćwiczenia w Zakładzie Fizjologii Zwierząt.

A ćwiczenia były ciekawe, bo prowadzili je Krzysztof Śliwiński, Rafał Skoczylas, Jola Sotowska, pani Barbara Leźnicka. I te ćwiczenia szły jakby odrębnym trybem od wykładów. A trzeba pamiętać, że jedynym dostępnym źródłem wiedzy pisanej był tłumaczony z rosyjskiego podręcznik fizjologii zwierząt Kosztojanca, nastawiony raczej na bezkręgowce.

Krystyna Skwarło-Sońta

Studenci, a do pewnego stopnia także pracownicy byli mocno izolowani. Wyjazdy na staże zagraniczne i na konferencje wymagały dużego wysiłku, żeby załatwić wszystkie pozwolenia i uzyskać finansowanie, i były stosunkowo rzadkie, szczególnie wśród studentów. Studenci nieczęsto mieli okazję uczestniczyć w międzynarodowych konferencjach naukowych. Gdy byłem na studiach – to był rok 1966 – odbyło się w Warszawie spotkanie FEBS [Federacji Europejskich Towarzystw Biochemicznych – przyp. red.]. To było duże wydarzenie, przyjechało kilku noblistów. Byli to ludzie, których znaleźmy z podręczników i o których słyszeliśmy na wykładach i nagle zmaterializowali się tutaj, w mocno izolowanym miejscu.

Krzysztof Staroń

Trzeci rok był bardzo ciężki. Trudne egzaminy z biochemii, fizjologii zwierząt i mikrobiologii, bardzo wymagający profesorowie. Nie tylko ja się bałam, bali się prawie wszyscy, bo wtedy traktowało się studia bardzo poważnie. Zresztą na trzecim roku odpadła jedna trzecia studentów, co dziś się nie zdarza.

Były trzy panie, z którymi się przyjaźniłam. Z Jadwigą Wild, która wtedy nazywała się Jadwiga Wróblewska, do dzisiaj utrzymuję stosunki. Magisterium zrobiła w zakładzie kierowanym przez doc. Ludmiłę Bassalik. Potem pracowała w Instytucie Biochemii i Biofizyki u prof. Tadeusza Kłopotowskiego. W latach 70. wyjechała do Stanów i tam już została, niedawno przeszła na emeryturę. Z drugą koleżanką, Małgosią Gurkau, jakoś szybko urwały się kontakty po studiach. Pracowała w Centrum Zdrowia Dziecka, w Pracowni Genetyki. Mieszkała na Saskiej Kępie. A trzecią była Nina Sobczak. Mówiło się na nią Janka, była żydowskiego pochodzenia. W pamiętnym '68 roku, nie zrobiwszy magisterium, z mężem, którego poślubiła na tydzień przed wyjazdem, wyemigrowali do Danii.

Krystyna I. Wolska

Pierwszy rok studiów to była w zasadzie chemia i fizyka. Zoologia i botanika była przez dwa lata. Zoologię wykładał prof. Raabe, a botanikę – książdz prof. Szuleta. I były to świetne wykłady.

Fizykę wykładał dr Tomasz Hofmokl, potem profesor, założyciel i dyrektor NASK [Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa – przyp. red.]. A prawdziwie gnębił nas dr Sęp. To był matematyk, przez którego oblewała największa liczba osób na pierwszym roku. A jak się nie zaliczyło pierwszego roku, to, mówiąc elegancko, studia się opuszczało. Było to szczególnie niebezpieczne dla mężczyzn, bo groziło powołaniem do wojska.

Na trzecim roku, kiedy wybierało się specjalizację, modna była biochemia. Wtedy dyscyplina ta bardzo intensywnie się rozwijała. I dlatego zapisałam się na biochemię. Moim najbliższym przyjacielem był Andrzej Karpiński, osoba żydowskiego pochodzenia, wyjechał po wydarzeniach Marca '68. Jako że ja na „J”, on na „K”, to często byliśmy w tej samej grupie. I tak od pierwszego roku zdawaliśmy wszystkie egzaminy razem, przyjaźniliśmy się, wyjeżdżaliśmy razem w góry. Andrzej także chciał wybrać jako specjalizację biochemię. I tak się stało. Ale po pewnym czasie zaczęliśmy się zastanawiać nad mikrobiologią, dziedziną, która też się intensywnie rozwijała. Wypisaliśmy się więc z biochemii i poszliśmy na mikrobiologię.

Elżbieta K. Jagusztyn-Krynicka

Zacząłem robić dodatkowe rzeczy, które się wymykały ścisłej pracy akademickiej. Postrzegałem naukę w ogóle nieco inaczej – jako chęć poznawania. I jeszcze pod koniec studiów zrobiłem pierwszą rzecz, która była w tym duchu, mianowicie wyprawę po Bugu. Wraz z kilkoma kolegami ze studiów udało się nam zbudować tratwę o nazwie „Bulgotek”. Brali w tym udział Piotrek Cegłowski, Wojtek Żbikowski, Zygmunt Fąfara, Zdzisiek Markiewicz i ja, sami brodaci faceci. Wszystko robiliśmy sami. Kupiliśmy tu na miejscu elementy, a potem zwodowaliśmy tratwę w porcie rzeczonym. Uniwersytet pomógł ją zawieźć. Mieliśmy oficjalny patronat ZSP Uniwersytetu Warszawskiego i wsparcie ze strony profesorów. Mieliśmy też własną flagę, bo aby płynąć granicą, flaga była niezbędna. Przepłynęliśmy cały odcinek graniczny (polsko-radziecki!) oraz polski, ruszyliśmy z miejscowości Hołubie (Gołębie). To była znakomita przygoda, także przygoda naukowa w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu. Wszystko to opisałem w książce *Czarne brody na Bugu*.

Marek Ostrowski

Myśmy nieustająco biegali, i zjedzenie czegokolwiek w środku dnia było w zasadzie niemożliwe. Fizyka była na Hożej, chemia na Pasteura, botanika tam gdzie Ogród Botaniczny, zoologia w Szkole Głównej.

Miałam same piątki z chemii, a stawiane nam stopnie zaczynały się od piątek, których prawie nie było, kończyły zaś na czterech wariantach dwój, z czego, że tak powiem, prosta dwójka była niezłym sukcesem, bo były jeszcze dwójki z wykrzyknikiem, na szynach i różne inne.

Po drugim roku na wakacjach zimowych w Zakopanem poznałam Normana Pieniążka. Norman był już wtedy na genetyce, robił tam magisterkę, jego przyszła żona też. I on z absolutną fascynacją opowiadał o genetyce i tym podobnych rzeczach.

Po czwartym roku miesiąc albo dwa siedziałam jako praktykant, tłukąc jakieś oznaczenia z Normanem Pieniążkiem, bo akurat ktoś mu był potrzebny. Po tej praktyce poszłam z Piotrem Stępnem do Piotra Węgleńskiego i powiedzieliśmy, że jesteśmy zainteresowani pracą na genetyce. I kiedy kończyliśmy studia, zostaliśmy zatrudnieni jako kontraktowi pracownicy inżynierjno-techniczni. Chyba po dwóch latach dostałam etat.

Z Piotrem Stępnem poznaliśmy się na studiach. Ale z opowieści znałam go wcześniej, bo jechałam do Zakopanego pociągiem z dwiema dziewczynami w przedziale i one o nim rozmawiały.

Przez całe studia uczyliśmy się do egzaminów we trójkę – Piotr, Jurek Duszyński i ja. Byliśmy jak trzy papużki nierozłączki. To się rozpadło pod koniec studiów, bo Jurek się ożenił. Poza tym on poszedł do Nenckiego, a my zostaliśmy na uczelni.

Ewa Bartnik

Egzamin wstępny na biologię na Uniwersytecie Warszawskim zdawałam w 1966 roku. Stres, przynajmniej w moim wydaniu, do n-tej potęgi. Ta „rola wody w życiu rośliny” czy podobne rozwlekłe wypracowania były dla mnie, umysłu ścisłego, udręką. A potem egzamin ustny i ewidentny żart dr. Andrzeja Kowalczewskiego. Bo ja coś mówiłam o marchwi, omawiałam przekrój korzenia, wiązki przewodzące, wiadomości typowo szkolne, żadne wzloty. A on się pyta: „A mucha, ile ma skrzydeł? A pajak, ile ma nóg?”. Myślałam, że się przekreślę.

Mieszkaliśmy, zresztą mieszkam tu do tej pory, w domu uniwersyteckim przy ul. Wilczej 13. To darowizna pani Turowej, bogatej żony profesora Tura, nauczyciela mojego ojca. Jak widać, wszystko w moim życiu jest powiązane z biologią. Pani Turowa podarowała po wojnie swoją kamienicę Uniwersytetowi Warszawskiemu. Mieszkała w niej między innymi pani prof. Ludmiła

Karpowiczowa, dyrektor Ogrodu Botanicznego, która była też członkiem komisji egzaminacyjnej, jak zdawałam na uczelnię. Piękna pani, nosząca kapelusze, tak mówi do mnie na podwórku: „Dziecko, to ty jutro masz ten egzamin? To najlepiej zrób sobie przedtem kogel-mogel i wypij koniaczek”. Dostałam się na studia z dobrym wynikiem. W czasie studiów wszystkie wymagane przedmioty zaliczałam w terminie z przyzwoitymi ocenami. Efektownie oblałam, w pierwszym terminie, rozpoznawanie larw pasożytów i ich stadiów rozwojowych u dr Magdaleny Borowik.

Studia były ciężkie. Po pierwsze, pamiętam duży wysiłek związany z przemieszczaniem się po mieście. Jeździliśmy na AWF na Bielany, na chemię na Pasteura, na fizykę na Hożą. I to przy nie najlepszej komunikacji. Siatka zajęć też nie była dobrze ułożona.

Na drugim roku podczas balu biologów poznałam swojego męża – Karola Dowjata, oficjalnie Wiesława Dowjata. Chodziliśmy ze sobą, jak to się mówi, lata całe. Stanowiliśmy skład paczki, a on był „przydzielony do mnie”, aż stał się mężem, ale teraz już nim nie jest. Na tym samym balu był też kolega, nieżyjący już, mikrobiolog, Jurek Grabski. Mój mąż się z nim pobił. Chodziło o podanie płaszczu pani dziekan, w ramach tak zwanego podlizywania się. Nobliwa pani dziekan Skirgiełło być może widziała, że ktoś komuś dał w szczękę za podanie jej płaszczu. Dystans między profesorami i studentami, ale też młodszymi pracownikami był wtedy znacznie większy, nikt nie mówił per ty.

Z mojego roku na biochemii byli Ewa Bartnik, wtedy Balicka, i Piotr Stępień – późniejsi profesorowie w Zakładzie Genetyki, a także Małgorzata i Jan Zalescy, uczniowie pani Jadwigi Bryły, małżeństwo kolegów, którzy wyjechali do Stanów. W tej chwili przyjaźnią się z moim byłym mężem, który tam mieszka. Z dalszych kolegów pamiętam siostrę Małgorzatę Chmielewską, która założyła Wspólnotę „Chleb Życia”, studiowała na naszym roku hydrobiologię.

W moim najbliższym otoczeniu, czyli mikrobiologów, był Zdzisław Markiewicz, późniejszy profesor w Instytucie Mikrobiologii i wieloletni dyrektor. Był nieco starszy od nas, bo jako emigracja powojenna wrócił do Polski jako szesnastoletni chłopak i nadrabiał lata polskiej edukacji. Był z innej rzeczywistości, no ale świetnie znał angielski. Obecnie na stałe mieszka w USA.

Była też na naszym roku Ewa Feldman, późniejsza Piechucka. Z Tomkiem Słomczyńskim byliśmy starostami roku. Po krótkim czasie zatrudnienia w Instytucie Mikrobiologii UW Tomek pracował w Zakładzie Inżynierii Środowiska na Politechnice Warszawskiej. Był moim największym przyjacielem, niestety, zmarł w sierpniu 2017 roku. Do zatrudnionych z naszego roku w Instytucie Mikrobiologii UW należała Zosia Śnieżek, wtedy się nazywała Mielec, ze starszego roku byli Marek Ostrowski, Elżbieta Jabłońska. Z mikrobiologów z naszego roku realizujących się zawodowo w tej dyscyplinie wymienić jeszcze mogę Lilkę Gilert, no i mojego bardzo bliskiego kolegę – Andrzeja Potapowicza.

Wykłady były ważne. Nie można było na nie nie chodzić, bo nie było gdzie sięgnąć po wiedzę – brakowało dostępnych podręczników, nie było internetu. Ja chodziłam na wykłady i notowałam, ale ja strasznie bazgrzę, więc moje notatki dla mnie były wyśmienite, lecz innym nie służyły. Były takie osoby, których notatki to był po prostu skarb. Do nich należała Ewa Feldman. Pisała bardzo wyraźnie – z tych notatek uczyła się z Lilką Gilert.

Anna Kraczkiewicz-Dowjat

Studia zaczynałem w 1968 roku, pamiętnym roku rewolt studenckich, wypadków marcowych w Polsce, Praskiej Wiosny i interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Mimo tego burzliwego tła egzaminy wstępne przebiegały spokojnie, przy ponad ośmiu kandydatach ubiegających się o jedno miejsce. Jak pamiętam, egzaminy pisemne (z biologii i języka obcego) odbywały się w bocznych aulach Auditorium Maximum. Egzamin pisemny z biologii polegał na napisaniu eseju na jeden z trzech tematów do wyboru. Na egzaminach ustnych z biologii i chemii należało odpowiedzieć na kilka wylosowanych pytań; egzamin przeprowadzały mieszane komisje biologów i chemików w jednym z budynków Geografii.

Jako kandydat na studia nie zdawałem sobie sprawy, że kończył się wtedy długoletni okres współistnienia biologów i geografów w ramach jednego Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi, który rozpadał się właśnie na odrębne jednostki: Wydział Biologii oraz Wydział Geografii i Studiów Regionalnych, choć jeszcze przez jakiś czas nasz dziekanat mieścił się w Pałacu Potockich, czyli na Geografii. Był to jeden z elementów zachodzącej po Marcu przebudowy personalnej i instytucjonalnej całego Uniwersytetu, w ramach której wprowadzano na miejsce dawnych katedr zakłady i instytuty, dokonując przy okazji czystek kadrowych, zwłaszcza na wydziałach humanistycznych.

Po Marcu '68 Uniwersytetowi poważnie ograniczono dotacje na rozwój. Ostatnią dużą inwestycję stanowiły akademiki przy Żwirki i Wigury, oddane do użytku w roku akademickim '68/'69. Potem nastąpiły dwie dekady zastoju. Doskonale sobie przypominam powszechną, narastającą z latami ciasnotę, którą starano się doraźnie rozładować, aranżując na przykład antresole czy dzieląc niewielkie pokoje biurowe za pomocą regałów (stąd *Dydaktyka za szafą* – tytuł artykułu Krystyny Falińskiej z lat 70.). Na poprawę warunków lokalowych trzeba było czekać aż do lat 90.

Po egzaminach przyjęto ostatecznie na studia 110 czy nawet więcej osób. Rocznik był jednak słabo zintegrowany, ponieważ zajęcia mieliśmy rozrzucone po całym mieście i bardzo trudno się było zebrać ze sobą razem, program studiów zaś był przeciążony. Dochodziła do tego nieufność ze względu na inwigilację ze strony służb bezpieczeństwa.

Centralę Wydziału stanowiła wtedy Szkoła Główna przy Krakowskim Przedmieściu – na parterze zoologia, na piętrze botanika i w podziemiach z jednej strony zwierzętarnia, a z drugiej fitotron, poza budynkiem zaś ogród doświadczalny. Naprzeciwko, w tzw. Gmachu Pomuzealnym mieściły się różne eksperymentalne zakłady zoologiczne: embriologia, fizjologia zwierząt i cytologia. Pozostałe jednostki były rozlokowane w różnych odległościach od centrali. Najbliżej, na rogu Nowego Świata i Świętokrzyskiej, miała swoją siedzibę hydrobiologia oraz część mikrobiologii; mikrobiolodzy zajmowali ponadto pomieszczenia w budynku przy ul. Karowej. Kolejny ośrodek znajdował się znacznie dalej (ale ciągle w Śródmieściu), w kompleksie Ogrodu Botanicznego przy Alejach Ujazdowskich. Ośrodek ten obejmował mieszczący się tu od lat międzywojennych Zakład Systematyki i Geografii Roślin, a także powstałe już po wojnie Zakład Genetyki (Zakład Genetyki wchodził w skład Instytutu Botaniki aż do połowy lat 90., gdy wyprowadził się z Alei Ujazdowskich do nowego gmachu przy ul. Pawińskiego) oraz Zakład Fitosocjologii i Ekologii Roślin, ulokowane na pierwszym piętrze gmachu Obserwatorium Astronomicznego. W żartobliwym ujęciu księdza prof. Szulety był to ośrodek „botaniki spacerowej” w odróżnieniu od „botaniki złudzeń optycznych”, uprawianej w Szkole Głównej. Najdalej wysuniętą placówkę Wydziału stanowił Instytut Biochemii, mieszczący się w budynku Wydziału Geologii przy ul. Banacha na Ochocie. Budynek ten wyrastał wtedy samotnie wśród ruderalnych ziołorośli wrotyczu i nostrzyków, panujących w tych latach prawie na całym Polu Mokotowskim – od Pawińskiego po aleję Niepodległości.

Wynikające z opisanej topografii wędrówki studentów biologii – zwłaszcza początkowych lat – należy uzupełnić o konieczność uczęszczania na zajęcia na Wydziałach Chemii i Fizyki, a też na Akademii Medycznej, AWF-ie oraz w innych miejscach, wynajmowanych na przykład na potrzeby lektoratów językowych. Było to ogromne obciążenie czasowe dla studentów, ułożenie zaś w tych warunkach rozsądnej siatki zajęć stanowiło prawdziwe wyzwanie.

Wydaje mi się, że mój rocznik był przedostatnim, który kończył jeszcze siedmioklasową szkołę podstawową i czteroletnie liceum, a następnie odbywał jednolite pięcioletnie studia według tradycyjnego programu, który za dwa lata miał się istotnie zmienić. Mieliśmy dwa lata wspólnych studiów, na których wszystkich studentów obowiązywał ten sam zestaw zajęć. Na trzecim roku obok kilku obowiązkowych zajęć wspólnych pojawiały się przedmioty kierunkowe, związane z wyborem dalszych studiów w którymś z czterech ówczesnych Instytutów – Botaniki, Zoologii, Mikrobiologii lub Biochemii. Po trzecim roku wybierało się specjalizację w obrębie instytutu, z tym że jeszcze na czwartym roku były obowiązkowe przedmioty wspólne dla całego rocznika (bodajże ewolucjonizm oraz wstęp do filozofii przyrody). Podstawowy etap studiów obejmował obszerne kursy zoologii i botaniki (każdy po cztery semestry), chemii ogólnej, analitycznej, organicznej i fizycznej (w sumie sześć semestrów) oraz fizyki (trzy semestry). Natomiast

biochemia i mikrobiologia ogólna ograniczały się do semestralnych kursów na drugim roku, podczas gdy fizjologia roślin i zwierząt, genetyka i ekologia odbywały się dopiero na trzecim roku. Przeładowanie programu chemią było zapewne związane z tym, że absolwenci biologii uzyskiwali uprawnienia do nauczania na poziomie średnim zarówno biologii, jak i chemii. Jedną z oczywistych wad takiego programu było to, że studenci kierunków środowiskowych musieli uzupełniać potrzebną im wiedzę z zakresu nauk o Ziemi.

Mimo iż zajęcia były absorbujące i wraz z dojazdami zajmowały mnóstwo czasu, wiele z nich wspominam z sentymentem i oceniam jako dobre i bardzo dobre. Miałem okazję uczyć się między innymi na przejrzyste, oryginalne i inspirujące wykłady Zdzisława Raabego z zoologii, Jerzego Pniewskiego z fizyki, Juliana Gałęckiego z chemii ogólnej, Kazimierza Toczki z biochemii, Wacława Gajewskiego z genetyki, Władysława Matuszkiewicza z ekologii i fitosocjologii. Spośród licznych zajęć laboratoryjnych najlepiej wspominam doskonale zorganizowane pracownie z cytologii i anatomii roślin (pod kierunkiem Jadwigi Tarkowskiej i Marii Charzyńskiej) oraz zoologii (pod kierunkiem Tomasza Umińskiego) w Szkole Głównej, a także z systematyki roślin i grzybów (pod kierunkiem Hanny Szymańskiej, a następnie Andrzeja Batki) oraz z genetyki w Alejach Ujazdowskich. Nie pozostawiły mi natomiast dobrych wspomnień znacznie gorzej zorganizowane pracownie chemiczne i biochemiczne, gdzie konieczność walki o dostęp do szkła i odczynników oraz korzystanie z wadliwej często aparatury były źródłem nieustannego stresu. Znacznie bardziej odpowiadały mi zajęcia terenowe, które miały wtedy formę botanicznych wycieczek podmiejskich oraz dłuższych wyjazdów, jak choćby zajęcia w Białowieży, prowadzone przez Krysytynę i Janusza Falińskich. Takie właśnie zajęcia zdecydowały o wybraniu przeze mnie specjalności środowiskowej.

Szkolenie wojskowe było obowiązkowe dla studentów zakwalifikowanych jako zdolni do służby wojskowej, z zaliczeniem wpisywanym do indeksu. Stanowiło ono, zwłaszcza tuż po Marcu, zmorę studiów. Zajmowało jeden dzień w tygodniu przez cztery lata studiów, a ponadto dwa miesiące obozu wojskowego, organizowanego w normalnych jednostkach wojskowych w czasie wakacji: jeden miesiąc po pierwszym roku, a następny – po czwartym roku, czyli akurat w sezonie zbioru materiałów do pracy magisterskiej.

W ciągu roku akademickiego szkolenie wojskowe odbywało się w Studium Wojskowym UW, które mieściło się wówczas w barakach u zbiegu Czerniakowskiej, Szwoleżerów i 29 Listopada (można tam było dojechać m.in. trolejbusem nr 52). Studenci UW, a także PWST i ASP, przebrani obowiązkowo w polowe mundury wojskowe i sformowani w plutony, kompanie i bataliony, od siódmej rano zaznawali nauki taktyki, musztry i ogólnie drylu wojskowego pod kierunkiem kadry oficerskiej, grupującej niezapomniane osobowości ze sławnymi majorami Kuźmą i Kucejką, o których krążyły całe historie, rozpowszechniane nawet na emigracji. Pobliskie usypisko gruzu na Siekierkach ochrzczono nazwą Kopca Kucejki (obecnie Kopiec Powstania

Warszawskiego). Bardzo źle zapisało się w mojej pamięci szkolenie w jednostce wojskowej w Morągu, zwłaszcza na obozie po czwartym roku, kiedy to wskutek brawury i nieodpowiedzialności wojskowych doszło do tragicznego wypadku, w którym zginęło kilku kolegów z neofilologii. Nawet po latach wspominam te zajęcia jako wymuszony udział w ponurej grotesce. Ten model szkolenia wojskowego uległ wkrótce zmianie na tzw. Szkołę Oficerów Rezerwy (rok po studiach), co zbiegło się w czasie ze zmianą ekipy rządzącej.

Jan Chojnacki

Na początku studiów byłem zagubiony – nie bardzo wiedziałem, gdzie się obrócić. A poza tym nie umiałem się uczyć w stylu akademickim. Jednym z pierwszych egzaminów, jakie w życiu zdawałem, był egzamin z botaniki u księdza prof. Józefa Szulety. Chciałem dobrze zdać, więc bardzo długo się przygotowywałem. Po egzaminie ksiądz profesor powiedział do mnie: „Wie pan co? Odnoszę wrażenie, że pan dużo umie, ale nie umie pan zdawać egzaminów”. I postawił mi tróję. Z kolei jednym z moich ostatnich podczas studiów był egzamin z ochrony przyrody u prof. Janusza Falińskiego; profesor na koniec powiedział: „Wie pan co? Pan to chyba niewiele umie, ale umie pan zdawać egzaminy”. I postawił mi piątkę.

Michał Kozakiewicz

W czasach, gdy rozpoczynałam studia, obowiązywał egzamin pisemny i ustny z biologii (i nie tylko). Bardzo trudno było dostać się na studia, ponieważ na jedno miejsce na Wydziale Biologii było ośmiu kandydatów.

Bardzo dobrze pamiętam egzamin ustny. Był to trudny egzamin, ponieważ wymagał porównania, co pełni rolę szkieletu u roślin i zwierząt. No i trzeba było w tej młodej głowie skojarzyć ścianę komórkową u roślin ze szkieletem u zwierząt. Doskonale pamiętam, jak profesor – wówczas doktor – Andrzej Batko, gdy zobaczył, jak przerażona wychodziłam z egzaminu, pokazał mi gest z kciukiem do góry, co oznaczało, że dobrze mi poszło. Było to dla mnie ogromne pocieszenie. To był taki ludzki gest.

Tym, co dalej ukierunkowało moje zainteresowania, było odkrycie lasu. Zaangażowałam się w ruch turystyczny, który w tym czasie na Uniwersytecie miał wiele propozycji dla studentów. Sami studenci organizowali różne rajdy, wycieczki i obozy. W rozkwicie były liczne kluby turystyczne, na przykład „Unikat” czy „SKPB”. Gromadzili się w nich studenci, i to z różnych Wydziałów, zainteresowani spędzaniem czasu właśnie w formie wspólnych wyjazdów. Bardzo często były to osoby pasjonujące się przyrodą. Oczywiście główną atrakcją takich wyjazdów były długie wędrówki, ogniska,

piosenki itp. Równocześnie można było zdobyć istotne dla dalszej pracy uprawnienia – na przykład organizatora turystyki czy przewodnika. Często wyjeżdżaliśmy w północno-wschodnie rejony Polski, zarówno zimą, jak i latem (Suwalszczyzna). Były to wyjazdy przyrodnicze, które otworzyły mi oczy na piękny i fascynujący świat lasu. W tym okresie nastąpiło połączenie wiedzy, którą zdobywałam na studiach, z tym co obserwowałam na naszych wyjazdach i eskapadach. Pozwalało mi to spojrzeć na świat innym okiem.

Byłam bardzo mocno angażowana w taką formę spędzania czasu. Zdo-
byłam wszystkie możliwe uprawnienia: Organizatora Turystyki, Przewod-
nika Białostockiego oraz Strażnika Ochrony Przyrody. W dodatku wspólnie
z kolegami założyliśmy jeszcze jeden klub turystyczny, który nazywał się
Studencki Klub Strażników Ochrony Przyrody „Ucho Łosia”. Do dzisiaj nikt
nie wie, co nam przyszło do głowy, aby tak nazwać klub – ale wyobraźnia
studencka nie ma granic. Prowadziłam klub przez trzy lata, po czym dalej
istniał około pięciu lat. Ciekawe jest to, że bardzo wiele osób, które uczest-
niczyły w naszych wspólnych wyjazdach czy obozach, w dalszym życiu
zawodowym wybrało ścieżkę związaną z turystyką czy też z różnego rodzaju
pracami na rzecz ochrony przyrody. Widać więc, jak ważny i owocny może
być dobrze wykorzystany czas studiów, chociaż wszystko to przypadało na
trudne czasy w życiu Uniwersytetu (lata 1974–1978).

Dla mnie trudnym przeżyciem był ustny egzamin z chemii. Dostałam
pytanie, a właściwie wylosowałam cały zestaw pytań. Miałam kilka minut na
przygotowanie odpowiedzi. W gabinecie cisza. Tymczasem patrzę, a profesor
na boku coś tam wsypuje do zlewki. W zlewce jest jakaś ciecz i ta ciecz
robi się coraz bardziej brązowa. Ogarnia mnie strach, nogi mi się uginają!
Nie mam pojęcia, co to może być za reakcja chemiczna! Nic nie pamiętam,
w głowie wszystko mi się miesza. Myślę sobie – no to po mnie!!! Zaraz
zacznie mnie o to pytać, o tę reakcję! Robi mi się słabo. Cisza nadal trwa,
a tymczasem profesor spokojnie pije zawartość zlewki... bo to była... herbata.

Dość zabawne też były sytuacje przed kolokwium z zoologii. To były
bardzo trudne kolokwia, ponieważ należało znać nazwy łacińskie niezli-
czonej ilości różnych organizmów, które znajdowały się zatopione w for-
malinie w zamkniętych słoikach. Oczywiście wszystko przerabialiśmy na
ćwiczeniach. Ale na kolokwium, kiedy nazwy na słoikach były zakryte – to
już dużo trudniejsza sprawa. W dodatku trzeba było naprawdę dobrze się
orientować, bo kolokwia były ustne.

Poprzedniego dnia, przed kolokwium, był czas na powtórzenie, słoiki
z pełnymi nazwami były wystawione i można było wszystko jeszcze raz
zobaczyć. Jednak nasza nauka (zarówno moja, jak i wielu innych kolegów)
polegała na nauczeniu się... czym różnią się słoiki!!! Wiadomo było, że ten
słoik z dużą zakrętką zawiera „to i to”, a ten z rysą na parafinie to jest „to
i to”. I tak uczyliśmy się... ale nie tego, jak te organizmy wyglądają, tylko
jak wyglądają słoiki, w których są zamknięte. To ciekawe, dlaczego łatwiej
było się nauczyć słoików, niż czym różnią się między sobą różne ślimaki?

Widocznie tak mało się różniły, za to słoiki były różne, toteż przez szereg lat studenci uczyli się... słoików. A może właśnie dlatego, że byłam specjalistką od słoików, to w następnych latach jako specjalizację wybrałam botanikę? Ciekawa też jestem, czy nasi dawni asystenci wiedzieli o takim „niecnym” procederze? Teraz, ja na ich miejscu, od razu bym tych studentów udusiła za głupotę!!

Małgorzata Wierzbicka

Przez pierwsze lata byłam trochę zniechęcona do studiów. Za dużo było dla mnie przedmiotów ścisłych, w których nie bardzo się odnajdywałam. Szczególnie nie znosiłam matematyki. Gdyby nie mój obecny mąż, który na poprawce z matematyki za pomocą nitki dał mi ściągę z rozwiązanymi zadaniami, chyba by mnie tutaj teraz nie było. Później było już tylko lepiej, a przełomowym momentem okazały się po drugim roku studiów praktyki w Instytucie Ekologii PAN. Wtedy zakochałam się w ekologii, której pozostałam wierna przez całe swoje życie zawodowe.

Anna Kozakiewicz

Studia były jednolite, pięcioletnie i po trzech latach wybierało się kierunek. Trzeba było wybrać między biochemią, mikrobiologią, zoologią i botaniką. Ponieważ było nas na roku bardzo wielu, blisko 200 osób, aby dostać się na wymarzony kierunek, trzeba było mieć odpowiednią średnią. Studia wyglądały inaczej niż dziś, nie było bowiem takiego bukietu przedmiotów, jaki jest w tej chwili, za to wykłady, ćwiczenia trwały znacznie dłużej. To, co dziś prowadzimy w tzw. dużym wymiarze, stanowi zaledwie jedną trzecią tego, co ja przerabiałam.

Długo zastanawiałam się, który kierunek wybrać, bo wszystkie mnie interesowały, i w końcu zdecydowałam się na biochemię. Po kilku miesiącach stwierdziłam, że to nie była dobra decyzja, że trzeba było iść na botanikę. Pani dziekan prof. Alina Skirgiełło wyjątkowo wyraziła zgodę, żebym studiowała na obu kierunkach. Zależało mi, żeby skończyć biochemię, bo tam były przedmioty niedostępne dla botaników, na przykład chemia fizyczna, a także pracownie biochemiczne, które dawały dobre podstawy preparatyki. A kiedy trafiłam już na botanikę, wszystko było dla mnie interesujące, wszystko było cudowne, no, może z wyjątkiem mikroskopów i anatomii. Bardzo mi też odpowiadały wykłady z fizjologii roślin, przede wszystkim z fotosyntezy, które prowadził prof. Jerzy Poskuta.

Profesor Poskuta przejął Zakład Fizjologii Roślin po prof. Bassaliku, po którym mamy pamiątki. W pokoju seminaryjnym stoi na przykład jego

popiersie, a ja korzystam z biurka i fotela profesora. My nie mieliśmy okazji go poznać, ale jego żona – pani prof. Ludmiła Bassalik-Chabielska – prowadziła dla nas wykłady z fotosyntezy u bakterii. Ostatecznie swoje miejsce znalazłam na fizjologii roślin.

Głównym źródłem wiedzy były wykłady. Książek było bardzo mało, a jeżeli już, to wyłącznie w bibliotece. Korzystało się więc z biblioteki – albo uniwersyteckiej, albo na Koszykowej. Na wykłady chodziło się tłumnie, a nie tak jak teraz, kiedy przychodzi kilka osób.

Elżbieta Romanowska

Jakże inną niż w liceum formą nauki okazało się studiowanie na naszym Wydziale Biologii! To już nie było mozolne omawianie fragmentów podręczników, a potem powtarzanie i odpytywanie. Na przykład ćwiczenia z zoologii były dla mnie prawdziwym szokiem. Każde zajęcia poprzedzał kilkudziesięciominutowy wykład wprowadzający – niezwykle szczegółowy, z wieloma terminami po łacinie. Przypominało to system jak na poważnych studiach medycznych, tylko że materiał był chyba jeszcze bardziej obfity, bo dotyczył wielu grup zwierząt. To był ogromny skok jakościowy. Do tego dochodziło doskonalenie zdolności manualnych (sekcje zwierząt) i ćwiczenie umiejętności precyzyjnego dokumentowania swoich obserwacji w formie rysunkowej (nie było wszak telefonów z wbudowanymi aparatami cyfrowymi). Wszystko było takie ciekawe i... takie cudownie obszerne. Ćwiczenia z zoologii stanowiły duży blok trwający trzy semestry. Ponieważ w zajęciach brali głównie udział studenci pasjonaci, wybrani po trudnych egzaminach wstępnych, raczej nikt nie protestował (no, może koleżanki – z powodu sekcji). Ale czuliśmy, że ten bagaż informacji oraz wiedza o tym, jak uczyć się, selekcjonować i zapamiętywać ogromną liczbę faktów – to przecież kiedyś będzie nasza praca. Nasze życie.

Efektom zainteresowania studentów ćwiczeniami oraz rozmów z osobami prowadzącymi zajęcia było czasem zaproszenie do udziału w badaniach terenowych w czasie wakacji. Za niezwykle sympatyczne i inspirujące uważam podróż po Polsce z Anią Kalinowską w poszukiwaniu ślimaków kumulujących radioaktywny stront-90 czy udział w badaniach ornitologicznych dr Danuty Jędraszko-Dąbrowskiej w Duninowie nad Wisłą.

Krzysztof Dmowski

Bardzo mnie zafascynowali wszyscy prowadzący. Zwłaszcza z Maryną Szöllösi (wówczas Sołtyńską) mam do tej pory bardzo bliskie, serdeczne kontakty: od tutorki po przyjaciółkę. To taka bardzo piękna przyjaciółka.

Na studiach niesamowite wrażenie zrobiły na mnie praktyki w Dziekanowie Leśnym. To było prawdziwe zetknięcie z przyrodą, bo już nie laboratoryjne, ale takie bezpośrednie. Nocne wyprawy na słuchanie sów, oglądanie pomostów służących do mierzenia wysokości lotów komarów – to było właśnie to, o co mi chodziło. Te praktyki prowadziła dr Ewa Nowak, z którą też jesteśmy do tej pory bardzo zaprzyjaźnione. Te osoby więc, które wywarły na mnie od początku wielki wpływ i zrobiły na mnie wielkie wrażenie, do tej pory są w gronie moich bliskich przyjaciół.

To, co z kolei było dla mnie szalenie trudne, to wszystkie sprawy związane z zajęciami z zoologii, gdzie był a to ukatrupiony gołąb, a to żaba, a to trzeba było uśmiercić rybę. Nie mogłam się z tym pogodzić i od tamtej pory zaczęłam się udzielać w różnych ruchach reformujących praktyki laboratoryjne przynajmniej tam, gdzie uśmiercanie do celów edukacyjnych nie było konieczne. Wtedy te ruchy nie były jeszcze silne, ale odkąd się pojawiły, żywo angażowałam się w ich działalność. Potem, jak jeździłam na różne staże i stypendia gdzieś w świecie, to wszyscy się dziwili, że u nas tak długo zabijało się zwierzęta na ćwiczenia z zoologii w tych przypadkach, kiedy mogły to zastąpić pokazy medialne. Chociaż w tych krajach również, w latach 60. i na początku lat 70., było to normalną praktyką, standardem edukacyjnym wydziałów przyrodniczych.

Ważne były dla mnie wszystkie zajęcia związane z ekologią, bo wtedy już całkowicie zafiksowałam się na zagadnieniach ekologicznych. Było wtedy trochę wykładów prof. Petruszewicza, ale ja ciągle miałam niedosyt. Bardzo lubiłam zajęcia z prof. Matuszkiewiczem i to było takie odkrywanie świata roślin, który przedtem mnie nie fascynował. Podobały mi się też zajęcia z panią prof. Skirgiełło, bo z zoologii wydawało mi się, że wiem już prawie wszystko, a odkrywanie świata roślin było dla mnie czymś bardzo nowym.

Podczas dość burzliwego egzaminu z biochemii mój indeks wylądował za oknem. Sytuacja jest, powiedziałabym, symboliczna, bo teraz siedzę w swoim pokoju w UCBS [Uniwersyteckim Centrum Badań nad Środowiskiem Przyrodniczym i Zrównoważonym Rozwojem – przyp. red.] w gmachu Wydziału Geologii prawie dokładnie w tym miejscu, do którego ten indeks doleciał. Egzamin był u pani prof. Chmielewskiej. Myśmy się z moją przyjaciółką Ewą Kościńską strasznie tego egzaminu bały i starałyśmy się wymyślić jakiś sposób na wymiganie się z niego tego dnia. Ponieważ obie mieszkaliśmy pod Warszawą, na linii kolejki podmiejskiej – Ewa w Malichach, ja w Podkowie Leśnej – wymyśliłyśmy bardzo dramatyczną historię, że przez tory przejeżdżała furmanka, kolejka się wykołosała, my chciałyśmy ratować konia i jesteśmy tak roztrzęsione, że nie możemy dziś zdawać. Niestety, mimo tej wzruszającej historii nie udało się egzaminu uniknąć. Wspominamy to przy spotkaniach z Ewą, która potem zrobiła karierę jako immunolog (korzystając *nomen omen* z metod biochemicznych) w Stanach Zjednoczonych.

Laboratorium zawsze było dla mnie przykrą częścią pracy. Nie mam temperamentu do miareczkowania i innych takich rzeczy. Jednak wielokrotnie musiałam z nich korzystać, zwłaszcza gdy zajmowałam się badaniem obiegu skażeń (Pb, radioaktywnego Sr) w ekosystemach. Kiedy Polska była włączona do programu MAB [Program „Człowiek i Biosfera”, ang. „Man and Biosphere” – przyp. red.] i innych międzynarodowych programów biologicznych, czułam, że to jest taki światowy oddech, ta ekologia. Ten nurt najbardziej mi odpowiadał i zaangażowałam się po uszy w badania terenowe, ale okazało się, że i tutaj nie obędzie się bez działalności laboratoryjnej. To był więc taki kamień u nogi moich zainteresowań ekologicznych. Ta część badań, gdzie trzeba się było wykazać precyzją, cierpliwością, nudnym powtarzaniem kolejnych pomiarów – to było dla mnie zawsze elementem bardzo ciągnącym do ziemi w górnolotnych pomysłach badawczych.

Te pierwsze przyjaźnie ze studiów i z pracy są bardzo silne i do tej pory mamy taką kochaną „babską grupę biologiczną”... Jest nas 8–10 dziewczyn, które się spotykały i nadal spotykają regularnie. To między innymi Danka Kozera, która prowadziła sekretariat Hydrobiologii, Joasia Pijanowska, która też ma swoje korzenie w Zakładzie Hydrobiologii, Ewa Nowak, Irmina Pomianowska, Maryna Söllösi, nieżyjąca Krysia Jopkiewicz i jeszcze parę już siwiejących dziewczyn. Na różnych etapach te nasze kontakty zawodowe przerodziły się w taką absolutnie stałą przyjaźń.

Anna Kalinowska

Na roku było nas 110, w tym siedmiu chłopców. Pamiętam to dokładnie, bo mamy bardzo regularnie spotkania naszego rocznika. Właściwie ze wszystkimi osobami, z którymi wtedy byłam blisko, teraz też jestem blisko.

Z mojego rocznika jest na przykład Marysia Doligalska, znaczy pani prof. Doligalska, Hanka Werblan, która jest zwykle jednym z organizatorów naszych spotkań, Małgosia Kalinowska, Jacek Kuźnicki – dyrektor Instytutu Biologii Molekularnej.

Miejscem, do którego mam szczególnie sentyment, jest Szkoła Główna. Cały czas studiów związany był z tym właśnie budynkiem.

Agnieszka Mostowska

Początek studiów i moje pierwsze, niezapomniane wrażenia to oczywiście możliwość kontaktu z niezwykłymi ludźmi. Z tych pierwszych lat najbardziej zapamiętałam prof. Gajewskiego, prof. Raabego. Niezapomniana pozostanie Szkoła Główna, z jej niepowtarzalną atmosferą – jakby czas zatrzymał się na

początku XX wieku: tajemniczo trzeszczące schody, mnóstwo eksponatów, zwierzaki w formalinie, prastare rośliny...

Po generalnym remoncie, od kiedy gospodarują tu archeolodzy – wszystko się zmieniło...

Studiowałam w latach (1971–1976), kiedy Wydział Biologii był rozrzucony praktycznie po całej Warszawie. Ogromną uciążliwością były dojazdy – mnóstwo czasu tracone w autobusach i tramwajach... Dziś „kompaktowość” Wydziału jest oczywista i studenci pewnie już tego nie doceniają...

Barbara Sudnik-Wójcikowska

Na studia zdawałam w 1971 roku. Egzamin odbywał się w auli na Wydziale Geografii. Przez trzy kolejne dni pisaliśmy biologię, chemię i język angielski. Egzamin ustny odbywał się w budynku Szkoły Głównej. W komisji był pan prof. Lewak, pani prof. Maria Charzyńska, pan dr Nowicki, a wprowadzał nas pan dr Ryszard Halba.

Maria Doligalska

Na studia dostałam się bez większego trudu. We wrześniu przed rozpoczęciem roku akademickiego miałam praktyki robotnicze (to był wtedy obowiązek, aby każdy przyszły student poznał życie robotnika w PRL). Odbywaliśmy je w Hucie Warszawa, a pracowali z nami przyszli studenci Wydziału Prawa. Było nas 20 osób. Mieliśmy za zadanie przygotować miejsca dla drzew, ponieważ wokół huty miała powstać otulina. Kopaliśmy dołki pod drzewa, które miały być posadzone późną jesienią. Nasi koledzy z Prawa przygotowywali teren pod budowę drogi wewnętrznej na terenie huty. Naszym opiekunem był dr Jerzy Nowicki (ornitolog, późniejszy dyrektor administracyjny Wydziału Biologii, od wielu lat nie żyje).

Pierwszego października 1971 r. rozpoczął się rok akademicki. Głównie pamiętam ciągle przemieszczanie się po Warszawie. Mieliśmy zajęcia w kilku miejscach. Najwięcej zajęć było w budynku dawnej Szkoły Głównej na Krakowskim Przedmieściu. Pierwsze wykłady z cytologii i anatomii roślin prowadził kostyczny ksiądz prof. Józef Szuleta. Dość traumatyczne były ćwiczenia z zoologii. Na pierwszych trzeba było narysować mysz i żabę, a że nie byłam dobra z rysunków, miałam kłopoty z zaliczeniem tych ćwiczeń.

Hanna Werblan-Jakubiec

Z Wydziału Biologii nie mam złych wspomnień, natomiast nie najlepiej wspominam chemię organiczną. Wspaniałe seminaria z panią Barbarą Macierewicz – zupełnie rewelacyjna, potworna siekiera, nietolerująca głupoty, w mojej ocenie wybitny pedagog. Natomiast ćwiczenia z chemii organicznej to była rzecz po prostu skandaliczna. Oni kazali nam płacić za stłuczone szkło!

Chemię analityczną prowadził dr Wiktor Pawłowski – potwornie złośliwy, niesłychanie inteligentny, bystry, doskonały dydaktyk. Strasznie mi się te zajęcia podobały. Był też wybitny zupełnie człowiek, wtedy bardzo młody adiunkt – Lucjan Piela. Niedawno odszedł na emeryturę, to jeden z najwybitniejszych żyjących chemików kwantowych, uczeń Kołosa. To też były wspaniałe ćwiczenia. Oczywiście czysto teoretyczne, bo wtedy się doświadczeń nie robiło.

Dziś na Wydziale z naszego rocznika chyba nie ma nikogo poza trójką – Pijanowska, Sowiński i ja.

Myśmy byli dobrzy, bo rzeczywiście na biologię molekularną selekcja była niesłychana. A to były jeszcze czasy, kiedy i my byliśmy w liceach przyzwoicie uczeni, i też program studiów był rewelacyjny, to znaczy były mocne podstawy z dwóch stron. Z jednej strony uczyliśmy się tej dziewiętnastowiecznej biologii, botaniki, zoologii, mikrobiologii. Myśmy po prostu rozumieli, czym jest żywy obiekt. A z drugiej strony – i to było na pewno ważniejsze – mieliśmy mnóstwo chemii, różnych chemii, kilka fizyk. Byliśmy po prostu rewelacyjnie wykształceni. I jak się wyjeżdżało z tego „koszmarnego”, zacofanego komunizmu, to w najlepszych, głównie amerykańskich, uczelniach ludzie z Polski byli absolutną elitą intelektualną, bo byli bez porównania lepiej wykształceni niż ich amerykańscy koledzy. Właściwie więc prawie wszyscy, którzy tam pojechali, większą lub mniejszą karierę zrobili.

Będąc na biologii molekularnej, mieliśmy niesłychanie rzetelny kurs takiej dziewiętnastowiecznej biologii. I chwala Bogu. Teraz niestety od tego odchodzimy z jakichś absurdalnych powodów. Mieliśmy bardzo porządną botanikę, zarówno anatomię, jak i potem systematyczną. Ćwiczenia z anatomii roślin też były wspaniałe, ponieważ my tam wszystko absolutnie od początku do końca robiliśmy sami. Przychodziła – że tak powiem – cała roślina, a myśmy robili preparat, barwili, rysowali.

Chyba na trzecim roku były znakomite ćwiczenia z genetyki. Tam też praktycznie wszystko robiło się samemu. Wszystkie te stworzenia rzeczywiście się krzyżowało. I do tej pory to pamiętam, bo też miałem taką osobliwą satysfakcję w stosunku do pani, wówczas doktor, Ewy Bartnik. Ona wymyśliła bardzo fajne ćwiczenie polegające na autentycznej symulacji wyników krzyżówki na polu pszenicy. To były czasy, kiedy komputer zajmował co najmniej duży pokój. Gdzieś w Pałacu Kultury stała „Odra”, do której mąż pani doktor miał dostęp. Myśmy z ćwiczenia na ćwiczenie robili krzyżówki, pani Bartnik przekazywała dane małżonkowi, on je wrzucał do „Odry”

i dostawaliśmy wyniki, na podstawie których trzeba było zaprojektować następną krzyżówkę. To było trudne zadanie. Po drugim czy po trzecim cyklu ja coś zaproponowałem, pani adiunkt Bartnik spojrzała i powiedziała: „To jest zupełnie bez sensu, niczego się pan z tego nie dowie”. Na następnych zajęciach oddałem jej gotowe rozwiązanie i ona była tym poruszona. Nie wiem, czy miałem szczęście, czy też udało mi się w jakiś nieortodoksyjny sposób wymyślić rozwiązanie, w każdym razie miałem dużą frajdę. To było niezwykle stymulujące ćwiczenie, wymagające bardzo wiele pracy od prowadzących. Teraz potrafię to docenić.

Jan Fronk

Studia rozpoczęłam w 1972 roku. Dostałam się po egzaminie wstępnym, który nie wydawał mi się trudny, choć o jedno miejsce ubiegało się jedenastu czy dwunastu kandydatów, i który zapamiętałam z takiego oto powodu, że prof. Kazimierz Dobrowolski (wtedy doktor) siedzący wówczas przy osobnym stoliku w sali egzaminacyjnej zaproponował mi po ustnym egzaminie studia w Moskwie. Byłam do chwili ogłoszenia wyników przekonana, że egzaminu nie zdałam i że mogę być przyjęta na studia warunkowo, gdy przystanę na „zesłanie” do ZSRR.

Pierwsze moje miesiące na Wydziale przebiegły bez wrażenia. Właściwie nie zachowałam żadnych wspomnień. Na wykłady chodziłam rzadko, bo ich „mówiona” konwencja, najczęściej bez żadnych materiałów graficznych, sprawiała, że taki przekaz słabo do mnie, jako do typowego wzrokowca, docierał. Zajęcia odbywały się w wielu budynkach uniwersyteckich i konieczność nieustannego przemieszczania się po mieście, pomiędzy Krakowskim Przedmieściem, Karową, Ogrodem Botanicznym, Stawkami i Pasteura, była dość dotkliwa.

Prawdę mówiąc, studia rozpoczęłam na dobre (studia w rozumieniu takim, jak studiować się powinno czy jak wyobrażałam je sobie, będąc jeszcze w liceum) dopiero na czwartym roku, kiedy stałam się magistrantką Zakładu Hydrobiologii. Atmosfera w Zakładzie była wspaniała, zachwycało mnie wszystko i wszyscy, nie potrafiłam chyba rozróżnić fascynacji moim nowym otoczeniem od fascynacji nową dla mnie problematyką badawczą. W każdym razie prawdziwą studentką poczułam się bardzo późno.

Osoby z mojego roku, które do teraz pracują czy do niedawna były zatrudnione na Wydziale, to Janek Fronk, Bożenna Gruszczyńska, przez czas jakiś po studiach Brygida Bersin *vel* Berse, Maciek Kamiński, Kasia Papińska, Ula Duda i nieżyjąca już niestety Grażyna Zimowska. Bliskie kontakty utrzymuję dotąd może z dwiema–trzema osobami.

Joanna Pijanowska

Z zoologii miałam chyba same piątki, ale już z botaniki nie. Zajęcia z botaniki były prowadzone zawsze przez dwie osoby, które towarzyszyły nam od pierwszych do ostatnich zajęć. Mieliśmy kolokwia. Moją grupę prowadzili młodzi asystenci: Ireneusz Moraczewski i Krzysztof Spalik. Pamiętam, że na pierwszym kolokwium z grzybów dostałam u Krzysztofa Spalika dwójkę. I on to do dzisiaj pamięta, a ja pamiętam nawet pytania, które mi zadawał. Bardzo się zawstydziałam, że nie potrafiłam na nie odpowiedzieć, i potem tak się nauczyłam, że na poprawce dostałam piątkę.

Ireneusz Moraczewski, który już od dawna nie pracuje na UW i wrócił do swojej rodzinnej Bydgoszczy, też bardzo dobrze zapisał się w mojej pamięci. Jest twórcą komputerowego klucza do oznaczania roślin naczyniowych. To bardzo dobry, przydatny klucz. Nie zapomnę, jak brnęliśmy z Irkiem przez łąki w Sajzach w poszukiwaniu storczyków i innych rzadkich roślin.

Irek był nie tylko botanikiem. Skończył filozofię, był erudytą i miłośnikiem muzyki. Z tego co pamiętam, szczególnie cenił Wagnera. Pamiętam też, że przyniósł mi kiedyś książkę Wiktora Osiatyńskiego *Rozmowy z polskimi uczonymi* i powiedział: „Masz, przeczytaj, spodoba ci się”. Była tam między innymi rozmowa z profesorami Kunickim-Goldfingerem, Urbankiem, a także z antropologami Wiercińskim i Bielickim. Irek kazał mi zwrócić szczególną uwagę na rozmowę z Bielickim. Przeczytałam – i ta rozmowa absolutnie mnie zafascynowała. Wobec tego w kolejnym roku studiów już z wiedzą wstępną poszłam na wykład monograficzny Tadeusza Bielickiego z antropologii. Profesor Bielicki był ukochanym uczniem Czekanowskiego. Wyrzucony z Uniwersytetu Warszawskiego, kończył studia we Wrocławiu i tam zrobił szybką karierę, obejmując Zakład Antropologii PAN. Jako przyjaciel prof. Umińskiego podejmował się od czasu do czasu poprowadzenia wykładu monograficznego na UW. Na ten wykład ściągaly nieprawdopodobne tłumy studentów, którzy obsiadali wszystkie okna, stoły, podłogi. Bielicki zajmował się antropologią społeczną, badał wpływ przemian społecznych na dobrostan ludzi. Próbował odpowiedzieć, w którym kierunku zmienia się społeczeństwo, na podstawie wzrostu, otłuszczenia ciała czy daty pierwszej miesiączki. To było jego główne zainteresowanie naukowe. Jako wykładowca był niezrównany.

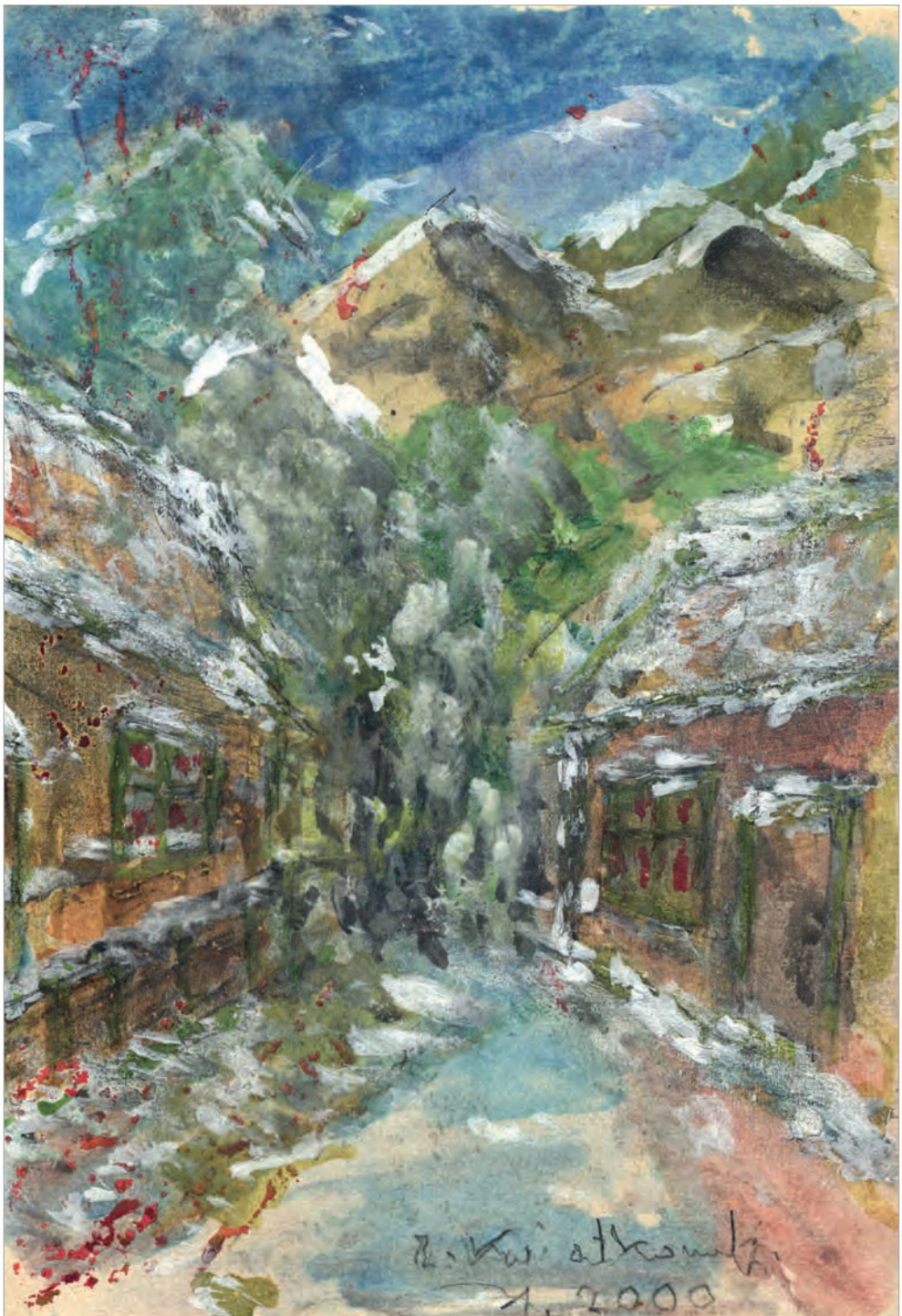
Wykłady z botaniki prowadził Andrzej Batko. Zafascynował mnie, ponieważ widać było, że jego samego nauka fascynuje i cieszy. Z czasem udało mi się wniknąć w jego sposób pracy. Kompletnie nie przygotowywał się do wykładów, ale opowiadał wyśmienite rzeczy. Miał niezwykłą pamięć i usystematyzowaną wiedzę. Mógł prowadzić w każdej chwili dowolny wykład i kształtować go jak rzeźbiarz. Ten wykład zaczynał się na jakiś botaniczny lub mykologiczny temat, ale gdzie się skończy, jaka będzie puenta – tego chyba sam Batko nie wiedział, zaczynając swoją opowieść. Opowiadał nam coś, po czym wybuchał śmiechem, dochodząc do jakiegoś

nieoczekiwanego ewolucyjnego zakrętu lub ciekawostki biologii organizmu. Bardzo to lubiłam.

Krzyś Spalik intensywnie mnie namawiał, żebym została w Zakładzie. On mnie właściwie złapał „na Batkę”. Mówił: „No zobacz, jaki ten Batko wspaniały. Zostań z nami, możesz zajmować się grzybami”. I zostałam. Była jeszcze druga przyczyna, dla której wybrałam botanikę, a nie zoologię. Mam na myśli Hanię Werblan, która właśnie objęła Ogród Botaniczny. W Ogrodzie Botanicznym odbywałam praktyki robotnicze. A potem Hania Werblan zatrudniła mnie tam na stanowisku robotniczym. Pierwszym moim dziełem było oczyszczenie liści lauru po remoncie w zimnej szklarni zwanej Trepbauzem. Całymi dniami cierpliwie wycierałam jeden listek po drugim... Zarabiałam niewiele, ale dla mojego studenckiego budżetu to była ogromna pomoc. Bardzo dużo zawdzięczam Hani Werblan. To ona mnie w pewnym sensie dożywiała przez całe studia. Nie tylko dożywiała, ale również wciągnęła w życie towarzyskie Zakładu Systematyki i Ogródu Botanicznego.

Marta Wrzosek





WYKŁADOWCY

s. 92: Zbigniew Kwiatkowski, *Pejzaż górski*, akwarela tektura, 2000 r.

Książd profesor Szuleta wkładał dużo wysiłku, aby w znacznym stopniu ograniczyć ujemne skutki braku podręczników. Dużo uwagi poświęcał ćwiczeniom, prowadzonym przez dr Chmielewską. Profesor wykladał bardzo sumiennie, przejrzysto i przyjemnie. Zresztą wynikły z tego kłopoty polityczne. Został usunięty, bo się niefortunnie wyraził, że Huta nie powinna się nazywać „Katowice”, bo Katowice przechrzczono na „Stalinogród”, że to nie po polsku itd. Później został oskarżony w Ministerstwie.

Bardzo piękne wykłady z zoologii miał prof. Jaczewski. Dużo podróżował przed wojną, jego wykłady były rzeczywiście bardzo przyjemne.

Któregoś dnia prof. Bassalik chodzi po korytarzu. Podchodzę, pytam: „Panie profesorze, czemu pan tak chodzi po korytarzu?”. „A bo... – mówi – bo mam zaraz wykład, a ja jestem przed wykładem bardzo zdenerwowany”. Ja na to: „Panie profesorze, przecież my wszyscy pana znamy, wiemy, jak pan pięknie wyklada”. „Tak, tak. Tylko pamiętaj o tym, że zdenerwowany to bywa każdy dobry koń. Wszystkie araby są przed wyścigiem zdenerwowane, a tylko muły się nie denerwują”.

Jerzy Czerski

Bardzo dobre były wykłady prof. Wincentego Wiśniewskiego z zoologii ogólnej. On ją wykladał przekrojowo z takim ewolucyjnym nastawieniem. Profesor Tarwid wykladał ekologię, która cieszyła się dużym zainteresowaniem. Profesor Kazimierz Bassalik, który wykladał fizjologię roślin, był już bardzo zaawansowany wiekowo i czasami podczas wykładu urywał mu się wątek. Wtedy czynnik partyjny, zawsze obecny na sali, ustalił, że słuchacze mają na następnym wykładzie streszczać poprzedni. To była taka kontrola możliwości zrozumienia wykładu. Ten czynnik partyjny to były trzy osoby, które czuwały, czy nie dzieją się jakieś politycznie niewłaściwe sprawy.

Botanikę wykladał książd prof. Józef Szuleta. Kiedyś opowiadał, że proszono go, żeby przychodził w garniturze, a nie w sutannie. Na co książd profesor: „Niewykonalne. Ja mam bardzo krzywe nogi”.

Zofia Świetlińska

Matematykę prowadził prof. Sosnowski, a fizykę prof. Pieńkowski. Na początku na wykłady prof. Pieńkowskiego przychodziło mnóstwo studentów, sala była ciasna, więc siedziało się nawet na parapetach. Profesor Pieńkowski wchodził, w jednej ręce trzymał kredę, w drugiej ścierkę, pisał i ścierał,

pisal i ścierał. Trudno się dziwić, że wkrótce coraz mniej studentów zaczęło przychodzić. Ale któregoś dnia profesor nie miał ani kredy, ani ścierki, miał za to film. Był jednym z obserwatorów wybuchu atomowego na Bikini. To była wtedy wielka nowość. I właśnie przedstawił nam ten film. Coś kapitalnego. Potem zdając tę fizykę czy matematykę, nie mieliśmy żadnych sesji egzaminacyjnych, nie mieliśmy terminów egzaminów. Na każdy egzamin umawiało się indywidualnie. Jedynie prof. Sosnowski powiedział, że nie może tak tych biologów przez cały rok pytać, i pytał tylko w sesjach, ale to student sobie wybierał sesję, w której zdaje ten egzamin, a nie profesor. Bo myśmy nie mieli sesji egzaminacyjnych, myśmy mieli tylko termin ukończenia studiów. I termin był dosyć krótki, bo wszystkie roczniki powojenne miały razem z nami skończyć studia. Wiele osób z mojego roku nie uzyskało stopnia magisterskiego, bo nie dopilnowało egzaminów. Bo egzaminów pilnował student. Mój rocznik był ostatni, który studiował tym tak zwanym przedwojennym systemem.

Janina Zielińska

Wykładów mieliśmy bardzo wiele, bo w sytuacji kompletnego braku książek wykłady polegały właściwie na dyktowaniu podręczników, zresztą bardzo dobrych. Zeszyt notatek z wykładów księdza prof. Szulety mam do dzisiaj, podobnie – notatki z wykładów prof. Wincentego Lesława Wiśniewskiego.

Jednym z naszych profesorów był Tadeusz Jaczewski, który na każdym niemal wykładzie wystawiał naukę radziecką i zarzucał nam, że jesteśmy antyradzieccy. Ten kult nauki radzieckiej strasznie zatruwał mi jego – skądinąd bardzo dobre – wykłady. Jakoś w tym czasie został on także dyrektorem Państwowego Muzeum Zoologicznego.

Kiedyś jeden z kolegów pokazał mi zeszyt „Wszechświata” z września 1934 roku, a w nim recenzję radzieckiego podręcznika antropologii, pióra Tadeusza Jaczewskiego. Recenzja była świetnie napisana, a z tego podręcznika, z radzieckiej antropologii i w ogóle radzieckiej nauki zostawała mokra plama. Wzburzyło mnie to na tyle, że tę recenzję przepisałem na maszynie i pokazałem kilkorgu najbardziej zaufanym kolegom. Do dziś nie wiem, czy to spowodowało, że nie zostałem przyjęty na studia magisterskie i nie dostałem „nakazu” do Muzeum.

Tomasz Umiński

Po śmierci Bassalika pracownią kierowała jego żona – Bassalik-Chabielska, a potem przyszedł z Wrocławia prof. Kunicki-Goldfinger. No i Kunicki dał

nieprawdopodobnego kopa polskiej mikrobiologii. Załatwił nam najpierw jeden przyzwoity lokal na Nowym Świecie, potem drugi na Karowej. Zwiększył liczbę asystentów z 4–5 do około 40! Rozwinął także nieistniejące w biologii radzieckiej, wyklęte i groźące kryminałem kierunki, na przykład genetykę bakterii. Profesor Kunicki był fantastycznym naukowcem, trochę gorszym dydaktykiem – gdzie mu tam do wykładów Hirszfelda czy Steinhausa. A ja byłem jedynym człowiekiem, który się z nim kłócił na tematy naukowe. Nie mogłem się zgodzić z niektórymi jego wypowiedziami i w końcu wyrzucił mnie z pracy. Na to zareagowali pracownicy Instytutu. Poszli do prof. Matusiaka, który pracował wtedy na Karowej, prowadząc biologię środowiskową, głównie wód i ścieków. Zaproponowali Matusiakowi, żeby mnie przyjął, i on się zgodził.

Roman Mycielski

Do najlepiej zapamiętanych przeze mnie wykładowców na pierwszych latach studiów należy książd prof. Józef Szuleta. Miał piękne wykłady z botaniki, a poza tym chodził w sutannie, co zresztą przyczyniło się do usunięcia go z grona pracowników UW.

Alina Kacperska-Lewak

Bardzo dobrze pamiętam wykład pana prof. Wiśniewskiego zatytułowany „Wstęp do biologii”. Było to wspaniałe kompendium wiedzy biologicznej. Notatek z tego wykładu używaliśmy później jeszcze wielokrotnie do przygotowania się do egzaminów z różnych przedmiotów. Wszystkie wykłady, które miałam na początku studiów, budziły zainteresowanie, ale ten zapamiętałam szczególnie.

Na pierwszym roku studiów mieliśmy kontakt z bardzo znanym profesorem fizyki Andrzejem Sołtanem. Jego wykład na długo zapadł nam w pamięci. Pan profesor uchodził za „groźną osobę”, której studenci bardzo się bali, ale z perspektywy czasu zarówno wykłady, jak i samego prof. Sołtana wspominam z uznaniem i sympatią.

Ewa Pieczyńska

Studia zacząłem w 1953 roku. Nasz rocznik liczył 64 studentów. Wykładowcą, którego świetnie zapamiętałam i który zrobił na mnie, chłopcu

z prowincjonalnego liceum, ogromne wrażenie, był prof. Jan Dembowski. Wykładał „Wstęp do biologii” i miał bardzo interesujące wykłady. Niby to miał być przedmiot indoktrynujący, ale ja tak nie uważałem. Profesor Dembowski to był wielki uczonek, znany specjalista w dziedzinie zoopsychologii. Był wtedy prezesem Polskiej Akademii Nauk, przyjeżdżał z kierowcą czajką albo wołgą i kierowca czekał przed Szkołą Główną. Profesor Dembowski miał sztywny kręgosłup, nie bardzo kręcił głową, tylko się obracał cały. Na salę wchodził punktualnie, stawał na katedrze i zaczynał mówić. Mówił bardzo ciekawe rzeczy. To był jedyny przedmiot, z którego mam jeszcze wszystkie notatki. Była to naprawdę biologia ogólna, o ewolucjonizmie, o psychologii, o Mendlu trochę, ale nie było absolutnie żadnej indoktrynacji, żadnego łysenkizmu, który, jak wspomniałem, na maturze trzeba było zdawać. Dla nas wszystkich na roku to był taki przykład prawdziwego uniwersyteckiego profesora. Takiego elegancko ubranego, zawsze w czarnym garniturze, z krawatem, tylko wykładającego, niewdającego się w żadne rozmowy ze studentami. Wchodził na katedrę i wykładał, na przerwę wychodził do któregoś z profesorów. Na egzaminy już nie miał czasu. Egzaminy prowadziła żona pana profesora – Stanisława Dembowska, która pochodziła z Wilna i była bardzo miła... to było piękne. Miała zachowany wybitny akcent wileński i mocno zaciągała: „Kochaneczku – mówiła – no to powiedzże mi tutaj coś ciekawego”.

W Instytucie Zoologicznym była Katedra Zoologii i Katedra Biologii. A w Katedrze Biologii parazytologia, embriologia, hydrobiologia i ekologia. Jak zaczynałem studia, istniał jeszcze Zakład Antropologii, a w nim książdz prof. Rosiński. Na Wydziale było zatem dwóch księży profesorów – książdz Rosiński, który odszedł na emeryturę w 1954, i na botanice książdz Szuleta.

Gdy ja studiowałem botanikę, na pierwszym roku była to anatomia i cytologia roślin, wykładał jeszcze książdz Szuleta. Stał w sutannie na katedrze w Szkole Główniej; to był taki podest przed tablicą. Jego wykłady były porządne, usystematyzowane, żadnego bałaganu, żadnych dygresji. Myśmy liczyli, ile guzików sutanny jest dzisiaj niezapiętych. A potem prof. Szulekę raptem odwołano, po prostu usunięto z Wydziału, bo w „Prawdzie” (organie sowieckiej partii komunistycznej) ukazał się artykuł, że polskim studentom na Uniwersytecie Warszawskim wykłada książdz, na dodatek w sutannie. To było na pierwszej stronie „Prawdy”. No i oczywiście natychmiast go... trzask! Potem książdz profesor w Zakładzie Anatomii i Cytologii Roślin miał pokój na pierwszym piętrze, ale nie dopuszczano go do studentów.

Na jego miejsce powołany był prof. Teleżyński. Przylatywał samolotem w poniedziałek rano z Wrocławia do Warszawy. W botanicznej sali wykładowej było przed tablicą wspomniane już podwyższenie, dość wysokie. Profesor Teleżyński co jakiś czas w ferworze wykładu cofał się i spadał z niego. To znaczy, leciał do tyłu, choć oczywiście nie przewracał się. W czasie

wykładów robiliśmy zakłady, ile razy to się zdarzy, i czekaliśmy w napięciu: „No, już teraz?”.

Ksiądz Rosiński na wykładach z antropologii czytał swój skrypt. Jest taka anegdota, że ksiądz Rosiński raz się pomylił i przerzucił dwie strony. Ktoś z sali krzyknął: „Panie profesorze, jedną stronę pan przerzucił!”, na co profesor spokojnie odparł: „A rzeczywiście”. Odwrócił kartkę i czytał dalej.

Potem antropologię wykładał prof. Wierciński. On był prawdziwym antropologiem w stylu polskiej przedwojennej szkoły antropologicznej. Mówił o rasach, odmianach. Mierzył nam wszystkim głowy, nosy itd. I ustaliliśmy, kto należy do jakiej rasy. Okazało się, że nie mamy nikogo rasy czystej. Mieliśmy duże domieszki ze Wschodu, a także mieszanki typowe skandynawsko-angielskie i tutejszych nizin, tzw. typ północno-zachodni. Teraz to byłoby bardzo politycznie niepoprawne.

Przez pewien czas antropologię wykładał nam prof. Godlewski. To było zupełnie coś innego. Profesor mieszkał kiedyś na Tahiti i bodajże prowadził tam jakieś badania. Opowiadał o wyspach Pacyfiku, ich pięknie i o ludach je zamieszkujących.

Na pierwszym piętrze w Szkole Głównej były Anatomia i Cytologia Roślin, a także Fizjologia Roślin, którą kierował prof. Kazimierz Bassalik, przedwojenny profesor (chyba jeszcze profesor sprzed pierwszej wojny), człowiek, który sobie nic nie robił z systemu komunistycznego. Prowadził zajęcia z mikrobiologii i fizjologii roślin. Kiedy prowadził dla nas te wykłady, miał blisko 80 lat, i jeszcze wtedy ożenił się z pracującą w jego Zakładzie panią doc. Janotą. Profesor Bassalik był bardzo dowcipny, inteligentny, ale też groźny, z sumiastym wąsem... Robił na nas wielkie wrażenie, bo to był rzeczywiście profesor starej daty. Zasiadał w Senacie i miał tam powiedzonka, które bardzo denerwowały rektora. Kiedyś stałem na korytarzu koło gabinetu profesora i usłyszałem, jak krzyczał: „Może pan to wysłać do »Expressu Wieczornego«, a nie do czasopisma naukowego”. Otworzyły się drzwi, wyszedł jeden z jego asystentów, a za nim wyleciał maszynopis.

Wykłady z botaniki systematycznej prowadził prof. Gajewski. Profesor nie był przesadnie zainteresowany tym przedmiotem. Jak byliśmy na trzecim roku, czyli w 1956, pozwolono wprowadzić na Uniwersytet genetykę i prof. Gajewski zaczął ją wykładać. To był pasjonujący wykład, wszyscy na niego chodzili. Natomiast cała botanika systematyczna spadła na adiunktów profesora, na panią Grochowską, panią Skirgiełło i pana Podbielkowskiego.

Profesor Gajewski na egzaminie zawsze robił na nas wielkie wrażenie, dlatego że siedział na fotelu za takim dużym biurkiem, nogi miał wyciągnięte przed siebie i tak się coraz bardziej wsuwał pod biurko, że wreszcie – jak się siedziało tam po drugiej stronie, to się widziało tylko jego głowę.

We wczesnych latach 50. przeprowadzono czystkę wśród wykładowców Wydziału. Usunięto księdza prof. Bolesława Rosińskiego, antropologa, kierownika Katedry Antropologii (przed Wiercińskim). Ale to studencka młodzież z ZMP zażądała usunięcia profesora. Podobnie księdza prof. Szuletę, cytologa roślin, szurnęli w 1954 roku. Ksiądz prof. Szuleta wrócił na Wydział w roku 1956 z inicjatywy prof. Rybickiego, ówczesnego dziekana. Bardzośmy się z księdzem lubili, bo był on człowiekiem wesołym i tolerancyjnym. O polityce można było z nim porozmawiać, a i kawał niezbyt przyzwoity opowiedzieć. Czasem spotykaliśmy się we trzech: ksiądz, Jurek Czernski z fizjologii roślin i ja. Ksiądz to był przystojny chłop. Kiedyś siedziałem z nim w jednej komisji na egzaminach wstępnych, on był przewodniczącym komisji, ja egzaminatorem. Pytam: „Czemu ksiądz w cywilu, a nie w mundurze?”. A on na to: „Wiesz, nie chcę płoszyć tych kandydatów na studentów sutanną, a nam wolno chodzić po cywilnemu”. Był pod krawatem, nawet bez koloratki. W ogóle nie ujawniał się jako duchowny.

Dyrektorem Instytutu Zoologii był prof. Zdzisław Raabe. Wszechstronnie wykształcony, erudyta i świetny wykładowca, niestroniący od żartów podczas wykładów. Bardzo przyjazny i chętny do rozmów ze studentami. Drzwi jego gabinetu były zawsze otwarte, a jeśli je zamknął, znaczyło, że ma ważnego gościa.

Pierwszy egzamin na pierwszym roku był z podstaw biologii ogólnej. Przedmiot ten prowadził prof. Dembowski, ówczesny prezes PAN. Wykładał na zmianę ze swą małżonką, prof. Stanisławą Dembowską z Instytutu Nenckiego, a potem ona egzaminowała. Dembowski był chudy, miał bardzo pociągłą twarz, mówił bez uśmiechu, tylko kamienna twarz, szklane oko. Wykładał znakomicie, ale to nie był Raabe, który mówił dynamicznie. Bardzo ciekawy wykład, ale bez żadnej gestykulacji, bez mimiki. Raz profesor pozwolił sobie jednak na pamiętny żarcik. Była wtedy moda na Łysenkę i genetykę tępiono. W Związku Radzieckim *gros* genetyków wysłano na białe niedźwiedzie albo wręcz ich zaciukano. A Łysenko lansował tezę o skokach w przyrodzie i przechodzeniu jednych gatunków w drugie. Pamiętam jak dziś, gdy Dembowski, który we wprowadzaniu łysenkizmu miał spore zasługi, z kamienną twarzą stwierdził, że „skoki to mogą być z trampoliny do wody, a nie w przyrodzie”.

Obowiązkowe na pierwszym roku były języki: angielski i kontynuacja rosyjskiego. Podręcznik do pierwszego był beznadziejny, bowiem po angielsku objaśniał realia socjalistycznej ojczyzny, opisując na przykład zebranie partyjne w fabryce. Istna rozpacz!

Rosyjskiego uczył nas dystyngowany Leon Szpiganowicz. Jako podręcznik wprowadził rosyjską *Anatomię królika*, dzięki czemu poznaliśmy fachową nomenklaturę.

Potem zaprzyjaźniliśmy się i widywali przez kilkanaście lat.

Docent Irena Geyer-Duszyńska z Zakładu Cytologii miała psa Pike, wyżła szorstkowłosego, z którym przychodziła do pracy. Wysoka, szczupła kobieta, z bardzo wydatnym nosem, nosiła pilotkę i olbrzymi kozuch. Bardzo lubiła białe wytrawne jugosłowiańskie wino – Żilavkę, czasem piliśmy je wspólnie. Urzędowała w Szkole Głównej na końcu korytarza, miała tam skrzynię, na której się siadywało, a w niej bywała Żilavka. Jej majątnością była słynna kamienica pod Messalką na Krakowskim Przedmieściu. Dlaczego pod Messalką? Bo w budynku tym mieściła się wykwintna łaźnia miejska, a mieszkała tam Lucyna Messal, gwiazda przedwojennej warszawskiej operetki. Pamiętam, z opowieści, że jak tata przyjeżdżał ze Lwowa do Warszawy, to chodził do tej łaźni, żeby się porządnie umyć i wyparzyć. Potem łaźnię czy też kamienicę z łaźnią wykupiła rodzina Geyerów. A na koniec łaźnię upaństwowiono. Irena pracowała potem w USA i tam zmarła, na krótko przed moją, sporo wcześniej umówioną, wizytą.

Bardzo ciekawie wykładał zoogeografię prof. Tadeusz Jaczewski. Był niewątpliwym autorytetem naukowym, z piękną kartą okupacyjnej aktywności w podziemnym nauczaniu. Niestety, po wojnie uległ oficjalnie propagowanej wizji komunizmu, czynnie działając w PZPR. Z jego osobą wiąże się w mej pamięci dwie anegdoty. Gdy w październiku 1964 roku w wyniku zamachu stanu stracił stołek gensek i premier ZSRR Nikita Chruszczow, komentowaliśmy tę poranną rewelację w gronie asystentów. Podszedł wówczas do nas Jaczewski i starając się zdementować wieści o siłowym usunięciu Chruszczowa, powiedział o człowieku, który miał równe 70 lat, że „to naturalne, bo był bardzo stary”.

Druga zaś historyjka wiąże się z osobą pewnej woźnej czy sprzątaczką, która pod nieobecność profesora przemeblowała mu bibliotekę, ustawiając książki według wielkości. Podobno tubalne ryki niezadowolonego profesora słychać było w całym gmachu.

Rafał Skoczylas

Profesor Raabe na początku wojny był poważnie ranny w nogę i całe życie utykał. Spędził całą wojnę w oflagu. Był niewątpliwie człowiekiem złego zdrowia, cierpiał na gruźlicę.

Orzęski wchodziły wtedy w okres badań genetycznych, natomiast profesor nie miał możliwości odebrania odpowiedniego przygotowania z genetyki i nie mógł nam też tego przekazać. Był bardzo z boku różnych rzeczy.

Andrzej Kaczanowski

Bardzo sobie ceniłam wykład prof. Raabego z protozoologii. Pięknie mówił, tak bardzo soczyście. Niezwykle atrakcyjne były także wykłady z genetyki prof. Gajewskiego. Śmiertelnie nudne były natomiast wykłady prof. Strebeyki, który wykladał fizjologię roślin i mówił takim beznamiętnym, usypiającym głosem.

Jako jeden z najbardziej stresujących pamiętam egzamin z biochemii u prof. Chmielewskiej. Podeszłam do tego egzaminu, choć uważałam, że jestem kompletnie nieprzygotowana. Weszłam do jej gabinetu i chciałam właśnie powiedzieć, że jestem nieprzygotowana, tymczasem ona krzyknęła: „Proszę siadać!”. Usiadłam i zaczynam: „Pani profesor, ale...”, a ona w tym czasie kartkuje mój indeks i mówi: „Ale pani tu nie ma wpisanych ćwiczeń”. Nie miałam, ponieważ nie miałam zamiaru tego dnia zdawać egzaminu. A Chmielewska: „Proszę wyjść i natychmiast to wpisać!”. Wyszłam, wpiisałam i wróciłam. Mówię: „Pani profesor, wolałabym nie zdawać dziś tego egzaminu, bo nie czuję się najlepiej”. „Co mi pani będzie głowę zawracała, ja już zmarnowałam na panią czas. Proszę usiąść i odpowiadać”. Zadała mi jakieś pytania, coś tam wydukałam. Wstawiła mi do indeksu trójkę, co było wielkim osiągnięciem, ponieważ nikt ze zdających tego dnia nie dostał nawet tej trójki.

Profesor Bassalik-Chabielska była osobą chłodną, taką bez uśmiechu, jakby bez chęci nawiązania kontaktu. Ona chyba też brała udział w Powstaniu Warszawskim jako łączniczka. Prawie nigdy nie widziałam na jej twarzy uśmiechu, jakiegoś luzu. Bardzo skupiona w sobie osoba. Bardzo dokładna i wymagająca.

Ewa Bieszkiewicz

Najciekawsze były dla mnie wykłady Raabego, bo tam była i biologia, i literatura, i sztuka, i podróże były – wszystko.

Inny wykładowca, który pobudzał wyobraźnię, to prof. Godlewski – antropolog, który był na Tahiti. Napisał książkę *Tahiti – moja miłość*. Mieć kontakt z takim człowiekiem to jest coś! Trzecia postać – to prof. Bassalik. Jak byłam na trzecim roku, miał niestety tylko dwa wykłady dla nas, bo się źle poczuł, ale spotkanie z nim to była naprawdę duża rzecz. No i moją wielką miłością był prof. Kraczkiewicz. Autentyczny autorytet naukowy i ciepło, serdeczność ogromna.

Maryna Szöllösi

Szczególnie utkwił mi w pamięci ksiądz prof. Szuleta. Jego wykłady bardzo nas interesowały, dlatego że on przez cały czas coś rysował, malował na tablicy. Byliśmy zafascynowani tym sposobem prowadzenia wykładu: że to nie było takie opowiadanie, tylko ksiądz profesor brał kolorową kredę i na tablicy pojawiał się na przykład przekrój przez łydę.

Utkwiły mi również w pamięci wykłady prof. Raabego, który był zoologiem, świetnym wykładowcą i takim też gawędziarzem. Opowiadał nam często dowcipy. Pamiętam także zajęcia z prof. Dobrowolskim, ornitologiem, bliskie moim zainteresowaniom. Bardzo się do niego przybliżyłem, jeździliśmy razem w teren.

Bronisław Cymborowski

Bardzo wiele zawdzięczam prof. Raabemu. Razem z sześćdziesiątką innych studentów pierwszego roku zasiadałem co tydzień w ciężkich ławach sali wykładowej na pierwszym piętrze Szkoły Głównej, zachwycając się jego precyzyjnymi kolorowymi rysunkami, pokazującymi dynamikę ruchu i rozwoju pierwotniaków i zwierząt bezkręgowych, które z niewymuszoną elegancją wyłaniały się spod jego ręki na wielkiej, podwójnej tablicy. Gdy w przyszłości, jako wykładowca, próbowałem tego samego, szybko zrozumiałem, że łatwiej posługiwać się „rzutnikiem pisma”, a potem powerpointem. Ceniłem też wykłady księdza prof. Józefa Szulety, nie tylko zresztą jego wykłady, ale także długie wieczorne rozmowy o przyrodzie. Choć mieli zupełnie odmienne osobowości, obaj jednak chyba bardzo lubili nie tylko swoje dla nas wykłady, ale też trudne w tamtych czasach rozmowy o życiu i polityce.

Maciej Gliwicz

Za moich czasów studenckich w skład wydziałowej profesury oprócz prof. Gajewskiego wchodziło kilku wybitnych profesorów, jak Zdzisław Raabe, Zygmunt Kraczkiewicz czy Władysław Goldfinger-Kunicki. Wydaje mi się, że nauczanie biologii stało wtedy na wysokim poziomie, nie wiem, czy nie wyższym niż obecnie.

Piotr Węgleński

O wykładzie księdza prof. Szulety już mówiłem. Piękny był wykład z zoologii. Zupełnie inny niż księdza profesora. Prowadził go prof. Zdzisław Raabe. Był to rzeczywiście człowiek błyskotliwy, efektowny, ale w tym dobrym znaczeniu. Oczywiście wykladał całkowicie z pamięci, ubarwiając wykład różnymi ciekawostkami i wykonując przy tym piękne rysunki na tablicy; miał niewątpliwy talent rysunkowy. Po kolei omawiał wszystkie, dosłownie wszystkie grupy zwierząt, także te najmniej znane czy najmniej zwracające na siebie uwagę. Była to po prostu kompletna zoologia systematyczna. Przedmiot trwał dwa lata i były dwa niezależne egzaminy, pierwszy już po pierwszym semestrze (dlaczego nie na końcu roku? – aby dziekan miał jakiś sprawdzian zainteresowania przyjętych studentów biologią), drugi egzamin u prof. Raabego był na koniec kursu pod koniec drugiego roku.

To, co jeszcze mnie ujęło i co zapamiętałem: pierwszy wykład profesor poświęcił historii swojej katedry. Opowiedział nam o katedrze zoologii naszego Uniwersytetu (uwaga: mówił nie o jednostce organizacyjnej Uniwersytetu, jaką była dopiero od 1952 Katedra Zoologii, ale o profesorach, którzy wcześniej wykładali zoologię na Uniwersytecie, a o których dawniej mówiło się, że zajmowali katedrę zoologii). Mówił szczególnie ciepło o swoim mistrzu, Konstantym Janickim. To mi się bardzo podobało: nawiązanie do historii i wspomnienie swoich poprzedników. Podkreślił, że dawniej obowiązywała taka właśnie tradycja: profesor zaczynał wykład swojej specjalności od historii swojej katedry, czyli tej specjalności naukowej, którą obecnie kontynuował.

I jeszcze muszę wspomnieć o wyjątkowo życzliwym stosunku pana prof. Raabego do studentów. To się czuło. Pamiętam, jak kiedyś powiedział, że jest mu przykro, gdy daje studentowi na egzaminie pytanie, na które ten nie potrafi odpowiedzieć.

Wykłady systematyki roślin na drugim roku botaniki prowadziły na zmianę ówczesna doc. Alina Skirgiełło i doc. Irena Rejment-Grochowska; pierwsza omawiała grzyby, porosty i śluzowce, druga glony, mszaki i paprotniki. Obie panie przekazywały nam wiedzę poprawnie i solidnie. Obie były współautorkami skryptu, a później obszernego podręcznika *Rośliny zarodnikowe*, wyjątkowego w naszej literaturze, który zresztą ukazał się drukiem później, w początku 1962 roku, a więc już pod koniec moich studiów.

Docent Alina Skirgiełło, u której robiłem pracę magisterską, naprawdę dbała o studentów. Dbała o to, aby sumiennie pracowali, aby sięgali po literaturę – podsuwała ją nam, starannie poprawiała nasze prace dyplomowe, potem pierwsze publikacje. Zwracała uwagę nie tylko na treść naszych referatów i publikacji, ale i na formę. Można powiedzieć, że miała niewątpliwą smykałkę redaktorską. Wiem, że ten czas, gdy studiowałem, był okresem jej największej aktywności naukowej: rozbudowywała Zakład Systematyki

i Geografii Roślin, którym już formalnie kierowała po śmierci prof. Hryniewieckiego, zakładała czasopismo „Acta Mycologica” (kierowała nim prawie do końca życia), tworzyła serię wydawniczą „Flora grzybów Polski” (pierwszy tom tej serii jej autorstwa wyszedł w 1960 roku), kierowała Sekcją Mykologiczną Polskiego Towarzystwa Botanicznego, która niewiele wcześniej powstała i długo działała dzięki jej energii.

Wspomniana „Flora grzybów Polski” była niewątpliwie jej strategicznym celem. Sama znała się dobrze na grzybach wielkoowocnikowych, ich dotyczyły jej własne publikacje. Ale miała ambitny plan, zresztą w pewnym stopniu zrealizowany: doprowadzić do opracowania flory wszystkich grzybów Polski. Namawiała specjalistów z różnych instytucji i ośrodków do podjęcia pracy nad kolejnymi tomami, sama kierowała swoich magistrantów i doktorantów do pracy nad różnymi grupami grzybów. Szło to opornie, czasy były ciężkie i nie było łatwo o pieniądze, ale w latach 1960–1999 wyszło drukiem 27 tomów tej „Flory”. Z jej bezpośrednich wychowanków takie tomy napisali Wanda Rudnicka-Jeziarska, Alicja Borowska, Maria Zadara i ja.

Dobrze wspominam praktykę po trzecim roku studiów. Docent Skirgiełło wzięła mnie ze sobą na dwa tygodnie do Białowieży na zbieranie grzybów (specjalizowała się w grzybach kapeluszowych). Nocowaliśmy w starym, drewnianym domku myśliwskim w osadzie pałacowej (spalił się wkrótce potem w czasie wizyty jakichś radzieckich prominentów) i z jej przyjaciółką z Wrocławia, ówczesną doc. Wandą Truszkowską (specjalistka od grzybów workowych, otoczniaków) chodziliśmy po rezerwacie. Później, już samodzielnie, wracałem do Puszczy wielokrotnie aż do końca mojej aktywności zawodowej. Pamiętam, że doc. Skirgiełło robiła nam na śniadanie na koche-rze kaszkę na mleku, w tajemnicy przed obsługą (zagrożenie pożarowe!).

Na trzecim roku w semestrze zimowym mieliśmy pracownię półdzienną z anatomii roślin, prowadzoną wspólnie przez profesorów Teleżyńskiego i Szulekę. To były znakomite zajęcia. Przeszliśmy kurs utrwalania tkanek roślinnych, barwienia, pracę z mikrotomem, każdy z nas dostał do opracowania mały problem badawczy. Na zakończenie referowaliśmy obu profesorom otrzymane wyniki. Mogliśmy poznać podstawy techniki badań anatomicznych i cytologicznych stosowanych we wcześniejszym stuleciu; oczywiście teraz to już zapewne historia.

Profesor Henryk Teleżyński miał także u nas na czwartym roku wykład z cytologii roślin, chodziłem też na jeden z jego wykładów monograficznych. Wykładowcą był specyficznym. Nie był punktualny, spóźniał się, za to przeciągał wykład nieraz o pół godziny, palił w czasie wykładu. Mówił nieskładnie, nieraz nie mogliśmy zrozumieć, o czym. Ale często błyskała w tym, co mówił, jakaś ciekawa myśl, pojawiał się nieoczekiwane problem i jego rozwiązanie, pokazujące piękno anatomii roślinnej. Także w czasie półdiennej pracowni, o której już była mowa, pojawiał się często i komentował naszą pracę w inspirujący sposób.

Wykłady ekologii roślin prof. Władysława Matuszkiewicza na czwartym roku doskonale wspominam. Ułożone w logiczny ciąg (profesor nawiązywał na każdym wykładzie do wykładu poprzedniego), przekazywane spokojnie, z podkreśleniami najważniejszych myśli, dawały logicznie ułożony i spójny pogląd na kolejne czynniki wpływające na życie roślin, żyjących razem w różnych warunkach środowiska. Uzupełnieniem tych wykładów miały być ćwiczenia terenowe w Białowieży, na które wyjeżdżały w lecie poprzednie roczniki specjalności botanicznej. Ale niestety nas to ominęło z powodu niedawnego pożaru domku myśliwskiego, o czym wspominałem, a w którym mieliśmy być zakwaterowani; odbyliśmy tylko jednodniową wycieczkę z profesorem do lasu w Podkowie Leśnej.

Wykłady genetyki prof. Wacława Gajewskiego (byłem wtedy na czwartym roku) odbywały się w niewielkiej sali ćwiczeń na parterze Obserwatorium Astronomicznego. Gromadziły nie tylko studentów aktualnego rocznika kursu biologii, przychodziły tam też osoby z zewnątrz, studenci i nawet asystenci innych specjalności, nie dla wszystkich starczało miejsca. To był rok 1962, krótko po odejściu naszej nauki od „nowej biologii” i po powrocie do prawd „genetyki formalnej”, gdy nie było jej jeszcze w podręcznikach. Profesor wykładał ze swadą, opowiadał z entuzjazmem o najnowszych, najbardziej aktualnych odkryciach najwybitniejszych uczonych Zachodu, z którymi miał bezpośrednie kontakty.

Profesor Kazimierz Petruszewicz wykładał ewolucjonizm w roku akademickim 1962/1963 (byłem wtedy na piątym roku). Cieszyłem się, że mogłem go poznać. Słyszałem o nim wiele z lat poprzednich, gdy propagował „nową biologię” i lysenkizm, organizował wielkie konferencje formacyjno-ideologiczne (Kuźnice 1950, Dziwnów 1952, Kortowo 1953, 1955), publikował mnóstwo artykułów i broszur na te tematy. Jednocześnie wiem, że był wybitnym ekologiem i jego zasługi w tym zakresie, zarówno naukowe, jak i organizacyjne, są ogromne (te ostatnie ułatwiały mu z pewnością odpowiednie preferencje polityczne; przed wojną był zaangażowanym członkiem KPP, a po wojnie prominentnym działaczem, doskonale ustawionym w ówczesnym systemie partyjno-rządowym). Jego wykłady nie były porywające (nie miał daru oratorskiego), ale były systematycznie podane, bez żadnych już wspomnień o niedawnej przeszłości.

Profesor Kazimierz Bassalik, sławny mikrobiolog, wykładał jeszcze tę specjalność, gdy zaczynałem studia; pamiętam go, gdy mijał nas na korytarzu Szkoły Głównej. I pamiętam, że na katedrze Auditorium Botanicznego założono któregoś dnia mikrofon właśnie dla słabnącego już Bassalika, aby ułatwić mu wykład. Ale gdy byłem na trzecim roku i w programie była mikrobiologia, już nie żył. Oczekiwaliśmy z niepokojem przyjazdu do Warszawy i objęcia tych wykładów przez prof. Kunickiego-Goldfingera z Wrocławia (słyszeliśmy o jego wielkiej wiedzy i wymaganiach), ale jego przyjazd się

odwlekał i wykład z mikrobiologii poprowadził dla nas dr Mirosław Fiuczek, człowiek łagodny i wyrozumiały.

Docent Władysław Krajewski miał u nas na czwartym roku przez jeden semestr wykład zatytułowany „Filozofia marksistowska”. To był człowiek o ciekawym życiorysie: syn przedwojennego żydowskiego komunisty i działacza KPP, urodzony w Moskwie, zięć Adolfa Warskiego (nazwisko było wtedy ogólnie znane, gdyż stocznia w Szczecinie nosiła jego imię). Ale już było po Październiku, więc Krajewski powiedział na pierwszym wykładzie: „Darujemy sobie filozofię marksistowską, dam wam podstawy ontologii, czyli teorii poznania, to się wam, przyrodnikom, bardziej przyda”. I rzeczywiście, był to wykład teorii poznania, a właściwie, tak to zapamiętałem, przegląd tego, co różni filozofowie na przestrzeni wieków twierdzili o tym, czym jest poznanie rzeczywistości, czy nawet ogólniej – czym jest rzeczywistość i czy istnieje obiektywnie, niezależnie od nas, czy też nie – może tylko istnieje w naszych umysłach, albo też może w ogóle nie istnieje? Rzeczywiście, ten wykład był dla mnie bardzo pouczający i potwierdzający starą maksymę *primum edere, deinde philosophari*. W następnym semestrze już inny wykładowca (pominę jego nazwisko) kontynuował ten wykład, zaznajamiając nas z podstawami etyki; wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że na jeden z ostatnich wykładów przyszedł „w stanie wskazującym”.

Ważnym elementem w nauczaniu botaniki było zaznajamianie nas z roślinami w terenie, chyba obecnie zaniedbywane. Pod koniec drugiego roku studiów, na wiosnę, uzupełnieniem kursu systematyki roślin były wycieczki na Bielany i do Dziekanowa Leśnego (rezerwat Sierakowski), gdzie asystentki pokazywały nam kwitnące wtedy rośliny. Byliśmy tu razem, specjalność botaniczna i zoologiczna. Od trzeciego roku braliśmy udział (już tylko specjalność botaniczna) w dłuższych, kilkudniowych wycieczkach na przełomie maja i czerwca, towarzyszyli nam prof. Skirgieńło i asystenci (Dygna Sobotkova, Jadwiga Mickiewiczowa, później także Zbigniew Podbielkowski). Pierwsza z tych wycieczek (w 1961) była jeszcze dość uciążliwa; do Łeby wybraliśmy się nocnym pociągiem, później bywał już wynajęty autokar. Pamiętam wycieczki do Puław i Kazimierza Dolnego, w Bieszczady, na Mazury, na Babią Górę, brałem w nich udział nawet po ukończeniu studiów. Bardzo dużo nam dawały.

Tomasz Majewski

Było wiele barwnych osób wśród naszych wykładowców. Długo będę pamiętał naszego „złotoustego” prof. Zdzisława Raabego, który był bardzo dobrym

wykładowcą i wspaniałym kawalarzem. Bardzo go wszyscy lubiliśmy. Później, kiedy już uczyliśmy się genetyki w gmachu Obserwatorium, w Alejach Jerozolimskich, niesamowitą i barwną postacią był prof. Wacław Gajewski. Jego wykłady, które prowadził dla wszystkich kierunków na Wydziale, były owiane legendą.

Edward Siński

Dla mojego rocznika mikrobiologię ogólną, na trzecim roku, wykładała Bassalikowa. Te wykłady miała spisane w takim kajecie formatu A4, trochę już podniszczonym. Pani profesor stała na katedrze na Nowym Świecie i spokojnym, monotonnym głosem czytała stronę po stronie. Ale podczas egzaminu w pierwszym podejściu to ona mnie w ogóle pogoniła, widocznie niedokładnie recytowałam jej strofy, co z kolei Kunicki uznał chyba za plus!

Mirosława Włodarczyk

Pierwsze miesiące na Wydziale to przede wszystkim wykłady i ćwiczenia z zoologii (wykładowca prof. dr hab. Zdzisław Raabe) i botaniki (wykładowca ksiądz prof. dr hab. Józef Szuleta). Wykłady te odbywały się w budynku dawnej Szkoły Głównej (w dalszym ciągu nazywanej przez wszystkich Szkołą Główną) w sali AB. Wykłady z obu tych dziedzin były wspaniałe. Z botaniki – niezwykle uporządkowane, jasno wykładane. Z zoologii – prowadzone ze swadą, ubarwiane anegdotami, ciekawostkami lub wręcz dowcipami. Wykłady były ilustrowane tablicami i rysunkami, przy czym te drugie często powstawały od ręki, wykonywane przez wykładowcę na potrzebę chwili. Na wykładach prof. Zdzisława Raabego towarzyszył nam pedel pan Jan Sucharski – przygotowywał do zajęć salę, tablice z ilustracjami, okazy i preparaty. Przysłuchując się przez całe lata treści wykładów, opanował je w stopniu doskonałym. Wielu studentów z kolejnych roczników odważało się przystąpić do egzaminu dopiero po „zaliczeniu sprawdzianu” przed panem Janem. Pan Jan, pełniący obowiązki – jakbyśmy dziś powiedzieli – woźnego, był niezwykle szanowany za olbrzymią wiedzę z przedmiotu i cieszył się wielką sympatią za życzliwość dla studentów. Po latach, na wieść o jego chorobie i konieczności przyjęcia przezeń transfuzji krwi, wielu z nas (ja również) pobiegło oddać krew dla pana Jana.

Ćwiczenia z botaniki prowadziły dr Maryla Podbielkowska i dr Teresa Dudzińska, na pierwszym piętrze Szkoły Głównej. Na ćwiczeniach z zoologii moimi asystentami byli dr Wanda Riedel, dr Renata Czołowska i – dziś

profesor – dr Tomasz Umiński. Ćwiczenia te odbywały się na parterze Szkoły Głównej. Zajęcia z chemii, fizyki i geologii odbywały się w budynkach tych wydziałów.

Maria Magdalena Borowik

Z ciekawszych postaci pamiętam prof. Mariana Gieysztorę, który wykładał – zresztą świetnie – zoologię. Do dziś pamiętam, jak opisywał plankton, mówiąc, że „jest to wszystko, co się unosi w toni wodnej”. Niestety, profesor zmarł i gdy zdawaliśmy zoologię, byliśmy bardzo niedouczeni. Egzamin odbywał się u prof. Tadeusza Jaczewskiego, niezwykle barwnej postaci. Ludzie nieobyci mylili go z woźnym, ponieważ chodził w przydeptanych szarych tenisówkach i szarym laboratoryjnym fartuchu, w jakim zwykle chodzili woźni. W każdym razie pan Jan, woźny w Szkole Głównej, wyglądał znacznie dostojniej niż papa Jaczewski. Profesor Jaczewski był członkiem PZPR. Urodził się chyba w Petersburgu. Krążyły o nim plotki, że to był prawdziwy komunista i osobiście strzelał do burżujów w czasie rewolucji w Rosji. Także stąd jego roboczy strój, drelich, fartuch. Zupełnie nie dbał o powierzchowność i zwracał się per wy. Ale był bardzo przyzwoitym człowiekiem. Pamiętam, że poprosił, bym mu zdefiniował, co to jest ogon: „Ogon, taka jednostka, która pozwala na definiowanie całych grup zwierząt”. Chodziło mi po głowie, że wąż posiada WYŁĄCZNIE ogon, ale nie byłem w stanie udzielić dobrej odpowiedzi. A od tego egzaminu już wiem, że ogon to część ciała za odbytem.

Był też prof. Zdzisław Raabe, był dziekan Marian Rybicki, taki kostyczny dziadek, bardzo surowo traktujący studentów. Nie było żadnych tam przesunięć – jak ktoś miał wylecieć, to miał to jak w banku. Ale były też postacie bardzo miękkie, jak na przykład prof. Zygmunt Kraczkiewicz, bardzo sympatyczna osoba.

Andrzej Podstolski

Zapamiętałam panią mgr Charzyńską, która prowadziła z nami ćwiczenia z botaniki, i księdza prof. Szulebę. Dlaczego akurat wykłady prof. Szuleby? Może dlatego, że były pierwsze, a może ze względu na sposób wykładania.

Zapamiętałam też wykłady prof. Kraczkiewicza i szalenie sympatyczny egzamin z cytologii. Dobre, bardzo metodyczne wykłady miała prof. Chmielewska. Z notatek do tych wykładów uczyliśmy się do egzaminu z biochemii, bo nie było wtedy podręczników. Frekwencja na wykładach była prawie stuprocentowa.

Jadwiga Bryła

Miałem stosunkowo dużo kontaktów z prof. Raabem i pamiętam go jako osobę mi życzliwą.

Ryszard Halba

Profesor Chmielewska żelazną ręką trzymała całą Katedrę, a potem Instytut Biochemii do połowy lat 70., o ile dobrze pamiętam. Wówczas przeszła na emeryturę, ale do samego końca była mocno dominującą osobowością.

W czasach, gdy studiowałem, wykłady były inne niż obecnie. Nie było wówczas nie tylko internetu, ale także łatwo osiągalnych, porządných podręczników. Dostęp do podręczników miał wykładowca, natomiast student już niekoniecznie. Dobre podręczniki wydawane za granicą nie docierały do studentów, tłumaczenia nie zdarzały się zbyt często. Pamiętam, że kiedy nasz rocznik zaczął studiować biochemię, wielkim wydarzeniem było pojawienie się polskiego tłumaczenia książki niemieckiego biochemika Petera Karlsona. To było coś niebywałego, bardzo wówczas nowoczesnego, i w sumie też dość trudnego do uzyskania. Wykładowca był więc osobą, która miała dostęp do podręczników i mogła przekazywać wiedzę. Natomiast dziś wiedza jest w zasięgu ręki, każdy może dotrzeć do niej samodzielnie, rolą wykładowcy zaś jest raczej jej uporządkowanie, wyjaśnienie wątpliwości i przekazanie własnego punktu widzenia.

Wykłady były zatem inne niż obecnie. Niektórzy wykładowcy wykorzystywali swoją przewagę w dostępie do wiedzy i przekazywali ją w sposób nieco mechaniczny. Mam podręcznik, wobec tego w dniu dzisiejszym przedstawię na wykładzie rozdział czwarty i piąty. Takie wykłady nie były zbyt interesujące, jednak trzeba było na nie uczęszczać, gdyż inaczej nie było szansy, by zdać egzamin. Ale byli też wykładowcy o dużej indywidualności. Taką osobą, którą wspominam z wielkim sentymentem, był prof. Gajewski. Miał niesłychany entuzjazm do nauki. W jego wykładach dominowała ciekawość: dlaczego jest tak, jak jest i co jeszcze może się okazać. Wykładał w sposób żywiołowy – zaczynał wykład, stojąc za stołem katedralnym, a kończył, siedząc w trzecim rzędzie wśród studentów.

Krzysztof Staroń

Zapamiętałam dr. Macieja Tabaczyńskiego, wcześniej zmarłego, bo chorował na cukrzycę, a wtedy cukrzyca była gorzej leczona niż teraz. Doktor Tabaczyński, jak już zaczęłam pracować, zrobił habilitację i został profesorem.

Przeniósł się z Wrocławia razem z – wtedy też doktorem – prof. Zbigniewem Kwiatkowskim i prof. Władysławem Kunickim, który objął tutaj Katedrę po prof. Bassaliku. W pierwszych wypuszczonych przez prof. Kunickiego rocznikach warszawskich magistrów znaleźli się: obecna prof. Mirosława Włodarczyk, prof. Andrzej Piekarowicz, prof. Roman Mycielski i dr Ewa Bieszkiewicz.

Pamiętam śmieszny egzamin u prof. Rybickiego z fizjologii zwierząt. Kolega zdawał, nie bardzo mu szło. W końcu profesor mówi: „No, ja nie wiem, czy pan zasłużył na trójkę, ale niech się pan wybroni. Proszę wymienić choć kilka prawobrzeżnych dopływów Wisły”. I od tego naprawdę zależało, czy on zda tę fizjologię zwierząt. Takie rzeczy teraz by nie przeszły.

Krystyna I. Wolska

Wyśmienite wykłady miał prof. Gajewski. Było w nich jakieś szczególne zaangażowanie, jakaś energia. Pamiętam, że na egzaminie profesor trzymał nogi na biurku i bujał się na krześle. Ja zamiast się skoncentrować na tym, co miałam mówić, to się zastanawiałam – czy się chybotnie, czy nie. To był naprawdę człowiek o wielce otwartej głowie. Chyba dwaj profesorowie, Kunicki-Goldfinger i Gajewski, najciekawiej i z pasją wykładali. A poza tym obaj stanowili wielkie osobowości jako ludzie. Profesora Gajewskiego nie poznałam dokładnie jako człowieka, bo nie miałam z nim bliższego kontaktu. Natomiast prof. Kunickiego-Goldfingera cenię nie tylko za prace naukowe, za otwartą głowę, za filozofię jego lat starszych, ale za to, jakim był człowiekiem – za jego morale, za jego pojęcie uczciwości. Za stosunek do pracowników. Mieliśmy do profesora olbrzymie zaufanie, można było z nim rozmawiać na wiele tematów. Co prawda, ja mówiłam do prof. Kunickiego-Goldfingera „panie profesorze”, a on do mnie po imieniu – „Kaśka, może byś skoczyła po coś tam”. Z profesorem miałam wspólnego psa. Jak profesor wyjeżdżał na wakacje, to pies zostawał u mnie na działce. To był naprawdę wspaniały człowiek. Dla niego, w zespole prof. Kunickiego-Goldfingera, pracowało się z przyjemnością. Szef dbał o swoich pracowników.

Elżbieta K. Jagusztyn-Krynicka

Z osobowości pamiętam profesorów Turskiego, Kunickiego-Goldfingera, Gajewskiego i Szulekę. To były osobowości nie tylko w sensie intelektualnym, ale również pewnej rzutkości, żywiołowości. Widać było, że to, co mówią, jest ich pasją. Jednocześnie to były osoby, które potrafiły się znakomicie, pięknie, w obliczu argumentów wycofać, albo wciągały w dyskusję. Budziły

zainteresowanie dzięki swojej wiedzy, ale także umiejętności jej przekazywania. Potrafiły zwrócić uwagę na siebie i na prezentowany temat. Ci profesorowie prowadzili pewien dialog z interlokutorem lub słuchaczami, umieli mówić i słuchać. To wielka sztuka, gdy ktoś prowadzi wykład i zamiast akademickiej wykładni jakichś danych odnosi się wrażenie, jakby się toczył dialog jednych faktów z drugimi. Rewelacja. Tak zapamiętałem atmosferę na Uniwersytecie w tamtych latach.

Marek Ostrowski

Profesor Waław Gajewski miał kilka fantastycznych cech. Po pierwsze, był jedynym polskim genetykiem, który otwarcie przeciwstawił się nonsensom łysenkizmu, czyli stalinowskim twierdzeniom, że geny nie istnieją. Po drugie, miał dostęp do literatury światowej, między innymi dlatego, że był zaprzyjaźniony z wielkim polskim genetykiem Piotrem Słonimskim pracującym we Francji i dostawał od niego literaturę. Po trzecie, przekazywał te wiadomości w sposób sobie właściwy: obsypywał się kredą, wkładał w wykład całą energię i na dodatek mówił dość szybko. Można było siedzieć z otwartymi ustami i patrzeć, co on pokazuje, te fagi, mutacje i jak się odbywa rozszyfrowywanie kodu genetycznego. Nie dawało się notować, bo strasznie pędził. Jak się próbowało notować, gubiło się to, co on mówił, i to było w jakimś stopniu utrudnieniem, jednak mimo wszystko były to wykłady fascynujące. Również fascynujące były wykłady prof. Węgleńskiego, który na każdy wykład przychodził z nowym egzemplarzem „Nature”. Ponadto profesorom Gajewskiemu i Węgleńskiemu zawdzięczamy fantastyczną atmosferę pracy w Zakładzie Genetyki

Piotr Stępień

Wykłady prof. Gajewskiego były dość niesamowite i strasznie chaotyczne. W porównaniu z większością wykładów u nas na Wydziale, które były całkowicie uporządkowane i śmiertelnie nudne, to robiło wrażenie. Wykłady profesora były naprawdę fascynujące, tylko to były wykłady nieulożone. Tak jak czasami fragmenty moich wykładów – że jak gdyby wlaził w bok, ale nigdy już nie wracał. One się dawały bardzo dobrze słuchać, ale źle notować. Zupełnie inne były wykłady prof. Szulety, który wykładał botanikę na pierwszym roku. Można było pięknie notować, natomiast można było umrzeć z nudów.

Do egzaminu uczyłam się z nielegalnie wydanego przez Instytut Badań Jądrowych prywatnego tłumaczenia *Molecular Biology of the Gene* Watsona.

Zdobył to skądś Piotr Stępień i myśmy się z tego uczyli, bo z wykładów profesora to było niesłychanie trudne.

Profesor Kunicki był niesamowity. Jego wykłady były totalnie zwariowane.

Ewa Bartnik

Pamiętam dobrze dwie panie profesor z biochemii, czyli Irenę Chmielewską i Zofię Kasprzyk. Profesor Chmielewska była koleżanką z roku mojego ojca. Łagodna z postury i oburzająca się wewnątrz, zaperzająca się, nie na studentów, bo to za daleko, tylko tak ogólnie. I profesor Kasprzyk – besztająca studentów, krzycząca z dużą energią: „Co pani?! Zwariowała pani?! Tu cykliczny, tu niecykliczny”. To było trudne do przejścia, egzaminy u tych pań były stresujące. Pani profesor Kasprzyk podobno nie lubiła ładnych dziewczyn.

Studenci mieli kłopoty z matematyką, fizyką i chemią. Chemicy czy matematycy biologów najwyczejniej kosili. Ja dawałam sobie z tym radę, bo lubiłam te przedmioty. Pogromcą na chemii analitycznej był dr Wiktor Pawłowski. Teraz jest moim sąsiadem. Mocno już starszy pan. Z biologią ma tyle wspólnego, że jest pasjonatem ptaków i grzybów, robi też zdjęcia z wypraw do lasu publikowane w tygodniku „Polityka” i innych wydawnictwach. Po pogromie na chemii analitycznej na drugim roku pojechałam na studencki obóz żeglarski, patrzę, a tu Wiktor Pawłowski. On był żeglarzem i miał taki własnoręcznie szyty namiot, flanelową koszulę, kalosze zamiast białego fartucha... szok. Turystyczny styl ma do tej pory. Obronił mnie przed krytycznym atakiem pewnego siebie młodego żeglarza na egzaminie żeglarskim.

Pan profesor Kunicki przydzielał studentów robiących pracę magisterską swoim pracownikom. Zostałam przydzielona w 1969 roku do pani dr Marty Bednarskiej. I jak zostałam przydzielona, tak rozstałyśmy się dopiero, idąc na emeryturę. To znaczy ona została emerytką siedem lat wcześniej.

Po moim seminarium magisterskim profesor zapytał: „A co byś powiedziała, gdybyś została? Co prawda, nie starczy ci na paczkę papierosów dziennie, ale ty nie palisz”. Dostawało się na rok staż, tzw. Asystenckie Studia Przygotowawcze, ASP. To był taki wstęp do etatu.

Anna Kraczkiewicz-Dowjat

W czasie moich studiów i długiej późniejszej pracy na Wydziale miałem okazję spotkać ludzi ciekawych, o nieprzeciętnej osobowości. Z kontaktów z nimi zapamiętałem wiele sytuacji śmiesznych, wzruszających, a czasami nawet „groźnych”. Nie sposób przytoczyć choćby części, więc tylko kilka

z nich. Pamiętam na przykład swój egzamin z biochemii. Pytał wtedy pan prof. Kazimierz Toczko (wówczas docent), a był to człowiek bardzo nerwowy. Egzamin wyglądał tak, że jedna osoba odpowiadała, a druga w tym czasie siedziała gdzieś w kącie i szykowała odpowiedź. Jak wszedłem, to odpowiadała koleżanka z roku, a ja usiadłem i miałem się przygotować. Siedzę więc, a moja koleżanka odpowiada, bardzo zresztą słabo. Docent Toczko wreszcie nie wytrzymał i postawił jej dwóję. Ona wtedy zaczęła rozpaczać, dostała spazmów. Ja tam siedziałem i patrzyłem na to wszystko. Wreszcie on ją wyrzucił z pokoju, a ja już wiedziałem, że z pewnością obleję ten egzamin. Docent Toczko był cały roztrzęsiony. Usiadłem naprzeciw niego i on zaczyna: „No przecież pan to wszystko słyszał. Przecież ona rzeczywiście nic nie umie. Przecież ja musiałem jej dwóję postawić. No niech pan powie, że musiałem”. „Oczywiście, panie docencie, oczywiście, że tak”. Egzamin zdałem na czwórkę. Dobrze też pamiętam mój egzamin z genetyki. Profesor Waclaw Gajewski zadał mi pytanie, już nie pamiętam jakie. Zacząłem odpowiadać, nie przerywał mi. Skończyłem. A on na to: „Pan opowiedział o czymś zupełnie innym. To nie była odpowiedź na moje pytanie. Ale to, co pan powiedział, jest poprawne i również ciekawe”. Egzamin zdałem na czwórkę.

Dawniej był taki miły zwyczaj, że przed kolokwium habilitacyjnym należało zadzwonić do każdego samodzielnego pracownika – członka Rady Wydziału – przedstawić się i zapytać, czy przypadkiem nie chciałby porozmawiać. No i ja też dzwoniłem do wszystkich. To było kilkadziesiąt osób. Mówiłem, że chętnie przyjdę, opowiem o sobie. Prawie wszyscy odpowiadali, że nie, że nie ma takiej potrzeby. Profesor Andrzej Kaczanowski był jednym z tych nielicznych, którzy zaprosili mnie na rozmowę. Umówiliśmy się. Przyszedłem i myślę: „Pogadamy sobie, fajnie będzie”, a on mnie posadził za stołem, wręczył mi kartkę papieru, długopis i mówi: „Proszę zdefiniować efektywną wielkość populacji i powiedzieć, jak się ją oblicza”. Myślę: „Rany Boskie, niedobrze!”. Na szczęście wiedziałem i zacząłem odpowiadać. W pewnym momencie profesor został poproszony do telefonu i wyszedł. Czekałem 10, 15, 20 minut, pół godziny, a jego nie ma. Wreszcie zdecydowałam się, że pójde go poszukać. No i okazało się, że on siedzi przy mikroskopie, ogląda swoje orzęski, a o mnie całkiem zapomniał. Przypuszczam, że mu się pomyliło – pewnie myślał, że jestem studentem i przyszedłem do niego na egzamin.

Michał Kozakiewicz

Doskonale pamiętam pierwszy wykład, w jakim uczestniczyłam. Było to na początku pierwszego roku studiów: wykład z zoologii prowadzony przez sędziwego już prof. Raabego. Wykład dotyczył porównania pierwotniaków

z organizmem człowieka, gdzie na początku wykładu profesor z wielką wprawą i dosłownie kilkoma ruchami narysował białą kredą na czarnej tablicy najpierw, po lewej stronie, dużego pierwotniaka, a po prawej stronie, również kilkoma ruchami, duży i piękny kształt kobiety. Te rysunki zrobione z taką wprawą, ot tak, od niechcienia, odczytałam jako przykład fantazji. Wykład sprawił mnie w absolutny zachwyt. Od razu pokazało mi to inną perspektywę, nie tylko znaną mi, ciasną perspektywę szkolnego podręcznika, lecz szerszą, już uniwersytecką myśl. Podczas dalszych wykładów całkowicie utwierdzałam się w przekonaniu, że mam do czynienia z doskonałym uczonym i świetnym wykładowcą, który w dodatku ma duży talent rysowniczy.

Świetnie pamiętam też wykłady z genetyki prof. Wacława Gajewskiego. Profesor był postacią niezwykle barwną. Przewieszał się przez katedrę i machał rękami z przodu, wprowadzając wszystkich studentów w zdumienie. Przy tym szeroko i przyjaźnie uśmiechał się do nas. Mówił bardzo ciekawie. Do dzisiaj nie rozumiem, jak to było możliwe, aby w takiej pozycji w ogóle cokolwiek mówić, i to do sali nabitej studentami. A prof. Wacław Gajewski potrafił zainteresować całą tę salę.

Małgorzata Wierzbicka

Bardzo cenilem prof. Kunickiego. Byłem chyba jedynym studentem, któremu wolno było palić papierosy z profesorem na seminarium. On mnie sobie wybrał i myśmy sobie razem palili. Ja wtedy przeszedłem na giewonty bez filtra. Zawsze przynosiłem te giewonty, no i tak sobie paliliśmy.

Jacek Bielecki

Bardzo mile wspominam kontakt z prof. Andrzejem Tarkowskim, chociaż trochę się go bałam, zarówno jako studentka, jak też później – już jako pracownik Instytutu Zoologii, którego profesor był długoletnim dyrektorem. Był niezwykle pracowity, co między innymi odzwierciedlało się w znakomitym przygotowaniu niesamowicie ciekawych wykładów. I trzeba jeszcze wspomnieć, że profesor był bardzo ciepłym i wrażliwym człowiekiem. Nigdy nie zapomnę sytuacji, gdy nasza grupa uczestnicząca w wykładach z embriologii po ich zakończeniu w podzięcie wręczyła profesorowi bukiet kwiatów. Profesor był tak wzruszony, że się po prostu popłakał. Jeszcze teraz, jeżeli mamy styczność z dawnymi studentami, którzy nie są i nie byli po studiach związani z Wydziałem, to jedną z osób, które ciepło wspominają, jest właśnie prof. Tarkowski.

Oczywiście nigdy nie zapomnę prof. Kazimierza Petrusewicza. Pierwszy raz zetknęłam się z profesorem na konferencji naukowej, która odbywała się w Kazimierzu Dolnym. Było to dla mnie wielkie przeżycie, bo po raz pierwszy prezentowałam tam wyniki swoich badań, wykonywanych zresztą w Instytucie Ekologii PAN, którego dyrektorem był wówczas prof. Petrusewicz. Wyniki te stały się później częścią mojej pracy magisterskiej, której oficjalnym opiekunem został właśnie profesor. Po przeżyciach związanych z samym moim „wystąpieniem” przyszedł czas na następne. Nadszedł wieczór po obradach. Wszyscy zgromadzili się w sali, gdzie centralnie stało pianino. Profesor Petrusewicz siadł do pianina i... zaczął grać i śpiewać pieśni patriotyczne. Wiele później jeszcze takich wieczorów przyszło mnie i moim kolegom z Zakładu Ekologii przeżyć, szczególnie w naszej stacji w Urwitałcie, gdzie prym wiódł nasz wspañiały, niezastąpiony szef, prof. Kazimierz Dobrowolski.

Bardzo serdecznie wspominam państwa profesorów Janinę i Andrzeja Kaczanowskich. Państwo Kaczanowscy, szczególnie pan profesor, byli bardzo mocno zaangażowani w swoją pracę i niejednokrotnie całkowicie nią pochłonięci zapominali o otaczającej ich rzeczywistości. Doprowadzało to niekiedy do zabawnych momentów. Nigdy nie zapomnę sytuacji, które zdarzały się w okresie, gdy mieszkaliśmy na Bielanach bardzo blisko państwa Kaczanowskich. Dość często jeździliśmy razem tramwajem do pracy. I wtedy pan profesor zaczynał zwykle opowiadać o wynikach swoich najnowszych badań. Coraz bardziej się angażował i mówił coraz głośniej. A sprawy dotyczyły najczęściej odkryć związanych z koniugacją orzęsków, czyli w sumie różnych aspektów „kopulacji”. Bardzo lubiłam te podróże. Nawet w godzinach szczytu mieliśmy miejsca siedzące, a wokół nas było pusto...

Anna Kozakiewicz

Szczególnie zapadły mi w pamięć wykłady księdza prof. Szulety z anatomii i cytologii roślin. Bardzo interesujące były też wykłady, które prowadził na biochemii pan prof. Toczko.

Ciekawe, bardzo konkretne wykłady z chemii nieorganicznej miał pan prof. Gałęcki. Krążyła plotka, że na egzamin do profesora trzeba się stosownie ubrać. A wtedy była moda mini. Dlatego miałyśmy dyżurną spódnicę na gumkę, którą opuszczałyśmy na biodra, żeby wyglądać skromnie. Pan profesor miał też zaprzyjaźnionego wróbelka, który mieszkał razem z nim i nie wolno go było przepędzać, gdy siadał na ramieniu albo na głowie.

Pamiętam też egzamin u prof. Matuszewskiego, kierownika Zakładu Cytologii. Profesor lubił egzaminować w godzinach wieczornych i często zapadał w sen. Była taka zasada, że nie wolno go pod żadnym pozorem budzić. Egzamin zdawałam jako ostatnia. Usiadłam, profesor zadał mi

pytanie i zasnął. No i co ja miałam robić? Minęło pół godziny, kiedy zadzwonił telefon, dzwoniła żona profesora. Profesor się ocknął i mówi: „No tak, bardzo dobra odpowiedź, piątka”.

Egzamin z biochemii zdawało się albo u pań profesor Chmielewskiej i Kasprzyk, albo u panów profesorów Kaniugi i Toczki. Najlepiej było zdawać u prof. Toczki, bo uważany był za najmniej srogiego. Wszyscy studenci siedzieli na półpiętrze gotowi do ucieczki, bojąc się, że jak ktoś na górze skończy egzamin, to któraś z pań profesor wyjdzie i powie: „Teraz ty”. Ja zdawałam u prof. Kaniugi i bardzo miło wspominam ten egzamin.

Ciekawe także były wykłady pana prof. Gajewskiego na genetyce. Bardzo żywe, ale też nieco chaotyczne. Pan profesor bardzo lubił palić i musiał mieć przerwę na papierosa. No i czasami zarzucał nogę na katedrę.

Elżbieta Romanowska

Najlepiej pamięta się osoby, z którymi potem był dalszy kontakt, choćby z racji specjalizacji. Z różnych więc względów dobrze pamiętam panią prof. Alinę Skirgiełło. U niej zdawałam egzamin, nie mogłam przecież zdawać u mamy. Bardzo dobrze wspominam też księdza prof. Szuletę.

Agnieszka Mostowska

Bardzo dobrze wspominam prof. Zbigniewa Kwiatkowskiego. Profesor cieszył się dużym autorytetem, a jego wykłady z fizjologii bakterii były tak interesujące, że żadnego nie opuściłam. Wśród studentów krążyły opowieści, że egzamin u profesora jest bardzo stresujący. Uczyliśmy się w grupie całą noc. Wchodzę na egzamin z mocno bijącym sercem, a profesor mówi: „Pani Katarzyno, proszę indeks. Ja wiem, że pani jest bardzo dobrze przygotowana i stawiam pani piątkę”. Pozostały miłe wspomnienia, że profesor potraktował mnie tak wyjątkowo. Kilka lat później, po skończeniu studiów i urlopie macierzyńskim, przyjął mnie do swojej grupy badawczej w Instytucie Mikrobiologii.

Katarzyna Brzostek

Bardzo ciepło i miłe wspominam wykłady pana profesora księdza Szulety, który był wielkim autorytetem. Ksiądz profesor bardzo nas szanował jako studentów. Potrafił zachować dystans, który przystoi i księdzu, i profesorowi,

ale z drugiej strony czuło się od niego wielkie ciepło. Na egzaminie z botaniki dostałam piątkę i byłam bardzo zmotywowana do dalszego studiowania. Rozmowa w czasie egzaminu dotyczyła nie tylko botaniki, ale również naszej tożsamości, a wiemy, jakie to były czasy, i każde takie słowo było dla nas ważnym wsparciem.

Na pierwszym roku mieliśmy ćwiczenia z zoologii. W indeksie mam wpisy dokonane przez panią dr Renatę Czołowską, Danusię Jędraszko, pana prof. Gliwicza, panią dr Riedel. To jest skład grupy asystenckiej, która uczyła nas zoologii. Jest również gdzieś podpis pana prof. Andrzeja Kaczanowskiego, pana prof. Stefana Radzikowskiego czy pani dr Krystyny Prejs. Pamiętam, że jeszcze pani dr Anna Kalinowska prowadziła z nami zoologię. Bardzo duża ekipa, ale świetnie przygotowana, żeby nas dobrze nauczyć zoologii.

Na tych ćwiczeniach prowadziliśmy zeszyty rysunków. W przypadku, gdy nie spełniał on kryteriów poprawności, był kreślony i trzeba go było wykonać jeszcze raz od początku. Niektórzy mieli problemy, bo zdarzają się, jak wiadomo, osoby mniej i bardziej uzdolnione. Mnie wykonywanie tych rysunków sprawiało dużą przyjemność. Na ćwiczeniach trzeba było też rozpoznać preparaty i przygotować do kolokwium, które polegało między innymi na oglądaniu preparatów. Pamiętam, że bardzo lubiliśmy, jak pani dr Riedel odpytywała nas z preparatów.

Pierwszy egzamin z zoologii zdawałam u pana prof. Zdzisława Raabego. To było w tej sesji, której niestety nie dożył do końca. Zdawałam na parę dni przed śmiercią profesora. Pamiętam, profesor poruszył problem skażenia lasu wokół huty w Koziencich.

Maria Doligalska

Pamiętam cudowne wykłady z protozoologii prowadzone przez prof. Zdzisława Raabego. Podczas pierwszej sesji miałam u niego egzamin. Egzamin w tamtym czasie były ustne. Wchodzę do gabinetu profesora, a on je łyżeczką kawę neskę ze słoika, jestem zdziwiona, a profesor na to: „Dziwisz się, dziecko, wiesz, lekarze nie pozwalają mi pić kawy, więc ją jem”. Profesor był niezwykle inteligentny i dowcipny. Niestety, jak potem się dowiedzieliśmy, był śmiertelnie chory, uciekł ze szpitala, aby nas przepytac, zmarł w lutym 1972 r. zaraz po sesji. Drugi rok studiów to między innymi zajęcia z botaniki w Alejach Ujazdowskich. Dwie poważne panie profesor – Alina Skirgiełło (mykolog) i Irena Rejment-Grochowska (briolog) – prowadziły wykład z botaniki. W tamtych czasach wszystkie detale wykładowcy rysowali kredą na tablicy. Obie panie profesor miały niezwykły talent rysunkowy i wychodziło to wspaniale. Ćwiczenia z botaniki odbywały się w budynku

Observatorium Astronomicznego. Wtedy poznałam algołożkę Hanię Szymańską, która była doskonałym dydaktykiem. Później zaprzyjaźniłyśmy się, a przyjaźń ta trwa do dziś.

Zupełnie niezwykłym przeżyciem były wykłady z genetyki prowadzone przez prof. Wacława Gajewskiego.

Były też koszmary, czyli fizyka i chemia. Ćwiczenia z chemii analitycznej, a zwłaszcza miareczkowanie i doprowadzanie preparatów do stałej wagi, śniły mi się przez wiele lat. Wykład z fizyki, prowadzony przez prof. Ewę Skrzypczak, to był jeden koszmar. Nic nie rozumieliśmy. Pracownia fizyczna także spędzała nam sen z powiek. Asystenci mieli studentów biologii za półgłówków niezdolnych cokolwiek zrozumieć i traktowali nas strasznie. Egzamin z fizyki zdałam tylko dlatego, że mój przyszły mąż (student Wydziału Fizyki UW) uczył w domu mnie i moje trzy przyjaciółki ze studiów, cierpliwie przez dwa tygodnie wyjaśniając niejasności i zawilości tej nauki.

Hanna Werblan-Jakubiec

Pierwszy wykład, jakiego w życiu wysłuchałem, to był wykład księdza prof. Szulety. I byłem tym po prostu zachwycony. To był człowiek niesłychanej kultury i erudycji. No taki, jak sobie wyobrażamy profesora. Nie nosił koloratki, tylko czarny garnitur z krawatem. No, czasem nosił, podobno demonstracyjnie założył koloratkę na konferencję biologów w Moskwie. Był kostyczny, trzymał dystans i był po prostu fenomenalnym wykładowcą. Podejrzewam, że ten wykład wygłaszał tak samo przez ostatnie 20 lat, ale to nie było istotne – było za to mnóstwo wspaniałych historycznych anegdot. Przynosił sporo okazów na wykłady. Do tej pory pamiętam, jak stał z taką potworną łodygą bambusa, sięgającą do sufitu, i pytał: „Co ja trzymam w ręku? Żdźbło trzymam! Bo to jest trawa”.

Jeśli chodzi o biochemików, mógłbym wyrecytować wszystkich. Sporo osób już nie żyje. Najlepiej rozmawiało mi się z panią dr Barbarą Frąckowiak, która potem dość szybko odeszła z Wydziału. Pamiętam Wojtka Michalskiego, który był moim nauczycielem, a potem ożenił się z moją najlepszą koleżanką z roku. Do tej pory się przyjaźnimy, mimo że oni są w Australii i troszkę ten dystans to utrudnia. Pamiętam profesora – wtedy oczywiście nie profesora – Bogusia Wiłkomirskiego. Również moich kolegów, z którymi potem pracowałem przez mniej więcej 20 lat, czyli Jerzmanowskiego i Staronia. No i oczywiście wykładowców, przy czym to nie byli „dobrzy” wykładowcy. Bo na przykład prof. Toczko nie był w stanie sklecić jednego zdania bez przerywania, stękania i jąkania się, ale mówił porywająco. Pamiętam wykłady profesora, też już niestety nieżyjącego, Kaniugi. Teraz częściowo przejąłem po nim ten wykład. Oczywiście sporo się w biochemii przez te

40 lat zmieniło, ale tam, gdzie się nie zmieniło, ja to samo powtarzam dziś studentom. Do tej pory dokładnie pamiętam, co prof. Kaniuga mówił, co rysował. Mam nadzieję, że za kolejne 40 lat ktoś też będzie wspominał moje wykłady jako przynajmniej trochę inspirujące.

Jan Fronk

Pamiętam wśród wykładowców kilka ekscentrycznych postaci. Ja szczególnie ceniłam prof. Władysława Kunickiego-Goldfingera i dr. Andrzeja Batkę, którzy słynęli z nietuzinkowych zachowań i powiedzeń, ale przede wszystkim byli dużego formatu intelektualistami o przenikliwych i wszechstronnych umysłach.

Joanna Pijanowska

Panowała opinia, że wykłady Tarkowskiego były znakomite. Wiele osób, które przyszły do Zakładu, mówiło, że głównym motywem ich decyzji było właśnie wysłuchanie wykładów szefa. Rzeczywiście musiały odstawać od przeciętnej. Pamiętam, że w tamtym czasie wykłady nie były najlepszą stroną naszych studiów. Na tym tle wyróżniał się oczywiście Batko. Nasz rok był pierwszym, który miał z nim botanikę, bo umarła pani Rejment-Grochowska, prowadząca wykłady do spółki z panią Skirgiełło. No i te spotkania z Batką były rzeczywiście porywające. On co prawda nigdy nie przerobił kursu botaniki, nigdy nie doszedł do żadnej części systematycznej. Systematycznego wykładu tam w ogóle nie było, bo on przychodził i opowiadał, co mu w danym momencie przyszło do głowy. Filmy puszczał bezustannie, ale te filmy też często miały niewiele wspólnego z botaniką, pokazywał nam na przykład kopulujące kangury itd. Ale to na wykładach Batki po raz pierwszy usłyszałem, co się akurat dzieje w Zakładzie Tarkowskiego. Opowiadał na przykład, że pracuje tam dr Modliński, który na mikrokuźni robi mikronarzędzia i tymi mikronarzędziami wykonuje mikromanipulacje.

Kunickiego słyszałem jako wykładowcę. Miałem też z nim do czynienia troszkę w ramach działalności społecznej, tak że go troszkę bliżej poznałem. No, to postać niesamowita. On jako stary socjalista zwracał się per wy: „No, jak tam u was, kolego? Co wy uważacie?”.

Marek Maleszewski

Dziekanem ds. studenckich był Tomasz Umiński, który, zanim zaczęliśmy studiować, bardzo dokładnie przejrzał wszystkie nasze dokumenty ze zdjęciami. I już na pierwszym wykładzie ze „Wstępu do biologii” zwracał się do nas, używając naszych imion. Było więc: „Pani Marto, co pani na ten temat myśli?”. Byliśmy przerażeni – skąd on wie, jak my się nazywamy? To wywoływanie z imienia miało działanie paraliżujące lub mobilizujące. Zwykle jednak zmuszało nas do intensywnego myślenia.

Profesor Umiński przynosił na wykłady pewne obiekty. Raz była to czaszka niedźwiedzia polarnego, innym razem kiel narwala. Bardzo lubił przechadzać się z tymi eksponatami i zadawać pytania. Pamiętam, że na pytanie o czaszkę niedźwiedzia odpowiedziałam w sposób nietypowy, acz poprawny i od tego czasu z panem Umińskim bardzo się polubiłszy. To był moment, kiedy zaczęłam ufać swoim własnym pomysłom i uwierzyłam również w moc zadawania pytań. Myślę, że przejęłam metodę pytań właśnie od prof. Umińskiego.

Na zajęciach z zoologii trafiłam do grupy pani dr Magdaleny Borowik, a ponieważ ona mnie dobrze pamiętała z egzaminu ustnego, postanowiła, że zrobi ze mnie biologa. Bardzo dużo jej zawdzięczam. Byłam chyba najdłużej maglowaną osobą na każdych zajęciach. Nie mogłam wyjść, dopóki nie wykazałam, że wszystko rozumiem. Nie wychodziłam, dopóki nie miałam perfekcyjnie podpisanych rysunków. To była moja nauka pokory i solidności. Kosztowało mnie to dużo czasu, a panią doktor wiele cierpliwości. Odczuwam dla niej niesłabnącą wdzięczność za te wszystkie spędzane ze mną chwile, które przecież mogła przeznaczyć na inne aktywności lub odpoczynek.

Marta Wrzosek





DYPLOMY

s. 122: Kazimierz Dobrowolski, Rysunki, kwiecień – maj 1954 r.

Z tematem pracy magisterskiej było tak, że profesor wyznaczał jakieś zadanie, mniej lub bardziej skomplikowane, ale niezbyt trudne do wykonania. Recenzentów nie było. W końcowym egzaminie brał udział tylko profesor, u którego robiło się pracę, i dziekan – w moim przypadku prof. Bassalik.

Bohdan Matuszewski

Obciążenia przy budowie fitotronu powodowały, że mniej czasu mogłem poświęcić pracy naukowej. Mimo trudności, korzystając ze zbudowanego aparatu, mierzyłem objętość przestrzeni międzykomórkowych w różnych organach roślin. Po uzyskaniu wystarczającej ilości pomiarów u wielu gatunków roślin wyniki opisałem i przedstawiłem prof. Strebeyce. Prosiłem, aby ocenił, czy praca ta może być pracą doktorską. Po kilku miesiącach, gdy nie miałem żadnej odpowiedzi, zwróciłem się do pana dziekana, prof. Rybickiego, z prośbą, aby zapytał prof. Strebeykę, co sądzi o mojej pracy. Po pewnym czasie prof. Strebeyko oznajmił, że nie ma zastrzeżeń merytorycznych, ale dla ostrożności radzi jeszcze trochę poczekać. Jak sądzę, czekałem wystarczająco długo, aby pracę wysłać do recenzenta. Po namyśle profesor wybrał na recenzenta prof. Zurzyckiego z UJ. Drugim recenzentem został prof. Szuleta.

Publiczna obrona pracy odbyła się w listopadzie 1964 roku. Byłem bardzo wzruszony i szczęśliwy, gdy po kilku dniach prof. Chmielewska w rozmowie ze mną oświadczyła, że już dawno nie słyszała tak dobrze wykonanej pracy i wygłoszonego wykładu. Z perspektywy czasu widzę, że popełniłem poważny błąd, ponieważ nie skorzystałem z propozycji prof. Chmielewskiej przejścia do jej Zakładu.

Będąc w Warszawie, prof. Paszewski, kierownik Zakładu Fizjologii Roślin Uniwersytetu w Lublinie, proponował, abym pod jego kierunkiem przystąpił do pracy habilitacyjnej. Niestety i z tej propozycji nie skorzystałem.

Jerzy Czernski

Moja droga do hydrobiologii wiodła przez Zakład Ekologii Zwierząt (później Ewolucjonizmu i Ekologii Zwierząt), w którym prowadzono badania zarówno w środowiskach wodnych, jak i lądowych. Kierownikiem Zakładu był najpierw prof. Tarwid, pod którego kierunkiem wykonałam pracę magisterską, a potem prof. Petruszewicz, który był promotorem mojej pracy doktorskiej. Obaj profesorowie byli moimi mistrzami.

Ewa Pieczyńska

Moja praca magisterska (1957) dotyczyła różnic w procesie kostnienia u gniazdowników, zagniazdowników i półgniazdowników. Moim zadaniem było też zbadanie, w jakim stadium znajduje się szkielet w momencie wylęgu. Z kurami był najmniejszy kłopot. Wystarczyło podjechać pod PGR przed Cmentarzem Bródnowskim i kupić zapłodnione jaja. Potem niestety musiałam mordować te pisklaki.

Profesor Tarkowski miał doskonały pomysł, żebym zajęła się tzw. PKP, czyli pierwotnymi komórkami płciowymi u ptaków. Chodzi o komórki, które najpierw długo, długo wędrują, a jak się już osiedlą w narządach rozrodczych, to są komórkami płciowymi męskimi lub żeńskimi. Badałam te komórki w normalnych i uzyskanych eksperymentalnie bliźniaczych zarodkach kaczki (1968).

Teresa Rogulska

Mój doktorat dotyczył wpływu temperatury otoczenia na procesy trawienne u węży zaskrońców. Szybkość trawienia była oceniana aparatem rentgenowskim. Węże łykały żaby, a na zdjęciach widoczny był postęp rozkładu ich kości w żołądku gada. Do badania właściwości śliny i soku żołądkowego służyły zaś dwa modele „sztucznych żab”. Połykana żaba wprowadzała też do żołądka węża czujnik temperatury na cienkim przewodzie.

I tu nastąpił najzabawniejszy incydent naukowy w moim życiu, bowiem zdarzyło się, że taki czujnik, niewyciągnięty z pyska odpowiednio wcześniej, przeszedł przez cały przewód pokarmowy węża i wyszedł odbytem. Gad był zatem nawleczony na przewód jak koralik. O cofaniu nie mogło być mowy. Zaryzykowałem i zdjawszy wtyczki, delikatnie przeciągnąłem ponadpółtorametrowy miękki kabelek przez całe zwierzę. Zniosło to dobrze i żyło po tym zabiegu jeszcze długo.

Rafał Skoczylas

W 1960 roku umiera prof. Bassalik. Jest zamieszanie. Ma przyjechać jakiś profesor z Wrocławia. W tej sytuacji Stefan Makowski i ja postanawiamy wyprowadzić się z pracą magisterską poza Uniwersytet. Załatwiliśmy sobie miejsce w PZH. Wszystko już mieliśmy obgadane, tymczasem z Wrocławia przyjechał prof. Władysław Kunicki-Goldfinger wraz z dwoma adiunktami – Zbigniewem Kwiatkowskim i Maciejem Tabaczyńskim. Kwiatkowski był organizacyjnie odpowiedzialny za to, co się dzieje. Powiedzieliśmy mu, jakie są nasze plany, on poszedł z tym do Kunickiego, a ten wpadł w szal.

Usłyszeliśmy straszny ryk zza drzwi: „Co oni sobie myślą?! Co wy mi tu mówicie!? Przecież to wotum nieufności w stosunku do mnie! Mowy nie ma!”. Za chwilę wyszedł do nas Kwiatkowski, cały czerwony, z komunikatem: „Niestety profesor Kunicki nie wyraził zgody i prosimy, żebyście kontynuowali wasze prace na Uniwersytecie”. I tak też się stało.

Ewa Bieszkiewicz

Specjalizację robiłem z biochemii. Moje zajęcia na czwartym i piątym roku odbywały się głównie w gmachu Chemii przy ul. Pasteura, tak więc kontakty z „jądrem” bardzo osłabły. Biochemią kierowała prof. Irena Chmielewska. Wymyślała różne prace magisterskie, które dawało się wykonywać w ówczesnych warunkach laboratoryjnych. Moja nosiła tytuł: *Składniki frakcji metanolowej z kwiatów peonii białej*. Peonie rosły na Grochowiu – tam były duże ich plantacje, a metanol był łatwo dostępny. Potrzebna była jeszcze tylko bibuła chromatograficzna i szklane słoje. Robiłem więc ekstrakty metanolowe, wyizolowałem z nich flawonoid, którego widmo wykonały laborantki, specjalnie wydelegowane do obsługi jedyne go wtedy na Wydziale Chemii spektrofotometru, co pozwoliło na jego zidentyfikowanie jako kamferol. Korzystaliśmy wyłącznie z rozklekotanego kolorymetru, który nie miał ciągłej skali, tylko ustawiało się przedziały na różne długości fali. Z takim oto przygotowaniem zostałem magistrem biochemii, który nie dotknął się spektrofotometru. To wszystko mówi o mizerii aparaturowej i materiałowej, w jakiej w tym okresie znajdowała się biochemia i nie tylko ona.

Andrzej Paszewski

Pracę magisterską zrobiłem u pana prof. Mariana Rybickiego, który był fizjologiem porównawczym zwierząt. A moja praca doktorska dotyczyła badań nad neurohormonalną regulacją dobowego rytmu aktywności ruchowej świerszcza domowego *Acheta domestica*. Po to, by badać rytmy biologiczne owadów, musiałem skonstruować jakieś aparaty do rejestracji ich aktywności. W tamtych czasach było to dosyć trudne. Dziś istnieją bardzo proste urządzenia działające na zasadzie fotokomórek – owady się poruszają, aparat automatycznie to rejestruje. A wtedy do rejestracji służył mi obracający się bęben. Po 24 godzinach przesuwałem pisak niżej, kolejne 24 godziny zapisu itd. Bęben obracał się po nakręceniu sprężyny, natomiast impulsy pochodziły z pudełka, w którym umieszczony był owad. Konstruowałem takie pudełka, które się przewracały, obracały, gdy owad przechodził z jednego miejsca w drugie. Po zakończeniu eksperymentu trzeba było utrwalić zdjęty z bębna papier. Zdarzało się, że przez nieuwagę niszczyłem zapis

rękawem, różne przygody były. W każdym razie praca wyszła w 1969 roku i pięć lat po skończeniu studiów zostałem doktorem nauk przyrodniczych.

Moja habilitacja była nietypowa. Przedstawiłem pracę, która została opublikowana w „Journal of Insect Physiology” w języku angielskim. Coś takiego po raz pierwszy przeszło przez Radę Wydziału i praca pod tytułem *Control of the circadian rhythm of locomotor activity in the house cricket* została przyjęta jako praca habilitacyjna.

Bronisław Cymborowski

Jako temat pracy magisterskiej otrzymałem zadanie określenia, jakie mutanty powstają pod wpływem kwasu azotawego u grzyba *Neurospora crassa*. Bezpośrednio byłem pod opieką prof. Zbigniewa Kwiatkowskiego, ale już wtedy prof. Kunicki mocno się interesował tym, co robię. Czuło się jego stałą opiekę, pytał, co i jak, a także radził. Tematem pracy doktorskiej, którą obroniłem w 1969 roku, było określenie charakteru DNA przekazywanego w trakcie procesu koniugacji u *Escherichia coli*.

Andrzej Piekarowicz

Pracę magisterską pisałem pod kierunkiem prof. Bernarda Bezubika. Po śmierci prof. Wiśniewskiego, którego nie miałem okazji poznać, Katedrę Parazytologii zlikwidowano, a w jej miejsce powołano najpierw pracownię, później Zakład Parazytologii, którym kierował właśnie prof. Bezubik.

Moja praca dyplomowa dotyczyła nicienia *Strongyloides papillosus*, pasożyta owiec. Wtedy w Zakładzie pracowaliśmy nad odpornością owiec na zarażenie pasożytami żołądkowo-jelitowymi. Moim zadaniem była ocena modelu eksperymentalnego celowo stworzonego do tych badań. Później przez wiele lat utrzymywaliśmy szczep owczy *Strongyloides papillosus* na królikach. Oczywiście było to o tyle ważne, że mniejsze zwierzęta mniej kosztowały i łatwiej było prowadzić doświadczenia w tamtych warunkach, w Szkole Głównej.

Edward Siński

Magisterium miałam robić u Bassalik-Chabielskiej, taki był plan. Tylko że pojechałam na wakacje i jak z nich wróciłam, dowiedziałam się, że robię jednak u Kunickiego, ponieważ Chabielska wyjeżdża do Stanów. Ale robiłam tę pracę ze ścieków, czyli nie jestem genetykiem od magisterium. A zatem

zaczęłam od badania mikroorganizmów ścieków rafineryjno-petrochemicznych. Profesor Kunicki nie był jeszcze wtedy zdecydowany, w jakim kierunku poprowadzi tę warszawską mikrobiologię. Zespół po Bassaliku był taki bardziej techniczny i profesor wahał się, co będzie dalej. Na Zachodzie zaczęła rozkwitać prawdziwa genetyka, a nie ta, dotychczas jedynie słuszna łysenkowska.

Mirosława Włodarczyk

Moim pierwszym tematem była *Fosforylacja oksydacyjna w łańcuchu oddechowym*. Mieliśmy jakiś węgierski spektrofotometr i aparat Warburga, przy użyciu którego oznaczałam szybkość oddychania mitochondriów wątroby szczura, kalibrowałam naczynka. Mieliśmy świetnego szklarza, pana Mariana Dolińskiego, który nam te naczynka robił z formy. Kupiliśmy manometry i moje pierwsze doświadczenie to oznaczanie pobierania tlenu przy użyciu manometru. W taki sposób powstawała moja praca magisterska.

Jadwiga Bryła

Moja praca doktorska dotyczyła roli ptaków w krążeniu materii. Żeby więc to zbadać, trzeba było te ptaki mieć, nakarmić, zobaczyć, co wydalają, przeanalizować pod kątem energetyki. To było realizowane w Urwitałcie. I tylko dzięki Urwitałtowi mogło być zrealizowane.

Ryszard Halba

Pamiętam, że gdy zdawałam egzamin magisterski, to akurat wtedy nowością były fragmenty Okazaki. Podczas egzaminu ja prawie nic nie mówiłam, bo panowie profesorowie, czyli mój promotor – prof. Kunicki-Goldfinger i recenzent – prof. Gajewski, wrywali sobie kartki i rysowali te struktury. A na egzaminie doktorskim prof. Gajewski (recenzent) odpytywał mnie z plazmidów. Na początku zaczęłam coś mówić o historii plazmidów i zauważyłam, jak szybko recenzent staje się absolutnie znudzony. Pomyślałam, że coś tu jest nie tak, i zaczęłam mówić o nowszych danych dotyczących mechanizmów replikacji plazmidów – wtedy prof. Gajewski przysunął się z krzesłem, wysunął się w moją stronę i zaczął uważnie słuchać. To było naprawdę miłe.

Elżbieta K. Jagusztyn-Krynicka

Zainspirowała mnie osobowość prof. Kunickiego i jego wykłady. Były bliskie mojemu sposobowi patrzenia, myślenia, bo miały w sobie pewną tajemnicę. Słabo się wtedy znałem na mikrobiologii. Człowiek zawsze widział rzeczy duże – ptaki, kwiaty, drzewa – to, czego uczą w szkole, a tu nagle jakiś zupełnie inny świat. Jednocześnie czułem, że potencjał tych zagadnień jest po prostu ogromny.

Pracę magisterską robiłem w Zakładzie Mikrobiologii Ogólnej u prof. Kunickiego z rekombinacji. I to był bardzo dobry wybór. To znaczy, nigdy nie miałem wątpliwości, że dobrze wybrałem.

Bardzo istotna była dla mnie wolność w pracy. Miałem wrażenie, że w przypadku prof. Kunickiego-Goldfingera będę miał taką wolność, i nie omyliłem się.

Marek Ostrowski

Poszłam na biochemię, bo genetyka była wtedy tylko po botanice albo po zoologii. Moja praca magisterska dotyczyła aktywności proteaz przewodu pokarmowego w stosunku do białek z zablokowanymi grupami aminowymi. Nudne jak flaki z olejem.

Nie było czegoś takiego jak studia doktoranckie. Temat doktoratu ustalałam z Piotrem Węgleńskim. Doktorat zrobiłam dość szybko, bo zaczęłam pracować w październiku '71, a broniłam się w listopadzie '75. Kierownikiem Zakładu był prof. Wacław Gajewski, natomiast osobą, która realnie zarządzała wszystkim, był Piotr Węgleński.

Ewa Bartnik

Magisterium i doktorat robiłam na temat udziału syntezy DNA w rekombinacji po koniugacji bakteryjnej. Pan prof. Kunicki wydawał te prace w publikacji seryjnej, dwadzieścia kilka prac, pod tym samym tytułem *Koniugacja bakteryjna*. Umieszczał je w różnych czasopismach, czasem się udawało gdzieś za granicą, ale najczęściej w „Acta Microbiologica Polonica”, które potem zmieniły nazwę na „Polish Journal of Microbiology”. Pracowałam w tej redakcji przez 23 lata.

Anna Kraczkiewicz-Dowjat

Habilitację zrobiłem jak na tamte czasy dość wcześnie, w wieku 38 lat. Po powrocie ze stypendium w Liverpoolu pani prof. Kasprzyk powiedziała: „Panie Bogusiu, teraz kolejne cztery prace będą stanowiły pana habilitację. I w związku z tym publikuje pan je tylko pod swoim nazwiskiem. Ja się nie dopisuję, nie ma żadnych partnerów, żeby sprawa była jasna i czysta”. I rzeczywiście, cztery prace, które były tym jądrem, dzisiaj nazwalibyśmy je „osiągnięciem naukowym”, były jednoautorskie, co dziś się chyba rzadko zdarza, bo teraz prace sygnowane są na ogół przez wielu – czasami ponad stu – autorów. I zawsze potem okazuje się, że to właśnie habilitant zrobił prawie wszystko.

Bogusław Wilkomirski

Pracę magisterską wykonywałam pod okiem księdza prof. Józefa Szulety. Był to dla mnie bardzo dobry i owocny okres. Wtedy po raz pierwszy poczułam przyjemność w prowadzeniu doświadczeń, taką frajdę w samodzielnym działaniu, samodzielnym opracowaniu i obserwowaniu, co z tego wynika. Ksiądz profesor cenił samodzielność i zostawiał swoim magistrantom wolną rękę, a dopiero po pewnym czasie patrzył, co udało się osiągnąć.

Może zdziwić, jak to możliwe, że w tamtych czasach, kiedy ustrój Polski socjalistycznej twardą ręką wszystko trzymał krótko, w roli kierownika Zakładu mogła pracować osoba duchowna. Faktycznie, ksiądz profesor miał z tego powodu wielkie kłopoty i trudności. Wielokrotnie był wzywany na UB, a potem został usunięty z Uniwersytetu. W tamtym czasie (lata powojenne) zawsze chodził po Wydziale w sutannie. Pewnego razu, przy ponownym wezwaniu na UB otrzymał następujący rozkaz:

Urzędnik: No dobrze już, dobrze, ale proszę, aby obywatel nie chodził przy studentach w sutannie!!!

Ksiądz: Wykluczone!! Absolutnie wykluczone!!!

Urzędnik: A dlaczego?

Ksiądz: Bo mam krzywe nogi!!

Małgorzata Wierzbicka

Doktorat robiło się na miejscu, na Uniwersytecie. Bo na dotacje wyjeżdżało się, owszem, ale to już później. Były to siermiężne doktoraty. Wymęczone, wypocone, opisane najczęściej w naszej polskiej prasie czy w „Acta Microbiologica Polonica”, ewentualnie w „Postęпах Mikrobiologii”, jak ktoś miał lepszy, obszerniejszy wstęp. Wyniki były w sumie marne.

Jacek Bielecki

Pracę magisterską przygotowywałam w Zakładzie Mikrobiologii Środowisk, u prof. Kazimierza Matusiaka, ale *de facto* pozostawałam pod opieką dr. Romana Mycielskiego, późniejszego profesora. Bardzo miłe wspomynam nasze dyskusje na temat pracy dyplomowej, przy kawie, ale niestety w oparach papierosowego dymu.

Katarzyna Brzostek

Pracę magisterską robiłam na temat eozynofilów w zarażeniu *Trichinella spiralis* na szczurach, pod kierunkiem pana prof. Stankiewicza. Zwierzęta trzymaliśmy na dole w zwierzętarni w Szkole Głównej. Pamiętam, miałam taką grupę eksperymentalną 10 szczurów kontrolnych, które po badaniu zawsze dostawały kawałek dropsa i potem już się nauczyły, że same wychodziły z klatki, bo krew pobierana była z ogona właściwie bezboleśnie. Wychodziły w oczekiwaniu na dropsa, bo drops był zawsze w kieszeni fartucha, i one po pobraniu krwi schodziły do kieszeni, brały kawałek cukierka i wracały z cukierkiem w zębach do klatki. Miło wspomnieć o tych zwierzętach, które poświęciły swoje życie dla celów naukowych.

Maria Doligalska

Zgodnie z moją pasją, na początku trzeciego roku studiów wybrałam specjalizację botaniczną i postanowiłam robić pracę magisterską w Zakładzie Systematyki i Geografii Roślin. Opiekunem mojej pracy był prof. Zbigniew Podbielkowski. Pracę wykonywałam na Suwalszczyźnie, w okolicach miejscowości Giby. Była to praca florystyczna i polegała na opracowaniu flory wyznaczonego obszaru, powierzchni około 10 km². W Gibach w tym samym czasie zbierała materiał do pracy magisterskiej moja koleżanka z roku Barbara Sudnik-Hryniewicz (dziś Barbara Sudnik-Wójcikowska – profesor Wydziału Biologii). Razem ze mną w Gibach również wykonywali prace magisterskie Stanisław Kłosowski (późniejszy profesor ekologii roślin wodnych na naszym Wydziale) i jego kolega z roku Lech Bogdanowicz (później pracował w Zakładzie Systematyki i Geografii Roślin, nieżyjący od kilku lat mąż naszej koleżanki z Ogrodu Botanicznego, specjalistki od roślin tropikalnych – Joanny Bogdanowicz). Bezpośrednią opiekę nad naszą gromadką sprawował dr Henryk Tomaszewicz.

W maju 1976 r. obroniłam pracę magisterską i uzyskałam dyplom ukończenia studiów z wyróżnieniem.

Hanna Werblan-Jakubiec

Poszedłem do Zakładu prof. Toczki, kompletnie nie wiem dlaczego. Wydaje mi się, że wiedziałem, co oni robią. W tamtych czasach, kiedy chromatyna nie była jeszcze taka bardzo modna, u prof. Toczki zajmowano się właśnie chromatyną i to mi się bardzo podobało. Oficjalnie moim opiekunem był Toczko, a współopiekunem prof. Staroń. Oni mieli wspaniałą, zupełnie rewelacyjny pomysł. Doceniłem jego jakość, ale niestety nie potrafiłem się technicznie wywiązać. Profesor Toczko spytał, czy nie myślę, żeby zostać na uczelni, i zgodziłem się. Nawet przez sekundę nie rozważałem czegoś innego niż praca naukowa. Z tym że dla mnie zdecydowanie ważniejsza i bardziej satysfakcjonująca jest dydaktyka. I z całą pewnością cokolwiek robię przyzwocie, to na pewno dydaktykę, a naukę, powiedzmy, na takie minimum. Bo bez tego, znaczy bez nauki, nie ma dobrej dydaktyki na poziomie uniwersyteckim.

Jan Fronk





POCZĄTKI

s. 134: Maria Doligalska, Mysz – kartka z zeszytu ćwiczeń z zoologii, lata 70.

Moja praca magisterska dotyczyła badań nad wiosennym ciśnieniem korzeniowym występującym u brzozy. Ustny egzamin magisterski zdawałem przed prof. Bassalikiem i prof. Hryniewieckim. W sierpniu 1954 r. zostałem przyjęty do pracy w Zakładzie Fizjologii Roślin na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi UW. Do podstawowych zadań wyznaczonych mi przez prof. Bassalika należał udział w prowadzeniu ćwiczeń ze studentami i opieka nad magazynem szkła laboratoryjnego. Oznaczało to wydawanie szkła studentom i pracownikom oraz wyjazdy do Łodzi po zakup brakujących szklanych elementów. Miałem też kontynuować własne prace badawcze.

Płace na Uniwersytecie były bardzo słabe. Profesor Bassalik zdawał sobie z tego sprawę i dbał o pracownika. Pensji nam nie mógł podnieść, no bo jak? Ja akurat z tego nie korzystałem, ale wiem od innych, że on, jak się dowiedział, że ktoś nie ma pieniędzy, to często oferował, że pożyczę, a później nie chciał przyjmować zwrotów.

Jerzy Czerski

Pod koniec trzeciego roku byłam wytypowana na asystentkę do Zakładu Systematyki Roślin w Alejach Ujazdowskich. „Czynnik partyjny” powiedział mi, że ten Zakład jest „reakcyjny”, bo jest tam stary prof. Bolesław Hryniewiecki, są dwie panie – Alina Skirgieńło i Irena Rejment-Grochowska – i partia musi mieć tam swoją forpocztę i mnie w tym celu delegują. Byłam więc w strasznym kłopotcie. Miałam kolokwium u pani Grochowskiej. I ona powiedziała: „A właśnie słyszałam, że pani ma być u nas asystentką”. Na co ja: „Właśnie. Ale mam z tym problem, bo mi powiedziano, że mam być forpocztą i donosić, co się dzieje”. Na szczęście do mojej asystentury nie doszło.

Podczas studiów magisterskich realizowałam swoją pracę dyplomową w Zakładzie Genetyki SGGW w Skierniewicach. W miarę przybywania pracowników PAN do pracowni Systematyki Eksperymentalnej otrzymaliśmy kilka pokoi w gmachu SGGW przy ul. Rakowieckiej.

Docent Gajewski pracował chyba wtedy w Ogrodzie Botanicznym, ale często przychodził do nas na Rakowiecką. Jeździliśmy w kilka osób na wyprawy w okolice Warszawy i w Tatry. Zajmowałam się rodzajem *Rumex*. Był to *Rumex arifolius* z gór, *Rumex thyrsoiflorus*, który rośnie w przydrożach na suchych miejscach, i pospolity *Rumex acetosa*. Krzyżowanie tych *rumexów* (szczawiów) stanowiło temat mojej pracy doktorskiej.

Rumex był wdzięcznym materiałem do badań. Są to rośliny rozdzielnościowe, z łatwymi do identyfikacji chromosomami płci. Kolega robił pracę doktorską z dziedziczenia chromosomów płci, a ja stwierdziłam ciekawe

zjawisko. Krzyżując *Rumex thyrsiflorus* z *Rumex acetosa*, otrzymywałam tetraploidy, gdyż u mieszańców dochodziło do zredukowania drugiego podziału mejotycznego. Były to pierwsze doktoraty z genetyki obronione na UW po wojnie.

Zofia Świetlińska

Zoologię systematyczną prowadził prof. Tadeusz Jaczewski. Kiedy mi zaproponował pracę w swoim Zakładzie, trafiłam do znakomitego grona przyszłych profesorów. W jednej sali siedzieli Marek Doroszewski, Jurek Chmurzyński, Krystyna Rybicka, później niektórzy odchodzili do innych instytutów, a pojawili się Andrzej Tarkowski, Kazik Dobrowolski i Wanda Elkner, potem Riedlowa. Byliśmy na początku zastępcami asystentów. Pomagaliśmy w prowadzeniu ćwiczeń z zoologii i kończyliśmy studia, robiąc magisteria. Dla mnie prof. Jaczewski wymyślił pchły. Zwierzęta jak zwierzęta, ale mojej miłości nie wzbudziły. Dostałam do opracowania starą kolekcję Antoniego Wagi, trochę materiałów z Uniwersytetu obecnie Wrocławskiego, a wtedy Bolesława Bieruta, i trochę miałam zbiorów własnych. Powstała z tego praca *Materiały do fauny pcheł Polski*, która dała mi magisterium i pierwszą publikację w „Fragmenta Faunistica Musei Zoologici Polonici”. Przy publikacji prof. Jaczewski bardzo się napracował, ale śladów tego w postaci współautorstwa nie zostawił. Potem prof. Jaczewski zamienił pracę na Uniwersytecie na stołek dyrektora w Państwowym Muzeum Zoologicznym (dziś Instytut Zoologii PAN), a kierownictwo Zakładu objął prof. Zdzisław Raabe. Przybył z Lublina i stary kierunek badań oraz stara załoga trochę mu nie pasowały, więc znajdowaliśmy sobie inne miejsca.

Udało się w końcu przekonać prof. Wiśniewskiego, że moje zdrowie nie przeszkadza wyjazdom na jeziora (w 1950 z tego powodu odmówił przyjęcia mnie do pracy) i zaczął się mój nowy, najlepszy okres uniwersyteckiego życia. Tym razem w towarzystwie małego żeńskiego zespołu, do którego należały Lena (Leokadia) Jarecka i Teresa Sulgostowska. Lena z trudną przeszłością – urodzona w Kowlu, po inwazji wojsk sowieckich ojciec aresztowany, matka z Leną i bratem wywiezieni do Kazachstanu. Po śmierci matki trafili do różnych domów dziecka, gdzie życie było bardzo trudne. Po wojnie dzięki Związkowi Patriotów Polskich odszukana, przewieziona do Warszawy i umieszczona w sierocińcu Maryny Falskiej. Skończyła liceum i rozpoczęła studia, a wkrótce podjęła pracę u prof. Wiśniewskiego, który, sam znając realia radzieckie, traktował ją trochę jak rodzinę. A Teresa Sulgostowska – Ślązaczka, po pierwszym etapie studiów w Poznaniu robiła magisterium w Warszawie. I ja, wilnianka, matura i początek studiów w Toruniu. Tyle różnic, a pracowało nam się dobrze i czas uniwersytecki zawsze dobrze

wspominałyśmy. Po śmierci prof. Wiśniewskiego Teresa Sulgostowska pracowała na SGGW, a Lena i ja w Zakładzie Parazytologii PAN.

Profesor Jaczewski dobrze zapisał się w mojej pamięci. Bo od czasu do czasu w bibliotece w Szkole Głównej odbywały się zebrania i rozmaite rzeczy nam wtedy wyjaśniał. Tłumaczył, jak wygląda praca naukowca, opowiadał o swoich doświadczeniach. W każdym razie siedziało się tam, za oknem robiło się coraz ciemniej... To były takie spotkania towarzysko-oficjalne.

Profesor Wiśniewski, który wykładał parazytologię, był w czasie wojny w sowieckich łagrach, wyszedł z armią Andersa, przez jakiś czas przebywał w Londynie. Wszędzie się tam komunikował z biologami, którzy zajmowali się podobną problematyką. I on wymyślił, że zrobi takie ogromne badania. Założenie było, że się będzie badało trzy jeziora – oligotroficzne, mezotroficzne i eutroficzne. Wybór padł na Dróżno, Gołdapiwo i Mamry Północne. W zależności od tego, jakie to jezioro, różnią się gatunki zamieszkujących je zwierząt, a tym samym żywicieli pasożytów – ostatecznych i pośrednich. Wiśniewski chciał sprawdzić, jaki związek ma typ jeziora z przebiegiem cykli rozwojowych pasożyta, bo jak pewnych gatunków nie ma, to albo w ogóle nie ma pasożyta, albo jego rozwój przebiega inaczej. Te badania wymagały dość dużo rozmaitych specjalistów, także studentów, magistrantów z Uniwersytetu Warszawskiego i innych ośrodków uniwersyteckich. Niestety, podczas badania trzeciego jeziora prof. Wiśniewski zmarł. Zdążył opracować materiały tylko z pierwszego jeziora.

Myśmy to wszystko opracowywały, natomiast nie było syntezy. Bo nikt już się nie porwał na syntezę po prof. Wiśniewskim. Ale badania były na tyle ciekawe, że jakiś Amerykanin nawet po pięćdziesięciu latach przyjechał zobaczyć to jezioro, gdzie rozpoczęto prace.

Robota nie była łatwa. Jeździło się na trzy miesiące nad jeziora, jedna sala do spania, całe życie w pracowniach. Co sobotę trzeba było myć podłogi. Była wprawdzie pani, która się zajmowała gotowaniem, ale musieliśmy jeździć na targi do okolicznych miejscowości, żeby przywieźć sobie prowiant. No i właściwie całymi dniami na jeziorach albo przy mikroskopie. Jak się ślimaka rozpruło i znalazło w nim jakieś larwy, to trzeba je było od końca do końca obejrzeć, opisać, narysować itd. Siedziało się więc czasami do późna w nocy, żeby zdążyć, bo one zdychały. Nad Gołdapiwem nie było elektryczności, więc mieliśmy lampę naftową. Tak się pracowało. Cały sprzęt trzeba było przywieźć. Pakowaliśmy kosze, potem zbieranie, wożenie tego wszystkiego, pilnowanie, żeby dojechało pociągiem.

Po śmierci prof. Wiśniewskiego zlikwidowaliśmy pracownię, wróciliśmy do Warszawy. Po paru miesiącach Zakład Parazytologii został zlikwidowany, pracownicy dostali wypowiedzenia i tak się skończyła moja kariera uniwersytecka, ale też skończyła się na Wydziale parazytologia ogólna. Potem był nowy zakład prof. Bezubika, ale to już była parazytologia weterynaryjna.

O Zakładzie Parazytologii prof. Wiśniewskiego mało kto dziś pamięta. Tymczasem w dziejach parazytologii uniwersyteckiej to ważny okres, bardzo inspirujący. W tym czasie wykształciło się całe grono osób, które się potem sprawdziły.

Katarzyna Niewiadomska

Po skończeniu studiów nie od razu pracowałam tutaj, na tym terenie. Jeszcze przed dyplomem byłam w Wyższej Szkole Pedagogicznej, u pani dr Wandy Karpowicz, a po roku podziękowałam, bo nie widziałam tam żadnej przyszłości, i natychmiast znalazłam się w Zakładzie Botaniki Farmaceutycznej. W czasach, kiedy odsunięto od wykładów prof. Gajewskiego, który otwarcie wyznawał „zgniłą” genetykę Zachodu i szczerze wypowiadał się przeciwko łysenkizmowi, pozwolono mu pracować w Ogrodzie Botanicznym. Potem przyszła odwilż i profesor został kierownikiem Zakładu Systematyki i Geografii Roślin. W Ogrodzie zwolnił się więc etat i wtedy do mnie zadzwoniono z pytaniem, czy nie chciałabym pracować w Ogrodzie. Wiedzieli zawsze, że botanika mnie bardzo interesuje.

Janina Zielińska

Wiem, że były spory, czy Biochemia ma być na Wydziale Chemii czy Biologii. Zaczęliśmy od Chemii, ale potem zapadła decyzja, że to będzie na Biologii.

Dlaczego zająłem się roślinami? Dlatego, że prof. Chmielewska miała wcześniej do czynienia z roślinami. Była współpraca z Farmakologią. Oni robili eksperymenty na kotach czy psach z głogiem i Chmielewska proponowała, żebym się w to włączył. Zacząłem od frakcjonowania wyciągów z głogu, a farmakolodzy sprawdzali, czy to działa. I w ten sposób włąłem w fenole. Badałem te związki, ustalałem ich strukturę, z tego zrobiłem habilitację.

Stanisław Lewak

Z ostatnich czterech lat szkoły zapamiętałem jedno zdanie, że „bitwę pod Grunwaldem wygrała bohaterska armia ruska przy znacznym wsparciu oddziałów litewskich i polskich”. Z powodu rodziców – konkretnie ojca, który miał „złe pochodzenie społeczne” – nie dopuścili mnie do egzaminu

na Uniwersytet, mówiąc, że w Polsce mogę pracować wyłącznie przy łopacie. I w ten sposób umożliwili mi przeżycie wspaniałych pięciu lat – najlepszy okres życia, jaki można sobie wyobrazić.

Trochę przypadkiem, a trochę przez znajomości, dostałem pracę laboranta w Katedrze Mikrobiologii Lekarskiej we Wrocławiu, u największego polskiego mikrobiologa – prof. Ludwika Hirszfelda. Zrobiłem tam błyskawiczną karierę, bo po pół roku pracy, w związku z chorobą mojego szefa, awansowałem na kierownika Pracowni Serologii Zwierząt. A sześć miesięcy później Hirszfeld kazał mi się przygotować do prowadzenia ćwiczeń dla trzeciego roku studentów medycyny. I to też był szalony awans. Szybko polubiłem dydaktykę. Drugą osobą, która mnie uczyła dydaktyki, był sławny uczony z lwowskiej szkoły matematycznej – prof. Hugo Steinhaus. Od niego dowiedziałem się, że trzeba po prostu w pierwszym zdaniu, ewentualnie w trzech pierwszych zdaniach, wziąć wszystkich słuchaczy za pysk. Potem można już prowadzić po najtrudniejszych zagadnieniach jak się chce i wszyscy są oczarowani.

Po śmierci Hirszfelda straciłem pracę, uczyłem się jeszcze dwa lata we Wrocławiu, ale czułem się już profesorem mikrobiologii. Otrzymałem świetne wykształcenie mikrobiologiczne i dydaktyczne. Naturalnie brakowało mi szeregu papierków do profesury. W roku '56 dostałem się na studia w Krakowie i cóż... pierwszy miesiąc nauki to był październik '56. Uczyliśmy się wyłącznie na Studium Wojskowym obsługi broni i tworzyliśmy Legię Akademicką do obrony Krakowa, bo czołgi radzieckie szły na Warszawę, a wiadomo było, że trafią i do nas. Na szczęście obeszło się bez czołgów radzieckich.

W Krakowie mieszkalem przez dwa lata, a potem przenieśliśmy się do Warszawy, bo w Krakowie nie było mikrobiologii, a ja jednak byłem mikrobiologiem. To wymagało zgody trzech rektorów, jednego ministra, no i w ogóle był cyrk, bo oficjalnie mikrobiologia w Polsce była wyłącznie w Łodzi, a ja nie miałem ochoty na Łódź. Miałem ochotę na Warszawę. To tam prof. Bassalik, botanik zresztą, stworzył jeszcze przed wojną Pracownię Mikrobiologii. Zatrudniał kilka osób. To był malutki zespół, dwa czy trzy pokoje naprzeciwko Szkoły Głównej, w Gmachu Pomuzealnym.

Roman Mycielski

Po studiach dalszy wybór ścieżki mojego rozwoju naukowego wiązał się z obowiązującym wtedy przydziałem pracy. Do komisji działającej na Wydziale zgłaszały się instytucje zamierzające zatrudnić absolwentów biologii. Zostałam przyjęta do Instytutu Melioracji i Użytków Zielonych (IMUZ). Dano mi tam dość swobodny wybór tematyki, którą chciałabym się zajmować.

Zainteresowały mnie mechanizmy adaptacji roślin do niekorzystnych, stresowych warunków środowiska. I tak się zaczęło – tej tematyce poświęciłam dalsze 50 lat mojego życia. Praca w IMUZ zaowocowała kilkoma publikacjami naukowymi w języku polskim i umożliwiła uzyskanie wyników, które się stały podstawą mojej pracy doktorskiej obronionej na Wydziale Biologii UW (1961).

W czasie pracy w IMUZ umożliwiono mi wyjazd do Stanów Zjednoczonych w ramach polsko-amerykańskiej wymiany młodzieży, organizowanej przez prof. Szczepana Pieniążka. Jednoroczny pobyt na Uniwersytecie w Massachusetts, nawiązanie kontaktów z ludźmi pracującymi na uniwersytecie i poza nim były dla mnie swoistym otwarciem na świat, w znaczeniu nie tylko naukowym.

Po ośmiu latach zatrudnienia w IMUZ prof. Piotr Strebeyko ściągnął mnie do pracy w Zakładzie Fizjologii Roślin UW. Dał mi wolną rękę w wyborze tematyki naukowej, którą miałam tam realizować. Oczywiście chciałam kontynuować badania dotyczące odpowiedzi roślin na stresowe czynniki środowiska. Powstało pytanie, skąd wziąć pieniądze na organizację laboratorium (sprzęt i ludzie). Skorzystałam z możliwości, jaką dała umowa polsko-amerykańska, związana ze spłatą przez Polskę długu za dostawy pszenicy. W ramach tej umowy polscy naukowcy mieli wykonywać badania interesujące amerykańskie Ministerstwo Rolnictwa (USDA). Zgłosiłam projekt pięcioletnich badań, który został przyjęty. Na Uniwersytecie Warszawskim był to drugi w historii uczelni projekt naukowy realizowany ze środków pozabudżetowych, oznaczony symbolem U-2. W kolejnych latach udawało mi się uzyskać następne takie „granty”. Na podstawie wyników tych prac powstała moja praca habilitacyjna (1971).

W ramach polsko-amerykańskich umów część środków finansowych była przeznaczona na wyjazdy głównego badacza do ośrodków amerykańskich. Wizyty te miały na celu przedstawienie naszych wyników i ich krytyczną dyskusję. Odwiedziłam wtedy wiele różnych amerykańskich ośrodków akademickich. W tamtych czasach w Stanach udział kobiet w realizacji projektów naukowych był minimalny. Najczęściej sprowadzał się do roli sekretarek. Moje wizyty oraz referaty naukowe, wygłaszane przez młodą kobietę, budziły zdziwienie i zaskoczenie. Panowie profesorowie, dziekani, dyrektorzy nie bardzo wiedzieli, jak mnie traktować.

Alina Kacperska-Lewak

Pracę na Wydziale rozpocząłam na czwartym roku studiów, na stanowisku zastępcy asystenta, w Zakładzie Ekologii Zwierząt, u prof. Tarwida.

Ewa Pieczyńska

W 1957 roku skończyłam studia, w '58 obroniłam dyplom średniej szkoły muzycznej z fortepianu z wynikiem bardzo dobrym.

Macierzysty Wydział powiedział: „Niestety, nie mamy etatów, nic ci nie możemy pomóc”. Ale otworzył się właśnie Wydział Pedagogiczny i dr Szaniawski przyjął mnie z otwartymi ramionami. Mieliśmy masę roboty, bo „Podstawy nauk biologicznych” były obowiązkowym przedmiotem dla pierwszego roku pedagogiki i pierwszego roku psychologii.

Teresa Rogulska

Jestem z wykształcenia hydrobiologiem, bo robiłem pracę magisterską u prof. Gieysztor, ale na pierwotniakach z jeziora Kisajno. To takie duże jezioro, z wielką wyspą pośrodku. Profesor Gieysztor był fantastycznym, przeżyłym, kulturalnym człowiekiem. Miał nieszczęście mieć asystenta – radzieckiego oficera ze Wschodu, niejakiego dr. Henryka Klimowicza. Towarzysko był to nawet dość miły facet, ale kontrast kulturalny i intelektualny między nim a profesorem był naprawdę straszliwy. Profesor Gieysztor zmarł w 1960 roku. Już miał wychodzić ze szpitala, kiedy dopadł go drugi zawał i go nie uratowali.

Po magisterium nie dostałem pracy na Uniwersytecie, bo w Zakładzie Hydrobiologii nie było miejsca. Na praktykach hydrobiologicznych w Giżycku koleżanka, która skończyła studia kilka lat wcześniej, zaproponowała mi pracę w ochronie wód przed zanieczyszczeniem. Pracowałem siedem lat „w ściekach” i z Uniwersytetem miałem luźny kontakt, ale go nie straciłem. Przychodziłem bowiem na seminaria do prof. Raabego. Prowadziła je Janka Kaczanowska. Odbываły się na parterze w Szkole Głównej, w bibliotece. Raz w tygodniu, późnymi popołudniami we wtorki, spotykaliśmy się: protozoolodzy z Instytutu Nenckiego, uczniowie prof. Dembowskiego i protozoolodzy – uczniowie prof. Raabego. Ja się czułem w pewnym sensie uczniem prof. Raabego, bo zajmowałem się pierwotniakami i profesor był recenzentem mojej pracy magisterskiej. W którymś momencie prof. Raabe powiedział do mnie: „Słuchaj, w '64 roku otwierają się po raz pierwszy studia doktoranckie na Uniwersytecie. Jeśli chcesz, to ja bym cię na nie przyjął”. Poczułem się, jakbym Pana Boga chwycił za nogi, i z miejsca powiedziałem: „Tak”. Później okazało się, że przyszły dwa stypendia doktorskie, ale dostał je członek Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, prof. Kazimierz Petruszewicz, a nie prof. Raabe. Bardzo się wtedy zmartwiłem. Ale prof. Raabe powiedział: „Rozmawiałem z Kaziem. Pójdiesz do niego i powiesz, że będziesz robił pracę doktorską u mnie, a on będzie figurantem”. Jak poszedłem, prof. Petruszewicz prawie na mnie nie spojrział. Powiedział: „Tak, tak. Dobrze, dobrze. Niech pan robi pracę u Zdzisłki i my

się już więcej nie będziemy spotykali”. Badałem nadal pierwotniaki (*Testacea*), ale nie pod kątem ekologii, tylko struktury i dość prostej biochemii.

Drugie stypendium dostał Staszek Rakusa-Suszczewski, obecnie profesor, który był dwa lata niżej ode mnie, a z którym siedziałem w jednym pokoju na hydrobiologii. Profesor Suszczewski to ten, który zbudował Polską Stację Antarktyczną im. Henryka Arctowskiego na Biegunie Południowym, odpowiedzialny za wszystkie badania polarne. Stacja Arctowskiego to jego dziecko. Bardzo zasłużony dla tych badań uczonec.

Stypendium doktoranckie wynosiło chyba 1200 zł. To było mniej więcej tyle samo, ile zarabiałem jako asystent w ochronie wód przed zanieczyszczeniem. Dawało się za to wyżyć. Starczało na skromne życie – czyli nie kupię samochodu ani nie wyjadę za granicę, ale żyć się da; chyba lepiej, niż teraz mają doktoranci.

Jak zrobiłem doktorat, nie było większych problemów z zatrudnieniem. Profesor wystąpił o etat i od razu zostałem zatrudniony na stanowisku adiunkta. Powiedział: „Mam już za dużo protozoologów. Robiłeś pierwotniaki, musisz zmienić kierunek”. Zająłem się więc wirkami, ich regeneracją i rozmnażaniem bezpłciowym.

Jerzy Moraczewski

Zauważył mnie prof. Rybicki z Fizjologii Zwierząt. Bardzo dobrze zdałem u niego egzamin kursowy. Rybicki był też wcześniej w komisji na moim egzaminie wstępnym. Pod koniec tego egzaminu pytał niektóre osoby: „A co pana skłoniło, żeby pójść na biologię? A czym się pan interesuje?”. Ja odpowiedziałem wtedy, że interesuję się ptakami, ale tak mówili wszyscy. Zapamiętałem go, bo chodził w ciemnogramowym garniturze z krawatem, żadne golfy czy swetry. Rybicki na trzecim roku miał wykład kursowy z fizjologii zwierząt. Wykłady przygotowywał z niezwykłą starannością. Na wykładach starałem się siadać blisko, zawsze też siadałem razem z moją dziewczyną i wymienialiśmy komentarze. Po czwartym czy piątym wykładzie Rybicki poprosił nas do siebie i powiedział, że mu to bardzo przeszkadza, wybija z rytmu i żebyśmy się powściągnęli. Nigdy już razem na wykładzie nie usiedliśmy. Potem zdałem ten egzamin na piątkę.

Pod koniec czwartego roku położyłem szalone zasługi dla Zakładu Fizjologii Zwierząt. Panie Dorożyńska i Poniatowska pchały we dwie przez korytarz jakąś szafę. Skrzyknąłem ze dwóch kolegów i wzięliśmy się za pomaganie paniom w przeprowadzce. Wylewnie nam dziękowały. Co tam pchanie szafy – one opowiedziały Rybickiemu, że „ten chłopak nam tu pomógł”. Rybicki to zapamiętał i pod koniec czwartego roku zaproponował mi, bym został pomocnikiem asystenta. W rezultacie od początku piątego roku byłem na asystenturze. Prowadziłem zajęcia, do których się bardzo pilnie

przygotowywałem, bo przecież magisterium robiłem w Instytucie Ekologii w Dziekanowie Leśnym, a przy tym ćwiczenia prowadziłem z innego przedmiotu. Musiałem się przez to przeryć i nauczyć, żeby się nie skompromitować. Nie było lekko, ale miałem jakieś pieniądze, no i punkt zaczepienia.

Rafał Skoczylas

Pół roku po studiach prof. Raabe przyjął mnie na staż i byłem od tego czasu protozoologiem.

Zrobiłam doktorat, pierwszy na Uniwersytecie z użyciem mikroskopii elektronowej. Miałam dojście do Wojskowej Akademii Technicznej i tam dzięki znajomościom potajemnie pracowałam na mikroskopie. Piękna praca. Moja obrona to była nowość i stałam się ważna. Na krótko, ale to było przyjemne. Co dalej? Praca naukowa, dydaktyka. Mniej więcej w tym czasie miałam propozycję z telewizji, by prowadzić program dla dzieci. I przez jedenaście lat poprowadziłam ponad 500 programów „Zwierzyniec”. To było ekscytujące. Powstały przy okazji trzy książki dla dzieci o zwierzętach, no i dostałam medal KEN za popularyzację wiedzy.

Maryna Szöllösi

Wiosną 1962 roku rząd wymyślił pomagisterskie studia doktoranckie. Stałem się jednym z pierwszych studentów doktorantów w Polsce. To było w maju, ale na pierwsze stypendium miałem czekać do października. Stypendium to zdobyli dla mnie promotor mojej rozprawy doktorskiej prof. Kazimierz Petruszewicz (ówczesny kierownik Katedry Ewolucjonizmu i Ekologii Zwierząt UW) i Ewa Pieczyńska, która została nowym kierownikiem Katedry Hydrobiologii, a potem Zakładu Hydrobiologii UW. Raptem poczułem, że mam dużo pieniędzy. Stypendium doktorskie wynosiło 4000 zł, gdy pensja asystenta zaledwie 1400. Na zaproszenie Ewy Pieczyńskiej i jej kolegów z Instytutu Ekologii PAN swoje badania przeniosłem z Tatr na mazurskie jeziora, a w praktyce do Stacji Hydrobiologicznej PAN w Mikołajkach, pozostając formalnie na cztery lata doktorantem Wydziału Biologii UW. Na Pojezierze Mazurskie przenieśli się również obaj Andrzejowie [Kowalczewski i Prejs – przyp. red.] i tam ostatecznie rozpoczęła się nasza wieloletnia współpraca, która zaowocowała licznymi wspólnymi publikacjami... Andrzej Prejs został też w roku 1967 świadkiem mojego ślubu z Joanną Waszkiewicz, z którą znalazł się przez chwilę na piątym roku... To Joanna właśnie stała się towarzyszem naszej wyprawy adriatyckiej i wraz ze mną musiała na ochotnika przenieść się w ciągu 24 godzin znad Adriatyku nad Balaton w roku 1968. Za to jednak rok później wspólnie ze mną wyjechała na blisko dwa lata na

mój staż podoktorski do stacji badawczej Smithsonian Institution na słynnej Wyspie Barro Colorado na Kanale Panamskim, co umożliwiło nam obojgu nawiązanie współpracy z licznymi ekologami z najlepszych uniwersytetów amerykańskich. Stypendium to zawdzięczaliśmy oboje panu prof. Petruszewiczowi, który był również promotorem rozprawy doktorskiej Joanny.

Maciej Gliwicz

Zanim wróciłem ze stypendium, w Warszawie utworzyła się już grupa zajmująca się bakteriofagami kierowana przez dr. Macieja Tabaczyńskiego. Doktor Tabaczyński był na rocznym stypendium w Stanach i tam zetknął się z badaniami nad bakteriofagami. Niejako równolegle prof. Kunicki ściągnął z PZH doc. Sawickiego, który zajął się eukariotycznymi wirusami, czyli głównie wirusem grypy. Stąd na Nowym Świecie, na drugim piętrze, stała duża chłodnia, w której trzymane były jajka do hodowli wirusa grypy. Niestety, przyszedł Marzec '68 roku. Docent Sawicki był żydowskiego pochodzenia i go z Polski wyrzucono. Wtedy przestała istnieć wirusologia zwierzęca i zaczął się rozwój biologii bakteriofagów.

Po około dwóch–trzech miesiącach po powrocie w 1971 roku ze stypendium w Edynburgu dr Tabaczyński zachorował. Był poważnie chory na cukrzycę i musiał mieć jakiś zabieg operacyjny. Przewieziono go do szpitala w Otwocku, uszpono do operacji i już się nie obudził. I wtedy prof. Kunicki powiedział: „To ty, Andrzej, obejmiesz grupę Tabaczyńskiego”.

W 1972 roku zostałem powołany na kierownika tego Zakładu. Z tym że nie od razu rozpocząłem badania nad samymi bakteriofagami. Z Edynburga przywiozłem temat o restrykcji i modyfikacji DNA jako mechanizmie obronnym bakterii przed inwazją bakteriofagów. Temat ten tak mnie zafascynował, że zajmowałem się tym przez 40 lat: od 1972 do 2012 roku.

Andrzej Piekarowicz

Po powrocie ze Stanów szukałam pracy. Zaoferował mi ją prof. Lewak, wtedy docent w Zakładzie Fizjologii Roślin na Wydziale Biologii UW, i okazało się, że jest bariera, że na Uniwersytecie są kłopoty z moim zatrudnieniem. Uruchomiłam mnóstwo kanałów, żeby się dowiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Przyczyna była bardzo prosta – „bo pani nie odbyła stażu w Polsce, pani zaraz po studiach prywatnie wyjechała”. To był minus. Niemniej jakimś cudem, nie wiem, kto pomógł, dostałam stypendium doktoranckie w Zakładzie Fizjologii Roślin prof. Lewaka, pod którego kierunkiem robiłam pracę doktorską.

Anna Rychter

Profesor Kunicki początkowo nie rezygnował całkiem z mikrobiologii technicznej, ale skupił się też na tworzeniu zespołu genetycznego. I ja po mojej pracy magisterskiej ze ścieków zaczęłam się już bawić w genetykę. Wkrótce była nas „genetyków” spora grupa, bo był też w niej Piekarowicz, dołączyła niebawem Kaśka Jagusztyn, Ania Kraczkiewicz i Janusz Popowski (biochemik), Marta Dudek (Bednarska) i inni. Zajmowaliśmy się analizą mechanizmu koniugacji u *Escherichia coli*. Głównym problemem badawczym było określenie, w jakiej postaci DNA dawcy wnika do komórki biorcy. Czy to jest jedna nić, czy dwie i jakie są jego dalsze losy. Z tego tematu powstało kilka prac doktorskich i wiele publikacji.

Mirosława Włodarczyk

Gdy zaczynałam staż w Instytucie Zoologii Wydziału Biologii, w pierwszym semestrze nie prowadziłam samodzielnie ani ćwiczeń ze studentami, ani kolokwium. Uczyłam się dydaktyki od starszych kolegów – dr Wandy Riedel, dr Maryny Sołtyńskiej (po latach, niezmiennie oddana biologii, okazała się także utalentowaną malarką i rzeźbiarką – miała kilka wystaw indywidualnych swoich prac) i dr. Tomasza Umińskiego. Poznawałam sposoby przygotowywania zajęć i oceniania wiedzy studentów na kolokwium. Cały zespół asystentów ze wszystkich grup do każdego zajęcia przygotowywał się razem, przeglądając i wybierając preparaty, omawiając je, ustalając jednolite wymagania zaliczeniowe. Kolokwia z określonej części materiału były (zgodnie z ich łacińską nazwą *colloquium* – rozmowa) ustne, nie było testów. Niezaliczone kolokwium można było raz powtórzyć (poprawić), kolejna poprawka to już kolokwium komisyjne. Ponieważ z biegiem lat znacznie zwiększyła się liczba studentów przyjmowanych na Wydział (zamiast dwóch–trzech grup ćwiczeniowych zrobiło się sześć lub siedem), trudno byłoby przepytac studentów z siedmiu grup ćwiczeniowych, po 20–30 osób w każdej grupie. Problem ten rozwiązać mają testy, w mojej ocenie jednak niedostatecznie obrazujące stopień opanowania materiału przez studenta, zbyt powierzchowne i pozostawiające zbyt wiele miejsca dla przypadku.

Maria Magdalena Borowik

Pracę magisterską robiłam u prof. Zbigniewa Kaniugi. W dniu, w którym zdałam egzamin magisterski, dowiedziałam się, że mam się wyprowadzić z akademika. I wtedy za radą koleżanki z roku, która już nie żyje, poszłam do prof. Rybickiego z prośbą o przyjęcie do pracy. Chociaż ja się tej fizjologii

bałam jak ognia. I profesor przyjął mnie, najpierw oczywiście na staż asystencki, co dawało mi prawo korzystania z domu studenckiego jeszcze przez rok. Ponieważ byłam biochemikiem, od razu dostałam pod opiekę magazyn odczynników, bo się przecież na tym znam.

Profesor chciał, żebym się zajęła immunologią porównawczą, co mnie bardzo zaciekało. Rozpoczęłam więc pierwsze działania w kierunku poznania tego warsztatu laboratoryjnego, nawiązując za pośrednictwem pana prof. Rybickiego kontakty z pracownikami prowadzącymi badania lub diagnostykę immunologiczną. Te przygotowania przerwała nagła śmierć profesora po roku mojej pracy, i ta moja immunologia porównawcza umarła wówczas śmiercią naturalną. Wtedy pojawił się w Zakładzie prof. Janusz Gill, ówczesny docent na Wydziale Weterynaryjnym SGGW, który proponował nam pracę eksperymentalną na koniach. A ponieważ jeździłam konno w czasie studiów, to wzięłam się za to z ochotą. I zaczęłyśmy z Anią Bojanowską (nieżyjącą już od wielu lat trochę młodszą koleżanką z Zakładu) robić doświadczenia na koniach wyścigowych.

To były eksperymenty chronobiologiczne, takie bardzo wstępne, ale jednocześnie pionierskie. Dostawaliśmy dostęp do koni na Torze Służewieckim, od których co cztery godziny w ciągu doby była pobierana krew, a my przeprowadzałyśmy analizy. Pobrać krew od konia wyścigowego to prawie tak, jak dostać krew od boksera klasy mistrzowskiej – badania były pionierskie, dostęp do koni ograniczony, a my zaczynaliśmy dopiero gromadzić wyniki opisujące metabolizm wysiłkowy koni wyścigowych w powiązaniu z rytmem dobowym. Na pierwszym sympozjum chronobiologicznym, które odbyło się w Białowieży, prezentowałyśmy te nasze wstępne wyniki i to była rewelacja.

Na moim życiu zawodowym najbardziej zaważył prof. Marian Rybicki, a także prof. Gill, który umożliwił mi wyjazd na staż naukowy do Francji, skąd przywiozłam wyniki na doktorat. Profesor Gill był moim promotorem, a rozprawa dotyczyła pewnych aspektów immunologicznych w patologii nerki – proponowana przez prof. Rybickiego immunologia zaczęła do mnie wracać...

Profesor Gill miał dobre oko do pracy ze zwierzętami, z dużymi zwierzętami, których my tu nie lubimy (to było określenie jednego z profesorów naszego Wydziału). Myśmy robili piękne, unikatowe doświadczenia w Ogrodzie Zoologicznym na dzikich zwierzętach.

Krystyna Skwarło-Sońta

Studia skończyłam w Toruniu. Tam też zrobiłam doktorat, a do Warszawy przeprowadziłam się tylko dlatego, że przeniesiono służbowo męża – został dyrektorem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Wprawdzie dzięki mojemu promotorowi, prof. Kazimierzowi Zarzyckiemu z Instytutu Botaniki PAN w Krakowie, zostałam formalnie zatrudniona w tej instytucji,

mieszkając w Warszawie, niemniej jednak po dwóch latach udałam się do Rektora Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Rybickiego, w sprawie zatrudnienia na UW. Początkowo jego asystent nie chciał mnie w ogóle wpuścić do gabinetu rektora. Powiedziałam: „Proszę pana, bardzo proszę o rozmowę z panem rektorem”. „A w jakiej sprawie?”. „Ja z panem rektorem chcę rozmawiać, nie z panem, to chyba nie muszę się spowiadać, o czym chcę rozmawiać?”. On znowu: „Ale ja muszę wiedzieć w jakiej sprawie”. A ja na to: „Dobrze, w sprawie etatu adiunkta na Wydziale Biologii”. On zaczął się śmiać, co doprowadziło mnie do szewskiej pasji. I wypaliłam, że sekretariat Rektora UW to chyba jakiś kabaret.

Ostatecznie do rektora się dostałam, a sama rozmowa była bardzo przyjemna. Odpowiednio się wyszykowałam – sukienka, szpilki, makijaż, fryzura. Pomyślałam: „A, co mi tam”. Pan rektor wstał, miał nieskończenie dużo czasu, wygonił tego bałwana po kawę. „Pani doktor, a może tak coś mocniejszego?” – zaproponował. A ja na to, że „chętnie, ale to może potem, jak załatwimy sprawę”. Wytłumaczyłam, dlaczego znalazłam się u niego i w tej nieszczęsnej Warszawie. Jak pan rektor się dowiedział, o jaki wydział chodzi, powiedział: „Pani doktor, tego bym nawet wrogowi nie życzył. To najgorszy wydział na całej uczelni, skłócony, okropny” – taka była wówczas opinia o naszym Wydziale. Ja mówię: „Panie rektorze, może tak wyglądam szczuplutko, chudziutko, ale charakterkiem sobie poradzę”. Na co rektor: „To zrobimy tak. Niech się pani postara, żeby panią chcieli na tym Wydziale, a ja dam pani etat. Tylko niech pani zrobi coś, by panią chcieli”.

I znalazłam się w najbliższym moim zainteresowaniu Zakładzie prof. Matuszkiewicza. Nietuzinkowy to był człowiek, ale głowę miał nieprawdopodobną i sporo zyskałam na tym, że do niego trafiłam. Prawdą jest jednak, że nikogo nie dopuścił do habilitacji. Właściwie to był przerażony, że miałam ją niemal gotową. Kiedy już miałam poparcie profesora w sprawie zatrudnienia, musiałam na forum Rady Naukowej Instytutu Botaniki wygłosić referat dotyczący problematyki, którą się zajmuję. Pamiętam, że bardzo ciepło wówczas przyjęli mnie profesorowie Gajewski i Kunicki-Goldfinger, z wielkim dystansem na przykład doc. Tarkowska.

Z habilitacją pomógł mi przypadek. Kiedy Wydział nie zgodził się na zatrudnienie w Zakładzie prof. Matuszkiewicza jego syna, wszak pracowała w nim już żona – profesor poczuł się urażony, załatwił swojemu synowi pracę u prof. Kostrowickiego w Instytucie Geografii PAN i sam także postanowił się tam przenieść. Wówczas jednak władze Wydziału w zamian za zgodę na służbowe przeniesienie zażądały od profesora znalezienia następcy, czyli kogoś z habilitacją. Był to trudny okres i dla profesora, i dla mnie.

Proszę sobie wyobrazić, że w poniedziałek miałam mieć kolokwium habilitacyjne, wiadomo, w jakiej atmosferze, bo przecież byłam „obca” i wówczas podobno za młoda na habilitację... Na Wydziale nie było zwyczaju, żeby ktoś miał 34 lata i się habilitował. Profesor Matuszkiewicz przyszedł do mnie w piątek, do mojego pokoju, do którego nigdy wcześniej nie

wchodził, i zaczął mnie gorąco namawiać, żebym z habilitacji zrezygnowała, że wszystko przemyślał i że jego zdaniem nie mam najmniejszej szansy. Ja mówię: „Panie profesorze, pan sobie w tej chwili ze mnie robi żarty. Dlaczego mam zrezygnować? Mam rewelacyjne wręcz recenzje, w tym od pana i świetnych recenzentów...” – moimi recenzentami byli między innymi wybitni profesorowie Zarzycki i Szweykowski. I dalej: „Pan przecież dobrze wie, że ja nie chcę pana zastąpić. Miała być poszerzona problematyka Zakładu o kwestie ekologii populacyjnej. Pan się zajmuje fitocenozą, fitosocjologią, dlatego mieliśmy wspólnie poszerzyć problematykę badawczą Zakładu. I teraz mam zrezygnować? Nie bardzo rozumiem i nie zrezygnuję”. On tylko, że „uprzedzałem panią”. A ja: „Panie profesorze, liczę, że pan będzie stał za mną”. Do końca jego życia utrzymywaliśmy przyjazne stosunki.

Ewa Symonides

Kiedy moje studia zbliżały się do końca, przyszedłem do prof. Kazimierza Dobrowolskiego z pytaniem, czy przyjąłby mnie do pracy w swoim Zakładzie. Powiedziałem wprawdzie, że mam propozycję pracy w Instytucie Ekologii PAN, ale wolałbym zostać na Uniwersytecie. Profesor Dobrowolski stwierdził, że widziałby mnie w swoim Zakładzie, ale radził, żeby jednak wybrać PAN, „bo na Uniwersytecie będę miał znacznie więcej pracy: obowiązkową dydaktykę i badania naukowe, a w PAN-ie będę mógł skupić się na badaniach i niczym więcej się nie przejmować”. Ja zdecydowałem się jednak na pracę na naszym Wydziale i dziś już wiem, że to był bardzo dobry wybór.

W naszym Instytucie Zoologii był taki zwyczaj, że każdy nowy pracownik przez pierwszy rok musiał uczestniczyć w podstawowych ćwiczeniach z zoologii systematycznej. Ja też musiałem brać udział w tych ćwiczeniach, a w tym samym czasie zacząłem prowadzić badania naukowe, z czym związana była konieczność regularnych wyjazdów w teren. I okazało się, że muszę jechać właśnie wtedy, gdy powinienem być na zajęciach. Poszedłem do prof. Dobrowolskiego i prosiłem, żeby z powodu wyjazdu w teren zwolnił mnie z tych jedynych, jedynych zajęć. A on na to: „Nie. To jest uniwersytet i pana pierwszym obowiązkiem jest dydaktyka. W związku z tym pierwszą rzeczą, którą pan musi robić, jest dydaktyka, a dopiero później nauka, która dydaktyce ma służyć”. Dziś dydaktyka zeszła na drugi plan, liczą się przede wszystkim osiągnięcia naukowe – punkty za publikacje, Impact Factor, wskaźnik Hirscha...

Michał Kozakiewicz

W 1991 roku otrzymałam propozycję pracy na Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego. Dziekanem był pan prof. Stanisław Lewak, który

przyjął mnie na stanowisko wykładowcy. Skontaktował mnie z prof. Andrzejem Batką, i tak znalazłam się w Instytucie Botaniki. Profesor Batko okazał się dla mnie, jako nowej pracownicy, szczególnie życzliwy. Podjęłam pracę w Zakładzie Systematyki i Geografii Roślin, gdzie zajęłam się głównie dydaktyką, ale było to dla mnie nowe, duże wyzwanie. Najpierw uczyłam się prowadzić ćwiczenia z botaniki i najbardziej interesującą dla mnie pracą były ćwiczenia terenowe w Sajzach. To były piękne czasy, ponieważ praca w terenie bardzo integruje studentów i nauczycieli akademickich. Przeżywaliśmy wspaniałe chwile, nie tylko zajmując się nauką, ale również siedząc na przykład przy ognisku. Z wieloma absolwentami mam kontakt do dziś.

Ligia Tuszyńska

Bezpośrednio po ukończeniu studiów rozpoczęła się moja prawdziwa przygoda z nauką na Wydziale Biologii UW i tak trwa nieprzerwanie do dziś, czyli przez 45 lat.

Od początku mojej pracy naukowej zajęłam się ekotoksykologią. W tamtych czasach był to całkowicie nowy temat. Możliwe, że byłam pierwszą osobą w Polsce, która zajęła się tego rodzaju zagadnieniami.

Dzięki moim pasjom turystycznym związanym z ochroną przyrody w okresie studenckim wybrałam jako przedmiot badań styk dwóch nauk – ochrony środowiska i biologii. Obecnie ta dziedzina nosi nazwę ekotoksykologia. Z tej dziedziny była moja praca doktorska, następnie praca habilitacyjna oraz wszystkie publikacje i książki.

Należy przy tym pamiętać, że wysłanie pracy do publikacji w międzynarodowym czasopiśmie (lata 1970–1985) łączyło się z szeregiem trudności. Przede wszystkim praca musiała być oceniona. Bez stempla cenzury nic nie mogło być wysłane. Po drugie, przesyłki do krajów Europy Zachodniej można było wysłać jedynie z granicznej placówki pocztowej. Tam przesyłka była ponownie sprawdzana i dopiero po uzyskaniu wszystkich zezwoleń można było wysłać list z wydrukiem pracy do redakcji czasopisma. Uczestnictwo w konferencjach międzynarodowych też wymagało dodatkowych formalności i starań, a po przyjeździe trzeba było napisać sprawozdanie do specjalnej komórki na Uniwersytecie.

Ale nagrodą za cały ten trud był oddźwięk pracy, dyskusje naukowe na konferencjach, rozpoznawalność w specjalistycznych gronach naukowców. W ten sposób udało mi się poznać wielu ciekawych ludzi, nawiązać kontakty naukowe, współpracę i przyjaźnie trwające do dzisiaj.

Po pierwszych dziesięciu latach badań nad działaniem metali ciężkich na rośliny wraz z grupą współpracowników zajęliśmy się badaniem roślin, które w warunkach naturalnych narażone są na zanieczyszczenia metalami,

czyli rosnących na hałdach cynkowo-ołowiowych. Dokładnie rzecz biorąc, skupiliśmy się na badaniach roślin w okolicach Olkusza, gdzie hutnictwo srebra i cynku sięga czasów średniowiecznych. Okazało się, że te hałdy są bardzo ciekawym terenem do badań. Ich finałem było wykazanie, że w tak niesprzyjających i trudnych do wzrostu warunkach wytworzyły się dwa odrębne podgatunki roślin, które mają wybitne przystosowania do życia w silnie zanieczyszczonym środowisku. Oznaczało to, że teren ten jest niezwykle ciekawy przyrodniczo i powinien być objęty pełną ochroną. Ponadto, wykryte podgatunki mogą być doskonale wykorzystane w praktyce, gdyż świetnie się nadają do obsadzania świeżych hałd.

Warto tu wspomnieć o historii związanej z prof. Zygmuntem Wóycickim. Profesor był jednym z założycieli nie tylko Uniwersytetu, ale także naszego Wydziału. W 1913 roku opublikował piękną pracę, na którą do dzisiaj się powołujemy. Zawiera ona oryginalne fotografie z około 1910 roku wraz z dokładnym opisem okolic Olkusza. To on pierwszy zwrócił uwagę na zagadkowe występowanie w tym terenie rośliny typowej dla wysokich Tatr – pleszczotki górskiej – *Biscutella laevigata*. To prof. Zygmunt Wóycicki zauważył, że skład gatunkowy roślinności okolic Olkusza jest nietypowy oraz że na polach uprawnych tego terenu brakuje kretów. Zwierzęta te są bardzo wrażliwe na zanieczyszczenie gleby i uciekają z zanieczyszczonych terenów.

Chociaż moja praca zaczęła się niemal sto lat później, to dotyczyła podobnych zagadnień i z dumą mogę powiedzieć, że jestem bezpośrednią spadkobierczynią prof. Wóycickiego.

Z całą pewnością prof. Zygmunt Wóycicki, dzięki swojej bardzo dokładnej pracy badawczej, otworzył dla mnie te drzwi. Wspaniałe jest, że rozpoczęte przez niego badania były kontynuowane sto lat później. Jest to tak piękna historia, że warto ją opowiadać studentom. Nasi poprzednicy wnieśli ogromny wkład w rozwój nauki w Polsce, a my jesteśmy ich kontynuatorami. Ważne jest, aby studenci wiedzieli, że biologia w Polsce nie powstała w roku 2000 i że gdyby nie nasi poprzednicy, to byłibyśmy daleko w tyle. Cała historia z prof. Wóycickim pokazuje, jak ogromną wartość mają badania terenowe, w tym badania florystyczne. Badania terenowe są jak wino – im starsze, tym lepsze. Dają podstawę do wielu porównań, do śledzenia wieloletnich procesów. I są nie do zastąpienia. Przyjdzie taki czas, że floryści będą bardzo wysoko cenieni, będą ludźmi bardzo poszukiwanymi, bo to jest wiedza, której się nie można nauczyć z podręcznika.

Małgorzata Wierzbicka

W owych czasach nie istniały studia doktoranckie. Doktoraty powstawały, gdy ktoś miał jakiś pomysł i mógł go realizować. Propozycję pozostania na uczelni dostałam na czwartym roku studiów. Nie chcę się chwalić, ale byłam

najlepszą studentką na roku i zostałam zatrudniona, zanim jeszcze skończyłam studia. Zostałam asystentem, potem starszym asystentem, adiunktem dopiero po doktoracie.

Elżbieta Romanowska

Pod koniec studiów kluczową sprawą stał się wybór specjalizacji naukowej. Wiadomo już było, że trafię do kierowanego przez doc. Kazimierza Dobrowskiego Zakładu Zoologii Kręgowców, przekształconego wkrótce w Zakład Ekologii UW. Stwierdziłem wówczas, że swoje zainteresowania zoologiczne powinienem spożytkować w sposób bardziej nowoczesny i odpowiadający aktualnym potrzebom ekologii. Byliśmy już po egzaminach z chemii ogólnej i nieorganicznej, chemii organicznej, biochemii oraz chemii fizycznej. Postanowiłem zająć się wykorzystaniem zwierząt do monitoringu skażeń środowiskowych. Odtąd moje badania zaczęły krążyć wokół takich pojęć, jak ekotoksykologia, biomagnifikacja, pierwiastki śladowe, biomarkery czy banki prób środowiskowych. Niezwykle istotne znaczenie w realizacji tych planów miała późniejsza wieloletnia współpraca z przyjaciółmi z Wydziału Chemii UW – prof. Jerzym Golimowskim, dr hab. Beatą Krasnodębską-Ostręgą i dr Joanną Kowalską.

Gdy nowicjusz podejmuje pierwszą pracę, zwykle szczególnie docenia osoby oferujące pomocną dłoń i ułatwiające adaptację w nowych warunkach. Ja, wspominając tamten okres (przełom lat 70./80.) i życie naukowe koncentrujące się w budynku Szkoły Głównej na Krakowskim Przedmieściu, zawsze z wdzięcznością myślę o trzech paniach: dr Wandzie Riedel, Krysytynie Kowalskiej i Hannie Delimat.

Trzeba przypomnieć, że właśnie w owych latach Wydział Biologii w ogóle naboru na studia doktoranckie nie prowadził. Po studiach byliśmy zatrudniani na rocznym stażu, a potem na dłużej jako asystenci i starsi asystenci. Doktoraty robiło się zwykle 7–9 lat, gdyż zadaniem młodych pracowników było nie tylko prowadzenie własnych badań, ale także przygotowywanie i doskonalenie zajęć dydaktycznych, które miały być potem kontynuowane przez wiele, wiele lat. Koordynatorką ćwiczeń z zoologii dla pierwszego roku była niezwykle sympatyczna i zawsze radosna dr Riedel, osoba dysponująca ogromną wiedzą przyrodniczą i chętnie się tą wiedzą dzieląca. Mogliśmy dyskutować godzinami.

Drugą przemiłą osobą w Szkole Głównej była sekretarka Instytutu Zoologii UW, pani Krysia Kowalska (pracująca po dziś dzień w nowym budynku Wydziału). Z nieodłącznym uśmiechem na ustach rozwiązywała wszystkie nasze – pozornie nie do rozwiązania – problemy natury administracyjnej. Nie było dla niej spraw trudnych.

W gmachu Szkoły Głównej, na parterze, mieściła się Biblioteka Instytutu Zoologii. Królowała tam pani Hania Delimat. Tam też ogniskowało się wiele spraw społeczno-socjalnych Instytutu, między innymi odbywały się spotkania wigilijne. Pani Hania zaopatrywała wszystkich w śpiewniki, a po „homilii” i skromnym posiłku kołędowaniom nie było końca. Czuło się historyczną magię tego miejsca, a śpiewający tam ludzie tworzyli niezwykłą atmosferę...

Pani Hania ogromnie pomagała mi w poszukiwaniach wielu publikacji ekotoksykologicznych i sprowadzaniu ich z polskich bibliotek, gdyż nasz księgozbiór koncentrował się głównie na literaturze zoologicznej i ogólnobio-logicznej. Na internet wówczas jeszcze nie było co liczyć, a i sama tematyka bioindykacji skażeń dopiero raczkowała. Wiele długich godzin spędzałem też w bibliotece w związku z realizacją moich pasji popularyzatorskich – konsultowaniem filmów przyrodniczych czy układaniem pytań do „Wielkiej Gry”.

Krzysztof Dmowski

Trafiłam od razu do Zakładu Ekologii. To był wspaniały okres. Zakład Ekologii i Zakład Hydrobiologii stanowiły połączone ciało. Stąd brały się najwcześniejsze przyjaźnie, taka rodzinna atmosfera, specyficzny klimat troszkę oddzielonej jednostki, bo wtedy oba te Zakłady były na rogu Świętokrzyskiej i Nowego Świata w bardzo hałaśliwym korytarzu na pierwszym piętrze. Kierownikiem Zakładu Ekologii był prof. Petruszewicz, a szefem Zakładu Hydrobiologii pani prof. Ewa Pieczyńska.

Prace całej naszej grupy były prowadzone w Dziekanowie Leśnym. Profesor Petruszewicz był zarazem szefem Instytutu Ekologii w Dziekanowie. Moja praca magisterska była robiona częściowo w Dziekanowie, a potem na Wyspie Dzikiej Jabłoni na Bełdanach. Następnie uciekałam z tej wyspy do leśniczówki nad jeziorem w Mikołajkach i tam, siedząc w lesie i prowadząc badania do pracy przez parę ładnych miesięcy, napisałam cykl słuchowisk o życiu w leśniczówce. To do tej pory procentuje mi finansowo, bo słuchowiska są w radiu wciąż powtarzane i mam z tego jakieś wpływy. Śmieję się, że ciągle zarabiam na swojej pracy magisterskiej.

Moi pierwsi studenci to byli moi młodszy koledzy, tak że to był dość trudny etap, kiedy zmieniał się układ – z kolegów stawali się nagle studentem i asystentem. Z tego powodu bywały różne śmieszne zamieszania. Pamiętam wspólny wyjazd do Białowieży, kiedy nie było między nami takiej granicy, bo wszyscy byliśmy tam po raz pierwszy. Do tej pory w kontaktach ze studentami najprzyjemniejsze jest właśnie wspólne robienie czegoś, a nie dbanie o zachowanie tej struktury nauczyciel–uczeń.

Anna Kalinowska

Po dyplomie szukałam pracy poza Uniwersytetem i znalazłam ją w Instytucie Reumatologii, ale po jakimś czasie stwierdziłam, że nie będzie mi odpowiadała praca na stanowisku biologa w środowisku medycznym. Nie spełniły się w Instytucie moje oczekiwania. Szukałam czegoś, co pozwoli mi się samej rozwinąć, również naukowo, a nie tylko być diagnostą w laboratorium. Przypadkowo przyszedłam do Szkoły Głównej i rozmawiałam o moich planach z panią dr Borowik i Danusią Pietrzykowską. I następnego dnia był telefon, że pan prof. Bezubik zaprasza mnie na rozmowę. Pierwsze pytanie, które mi zadał, brzmiało: „Maleńkie, jesteś zdolna dla mnie zrobić wszystko?”. No to „maleńkie” odpowiedziało, że tak. I wtedy profesor powiedział, że jeśli chcę, to przez jakiś czas może mnie zatrudnić przy organizowaniu międzynarodowego zjazdu parazytologów ICOPA [International Congress of Parasitology – przyp. red.], a potem się okazało, że będę mogła zostać i będę zatrudniona.

Maria Doligalska

Od 1 października 1976 roku zostałam zatrudniona w Zakładzie Systematyki i Geografii Roślin na etacie asystenta stażysty i miałam kontynuować badania florystyczne na Suwalszczyźnie. W międzyczasie wyszłam za mąż, urodziłam córkę i nie mogłam niemowlaka zostawić na całe lato i pojechać w teren.

Zacząłam zastanawiać się, jak kontynuować badania. W Zakładzie pracował dr hab. Andrzej Batko, z którym poznałam się tuż przed rozpoczęciem studiów. Zachęcił mnie do badań algologicznych. Jak zwykle z niebywałym zapałem i pasją zaczął opowiadać o jednokomórkowych zielenicach. Poszliśmy do Ogrodu Botanicznego i z basenów wzięliśmy próbę wody. Pod mikroskopem kłębiły się tysiące pięknych, jednokomórkowych zawłotni. Andrzej powiedział, że badanie tych glonów to świetny temat na doktorat. Do tej pory nikt w Polsce nie prowadził takich badań. Wciągnęło mnie to i tak rozpoczęła się moja współpraca z Andrzejem Batką.

Początki pracy w Zakładzie kojarzą mi się z jeszcze jedną sytuacją. Na początku października 1976 roku, kilka dni po rozpoczęciu przeze mnie pracy w Zakładzie prof. Podbielkowski, mój opiekun naukowy, polecił, abym odbyła praktykę miesięczną w Ogrodzie Botanicznym. Miałam wrażenie, że nie był zachwycony, że Rada Wydziału Biologii zaakceptowała moją kandydaturę na stanowisko asystenta stażysty w Zakładzie Systematyki i postanowił mnie lekko zniechęcać do dalszej pracy w Zakładzie. Oficjalnie stwierdził, że będzie to dobra okazja do zdobycia dodatkowej wiedzy o roślinach obcego pochodzenia. Przystąpiłam na to chętnie, udałam się do ówczesnej dyrektorki Ogrodu doc. Aliny Doroszewskiej i otrzymałam zadanie przeglądania katalogów roślin znajdujących się w kolekcji Ogrodu. Było

to dość monotonne i nudne zajęcie. Nie rozumiałam też, po co mam to robić. Dodatkowo, w biurze Ogrodu panowała atmosfera jak w rodzinnym grobowcu. Wszyscy cicho przemykali się do swoich biur, nikt z nikim nie rozmawiał. Pomyślałam sobie, że nigdy więcej moja noga tu nie postanie. Jest to przestroga na przyszłość: minęło 12 lat i wróciłam do Ogrodu jako jego szefowa. Tak więc nigdy nie mów nigdy.

Hanna Werblan-Jakubiec

Pracę na Wydziale rozpoczęłam w 1978 roku, niemal tuż po magisterium. Nie w moim Zakładzie Hydrobiologii, ale w Zakładzie Ekologii Mikroorganizmów kierowanym przez dr. hab. Ryszarda Chrósta. I on, i ja traktowaliśmy czas mojego zatrudnienia w Zakładzie jako stan przejściowy, bo wiadomo było, że będę starać się o przyjęcie do Zakładu Hydrobiologii. To był dobry i owocny czas, bardzo dużo się wówczas nauczyłam. Po kilku godzinach pracy na Karowej przemieszczałam się z reguły na Nowy Świat, do Zakładu Hydrobiologii, gdzie przygotowywałam wspólnie z Kasią Papińską publikacje z naszych magisteriów, robiłam coś w ramach prac zleconych, dużo czytałam i ani na chwilę ze swoim Zakładem nie utraciłam kontaktu. Moje najcieplejsze wspomnienia z czasów studiów i początków pracy wiążą się właśnie z Zakładem Hydrobiologii i jego kadrami – prof. Ewą Pieczyńską, naszą wieloletnią szefową, z Maćkiem Gliwiczem, Andrzejem Kowalczewskim, Krystyną i Andrzejem Prejsami, Teresą Ozimek, Igozem Rybakiem, Piotrem Dawidowiczem, Andrzejem Kołodziejczykiem.

Poza gronem z Zakładu Hydrobiologii za najważniejsze uważam spotkanie z profesorami: Władysławem Kunickim-Goldfingerem, Andrzejem Batką, Andrzejem Krzysztofem Tarkowskim, Tomaszem Umińskim, Romanem Mycielskim, Kazimierzem Dobrowolskim. W gronie profesorów akademickich były to dla mnie ważne postacie, każda zresztą z innych powodów. Spotkałam też i nadal spotykam wielu innych niezwykłych ludzi na Wydziale Biologii, wśród moich nauczycieli akademickich, a także wśród moich rówieśników, młodszych kolegów i studentów. Nie sposób ich wszystkich wymienić.

Joanna Pijanowska

Około 20 kwietnia jedne zajęcia prowadziliśmy zawsze na Bielanych. I pewnego razu – a byłam jeszcze wtedy studentką – poszliśmy po zajęciach do dr Hanny Szymańskiej, by spróbować jakiejś wyjątkowej nalewki własnej roboty. Pech chciał, że potem był jeszcze wykład, który miał prowadzić Andrzej Batko. Zrobiło się wesoło. Byliśmy po zajęciach, odpoczywaliśmy i nagle dostałam polecenie: „Marta, idziesz za mnie na ten wykład”.

I poszłam. Byłam wtedy magistrantką i zostałam wysłana z konkretnym tematem. Do głowy mi nie przyszło, by odmówić. Byłam zachwycona i doceniona. To była moja pierwsza dydaktyczna przygoda.

Skąd mykologia? Wszystko zaczęło się od pewnego wykładu Andrzeja Batki, podczas którego przedstawiał biologię owadomorkowców. Ten wykład sprzedaje studentom do dziś. Zapamiętałam go jako niezwykle plastyczny i od kilkudziesięciu lat odtwarzam go w ten sam sposób. Batko kazał się nam wcielić w muchę, na którą pada lepki zarodnik, i potem niemal czuliśmy, jak zaczynają w nas rosnać i dzielić się ciała strzępkowe, następnie dochodzi do zarodnikowania, a wielkie jak balony zarodniki wystrzelują z naszych ciał i świszczą, przelatując nad głowami.

A zatem moje zainteresowanie interakcjami owadów i grzybów jest pochodną zachwyty wykładem lub może jakiejś fantastycznej, plastycznej opowieści, która mnie uwiiodła. Powiedziałam sobie, że jeżeli mam zostać przy grzybach, chcę zajmować się właśnie tym. Andrzej Batko wysłał mnie na wycieczkę. Powiedział, że mam pójść przed siebie na pola kapusty i na ścieżki obrośnięte pokrzywami. Poleciał oglądać liście od dołu i zbierać martwe owady – głównie gąsienice motyli i mszyce. Z tego pierwszego spaceru wróciłam z pełnymi rękami. Zakażone owady były wszędzie! Potem okazało się, że to nie takie proste, a owadomorki są efemeryczne. Ostatecznie pracę magisterską robiłam z taksonomii pleśniakowców występujących na odchodach gryzoni i innych zwierząt, głównie roślinożernych. Andrzej Batko z uśmiechem twierdził, że jestem najlepszym w okolicy, prawdziwym specjalistą od odchodów. Dyplom miałam właściwie skończony na rok przed czasem. Nic dziwnego – z Zakładem Systematyki i Geografii Roślin byłam związana od pierwszego roku studiów.

Ostatnie pół roku studiów poświęciłam więc antropologii – mojej drugiej miłości. Przewodnikiem stał się dla mnie prof. Bielicki, który zaprotegował mnie i załatwił studia na Uniwersytecie Wrocławskim. W moim indeksie studenckim zapanował prawdziwy chaos – można tam znaleźć oceny z Warszawy i Wrocławia. Wpisy z zajęć archeologicznych, antropologicznych i biologicznych. Dziekanem do spraw studenckich, gdy kończyłam studia, był Bogusław Wilkomirski. Nie zastanawiając się długo, co z tym robić, średnią policzył ze wszystkich ocen, niezależnie z jakiego wydziału i jakiej uczelni był wykładowca. Myślę, że dziś mało kto ma możliwość takiego „rzeźbienia” toku studiów. Sądzę, że to była jedna z moich największych wygranych w życiu. Mogłam naprawdę kształtować się dwutorowo, co ostatecznie przełożyło się na pracę dydaktyczną i chyba również ostatecznie na poczucie spełnienia.

Marta Wrzosek





W PRACY I POZA NIĄ

s. 158: Kazimierz Dobrowolski, Rysunki, kwiecień – maj 1954 r.

Nie pamiętam, który to był rok. Popęlniłem jakąś drobną publikację do biuletynu Akademii Nauk i chciałem ją wysłać. I nie mogłem nigdzie dostać koperty. A później był taki przepis, że trzeba było przed wysyłką zgłosić się do cenzury i oni wtenczas wydawali pozwolenie na wysłanie za granicę. Nawet tego nie czytali.

Profesor Kraczkiewicz, wówczas docent, współpracował z prof. Wacławem Baehrem – Wacław von Baehr, baron kurlandzki. To był kierownik Zakładu i twórca Zakładu Cytologii na Uniwersytecie Warszawskim. Zapisał się jako jeden z twórców chromosomowej teorii dziedziczności. Kraczkiewicz kończył studia i doktoryzował się u prof. Jana Tura. A później Baehr potrzebował asystenta i Tur podsunął Kraczkiewicza.

Bohdan Matuszewski

Prowadziliśmy kilka wycieczek ze studentami. Pierwsza była zwykle na Bielany. Byliśmy też w Klembowie i Dziekanowie. Poza tym, ale to już dla studentów specjalizujących się, były co roku kilkudniowe wycieczki w Polskę. To były wspaniałe wyprawy botaniczne, gdzie rzeczywiście dużo ciekawych rzeczy się poznawało. Warunki czasem wręcz spartańskie, no, różnie to bywało. W każdym razie, co roku jeździliśmy w jakiś inny region Polski. Pamiętam wyprawę dwiema łodziami żaglowymi Kanałem Augustowskim. Najpierw nas uczono, jak obsługiwać żagle, na każdej łodzi był jeden marynarz.

Jedną z pierwszych wycieczek, jakie pamiętam, była ta do Białowieży, w '52 roku. Wtedy Białowieża była pilnie strzeżona przez straż graniczną. Przyjechaliśmy pociągiem w nocy, wysiedliśmy, idziemy do Parku Pałacowego, a tam zgłiszcza, sterczą kominy, a na każdym kominie bocianie gniazdo. Niesamowite wrażenie. Było tam schronisko, w którym nocowaliśmy. Potem poszliśmy do Parku Narodowego i znów wrażenie kolosalne. To wejście do Parku to jak brama do raj, dosłownie, jak brama do raj. To chyba była jedna z pierwszych wycieczek, w których uczestniczyłam. Jak się szło drogami, jeszcze przed Parkiem Narodowym, to na drzewach wisały wielkie festony brodaczek. Wśród nich była piękna *Usnea longissima*. Może dlatego zajęłam się porostami, bo mnie to zafascynowało.

Janina Zielińska

Podczas ćwiczeń z immunologii mówiliśmy o grupach krwi. „Proszę pobrać z palca trochę krwi i oznaczyć swoją grupę”. Żadna sztuka, choć niektóre

studentki mdlały. I jak pierwsza, taka nieduża, zemdlała na ćwiczeniach, to się przeraziłem. Chwyciłem ją na rękę i zaniósłem na drugie piętro. W gabinecie prof. Kunickiego była rozkładana leżanka. Położyłem ją tam i wezwałem wszystkie panie na ratunek. Na kolejnych ćwiczeniach znów mdleje studentka, tym razem taka potężna. Już jej nie wnosiłem na schody, ocuciliśmy ją na miejscu.

Za mojego dyrektorowania [w Instytucie Mikrobiologii – przyp. red.] dział zaopatrzenia przyczepił się, że zużywamy za dużo czystego spirytusu. No, rzeczywiście dużo, bo etanol wchodził w skład 90 procent odczynników. Poza tym bakterie bardzo lubiły alkohol etylowy – chociaż jeszcze bardziej metylowy – więc robiliśmy pożywki z etanolem. Trzeba też uczciwie przyznać, że troszkę spirytusu zużywaliśmy dla celów prywatnych, ale niedużo. Nie było alkoholików, natomiast na przyjęcia czy imieniny robiliśmy w pracy ajerkoniak, oczywiście z tego państwowego. Nie było jeszcze mikserów, ale mieliśmy jedyny wtedy w Warszawie szybkoobrotowy blender. No więc albo ajerkoniak, albo mleko ze spirytusem i z wanilią, bardzo dobre. Ponadto wprowadziliśmy genialny zwyczaj, że wszyscy rzemieślnicy uniwersyteccy, którzy przychodzili do nas coś remontować – a na to się zwykle czekało tygodniami, żeby raczył przyjść taki robotnik – dostawali buteleczkę spirytusu. I zaczęli przychodzić do nas i naprawiać wszystko błyskawicznie.

Roman Mycielski

Wykształcenie pianistyczne dało mi bardzo dobrą rękę w pracy laboratoryjnej. Największą przyjemnością było dla mnie siedzenie nad mikroskopem stereoskopowym i wykonywanie mikromanipulacji.

Teresa Rogulska

Profesor Raabe 1 października, gdy zaczynałem studia doktorskie, powiedział: „G... mnie obchodzi, kim jesteś – asystentem, adiunktem czy doktorantem – masz robić tyle samo zajęć, co wszyscy. Masz 280 godzin ćwiczeń”.

Jak ja się z tego cieszyłem! Pierwsze zajęcia, jakie prowadziłem, to była tzw. pracownia półdzienna dla studentów trzeciego roku. Prowadziłem tam protozoologię razem z Andrzejem Kaczanowskim. Byłem tak zestresowany, że zapamiętałem wszystkich studentów z tego roku. Bałem się ich strasznie, że będą się ze mnie śmiali, że ja coś źle powiem. A potem dostałem się pod opiekę pani Wandy Riedel i to były pod względem dydaktycznym najbardziej owocne lata mojej pracy. Wanda Riedel była szefową, główną prowadzącą ćwiczenia z zoologii. Prowadziłem te ćwiczenia 10 lat i Wanda Riedel zawsze ze wszystkimi współpracownikami robiła raz w tygodniu

odprawy. Omawialiśmy wszystko to, co miało być na ćwiczeniach – preparaty, rysunki, obiekty. Każdy z nas to umiał i wiedział, co powiedzieć studentom.

Wszyscy byli bardzo entuzjastycznie nastawieni. Ćwiczenia prowadziło się wiele godzin, ale się tych godzin nie liczyło, jeździło się też na wycieczki do Wilanowa lub do Puszczy Kampinoskiej. Ćwiczenia były naprawdę solidne. Porządnie uczyliśmy tej zoologii, jeszcze – że tak powiem – w przedwojennym stylu.

Jerzy Moraczewski

Oczywiście studenci byli bardzo różni. Od osób zupełnie przypadkowych po wybitnie zdolne i zainteresowane. I to praca z nimi była źródłem wielu satysfakcji, gdy okazywało się, że nasze inspiracje owocowały ich ciekawymi osiągnięciami. W Zakładzie Fizjologii Zwierząt nigdy nie skąpiliśmy czasu na rozmowy ze studentami, nie tylko na tematy zawodowe. Toteż bywało, że przychodzili oni z prośbą o radę w sprawach często bardzo osobistych. Z wieloma z tych osób mam do dziś, mimo upływu 30–40 lat, serdeczny kontakt.

A swoim magistrantom, którzy wszyscy zdali egzamin końcowy na piątkę, ofiarowywałem „na nową drogę życia” skromny upominek.

W początkach października 1971 nasi studenci jechali na przyrodniczą wycieczkę w Bieszczady. A że wolnych miejsc w autokarze było sporo, zabrała się prywatnie i część kadry Wydziału, z panią prof. Aliną Skirgiełło na czele. Po przybyciu na miejsce okazało się, że liczba noclegów przygotowanych w miejscowej szkole jest zbyt mała i część uczestników musi nocować na sianie w stodole. Zadano więc młodzieży pytanie, który rodzaj noclegu wybierają, i ku naszej ucieście wybrali oni jednomyślnie szkołę. A my poszliśmy sami na wspaniałą nocny spacer. Przy pełni księżyca i przymrozku byki jeleni ryczały dookoła, a nocleg w sianie był dla nas niezwykłą w tych warunkach frajdą. Niestety, po powrocie dowiedzieliśmy o śmierci, 11 października, prof. Zygmunta Kraczkiewicza.

Bywały też wśród młodzieży postacie kuriozalne. Pamiętnego 16 października 1978 roku prowadziłem ćwiczenia wieczorową porą. Nagle wywołała mnie z sali dr Janina Kaczanowska, której pokój sąsiadował z nami, informując o wyborze nowego papieża. Wróciłem do studentów, mówiąc: „Miło mi jest poinformować państwa, że kardynał Karol Wojtyła został przed chwilą wybrany na nowego papieża”. Zrobiło się poruszenie i wtedy student J. – bardzo aktywny politycznie w reżimowym Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej – zapytał: „A kto to jest?”. Odparłem, że w kraju takim jak nasz znajomość nazwisk kilku prominentnych hierarchów Kościoła jest przydatna i że kardynał Wojtyła jest metropolitą krakowskim. Na co on zapytał: „A czy pan zna nazwisko na przykład wojewódzkiego szefa Ligi Obrony Kraju (sic!)?”. Odpowiedziałem, że jeśli nie uświadamia sobie groteskowości tego porównania, to mu współczuję... i sala zatrzęsała się od śmiechu.

Tradycją Instytutu były coroczne spotkania wielkanocne i opłatkowe odbywane w bibliotece oraz wspólne śpiewanie kolęd. Śpiewom przewodził dr Kazimierz Dobrowolski, późniejszy rektor, a entuzjazm wokalny wzmacniany był „śpiewadelkiem”, które przyrządzałem ze spirytusu, wermutu i soku pomarańczowego. W latach 60. odbyły się też dwa huczne bale kostiumowe.

Nie brakowało sytuacji zabawnych. Profesor Rybicki nie był entuzjastą wprowadzanych już i u nas metod izotopowych, obawiając się szkodliwego wpływu izotopów na organizmy badaczy. I na prima aprilis asystenci prof. Raabego, Andrzej Lisiecki i Jurek Nowicki, sfabrykowali ciężką paczkę (2 cegły), pozorując ołowiane opakowanie izotopów, a tekturowy karton opatrzyli w fałszywe pieczęcie Instytutu Badań Jądrowych PAN w Świerku oraz stosowne naklejki ostrzegawcze. Przesyłka została dostarczona prof. Rybickiemu, który, nie otwierając, nakazał jej zwrot do biura podawczego UW. Traf chciał, że gdy niósł ten ciężar do pokoju laborantów, mijał otwartą pracownię asystentów, gdzie w kilku zaśmiewaliśmy się z jakichś dowcipów. Profesor uznał, że śmiejemy się z jego ostrożności, i zajrzawszy do nas, powiedział tylko: „Śmiecie się, śmiecie, ale skutki mogą być opłakane”. Długo potem zaryzykowałem i przekonałem go, że był to tylko niewinny żart, śmiech zaś nie jego dotyczył.

Zdarzały się też dramaty. Doktor Zofia Górską, przenoszona na emeryturę adiunkt w Zakładzie Cytologii, popełniła w Zakładzie w Gmachu Pomuzealnym samobójstwo. Otworzyła gaz, a że w pomieszczeniach były lodówki iskrzące podczas włączania, nastąpił wybuch. Jak przybyłem rano na Wydział, to firanki wisiały na płocie odgradzającym Uniwersytet od ulicy Oboźnej. Nasz Zakład był piętro wyżej i przez tydzień nie mogliśmy tam wejść, bo wobec ryzyka katastrofy budowlanej robiono pomiary i ekspertyzy budowlane.

Rafał Skoczylas

Nasz Zakład mieścił się na rogu Nowego Świata i Świętokrzyskiej. Przez okna na pierwszym piętrze można było oglądać manifestacje Marca '68 oraz demonstracje czasów pierwszej „Solidarności” i przejazdu Jana Pawła II w czasie jego kolejnych wizyt w Warszawie. Jednak przez te same okna wdzierały się również spaliny samochodowe autobusów, ciężarówek i traktorów. Stawaliśmy na głowie, by ich nie dopuścić do naszej pracowni w piwnicach, ale nie dawało się do końca ochronić naszych hodowli przed spalinami. Wydawało się, że powinniśmy zająć się raczej toksykologią niż ekologią zwierząt wodnych. Jednak, pomimo wysokiej śmiertelności naszych zwierząt, zaczęliśmy tam mocno eksperymentować. Na przykład Joanna Pijanowska – pierwszy promowany przeze mnie doktor – zrobiła tam cały swój doktorat.

Maciej Gliwicz

Wolę nie wspominać o wydarzeniach smutnych i tragicznych; były i takie. Na szczęście przyjemnych i zabawnych było więcej. Wspomnę o czymś, co zapisało się na trwałe w kalendarzu lat 60. i początku 70. ubiegłego wieku. Były to bale karnawałowe organizowane w Szkole Głównej, przy mocnym wsparciu prof. Raabego i nieskrywanym niezadowoleniu kilku innych, ważnych osób. Salą balową była pracownia zoologiczna na parterze. Wstęp na piętro, do królestwa botaników, był surowo zabroniony, o czym przypominały dwie potężne drewniane ławy ustawiane wtedy w poprzek drogi. Oczywiście nie obyło się bez prób złamania owych zakazów – do czasu, kiedy jeden z gości, usiłując przedrzeć się na piętro, zjechał wraz z ławą z wielkim hałasem na parter. Dodatkową atrakcją, choć dostępną tylko dla nielicznych, były zaproszenia do pracowni dr. Neumana. Smak serwowanych tam nalewek pamiętam do dziś.

Andrzej Prejs

Pracowaliśmy w bardzo trudnych warunkach. W Szkole Głównej w pokoju, który zajmowałam już po habilitacji, siedzieli: prof. Maleszewski, Zosia Lewanty, sekretarka Marysia Majstatowa i okazjonalnie studenci wykonujący ćwiczenia. W innych pokojach były dodatkowe antresole, wyciągi, gdzie prowadziło się doświadczenia. Kiedyś przyszła kontrola z Sanepidu. Pracowałam z cyjankiem, bo badałam oddychanie cyjanooporne. Po schodkach metalowych wchodziłam na górę, gdzie był spektrofotometr i wyciąg, który kończył się na strychu. Panie z Sanepidu zainteresowały się tym strychem. Najlepiej, żeby nie wiedziały, że wszystkie wyciągi kończą się na strychu. No i było pytanie za dwa punkty: „Skąd tam jest tyle zdechłych gołębi?”.

Pracownia fitotronowa i pracownia izotopowa mieściły się w podziemiach, gdzie kiedyś były stajnie z osobnym wejściem z drugiej strony budynku. Jak się prowadziło tam ludzi z zagranicy, łapali się za głowę. A my się zastanawialiśmy, czy prowadzić ich *short way* przez toalety, jak normalnie chodziliśmy, czy wejściem na zewnątrz budynku, od drugiej strony.

Anna Rychter

Byliśmy młodzi i nasze życie nie sprowadzało się do pracy na uczelni. Mieliśmy to szczęście, że moja żona Irena, która była absolwentką UMCS w Lublinie, i ja zaraz po magisterium zostaliśmy zatrudnieni na Wydziale. Żona pracowała u prof. Stanisława Lewaka, piętro wyżej, ja u prof. Bernarda Bezubika na parterze. Będąc asystentami, pracowaliśmy nad naszymi

doktoratami, które obroniliśmy w tym samym roku. Mieliśmy wtedy spore grono wspólnych kolegów i przyjaciół z obu Zakładów. Stąd często obchodziliśmy wspólne imieniny, świętowaliśmy nasze promocje, doktoraty, habilitacje. Również spotykaliśmy się w naszych domach na tzw. parapetówkach; była to duża radość, jeśli ktoś z grona naszych przyjaciół otrzymał nowe mieszkanie. Szkoła Główna była pod tym względem wyjątkowym miejscem, a przyjaźnie z tego okresu przetrwały do teraz. Wspomnę tylko wspólne Wigilie Bożego Narodzenia w Bibliotece Instytutu Zoologii. Spotkaniom tym towarzyszyło śpiewanie kolęd i wino – prym wodził chór docentów: Kazik Dobrowolski, Staszek Lewak i Tomek Umiński.

Trzeba tu koniecznie wspomnieć panią Hanię Delimat, która kierowała wówczas biblioteką. Prawie wszystko na parterze Instytutu Zoologii odbywało się z jej udziałem, jak również prof. Zdzisława Raabego, który pracował zawsze przy otwartych drzwiach *vis-à-vis* biblioteki – praktycznie rzecz biorąc, wszystko widział, o wszystkim, co się dzieje w Instytucie, wiedział. Byliśmy małym instytutem, o wiele mniejszym niż teraz.

Edward Siński

Muszę jeszcze opowiedzieć o *najerkoniaku*. Otóż kiedyś alkohol do Zakładu dostawało się z działu gospodarczego. Trzeba było się tam udać z własną butelką acetonu i człowiek, który osobiście tym dysponował, dolewał aceton do balonu 96% spirytusu. Ale zwykle coś się tam skołowało, żeby nie cały spirytus zepsuć. Taki wygospodarowany alkohol przerabialiśmy, a głównym szefem od tego był Andrzej Najer. I robiło się ajerkoniak, tyle że tę wersję produkowaną pod kierunkiem Andrzeja Najera nazywaliśmy *najerkoniakiem*.

Mirosława Włodarczyk

Pracując naukowo i dydaktycznie, mieliśmy mało czasu na życie rodzinne. Czas pracy był nienormowany. Wyznaczały go wykłady, seminaria, ćwiczenia, a przede wszystkim prowadzone badania i eksperymenty i związane z nimi pobieranie prób, opracowywanie i analizowanie wyników. Bywało, że dziecko odebrane o godzinie siedemnastej z przedszkola (uniwersyteckie przedszkole przy ulicy Karowej) „pało się” na trawniku przy budynku Szkoły Głównej (latem) lub czekało pod biurkiem (zimą), aż rodzic skończy pracę.

Bardzo, bardzo miłe wspomnienia pozostawiły mi organizowane każdego roku Wigilie bożonarodzeniowe. W Bibliotece Instytutu Zoologii (budynek Szkoły Głównej) gromadzili się wszyscy pracownicy. Łamaliśmy się opłatkiem, składaliśmy sobie życzenia, a przede wszystkim wspólnie

kolędowaliśmy. Najpiękniej przewodzili śpiewom profesorowie Kazimierz Dobrowolski i Tomasz Umiński. Nasze kolędy niosły się przez teren uczelni aż na Krakowskie Przedmieście.

Maria Magdalena Borowik

Lewak zajmował się polimerycznymi leukoantocyjaninami głogu. Związki te mają duże znaczenie w leczeniu chorób serca jako wyłapywacze wolnych rodników, ale wtedy nikt o tym nie wiedział. Jak się przygotowywało materiał? Brało się pięćdziesięciolitrowe balony z zawartością 70% etanolu, jechało w teren (lub na Pole Mokotowskie), rwało się liście głogu, wrzucało do balonów i tam zachodziła ekstrakcja tych związków. Takie balony stały w piwnicy na Żwirki. I one tam sobie stały i stały. Profesor Lewak, wtedy doktor, zrobił na tym habilitację, został docentem Lewakiem, a balony stały nadal. Część materiału została niewykorzystana.

Z młodszym kolegą z botaniki Jackiem Skrzeczrowskim doszliśmy do wniosku, że ten ekstrakt w balonach, skoro zawiera tak cenne składniki, to zapewne nadaje się do „spożycia”. W związku z tym przetestowaliśmy na sobie owe ekstrakty i w efekcie zaczęliśmy je stosować do niezupełnie naukowych celów. Różne uroczystości były podlewane tym – jak go nazwaliśmy – *lewakolem*. No i kiedyś, to już był szczyt szczytów, na moich imieninach, na które był zaproszony doc. Lewak, podaliśmy ów *lewakol* elegancko w kieliszkach. Miał odcień koniaku. Zaproponowaliśmy Lewakowi, żeby spróbował i zgadł, co to jest? Spróbował. „Ooo! Nieźle. Mocne, ale smaczne”. Ale nie zgadł, że to jego *lewakol*. Dopiero wtedy przyznaliśmy się, co to za „nalewka”.

Do dzisiaj krążą opowieści, jak się używało *lewakolu*. Na przykład przez pewien czas był stosowany jako waluta przetargowa do przekupywania pracowników działu technicznego. Malarze chętnie na Biologię przychodzili, bo wiedzieli, że coś im tam spadnie, na przykład nasz *lewakol*. Takie to były czasy.

Andrzej Podstolski

Nie wolno było wysłać pracy do zagranicznego czasopisma bez pieczętki cenzury. Maszynopis trzeba więc było zanieść do Urzędu na Mysią. Osobiście tam nie byłam, jeździł prof. Kaniuga. Składało się tam jakieś pismo, które musiało być podpisane przez kogoś „ważnego”, nie wiem, na jakim szczeblu.

Nigdy też nie wiadomo było, czy uzyska się pozwolenie na współpracę z zagranicznym partnerem. Pamiętam, że wysiłki prof. Kaniugi zmierzające do podjęcia badań finansowanych z funduszy amerykańskich nad dehydrogenazą NADH zakończyły się w 1969 r. pismem, że „Ministerstwo Oświaty

i Szkolnictwa Wyższego stoi na stanowisku, iż wobec poważnych zadań własnych uczelni podejmowanie zobowiązań wobec strony amerykańskiej nie byłoby rzeczą wskazaną”.

Jadwiga Bryła

Początek pracy na uczelni wiązał się z ćwiczeniami, których ja nie lubiłem, bo one dotyczyły znacznie szerszej fauny niż ta, która mnie interesowała. Tak że ja to traktowałem jako obowiązek. Ciężki obowiązek.

Ryszard Halba

Pamiętam balangi po doktoratach. Zaczynały się o osiemnastej, może o dziewiętnastej. Studentów na nich nie było. Pamiętam habilitację obecnego prof. Andrzeja Piekarowicza. Jego doktorant, który teraz od lat jest w Kanadzie, robił nam koktajle.

I jeszcze wspomnienie niedotyczące pracy. Moja kuzynka pracowała w Zrzeszeniu Studentów Polskich w tym okresie, kiedy nie nazywało się jeszcze „Socjalistyczne”. Były wyprawy do STS-u i klubów studenckich. Pamiętam „Hybrydy” na Mokotowskiej i SPAM, czyli Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków. SPAM był na Kruczej i chodziło tam mnóstwo studentów na Jam Sessions. Chyba to było nudne, ale jakie kultowe. Sala była kompletnie zadymiona, bo wszyscy palili papierosy, każdy słuchał muzyki z uduchowioną miną, czy miał lat 18, czy 40.

Krystyna I. Wolska

Pamiętam, że w pierwszych latach wszystkie imprezy po doktoracie odbywały się w Instytucie. Hucznie świętowaliśmy doktorat Marty Bednarskiej, Danki Klimuszko oraz mój. Wszyscy śpiewali. To były takie imprezy, które ludzi mocno wiązały. Często też spędzaliśmy czas razem poza pracą, mieliśmy dzieci w podobnym wieku. Zawiązało się wiele prawdziwych przyjaźni.

Elżbieta K. Jagusztyn-Krynicka

Na Wydziale rodziły się dzieci, więc były wspólne tematy. Jechało się na wakacje w miejsca polecane przez znajomych, czasem na wczasy z UW, a jak ktoś miał letni domek, to go użyczał kolegom. Panowały tego typu

stosunki. Pan profesor Kunicki wiedział, co się u kogo dzieje. Podchodził do nas z właściwą troską. Dostałam zaszczytu, że na pierwsze piętro wniósł mi wózek dziecienny. My z kolei wiedzieliśmy o psie pana profesora, o synach. Czasem spędzało się wspólnie z kolegami sylwestra, oczywiście w domu. Doktoraty świętowało się w pracy i były huczne imprezy alkoholowe. W jeszcze dawniejszych czasach, znanych mi z dzieciństwa, profesor nawet użyczał w awaryjnych sytuacjach mieszkania, bowiem profesorowie recenzenci nie mieli gdzie zanoć, przyjeżdżając do Warszawy. Kiedyś przyjechała z Lublina pani Laura Kaufmann. Zatrzymała się u nas na Wilczej i pan prof. Węgleński – wtedy młody człowiek – przyjechał po nią, żeby ją dokądś zawieźć. W przedpokoju pomagał jej założyć płaszcz. Tymczasem myśmy mieli psa, Węgleński zostawił gdzieś czapkę i wiadomo, pies mu ją zmietolił. Oczywiście młody człowiek mówił: „Ależ nic nie szkodzi”. A moja mama truchlała i reperowała tę czapkę. Takie były wtedy „udomowione” sytuacje: skromne, niewystawne, bo trzeba było kolegę przenocować. Dzisiaj nie do pomyślenia, prawda?

Anna Kraczkiewicz-Dowjat

Profesor Dobrowolski był zapalonym przyrodnikiem. Uwielbiał wszelkie zajęcia w terenie, na których był niezastąpiony. Przekazywał w sposób niezwykle ciekawy, przystępny, z poczuciem humoru swoją ogromną wiedzę, szczególnie dotyczącą zagadnień związanych z biologią i ekologią ptaków. W czasie, kiedy zaczynałem pracę w Zakładzie Ekologii (wówczas był to Zakład Zoologii i Ekologii), powstała stacja terenowa na Mazurach. Zaczęło się od wynajmowania kilku pokoi w Ługaniach k. Mikołajek, potem wynajmowaliśmy pokoje w budynku Stacji Hodowli Roślin w Urwitalcie.

Wcześniej prowadziliśmy badania w Kuziach na Kurpiach; dotyczyły kompleksowej metody ochrony lasu. Zostały zakupione trzy baraki (takie, jakie czasami są na budowach), które postawiono w pobliżu leśniczówki. Była to nasza baza – tam mieszkaliśmy. Pamiętam, że w zimie koce w barakach przymarzały nam do ściany. Te baraki zostały później przetransportowane do Urwitałtu. Dokupiono chyba jeszcze dwa i studenci przyjeżdżający na zajęcia terenowe początkowo w nich właśnie mieszkali. Dopiero potem nastąpiła modernizacja stacji i można było studentów kwatrować w budynku.

Michał Kozakiewicz

Jedną z największych zalet mojej pracy była jej różnorodność. Pamiętam rozmowy ze znajomymi urzędniczkami, narzekającymi na monotonną pracę przy biurkach, czy rozmowy z osobami, które skoncentrowały się

wyłącznie na pracach laboratoryjnych. Moje zainteresowania skażeniem środowiska i bioindykacją powodowały, że musiałem liczne tereny w Polsce traktować jako podstawowe poligony badawcze i odwiedzać je regularnie. Były to między innymi okolice hut cynku, ołowiu czy miedzi, okolice cementowni, koksowni, stalowni, największych polskich elektrowni, fabryk lamp rtęciowych, rafinerii itp. Z czasem w podobnych badaniach uczestniczyłem także poza Polską, a zakres organizmów objętych studiami poszerzył się od grzybów czy roślin, przez liczne bezkręgowce (głównie owady i mięczaki), aż po kręgowce, nawet tak duże jak żubry czy foki antarktyczne.

Moje zainteresowania ekologiczno-zoologiczne wiązały się natomiast z wyjazdami przez blisko 40 lat na ćwiczenia terenowe prowadzone w naszych stacjach w Urwiłacie k. Mikołajek i w Sajzach k. Elku. Miejsca te, a także okolice wielu polskich parków narodowych traktowałem równocześnie jako punkty kontrolne, reprezentujące w badaniach ekotoksykologicznych obszary o minimalnym poziomie skażeń środowiskowych.

Te liczne wyjazdy terenowe przeplatane były pracą w laboratoriach. W tak urozmaiconej formie badania analityczne wcale nie były monotonne i nudne, a od ich szybkiego zakończenia zależała odpowiedź na wiele dalszych intrygujących pytań: czy są jakieś zagrożenia ekologiczne? jak ukiepunkować i poszerzyć badania? jak dobrać metody analityczne?

Moją „trójpolówkę” uzupełniały zainteresowania popularyzatorskie. Telewizyjne filmy przyrodnicze lubiłem od zawsze, jednak nigdy nie myślałem, że to z nimi moje życie zwiąże się aż tak bardzo. Jeszcze jako student z przyjemnością oglądałem w II programie TVP (aspirującym wówczas do miana telewizji edukacyjnej) wiele filmów, pod koniec których lektor czytał: „Tekst polski Halina Wodiczko, Studio Opracowań Filmów; konsultacja – Joanna i Maciej Gliwiczowie”. Pewnego dnia pani Halina zadzwoniła do mnie, gdyż jej dotychczasowym konsultantom liczne wyjazdy i inne obowiązki zaczęły utrudniać regularną współpracę z SOF. Do moich zadań miała należeć nie tylko identyfikacja gatunków, ale także czuwanie nad poprawnością merytoryczną opracowywanych tekstów. Szczególnie wiele kłopotów sprawiały konsultacje w latach 70./80., gdy nie można było wspomagać się internetem, a polskie nazewnictwo faunistyczne miało wiele luk – zwłaszcza gdy chodziło o zwierzęta oceaniczne czy żyjące na odległych kontynentach, takich jak choćby Australia czy Ameryka Południowa. Przez 30 lat byłem świadkiem niezwyklej ewolucji. Na przełomie lat 70./80. filmy oglądało się wyłącznie w zaciemnionym pokoju w studiu na ekranie stołu montażowego, a szeroka taśma przewijała się na dwóch wielkich szpulach. Potem nadszedł czas pracy w domu z kopiami filmów na kasetach VHS, a od lat 90. to był już luksus przesyłania sobie filmów, tłumaczeń i gotowych tekstów w formie komputerowych plików.

Przez wszystkie te lata współpraca przy filmach układała się nam więcej niż znakomicie. Rozumieliśmy się z panią Wodiczko w lot (też ukończyła

studia na naszym Wydziale, tylko kilkanaście lat wcześniej), pisała przepiękną polszczyzną. Jak kiedyś obliczyłem, około 15 procent filmów konsultowałem bezpośrednio dla TVP, reszta to była nasza wspólna praca z panią Halinką dla SOF. Nie pamiętam, abyśmy kiedykolwiek wiedli przy tym jakiś spór merytoryczny, a przecież wszystkich skonsultowanych przeze mnie filmów było w sumie blisko 700!

Po obronie mojej pracy doktorskiej w roku 1985 zwróciła się do mnie dr Hanna Dobrowolska, pełniąca rolę głównej ekspertki ds. tematów przyrodniczych w teleturnieju „Wielka Gra”. Po prostu stwierdziła, że pora przekazać ten miły obowiązek młodszym. Zrodził się wówczas pomysł, aby stworzyć zespół „rotujących się” głównych ekspertów. Co jakiś czas każda osoba miała być odpowiedzialna za wymyślony przez siebie temat – przygotować 30 pytań testowych na egzamin kwalifikacyjny oraz wszystkie zestawy pytań odczytywanych potem pojedynkującym się finalistom podczas nagrania programu. Stały zespół ekspertów składał się z dr Anny i prof. Michała Kozakiewiczów (na zmianę), dr. Alka Łukowskiego i mnie, a w latach dwutysięcznych dołączył do nas młody narybek – dr Paweł Koperski. Nikomu jeszcze wówczas się nie śniło, że program ten w roku 2006 zostanie zdjęty z anteny.

Układając pytania, przyjęliśmy dwie zasady. Po pierwsze, pisemny egzamin wstępny miał wyselekcjonować naprawdę najlepiej przygotowanych uczestników. Dlatego w porównaniu z pytaniami zadawanymi w studiu na wizji kwalifikacyjne pytania testowe były piekielnie trudne, a zwłaszcza ostatnia piątynastka. W prowadzonych przeze mnie tematach niewielu osobom udawało się uzyskać maksymalną liczbę punktów; 27/30–29/30 to były naprawdę wspaniałe, godne szacunku wyniki. Potem można już było tylko z dużo większym spokojem uczestniczyć w nagraniu programu i podziwiać, jak ci prawdziwi pasjonaci dochodzą do finału gry i zdobywają główne nagrody. Niektórzy robili to po kilka razy, niektórzy raz, ale wszyscy oni zasługują na nasze najwyższe uznanie.

Trzymając się drugiej zasady układania pytań, staraliśmy się formułować je tak, aby uwaga widzów nie skupiała się wyłącznie na prostych emocjach: „odpowie czy nie odpowie”. W miarę możliwości próbowaliśmy pokazywać, jak niezwykle, fascynujący może być świat zwierząt i jak różnorodne rozwiązania znajduje Matka Natura.

Ja dzięki „Wielkiej Grze” miałem dodatkowe profity. Przez blisko 30 lat wyznaczałem sobie coraz to bardziej interesujące poligony badań ekotoksikologicznych – od najdalszych zakątków zielonej Suwalszczyzny po spowite smogiem małe miasteczka Górnego Śląska. Wielokrotnie zdarzało mi się, że właśnie dzięki skojarzeniu z „Wielką Grą” przełamywałem pierwsze lody. Mieszkańcy przestawali traktować mnie jak włóczącego się po okolicy podejrzanego intruza. Był moment zastanowienia (skąd ja go znam?), a potem stawałem się ich dobrym znajomym. Bardzo chętnie mi pomagali i dostarczali wielu pożytecznych informacji.

Ale największej satysfakcji przysporzyła mi praca dla „Wielkiej Gry”, gdy usłyszałem kilka razy o ludziach, którzy po obejrzeniu teleturnieju i wcale nie myśląc o udziale w nim, zaczęli kupować książki przyrodnicze. Postanowili trwalej związać swój los z dziedzinami biologicznymi. I tak oto zatoczyło się koło historii. Rośnie nowe pokolenie młodych przyrodników, a ja spłaciłem wobec popularyzatorów nauki swój dług...

Krzysztof Dmowski

Niedługo po rozpoczęciu pracy musiałam zrezygnować z moich ukochanych gryzoni, ponieważ okazało się, że jest potrzeba, żeby ktoś się zajął jakąś inną grupą zwierząt w dużym projekcie badawczym w Instytucie Ekologii. Wybrałam sobie ślimaki, bo wydawało mi się, że są najbardziej podobne do myszy – mają też takie dwa sterzące wyrostki przypominające uszy mysie. A ponieważ tutaj nie było wielu specjalistów od ślimaków, wyjechałam na praktykę do Wrocławia. Uczylałam się przede wszystkim systematyki, oznaczania ślimaków, co jest bardzo kłopotliwe, bo gatunki rozróżnia się – za przeproszeniem – po penisach, więc te sekcje ślimaków były dla mnie dosyć karkołomne.

Terenem badań do doktoratu była Puszcza Kampinoska. Te badania, które miło wspominam, odbywały się na Łąkach Strzeleckich. W owych latach nikt nie przejmował się niebezpieczeństwami. Chodziłam więc sobie spokojnie na badania do środka Puszczy Kampinoskiej, na dzikie bagniska, gdzie nie było żywego ducha. Jak trzeba było po wiosennych roztopach przejść, to chodziłam na bosaka, bo woda przelewała się przez kalosze, a koło mnie płynęły żmije. Przychodziłam z ilomaś kleszczami w nodze i jakoś nikt tych leśnych zagrożeń nie traktował tak serio jak teraz.

Anna Kalinowska

Zaczęłam pracę jako asystent-stażysta u pana prof. Teleżyńskiego, ale on zaraz poszedł na emeryturę. Zakład podzielono między księdza prof. Szulecę i pana prof. Poskutę. Ponieważ robiłam pracę magisterską u pani prof. Marii Charzyńskiej, a ona przeszła do zakładu prof. Poskuty, to wzięła mnie ze sobą.

Agnieszka Mostowska

Kilkanaście pierwszych lat pracy w Instytucie Botaniki UW poświęciłam zagadnieniom synantropizacji szaty roślinnej. Początkowo prowadziłam

badania w granicach Warszawy. Warszawa była pierwszym polskim miastem, w którym w badaniach florystycznych zastosowano metodę kartogramu. Metoda ta wymusza konsekwentny, usystematyzowany zbiór materiałów florystycznych, ale za to stwarza znacznie większe możliwości analizy danych. Łatwiej też było porównywać dane historyczne (z ostatnich 200 lat) i współczesne oraz obserwować pewne prawidłowości dynamiki rozmieszczenia gatunków roślin. Niektóre z taksonów okazały się indykatorami wyspy cieplnej. Udało się dowieść, że skład gatunkowy odzwierciedla specyfikę wybranych siedlisk antropogenicznych. Podsumowaniem tych badań była moja praca doktorska: *Flora miasta Warszawy i jej przemiany w ciągu XIX i XX wieku* (1987).

Kolejnym etapem badań było porównanie flory wybranych miast środkowej Europy i praca habilitacyjna: *Czasowe i przestrzenne aspekty procesu synantropizacji flory na przykładzie miast Europy Środkowej* (1998), a także rozdział o Warszawie w książce Kelceya i Müllera (2011) *Plants and habitats of European cities*, a później książka *Rośliny synantropijne*, w której starałam się „upakować” całą moją wiedzę na temat tej jakże ciekawej grupy roślin.

Chciałabym jeszcze wspomnieć o miejscu, które przez bardzo wiele lat było związane z naszym Zakładem – to stacja terenowa w Sajzach, niezapomniane miejsce. Ogromnie boleję, że tracimy tę bazę. Wiem, że są jakieś wyższe względy, ale to było miejsce szczególne. Powstało tam bardzo wiele prac magisterskich, głównie dzięki temu, że teren jest w dużym stopniu zróżnicowany, z cennymi enklawami naturalnej flory i roślinności. Tu także odbywały się zajęcia, między innymi z takich przedmiotów, jak „Biologia i ekologia roślin wodnych”, „Fauna i flora” i częściowo „Krajobrazy roślinne północnej Polski”. Jest nadzieja, że zmodernizowana baza w Urwińcu nie zostanie zlikwidowana... zrekompensuje...

Na moje zainteresowania na pewno wpłynęły dwa wyjazdy do Uzbekistanu w połowie studiów i na początku pracy zawodowej. Dla przyszłego geografa roślin takie wyjazdy i spotkania z lokalnymi przyrodnikami są niezwykle ważne. Zauważa się prawidłowości, zależności, a to, co znane jest z opisów, staje się jasne, oczywiste. Wymiana studentów i pracowników między uniwersytetami w Warszawie i Taszkencie trwała wiele lat, z ogromną korzyścią dla obu stron.

Szczególną rolę w moim życiu zawodowym odegrali naukowcy z Niemiec Zachodnich i Holandii. W czasach, gdy dostęp do literatury był utrudniony, ogromne znaczenie miały osobiste kontakty. Kiedy zajmowałam się synantropizacją szaty roślinnej, ten kierunek w Niemczech był bardzo intensywnie rozwijany, między innymi przez profesorów Sukoppa, Brandesa, Kowarika, stąd też ich długoletnia życzliwość, możliwości wymiany myśli i publikacji były dla mnie niezwykle cenne.

Wysoko oceniam trwającą od blisko 30 lat przyjaźń z Holendrami z Instytutu w Wageningen, są wśród nich Pieter Slim i Han van Dobben. Dzięki nim bliska stała mi się problematyka solnisk i ekspansji halofitów,

a zgromadzone wówczas materiały wielokrotnie wykorzystywałam na wykładach i ćwiczeniach.

Natomiast przed szesnastoma laty rozpoczęła się moja współpraca z naukowcami z Uniwersytetu w Chersoniu i fantastyczna przygoda na ukraińskich stepach. Miałam możliwość poznania całej różnorodności eurazjatyckich stepów, nie tylko na Ukrainie, ale także w południowej Rosji, w Mongolii, Chinach, Kazachstanie. Na Ukrainie miałam okazję pracować we wszystkich trzech strefach stepu i w strefie lasostepu. Dla fitogeografa są to ogromnie interesujące zagadnienia i osobiście uważam, że wygrałam los na loterii! Efektem wielu lat współpracy jest książka *Kurhany na Dzikich Polach – dziedzictwo kultury i ostoja ukraińskich stepów*. Wyjazdów na Ukrainę było ponad 20, trwały zaledwie po 10–14 dni, a odległości są tam znaczne, więc praca musiała być intensywna i bardzo dobrze zorganizowana. Nie byłoby to możliwe bez zaangażowania ukraińskich botaników – wiele im zawdzięczam. Praca w terenie nie była łatwa: na otwartej przestrzeni, w obezwładniającym upale, a warunki bytowe czasem (zwłaszcza w początkowym okresie) – mówiąc delikatnie – skrajnie trudne.

Wieloletnia współpraca była efektem przypadku. Po konferencji na Ukrainie pojechalśmy w teren i wtedy wśród „morza pól” zauważyliśmy niewielkie wzgórki. Chcieliśmy sprawdzić, co tam rośnie – ze zdumieniem odkryliśmy „oazę” gatunków stepowych! Okazało się, że wzgórki to były kurhany, a takich kurhanów na Ukrainie jest około 100 tysięcy! Różny jest ich stan zachowania – przez wiele lat walczone z nimi, niwelowano, zwłaszcza te niższe, ale wyższe przetrwały i to są prawdziwe *hot spots* flory stepowej. Zadaliśmy sobie pytanie: czy w poszczególnych strefach klimatyczno-roślinnych, w obrębie stepów, we florze kurhanów znajdują odzwierciedlenie prawidłowości typowe dla poszczególnych stref? W jakim stopniu na tych izolowanych powierzchniach zachowała się naturalna flora? Jaką rolę mogą odegrać kurhany w restytucji stepów? Na te i inne pytania próbowaliśmy odpowiedzieć, uzyskując kolejne granty. Badania kontynuujemy, a doktorantka, pani Iwona Dembicz, podjęła temat roli kurhanów w pofragmentowanym krajobrazie i poszerzyła go o badania trwałości i zmienności populacji roślin stepowych w tych ostojach pontyjskiego stepu trawiastego.

Nasi współpracownicy z Uniwersytetu w Chersoniu nie prowadzili, co prawda, badań w Polsce, ale przyjeżdżali do nas i uczestniczyli w niektórych naszych zajęciach terenowych, co okazało się dla nich bardzo interesujące.

Przed kilku laty badania na Ukrainie podjęli Szwedzi, a my ostatnio, w ramach grantu szwedzkiego, mogliśmy wyjechać na Ukrainę, gdzie prowadziliśmy badania na grodziskach w dolinie dolnego Dniepru.

Barbara Sudnik-Wójcikowska

Gdy się sprowadziło od Hoefera taki naprawdę wyszukany aparat do elektroforezy, to była niesłychana frajda. Pamiętam, jak prof. Jerzmanowski, wtedy jeszcze doktor, odbierał go na cle i celnik pytał go, do czego to służy. Jerzmanowski mu opowiada: ruch w polu elektrycznym, białka, te rzeczy, a tamten nic, tylko: „A do czego to służy? A co na tym można robić?”. W końcu Jerzmanowskiego oświeciło i powiedział: „To się nie nadaje do powielania żadnych druków”. „Ach, tak – odpowiedział celnik – to przepuszczam”.

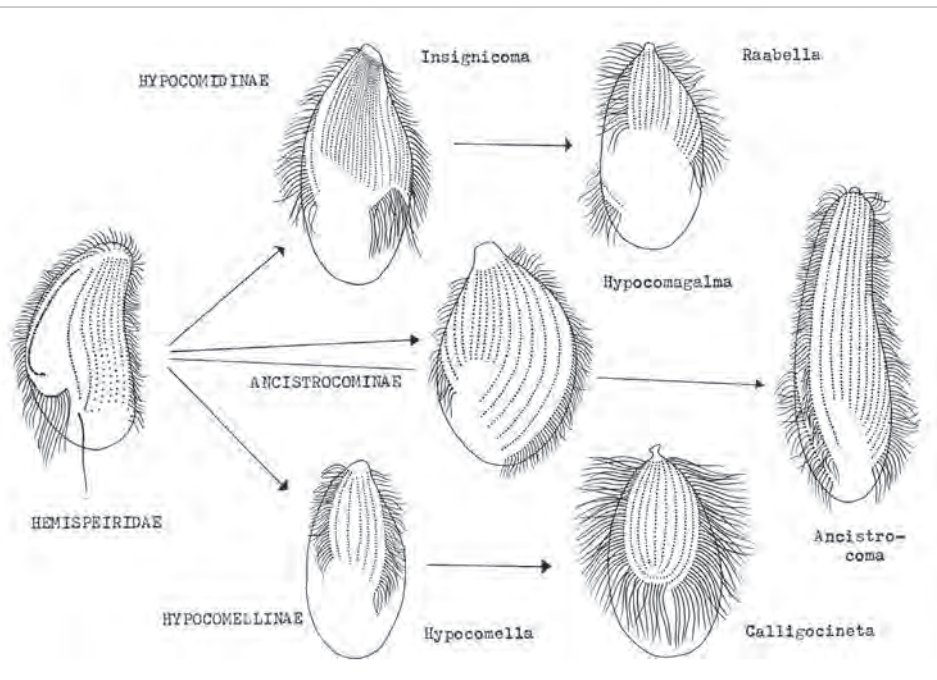
Sporo używanych przez nas odczynników było produkcji polskiej i z nimi czasem bywały kłopoty. Pamiętam, że Jerzmanowski ze Staroniem mieli w pewnym sensie katastrofę, bo przez kilka lat prowadzili bardzo wyszukane doświadczenia i nie uzyskiwali takich wyników, jakich się spodziewali. Potem się okazało, że polski odczynnik był na tyle zapaprany jakimiś jonami, których oni właśnie chcieli unikać, że wszystkie te wyniki były do wyrzucenia. Ale to dziś też się zdarza z odczynnikami z najlepszych firm.

Jan Fronk

Życie zawodowe mieszało się wówczas z towarzyskim. Wszyscy, i pracownicy, i studenci mojego Zakładu, bardzo dużo pracowali. Na Nowym Świecie 67 zawsze do późna paliły się światła. Nie ukrywam, że w trakcie zajęć zdarzały się towarzyskie przerywniki, ale też po pracy długie godziny poświęcaliśmy sprawom zawodowym lub choćby rozmowom o nich. To na pewno też było wynikiem specyfiki naszej pracy, częstych wyjazdów w teren. W Mikołajkach wielu z nas spędzało lato, a krótsze wyjazdy w teren zdarzały się w ciągu całego roku. Prowadziliśmy wspólnie badania, pomagaliśmy sobie na najrozmaitsze sposoby, razem jadaliliśmy, dzieliliśmy te same niewygody w stacji PAN w Mikołajkach. Od dawna tak już nie jest, i wielu naszych młodszych kolegów odpracowuje urzędowe godziny pracy, większość czasu spędzając poza zakładem. Od lat Zakłady nie są już tymi miejscami, w których skupia się życie intelektualne i towarzyskie Wydziału, w których chce się i warto spędzać czas.

Joanna Pijanowska





W ZESPOLE

s. 176: Maryna Sołtyńska (ob. Szöllősi), szkice do ilustracji książki
Zdzisława Raabego, *Zarys protozoologii*, PWN, Warszawa 1964

W naszym Zespole poza kierownikiem – prof. Kraczkiewiczem, były trzy osoby: pani Zofia Górską, Irena Geyer-Duszyńska i ja. Po odejściu prof. Kraczkiewicza na emeryturę w '71 roku zostałem mianowany kierownikiem Zakładu. Na miejsce Ireny Geyer-Duszyńskiej, która została za granicą, przyszła Bożena Zagrodińska.

Bohdan Matuszewski

Badania nad spoczynkiem nasion jabłoni odmiany Antonówka prowadziłem w dwóch etapach, określając dynamikę wzrostu korzenia zarodka oraz obserwując charakter wzrostu siewek, otrzymanych ze stratyfikowanych i niestratyfikowanych nasion. Hodowla prowadzona była na pożywce wodnej i oświetlana żarówkami rtęciowymi. Swoim współpracownikom poleciłem kilkakrotne powtórzenie badań. Wykonane doświadczenia nie potwierdziły istnienia głębokiego spoczynku zarodków nasion. Szeroko zakrojone badania prof. Lewaka i jego zespołu dotyczyły przemian metabolicznych w zarodkach podczas trwającej trzy miesiące stratyfikacji. Toczyący się spór, bo nie dyskusja naukowa, został zakończony pismem dziekana Wydziału Biologii prof. Dobrowolskiego. Cytuję: „W przekonaniu Kolegium Dziekańskiego, a także moim, sprawa dotyczy różnic interpretacyjnych wyników badań naukowych. Siłą Uniwersytetu jest grupowanie ludzi o różnych poglądach, a dyskusje między nimi są motorem postępu nauki”.

Przez długi czas nie zdawałem sobie sprawy, że krążą o mnie bardzo złe opinie. Pierwszy taki sygnał usłyszałem w rozmowie z prof. Kraczkiewiczem. Spotkawszy mnie, powiedział: „Panie Jurku, chciałem pana przeprosić”. „A dlaczego chce mnie pan profesor przeproszać?” – spytałem. „A bo widzi pan, przez pewien czas myślałem, że jest pan pracownikiem UB”. – „A skąd pan wie, że nim nie jestem?”. Usłyszałem odpowiedź: „Razem z żoną znaleźliśmy pana dokumenty. Świadczą one, że jest pan byłym żołnierzem AK, biorącym udział w Powstaniu Warszawskim”. Ja na to: „Panie profesorze, rzeczywiście nie jestem pracownikiem UB, ale sądzę, że nawet wśród żołnierzy AK mogą się znaleźć ci, którzy należą do UB”.

Jerzy Czerski

W 1957 roku powstał Zakład Genetyki UW i dostał prawie całe piętro w Obserwatorium Astronomicznym przy Alejach Ujazdowskich. Zakład Genetyki UW nie miał w ogóle żadnej kadry. Profesor Gajewski był

kierownikiem, a Alina Doroszevska jedyną asystentką. Wtedy prof. Gajewski ściągnął z SGGW osoby pracujące w PAN – w sumie pięć osób.

Profesor wykładał genetykę. Jego wykłady były bardzo popularne. Zorganizowaliśmy hodowlę *Drosophila* jako obiekt ćwiczeń dla studentów. Profesor wprowadził zasadę, że wszyscy, niezależnie czy są na etacie PAN-owskim, czy uniwersyteckim, mają te same obowiązki. Jako pracownicy PAN-owscy prowadziliśmy więc zajęcia ze studentami UW. W każdy czwartek po południu odbywały się obowiązkowe seminaria, a ponieważ to było po '56 roku, genetyka zaczynała być modna, więc przychodzili na nie lekarze, rolnicy, leśnicy i hodowcy roślin i zwierząt.

Zakład Genetyki w ogóle był świetny. Byliśmy zaprzyjaźnieni, zżyci. Jak się robiło pożywkę dla *Drosophila*, to nasza pani intendentka z reszty jabłek piekła pyszne szarlotki.

Zawsze o jedenastej było wspólne śniadanie dla wszystkich pracowników. Omawiało się wtedy sprawy organizacyjne, naukowe, polityczne, no i prywatne. Jak był jakiś gość z zagranicy, to się serwowało szarlotkę i dlatego Zakład Genetyki kojarzył się wielu osobom właśnie z szarlotką.

Zofia Świetlińska

Po odejściu prof. Hryniewieckiego na emeryturę, ale i wcześniej, Zakładem Systematyki i Geografii Roślin zajmowały się panie profesor Skirgiełło i Grochowska, i potem, młodszy od nich, prof. Podbielkowski. Profesor Bujalska odeszła wcześniej. Pamiętam, że nie było wtedy żadnych podręczników i oni wspólnie wydali skrypt *Rośliny zarodnikowe*. To było pełne opracowanie, które miało pomagać nam, młodym pracownikom, i studentom w poznawaniu świata roślin zarodnikowych. Profesor Skirgiełło kapitalnie znała literaturę, naprawdę była pomocna i miała taki charakter, że jak coś wiedziała, to nie ukrywała swojej wiedzy, dzieliła się tym. I pewnie dlatego zjeżdżali do niej mykologodzy z całej Polski, bo każdemu w czymś pomogła. A poza tym świetnie znała te grzyby. Wówczas, kiedy współpracowałyśmy, w trakcie różnych zajęć i wycieczek, które organizowała, poznałam bardzo dużo grzybów. Jedliśmy ich wtedy o wiele więcej, niż dopuszcza atlas grzybów jadalnych. Poza tym bardzo dbała o publikacje mykologiczne. Bardzo się troszczyła, aby we „Florze Polski” ukazało się jak najwięcej tomów o grzybach. Czasem autorami były osoby bardzo mało doświadczone i gdyby nie pomoc prof. Skirgiełło, to niektóre tomy w ogóle by się nie ukazały. Ale nigdy do żadnej pracy się nie dopisała, a ta praktyka wcale rzadka nie była. Ona nigdy tego nie robiła, wprost przeciwnie, pomagała, nigdy nie przypisując sobie zasług.

Profesor Grochowska opracowała do „Flory Polski” część o wątrobowcach i zrobiła to bardzo dobrze. Wtedy w całej Polsce opracowywano

poszczególne działy roślin zarodnikowych, zarys algologii, zarys mykologii, zarys briologii, zarys lichenologii. Zarys lichenologii zrobił prof. Bystrek z Lublina, bardzo dobrze zresztą. Zarys algologii, dzieło prof. Kadłubowskiej, był bardzo obszerną książką. Natomiast prof. Skirgiełło przetłumaczyła książkę Müllera i Loefflera [Müller E., Loeffler W., 1982, *Mykologie*, Georg Thieme Verlag, Stuttgart – przyp. red.] i tak powstał *Zarys mikologii*. Przygotowanie pierwszego podręcznika o mszakach, *Zarysu briologii*, prof. Grochowska powierzyła swoim asystantkom – Jadwidze Mickiewiczowej oraz Dygnie Sobotce.

Tak naprawdę, nikt u nas w Zakładzie nie zajmował się paprotnikami. Pamiętam tylko, że pani Wanda Karpowicz pisała doktorat o paprociach, o gametofitach paproci. Potem wydała książkę o paprociach polskich, choć obejmującą tylko paprocie cienkozarodniowe. Ona znakomicie rysowała i tam są piękne, bardzo dobre, dokładne ilustracje. Poza tym zrobiła bardzo ładny film o paproci. Była u nas kiedyś tradycja nagrywania filmów edukacyjnych. Świetny film zrobiła też prof. Grochowska o mchach. To była cała przemiana pokoleń, przejrzystość pokazana. Żałuję, że nie emitują już tych filmów w telewizji, bo to są udane filmy edukacyjne. Przemiana pokoleń u roślin nie jest dla uczniów i studentów rzeczą prostą, a te filmy doskonale to tłumaczą.

Janina Zielińska

Powstawał Instytut Biochemii i Chmielewska utworzyła tam trzy zakłady, a wśród nich Zakład Biochemii Roślin z doc. Kasprzykówną jako dowódcą. Chmielewska powiedziała mi po habilitacji: „Panie Stachu, ja pana nie wyrzucam, może pan pracować, jak długo chce, ale własnej pracowni pan nie będzie miał”. Chmielewska po jakimś czasie znalazła dla mnie pracę szefa Biochemii na Uniwersytecie w Toruniu. Ale w tym samym czasie zadzwonił do mnie szef Zakładu Fizjologii Roślin prof. Piotr Strebeyko i powiedział, że brakuje mu biochemika. Z różnych względów zdecydowałem się zostać na Uniwersytecie Warszawskim. Przyjmując mnie, prof. Strebeyko powiedział: „Niech pan robi, co pan chce”.

Z biologami miałem do czynienia jeszcze jako chemik, bo przecież była chemia dla biologów i na Pasteura prowadziłem różne pracownie. Pracując z biologami, mieliśmy dużo więcej kłopotów niż z chemikami. Po prostu inne przeszkolenie, inne podejście do roboty.

A ze studentami biologii zetknąłem się jeszcze wcześniej – jako student podczas odgruzowywania, między innymi Szkoły Głównej. Myśmy chodzili na ochotnika na takie właśnie roboty.

Stanisław Lewak

W lipcu 1955 roku wróciłem na Uniwersytet jako pełniący obowiązki asystenta, bo byłem „trzyletnim” biologiem, bez magisterium. Jesienią podjąłem studia magisterskie. Zakład Zoologii był bardzo liczny. Stosunki panowały w nim domowo-koleżeńskie.

Byli wśród nas koledzy z niesłychanym zamiłowaniem do broni palnej. W Zakładzie mieliśmy dwie dubeltówki i dwa KBKS-y. I myśmy w tym komunistycznym świecie, wprowadzie już nie stalinowskim, bo po '56 roku, gołębie potrzebne na ćwiczenia z zoologii po prostu strzelali na dziedzińcu Uniwersytetu. Doskonale się strzelało na gmachu Biblioteki, bo tam były bardzo wysoko gzymsy i na tych gzymsach gołębie siedziały całymi szeregami, a wystrzał z KBKS-u nie był wiele głośniejszy od mocnego kłaśnięcia w dłonie.

W Zakładzie Embriologii Teresa Rogulska prowadziła prace „Porównanie kostnienia embrionów ptasich u gniazdowników i zagniazdowników”. Zagniazdowniki nie czynią problemu, bo to są na przykład kury. Ale skąd tu wziąć zależne jaja gniazdowników? Na Bielanach była wielka kolonia gawronów. Ponieważ byłem taternikiem, więc chodziliśmy tam z Teresą i innymi kolegami dla asysty. Wspinałem się na drzewa z całą taternicką asekuracją i jajka gawronów w odpowiednim koszyczku, na wacie, na cienkim sznurku spuszczałem na ziemię. A z jaj niezależonych smażyliśmy w Zakładzie jajecnicę. Ale była mniej smaczna od kurzej.

Kiedy były imieniny kogokolwiek z nas, to cały Zakład – jakieś 30 osób – bawił się na imieninach. Od tego zabawowego towarzystwa wyraźnie odróżniał się Tarkowski. Gdy się do niego przychodziło, odrywał się od roboty i bardzo intensywnie patrzył na gościa takim wyczekującym wzrokiem: „Jaką masz ważną sprawę do mnie?”. Każdy gość, który przyszedł po prostu pogadać, wkrótce się zmywał.

Tarkowski wtedy rozpoczynał badania, które miały się okazać epokowymi, ale zaczynał w warunkach niewyobrażalnie prymitywnych. Myszy operował na zrobionym przez siebie stole operacyjnym – kwadratowej deseczce. Były w niej cztery otwory. Zakładał myszy na łapy pętelki ze sznurka. Końce tych sznurków przytrzymywał w odpowiednim napięciu, umieszczając je w tych otworach i blokując wetkniętymi w otwory korkami. Narkozę podawał watką trzymaną w palcach. To były jego pierwsze operacje myszy i pierwsze pobieranie jaj.

Tomasz Umiński

Moja szerzej zakrojona współpraca z ośrodkami zagranicznymi przypada na początek lat 70. Był to udział w dwóch programach międzynarodowych

– Międzynarodowym Programie Biologicznym (IBP) i programie Człowiek i Biosfera (UNESCO – MAB). W realizacji tych programów brało udział wiele ośrodków naukowych prowadzących badania ekosystemów wodnych i lądowych. Wspólnie przygotowywano wydawnictwa monograficzne, ustalano metodykę badań. Organizowano wiele konferencji, odbywających się również w Polsce. Był to okres bardziej zorganizowanej współpracy. Później przeważały indywidualne kontakty, wyjazdy na wykłady i konferencje. Trzeba pamiętać, że w pierwszych latach mojej pracy możliwości wyjazdów i zapraszania zagranicznych gości były mocno ograniczone.

Zakład Hydrobiologii nie był dużym zakładem. Pamiętam bardzo dobrze wszystkich pracowników i doktorantów, także tych, którzy tylko przez krótki okres pracowali w Zakładzie. Pamiętam osoby, które już nie żyją, i bardzo serdecznie je wspominam – Krysię Prejs, Andrzeja Kowalczewskiego, Irminę Głowacką, Igora Rybaka. Zakład Hydrobiologii prowadził głównie badania terenowe. Kontakty w pracach terenowych zawsze są bardziej ścisłe – nie ma podziału na czas pracy i po pracy. Razem się wyjeżdża, mieszka, je posiłki. Jest się razem.

Spośród pracowników Zakładu Hydrobiologii pod moją opieką prace doktorskie wykonali Andrzej Kołodziejczyk, Teresa Ozimek oraz Krysią Prejs i Andrzej Kowalczewski. Inne wypromowane przeze mnie osoby nie były zatrudnione w Zakładzie. Po studiach doktoranckich przechodziły do innych instytucji.

Bardzo dobrze wspominam Instytut Zoologii, szczególnie okres, gdy jego siedzibą była Szkoła Główna. Były wtedy silne i pozytywne więzi między zakładami i osobami. Życie towarzyskie skupiało się wokół Biblioteki Instytutu. Osobami, które organizowały spotkania z okazji różnych świąt i uroczystości, były: Hanna Delimat – kierowniczką biblioteki, Wanda Riedel – główną organizatorką dydaktyki w Instytucie Zoologii, potem jego wieloletnia wicedyrektor ds. dydaktycznych, a także nieoceniona Krystyna Kowalska, która była sekretarką Instytutu Zoologii. Były wtedy niezwykle miłe i życzliwe kontakty międzyludzkie. Wiele osób wspomina jako dość bolesny moment opuszczenia Szkoły Głównej. Wprawdzie wiązało się to z powstaniem nowego budynku i poprawą warunków pracy, ale sentyment do Szkoły Głównej pozostał. Ludzie mówili, że spacerując po dziedzińcu uniwersyteckim, widząc Szkołę Główną, odczuwali szczery żal za tamtymi czasami.

Z mojego roku na uczelni zostało sporo osób. Pracownikami etatowymi Wydziału byli: Ala Kacperska, Jadzia Mickiewicz, Maryla Podbielkowska i już nieżyjący: Hanka Dobrowolska, Jurek Nowicki, Igor Rybak. Wielu moich przyjaciół to koledzy z roku, z którymi do tej pory utrzymuję kontakt. Bardzo bliskie relacje miałam z Igorem Rybakiem, nasze rodziny się przyjaźniły. Z Nelą Karolak (potem Praszkiwicz) chodziłyśmy do klasy maturalnej i razem zdawałyśmy na studia. Przez lata utrzymywałyśmy bliski kontakt.

Kolega z roku został moim mężem. Po studiach pracował w Instytucie Ekologii PAN. W ramach współpracy naszych placówek prowadziliśmy razem badania terenowe. Nasze życie rodzinne było zawsze ściśle związane z życiem zawodowym i towarzyskim.

Ewa Pieczyńska

Wiele lat pracowałam na Uniwersytecie, nic więc dziwnego, że moi współpracownicy się zmieniali. Ale wszystkich pamiętam bardzo dobrze. To były głównie panie i wszystkie wyjątkowe: Eliza Lewandowska, Joasia Leśniewska, Małgosia Banaś-Stępka, Agnieszka Mostowska, Joanna Maleszka, Maria Wałęza, Beata Bieniak, Iwona Pannenko. Wspólną ich cechą była duża wiedza, chęć jej poszerzania, umiejętność uczestniczenia w życiu naukowym naszej dyscypliny w kraju i poza granicami. Na zjazdach, poprzez stypendia i granty naukowe. Bez kompleksów, „bo jesteśmy z Polski”. I co więcej, wszystkie panie były i są bardzo ładne.

Atmosfera w pracy, podobnie jak w czasie studiów, była zawsze dobra. Byliśmy sobie życzliwi, nie było zawiści. Dotychczas pamiętam rodzinne kolacje u mojej przyjaciółki Danusi Rybackiej, która traktowała mnie jak siostrę i nie pozwoliła umrzeć z głodu.

Bardzo dobre relacje miałam ze studentami. Szczególnie miło wspominałam studiujących na UW studentów z Wietnamu. Pojawili się u nas zaledwie po miesięcznym kursie języka polskiego w Łodzi. Na szczęście mówili biegle po francusku i miałam okazję odświeżyć znajomość tego języka, który dzięki Mamie poznałam już w dzieciństwie. Po wyjeździe pisali do mnie przez wiele lat listy, kartki z życzeniami, ale prosili, żeby do nich nie pisać i nie przysyłać paczek (co chciałam robić), bo „służby” to zarekwirują, a oni będą mieli poważne przykrości.

Maria Charzyńska

Zakład Fizjologii Porównawczej Zwierząt, w którym przebiegło całe moje ponadpięćdziesięcioletnie życie zawodowe, tworzyły początkowo trzy osoby: prof. Marian Rybicki, mgr Natalia Dorożyńska i laborantka Irena Poniatowska. Natalia Dorożyńska prawie ukończyła studia przed wojną, a podczas okupacji pracowała między innymi jako karmicielka wszy w pracowni zajmującej się produkcją szczepionki przeciw tyfusowi w Zakładzie Higieny. Związana z PPS, uczestniczyła w tajnym nauczaniu, a w powstaniu była kurierką kanałowych szlaków, kursując między Śródmieściem a Starym Miastem. Na niej spoczywał ciężar prowadzenia ćwiczeń z fizjologii zwierząt dla przyszłych zoologów i botaników.

Pani Irena przygotowywała ćwiczenia i robiła nam tysiącami odbitki na papierze fotograficznym. Nie było kserografu i wszystko się fotografowało. Mieliśmy specjalny aparat, który służył wyłącznie do fotografowania publikacji, strona po stronie. Nie było to jedyne zajęcie pani Ireny. Bardzo samodzielna, szła na miasto i kupowała nam dla Zakładu wszystko to, co uznawała za potrzebne. Nigdy się nie myliła, była bardzo skrupulatna. Wydawała swoje pieniądze, a myśmy jej potem z kasy Zakładu zwracali. Zawsze twierdziłem, że Zakład stoi laborantem. Bo jak profesor pójdzie na urlop, to Zakład funkcjonuje, bo wszyscy znają swe obowiązki. A jak laborant pójdzie na urlop, to nikt nie wie, gdzie co jest, nie wie, jak zrobić chemikalia itd.

Pracownikiem Instytutu był magistrant, a potem doktorant prof. Raabego – Jerzy Nowicki, bardzo rozsądny, odczytany człowiek, o szerokich zainteresowaniach. Ku naszemu zdumieniu wstąpił do partii po Marcu '68, gdyż naprawdę uwierzył, że można „po linii” partyjnej coś dobrego zrobić. Jurek wraz z Tomaszem Umińskim zajmowali wspólny pokój, z dużą antresolą, a ich biurka stały zestawione naprzeciw siebie. Miarą przyzwoitości Jurka, sekretarza partii na Wydziale w czasach „Solidarności”, było, że dyskretnie wychodził z pokoju, ilekroć do Umińskiego, który prowadził bibliotekę „Solidarności”, umieszczoną na owej antresoli, przyszedł ktoś, by wypożyczyć książki. A gdy Tomasz usiłowano zwolnić, stanął w jego obronie. Niestety, Jerzy zmarł przedwcześnie. My jako Wydział w ogóle mieliśmy szczęście do partii, bo jak już nic nie dawało się załatwić z idiotycznymi lokalnymi przepisami, to się szło do partyjniaków i mówiło: „Ludzie kochani, zróbcie coś z tym bigosem!”. I oni zawsze się starali to załatwić. Nie zawsze skutecznie, ale się starali.

Bibliotekę Instytutu prowadziła pani Hanna Delimat. Wcześniej tragicznie owdowiała, samotnie wychowała i wykształciła na lekarza syna, a sama zrobiła doktorat.

Sekretariat Instytutu w drugiej połowie lat 50. prowadziła pani Honorata (nazwiska nie pomnę). Urzędowała w pomieszczeniu biblioteki wraz z panią Delimat, której spłatała brzydkiego figla. Kupiła bowiem jakiś sprzęt na raty, mając Hanię za żyranta, a potem wydała się za męża i wyemigrowała do Anglii, pozostawiając żyrantkę z obowiązkiem spłaty kredytu.

Następnie sekretariat prowadził lat kilka Jerzy Nowicki, ale trudno mu było godzić obowiązki sekretarza z pracą asystenta. I wreszcie od listopada 1966 obowiązki te przejęła niezrównana pani Krystyna Kowalska, która trwa na tym posterunku, z wielkim pożytkiem dla Instytutu, do dziś. Niesłychanie sprawna, kompetentna, zawsze pogodna i bardzo dyskretna, zaskarbiła sobie uznanie wszystkich na Wydziale. Bardzo miłe wspominać 18 lat ścisłej z nią współpracy.

U profesora Matuszewskiego była osoba naprawdę utalentowana – Irena Geyer-Duszyńska, która wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych. Niestety, popełniła samobójstwo, bo nie mogła w pewnym momencie dostać tam pracy. Jej publikacje do tej pory są cytowane, bardzo ciekawe, bardzo ważne prace.

Na początku lat 90. powstał Zakład Cytofizjologii. W gruncie rzeczy to był wybieg, ponieważ myśmy przez to nie porzucili pierwotniaków. Zresztą nie mieliśmy możliwości technicznych i finansowych, żeby rozwinąć tu inną dziedzinę.

Andrzej Kaczanowski

W latach 70. nasz Zakład przeniósł się na Karową. Na drugim piętrze była Wirusologia, na trzecim i czwartym Mikrobiologia Środowisk, której sześcował prof. Matusiak, bardzo sympatyczny człowiek, lwowiak z lwowskim poczuciem humoru. Z prof. Kunickim czasami się ścierali, bo mieli trochę różne te poczucia humoru.

Profesor Matusiak od razu nam powiedział, że na niektórych rzeczach w ogóle się nie zna, na przykład na osadzie czynnym. W związku z tym na razie będziemy musieli sprawdzać to, co będzie do niego wpływało na ten temat, bo on się będzie dopiero tego uczył.

Profesor Mycielski miał fantastyczne wykłady, pełne dygresji, ale bardzo ciekawe. Zawsze zajmował pierwsze miejsce w rocznych ocenach studentów. Palił bardzo dużo papierosów. Gdy egzaminował, w pokoju było szaro. Robiłam wtedy awantury. To znaczy, przy studentce mówiłam: „Skończysz pytać, wychodzisz i natychmiast otwieramy okna”. Mogłam sobie pozwolić na takie wystąpienia. W każdej chwili mogłam wejść do jego gabinetu. Wszyscy lubiliśmy się. Utrzymywaliśmy też kontakt poza uczelnią, spotykaliśmy się od czasu do czasu także u niego w domu.

Świętowaliśmy również doktoraty i inne niecodzienne zdarzenia, niekiedy do późnych godzin wieczornych. Zawsze było dużo śmiechu i różnych bardziej lub mniej prawdopodobnych opowieści. Wspaniałymi gawędziarzami byli prof. Matusiak i Romek Mycielski.

Czasami w Instytucie było zabawnie. Na przykład prof. Kwiatkowski z dr. Tabaczyńskim dzwonili po kolei do wszystkich osób znalezionych w książce telefonicznej o nazwisku Mickiewicz, pytając, czy są potomkami TEGO Mickiewicza. Albo jak rozebrali telefon na kawałki, twierdząc, że są na tyle zdolni, że go rozbiorą i złożą. Niestety, nie dali rady.

W latach 70. finansowo było tragicznie. Jeśli ktoś miał dzieci, w ogóle nie wiązał końca z końcem. Miałam wtedy jedno dziecko, więc Stefan

[Makowski – przyp. red.], który nie miał jeszcze żony i dzieci, brał pożyczki na Uniwersytecie, oddawał pieniądze mnie, a ja mu je spłacałam. Profesor Kunicki, który wiedział doskonale, jak to wygląda, przed każdym pierwszym zaczął mnie na schodach na Nowym Świecie i pytał: „Słuchaj, masz jeszcze pieniądze do pierwszego?”. „No, jakieś mam”. Wyciągał wtedy portfel, mówiąc: „Oddasz mi po pierwszym”. To było fantastyczne. Profesor o nas dbał. Czasem na kogoś huknął, ale tak w ogóle, to bardzo dbał. Wiedział, kto ile ma dzieci, jak te dzieci mają na imię, czy są chore, czy zdrowe. Poza tym miał poczucie humoru. Zostawiłam kiedyś kartkę koleżance, na której napisałam: „Jeżeli Ci się trafi pan profesor, poproś, żeby podpisał dzienniki praktyk. Będę teraz pracowała na drugą zmianę, bo Jarek (czyli syn) jest chory, a w sobotę będę później”. Przychodzę, na moim stole leży ta kartka i dużymi literami napisane: „Trafił się K. G.” [Kunicki-Goldfinger – przyp. red.].

Profesor uczył nas młodych poważnego podejścia do zadań naukowych i solidności w ich wykonaniu.

Ewa Bieszkiewicz

U profesora Gajewskiego pracowała pani Alina Doroszevska, która namówiła mnie, żebym się zgłosił do niego z prośbą o zatrudnienie. Profesor chętnie mnie przyjął – miałem bardzo dobre wyniki ze studiów, ale myślę, że mogło też trochę zadziałać to, że przyjaźnił się z moim ojcem. Dostałem etat, ale nie na Uniwersytecie, a w Zakładzie Genetyki Ogólnej PAN, małej jednostce badawczej powołanej specjalnie dla prof. Gajewskiego, może trochę jako rekompensata za to, co spotkało go w okresie stalinowskim.

Oba Zakłady, uniwersytecki i PAN-owski, mieściły się w gmachu Obserwatorium Astronomicznego UW w Alejach Ujazdowskich i w rzeczywistości tworzyły jeden organizm. Stanowiliśmy swoistą oazę, dosyć autonomiczne ciało, oddzielone od obu central, co na ogół wychodziło nam na dobre. Robiliśmy to samo, to znaczy, że pracowaliśmy naukowo i wszyscy prowadzili w równym wymiarze zajęcia dydaktyczne, niezależnie od tego, czy ktoś pobierał wynagrodzenie z Uniwersytetu, czy z PAN. Połączenie z zakładem Akademii było korzystne dla zakładu uczelnianego, bardzo wtedy biednego. Akademia też była biedna, ale jednak znacznie bogatsza niż Uniwersytet. Pieniądze, które Uniwersytet dawał na ćwiczenia, starczyły ledwie na agar, tak że większość ćwiczeń robiliśmy za pieniądze PAN.

W tym zespole prowadzono badania z zakresu cytogenetyki roślin – tradycyjnej tematyki prof. Gajewskiego, ale także rozwijaliśmy badania nad rekombinacją wewnątrzgenową – tematyką wtedy nową, gdyż geny uważano jeszcze za jednostki rekombinacji. Wykorzystywaliśmy w tych badaniach otrzymanego z Francji grzyba *Ascobolus immersus*, w którym łatwo było izolować, na dużą skalę, mutanty niezdolne do wytwarzania ciemnego barwnika

w askosporach. Bezbarwne askospory były łatwe do wyróżnienia za pomocą mikroskopu, oczywiście także te „dzikie”, ciemno zabarwione, powstające w wyniku rekombinacji.

Trzecią tematyką uprawianą w naszym zespole była genetyka biochemiczna oparta na analizie mutantów grzyba *Aspergillus nidulans* uszkodzonych w szlakach metabolizmu azotu i siarki. Chodziło o geny kodujące poszczególne enzymy, jak i geny regulujące ich ekspresję. Jeszcze w latach 60. i 70. grzyby były używane w tego typu badaniach jako modele organizmów eukariotycznych. Dobre posługiwanie się genetyką i stosunkowo prostą biochemią (oznaczanie enzymów w surowych ekstraktach komórkowych) pozwalało nam, podobnie jak w badaniach nad rekombinacją, konkurować z pracownikami zagranicznymi i publikować prace w dobrych czasopiśmie międzynarodowych, takich jak „Genetical Research” i „Molecular and General Genetics” czy „Journal of General Microbiology”.

Profesor dawał nam dużą swobodę w planowaniu i przeprowadzaniu eksperymentów, co nie oznaczało, że nie interesował się tym, co robimy. Było to bardzo dobre przygotowanie do samodzielnych badań. Gajewski cieszył się z naszych osiągnięć, miał świetne poczucie humoru. Zawsze mieliśmy wspólne śniadania. Myśmy tam rzeczywiście porządnie pracowali, ale jak chciałem się urwać na tydzień na narty, nie było problemu. Nie trzeba było pisać żadnych podań o urlop itd.

Wykłady profesora były absolutnie improwizowane. Przynosił na nie czasem numery „Nature” czy „Science” i referował zawarte w nich wiadomości. Na jego wykłady przychodziły często osoby z innych zakładów.

O ile pamiętam, prof. Gajewski nigdy się nie interesował specjalnie sprawami Wydziału i chyba nigdy nie dał się namówić na żadne funkcje administracyjne – bycie dziekanem czy prodziekanem. Chodził tylko na zebrania Rady Wydziału odbywające się na Krakowskim Przedmieściu i gdy były jakieś trudne sprawy, konsultował się przeważnie z prof. Władysławem Kunickim, którego Zakład mieścił się na Nowym Świecie, a więc tuż przy centrali Uniwersytetu. Stąd był on w sprawach uniwersyteckich dobrze zorientowany. Profesor Kunicki bywał też często na naszych seminariach zakładowych w Alejach Ujazdowskich. Prowadził także bardzo interesujące konwersatorium interdyscyplinarne, nawiązujące do najlepszych tradycji akademickich.

Warto wspomnieć, że obaj profesorowie byli zaliczani do politycznych dysydentów. Zwłaszcza prof. Kunicki angażował się często w sprawy dotyczące wolności akademickiej i ogólnie demokracji. W okresie stanu wojennego pośredniczyli oni w przekazywaniu pomocy materialnej dla prześladowanych, otrzymywanej od naszych zachodnich kolegów. Profesor Kunicki działał pod pseudonimem „Prokariont”, prof. Gajewski pod pseudonimem „Eukariont”.

W 1967 roku Zakład Genetyki PAN został włączony do Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN, którego dyrektorem został prof. Gajewski, a jego zastępcą prof. Kunicki. Spowodowało to oczywiście rozluźnienie kontaktów

z zakładem uniwersyteckim, które zostały ponownie zintensyfikowane, gdy oba zakłady znowu znalazły się razem w nowo wybudowanym gmachu IBB przy ul. Pawińskiego na Ochocie.

Andrzej Paszewski

Na Wydziale powstała Pracownia Mikroskopii Elektronowej, w której byliśmy: Moraczewski, Czubaj i ja. Ale w tym czasie zwrócili się do mnie koledzy z embriologii, a konkretnie dr Jolka Karasiewicz – jeszcze wtedy nie doktor – czy mogłabym popracować z nią w mikroskopii elektronowej na jajach mysich. Myślę sobie: *why not*. I z tego się zrobiła wieloletnia współpraca z embriologią, Tarkowskim i całym jego labem. Dzięki niej poznałam Dana Szöllösi, z którym współpracował lab Tarkowskiego, no i potem był mój wyjazd do Francji i małżeństwo z Danem. A z Jolką jesteśmy przyjaciółki najbliższe, z nią, z Anią Kalinowską i z Renatą Czołowską. W ogóle moi przyjaciele to w większości ludzie z Biologii. Mam ogromną listę bliskich przyjaciół, z którymi utrzymuję stały kontakt.

Maryna Szöllösi

W 1974 roku z Zakładu Fizjologii Zwierząt wyodrębnił się Zakład Fizjologii Bezkregowców. Zostałem jego kierownikiem. Ten Zakład bardzo dobrze funkcjonował. Miałem po prostu szczęście do dobrych ludzi. Taką osobą był choćby doktor (teraz habilitowany) Piotr Bębas, który dziś jest kierownikiem Zakładu Fizjologii Zwierząt. Ma duży zespół współpracowników oraz studentów i bardzo dobrze rozwijający się Zakład.

Na początku w zespole były między innymi pani Małgorzata Muszyńska, która zrobiła doktorat, pani Mieczysława Boguś, która też zrobiła bardzo dobry doktorat, pracuje teraz w PAN. Pamiętam ludzi, którzy jakoś bardziej się ze mną związali, robiąc doktoraty. Tematami ich prac doktorskich były głównie fizjologia porównawcza owadów i rytm biologiczny, czyli chronobiologia. Ja właściwie jestem teraz bardziej związany z tymi zagadnieniami z chronobiologii.

Bronisław Cymborowski

W latach 70. przejąłem kierownictwo Zakładu po prof. Gajewskim. Moimi najbliższymi współpracownikami byli, obecnie profesorowie, Ewa Bartnik, Piotr Stępień i Norman Pieniążek. W późniejszych latach Zakład rozrósł się,

przeniósł do większego lokalu w budynku Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN i przekształcił w Instytut Genetyki i Biotechnologii. Pobyt w MIT pozwolił mi na poznanie metod rozwijającej się w tych latach inżynierii genetycznej. Wprowadziłem je do Zakładu Genetyki, który był pierwszą w Polsce placówką zajmującą się tą nową dziedziną. Na staże przyjeżdżali do nas nie tylko genetycy z Polski, ale również z NRD i Związku Radzieckiego.

W Zakładzie powstała pierwsza praca o klonowaniu genów *Aspergillus*. Była to jedna z pierwszych na świecie prac, gdzie udało się wyodrębnić i namnożyć gen organizmu eukariotycznego. Autorami tej pracy, opublikowanej w roku 1974 w „Nature”, byliśmy ja i Ewa Bartnik, a jej tytuł brzmiał *Regulation of arginine catabolism in Aspergillus nidulans*.

We wczesnych latach pracowaliśmy nad otrzymaniem szczepów bakterii i drożdży z ludzkim genem kodującym insulinę. Skonstruowane szczepy trafiły do fabryki w Macierzyszu pod Warszawą i zostały wykorzystane do produkcji insuliny. W Zakładzie rozpoczęliśmy też produkcję enzymów restrykcyjnych, jednego z głównych narzędzi stosowanych w inżynierii genetycznej. Enzymy te służą do przecinania łańcuchów DNA w ściśle określonych miejscach. Otrzymane enzymy wysyłał do zaprzyjaźnionego właściciela firmy chemicznej w Szwajcarii, a on przysyłał nam niedostępne w Polsce odczynniki.

Piotr Węgleński

Gdy skończyłem studia (w 1963), etatu dla mnie w Uniwersytecie nie było. Pracę zaoferował mi wtedy prof. Józef Kochman z Katedry Fitopatologii SGGW, specjalista w zakresie grzybów pasożytujących na roślinach. Od dawna utrzymywałem z nim kontakty, odziedziczył katedrę po zmarłym w czasie wojny wybitnym mykologu Wincentym Siemaszce, z cenną biblioteką i zielnikiem. Tam spędziłem dwa lata: odbyłem staż asystencki i rozpocząłem studia doktoranckie.

Ale tymczasem doc. Skirgiełło dostała z Instytutu Botaniki PAN w Krakowie etat dla asystenta mykologa (prof. Szafer chciał mieć w Instytucie mykologa, ale w Krakowie nie było samodzielnego pracownika naukowego tej specjalności, który mógłby nim kierować). Tak więc doc. Skirgiełło dostała etat asystenta tu, w Warszawie, aby mogła sprawować bezpośrednią pieczę nad swoim pracownikiem. Zaproponowała go najpierw jednej czy drugiej ze swoich świeżych absolwentek, ale nie znalazła chętnych. Gdy zaproponowała go mnie, natychmiast się zgodziłem. Początkowo Kochman nie chciał mnie puścić, ale w końcu się zgodził (Skirgiełło osobiście pofatygowwała się do niego, a ja obiecałem dalszą z nim współpracę, z której się później wywiązywałem), i objąłem ten PAN-owski etat, przechodząc pod opiekę pani docent, wkrótce już profesor Skirgiełło.

W czasach, gdy zacząłem bywać w budynku Zakładu Systematyki w Alejach Ujazdowskich, sporo się w nim zmieniało. Około roku 1960 wydzielono z dużych narożnych pokoiów na parterze i na piętrze małe pokoiki: na dole dla mgr Mickiewiczowej, na górze dla mgr Zielińskiej (po latach pracowała tam dr Wrzosek). Pracownia dla magistrantów zajmowała z początku narożny pokój na parterze; gdy byłem na piątym roku – już wyremontowaną „szesnastkę”. Przypuszczam, że wcześniej mieściło się tam muzeum botaniczne urządzone przez prof. Hryniewieckiego w odbudowanej w 1948 roku nowej siedzibie Zakładu, w kątach stało jeszcze kilka oszkolonych, długich muzealnych gablot z okazami owoców itd., kilka podobnych pamiątek gdzieś w korytarzu, ale wszystkie niebawem znikły; profesor żył wprawdzie, ale wiadomo było, że już nigdy do Zakładu nie przyjdzie. W dwóch pokojach we wschodniej części parteru mieszkała jeszcze rodzina Zajmów (pracownicy Ogródu) z dwoma małymi synami. Po kilku latach wyprowadzili się i całą tę część parteru, po gruntownej przebudowie, zajął Zakład prof. Podbielkowskiego.

Na etacie PAN-owskim przepracowałem 25 lat (1965–1990), będąc jednocześnie rezydentem w Zakładzie Systematyki i Geografii Roślin UW w Alejach Ujazdowskich. Byłem rezydentem, ale żyłem życiem Zakładu, tu byli moi najbliżsi koledzy, tu włączałem się w razie potrzeby w dydaktykę i wszelką pomoc, szczególnie wymagającą męskiej ręki. Przez prawie cały ten czas miałem stół do pracy na pierwszym piętrze, w narożnym pokoju z widokiem na Ogród i Aleje. Razem ze mną pracowały tam dr Wanda Rudnicka i mgr (później dr) Alicja Borowska.

Pani Wanda Rudnicka (później Rudnicka-Jezińska), asystentka pani prof. Skirgiełło, doktorat zrobiła, badając grzyby na piaskach Puszczy Kampinoskiej. Była bardzo sympatyczną i ciepłą osobą, zawsze służyła pomocą, zresztą wiem, że udzielała się w różnych pracach społecznych poza uczelnią, mnie także nieraz pomagała w życiowych kłopotach, utrzymywałem z nią i jej mężem kontakty do jej śmierci. Alicja Borowska była moją rówieśniczką, razem ze mną zaczynała studia. Była trochę uciążliwa, bo dużo paliła. Miała zdolności organizacyjne i w tym zakresie wydatnie pomagała prof. Skirgiełło (wiem, że później, po moim odejściu była dyrektorem Instytutu Botaniki i kierownikiem Katedry). Specjalizowała się w grzybach niedoskonałych (*Deuteromycota*), słabo u nas poznanych.

Jeszcze w latach 60., przed doktoratem, zająłem się grzybami pasożytującymi głównie na owadach, którymi są workowce z rzędu *Laboulbeniales* (po polsku owadorosty). Dało mi to okazję do poznania drugiego, po Zdzisławie Raabe, wybitnego profesora zoologii naszego Uniwersytetu, Tadeusza Jaczewskiego. W czasie moich studiów wykładał już tylko dla starszych roczników specjalności zoologicznej, ale później miałem z nim kontakty, konsultując oznaczanie pluskwiaków z rodziny *Corixidae*, których był wybitnym znawcą, i prosząc o dostęp do jego zbiorów. Wiedziałem o wielkim wkładzie profesora w rozwój naszej entomologii. Prawdopodobnie głównie

jego uporowi, determinacji i pracy zawdzięczają swoje powstanie i trwanie pomnikowe, zbiorowe serie wydawnicze „Klucze do oznaczania owadów Polski” oraz „Katalog Fauny Polski”, a także ważna wówczas książka, którą nabyłem jeszcze jako student pierwszego roku, *Przewodnik dla posługujących się piśmiennictwem do oznaczania zwierząt krajowych*. Zresztą praca nad tymi grzybami była dla mnie okazją do częstych wizyt w pracowni koleopterologicznej na najwyższym piętrze budynku Instytutu Zoologii PAN przy ul. Wilczej i do bliższego poznania pracujących tam Macieja Mroczkowskiego i Bolesława Burakowskiego, którym nasza klasyczna entomologia systematyczna także niezwykle wiele zawdzięcza. Tam, w sali zastawionej gęsto szafami, mieściła się duża część zbiorów entomologicznych Instytutu, zanim jeszcze wprowadziła się do baraków w Łomnie.

Tomasz Majewski

Moja grupa nigdy nie była duża liczebnie. Był Leszek Kauc, który po zrobieniu doktoratu pojechał na stypendium do Stanów, a po powrocie zrezygnował z pracy i założył fundację związaną z transplantologią. Był pan dr Ryszard Brzeziński, który zrobił doktorat, pojechał na stypendium do Kanady, po roku wrócił i powiedział, że chciałby pojechać do Kanady na pięć lat. Nie zgodziłem się, bo nie mógłbym nikogo zatrudnić na jego miejsce. No to on wybrał Kanadę i tam został profesorem. Była też w mojej grupie pani dr Elżbieta Jabłońska, córka naszego Przewodniczącego Rady Państwa, która zrobiła doktorat, pojechała na stypendium do Stanów, wróciła i powiedziała, że rezygnuje z pracy. Potem wyjechała do Francji, była profesorem na Sorbonie w Paryżu. Była też Maryla Smorawińska, która zrobiła doktorat u prof. Kwiatkowskiego, a potem zaczęła pracować u mnie. Wyjechała najpierw na stypendium do Stanów, wróciła i po mniej więcej roku powiedziała, że chce pojechać na parę lat do Japonii. Była wreszcie pani dr Ela Skrzypek. Ona była bardzo dobrym pracownikiem, ciągnęła tu wszystko, jak mnie nie było. No, ale gdzieś w 1986 roku powiedziała, że zdecydowali z mężem wyjechać do Stanów – i są tam do dziś.

Badania, które prowadziłem, najpierw z dr. Robertem Yuanem, a następnie z dr. D. C. Steinem z Uniwersytetu Stanu Maryland w College Park, zaowocowały prawie trzydziestoletnią współpracą naukową, wieloma moimi wyjazdami i wieloma publikacjami naukowymi.

Andrzej Piekarowicz

Grono najbliższych pracowników Zakładu Hydrobiologii, w którym pojawiłem się jako magistrant w 1964 roku, stanowili niezmiennie przez kilka lat

prof. Ewa Pieczyńska, prof. Zbigniew Maciej Gliwicz, moja żona dr Krystyna Prejs, dr Andrzej Kowalczewski i dr Jan Igor Rybak.

Wraz z gronem hydrobiologów z ówczesnego Zakładu Ekologii PAN (kierowanym przez prof. Petruszewicza, będącego jednocześnie kuratorem naszego Zakładu) stanowiliśmy sprawną naukowo i dobraną towarzysko grupę badaczy. Atmosfera pracy była znakomita, sprzyjająca podejmowaniu trudnych zadań, wymagających współdziałania wielu osób.

Andrzej Prejs

Zespół prof. Lewaka, w którym pracowałam w Zakładzie Fizjologii Roślin, był świetny. Pomagaliśmy sobie nawzajem, dyskutowaliśmy, razem przeżyaliśmy wszystkie kłęski i sukcesy. Irka Sińska, Kasia Dziewanowska, Ania Halińska, Andrzej Podstolski, potem dołączyli: Kryśka Szkutnicka, Bożenka Maciejewska, Maja Ryc, Sławek Zagórski i inni. Kiedyś Andrzej Podstolski izolował pracowicie przez wiele godzin preparat, który w pewnej chwili w całości wylądował na suficie, bo niechcący przy kolejnych procedurach wszystko strzeliło. Nie zacytuję tego, co on wtedy powiedział, ale pocieszyliśmy go. Byliśmy młodzi, siedzieliśmy wieczorami i nocami. Kończyliśmy czasami pracę w domu, już opijając sprawy i omawiając kłopoty. To był dobry zespół. Przyjaźnimy się do dziś (trochę nas ubywa), urządzamy okolicznościowe spotkania zwane *lewakaliami*. Niestety *lewakol*, wspaniała nalewka na liściach głogu już się dawno skończyła.

W mojej samodzielnej pracy naukowej starałam się pracować zespołowo i mam wrażenie, że mi się to udało. W Zakładzie Bioenergetyki Roślin (działał przez 20 lat – do mojej emerytury) zawsze był zespół, który się lubił i pomagał sobie nawzajem. Rzadko się zdarzało, że ktoś przychodził i nie pasował. Nie było rywalizacji w sensie podgryzania się. Staraliśmy się pracować wspólnie, omawiać swoje kłopoty, zbierając się na nieformalne rozmowy, z magistrantami również. To był wzorzec z zagranicy, przede wszystkim ze Stanów. Dla mnie ten brak dystansu w Ameryce między profesorem a studentem był wtedy szokiem. U nas dystans też powoli zanika, ale jednak jest. A tam z profesorem było się na ty i w stosunkach może nie przyjacielskich, ale koleżeńskich. Niemniej, kiedyś usłyszałam, jak profesor powiedział, podkreślając swoją pozycję: „*I can hire, I can fire*”.

Anna Rychter

Nasz szef prof. Bezubik był człowiekiem, który umiał gromadzić wokół siebie młodych ludzi, magistrantów i doktorów, a studenci chętnie wybierali specjalizację w Zakładzie Parazytologii. Profesor promował ludzi w miarę

szybko, bo doktoraty powstawały w przeciągu pięciu–sześciu lat od asystentury. W tamtym czasie średnia na Wydziale to było dziewięć, nawet do dwunastu lat. Osoby, które na stałe były związane z Zakładem Parazytologii, to: Mirek Stankiewicz, starszy ode mnie kolega, który po habilitacji przeszedł do Zakładu Immunologii, a potem objął jego kierownictwo, następnie Lidka Chomicz, która w tej chwili jest profesorem w Uniwersytecie Medycznym, Magdalena Borowik, która od początku (od magisterium) pracowała w Zakładzie. Nasza koleżanka Barbara Grytner-Zięcina zrobiła magisterium w Zakładzie Cytologii, a teraz jest parazytologiem – profesorem w Uniwersytecie Medycznym. Młodsza ode mnie koleżanka z tego okresu, Halinka Wędrychowicz przez długi czas była związana z naszym Zakładem, potem przeszła do SGGW i tam objęła Katedrę Parazytologii. Po magisterium została w Zakładzie również Marysia Doligalska, która obecnie jest kierownikiem Zakładu i prowadzi zaawansowane badania w zakresie immunologii w inwazjach pasożytniczych. Z całą pewnością wychowankowie prof. Bernarda Bezubika, Benia – jak go nazywaliśmy, odcisnęli znaczące piętno na rozwoju parazytologii w kraju, jak i za granicą.

Edward Siński

Kunicki przekazał mi Zakład Mikrobiologii Ogólnej w październiku 1980 roku. Mógł jeszcze go prowadzić ładnych parę lat, ale doszedł do wniosku, że nie chce. Powiedział: „Wiesz, mnie to już niespecjalnie potrzebne. Sprzedam ci to. Męcz się”. I „męczyłam się” przez następne 29 lat. Początki tej funkcji to był dla mnie trudny okres. Stałam się kierowniczką swoich rówieśników, co było czasem raczej niewygodne. Bo ja, „szefowa” coś tutaj zaplanuję, zlecę, a potem słyszę od kolegów: „Eee tam, Mirka. Daj spokój, co ty tam pleciesz”.

Mirosława Włodarczyk

Przez lata pracy w Instytucie Zoologii blisko współpracowałam (poza kolegami z Zakładu Parazytologii) z dr Wandą Riedel, dr Maryną Sołtyńską i dr Małgorzatą Gołembiewską-Skoczylas oraz dr. Andrzejem Czubajem. Bardzo lubiłam moją pracę, atmosfera była znakomita, koledzy życzliwi. Z kilkoma osobami spotykałam się też prywatnie w domach. Obchodziliśmy wspólnie imieniny, rocznice, święta, zabawy sylwestrowe itp. Bywało, że spędzaliśmy wspólnie wakacje. Razem podejmowaliśmy prywatnie kolegów biologów z USA, Anglii, Niemiec, Grecji czy ZSRR.

Współpraca i zrodzone z niej przyjaźnie często owocowały założeniem rodziny. W samym Instytucie Zoologii zostały zawarte małżeństwa państwa:

Dobrowolskich, Kaczanowskich, Nowickich, Skoczylasów, Radzikowskich, Stankiewiczów i Prejsów. Podczas pracy w Instytucie Zoologii i wiele lat później najbliższą mi osobą była dr Małgorzata Gołembiewska-Skoczylas. Zaprzyjaźniłam się też z dr Wandą Riedel, Maryną Sołtyńską, Renatą Czolowską, Rafałem Skoczylasem i Andrzejem Czubajem. Osoby te nie tylko mają dużą wiedzę, duże poczucie odpowiedzialności i były oddane wykonywanej pracy i studentom, ale posiadają własne zdanie i wspaniałe poczucie humoru. To dobrzy, mądrzy ludzie i cudowni przyjaciele.

Maria Magdalena Borowik

W pewnym momencie doc. Lewak stwierdził, że powinien rozwijać własną tematykę. W uniwersyteckiej Katedrze Fizjologii Roślin działał wówczas prof. Piotr Strebeyko, który poszukiwał młodego zastępcy. I tak się złożyło, że pracownik Zakładu, który mógł ją po nim przejąć – niejaki dr Jerzy Poskuta – był wtedy w Stanach. W efekcie Strebeyko zatrudnił Lewaka świeżo po habilitacji i Lewak przeszedł tam, zabierając mnie ze sobą. To był chyba wrzesień '67 roku. I wszystko byłoby dobrze, gdyby Poskuta nie poczuł się strasznie dotknięty, że mu się wymknęło objęcie stanowiska. To uruchomiło wojnę, która trwała przez następne kilkanaście lat. Był obóz prof. Poskuty i obóz prof. Lewaka. Ta wojna była bezsensowna, nie przyniosła niczego dobrego, ale była.

Andrzej Podstolski

Konflikty? Jak byłam przez 19 lat dyrektorem, nie było konfliktów w naszym Instytucie. Wszystko szło gładko, naprawdę. A wcześniej? Źródłem konfliktów bywała aparatura – komu się pierwszemu należy.

Po powrocie ze stażu w USA trafiłam do grupy prof. Chmielewskiej. Pracował w niej mgr Jan Zaleski, który potem został moim doktorantem. Moją drugą doktorantką była mgr Jolanta Dzik. I taki był początek – trzyosobowy zespół.

Jadwiga Bryła

Stacja terenowa w Urwitalcie powstała dopiero, jak skończyłem studia. W końcu lat 60. nasz zespół prowadził badania ptaków wodno-błotnych. Zespołem kierował Dobrowolski, należeli do niego wtedy jeszcze mgr Nowak i mgr Nowicki.

Obserwacje terenowe odbywały się w ten sposób, że dostawaliśmy od Uniwersytetu samochód – nyskę i robiliśmy objazd wielu jezior, na których liczyliśmy i rozpoznawaliśmy ptaki. Robiliśmy to w cyklu rocznym. W pewnym momencie, po skończonych obserwacjach na jeziorze Łuknajno, trafiliśmy na Urwitałt. I wtedy Eugeniusz Nowak stwierdził, że tu byłby bardzo dobry punkt stałego zaczepienia, żeby obserwować Łuknajno. Poszedł do mieszkańców miejscowego PGR i okazało się, że tam w mansardzie jest niezamieszany pokój. Dyrektor PGR – Stypułkowski (który pochodził z tych samych stron co Nowak!) zgodził się oddać mi nieodpłatnie ten pokój.

Tam był jeszcze drugi pokój, wolny przez większą część miesiąca, zarezerwowany dla inspektora mleczarstwa, bo Łuknajno i okolice to była wielka obora. Ów inspektor przyjeżdżał raz w miesiącu i dyrektor PGR zgodził się, żebyśmy wykorzystywali również ten drugi pokój.

Mój pokój urządzałem własnoręcznie – malowałem ściany, odnawiałem, kładłem linoleum. W centralach medycznych udało się kupić dwie przeszklone szafki sanitarne; stołki i blaty przywieźliśmy z Uniwersytetu. W pewnym momencie dyrektor Stypułkowski stwierdził, że ten pokój chce mieć do swojej dyspozycji, natomiast może nas przerzucić do innych, zwalnających się mieszkań. I znowu była robota – odnawianie, czyszczenie, urządzenie.

I tak się tam zasiedzieliśmy. Jezioro Łuknajno zostało ogłoszone rezerwatem biosfery i myśmy byli naukowymi opiekunami tego rezerwatu.

Uniwersytet pomagał nam w remoncie. W tamtym czasie to była przede wszystkim zasługa prof. Dobrowolskiego, który miał bardzo dobre układy z dyrektorem administracji Kochanowiczem. Przychylną nam osobą był też prof. Kraczkiewicz, prorektor ds. finansowych. Podpisywał pisma wystosowane przez prof. Dobrowolskiego i podpisane przez prof. Raabego.

Urwitałt stał się Stacją Terenową Wydziału Biologii UW. Formalnie nigdy nie zostało powiedziane, że jestem jej opiekunem, ale wszyscy uważali mnie za głównodowodzącego.

W Urwitałcie odbywały się ćwiczenia terenowe z zoologii. Prowadzili je pan prof. Kozakiewicz i jego żona, i cały zespół ludzi z Zakładu. Natomiast ja, niezależnie od zajęć programowych, starałem się zainteresować studentów różnymi zagadnieniami ornitologicznymi. Było to między innymi liczenie łabędzi, były spacerunki przez las, gdzie pokazywałem różne zależności ekologiczne.

Zawsze byłem na marginesie Uczelni, na marginesie Wydziału. Siedziałem sobie w moim Urwitałcie i niewiele mnie interesowało.

Ryszard Halba

Znam pewną profesor w Japonii, chronobiolożkę – opowiadała mi, że oni w swoich zasobach metodycznych mają film, na którym prof. Cymborowski operuje mózgi karaluchów. To jest dla nich bezcenne źródło wiedzy i wskazówek,

służące do nauki tej bardzo precyzyjnej mikrochirurgii. Jest to najlepszy hołd składany wybitnym zdolnościom manualnym prof. Cymborowskiego.

W czasie wakacji, kiedy odbywał się remont Zakładu, siedzieliśmy wszyscy na sali ćwiczeń. Za moimi plecami kolega Broniek Cymborowski kisił ogórki oraz konstruował aparat do badania aktywności ruchowej karaluchów. Ponieważ paliłam papierosy, to mu dałam takie plastikowe przezroczyste pudełeczko po jakichś zagranicznych papierosach. On je zamocował na dwóch bolcach, bolce były podłączone do obwodu elektrycznego, a urządzenie wstawiało się do termostatu, w którym można było włączać i wyłączać światło. Z termostatu wychodziło połączenie do pisaka, który na okopconym walcu kimografu rejestrował dobowe zmiany aktywności ruchowej tych karaluchów. Był to pierwszy (zapewne także w wymiarze ogólnopolskim) aktograf – to wtedy i w ten sposób powstawała polska szkoła chronobiologiczna.

Pierwszą moją doktorantką była Magda Markowska, potem był Paweł Majewski, i jestem z nich prawdziwie dumna. A zajmowaliśmy się tą właśnie immunologią porównawczą, o której myślałam już wcześniej pod kierunkiem prof. Rybickiego – oczywiście w zupełnie nowym ujęciu. Obecnie jest to element neuroendokrynoimmunologii w aspekcie chronobiologicznym – ale od tamtych moich początków minęło ponad 50 lat!

Nasz zespół się konsolidował, byli kolejni magistranci i doktoranci, mamy dużo ciekawych osiągnięć, dobre publikacje, jesteśmy znani tu i tam. Najbardziej jednak sobie cenię uznanie, które nasz pierwszy artykuł przeglądowy o dwukierunkowych oddziaływaniach między szyszynką a odpornością uzyskał w zespole prof. Reginy Markus w Brazylii. Daliśmy im impuls do opracowania koncepcji „osi szyszynkowo-immunologicznej”, którą rozwijają bardzo twórczo, ale zawsze podkreślają nasze pierwszeństwo.

Krystyna Skwarło-Sołta

Po śmierci doc. Macieja Tabaczyńskiego przyjął mnie pod swoje skrzydła prof. Władysław Kunicki-Goldfinger. W jego grupie byłam wolnym strzelcem, przynajmniej tak się czułam. Zajmowałam się genetyką bakteriofaga lambda, a tę tematykę kontynuowałam przez wiele lat, w Polsce i w Stanach Zjednoczonych. Dopiero około dwudziestu lat przed emeryturą zajęłam się, wraz z młodymi naukowcami, problemem związków antybakteryjnych mogących stanowić terapeutyczną alternatywę dla antybiotyków.

Krystyna I. Wolska

W roku 1969, gdy zostałam przyjęta na staż do Instytutu [Mikrobiologii – przyp. red.], to już pracowało tam dwóch bliskich współpracowników

prof. Kunickiego-Goldfingera: dr Zbigniew Kwiatkowski i dr Maciej Tabaczyński. Doktor Kwiatkowski chyba przyszedł z Lublina z katedry prof. Lorkiewicza, a dr Tabaczyński z małżonką Aurelią przyszedł chyba z Wrocławia. Byli też asystenci. Andrzej Piekarówic, starszy ode mnie o 7 lat, Mirka Włodarczyk. Pani Janina Niewiarowska, bardzo mądra i ciepła kobieta. Na pierwszym piętrze, na Nowym Świecie, mieściła się Pracownia Mikrobiologii Wody i Ścieków, mówiliśmy na to „ścieki”. Tam pracowali Ewa Bieszkiewicz, Stefan Makowski, Hanka Boszczyk, Magda Jusiakowa i profesorowa, żona prof. Kunickiego, uczciwa, ciepła, taka „do rany przyłóż” kobieta. I był jeszcze Zdzisław Cegielski, technik, złota rączka. Gdy przyszedł prof. Matusiak, „ścieki” przeniosły się na Karową.

Przed 1990 rokiem pieniądze przyznawał Komitet Nauki i Techniki. Pamiętam, że uczestniczyliśmy z profesorem w sesjach sprawozdawczych; przygotowywało się wtedy plakaty, w sposób pewno dziś dla młodych ludzi zupełnie nieprawdopodobny – wycinanie nożyczkami, odręczne rysowanie i klejenie. Nikomu się nie śniło o powerpointach.

Elżbieta K. Jagusztyn-Krynicka

Działo się to w późnych latach 60., kiedy Piotr Węgleński wrócił z MIT w USA i powiedział nam: „Słuchajcie, oglądałem klonowanie genów, widziałem, jak oni to robią i w ogóle nie trzeba do tego żadnej specjalnej aparatury, właściwie moglibyśmy to zrobić tu”. I spytał, czy my byśmy chcieli to robić, ale uprzedził, że z publikacjami będzie trudniej, bo zaczęlibyśmy coś zupełnie nowego. Większość z nas zakrzyknęła: „Ależ tak, naturalnie!”. No i zaczęliśmy.

To była zupełna partyzantka, bo trzeba było pomyśleć, jak zrobić aparaciki do elektroforezy ze szkła akwarystów i takiego kleju do akwariów. Potem trzeba było mieć drut platynowy, a platyna za czasów komunistycznych była materiałem strategicznym. Pamiętam, jak jeździłem do mennicy z podaniami, na zasadzie: my tu z uniwersytetu, prosimy o drut platynowy. No i po paru miesiącach łaskawie nam go udzielono. To było takie zwalczanie przeciwności za wszelką cenę. Zrobimy elektroforezę, zrobimy klonowanie. Trzeba było jeszcze mieć enzymy restrykcyjne – i tu zawiązał się w Zakładzie Genetyki mocny zespół, który zaczął produkować te enzymy, tzn. otrzymywać je z bakterii. Dzięki uprzejmości kolegów z Zachodu dostaliśmy szczepy, dostaliśmy też przepisy.

Potem prof. Węgleński wpadł na pomysł, że możemy te enzymy sprzedawać, na zasadzie produkcji na rynek krajowy, i to się bardzo udało, wszyscy do nas przyjeżdżali uczyć się technik klonowania genów. Nasze badania zaowocowały w 1979 pierwszą eksperymentalną pracą z klonowania genów w Polsce, która została opublikowana w „Molecular and General Genetics”,

autorami byli Ewa Bartnik, Norman J. Pieniążek i ja. Pewien biznesmen polskiego pochodzenia, żyjący w Szwajcarii, zaproponował, że będzie od nas kupował te enzymy w dużych butelkach, będzie to przemycał do Szwajcarii, rozlewał w małe eppendorfówki i będzie tam sprzedawał przez swoją firmę, a za uzyskane pieniądze będzie nam kupował to, czego potrzebujemy. Na przykład klisze rentgenowskie do autoradiografii czy upragnioną folię spożywczą, której w Polsce nie było, a także rzecz zupełnie niesłychaną, tzn. izotopy do znakowania kwasów nukleinowych znakowane fosforem radioaktywnym, czyli coś, czego w polskim systemie nie dawało się zamówić. To funkcjonowało kilka lat, choć było absolutnie nielegalne w świetle komunistycznych przepisów. W ten sposób umożliwiliśmy rozwój polskiej biologii molekularnej. To były złote lata Zakładu Genetyki – w tym sensie, że czuliśmy się pionierami na rynku krajowym, a także całkiem nieźle w konkurencji europejskiej. No, a potem wszyscy się tego nauczyli, w końcu nie jest to taka wielka sztuka.

Piotr Stępień

Z Piotrem Węgleńskim pracowaliśmy łapa w łapę przez wiele lat. Z tym że ja go potem porzuciłam. Jak po doktoracie powiedział mi: „Pani Ewo, może warto byłoby jeszcze oznaczyć to i to?”, powiedziałam, że jak zrobię jeszcze jedno oznaczenie arginazy, to szlag mnie trafi, i zajęłam się czymś innym.

Ewa Bartnik

Praca wyglądała zupełnie inaczej niż teraz. Przede wszystkim był znacznie większy formalny reżim. Trzeba było być na dziewiątą, a wyjść można było między piętnastą trzydzieści a szesnastą, oczywiście, jak już szefostwo poszło. I tak było w całym Instytucie. Dochodziło do tego, że pani prof. Chmielewska, potężny, można powiedzieć, dyrektor Instytutu, członek Akademii Nauk, różnych komitetów, komisji, potrafiła przejść się pięć po dziewiątej i jak kogoś nie było, podpisać się kredą na biurku „I. Chmielewska”, co oznaczało, że trzeba się było zameldować na rozmowę. Jeśli więc ktoś chciał się spóźnić do pracy, zdecydowanie lepiej było przyjść dwie godziny niż piętnaście minut po czasie. Bo dwie godziny to mogło być na przykład „byłem w bibliotece”, a piętnaście minut oznaczało „ewidentnie nie chciało mi się przyjść wcześniej”.

Po drugie – więzi. Nie wiem, jak jest teraz tutaj, nie pracuję na Wydziale Biologii już od pięciu lat, ale dawniej były bardzo ściśle więzi zakładowe, polegające choćby na cotygodniowych zebraniach literaturowych, gdzie każdy z pracowników miał dwa czy trzy czasopisma do przejrzenia i zreferowania,

co w nich znalazł ciekawego. No i były też słynne śniadania instytutowe, na które nie wypadało nie przyjść. O godzinie wpół do dwunastej zbierano się w pokoju wokół długiego stołu: pani dyrektor na początku, potem profesorowie, docenci, adiunkci, na ostatnich miejscach asystenci. Oprócz zjedzenia jakiegoś posiłku czy wypicia herbaty lub kawy śniadania odgrywały też rolę nieformalnych zebrań instytutowych, podczas których często się poruszało sprawy organizacyjne. I to chyba powodowało, że była mniejsza samodzielność pracowników. Była wytyczona linia, czym kto ma się zajmować, i specjalnej dyskusji nie było.

Pani profesor Chmielewska potrafiła wizytować ćwiczenia. Czasami kończyło się to niewesoło, bo okazywało się, że któryś z asystentów nie wiedział, co student robił akurat w danej chwili. Kiedyś ona się tak tym zdenerwowała, że oświadczyła, iż wszyscy pracownicy będą zdawać egzamin z biochemii. Po jakimś czasie chyba się trochę zreflektowała i postanowiła zwolnić z egzaminu profesorów i docentów, ale asystenci, starsi asystenci i adiunkci musieli zdawać. Mnie się upiekło, bo nie prowadziłem w pierwszym semestrze zajęć. Miałem się tylko wdrażać, ale inni zdawali klasyczny egzamin z biochemii.

Bogusław Wilkomirski

Pobyty w Urwitalcie bardzo nas zintegrowały. Bywały „wieczory kulturalne”, a prof. Dobrowolski, który uwielbiał śpiewać, robił to bardzo dobrze. Razem jedliśmy, gotowaliśmy, robiliśmy zakupy, wspólna kasa itd. Nie było bieżącej wody, spało się pokotem. Do mycia siebie i naczyń służył baniak z wodą. Wszyscy bardzo się przyjaźniliśmy, nie zdarzyło się, żeby się ktoś z kimś tak naprawdę posprzeczał.

W Instytucie Zoologii w okresie Świąt Bożego Narodzenia zawsze urządzany był opłatek. Organizowały go prowadząca bibliotekę instytutową pani Delimatowa i pani Krysia Kowalska – sekretarka w Instytucie. Było „śpiewadełko” w płynie i razem śpiewaliśmy kolędy, a prym w tym wiedli prof. Kazimierz Dobrowolski i prof. Bronisław Cymborowski oraz dr Rafał Skoczył. Było zawsze bardzo sympatycznie, ale potem, jak się wyprowadziliśmy ze Szkoły Głównej, skończyły się instytutowe opłatki...

Michał Kozakiewicz

Początkowo zajmowałam się glonami, pracowałam z panią dr Hanką Szymańską i panią prof. Bożeną Zakryś. Ostatecznie jednak poświęciłam się dydaktyce i kształceniu nauczycieli. Cały czas dążyłam do utworzenia

Pracowni Dydaktyki Biologii. Walczyliśmy, żeby zlikwidować palarnię w budynku Wydziału Biologii i ostatecznie właśnie tam, na pierwszym piętrze, powstała Pracownia Dydaktyki Biologii. Początkowo, mimo że wszystko zostało odmalowane i sufit zmieniony, zapach nikotyny wciąż się utrzymywał. Ktokolwiek do nas przychodził, myślał, że tutaj się pali. Najpierw prowadzeniem dydaktyki biologii zajmowałam się sama, później przyjęto jedną, drugą asystentkę i Pracownia zaczęła się rozwijać. Zaczęłam też jeździć na konferencje dydaktyków przedmiotów przyrodniczych, przez co miałam porównanie, jak to jest w innych uczelniach.

Zdania na Wydziale były podzielone. Niektórzy mówili: „Po co nam jakaś dydaktyka i kształcenie nauczycieli?”. Czułam się trochę niepewnie w składzie Rady Wydziału, ponieważ tutaj liczyła się głównie nauka, osiągnięcia genetyków, biotechnologów itd. Ale cały czas, może za cicho, może zbyt słabo, walczyłam o to, żeby absolwent Wydziału Biologii był także popularyzatorem wiedzy. Przecież mamy wielu wspaniałych biologów nauczycieli, dziennikarzy, którzy zajmują się popularyzacją biologii, przyrody, ochrony środowiska. Natomiast nie wiem, czy zawsze była odpowiednia atmosfera wokół bloku pedagogicznego na naszym Wydziale. Kiedy przygotowywałam rozprawę habilitacyjną, dotyczącą pedagogiki społecznej, to bardzo wspomagała mnie pani prof. Joanna Pijanowska. W ogóle za jej dziekaństwa doskonale się nam współpracowało. Prowadziłam wtedy studia podyplomowe dla nauczycieli przyrody i biologii we współpracy z Wydziałem Fizyki z panią prof. Martą Kicińską-Habior i dr. Krzysztofem Karpierzem. Zdobywaliśmy granty na kształcenie nauczycieli.

Ligia Tuszyńska

Nasz Zakład początkowo nazywał się Zakładem Fizjologii Roślin. Potem zmienił nazwę na Zakład Metabolizmu Roślin, a następnie znów stał się Zakładem Fizjologii Roślin 2, bo były dwa zakłady fizjologii. Pierwszym kierował prof. Stanisław Lewak, a drugim – prof. Jerzy Poskuta. Oba Zakłady mieściły się w budynku Szkoły Głównej na Krakowskim Przedmieściu.

Zajmowaliśmy się przede wszystkim zagadnieniami dotyczącymi regulacji fotosyntezy. W tym czasie bardzo trudno było prowadzić prace eksperymentalne, brakowało aparatury i głównie badaliśmy drogi metabolizmu węgla technikami izotopowymi. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że pan prof. Poskuta był w Kanadzie i pracował w pracowni prof. Krotkova, kiedy rozpoczęto badania nowo odkrytego procesu fotooddychania. Jako pierwszy wprowadził badanie tego procesu w Polsce. Większość pracowników w naszym Zakładzie zajęła się właśnie tym zagadnieniem. Pracowaliśmy technikami izotopowymi, a następnie udało się zakupić analizator CO₂

w podczerwieni, co znacznie poszerzyło zakres prowadzonych badań. Z analizatora, wówczas jedyne w Polsce, korzystało wielu kolegów z innych ośrodków badawczych.

W zespole, odkąd pamiętam, był pan prof. Eugeniusz Parys. Poznałam go, gdy zaczęłam wykonywać pracę magisterską, on kończył studia. Już wówczas nawiązało się między nami niezwykle porozumienie naukowe, takie, że pracowaliśmy i pracujemy zawsze razem, w zasadzie jesteśmy dla siebie od początku mistrzami. Żadna praca, którą piszę, nie wychodzi bez konsultacji, bez oceny prof. Parysa, i odwrotnie. Doskonale się uzupełniamy, krytykujemy się nieustannie, dyskusje są burzliwe, ale twórcze, nasza przyjaźń kwitnie przez kilkadziesiąt lat i nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej.

Profesor Poskuta, kiedy zorientował się, że z panem Parysem tworzymy nierozzerwalny, twórczy „duet badawczy”, zatrudnił nas oboje. Pan Eugeniusz Parys to absolutnie bardzo bliska mi osoba od początku mojej kariery zawodowej. Przeczytał moją pracę magisterską, ja jego i wzajemnie krytykowaliśmy je i poprawiali. To samo było z pracą doktorską. Przy pracy doktorskiej mieliśmy dwa zagadnienia, które nas bardzo interesowały, i oba realizowaliśmy wspólnie. Podzieliliśmy się zadaniami. Profesor Parys zajął się zagadnieniami dotyczącymi fizjologii nasion, enzymatyką, regulacją mobilizacji materiałów zapasowych przez zarodek, procesem kiełkowania itd., a ja działaniem jakości światła na fotosyntezę i regulacją tego procesu przez hormony, ale był to zupełnie sztuczny podział. Niektóre zadania wymagały pracy przez 24 godziny, więc pracowaliśmy na zmianę po 12 godzin. Badania były naszą pasją. W każdym razie wzajemnie bardzo liczymy się ze swoim zdaniem. Tak naprawdę więc moim mistrzem jest Eugeniusz. Nawet jeśli poddał coś krytyce, z czym ja się często nie zgadzałam, była to zawsze krytyka twórcza, dająca do myślenia. Nigdy nie było między nami żadnych scysji, żadnych cichych godzin. A jeżeli pojawiały się jakieś trudne sytuacje, to zawsze walczyliśmy nawzajem o siebie. Mieliśmy i mamy do siebie pełne zaufanie, jeśli chodzi o to, co robimy, jak robimy i z kim pracujemy. Razem dbamy o nasze zakładowe dobra. Myślę, że stanowimy niedościgniony wzór pracy, oparty na wspaniałej przyjaźni.

W Zakładzie było wiele osób zajmujących się różnymi aspektami fotosyntezy: dr Zofia Siedlecka, dr Barbara Wróblewska, dr Anna Frankiewicz-Józko, dr Grażyna Bystrzejewska, dr Teresa Barankiewicz, dr Jerzy Czerny i inni. Były jeszcze osoby, które przyszły do nas z cytologii – pani prof. Agnieszka Mostowska, pani prof. Maria Charzyńska i pan dr Waldemar Lechowicz. Był też pan mgr Tomczyk, niesłychanie twórczy, znakomity, jeśli chodzi o wykonywanie różnego rodzaju sprzętu i komór hodowlanych. Ponieważ z prof. Parysem mieliśmy wiele pomysłów, to właśnie pan Tomczyk wykonywał nam różnego rodzaju urządzenia.

Szczególnie bliskie mi osoby to moja pierwsza doktorantka – Vasima Simeonova, która niestety zmarła. A druga, która jest prawdziwie wymarzonym współpracownikiem, to Łucja Kowalewska, dawniej Rudowska.

Agnieszka Mostowska

Kiedy trafiłam do Zakładu Parazytologii, kierownikiem był pan prof. Bezubik, a w zespole: mój bezpośredni promotor – pan prof. Mirosław Stankiewicz, pan prof. Siński, pani dr Ania Puciłowska i pani dr Magda Borowik. Madzia Borowik była w Zakładzie aż do odejścia na emeryturę. Pani Ania Puciłowska odeszła wcześniej, pracowała w Instytucie Parazytologii na Twardej, prowadziła redakcję „Acta Parasitologica”. Profesor Stankiewicz wyemigrował do Nowej Zelandii, potem się przeniósł do Australii, a prof. Siński przejął po prof. Bezubiku Zakład i był kierownikiem.

Pani doktor Riedel organizowała spotkania raz w tygodniu przed każdym ćwiczeniem. Każdy prowadzący przygotowywał prelekcję, którą prezentował – nie przed studentami, tylko właśnie przed kolegami, i to był najgorszy stres, jak się przygotować, żeby wypaść dobrze. Zespół decydował o zakresie wiedzy przekazywanej na ćwiczeniach, a także doradzał, w jaki sposób ją przedstawić. To podczas tych spotkań nauczyliśmy się najwięcej, jak sobie poradzić ze studentami, jak ich zainteresować i nauczyć. Wiele się wtedy nauczyłam: jak wiedzę przekazać zrozumiale, co jest potrzebne, a co nie, co wypunktować jako istotne dla jednego zjawiska, a co dla innego, i potem to wszystko połączyć. Pani doktor potrafiła w nas zaszczerpić taki prawdziwy biologiczny punkt widzenia zjawisk, nie tylko opisanie przyrody, ale zrozumienia, dlaczego tak się dzieje.

Jeśli chodzi o stosunki międzyludzkie, to nasze środowisko jest środowiskiem mocnych indywidualności i trzeba dużo taktu i dużo wzajemnego zrozumienia, żeby ta bomba nie wybuchła. Czasami się jednak zdarzało, że wybuchała. Ale od tego właśnie był szef, który potrafił gasić pożary, i to było bardzo sympatyczne.

Maria Doligalska

Wciągnęłam się w badania nad taksonomią niższych jednokomórkowych zielenic. Zaprzyjaźniłam się z dr Hanią Szymańską. Razem z nią i Bożeną Zakryś, moją młodszą koleżanką, która także była doktorantką Andrzeja Batki i zajmowała się eugleninami, jeździliśmy po całej Polsce zbierać materiał do badań. Były to czasy siermiężne. Nasze wyjazdy odbywały

się rozklekotanym transportowym samochodem służbowym Uniwersytetu marki Nysa. Załatwienie takiego transportu granoczyło z cudem. Tylko Hania Szymańska potrafiła w Dziale Transportu Uniwersytetu to jakoś załatwić z wszechwładną dyspozytorką panią Lucyną. W sumie wyjazdy okazały się niezwykle sympatyczne i wiele się nauczyłam. Andrzej potrafił zachęcić mnie do prowadzenia tych badań. Nie były one łatwe. Godzinami siedziałam przy mikroskopie; identyfikacja tej grupy glonów wymagała bardzo drobiazgowej obserwacji przyżyciowej błyskawicznie przesuujących się w polu widzenia zawłotni. Miałam sukcesy, opisałam nowe dla nauki gatunki i odmiany. Powoli zbliżałam się do zakończenia pracy doktorskiej. W maju 1985 r. obroniłam doktorat, otrzymując za tę pracę nagrodę Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Hanna Werblan-Jakubiec

W Zakładzie było bardzo dużo pracy. Jak się odbywały próby klonowania, czy coś takiego, cały Zakład siedział od rana do wieczora i ciągle było za mało.

Z profesorem Tarkowskim nie miałem w ogóle do czynienia na studiach, nie słuchałem jego wykładów. Wiedziałem oczywiście, że to bardzo wybitny uczony, ale jako student biologii molekularnej nie miałem zajęć z embriologii – ani roślin, ani zwierząt.

Przez kilka lat nie prowadziłem zajęć dydaktycznych. To było dla mnie wygodne, bo zabrało mi trochę czasu, nim przyswoiłem sobie biologię rozwoju. Na początku działalności – szczególnie tej dydaktycznej – trzymałem się blisko Wacka Ożdżeńskiego. On wszystko wiedział, gdzie co jest, jakie preparaty, znał też odpowiedzi na moje wątpliwości merytoryczne. Jak trzeba było, to się Wacka pytało; to także ważna dla mnie osoba.

Barwne postaci to wspomniany Wacek Ożdżeński, bardzo lubiliśmy dyskutować na różne tematy. Modliński – ciekawa postać, tu dużo można by opowiedzieć.

Jak przyszedłem do Zakładu, było sporo młodych osób. Ja byłem najmłodszy. Małgosia Waksmundzka o trzy lata wyżej, Ewa Borsuk pięć lat wyżej i Jacek Kubiak z roku wyżej ode mnie. Potem przyszła Magda Żernicka. Tak więc rzeczywiście znalazła się tam grupa ludzi w podobnym wieku, dobrze się czujących i dobrze bawiących tym, co robią, ale też i swoim towarzystwem. W Zakładzie było parę takich fal pokoleniowych. Do tych troszkę starszych pracowników należeli Jacek Modliński, Jola Karasiewicz, Hania Bałakier. Hania wyjechała w 1981 roku, pracuje od lat w Kanadzie, utrzymujemy stały kontakt.

Marek Maleszewski

Nie zamierzałam robić żadnej kariery naukowej. Ale ponieważ miałam propozycję pozostania w Zakładzie Systematyki, to zostałam. To były takie czasy, że jeżeli ktoś dobrze pracował – a ja byłam zaangażowana i dostałam doktorat z wyróżnieniem – to było naturalne, że się zostaje. I zostałam na etacie adiunkta. Rzeczywiście weszłam już jako asystent na stanowisko zwalniane przez osobę, która odeszła do bardziej intratnej pracy. Po doktoracie mówiło się, że osoby pracujące na etacie mają zapewnioną pracę. Gorzej było z tymi, którzy byli po prostu przyjmowani na studia doktoranckie. Ja miałam szczęście, że zaczęłam pracę przed epoką studiów III stopnia.

W pewnym momencie, kilka lat po doktoracie, wyrabiałam po 400 godzin dydaktycznych rocznie, a czasem nawet więcej. Okazało się, że nie jestem w stanie pogodzić pracy naukowej z pracą dydaktyczną i że zdecydowanie preferuję dydaktykę. Bożena Zakryś – kierownik naszego Zakładu – zaproponowała, żebym przeszła na etat starszego wykładowcy. Byłam oburzona. Czułam, że to jednoznaczne z przesunięciem na boczny tor, ewidentna degradacja. Ale wtedy mój mąż powiedział: „Czemu się tak denerwujesz? Nie będziesz miała nad głową habilitacyjnego topora. Będziesz żyła spokojnie, a przecież nikt ci nie zabroni robić habilitacji, jeżeli będziesz chciała”. Zrozumiałam, że ma rację. Zostałam starszym wykładowcą. Pomyślałam, że po pierwsze, wcale nie mam dydaktyki tak dużo, żeby nie móc w ogóle pracować naukowo, a po drugie, ja tę dydaktykę po prostu lubię. W każdym razie nie sprawia mi bólu, a czasem daje dużą satysfakcję. Miałam łatwość nawiązywania kontaktu ze studentami. Zawsze patrząc na pierwszych zajęciach w semestrze na ich twarze, myślałam: „Szanuj ich. Ktoś z nich będzie kiedyś twoim szefem”. Nie pomyliłam się. Mam wśród uczniów osoby wybitnie zdolne. Już nawet jedna z pierwszych moich magistrantek – Anna Muszewska – zrobiła habilitację z wyróżnieniem i dostała stypendium L'Oréal dla Kobiet w nauce, a dr Julia Pawłowska dostała stypendium Ministra Edukacji i Szkolnictwa Wyższego. Mykologia ma się dobrze.

Marta Wrzosek





L wykładu p.t. „Regulacje
 nerwowe czynności fizjologicznych”
 dane dn. 3. III. 58

z rozpaczy wykonawca

WYJAZDY

s. 206: Kazimierz Dobrowolski, z teczki:
Kazika wczesne notatki ornitologiczne, 1953 r.

Pierwszy wyjazd – delta Dunaju. Z Tulczy płynęło się statkiem na wyspę Maliuc, gdzie była stacja badawcza zajmująca się badaniem trzciny pod kątem jej przydatności do produkcji papieru, i gdzie był dr Ziemiankowski, ciekawa postać, z Czerniowiec. Tam sobie popływałam łodzią, bo innej komunikacji nie było, pooglądałam, połowiłam, popatrzyłam na tamtejsze pasożyty. Tak więc takie przyjemności też były. Pracowite przyjemności, bo jak człowiek zasiądzie nad tym materiałem, to musi zrobić wszystko do końca. Są bowiem rzeczy, które można zobaczyć tylko na żywo. Na przykład całą konstrukcję układu wydalniczego. Tam są takie komórki, które migają, a jak się je utrwali, to ich nie widać, bo przestają migać. Wszystko trzeba było opracować na żywo.

Drugą, wieloletnią, współpracę miałam z koleżanką z Wilna, Valerią Kiseliene. Jeździłyśmy na badania nad jeziora litewskie. Zaliczyłyśmy deltę Niemna, Zalew Kuroński z Mierzeją Kurońską. Delta Niemna inna – więcej ziemi, mniej wody, za to morze trzcin. A Mierzeja Kurońska to piękne miejsce: z jednej strony morze, z drugiej zalew, domy rybaków i dawne domy letnie hitlerowskich generałów – w jednym z nich Stacja Badawcza Litewskiej AN. Dużo zieleni. Nad Zalewem ślimaczków mnóstwo i pięknie zarazone.

A trzecia dłuższa współpraca była z Finlandią, z panią prof. Tellervo Valtonen, która organizowała badania terenowe podobne do naszych, na dwóch jeziorach w środkowej Finlandii. Tylko oni mieli luksusowe mieszkania, wspańskie wyposażenie. Wszystko, czego człowiek potrzebuje, zaraz mu z instytutu przywozili. Jeziora przepiękne i wielkie ich mnóstwo, do tego łódki i świetna obsługa. Jak to wszystko jest, to można pracować.

Ale nie zamieniłabym tych naszych trudnych wyjazdów na takie, jakie są teraz. Że wszystko jest poukładane, wszystko zrobione, tylko właściwie nie bardzo się chce pracować.

Katarzyna Niewiadomska

W 1957 roku Chmielewska spytała, czy nie chciałbym wyjechać do Francji. Powiedziałem „tak”, bo mówiłem jako tako po francusku. Moja mama dzieciństwo spędziła w Szwajcarii i starała się uczyć dzieci, na przykład opowiadając im bajki po francusku.

Trafiłem w 1958 roku do małego laboratorium w ważnym szpitalu pod Paryżem. W ciągu kilku miesięcy udało mi się osiągnąć takie wyniki w pracy nad cukrowcami, że po złożeniu do druku pierwszej wspólnej publikacji szef zapytał, czy nie chciałbym robić doktoratu. Dostałem kolejne stypendium

i w ciągu dwóch lat zrobiłem doktorat na Sorbonie. Wróciłem w 1960 roku do Polski, wtedy gdy Chmielewska tworzyła Zakład Biochemii.

Czy myślałem o pozostaniu we Francji? Nie. Miałem w domu rodzinę, małe dzieci. Chociaż rodzinę dałoby się ściągnąć. Ja po prostu czułem i nadal czuję, że moje miejsce jest tutaj. Może sprawiły to moje niełatwe przeżycia wojenne? Do tej pory noszę w sobie pozostałości po dwóch niemieckich kulach.

Stanisław Lewak

W okresie od 15 listopada 1959 do 14 sierpnia 1960 uczestniczyłem w wyprawie na jachcie „Dar Opola” na Morze Czerwone. Jej pomysł narodził się z połączenia tęsknot żeglarzy i zoologów. Dopiero trzy lata wcześniej zakończyło się zamknięcie granic Polski w stopniu dziś niewyobrażalnym, porównywalnym tylko do ogrodzenia obozu koncentracyjnego. Dopiero co minęły lata, kiedy żeglarstwa morskiego po prostu nie było. Wypłynięcie w rejs po Bałtyku, nawet bez zawijania do obcych portów, wymagało długich i uciążliwych zabiegów o zgodę, zezwolenia itp. Przed wyruszeniem jacht i załogę poddawano drobiazgowej rewizji i kontroli. Rejs na dalekie morza tropikalne mógł być tylko marzeniem. Z kolei młody zoolog znał fascynujący świat zwierząt mórz tropikalnych z rysunków w podręcznikach, najczęściej tłumaczeniach radzieckich. Na Uniwersytecie Warszawskim wiele zbiorów zoologicznych pochodziło jeszcze z czasów carskich. Brakowało zwłaszcza konserwowanych okazów takich zwierząt, których budowę chcieliśmy pokazać studentom biologii. Z konieczności studenci poznawali szczegółowo anatomię dżdżownicy, raka i karalucha, ale już nie jeżowca, rozgwiezdy czy ośmiornicy.

Inne znamię przepaści w stosunku do tamtego czasu – dzisiaj ćwiczenia z zoologii na studiach biologicznych skurczyły się do jednego semestru, bo tak przez pół wieku rozrosła się wiedza w innych dyscyplinach biologicznych. Ale wtedy chcieliśmy zobaczyć te zwierzęta żywe, a potem móc pokazać studentom wszystko co należy, chociażby na zakonserwowanych okazach. Stąd wziął się pomysł, żeby popłynąć jachtem żaglowym na Morze Czerwone i tam nazbierać dużo wszystkiego.

Po dość przypadkowym wstępnym kontakcie, gdy w wąskim gronie uświadomiliśmy sobie wspólną celów obu środowisk, nasz zespół czterech zoologów [H. Jakubowski, A. Lisiecki, J. Nowicki, T. Umiński – kier. naukowy wyprawy, przyp. red.] i czterech wykwalifikowanych żeglarzy [O. Baniewicz, J. Knabe, J. Kowalkowski, B. Kowalski – kapitan, przyp. red.] ukształtował się już na samym początku i nie uległ zmianie przez cały czas przygotowań i trwania wyprawy. Od samego początku także popierał nas zwierzchnik trzech zoologów z UW – „Mistrz” – prof. Zdzisław Raabe,

dyrektor Instytutu Zoologii Uniwersytetu Warszawskiego. Profesor z reguły sprzyjał projektom młodych. Nie przeszkadzało mu, jeśli projekty były lekko zwariowane.

Pracowaliśmy niesłychanie intensywnie. Już w październiku jacht, całość sprzętu i załoga były gotowe do wyjścia w morze w każdej chwili, w przeciągu kwadransa. Natomiast wystawienie niezbędnych dokumentów żeglarskich było przewlekane pod dziwnymi pretekstami, a czasami nawet bez pretekstów, na zasadzie „nie, bo nie!”. Przeciągnęło się to do połowy listopada. I wtedy życzliwy nam Gdański Urząd Morski stwierdził, że o tej porze roku nie zgodzi się wypuścić na Bałtyk jachtu, którego wnętrze nie jest ogrzewane.

Przeżywaliśmy kompletne załamanie, gdy dotarła do nas wiadomość, że za dwa dni dziesięcioletni MS „Jan Matejko” wychodzi w rejs na Daleki Wschód, a po drodze zawija do Adenu. Wtedy spotkaliśmy kolejnych ludzi bezinteresownie nam życzliwych. W dwie doby została załatwiona cała biurokracja, jacht rozmontowany, opróżniony ze sprzętu i wszystko, łącznie z naszą załogą, załadowane na statek.

Przebywaliśmy na Morzu Czerwonym w zimie, na ogół maksymalna temperatura dnia nie przekraczała 35°, nocy 27°. W tej temperaturze można jeszcze pracować fizycznie. Wiatry były zmienne, okresy ciszy przeplatały się z okresami wiatrów o sile około 5° w skali Beauforta z kierunków północno-zachodnich. Bardzo krótka i stroma fala, jaka tworzy się na Morzu Czerwonym już przy tej sile wiatru, uniemożliwia dokonywanie połowów oraz jakkolwiek pracę zoologiczną na pokładzie jachtu. Pracować w tym wypadku można wyłącznie na lądzie, a poławiać tylko w wyjątkowo dobrze osłoniętych, małych zatokach i przesmykach. Pierwsze połowy przeprowadzono w Dunkierce, podczas postoju naszego statku w tym porcie. Udaliśmy się pieszo na brzeg koło portu, odsłonięty przy odpływie, nazbieraliśmy rozgwiazd. Następnie były połowy w Adenie, Dżibuti, na archipelagu Dahlak, w Port Sudanie, w Suakin, na Wingate Reef, w zatoce Mersa Ar-Rakiyai, w Dubrowniku, Bonifacio, Breście, Roscoff i Holtenau.

Najdłużej trwające i najbogatsze były połowy na Entedebir, wyspie w archipelagu Dahlak. Założono tam bazę lądową i stałe laboratorium na lądzie. Jacht kotwiczył opodal, na niewielkiej, płytkiej lagunie, otoczonej wyspami ze wszech stron, tylko wąskimi przesmykami kontaktującej się z otwartym morzem. Ta sytuacja dawała możliwość gromadzenia większej ilości materiału, a także staranniejszej jego konserwacji. Metodą najprostszą a najskuteczniejszą odłowu było brodzenie podczas odpływu w wodzie po kolana na rafach i skałach i zbieranie okazów zwierząt gołymi rękami. W ten sposób zgromadzono większość najcenniejszych zbiorów – tych do ćwiczeń – takich jak strzykwy, rozgwiazdy, jeżowce, węzowidła, chitony, ślimaki, małże, korale, gąbki. Kraby z pospolitego tu gatunku *Ocypode ceratophthalma* oraz rozmaite pustelniki chwytaliśmy rękami, biegając po plaży. Tylko nieliczne gatunki zmuszały nas do nurkowania w aparatach powietrznych. Na duże

ryby polowaliśmy z kuszą podwodną o napędzie gumowym. Część zdobyczy szła na patelnię, część była konserwowana z przeznaczeniem na zbiory muzealne – wystawowe. Strzelaliśmy także ptaki, a ich skóry, zakonserwowane w odpowiedni sposób, znalazły się w zbiorach muzealnych Instytutu Zoologicznego PAN [Muzeum i Instytut Zoologiczny PAN – przyp. red.].

Przy różnych okazjach, a zwłaszcza podczas wypadów w głąb łądu gromadzono zbiory fauny lądowej – owadów, pajęczaków i ślimaków, ponieważ w Instytucie Zoologicznym PAN byli specjaliści pracujący nad systematyką i zoogeografią tych grup zwierząt. Zalecili nam oni zbierać „małe, bure, niepozorne”, bo tylko wśród takich zdarzają się rzeczy nowe, nieznane i ciekawe. Wszystko, co duże i kolorowe, jest już opisane od dawna. Wyjątkowo trafnym pomysłem okazało się wzięcie paru garści jak gdyby żwiru z nadbrzeżnej plaży. Składał się on z bardzo drobnych muszli morskich ślimaków i małżów. Nie wymagał żadnej konserwacji. Zawierał około 13 000 okazów, które stały się podstawą publikacji w „Journal of Conchology”. Znaczna część zbiorów pozostała w Instytucie Zoologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Dla zoologów z zacięciem nauczycielskim przywiezione zbiory były otwarciem możliwości prowadzenia ćwiczeń z zoologii wreszcie w sposób zbliżony do właściwego. To się zaznaczało zwłaszcza w tych młodszych uczelniach, gdzie niedawno utworzone zakłady zoologii nie dysponowały właściwie żadnymi zbiorami egzotycznymi. Chyba jednak jeszcze ważniejsze było pokazanie drogi: taka wyprawa jest możliwa. Nigdy, co prawda, nie powtórzono wyprawy dokładnie takiej samej – ściśle zoologicznej na jachcie żaglowym – ale podobnych było wiele.

Wynik *stricte* naukowy był właściwie tylko jeden – opracowanie i publikacja kolekcji muszli ślimaków i małżów z wyspy Entedebir w archipelagu Dahlak. Dokonał tego specjalista z British Museum (Natural History) H. E. J. Biggs. Znalazł wśród nich jeden gatunek nieznany nauce i opisał go jako *Cerithidea dahlakensis*. Okazy tego nowego gatunku zostały złożone w Instytucie Zoologicznym PAN, Muzeum Senckenberga we Frankfurcie nad Menem, Musée National d’Histoire Naturelle w Paryżu oraz w Academy of Natural Sciences of Philadelphia. Materiały naukowe – zbiory owadów, pajęczaków i ślimaków lądowych w łącznej liczbie 2619 okazów oraz kolekcję muszli, oznaczonych przez Biggsa – przekazano do Instytutu Zoologicznego PAN.

Dla mnie osobiście była to jedna z najważniejszych, kształtujących mnie przygód mojego życia. Odtąd zawsze, gdy prowadziłem ćwiczenia, gdy zacząłem prowadzić wykłady, byłem świadom, że mogę powiedzieć: widziałem!, dotknąłem własną ręką! Książki, które później pisałem, były także naznaczone tym doświadczeniem, nawet jeśli nie dotyczyły morza, raf ani jeżowców. [Wyprawa opisana jest w książce: Kowalski B., 1962, *Wyprawa „Koral”*, Wydawnictwo Morskie, Gdynia – przyp. red.]

Kontakty z naukowcami z zagranicy nawiązywane były w różny sposób, pisemnie po przeczytaniu ciekawego artykułu w międzynarodowym czasopiśmie, bezpośrednio na międzynarodowym zjeździe lub sympozjum, poprzez prywatną znajomość. Ja i mój zespół mieliśmy bardzo owocną, wieloletnią współpracę z prof. Mauro Crestim z Uniwersytetu w Sienie i jego zespołem (wymiana personalna, publikacje).

Maria Charzyńska

W 1968 roku, gdy zostałem adiunktem, pojechałem do Francji. Mój doktorat dotyczył wytwarzania i budowy skorupki *Arcella* – takiego pierwotniaka, ameby skorupkowej. Do profesora Raabego przyjechał wówczas prof. de Puytorac z Clermont-Ferrand i przywiózł w kieszeni stypendium. Dwa tygodnie wcześniej profesor spytał, czy znam francuski. Powiedziałem, że umiem parę słów, bo babcia była nauczycielką francuskiego i trochę mnie uczyła. Raabe na to, żebym szybko się nauczył języka, bo będę przewodnikiem prof. de Puytoraca w Polsce – pojadę z nim nad morze, do Oświęcimia, do Krakowa. Z przerażeniem zakuwałem jakieś słówka, a potem z wielkim trudem porozumiewałem się z profesorem, bardzo zresztą miłym człowiekiem. Jak gość wyjechał, prof. Raabe oznajmił: „Pojedziesz na stypendium do Clermont-Ferrand”. Nie było żadnego: chcesz?, nie chcesz? Pojechałem na pół roku i było fantastycznie. Najpierw prowadziłem badania pierwotniaków z torfowisk Masywu Centralnego, siedząc w stacji terenowej Besse-en-Chandesse, a potem rozpocząłem naukę mikroskopii elektronowej.

W Clermont-Ferrand poznałem prof. Jeana André, specjalistę w dziedzinie mitochondriów, który zaproponował, żebym obejrzał jego laboratorium w Orsay pod Paryżem i posiedział chwilę, żeby pogłębić wiedzę o mikroskopii elektronowej. Byłem u niego dwa miesiące. Profesor André obiecał, że załatwi mi kolejne półroczne stypendium, o ile dostanę zgodę z Polski. Wyjechałem więc po raz drugi do Francji, a po powrocie w 1970 postanowiłem zbudować Pracownię Mikroskopii Elektronowej. Profesor Raabe najpierw był niechętny, ale potem napisał do Ministerstwa i zażądał pieniędzy, żeby kupić mikroskop elektronowy, i Ministerstwo wyraziło zgodę. Zgodzili się wprowadzić nie na japoński, tylko czeski, produkowany przez Zbrojovka Brno, czyli fabrykę broni w Brnie, ale robiła to Tesla. I robiła zupełnie nieźle. Wtedy zacząłem prowadzić magistrantów, a pierwszym z nich był Andrzej Czubaj. Organizowaliśmy razem pracownię – także z Maryną Sołtyńską, która pracowała na pierwotniakach pasożytniczych. Przyjęliśmy jeszcze dwoje laborantów. Pracę habilitacyjną robiłem już na mikroskopie elektronowym. Ale nie na pierwotniakach, o tym w ogóle nie było mowy. Miały być bezkręgowce

i profesor powiedział: „Wirki są dobre, pomyśl o wirkach”. Zająłem się więc regeneracją wirków. Tutaj zrobiliśmy parę prac histochemicznych. Jak się dowiedzieli we Francji z mojej publikacji, że tym się zajmuję, chcieli z nami współpracować (badali wtedy wypławki). I tak dostałem trzymiesięczne stypendium Uniwersytetu Paris XII na wspólne badania. Gdy byłem tam, dziekan tamtejszego wydziału powiedział: „Mamy tutaj etat profesora zoologii, nie chciałbyś go objąć?”. Zwrócili się do ministerstwa i dostałem powołanie podpisane przez prezydenta Republiki Francuskiej na stanowisko profesora. Zostałem więc na dłużej, tymczasem w Polsce wybuchł stan wojenny. Przeszedłem gehennę, żeby sprowadzić do Paryża żonę i córkę. Po roku się udało.

W 1982 raptem wszyscy gremialnie, cała ta nasza pracownia francuska, postanowiliśmy zmienić kierunek badań. Na regenerację wypławków nie można było dostać pieniędzy. Mieliśmy tylko środki uniwersyteckie. Wtedy Europa się zmieniała, na badania trzeba było pozyskiwać granty, żeby zaś dostać grant, trzeba było mieć temat taki, który robił wrażenie, że to jest dla ludzkości bardzo ważne. I pewnego dnia powiedzieliśmy: dosyć! Wyrzucamy akwaria z wypławkami. Sprowadzamy klatki ze szczurami i będziemy robili regenerację mięśni szczura. Ponieważ jeden z kolegów pracował wcześniej w Instytucie Miologii, nauczył nas hodować komórki satelitowe. Potem pracowałem nad tym do końca i teraz były mój Zakład pracuje też na mięśniach, bo jak wróciłem do Polski w 1985 roku, to wymyśliłem następną nową pracownię. Nie było już prof. Raabego. Profesor Krzysztof Tarkowski, który był dyrektorem Instytutu Zoologii, zgodził się i dał mi jeden pokój. Tak powstała pracownia hodowli komórek. Dostałem pierwszy grant i kupiłem za to pierwszy sprzęt – mikroskop odwrócony, który tutaj jeszcze jest. Teraz hodowlę komórek robią już wszyscy, ale wtedy to była naprawdę nowość. Koledzy z Francji kolejno przyjeżdżali i uczyli dziewczyny, które u nas pracowały.

Jerzy Moraczewski

Podczas jednej z naszych wizyt na korytarzu Szkoły Głównej, gdy oglądaliśmy z Michałem B. zakonserwowane rozgwiezdy oraz ich anatomiczny, barwny gipsowy model, wiszący na ścianie, nadszedł prof. Raabe i rozpoczął z nami pogawędkę. Rozmowa dotyczyła zwierząt morskich, a szczególnie fauny Adriatyku. Któryś z nas wspomniał, że chciałoby się to wszystko obejrzeć na żywo, w warunkach naturalnych, i wyraził żal, że tak ciekawe, a jednocześnie stosunkowo nieodległe morze jest dla nas zupełnie niedostępne. (Trzeba pamiętać, że ówczesna Jugosławia była „krajem politycznie wyklętą”, z którą „blok wschodni” nie utrzymywał żadnych kontaktów). Wtedy profesor powiedział: „Nie martwcie się, jeszcze na pewno będziecie

tam mogli pojechać i zobaczyć to wszystko”. I zostawiwszy nas, odszedł do siebie. Godzi się przyznać, że wąpiliśmy wówczas w tę jego przepowiednię, bo sytuacja polityczna w sowieckim obozie wydawała się ustabilizowana.

Ale tempora mutantur... – Jugosławia już wkrótce przestała być na indeksie i pojawiła się możliwość obejrzenia adriatyckiej fauny. Już po czterech latach od pamiętnej rozmowy otwarto dla nas granice i miałem pojechać nad Adriatyk na wycieczkę studencką. Niestety, wycieczkę odwołano, bo ktoś z jej kierownictwa był źle widziany, i na wymarzoną Jugosławię przyszło mi jeszcze długo czekać.

Nadszedł rok 1968. Wydarzenia marcowe czasowo odsunęły w cień myśl o zorganizowaniu przez Instytut wyprawy nad Adriatyk, której celem miało być zdobycie morskich zwierząt jako materiału ćwiczeniowego. Potrzeba była paląca, gdyż podobne zbiory z Morza Czerwonego, przywiezione przed dziesięcioma laty przez wyprawę „Koral” na pokładzie jachtu „Dar Opola”, którą kierował ówczesny dr Tomasz Umiński, były na wyczerpaniu. Gdy nieco ucichła polityczna zawierucha, przystąpiliśmy do organizacji, tym razem lądowej, wyprawy Adriatyk 68.

Główny wysiłek organizacyjny spadł na Zakłady Hydrobiologii i Zoologii. Włączyłem się do prac organizacyjnych nieco później, obejmując koordynację spraw związanych z transportem, gdyż UW oddał nam do dyspozycji dwa samochody marki Nysa (mikrobus i furgon) wraz z zawodowymi kierowcami. Uczestnicząc w tych przygotowaniach, cały czas jednak obawiałem się, że moje niedawne złe notowania mogą skłonić kogoś „przychylnego” do żądania wycofania mnie z ekipy, pomimo półprywatnego charakteru wyprawy. Finansowała się ona bowiem z własnych środków uczestników (urzędowy przydział dewiz po 100 \$ na głowę). To na szczęście nie nastąpiło i nysy przyozdobione nazwą instytutu oraz jeden prywatny Fiat 600, załadowane po brzegi, ruszyły z dziedzińca UW 15 sierpnia 1968. Dwa skutery Osa, z którymi mieliśmy się spotkać na granicy węgiersko-jugosłowiańskiej, były już w drodze, a dwie osoby miały dojechać później pociągiem i statkiem.

Fatalnie rozpoczęty rok 1968 zaowocował wreszcie spełnieniem profesorskiej adriatyckiej przepowiedni, ale nasza radość była niczym przysłowiowa beczka miodu. Nie mogliśmy przewidywać, że „długie ręce” polityki dorzucą do niej jeszcze sporo dziegciu.

Piękne lato było w pełni, w Czechosłowacji kwitła Praska Wiosna, ale nad nami gromadziły się już chmury kolejnej zawieruchy w postaci masowych ruchów wojsk na Węgrzech, o których sądziliśmy, że to manewry. Po spotkaniu skuterów w ustalonym punkcie ruszyliśmy na południe, przez Nowy Sad i Belgrad, aby kanionem rzeki Moraczy osiągnąć wymarzony Adriatyk w rejonie Budvy. Był 21 sierpnia, pokonywaliśmy mozolnie górską trasę, kiedy to po południu wyprzedziła nas miejscowa czarna wołga. Po chwili zatrzymała się, a pasażerowie wysiadłszy, dali nam znaki, byśmy stanęli. Byli to czarnogórscy zoologowie, znający nasz instytut i profesora. I wtedy po przedstawieniu się padły z ich strony te fatalne słowa: „Jak się

czujecie, agresorzy?!”. W ten sposób, zdumieni, dowiedzieliśmy się o naszej napaści na Czechosłowację.

Przejęci i całkowicie przecież bezradni kontynuowaliśmy podróż. Na nadmorskiej szosie widzieliśmy mnóstwo czechosłowackich samochodów, bowiem Czesi i Słowacy po raz pierwszy po wojnie mogli wyruszyć turystycznie za granicę. I wtedy, drugiego lub trzeciego dnia po agresji, miał miejsce charakterystyczny incydent.

Pod wieczór zajęliśmy na obozowisko małą, otoczoną ziemnym wałem i drzewami łączkę, opodal szosy. Ściemniało się, namioty były już rozstawione, kiedy teren ten skusił też jakichś czeskich turystów. Wjechali, ale widząc polskie auta, zaczęli się szybko wycofywać. Podbiegliśmy do nich i po długich namowach przekonaliśmy, aby z nami zostali. Siedzieliśmy przy ognisku, rozmawiając oczywiście o polityce i sytuacji naszych gości, którzy rozważali pozostanie na Zachodzie. Słuchaliśmy też ich bardzo dobrego radia. I wtedy złapaliśmy głos: „Mówi wciąż jeszcze wolne radio czechosłowackie!” Była to radiostacja na samochodzie, kluczająca gdzieś tam daleko między wojskami sowieckimi i nadająca bieżące komunikaty. Nas i naszych przyjaciół wzruszenie złapało za gardło, a dla mnie był to jeden z bardziej dramatycznych momentów w życiu. Sygnał nieugiętych czeskich radiowców – straceńców, do końca samotnie przeciwstawiających się wojennej machinie Układu Warszawskiego, przypominał mi w pewien sposób Termopile. I do dziś słyszę ten głos i do głębi porusza mnie wspomnienie tych ludzi, którzy skazani na klęskę wypełniali, niczym trzystu Spartan, swój obowiązek do końca. Rano pożegnaliśmy serdecznie odjeżdżających Czechów, stojących przed trudnym życiowym wyborem.

Następnego dnia w Dubrowniku złożyliśmy wizytę dyrektorowi Instytutu Morskiego, któremu przekazaliśmy list prof. Raabego z prośbą o udzielenie naszej wyprawie pomocy. Panowie znali się wcześniej, więc wydawało się, że wskazanie dobrych terenów połowowych i ewentualne użyczenie łodzi mamy zapewnione. Niestety, spotkało nas lodowate przyjęcie. Nie uzyskaliśmy niczego, a profesor dał nam do zrozumienia, że nie ma dla nas czasu. Wyszliśmy przygnębieni, bo była to pierwsza nieprzychylna dla nas reakcja w odpowiedzi na zdarzenia czechosłowackie. Pierwsza, ale niestety nie ostatnia. Tymczasem w Dubrowniku była prowadzona na masową skalę akcja zbierania podpisów pod protestem przeciwko naszej agresji na Czechosłowację. Podpisywało się tysiące turystów, do których dołączyliśmy zawstyżeni.

Pomimo braku pomocy udało się nam znaleźć znakomite miejsce do połowów na północ od Dubrownika, opodal miasteczka Slano. Zgodnie z procedurami zameldowaliśmy się w miejscowym komisariacie milicji, gdzie informację o naszym pobycie i zamiarach zaaprobowano. Było to ważne, gdyż w Jugosławii istniały strefy zakazane dla nurkowania ze względów wojskowo-obronnych i chociaż mieliśmy mapę tych akwenów, woleliśmy się upewnić.

Kolekcjonowanie okazów, głównie szkarłupni, ukwiałów i gąbek, ruszyło pełną parą. Po kilku dniach udało nam się wynająć miejscowego rybaka z łodzią i nurkować nieco dalej od brzegu. I właśnie wtedy pojawiła się na morzu policyjna motorówka, a na lądzie radiowóz z zadaniem skontrolowania nas. Zarzucono kolegom z łodzi nurkowanie w miejscu niedozwolonym i wezwano do stawienia się nazajutrz na rozprawę przed kolegium orzekającym w Dubrowniku. W rezultacie zostali oni uznani za *personae non gratae* i zażądano, aby w ciągu 48 godzin opuścili teren Jugosławii, co niestety musiało nastąpić. Nic nie mogliśmy zrobić, choć przecież cała akcja milicji była bezprawną szykaną polityczną w stosunku do nas – Polaków. W jej wyniku nasz obóz opuściło pięć osób. W rok później, gdy z wyprawą Adriatyk 69 znów zawitaliśmy pod Slano, przyznał to szczerze ten sam komendant posterunku, który zwycięską akcją antypolską wówczas przeprowadził. Jak to bywa w takich przypadkach, tłumaczył się, że takie dostał polecenie. Pomimo uszczuplenia naszej ekipy zapełniliśmy zbiorami wszystkie pojemniki i ruszyliśmy w drogę powrotną.

Podczas przejazdu przez Czechosłowację widzieliśmy na dachach domów i murach mnóstwo napisów opowiadających się za Dubczekiem i reformami oraz piętnujących zdrajców. Niestety, nie skąpiono nam nieprzyjemnych gestów – miejscowa ludność w najlepszym przypadku wygrażała nam pięściami, a w gorszych rzucała kamieniami. Na szczęście, w odróżnieniu od szyb wielu innych polskich samochodów, nasze szyby ocalały. Nie mieliśmy pretensji do tych ludzi, którzy przecież nie wiedzieli, że całym sercem jesteśmy po ich stronie.

Wreszcie, zmęczeni, powróciliśmy na UW i mogliśmy przedstawić nasze trofea prof. Raabemu. Był zadowolony, wyprawę uznał za sukces, a za rok pomógł nam zorganizować następną. Zgromadzone nad Adriatykiem materiały były na tyle obfite, że do dziś, choć już w bardzo skromnym zakresie, mogą służyć młodzieży. Tak więc adriatycka przepowiednia profesora spełniła się szczęśliwie po długich czternastu latach, szkoda tylko, że owemu spełnieniu towarzyszyły tak przykre okoliczności.

Rafał Skoczylas

Po śmierci prof. Raabego wyjechałem po raz pierwszy do Ameryki i trafiłem do laboratorium prof. Nanneya, który był genetykiem orzęsków. Dostałem list, że po prostu mogę przyjechać. Trzeba było to i owo załatwić przez Ministerstwo, ktoś mi tam pomógł w sprawach papierkowych. I otrzymałem darmowy rejs statkiem „Stefan Batory”.

Byłem zszokowany amerykańskim życiem. A po powrocie znalazłem się w grupie ludzi pod pewnymi względami uprzywilejowanych. Bo będąc w Ameryce, cały czas miałem obsesję na punkcie tego, żeby oszczędzać

dolary. Już w kraju otworzyłem konto w Banku Pekao S.A. Miałem te dolary. Nie była to może jakaś bardzo duża suma, ale zawsze mogłem pójść do Peweksu i kupić żyletki do golenia. Albo dżinsy. Pamiętam, że kupowałem ryż, bo to było jedyne miejsce, gdzie był taki ryż, co się nie kleił.

Andrzej Kaczanowski

W 1963 roku byliśmy z Renatą Czołowską na miesięcznym stypendium, pierwszym na Zoologii, w Instytucie Oceanografii w Splicie. Pierwszy lot samolotem, pierwszy pobyt za granicą i ciekawe połowy w Adriatyku.

Maryna Szöllösi

Mimo że to był taki niedobry okres w naszym kraju, nie miałem specjalnych problemów, jeśli chodzi o wyjazdy zagraniczne. Bo ja wyjeżdżałem jako specjalista od owadów. Jak ktoś rozmawiał ze mną przed wyjazdem, nie było mowy o polityce, czasem tylko padały prośby, żeby zobaczyć, jak pracują asystenci, studenci w zakładzie, do którego jadę.

Natomiast raz, nie wiem dlaczego, miałem problem z wyjazdem do Niemiec na jakiś krótki okres. Nasze paszporty były wtedy przechowywane w Ministerstwie i trzeba było je wydostać. Przy wyjeździe bardzo pomocne były panie z Działu Zagranicznego UW. Przychodzę do nich z bukietem i mówię: „Chciałem bardzo podziękować za pomoc, jutro wyjeżdżam”. A w odpowiedzi słyszę: „Niestety, pan nie wyjedzie. Nie dostał pan paszportu”. „Ale bukiet i tak się paniom należy”. I wręczyłem.

Ale to był jeden przypadek, zdarzył się już w okresie „Solidarności”. Podejrzewano, że będę się za granicą kontaktował z ludźmi, którzy interesują się sprawami „Solidarności” w naszym kraju.

W 1970 roku dostałem stypendium British Council i pracowałem w Imperial College University of London. Fantastyczny pobyt. Prowadziłem tam badania z zakresu rytmów biologicznych owadów pod kierunkiem słynnego prof. Kennedy’ego i jego współpracownika Johna Brady’ego, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem.

W 1977–1978 miałem cudowny wyjazd do Stanów. Pracowałem na Uniwersytecie Harvarda w Cambridge pod Bostonem z Karelem Williamsem, świetnym człowiekiem, który zasłynął nie tylko na swoim uniwersytecie, ale w całych Stanach, bo był wspaniałym wykładowcą. W ogóle tam był zwyczaj, że studenci oceniali wykładowców. U nas nikt tego nie robił, a tam właśnie oceniano i on zawsze zdobywał pierwsze miejsce, najlepszy wykładowca w Stanach.

Gdy byłem pierwszy raz na Harvardzie z wykładem, prof. Williams powiedział, że chce mnie zatrudnić. Odparłem, że z przyjemnością, ale mam żonę, która jest biochemikiem. – „A to żonę też zatrudnię” – odpowiedział Williams. I oboje pracowaliśmy na Harvardzie.

Przez pięć lat prowadziłem badania we współpracy z US Department of Agriculture [Ministerstwo Rolnictwa Stanów Zjednoczonych – przyp. red.]. Po wojnie Stany dały nam zapomogę w postaci dużych ilości zboża i potem Amerykanie nie chcieli pieniędzy, tylko żeby polscy naukowcy odrobili to, pracując naukowo. I ja w ramach tych funduszy pracowałem właśnie dla Stanów Zjednoczonych. Te lata były fantastyczne. Mogłem zatrudnić nowych ludzi i nawiązać osobiste kontakty z różnymi ośrodkami.

Wyjeżdżałem też do Edynburga. Byłem tam kilka miesięcy, wspaniały pobyt. Pracowałem z prof. Davidem Saundersem, do dzisiaj utrzymujemy kontakt. W 1987 roku byłem w Tybindze u prof. Engelmana. Swoją drogą, on, podobnie jak ja, interesował się malarstwem. Wychodziliśmy we dwóch w teren, siadaliśmy i malowaliśmy fragmenty architektury czy krajobrazu.

I pracowałem jeszcze przez cały rok na Uniwersytecie Paryskim, a także w Dijon i w Marsylii. W Marsylii miałem już stanowisko profesora i dostawałem naprawdę dobre wynagrodzenie. Po przyjeździe kupiliśmy sobie pierwszy samochód.

Bronisław Cymborowski

Już na pierwszym roku studiów doktoranckich napotkałem w Instytucie Nenckiego PAN niezwykłą Szkotkę z Uniwersytetu Londyńskiego, współpracującą z prof. Romualdem Klekowskim z Nenckiego w ramach jednego z pierwszych programów badawczych IBP (International Biological Program) mającego na celu koordynację badań nad produktywnością biologiczną. W czasie jednego z kolejnych sympozjów IBP PF (Productivity in Freshwaters) w czechosłowackich Libicach poznaliśmy Pettera Larssona z Uniwersytetu w Oslo, który dał się namówić na zorganizowanie u siebie roboczego spotkania europejskich hydrobiologów zainteresowanych planktonem w kontekście produktywności. Wkrótce zebrała się w Oslo grupa dziesięciu planktonologów, w tym aż czworo z Warszawy (Inka Grygierek, Anna Hillbricht-Ilkowska, Teresa Węgleńska i ja), która zasiadła nad tysiącami stron raportów składanych do Centrali IBP PF (sekcję tę prowadził z Londynu Julian Rzóska, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, który po kampanii wrześniowej 1939 roku trafił do Muzeum Uniwersytetu Oksfordzkiego i pozostał po wojnie na Zachodzie) i wykorzystała je do wyprowadzenia ogólnych twierdzeń na temat wpływu temperatury na tempo wzrostu roślin i zwierząt planktonowych. Przyniosło to wspólną publikację w mało znanym

czasopiśmie „Norwegian Journal of Zoology” (Bottrell i inni 1976), która ku naszemu zdumieniu szybko zyskała setki cytacji, dziś grubo ponad tysiąc. Inicjatywę tę powtórzyliśmy kilka lat później, by pod tym samym wspólnym adresem (Plankton Ecology Group) opublikować kolejną pracę przeglądową dotyczącą mechanizmów sukcesji sezonowej planktonu (Sommer, Gliwicz, Lampert i Duncan 1986), która jeszcze szybciej zdobyła ponad tysiąc cytacji. Inicjatywa PEG jest kontynuowana przez naszych młodszych kolegów w postaci kolejnych sympozjów i dalszych publikacji. Zaowocowała ona też ściśłą współpracą z różnymi ośrodkami naukowymi na świecie – najważniejszym z nich stał się międzynarodowy Instytut Limnologiczny Maxa Plancka w Ploen (Szlewizk-Holsztyn), w którym pracowali po kilka lat moi pierwsi doktoranci, święcąc tam swoje najwspanialsze tryumfy naukowe. Profesor Winfried Lampert, wieloletni dyrektor tego Instytutu, otrzymał przed kilkunastoma laty godność Członka Zagranicznego Polskiej Akademii Nauk.

Maciej Gliwicz

Tuż po doktoracie otrzymałem roczne stypendium British Council i wyjechałem na staż do Wielkiej Brytanii, do John Innes Institute. Jest to bardzo znany instytut rolniczy, w którym profesorem genetyki zajmującym się mikroorganizmami był John Fincham. Bardzo się z nim zaprzyjaźniłem i w późniejszych czasach wielokrotnie wracałem do Instytutu, a profesora zapraszałem do Polski. Krótsze staże odbywałem w laboratorium prof. Piotra Słonimskiego pod Paryżem, a w latach 70. i 80. pracowałem łącznie przez trzy lata jako *visiting professor* w Massachusetts Institute of Technology. Tam z kolei blisko współpracowałem z prof. Borysem Magasanikiem, wybitnym mikrobiologiem i genetykiem. Miałem też okazję poznać dwóch pracujących wówczas w MIT laureatów Nagrody Nobla, Davida Baltimore’a i Phila Sharpa.

Zauważyłem, że teraz moi młodszy koledzy wcale nie palą się do wyjazdów zagranicznych. Dawniej jednym z ważnych powodów do wyjazdów była możliwość zarobienia pieniędzy pozwalających na zakup samochodu lub mieszkania, nieosiągalnych w Polsce za pensję pracownika naukowego.

Piotr Węgleński

Po obronie doktoratu wygrałem konkurs na stypendium EMBO [Europejska Organizacja Biologii Molekularnej – przyp. red.]. Zaproponowano mi między innymi Instytut w Edynburgu, z którego później wyszła owca Dolly. W owym czasie to był najlepszy, oprócz Heidelbergu, tego typu instytut w Europie, kierowany przez prof. W. Haysa. Pracował tam również Ken Murray, który później opracował szczepionkę przeciw HBV [*Human Hepatitis B Virus*]

– przyp. red.]. Murray większość tantiem za tę szczepionkę przeznaczył na opłacanie stypendystów z Europy Wschodniej. To był naprawdę wiodący instytut biologii molekularnej.

Andrzej Piekarowicz

Na ostatnim roku studiów pani prof. Chmielewska ogłosiła nam na seminarium, że profesor z Purdue University w USA chętnie by przyjął studenta na studia doktoranckie lub magisterskie. Wróciłam z tą wiadomością do domu i tata zmusił mnie, żebym natychmiast odpowiedziała na ten list. Pomógł mi w tym kuzyn, który biegle znał angielski. Najpierw, naiwna, poszłam do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i powiedziałam, że dostałam zaproszenie ze Stanów na studia. Odesłali mnie oczywiście z kwitkiem, ale wyskoczył za mną jeden z panów i powiedział: „Dziewczyno, ty nie masz absolutnie szans, żeby wyjechać służbowo przez Ministerstwo. Niech pani nawet nie próbuje. Niech pani jedzie prywatnie”. Pojechałam więc prywatnie przez Kanadę na zaproszenie wuja, a do USA wjechałam z wizą studencką.

To był rok 1965, zaraz po studiach. W czerwcu prof. Chmielewska rozdała nam dyplomy magistra biochemii, a ja na „Batorym” byłam 15 lipca, oczywiście pokrapiając łzami, bo zostawiałam w kraju narzeczonego, późniejszego męża. Purdue University to jeden ze średniej klasy amerykańskich uniwersytetów. Spotkałam się tam po raz pierwszy na zajęciach z konkurencją wśród *graduate students* (magistranci i doktoranci) i systemem ocen na zasadzie średniej. Na Wydziale byłam jedyną dziewczyną. Zdecydowałam się na studia magisterskie w dziedzinie fizjologii roślin, bo chciałam po roku wracać do Polski (narzeczony!). Gdyby nie to, że miałam za sobą studia na biochemii, nie dałabym rady. Musiałam zaliczyć szereg wykładów i zajęć obowiązkowych dla magistrantów. Napracowałam się, bo jednocześnie robiłam ciekawą pracę eksperymentalną i pisałam pracę magisterską zwieńczoną egzaminem i dyplomem magisterskim. Doświadczenie, jakie wyniosłam z tych studiów, zaprocentowało i ustawiło mnie na całe życie. Spotkałam się z dobrym zespołem naukowców, pracowałam w świetnie wyposażonym laboratorium i sprawdziłam się jako początkujący naukowiec (pierwsza publikacja w „Plant Physiology”). Przy każdym służbowym wyjeździe zagranicznym należało starać się o paszport. Dziś już o tym nie pamiętamy. Czasami odmawiano mi paszportu, oczywiście interweniowałam. Innym razem, a był to rok '86, po mojej habilitacji jechaliśmy na cztery miesiące do Francji i staraliśmy się o paszport dla siebie i dzieci. Dowiedziałam się w wydziale paszportowym, że mogę jechać na trzy miesiące, ale dzieci na ten okres muszą oddać do domu dziecka. Autentyczna wypowiedź pani z wydziału paszportowego.

Anna Rychter

Pamiętam, że w czasie specjalizacji na parazytologii wyjeżdżaliśmy w Gorce, gdzie na halach pod Turbaczem badaliśmy parazytofaunę owiec. Wyjeżdżały z nami koleżanki, które do pracy terenowej, tak jak w laboratorium, zakładały białe fartuchy. Mieszkaliśmy w wynajętym domu na Kowańcu pod Turbaczem, tam też mieliśmy zaimprovizowane laboratorium do przeprowadzenia koniecznych badań. Młodzi juhasi doglądający owiec na halach dziwili się, co my takiego robimy, i często się wyśmiewali z naszych dziewczyn, nazywanych: panie „doktórki łód łowiec”. Zdarzało się, że po skończonych zajęciach ci młodzi chłopcy z hal, podśpiewując po góralsku i żartując, chętnie odprowadzali je do samego Kowańca. Był to rodzaj zalotów po góralsku i oczywiście nie wiem, czy dziewczynom się to nie podobało. Zajęcia terenowe często przysparzały takich dosyć niespodziewanych, zabawnych sytuacji.

Później, kiedy już sam organizowałem badania terenowe, często wyjeżdżaliśmy latem do naszej stacji terenowej w Urwitalcie. Wspomnę tutaj tylko czasy, kiedy do tej stacji przyjeżdżali razem z nami studenci prof. Jerzego Behnke z Uniwersytetu w Nottingham. Wtedy wspólnie prowadziliśmy badania nad parazytofauną u gryzoni i nie wchodząc w szczegóły powiem, że pracowaliśmy dość ciężko całymi dniami, czasami od wczesnych godzin rannych do późnego wieczora. Potem był szybki obiad, który bardzo często kończył się w nocy; było wesoło, ognisko i wspólne śpiewy. Wtedy wśród młodzieży rodziły się przyjaźnie i miłości, a nawet – z czasem – małżeństwa.

Jeżeli chodzi o wyjazdy naukowe już po studiach, to byliśmy w bardzo szczęśliwej sytuacji. Nasz szef [prof. Bezubik – przyp. red.] miał rozległe kontakty zagraniczne i dzięki temu otwierał nam szeroko okno na świat. Wyjeżdżałem wielokrotnie na krótkie staże i na dłuższe stypendia, podobnie jak moi koledzy. W okresie do habilitacji wyjeżdżałem dwukrotnie do Wielkiej Brytanii – raz na dziewięciomiesięczne stypendium British Council, potem na sześciomiesięczne stypendium Wellcome Trust. Po habilitacji byłem również w Stanach Zjednoczonych w Ames, w Iowa State University – to był roczny wyjazd. Poza tym odbyłem kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt wyjazdów do różnych ośrodków uniwersyteckich w Europie. Były to krótkie staże naukowe lub uczestnictwo w konferencjach i zjazdach międzynarodowych.

Edward Siński

Pierwszy mój pobyt za granicą rozpoczął się 21 stycznia 1975 i równiutko 21 stycznia następnego roku wróciłam. Ale to były czasy, kiedy trzeba było tutaj zostawić „zastaw”, tzn. nie mogłam zabrać ze sobą córki. Czyli ja byłam tą złą matką, co na rok porzuciła czteroletnie dziecko. O ściągnięciu rodziny

za granicę mowy też naturalnie nie było. Ale i tak jakoś szczęśliwie nie byłam nagabywana przez panów z Pałacu Mostowskich. A to chyba dlatego, że maczała w tym palce Elka Jabłońska, córka Przewodniczącego Rady Państwa i Ministra Edukacji Henryka Jabłońskiego, nasza koleżanka z pracy. Początkowo bowiem nie dostałam paszportu, ale po interwencji Elki i jej tatusia paszport się znalazł, więc potem już chyba nie mieli śmiałości mnie wzywać na tradycyjnie spotkanie przedwyjazdowe w kawiarni Nowy Świat. Pojechałam wtedy do laboratorium prof. Bruce'a Kleina, w Knoxville, Tennessee, a potem do Mayo Clinic w Rochester, Minnesota. Wtedy nastąpiło moje pierwsze spotkanie z plazmidami, co zaowocowało wprowadzeniem tematyki plazmidowej do profilu naukowego naszego rodzimego Instytutu.

Ciekawostką dla młodych może być fakt, że kiedyś za pozwolenie na wyjazd zagraniczny uczelnia pobierała po powrocie haracz w wysokości 10 procent zagranicznego wynagrodzenia. Ja już tego uniknęłam.

Mirosława Włodarczyk

Współpracowaliśmy naukowo z biologami z uniwersytetów w Ames, Iowa (USA), w Moskwie (ZSRR) czy w Glasgow (Szkocja). Toteż wyjeżdżaliśmy na stypendia (do USA i Anglii), szkolenia (do ZSRR), braliśmy udział w międzynarodowych kongresach, zjazdach i sympozjach (w Niemczech, Francji i Grecji). Bardzo dużo zawdzięczamy prof. Bernardowi Bezubikowi, który pomagał w staraniach o wyjazdy. Właściwie wyjeżdżali wszyscy pracownicy naukowo-dydaktyczni (dr Mirosław Stankiewicz – do USA, Francji i Rosji, Niemiec, Jugosławii i Nowej Zelandii, dr Edward Siński – do Szkocji, Francji, USA i Jugosławii, dr Halina Wędrychowicz – wielokrotnie do Szkocji, dr Maria Doligalska – wielokrotnie do Szkocji, Turcji i Niemiec, ja do Niemiec, Jugosławii, ZSRR i USA). Kontakty z biologami z ośrodków zagranicznych prowadziły do nawiązywania relacji osobistych, wymiany doświadczeń, współpracy naukowej. Ciepło wspominam profesorów Martina Ulmera i Edwarda Jeske z Uniwersytetu Ames w USA, dr. Dietera Duwela z Niemiec i prof. Tatianę Ginecyńską (Ginetzinskaja) z Leningradu.

Najcieplejsze wspomnienia zachowałam o prof. Bernardzie Bezubiku, który pomógł bardzo wielu ludziom, o czym często oni sami nawet nie wiedzieli (szczególnie po wydarzeniach w marcu 1968 roku i w stanie wojennym 1981–1983) oraz o prof. Zdzisławie Raabe, który pomagał studentom i pracownikom w sprawach naukowych, merytorycznych, a nawet osobistych. Był zawsze dostępny, drzwi jego gabinetu były – dosłownie! – zawsze otwarte. Ceniłam bardzo autorytet naukowy profesorów Kazimierza Dobrowolskiego i Andrzeja Tarkowskiego. Ceniłam także asystentów i później kolegów w pracy: dr Wandę Riedel, dr Martynę Sołtyńską, dr. Teodora Neumana, dr. Tomasza Umińskiego, dr. Rafała Skoczylasa, kierowniczkę Biblioteki

Instytutu Zoologii Hannę Delimat oraz wspomnianą już sekretarkę Instytutu Krysię Kowalską. Ci ludzie swą wiedzą, fachowością, życzliwością i poczuciem humoru sprawiali, że w Instytucie czułam się bardzo dobrze.

Maria Magdalena Borowik

Z wyjazdami za granicę na początku było strasznie kruch. Mnie wyjazd do Stanów załatwił prof. Szczepan Pieniążek, dyrektor Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach, z którym współpracowaliśmy. On był w Polsce szefem akcji wymiany naukowców między Stanami a polskim rolnictwem w ramach kościelnej organizacji Brethren in Christ Church. Pojechałem do Uniwersytetu Columbia, Missouri, gdzie pracowałem w biochemicznym labie. I bardzo to dobrze wspominam. Szefem był Greg Brown. Zajmowałem się rytmemi dobowymi u akacji, które przejawiały się okołodobowymi zmianami aktywności pewnego enzymu. Zrobiliśmy całkiem niezłą publikację, która ukazała się w „Plant Physiology”. U Browna spędziłem piętnaście miesięcy. Nauczyłem się niezłe angielskiego. Mieszkałem tam z tubylcami, więc cały czas mówiło się po angielsku.

Później zdarzyło mi się być dwa lata na Uniwersytecie w Newark, Delaware. I tam zajmowałem się już sprawami biotechnologicznymi, kulturami *in vitro* wanilii. Pracowaliśmy nad biosyntezą waniliny w tej roślinie. To już było po mojej habilitacji, w latach 90. Z tego wynikł kolejny wyjazd, w latach dwutysięcznych spędziłem pół roku w stanie Oklahoma w Ardmore. Znacomity prywatny ośrodek naukowy, sponsorowany przez Noblów. Noblowie to grupa nafciarzy z Oklahomy, która wspiera lokalne rolnictwo. Ośrodek, prawie na prerii, w którym było wszystko – najnowszy sprzęt, wspaniali ludzie. Tam udało mi się zidentyfikować i oczyścić jeden z enzymów szlaku biosyntezy waniliny, co było dość istotną nowością. Z tego powstało kilka publikacji, ostatnia ukazała się dwa lata temu w „Phytochemistry”. Mieszkało się w domkach na skraju prerii, która wyglądała jak ciągnąca się po horyzont dzika łąka. W nocy wyły kojoty, a w dzień pasły się dzikie albo zdziczałe krowy z długimi rogami. Cisza, spokój. Laboratorium, w którym można było pracować 24 godziny na dobę, czemu nikt się nie dziwił. Wspaniała atmosfera, międzynarodowy skład. Szefem naukowym ośrodka był dr Rick Dickson, światowej klasy specjalista od metabolitów wtórnych. Znacomity uczoney. Bardzo mile go wspominam.

Andrzej Podstolski

Wyjechałam po raz pierwszy jeszcze przed ukończeniem doktoratu. Trafiłam do tego samego laboratorium na Uniwersytecie w Amsterdamie, w którym

był wcześniej prof. Kaniuga. Korzystając z doskonalszej aparatury, dokończyłam tam pracę doktorską. Obronę miałam na jesieni 1969 roku.

W Amsterdamie trochę mi ojcował prof. Slater. Pływał razem z żoną i córką jachtem i czasem zabierał mnie na takie wycieczki. Profesor Slater pochodził z Australii. W Amsterdamie kierował Instytutem Biochemii. Ponieważ interesowała mnie regulacja metabolizmu, on wtedy uważał, że najlepszą grupą jest pewna grupa w Stanach Zjednoczonych na Uniwersytecie Pensylwanii w Filadelfii. Razem z prof. Kaniugą uznali, że powinnam tam pojechać na staż po doktoracie.

W Filadelfii byłam przez prawie dwa lata, pracowałam siedem dni w tygodniu. Profesor Williamson, szef zespołu, zawsze mówił, że weekendy też są do pracy. Tam właśnie poznałam fluorymetrię i zostałam obdarowana przez prof. Williamsona fluorymetrem, służącym do oznaczania metabolitów. Oksygenator niezbędny do izolowania komórek z wątroby lub nerki kupiłam sama.

Czy myślałam o pozostaniu w Stanach? Nie. Wiedziałam, że jadę się nauczyć, ale chciałam wrócić do Polski i tu pomóc rozwijać tę tematykę. Ponieważ mnie pomagano, więc uważałam, że muszę ten dług spłacić.

Z Holandii po siedmiomiesięcznym pobycie przywiozłam w prezencie dla mojej mamy volkswagena „garbusa” za 1200 dolarów. A gdy wróciłam ze Stanów, kupiłam kawalerkę (27 m²), moje pierwsze samodzielne mieszkanie. Dla mnie dobra materialnie nigdy nie przedstawiały dużych wartości.

Jadwiga Bryła

W 1974 roku pojechałam do Gdańska do prof. Karola Taylora, żeby nauczyć się techniki hybrydyzacji. Profesor Taylor sam nauczył się tej techniki od prof. Waława Szybalskiego w Ameryce, w Madison, Wisconsin. Ta technika była bardzo ważna do mojego doktoratu.

Później, bo w latach 1978–1980, 1983–1984 i 1991–1992 trzykrotnie wyjeżdżałam do Stanów Zjednoczonych do National Institutes of Health w Bethesda, Maryland i do University of Connecticut. W Ameryce naukowcy pracowali bardzo intensywnie. Ale tam jest tak, że skoro cię temat nie pasjonuje, albo nie chcesz temu poświęcić dużo czasu, to nie idź tą ścieżką. A po drugie, jeśli chcesz zrobić karierę, awansować, no to *publish or perish*. A żeby publikować, trzeba pracować. I na dodatek trzeba pracować szybko, bo tam jest bardzo dużo naukowców i duża konkurencja. Te refleksje dotyczą Ameryki sprzed lat, teraz w Polsce jest tak samo.

W Ameryce mikrobiolog czy genetyk często nie ma pojęcia, czy dana nazwa łacińska oznacza roślinę czy zwierzę. Nie wie też, jaka jest różnica między korzeniem a liściem. Innymi słowy, jego ogólne biologiczne wykształcenie jest właściwie żadne. Może to tak wiele nie szkodzi w bardzo

wyspecjalizowanej nauce. Ale nawet tam – jak ktoś bardzo dobrze zna na przykład genetykę faga lambda, to na ogół ma bardzo słabe pojęcie o fagu T4.

Nie kusiło mnie specjalnie, żeby zostać w Stanach. Chyba nie czułam się ani taka zdolna, ani silna, ani przyzwyczajona do takiej konkurencji. Jeżeli ktoś już tam zostaje i chce zrobić karierę, to musi mieć pozycję, musi mieć lab, musi mieć ludzi. Może ja nigdy nie byłam naukowcem z krwi i kości. Dość dużo ludzi zostało, ich losy potoczyły się różnie. Ci, co pozostali, mieli zazwyczaj oparcie – męża, dzieci. I tam sobie budowali swój *establishment*.

Krystyna I. Wolska

Węgleński załatwił mi wyjazd do MIT, gdzie wlałam w inżynierię genetyczną i z tym wróciłam. Wyjechałam latem 1976 roku i byłam tylko trzy-naście miesięcy, bo nie puszczono nas razem z mężem.

Ewa Bartnik

Najczęściej wyjeżdżało się do Stanów, natomiast ja wyjechałam na rok do Anglii do Uniwersytetu Warwick w Coventry – do prof. Kelly’ego, pracującego w Department of Environmental Sciences. To był ważny dla naszego całego Zakładu kontakt, a dla mnie szansa na pracę badawczą w dobrym laboratorium. Stypendium było zupełnie głodowe, ale wtedy się człowiek nad tym w ogóle nie zastanawiał. Profesor Kelly wspólnie z dr Ann Wood (byli małżeństwem) pracowali nad metabolizmem *Paracoccus versutus*. To był pierwszy obiekt, na którym badano powiązania metabolizmu z plazmidami. Na Uniwersytecie Warwick byłam rok, a potem jeździłam do prof. Kelly’ego czy do dr Ann Wood na London University King’s College. Profesor Kelly ma niezwykłą łatwość pisania. Wykorzystywał prawie każdy wynik do publikacji. Było to cenne i owocne spotkanie. Prywatnie jesteśmy w kontakcie do dziś. Profesor Kelly jest za moim pośrednictwem członkiem Rady Redakcyjnej kwartalnika „Polish Journal of Microbiology”.

W 1984 roku mój mąż pojechał na postdoka do Stanów i w ‘86 dojechałam do niego z dwojgiem dzieci. Jako pierwsza z naszego Instytutu jechałam do USA z rodziną. Co prawda, zupełnie nie w ramach wyjazdu delegowanego przez UW, ale do męża. Do Stanów z dziećmi pojechały koleżanki: Kasia Jagusztyn-Krynicka, potem Mirka Włodarczyk, Basia Kauc. Po przyjeździe do Frederick i po rozmowie kwalifikacyjnej zostałam zatrudniona na dwa lata na postdoku w laboratorium Chromosome Biology, NHI-NCI Frederick Cancer Facility, Maryland, kierowanym przez prof. Stuarta Austina w grupie badawczej Richarda Fishela i pracowałam nad mechanizmem reparacji DNA. Owocem pracy były trzy publikacje, nie mówiąc o zdobywym doświadczeniu.

Chciałabym podkreślić, że wykształcenie na Wydziale Biologii UW i późniejsze doświadczenie w pracy naukowej na tym Wydziale, choć w trudnych technicznie warunkach, pozwalało mi na sprawne poruszanie się w laboratoriach angielskich i amerykańskich i realizację pracy badawczej. A teoretycznie czułam się czasem nawet lepiej niż niektórzy koledzy amerykańscy.

Nie brałam pod uwagę osiedlenia się na stałe w USA. Doceniam zdobyte doświadczenie naukowe, szansę, którą dostały moje dzieci, chodząc tam do szkół, ale po przeszło dwóch latach wracałam na swoje miejsce, do mojej mamy i do mojego miasta, znajomych, no i do Instytutu.

Jak wyjeżdżaliśmy w tamtych czasach za granicę, szczególnie do Stanów Zjednoczonych, to pojawiał się jakiś pan ze służb z prośbą o podpisanie absurdalnego oświadczenia, że tam, gdzie się będzie, to się będzie miało uszy otwarte i będzie się nasłuchiwać. Taki wywiad naukowo-gospodarczy. Nie wiadomo, czego biolog miałby się dowiedzieć. Wszyscy podpisywali taką lojalkę. Wiem od kolegów, że mieli takie rozmowy. Mnie się udało, ja takiej nie miałam, może dlatego, że jechałam do Anglii, a do USA jechałam rodzinnie. Natomiast miałam jedną misję polityczno-społeczną. Otóż prof. Kunicki przy okazji swojej działalności w Latających Uniwersytetach, w KOR, we wspieraniu opozycji podziemnej, darzył mnie pełnym zaufaniem. Jak byłam przez rok w Anglii, dał mi polecenie, że mam zadzwonić do prof. Piotra Słonimskiego do Paryża i powiedzieć hasło. Nie pamiętam, jakie było hasło, ale powiedzmy: *Nauka niech nam przyświeca*, jakieś takie górnolotne, i odzew. Po tej wymianie zdań miałam przedstawić się, że jestem od prof. Kunickiego. W efekcie miałam dostać pieniądze do przewozu z Anglii do Polski na wspieranie młodych naukowców. Żywą gotówkę. Wtedy w ogóle był dopiero początek kont, ja byłam zielona pod tym względem. Podjęłam gotówkę i przewiozłam ją na brzuchu z duszą na ramieniu. Musiałam trochę z tego uszczknąć, bo miałam nadbagaż spowodowany stosem odbitek z kserowanych materiałów. Umierałam z przerażenia. Przywiozłam, dałam, powiedziałam: „Panie profesorze, ja zaraz zwrócę te dwadzieścia funtów”. Odpowiedział: „Dziecko, to przecież dla takich jak ty”.

Anna Kraczkiewicz-Dowjat

Zwróciłem się do pani prof. Kasprzyk, że chciałbym pojechać na stypendium podoktorskie. Mówi: „Tak? Nie ma problemu”. Ona rzeczywiście wtedy (przede mną była Winia Janiszowska, a jeszcze wcześniej prof. Wojciechowski, ja byłem trzeci w kolejce) miała doskonałe stosunki z (dawno już nieżyjącym) prof. Goodwinem z Uniwersytetu w Liverpoolu. Profesor Goodwin był na dodatek komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego i w ogóle jakaś wielka figura. Dzisiaj to może nie byłoby taką sztuką, ale biorąc pod uwagę, że to był koniec lat 70., wydarzeniem było, że właściwie jeden list

prof. Kasprzyk wystarczał, żeby przyszedł gotowy kontrakt. Nie zaproszenie, tylko kontrakt, co zresztą finansowo było lepsze niż stypendium. Byłem tam odpowiednikiem naszego adiunkta na rocznym kontrakcie. Mogłem zostać dłużej, ale jakoś niespecjalnie chciałem. Zupełnie inna była mentalność ludzi, nie do końca mi wszystko odpowiadało. Nie pod względem naukowym, tylko ogólnoludzkim, i ostatecznie po roku zameldowałem się z powrotem w Warszawie. No i wtedy właśnie zapadła decyzja, że będę robił habilitację i pisałem już prace tylko pod swoim nazwiskiem.

Gdy w 1988 roku przyszedłem do Zakładu doc. Batki, to pojechałem jako opiekun praktyk do Taszkientu. Batko bardzo nie lubił jeździć za granicę. Tak długo zwlekał z wyrobieniem paszportu, aż się okazało, że jest już za późno, a na dodatek zorientował się, że mówię płynnie po rosyjsku. No więc padło na mnie i wtedy poznałem naprawdę serdecznego przyjaciela, z którym obecnie znamy się już od 30 lat i – jak mówi moja żona – „teoretycznie dzieli was wszystko, począwszy od miejsca życia, poprzez zwyczaje, religię, światopogląd, a jesteście dla siebie jak bracia”.

Jako opiekun praktyk byłem dwa razy w Taszkencie, w '88 i '89, raz jako nauczyciel, później już jako uczony. A potem nastąpił upadek systemu socjalistycznego i rozpad imperium radzieckiego. I wszystko się urwało aż do roku 2002, kiedy miałem już swój gabinet w Alejach Ujazdowskich i odwiedziła mnie pani prof. Zamarajewa z Uniwersytetu w Taszkencie. Od dobrych kilku lat jest kierownikiem Zakładu Biofizyki na Uniwersytecie w Białymstoku, ale wtedy, w 2002 r., była na kilkumiesięcznym stypendium w Polsce. Przed wyjazdem ten mój przyjaciel mówi do niej tak: „Słuchaj, jedziesz do Polski, minęło już 13 lat, ale zobacz, może gdzieś tam żyje profesor Wiłkomirski?”. I ona mnie odszukała. A jak już mnie znalazła, powiedziałam: „Dobra, odgrzewamy to”. Załatwiłem w rektoracie brudnopis umowy, którą można było podpisać, i jako emisariusz pojechałem do Taszkientu załatwiać formalności. No i od tego czasu, czyli od 2002 r., zaczęła się współpraca na dobre, już raczej nie dydaktyczna, a naukowa. W 2011 r. dostałem od nich doktorat honorowy, który sobie bardzo cenię. W końcu to największy zaszczyt, jaki jedna uczelnia może dać pracownikowi drugiej uczelni.

Bogusław Wiłkomirski

Było kiedyś takie zebranie – pan doc. Hrebenda i pan prof. Kwiatkowski spotkali się i powiedzieli do mnie: „Jak pan nie zrobi habilitacji w jakimś tam czasie, to niestety przeniesiemy pana na etat starszego wykładowcy”. Pomyślałem sobie, że nie chcę być starszym wykładowcą, chcę jeszcze gdzieś wyjechać. I wtedy wyjechałem do Ameryki.

Wcześniej wyjeżdżałem kilka razy do Niemiec. Pojechałem do pracowni prof. Zeinera, Szwajcara, pracującego w Uniwersytecie w Tybindze.

Siedziałem tam przez trzy miesiące wakacji na stażu. Miałem hotel asystencki, ale okazało się na początku, że ni diablą nie rozumiem, co jest napisane na tabliczkach z nazwami ulic, bo to było po niemiecku, w gotyku. Postanowiłem więc pójść pieszo z hotelu na uczelnię, żeby następnego dnia – a była to niedziela – trafić punktualnie na miejsce. I nauczyłem się tej drogi. Chodziłem nią przez trzy miesiące do roboty. No przecież autobus kosztował prawie dwie marki, niemal 1/5 naszej pensji w Polsce. Oszczędzało się maksymalnie. Później już było tylko lepiej. Wyjeżdżaliśmy w grupie przyjaciół na narty do pobliskiej Szwajcarii, a także do Francji.

Wracając do mojego amerykańskiego wyjazdu: napisałem do niejakiego Daniela Portnoya, ucznia Stanleya Falkowa. Falkow był wtedy światowym guru w zakresie plazmidów *Yersinia*. No to ja do tego Dana, że bardzo się interesuję tą bakterią i chciałbym się tym zajmować. A on na to, że właśnie dostał duży grant i przenosi się z nim do Filadelfii. I jeśli chcę, mogę przyjechać, ale będę się zajmować *Listeria*, nie *Yersinia*, bo grant jest na *Listeria*. Portnoy zmienił tematykę, bo chciał się odczepić od Falkowa, usamodzielnic.

To było normalne stypendium, jakieś 20 tysięcy dolarów rocznie. Pojechałem z rodziną i okazało się, że te 20 tysięcy nie wystarcza na utrzymanie, bo trzeba opłacić mieszkanie, szkoły dla dzieci itd. Jak się dowiedzieli o tym nasi amerykańscy koledzy naukowcy, doszli do wniosku, że moja żona nie może wrócić z dziećmi do Polski, i załatwili jej robotę. Została pracownikiem uniwersytetu za trzy razy większe pieniądze niż moje stypendium, co pozwoliło nam potem, po powrocie do Polski, kupić dom.

W Ameryce byłem dwa i pół roku. Miałem zostać, ale dziewczyny nie wyrabiały. Tęskniły za koleżankami, chciały wracać do kraju. Poza tym miałem jeszcze wtedy rodziców i zdawałem sobie sprawę, że jak zostanę w Stanach na dłużej, to koniec, już do Polski nie wrócę. Musiałem zdecydować: albo zostaję i przechodzę na etat, albo wracam. Poza tym u nas jest zupełnie inna obyczajowość. My jednak mimo wszystko oddzielamy życie prywatne od pracy.

Jacek Bielecki

Nie było środków na wyjazdy konferencyjne za granicę. Wyjeżdżałam na konferencje do Niemiec, Szwecji, Japonii, Hiszpanii, korzystając z grantów, które dostawałam od organizatorów. Udało mi się też pojechać na miesięczny kurs fotosyntetyczny organizowany na Majorce. Byli na nim nobliści, byli profesorowie Walker i Benson. Poznałam tam szereg osób, przez które byłam potem zapraszana i do których mogłam wyjechać, na przykład do prof. Wilda (Mainz, Niemcy).

Na początku lat 90. byłam w Szwecji na Uniwersytecie w Lund. Miałam cudowną sytuację, bo trafiłam na znakomitego prof. Albertssona, wielką

sławę, wychowawcę wielu równie znakomitych naukowców, także Hartmuta Michela, laureata Nagrody Nobla, który jako pierwszy opisał strukturę fotoukładu II. Profesora Albertssona poznałam właśnie na Majorce. Chodziłam na jego zajęcia, rozmawiałam z nim dość długo swoim bardzo kulawym angielskim, ale jemu się po prostu spodobała moja pasja. Powiedział: „Słuchaj, przyjeżdżasz do mnie”. Powiedziałam: „OK, może za rok”. I tak się stało.

W Szwecji po raz pierwszy byłam w takiej sytuacji, że, po pierwsze, mogłam realizować w całości swój pomysł badawczy, po drugie, mogłam zamawiać wszystko, co potrzebowałam do badań, bez ograniczeń. W Polsce na odczynniki czekało się wtedy rok, półtora, a tam tak się zepsułam, że jak przyjmująca zlecenie pani sekretarka pytała, czy odczynnik może być za trzy dni, kręciłam nosem, że to za późno, że potrzebuję na jutro. W każdym razie miałam cudną sytuację, warto było pracować po kilkanaście godzin na dobę, nie odróżniałam dni tygodnia, ale z rocznego pobytu w Szwecji wyszły cztery bardzo dobre publikacje, które włączyłam do mojej pracy habilitacyjnej. A nieustanne dyskusje naukowe dały doskonałą bazę do dalszych badań.

Zakupy potrzebnych mi odczynników i aparatury były finansowane przez Uniwersytet w Lund. Ponadto w ciągu tego roku wyjeżdżałam na kongresy do Kanady, Japonii, Australii. Profesor Albertsson finansował mi wszystkie wyjazdy, więc zawdzięczam mu naprawdę bardzo dużo. Nawiązałam wówczas wiele kontaktów, które utrzymuję do dziś. Po powrocie do Polski profesor chciał dalej mi pomagać, ale zaczęłam już dobrze funkcjonować w kraju. Pojawił się KBN i od '95 roku do tej pory miałam cały czas granty badawcze.

Wracając do prof. Albertssona – to właśnie on był moim absolutnym mistrzem i mentorem. Miał też jedną wspólną cechę z prof. Poskutą: dawał pełną swobodę w pracy. Był przy tym zawsze dostępny, mnóstwo czasu poświęcał na rozmowy, stanowił inspirację do dalszej pracy. Nigdy źle nie oceniał, zawsze znajdował pozytywne strony nawet najbardziej dziwnych pomysłów.

Na wyjazdach bardzo dużo korzystałam, ale nigdy nie myślałam o pozostaniu za granicą.

Nie było o tym w ogóle mowy. Zresztą mój tata zawsze mi mówił: „Pamiętaj, nie możesz nigdzie zostawać, czymkolwiek by cię nie kusili”. Wyjeżdżając, zawsze chciałam pokazać, że jestem od innych lepsza. To była taka polska duma, żeby nie powiedzieli, że Polacy są gorsi. Polacy są lepsi, Polacy mogą i ja na każdym kroku podkreślałam swoją polskość.

Elżbieta Romanowska

Pierwszym moim dużym wyjazdem była zorganizowana przez studentów wyprawa do Mongolii. To był bardzo piękny wyjazd. A potem pojechałam na wymienne praktyki z Uniwersytetem Łomonosowa. W naszej grupie

było osiem osób. Do tej pory utrzymujemy ze sobą kontakt. Część praktyk odbywała się w Zapowiedniku Kaukaskim. To był prawdziwie egzotyczny wyjazd w góry. Mieszkaliśmy nad rwącym potokiem, który od czasu do czasu wylewał, a jedną ze studentek chcieli porwać miejscowi hodowcy koni.

Miałam też okazję pojechać na trzymiesięczną wyprawę do Meksyku, która do tej pory procentuje mi różnymi kontaktami zawodowymi. A drugi mój duży wyjazd to roczny staż na Uniwersytecie w Aarhus, dzięki któremu mogłam potem zorganizować na Uniwersytecie Warszawskim program Tempus i dziesięć Polsko-Duńskich Letnich Szkół Ochrony Środowiska. Z każdej wyprawy, z wyjazdów, stypendiów szczęśliwie wynikał ciąg dalszy.

Anna Kalinowska

W 1985 roku otrzymałam stypendium z Niemieckiej Centrali Wymiany Akademickiej (DAAD) i wyjechałam do Niemiec, na Uniwersytet w Konstancji. Dołączyłam do zespołu prof. Winfrieda Boosa. Stypendysta zwyczajowo podejmuje badania w tematyce realizowanej przez grupę, ale w moim przypadku było inaczej. Profesor zgodził się, abym kontynuowała badania, które rozpoczęłam w kraju, a które dotyczyły funkcji białek błony zewnętrznej u *Yersinia enterocolitica*. Konstancja, leżąca u podnóża Alp, nad jeziorem Bodeńskim, zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

Mile wspominam zarówno pracę w nowoczesnym laboratorium, jak i spacer po średniowiecznym mieście, w którym ważyły się losy chrześcijaństwa. Profesor Boos przygarnął mnie do swojej rodziny. Miał żonę Amerykankę, trójkę dzieci, był inny niż większość profesorów, otwarty i serdeczny. Zamieszkałam w jego domu i zaprzyjaźniłam się z żoną profesora. Profesor odwiedzał mnie potem z rodziną w Polsce, a ja jeszcze kilka razy jeździłam do Konstancji, realizując krótkie projekty badawcze.

Dzięki staraniom prof. Boosa podjęłam też pracę w laboratorium prof. Rolanda Benza w Würzburgu, gdzie badałam właściwości fizykochemiczne białek w sztucznej dwuwarstwie lipidowej. To była wtedy nowoczesna technika, którą analizowałam przewodnictwo kanałów dyfuzyjnych białek porynowych. Z wynikami otrzymanymi w Niemczech wróciłam do Polski i przygotowałam rozprawę doktorską. Promotorem był dr hab. Jerzy Hrebenda, który niedługo później został profesorem.

W 1991 roku dostałam stypendium z Fundacji Batorego i wyjechałam do Oksfordu. Pracowałam z sympatycznym dr. Wrightem Nicholsem. Jego laboratorium mieściło się w szpitalu im. Johna Radcliffe'a, a więc tam, gdzie Aleksander Fleming pracował nad penicyliną i gdzie w 1941 roku po raz pierwszy podano ją pacjentowi. Niestety, dysponowano bardzo małą ilością penicyliny i chociaż początkowo obserwowano spektakularne efekty kuracji,

to historia pacjenta zakończyła się dramatycznie. Była to pierwsza kliniczna próba i z tego okresu pochodzi często cytowane wyrażenie: *the treatment was a success, but the patient died.*

Katarzyna Brzostek

Gdy Ogród stał się posiadaczem samochodu transportowego, najpierw marki Tarpan w 1989 roku, a później Ford Transit (obecnie jest to już piąty model tego samochodu), ułatwiło to organizację regularnych naukowych wypraw terenowych w ciekawe przyrodniczo rejony w Polsce i za granicą. W ciągu ostatnich trzydziestu lat odbyło się kilkadziesiąt naukowych wypraw samochodowych.

W latach 90. emerytowany prof. Włodzimierz Seneta – jeden z najwybitniejszych polskich dendrologów – często zaglądał do Ogródu. Razem z Dariuszem Wyrwickim spotykaliśmy się i dyskutowaliśmy o zapomnianych starych odmianach drzew i krzewów, które są warte rozmnożenia i zachowania. Zaproponowałam profesorowi wspólne wyprawy dendrologiczne do parków podworskich w Polsce. Wypraw takich odbyło się kilkanaście po parkach między innymi Dolnego Śląska, Pomorza i Lubelszczyzny. Profesor szczegółowo opracowywał trasę i razem z zespołem botaników i ogrodników z Ogródu ruszaliśmy w drogę naszym fordem transitem. Czasem uczestniczyli w tych wyprawach zaprzyjaźnieni szkółkarze. Profesor był wspaniałym znawcą drzew i doskonałym dydaktykiem. Odkryliśmy dziesiątki cudownych zakątków w całej Polsce, poznaliśmy nowe dla nas gatunki i odmiany drzew. Ogród wzbogacił się o wiele starych, zapomnianych odmian ozdobnych drzew i krzewów.

Hanna Werblan-Jakubiec

Nazwisko Tarkowskiego otwierało wszystkie drzwi. Profesor był bardzo lubiany na całym świecie. Ludzie też często przyjeżdżali do nas. Jak zacząłem pracę, to była w Zakładzie stypendystka z Francji. I to było takie oczywiste, że pan profesor ma tych wszystkich znajomych, którzy lubią do nas przyjeżdżać, czy też jeździ się do nich. Wiele osób z tego bardzo skorzystało, jak Magda Żernicka, Jacek Kubiak. Punktem wyjścia ich karier były oczywiście kontakty pana profesora, bo on był bardzo szanowany i naprawdę znany w kręgach biologii rozwoju. Zresztą chyba nawet szerzej niż tylko biologii rozwoju. Z Polski znanych było na świecie dwóch biologów – Tarkowski i Wojtczak.

Jak się miało doświadczenia ze zwierzętami, to dawniej w Polsce można było robić co się chce i ile się chce. Właściwie nikt w to nie wnikał, nie było

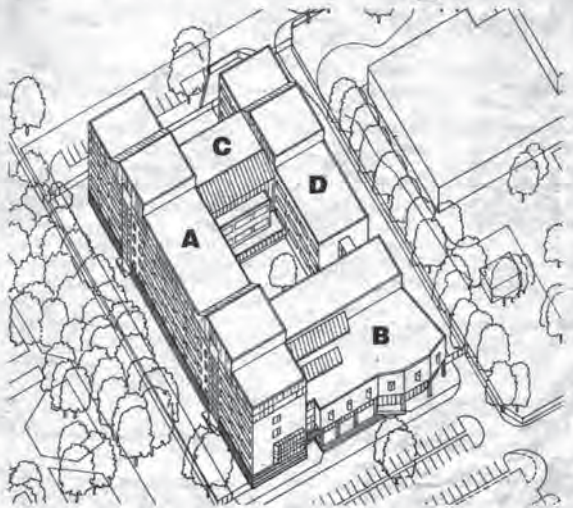
żadnych regulacji. A w Stanach ciągle przychodził weterynarz i stwarzał mi jakieś problemy. No bo coś tam jest niezgodne z prawem, znowu zrobiłem coś nie tak, klatki niewłaściwie poustawiałem albo tu proszę podpisać akt zgonu myszy itd. No ale teraz w Polsce też mamy regulacje, jesteśmy już do tego przyzwyczajeni. Choć odnoszę wrażenie, że to nas przerosło, bo w Stanach tylko ten weterynarz mnie dręczył i ciągle straszył, że zamknie zwierzętarnię. A my teraz musimy bez przerwy składać skomplikowane wnioski do komisji etycznej. Tego w Stanach nie było.

Marek Maleszewski



UNIwersYTET WARSZAWSKI

Nowa Biologia



- A - główny budynek laboratoryjny
- B - sale dydaktyczne
- C - laboratoria i zwierzętarnia
- D - laboratoria

Wydział biologii Uniwersytetu Warszawskiego za 3,5 roku przeprowadzi się do nowego budynku na Ochocie. Wczoraj na placu budowy minister edukacji Aleksander Łuczak wykopał pierwszą łopatę ziemi.

Już osiem lat temu Państwowa Inspekcja Pracy nakazała zamknięcie 150-letniego budynku Szkoły Głównej przy Krakowskim Przedmieściu, w którym mieści się wydział biologii Uniwersytetu Warszawskiego. Po niewielkim remoncie wykonanie nakazu zawieszono. Sytuacja taka powtarzała się jeszcze trzykrotnie.

Wydział biologii rozrzucony jest w ośmiu miejscach Uniwersytetu i miasta. Budynki, prócz należące do wydziału geologii, zbudowano jeszcze przed wojną. Stan większości z nich jest fatalny.

Na jednego studenta biologii przypada nieco ponad 1,5 m kw. powierzchni sal do ćwiczeń (minimalna norma mówi o 7 metrach), w laboratoriach na jednego pracownika - około 5 m kw. (powinno być 14-15).

- Studenci tracą nawet po dwie godziny dziennie na dojazdy. Nie możemy przyjmować więcej chętnych na studia. Nowa siedziba to dla nas konieczność -

mówi prodziekan wydziału Andrzej Prejs.

Kompleks budynków, który powstanie w kwadracie ulic Banacha, Pasteura i Żwirki i Wigury, zaprojektowali Witold Benedek, Krystyna Szypulska i Bożena Staniszevska z Pracowni Architektonicznej BNS. Powierzchnia obiektów biologii - 17 tys. 300 m kw.

Na Ochocie zmieści się cały wydział, prócz instytutu związanego z Ogrodem Botanicznym. W nowym budynku będzie mogło uczyć się 900 studentów (obecnie jest ich 600).

Koszt budowy szacuje się na 500 mld zł. Budowę sfinansuje Ministerstwo Edukacji. Władze wydziału liczą też na pomoc Komitetu Badań Naukowych, Fundacji Na Rzecz Rozwoju Nauki Polskiej i innych sponsorów. Część środków wygospodaruje także Uniwersytet.

Minister Aleksander Łuczak, który wczoraj wykopał pierwszą łopatę ziemi pod kamień węgielny, nie obiecywał pomocy finansowej. Mówił jedynie, że budowa jest bardzo ważna, że - skoro ją rozpoczęto - to należy ją zakończyć i, że w budżecie powinny znaleźć się środki na inwestycje. (goel)

PAMIĘTNE DNI

s. 234: „Gazeta Wyborcza” z dn. 25 sierpnia 1994 r.

Wydarzeniem, które utkwilo mi w pamięci, był pożar Zakładu spowodowany przez panią Górską. Spłonęły dwa pokoje z aparatami, preparatami, książkami.

Byłem jeszcze w Zakładzie koło godziny ósmej wieczorem. Zostawiłem wszystkie akta zebrane po posiedzeniu Rady Wydziału i zamknąłem Zakład. To był akt samobójczy. Pani Górską musiała wejść – bo każdy z nas miał klucze do Zakładu – i w swojej naiwności, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji tego kroku, odkręciła kurki gazowe, usiadła w fotelu i tyle. Gaz gromadził się pod sufitem, aż doszedł do jakiejś lodówki czy innego aparatu, gdzie zaiskrzyło, no i koniec.

Bohdan Matuszewski

Marzec '68 rok. Mój gabinet na pierwszym piętrze to był dawny gabinet prof. Bassalika. Okna wychodziły na Pałac Kazimierzowski. Tamtego dnia patrzę, coraz więcej ludzi się gromadzi. Przyjeżdżają samochody z milicją i cywilami uzbrojonymi w kije. Pomyślałem, niedobrze. Ale dalej się tylko przyglądam i widzę, jak kilku milicjantów i pięciu czy sześciu takich z kijami prowadzą jakąś grupę studentów. Bardzo mnie to zdenerwowało. Myślę sobie: „Co, do cholery, się dzieje? Coś trzeba zrobić”.

Jestem w pracowni, w białym fartuchu, wychodzę dołem, przez piwnicę koło fitotronów i idę tam. Widzę, że jest zamknięte, więc mówię: „Co to za zamknięcie? Przecież ludzie muszą wyjść”. Oni tak na mnie patrzą i nie wiedzą: „Może jakiś wariat, a może ktoś bardzo ważny?”. Otworzyli. Tych dziesięciu czy dwunastu studentów, może więcej, zaprowadziłem do podziemi Szkoły Głównej, gdzie jest fitotron. Zabrałem klucze, nic im się tam nie stanie. Powiedziałem: „Poczekajcie tu”. Zamknąłem, wyszedłem. Tam były specjalne zamki, drzwi specjalne, dobijać się nie będą. I po jakimś czasie ich wypuściłem.

Jerzy Czerski

Jakże niemiłe to były czasy... stalinizm. Stalin umarł w '53 roku. Na Pasteura w wielkim audytorium gmachu Chemii cała sala była wypełniona studentami różnych specjalności. Odbywał się jakiś wykład, może ekonomii politycznej lub filozofii, i kazano nam wstać, aby uczcić minutą ciszy śmierć Stalina. Ja wtedy dostałam ataku histerycznego śmiechu i nie wiedziałam, co ze sobą począć. Chyba udawałam, że płaczę. To było bardzo kłopotliwe.

Zofia Świetlińska

Ósmy marca? Prowadziłem akurat seminarium i przybiegła laborantka: „Biją studentów na ulicy!”. Wyrzeliśmy przez okno, rzeczywiście. Wiedziałem, że nie wolno mi wypuścić tam nikogo ze studentów, i potrafiłem jakoś powstrzymać to towarzystwo. Podobnie podczas strajków studenckich w Szkole Głównej udawało mi się zapanować nad uczestnikami.

Stanisław Lewak

Jeden raz w życiu zdarzyło mi się być w prawdziwym zagrożeniu nagłą tegoż życia utratą. Było to podczas wyprawy „Daru Opola”. W Port Sudanie spotkaliśmy człowieka, który prowadził tam badania nad „przemysłową” hodowlą perłoplastów. Opowiadał nam mnóstwo ciekawych rzeczy, między innymi o niezwykłym bogactwie raf w małej, odludnej zatoczce Mersa-ar-Rakiyai, około 70 kilometrów na północ od Port Sudanu. Postanowiliśmy tam popłynąć na parę dni. Nasz miły doradca uprzedzał, że wejście nie jest łatwe, bo wzdłuż wybrzeża, o parę mil od brzegu, ciągnie się rafa barierowa i jest przez nią tylko jedno oznakowane przejście. Trzeba wejść tym przejściem i już za barierą odszukać zatoczkę.

Wobec tego wypłynęliśmy na noc, udając się w stronę arabskiego brzegu (tak nakazywał wiatr), aby w środku nocy nawrócić w kierunku Afryki i raniutko być na miejscu. Byliśmy. Bariera – przy wietrze około czwórki Beauforta – była jednym ogromnym wałem rozbijających się fal. Boi z czarnym znakiem szczytowym oznaczającej przejście nie było widać. Szukając jej, popłynęliśmy wzdłuż bariery na północ. Koło południa doszliśmy do wniosku, że trzeba sprawdzić, gdzie naprawdę jesteśmy. Używaliśmy podczas całej wyprawy nawigacji astronomicznej. Okazało się, że jesteśmy za daleko na północ. No to wracamy i wreszcie gdzieś około piętnastej dostrzegamy boję prawie tam, gdzie zawróciliśmy na północ. Biała na białym tle pian, znak szczytowy zerwany, nic dziwnego, że jej nie zauważyliśmy. Weszliśmy za barierę i zobaczyliśmy, że przestrzeń między barierą a brzegiem jest wręcz usiana mniejszymi i większymi rafami, jak skóra na lamparcie, a na każdej fali rozbijają się gwałtownie. Popłynęliśmy na północ, lawirując między rafami prawdziwym slalomem. Stałem cały czas na salingu (poprzeczce masztu) chyba 12 metrów nad pokładem, wypatrując drogi. I gdzieś po godzinie uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy w kłopotach.

W tych szerokościach po zachodzie słońca natychmiast nastaje ciemność. Zachód był o 18:00. Zrozumieliśmy, że jeśli do tej godziny nie będziemy w zatoce, jeśli ciemność zapadnie podczas tego żeglarskiego slalomu, to jacht rozbije się na pierwszej z tych setek raf. Jeżeli nawet udałoby się nam spuścić na wodę tratwę, to ona rozpruje się na następnej rafie. A jeżeli nawet ktoś

z nas potrafi dopłynąć do brzegu, to po takich przygodach nie dojdzie boso przez pustynię 70 kilometrów do siedzib ludzkich. Silnik już był włączony i wspierał żagle. Zazwyczaj oszczędzaliśmy go bardzo, żeby był na czarną godzinę. Teraz był na najwyższych obrotach w tym wyścigu ze słońcem. Na jachcie panował dziwny nastrój. Nic złego nam się nie działo. Rutyna jachtowego życia toczyła się zwykłym trybem. Nie mówiliśmy o tym, ale każdy wiedział, że mamy czasu, mamy życia do 18:00. Zakotwiczyliśmy o 18:05.

Tomasz Umiński

Marzec 1968. Odbywało się jedno z seminariów zakładowych. Nagle otworzyły się drzwi, wpadła laborantka, krzycząc: „Naszych biją!”. Rzuciliśmy się do drzwi. Rzeczywiście, od ulicy Oboźnej, na tyłach naszego budynku, wtargnęła na teren Uniwersytetu grupa „robotników” i zaczęło się lanie studentów.

Stan wojenny. Byłam w tym czasie sekretarzem Polskiego Towarzystwa Fizjologii Roślin, które należało do Europejskiej Federacji Towarzystw Fizjologii Roślin. W roku 1982 Polska miała być gospodarzem kolejnego międzynarodowego kongresu naukowego tej organizacji. Władze Federacji znajdowały się w Wielkiej Brytanii. W momencie ogłoszenia stanu wojennego zostaliśmy całkowicie odcięci od kontaktów z centralą, jak również z członkami innych towarzystw w Europie. Jeszcze przed ogłoszeniem stanu wojennego napłynęło wiele zgłoszeń, na które nie można było odpowiedzieć. Nie docierały żadne listy, nie działały telefony. Dopiero w lutym 1982 udało się naszym brytyjskim kolegom dotrzeć do mnie poprzez British Council. Wspólnie uznaliśmy, że w tych warunkach zorganizowanie kongresu w Polsce jest niemożliwe. Niemniej, decyzją władz Federacji, w numeracji późniejszych kongresów zawsze uwzględniano kongres warszawski.

Alina Kacperska-Lewak

Pamiętam o wydarzeniach poznańskich: 22 czerwca 1956 roku w Poznaniu doszło do robotniczych protestów krwawo stłumionych przez ówczesne władze. Demonstracje rozpoczęły się w zakładach im. Hipolita Cegielskiego (wtedy zakłady im. Stalina). Na ulice Poznania wyszły tysiące protestujących. Robotnicy śpiewając „Jeszcze Polska nie zginęła”, szli przed gmach Miejskiej Rady Narodowej i Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Niesiono transparenty z hasłami: „My chcemy Wolności”, „Żądamy podwyżek”, „Chcemy chleba”. Na bezbronnych, w znacznej mierze młodych ludzi wysłano 8 tysięcy żołnierzy, kilkadziesiąt transporterów opancerzonych, 300 czołgów. Zabito około 70 osób. Były setki rannych. Ja i moi przyjaciele z Uniwersytetu Warszawskiego dowiedzieliśmy się o tym z różnych przecieków.

W 1969 roku, jako konsekwencja wydarzeń marcowych z 1968 roku i V Zjazdu PZPR (w listopadzie '68), na Uniwersytecie Warszawskim doszło do poważnych zmian organizacyjnych. Podlegał im także Wydział Biologii i Nauk o Ziemi, który został podzielony na Wydział Geografii i Wydział Biologii, z trzema Instytutami: Botaniki, Zoologii i Mikrobiologii. Pisze o tym bardzo ciekawie i wnikliwie prof. Alina Skirgiełło, ówczesna dziekan Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi i dziekan nowo powstałego Wydziału Biologii (*Zapiski ze stuletniego życia*, wyd. BEL Studio, dla UW, Warszawa 2006).

Kamieniem milowym w rozwoju Wydziału było, moim zdaniem, jego przeniesienie w 2000 roku z Gmachu Szkoły Głównej na Krakowskim Przedmieściu do nowego budynku w Kampusie Ochota przy ul. Miecznikowa. Jest to ogromna zasługa profesora naszego Wydziału, prof. dr. hab. Jerzego Moraczewskiego, który był projektantem budowy i jej realizatorem, oraz ówczesnej dziekan prof. Ewy Symonides.

Maria Charzyńska

Był to czas zły, a nawet tragiczny. Przeżywaliśmy bardzo boleśnie rewolucję węgierską w 1956, były spotkania z dziennikarzami, którzy byli w Budapeszcie, zbiórka krwi na UW. Była też chwila euforii w październiku '56, wiece na Politechnice, dojście do władzy Gomułki i wielki wiec przed PKiN. Było parę miesięcy odwilży. Ukazywały się interesujące artykuły w „Sztandarze Młodych” i „Polityce” i pierwsze drukowane w odcinkach opowiadanie Sołżenicyna o Gułagu: *Jeden dzień Iwana Denisowicza*.

W '68 byłem doktorantem, 8 marca miałem zajęcia ze studentami. Z okien Szkoły Głównej widzieliśmy wiec przed Pałacem Kazimierzowskim. Poszedłem tam na chwilę, ale musiałem wrócić na ćwiczenia. Po południu widziałem zbierające się za Szkołą Główną oddziały klasy robotniczej i szarże milicji na studentów zgromadzonych na dziedzińcu. Kilkoro z nich uciekło do naszego budynku, a pan Jan Sucharski zaryglował te wielkie drzwi. Potem było pałowanie na Krakowskim, wiece antysemitki, z poparciem ZMS i niektórych naszych kolegów z Wydziału. Z Instytutu Zoologicznego nikt nie został wyrzucony w ramach rasowej czystki.

Po sierpniu '80 zawrzało na UW, nawet na naszym Wydziale. Założyliśmy „Solidarność”, zostałem wybrany na przewodniczącego koła wydziałowego. W grupie organizującej związek były jeszcze dr Kwiatkowska i dr Pijanowska. Działaczem prześladowanym przez UB był dr Tomasz Umiński. Większą część (cztery lata) stanu wojennego spędziłem we Francji. Na Uniwersytecie Paris XII był komitet pomocy „Solidarność”, zbieraliśmy leki, żywność i odzież i wysyłaliśmy to na UW lub do parafii. To była dobrze zorganizowana akcja na wszystkich uniwersytetach w Paryżu, ktoś dbał o transport samochodowy i przewiezienie paczek do Polski.

Chyba gdzieś tak pod koniec stanu wojennego zostałem prodziekanem ds. finansowych. Wydział był strasznie ubogi. Ja byłem najbardziej znienawidzonym na Wydziale osobnikiem. Ponieważ koledzy przychodzili, prosili o pieniądze, a ja nie dawałem. Mówili: „Moraczewski to jest sknera i ma ołówkę tak krótki, że w ogóle nie może nim pisać”. Wtedy wprowadziliśmy pierwsze tak zwane badania statutowe, pierwsze takie małe granty, na które dosłownie grosze ludzie dostawali przez rok. Trzeba było robić jakieś badania z funduszy własnych, a równocześnie ciągle starać się – bo to wtedy powstał Komitet Badań Naukowych – o jakieś pieniądze. Ale najważniejsza rzecz, która wtedy zaczęła się toczyć, to była budowa Wydziału.

Budowa nowego gmachu Wydziału ma długą historię. Były naciski ze strony władz budowlanych, że Szkoła Główna się zawali, że musimy się stamtąd wynieść. Dokąd – były różne pomysły. Na przykład nad Wisłą, jak się zjedzie Karową na dół, na rogu jest teraz „las lipowy”. To był teren, który miasto koniecznie chciało oddać Uniwersytetowi. Już były plany. Wtedy, na początku lat 50., prof. Kunicki został „seniorem budowy”, czyli oddelegowanym przedstawicielem dziekana do dyskusji z inżynierami. Były kreślone przez profesora plany wspaniałych zakładów, ile osób będzie pracować na Wydziale, obliczenia... Ale to pozostawało tylko na papierze, nic się nie stało, dlatego że nie było pieniędzy.

Po profesorze Kunickim tę zaszczytną funkcję „seniora budowy” objął prof. Bezubik i wtedy pojawiły się propozycje przejęcia budynku szkoły przy ul. Ceglanej, koło obecnej BUW, taki czerwony gmach z dużym podwórkiem. Niedaleko była jakaś inna szkoła. Profesor Raabe jeździł na inspekcje, a ja wtedy zrobiłem się bardzo aktywny w tej sprawie, ponieważ Pracownia Mikroskopii Elektronowej była w okropnych warunkach i pomyślałem sobie, że w nowym budynku będę walczył o wielką przestrzeń. Ale to upadło. Następną propozycja to był budynek przy ul. Długiej. Teraz tam jest Wydział Ekonomii. Budynek zabytkowy, nie można nic przebudować ani dobudować. W 1986 roku dziekan Cymborowski powiedział do mnie: „Słuchaj, zostań tym opiekunem budowy”. Ja mówię: „Przecież nic się nie buduje”. Na to on: „Wiesz, to trzeba kontaktować się z inżynierami, a przecież jakby się budowało, to jest bardzo ważne dla ciebie, bo Pracownia jest...”. Złapałem haczyk, połknąłem... Zostałem piątym z kolei seniorem nieistniejącej budowy. Nie mieliśmy wtedy ani pieniędzy, ani lokalizacji, ale okazało się, że zespół prof. Witolda Benedeka z Biura Projektów MEN, którego projekt Wydziału Biologii UMK w Toruniu został zrealizowany, podjął prace studyjne nad nowym gmachem dla nas. Po roku dostaliśmy obietnicę działki na Ochocie, która jeszcze przed wojną należała do Uniwersytetu. Ulica – jest tam teraz park Marii Curie – miała być przedłużona do Banacha i jeszcze dalej. Tu miała powstać wielka rządowa dzielnica i Uniwersytet. A były tam magazyny budowlane „Chemoinstalu”.

Po 1989 roku z większym optymizmem przystąpiliśmy do opracowywania wstępnego projektu, ale sytuacja gospodarcza była bardzo trudna,

szalała inflacja, nie mieliśmy żadnych nadziei na uzyskanie funduszy na budowę. W tym czasie Uniwersytet dostał od MON budynek po Wojskowej Akademii Politycznej im. F. Dzierżyńskiego przy ul. Banacha i rektor prof. Wróblewski postanowił przydzielić go naszemu Wydziałowi. Niestety, Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki znalazł się w jeszcze gorszej niż my sytuacji lokalowej i salomonowym wyrokiem podzielono budynek przy Banacha 2 na pół. Chcieliśmy tam przenieść wszystkie laboratoria i sale ćwiczeń ze Szkoły Głównej i część z Obserwatorium Astronomicznego. Okazało się jednak, że ze względu na strukturę gmachu przebudowa byłaby zbyt kosztowna. Budynek wyremontowano i umieszczono tam laboratoria nieposiadające zbyt dużo ciężkiej aparatury. Wydział był wtedy rozproszony w dziewięciu miejscach w Warszawie, a niektóre laboratoria nie były remontowane od kilkunastu lat. Najpierw dzięki staraniom zespołu dziekańskiego prof. Lewaka uzyskaliśmy trochę pieniędzy z KBN, pozwalających na niewielki współdziałanie w budowie IBB PAN, gdzie mogliśmy przenieść IBER i Zakład Genetyki. Obietnica KBN i MEN umieszczenia budowy nowego gmachu Wydziału w planach finansowych na przyszłe lata stała się bodźcem do zakończenia prac nad projektem.

We wrześniu 1993 roku dziekanem Wydziału została prof. Ewa Symonides. Przejęła ona plany budowy wraz z jej seniorem oraz mgliste obietnice pieniędzy. Dzięki konsekwentnym, uporczywym i niezmiernie skutecznym działaniom pani dziekan dostaliśmy pieniądze na rozpoczęcie budowy wiosną 1994 roku. Z prac studyjnych wynikało, że powinniśmy budować gmach o powierzchni około 20 000 m² – takie projekty przygotowaliśmy. Niestety, dostaliśmy zgodę na budowę gmachu o połowę mniejszego, a pieniędzy ledwie starczyło na wykop pod fundamenty. Mieliśmy umowę z dobrą firmą budowlaną „Inter-Profi”, która zgodziła się pracować na kredyt. Oni to robili, a my wyskrobywaliśmy pieniądze. Profesor Symonides pisała dziesiątki próśb i wniosków o finansowanie, poświęcała wiele czasu na wizyty w MEN, KBN, w różnych fundacjach i urzędach. Budowaliśmy bardzo wolno, bo nikt nie mógł wtedy sfinansować tak dużej inwestycji. Gdybyśmy zbudowali ten gmach w ciągu trzech, a nie sześciu lat, koszty byłyby znacznie niższe. Co tydzień regularnie w poniedziałki odbywały się zebrania z wykonawcą i podwykonawcami: co jest do zrobienia na cały tydzień następny, co było zrobione w zeszłym tygodniu. Kierownikiem budowy był pan inż. Hańczakiewicz, fantastyczny człowiek. Żelazną ręką trzymał robotników.

Wspaniale współpracowało mi się z zespołem projektantów i kierownictwem budowy. Konsultowano ze mną prawie każdy szczegół, o wyposażeniu i estetyce budynku to ja decydowałem. Te decyzje konsultowałem z przyszłymi użytkownikami. Staraliśmy się zbudować i wyposażyć tak pomieszczenia, żeby odpowiadały tym użytkownikom. Z firmą budowlaną podpisaliśmy kontrakt na pełne wykończenie. Teraz to by się nie udało absolutnie. Dzięki temu nie przeżyliśmy tych strasznych chwil ze skargami na przetargi. Mówiłem na przykład: „Chciałbym, żebyście tutaj tak i tak to

zrobili”. Oni kombinowali i mówili: „To będzie za drogie”. „No to spróbujemy znaleźć tańsze rozwiązanie”. Zrobiliśmy przetarg na meble laboratoryjne i zbijaliśmy cenę, kłóciliśmy się o każdy tysiąc złotych. Nawet Amerykanie tu przyjechali, żeby nam sprzedać meble laboratoryjne. Szczegóły dotyczące tej budowy to jest długie opowiadanie...

W końcu września 2000 roku przeprowadziliśmy się. A potem wspaniała chwila: otwarcie budynku 2 października i gratulacje, i wszyscy szczęśliwi.

To naprawdę było moje bardzo mocne przeżycie.

Jerzy Moraczewski

W marcu '68 zaczęła się ruchawka po wiecu. Byliśmy wszyscy na placu, tłum studentów stał przed Biblioteką, pałkarze wjechali autokarami od strony Krakowskiego Przedmieścia, weszli też przez bramę od Oboźnej i otoczyli protestujących. Wpadłem wtedy na genialny pomysł. Pobiegłem do Zakładu, gdzie miałem waciak, tzw. kufajkę. Nałożyłem go na siebie, a do tego berecik i wyszedłem na plac, udając robotnika placowego. Lali młodzież dookoła, aż dudniło, a ja chodziłem między pałkarzami i mnie nie ruszali, bo ja byłem klasa robotnicza.

Ósmy marca przypadł w piątek, w sobotę nic się nie działo, a w poniedziałek był wiec na Politechnice, więc oczywiście poszliśmy. Tłum zgromadził się od Noakowskiego, od Koszykowej po plac Jedności Robotniczej. Ubeków poznawało się po tym, że chodzili w futrzanych czapkach, pierożkach. Pamiętam, że na Noakowskiego młodzież coś krzyczała i takie cywilne ubeki ruszyły na ludzi. Jedna z dziewczyn wpadła do bramy, a za nią właśnie taki w czapce. Dopadł ją na podwórku, ona się szarpała, on, trzymając ją w pól, stał w rozkroku. Wbiegłem za nim, a miałem takie ciężkie buty, i dałem mu z całej siły kopa w tyłek, po czym uciekłem. Takie było moje bohaterstwo w '68 roku, ale com go w dupę kopnął, tom kopnął.

Potem protest już przygasał. Miał być jeszcze wiec w Auditorium Maximum. Władze Wydziału prosiły niektórych asystentów, żeby namawiali studentów do rezygnacji z udziału w wiecu. Wiadomo było bowiem, że nic z tego nie będzie, że to się kończy, a będą wyłącznie ofiary w postaci relegowania z uczelni. Takie polecenie dostałem od prof. Raabego i pani dziekan Skirgiełło. Poszedłem pod Auditorium z (dawno już nieżyjącym) partyjnym kolegą – Andrzejem Batką. Tłum był dziki, o wejściu do środka nie było mowy. Staliśmy więc na placu na zewnątrz i kogoś tam w imieniu władz Wydziału namówiliśmy, żeby się wycofał.

Historia ta miała jednak groźny dla mnie epilog. Po dwóch dniach wezwał mnie do siebie nowy promotor prof. Kraczkiewicz (mój Mistrz już nie żył od roku). W jego gabinecie była też dziekan prof. Skirgiełło. Z poważnymi i smutnymi minami wręczyli mi pismo niechlubnie urzędującego

wtedy prorektora Rybickiego, zawieszając mnie w czynnościach służbowych „za niegodne asystenta UW zachowanie” i kierujące moją sprawę do komisji dyscyplinarnej dla pracowników. Okazało się, że złożono na mnie donos, jakobym uczestniczył w tym ostatnim wiecu i tamże „ochoczo wznosił antypaństwowe okrzyki”. Zapachniało wyrzuceniem z uczelni na trzy miesiące przed doktoratem. Decyzja prorektora była jednak niezgodna z prawem, bo o zawieszeniu pracownika musiał decydować Senat uczelni, który się nie zbierał. W rezultacie po trzech dniach zawieszenie zostało anulowane, ale komisja dyscyplinarna nie. Ustaliliśmy wobec jawnej nieprawdziwości tych stwierdzeń, że zażądam konfrontacji z donosicielem. Żądanie to spotkało się z odmową. Dowiedziałem się jedynie w kancelarii rektora, „że donos pochodzi od osoby, którą pan rektor darzy pełnym zaufaniem”. Na szczęście miałem dobrych i mocnych świadków w osobach: sekretarza partii prof. Teleżyńskiego, dziekana prof. Skirgiełło i dyrektora Instytutu prof. Raabego, którzy zgodnie oświadczyli, że byłem przez nich proszony o wycofywanie naszych studentów z tego wiecu, a w trakcie jego trwania rozmawiałem z nimi w naszym gmachu. Do zwołania komisji dyscyplinarnej nigdy więc nie doszło, ale też nikt mnie nigdy nie przeprosił.

Rafał Skoczylas

Pracowaliśmy na kampusie na Krakowskim, wobec tego byliśmy bardzo często, przynajmniej w sensie fizycznym, w epicentrum różnych zdarzeń.

Marzec '68. U profesora Bezubika pracowała młoda dziewczyna, лаборantka, techniczka. Wyszła po pracy na dziedziniec uniwersytecki, szła do domu, nie wiedząc, co się tam dzieje. I została pobita, spalowana przez zomowca. Znalazła się w złym miejscu w złym momencie. Na drugi dzień powiedziała o tym incydencie: „To Polacy mnie bili”. Do dziś pamiętam tę jej wypowiedź, pełną goryczy.

We wrześniu 1984 roku był u nas z wizytą wraz z żoną prof. David Nanney. W niedzielę jego żona poprosiła nas, żebyśmy poszli do kościoła. Najbliżej był kościół św. Stanisława Kostki na Żoliborzu, a mszę odprawiał śp. ksiądz Jerzy Popiełuszko. Miesiąc później został zabity. Nanneyowie wrócili do Giessen (Niemcy), gdzie prof. Nanney spędzał sabbatical. Napisali do nas ogromnie poruszeni, czy to ten ksiądz, którego widzieli i słuchali, i ten kościół, bo telewizja niemiecka pokazywała go wielokrotnie. Obydwoje byli głęboko religijni, ale podobnie jak prof. Ayala, który otrzymał tytuł doktora *honoris causa* naszego Uniwersytetu, prof. Nanney był ewolucjonistą – to była obok genetyki jego pasja – i łączył ewolucjonizm z własną religijnością.

Andrzej Kaczanowski

W 1969 roku powstała Terenowa Stacja Badawcza Biologicznego Oczyszczania Ścieków Instytutu Mikrobiologii UW przy Mazowieckich Zakładach Rafineryjnych i Petrochemicznych w Płocku. Tak się to strasznie długo nazywało. Udział w tych badaniach brali: Hanka Boszczyk, Stefan Makowski, Szymon Szymanowski, Maciek Horoch, ja i jako szef pracowni Katarzyna Łopatowska.

Ponieważ ciągle się jeździło do Płocka, została zakupiona łódka i tą łódką też się tam z Warszawy pływało. Głównie pływali chłopcy, czyli Szymon Szymanowski, czasem Maciek Horoch, ale zazwyczaj Stefan Makowski – najczęściej we dwóch. Któregoś razu Stefan popłynął sam z pensjami dla dwóch laborantek z Płocka. Łódź prawdopodobnie wpadła na jakąś mieliznę, musiała gwałtownie się zatrzymać i Stefan wypadł do wody, a ponieważ nie umiał pływać, utonął. Ciało znaleziono dopiero po tygodniu. Przez ten tydzień strasznie denerwowaliśmy się. Policja rzeczna odnalazła też jego teczkę, w której oczywiście już nie było pieniędzy. To była ogromna tragedia, zwłaszcza dla matki Stefana. Kilka miesięcy wcześniej straciła męża, który po bardzo długim pobycie w łagrach, schorowany, wreszcie wrócił w latach 60. do kraju, ale wkrótce zmarł. A niedługo potem Stefan, jedyny syn. Dla nas, dla całego Instytutu to był duży cios. Stefan był człowiekiem niezwykle aktywnym, pogodnym, łatwo nawiązującym kontakty. Trudno było przyjąć do wiadomości to, co się stało.

W dniu 8 marca 1968 roku od rana przed Uniwersytetem zbierali się studenci oburzeni postępowaniem władz. Przed ćwiczeniami, które prowadziłam, przyszedł jeden ze studentów – Marek Ostrowski, żeby mi powiedzieć, iż studenci nie przyjdą na zajęcia, ponieważ są przeciwko temu wszystkiemu, co się dzieje. Przyjęłam to do wiadomości i powiedziałam: „Dobrze. Nie przychodźcie, to nie. Ja nie prowadzę dzisiaj tych ćwiczeń”. I wtedy pojawił się inny student (nie podaję jego nazwiska) i wyraził zdziwienie, że zajęcia są odwołane – przecież przyszedł na ćwiczenia. Nie był zadowolony z mojej decyzji.

Tego samego dnia poszłam jeszcze coś załatwić w dziekanacie. Idę w stronę dziedzińca uniwersyteckiego i widzę, że ZOMO przepędza cały tłum w przeciwnym kierunku. Kiedy zobaczyłam w pewnej chwili nad sobą milicjanta z pałą, zawróciłam i uciekłam. Pałą ostatecznie nie dostałam. Ale wielokrotnie byliśmy rewidowani, zatrzymywani. Szczególnie często Maciek Horoch, bo chodził z plecaczkiem i wiecznie go przeszukiwali. Potem był taki moment, kiedy trzeba było nocować na terenie Szkoły Głównej – żeby się nie wdarł tam „aktyw robotniczy”. No więc chłopcy chodzili dookoła budynku, a my w środku robiłyśmy kanapki. Mieliśmy grafik, kto kiedy przychodzi na dyżur nocny. Spaliśmy na materacach dmuchanych. Panowie grali w brydża. Świetnym brydżystą był prof. Romek Mysielski.

Na pierwszym i drugim roku studiów, czyli w latach 1955 i 1956 byłam chórzystką Chóru Uniwersyteckiego. Próby odbywały się w akademiku na Kickiego w niedzielę rano. I teraz najważniejsze. Otóż potajemnie przygotowywaliśmy *Gaudeamus [igitur]* i *Gaude Mater [Polonia]*, przecież tego nie wolno było śpiewać.

Inauguracja w 1956, jesteśmy na górze w Audytorium Mickiewiczowskim. Wchodzi cały Senat. I nagle huknęliśmy *Gaudeamus...* Jezu! Oni się popłakali, ci profesorowie. A potem *Gaude Mater Polonia*, także! To były wydarzenia. Naprawdę, bo dziś co tam *Gaudeamus...* A ja znam *Gaudeamus...* od dziecka, bo moja mama śpiewała w domu. Moja mama, no, wszyscy, co mieli studia, byli w organizacjach studenckich, *Gaudeamus...* w domu śpiewali. Bo zakazane, bo dzieci trzeba uczyć.

W 1956 wszyscy – całym rokiem – idziemy oddać krew dla Węgrów.

Byłam starościaną roku i z nami wszystkimi współpracował prof. Marian Rybicki. Był opiekunem spraw studenckich, bardzo wrażliwy człowiek. Każda trudna sprawa, wymagająca pomocy finansowej czy jakiegokolwiek, to „Ryba” angażował się w to bardzo.

Potem był '68 rok. To było o tyle dla mnie straszne, że moja córka Ania była w przedszkolu w Pałacu Kazimierzowskim. Wpadli tam studenci, a za nimi milicja i na oczach dzieci odbyło się pałowanie. I Ania potem miała tik nerwowy, no, straszne rzeczy się działy z dzieckiem.

Stan wojenny. Jestem sekretarzem „Solidarności” na Wydziale i rano 14 grudnia mam u siebie w domu rodzinę Tomka Umińskiego, bo Tomka internowano. Lecę na uniwersytet i w Pałacu Kazimierzowskim wszyscy jesteśmy u rektora Samsonowicza i każdy mówi, kogo nie ma, kogo internowano. Od tego momentu jestem w stałym kontakcie z prof. Samsonowiczem, bo na dodatek po internowaniu Umińskiego, który był prodziekanem ds. studenckich, ja jestem tym prodziekanem na jego miejsce. Umawialiśmy się z prof. Samsonowiczem na dziedzińcu, to tam, to siam, żeby nikt nie podsłuchiwał. No i udało się załatwić mój wyjazd do internatu do Jaworza z delegacją służbową.

Ten wyjazd do Jaworza był niesamowity. Pojechałyśmy – a było nas ze dwadzieścia kobiet – pociągiem, a potem szłyśmy sześć kilometrów nocą przez las. Szła między innymi żona mojego szefa – prof. Matuszewskiego. I ona mi po drodze zdradzała tajniki malarstwa, bo mnie ciągnęło z biologii do sztuki. Cały czas rzeźbiłam, ale malować nie umiałam. Stan wojenny mnie dobił. Dwa razy miałam w domu milicję z psem, wojskiem. Okropne. Świat stał się czarny, no i musiałam malować, a nie umiałam. I pani Matuszewska po drodze opowiadała mi, jak to się robi.

Docieramy w końcu do ośrodka internowania. Wchodzimy do małego pomieszczenia, w którym jest milicjant. Czekam na widzenie z Tomkiem Umińskim. Tymczasem ten milicjant patrzy na mnie i mówi: „Pani tu... Ojej. A ja z dziećmi oglądam pani programy”. No to myślę, wykorzystam. „Mogę

uściskać przyjaciela?”. „Proszę bardzo”. Umiński podszedł do mnie, uściśnięliśmy się i wrzuciłam mu za koszulę wszystkie listy i wiadomości, które miałam. Wychodzimy, a oni tam wszyscy stoją – Mazowiecki, Bartoszewski, wszyscy. Pytam tego milicjanta: „Mogę ucałować?”. I wszystkich pocałowałam, po prostu wszystkich. Oni byli tacy szczęśliwi, że nas widzą. Parę miesięcy później wsiadam na placu Trzech Krzyży do autobusu i wsiada właśnie zwolniony z internowania Władysław Bartoszewski z żoną. Kłania mi się. Żona pyta: „Kto to?”. A on na to: „To pani, która nas odwiedziła w Jaworzu”.

Maryna Szöllösi

Wydział Biologii nie należał do najbardziej „rozpolitykowanych”. Członkowie PZPR byli nieliczni i na ogół niezbyt aktywni. Jednak, jak się miało okazać, kilkoro pracowników Wydziału było bardzo mocno zaangażowanych w działalność opozycyjną. Oczywiście wielka polityka i związane z nią wydarzenia odbijały się na życiu Wydziału, czasami w dość szczególnie, może nawet tragikomiczny sposób.

Marzec 1968 roku. W kilka dni po brutalnie stłumionym wiecu na dziedzińcu Uniwersytetu odbyły się kolejne wielkie demonstracje. Od strony Krakowskiego Przedmieścia ciągnął ogromny tłum. Tradycyjnie, w przewężeniu Nowego Świata, w miejscu wygodnym dla tzw. sił porządkowych, czekał zwarty oddział ZOMO. My, czyli pracownicy i część studentów Zakładu Hydrobiologii, z okien budynku przy Nowym Świecie 67 obserwowaliśmy rozwój wypadków. W pewnej chwili zauważyliśmy, że na hełmach szarżujących funkcjonariuszy rozbijają się jajka spadające z piętra nad nami. To dzielni mikrobiolodzy zbombardowali ZOMO zapasem jajek zgromadzonych tam zapewne w innym celu. W odpowiedzi kilku milicjantów próbowało sforsować potężne, kute drzwi do budynku. Na szczęście bez powodzenia. Nie rezygnując jednak z rewanzu, wybili niewielkie szyby zdobiące drzwi i wrzucili do wnętrza kilka świec dymnych. Przez wiele następných dni praca i dydaktyka w budynku nie należały do przyjemnych.

Praska Wiosna 1968 roku. Po długich przygotowaniach 19 sierpnia mikrobus marki Nysa z napisem „Universitas Varsoviensis, Institutum Zoologicum”, Fiat 500, motocykl i skuter wyruszają w stronę Jugosławii. Wyposażeni przez prof. Raabego w listy polecające do jego dobrych znajomych w ośrodkach uniwersyteckich jedziemy z zamiarem podreperowania wydziałowych zbiorów bezkręgowców morskich. Następnego dnia przecinamy Czechosłowację i Węgry i 22 sierpnia, nie wiedząc o niczym, parkujemy w centrum Titogradu (obecnie Podgorica). Jeden z przechodniów, zauważywszy polski mikrobus, wręcza nam miejscową gazetę ze słowami „agresorzy”. Zaczęły się kłopoty. Listy polecające z prośbą o pomoc nie działały, wszędzie dawano nam do zrozumienia, że nie jesteśmy mile widziani.

Nie zamierzaliśmy się poddać. Znaleźliśmy dogodne miejsce oraz przyjaznego właściciela terenu nad morzem i przystąpiliśmy do pracy. Jedni nurkują i zbierają, inni porządkują i pakują. Czwartego, może piątego dnia do naszej łodzi podpływa motorówka Straży Granicznej. Wszyscy nurkujący i załoga łodzi zostają zaproszeni do Komendy Policji w pobliskim Dubrowniku. Tam paszporty „zbieraczy” zostają opatrzone pieczęcią „opuścić Jugosławię w ciągu 48 godzin”. Opuściliśmy Jugosławię, ciesząc się tym, co udało się zebrać, i obawiając się nieco przejazdu przez pacyfikowaną Czechosłowację.

Stan wojenny. Karnawał „Solidarności” dawał nadzieję, choć może część z nas odciągał nieco od nauki. Ciemna noc stanu wojennego zabrała nadzieję, a niektórzy w obliczu tej dramatycznej klęski zwątpili w sens swej pracy. Wielu zaangażowało się w działalność prawem stanu wojennego zakazaną. Nowe, nieznane do tej pory utrudnienia i zakazy dezorganizowały pracę naukową i dydaktykę.

Andrzej Prejs

Marzec '68. To był sam początek mojej pracy, bo ja zaczęłam w końcu '67 roku – na początku '68. Pamiętam studentów i starego woźnego – Jana Sucharskiego, który zamknął drzwi Szkoły Głównej przed aktywnym robotniczym. Nie mogłam wrócić do domu, Krakowskie Przedmieście było zagazowane, wyszłam od Oboźnej. Pamiętam tłum studentów na schodach przy kościele Św. Krzyża i wiece przed Pałacem Kazimierzowskim. Obserwowaliśmy je wychyleni z okien na pierwszym piętrze Szkoły Głównej. Aresztowali wtedy Włódka Zagórskiego.

Wielką zasługę miała Ewa Symonides, walcząc o budowę naszego budynku. Doskonale pamiętam, jak wyszliśmy z Podstolskim na korytarz w nowym gmachu i ciągnęliśmy losy, w której części będzie jego Zakład, a w której mój. Ja tam stanęłam i mówię: „Andrzej, popatrz, to wszystko nasze, cały ten korytarz jest nasz!”. To była zupełnie inna era. Później trzeba było starać się o granty na aparaturę itd. Ciężka praca! Dziedzina, którą się zajmuję, wymaga drogiej aparatury. I niekoniecznie grant się dostawało za pierwszym razem.

Anna Rychter

Do dziś pamiętam, jak w marcu '68 aktyw robotniczy rozgonił nas z dziedzińca uniwersyteckiego. To były wydarzenia, które mocno odbiły się na pokoleniu ówczesnych studentów i młodszych asystentów, szczególnie związanych z centralnym kampusem. Nie mówię tylko o Biologii, ale także o innych Wydziałach, które wtedy mieściły się na Krakowskim Przedmieściu.

To były ponure dni dla całego Uniwersytetu, pozostawiające duże piętno na nas wszystkich. Budynki na centralnym kampusie, w tym parter Szkoły Głównej, były okupowane przez wściekłych i rozgoryczonych studentów. Przypominam sobie nie tylko nas młodych, biorących udział w tych zajęciach, ale również naszych profesorów. Między innymi prof. Zdzisław Raabe został poturbowany przed Pałacem Kazimierzowskim. Nigdy nie zapomnę mojej koleżanki Danusi Pietrzykowskiej, która razem z nami znalazła się w tłumie protestujących i również została pobita.

Byliśmy też świadkami świetnej postawy naszych profesorów; to Zdzisław Raabe, Stanisław Lewak i inni pilnowali całymi nocami strajkujących studentów, żeby coś złego się nie stało. Na szczęście strajki te wygasły po dwóch tygodniach, a życie na uczelni z trudem wróciło do normy. Myślę, że były to wydarzenia, które odcisnęły trwale piętno na moim pokoleniu.

Drugim takim momentem, który dotknął mnie osobiście, było wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 roku. Całą rodziną, z żoną i synem, wyjechaliśmy do Stanów Zjednoczonych w październiku tegoż roku. Przed naszym wyjazdem sytuacja w kraju była politycznie bardzo napięta i długo zastanawialiśmy się, czy powinniśmy wyjeżdżać. Skoro jednak czekało na nas stypendium w Iowa State University w Ames, podjęliśmy decyzję o wyjeździe.

Przez pierwsze kilka tygodni, będąc w ferworze nowych wyzwań w innym środowisku, nie śledziliśmy dokładnie, co się dzieje w kraju. Stąd niezapomniane do dziś nasze ogromne zaskoczenie, kiedy 13 grudnia dowiedzieliśmy się, że w Polsce wprowadzono stan wojenny. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje: przerwana komunikacja z krajem, brak możliwości kontaktu telefonicznego z kimkolwiek, opóźniona i cenzurowana poczta itd. Następane kilka miesięcy życia w tej niepewności i zdenerwowaniu były istnym koszmarem. Nie mówiąc o tym, co przeżywali najbliżsi w Polsce, w Warszawie. Nasz syn uczęszczał do amerykańskiej szkoły, my z żoną ciężko pracowaliśmy w naszych laboratoriach, aby jak najwięcej zrobić, osiągnąć dobre wyniki i je publikować. No i stypendium się kończyło. Byliśmy absolutnie zdeterminowani, żeby wracać, mimo iż padały propozycje pozostania na jakiś czas w Stanach Zjednoczonych.

Wróciliśmy we wrześniu '82. Skąd decyzja o powrocie? Po pierwsze, czułem potrzebę, żeby być tutaj, w kraju. A po drugie, szczerze mówiąc, nasz syn bardzo nalegał, żebyśmy wrócili do Warszawy. Miał wtedy dwanaście lat, a więc był w wieku, kiedy już ma się własne zdanie. W Polsce zostawił szkołę i swoich kolegów – bardzo chciał wracać. Powrót wcale nie był taki prosty. Loty na linii USA–Polska były zawieszane. Musieliśmy przejechać ze Stanów do Kanady i dopiero z Toronto mogliśmy wrócić do Warszawy. W pierwszych tygodniach października 1982 roku, już pracując na Krakowskim Przedmieściu, mogłem tylko częściowo wyobrazić sobie grozę tego, co się działo tuż po wprowadzeniu stanu wojennego. Poczulem zapach dławiącego gazu na ulicach – wtedy jeszcze były rozruchy w Warszawie,

było wiele demonstracji, jeszcze nas goniono i rozpędzano po Krakowskim Przedmieściu.

Może kilka zdań o przyjemniejszych zdarzeniach. Byliśmy, jako Zakład, jednym z pierwszych do przeprowadzki z Krakowskiego Przedmieścia na Ochotę, do wymarzonego nowego gmachu. Przed Szkołą Główną ustawiano kontenery, a naszym zadaniem był wybór, co zachować, czego się pozbyć, co wyrzucić. To były trudne decyzje. Następnie, już z dużą przyjemnością, ustawialiśmy to, co przewieźliśmy na Ochotę, na Miecznikowa. Był to piękny czas, kiedy urządzaliśmy nowe pracownie i własne pokoje. Oczywiście, nie da się porównać warunków panujących w Szkole Głównej z tymi nowymi. I to nie tylko warunków do pracy naukowej, ale również do dydaktyki. Poza tym teraz, kiedy już jesteśmy prawie wszyscy razem – a ja tego doświadczyłem jeszcze przed przejściem na emeryturę – czuje się większą integrację Wydziału i łatwiejszy przepływ informacji. Wydział stał się bardziej interdyscyplinarny w tych nowych warunkach.

Edward Siński

Pamiętam bardzo dobrze wydarzenia z marca 1968 roku – wiece odbywające się przed budynkiem Biblioteki UW (BUW) i Pałacem Kazimierzowskim, ściganie pracowników i studentów przez prowokatorów mających udawać „aktyw robotniczy”, bicie ludzi przez ZOMO. Równie mocno przeżyłam stan wojenny, legitymowanie w bramie Uniwersytetu pracowników i studentów przez żołnierzy, internowanie niektórych kolegów i studentów, odwołane zajęcia dydaktyczne, strajkowanie połączone z nocowaniem w gabinetach pracowników lub w pracowniach – opuszczenie Uniwersytetu po tzw. godzinie policyjnej mogło skutkować co najmniej aresztowaniem przez milicyjny patrol. Pamiętam prowadzone w Instytucie dyskusje polityczne, czytanie „bibuły” – książek i prasy podziemnej, wydawanej i rozprowadzanej oczywiście z narażeniem na utratę wolności. Staraliśmy się także pomagać internowanym kolegom i ich rodzinom. Nie dysponując zgodą tej osoby, nie mogę przywołać jej nazwiska, ale wolno mi wspomnieć fakt uratowania jednego z najważniejszych opozycjonistów (dzisiaj powszechnie znanego), który – ścigany przez grupę zomowców – wpadł do jednej z sal, gdzie odbywały się zajęcia. Prowadząca je koleżanka natychmiast rzuciła uciekinierowi biały fartuch laboratoryjny i wmixowała go w grupę studentów. Chwilę potem na salę wpadło ZOMO. Widząc asystentów i studentów oderwanych od zajęć, nie dostrzegając wśród białych fartuchów obiektu swego pościgu – pognali dalej... Zdarzały się też sytuacje, gdy podczas demonstracji, odbywających się w okolicy Uniwersytetu, ich uciekający przed ZOMO uczestnicy wpadali na teren uczelni bramą od strony ulicy Oboźnej i – zdezorientowani – wbiegali przez podziemia do budynku Szkoły Głównej. Tam, przy odrobinie

szczęścia, natykali się na pracowników technicznych, którzy przeprowadzali bezpiecznie uciekających przez podziemia, zwierzętarnię aż na górę do głównego korytarza budynku.

Maria Magdalena Borowik

Istotny moment to marzec '68 roku, kiedy na Uniwersytet wkroczyło ZOMO. Robotnicy jechali autokarami z Żerania pacyfikować studentów, a ja miałem akurat seminarium w sali nr 33 na pierwszym piętrze Szkoły Głównej. Nagle ktoś wchodzi i mówi: „Studentów biją na Uniwersytecie!”. Seminarium dość szybko się skończyło i okazało się, że po placu biegają jakieś dziwne typy. Gonitwy, bicia, krzyki. To było pierwsze spotkanie z polityką.

Wkrótce powstały komitety zbierające pieniądze dla represjonowanych robotników, powstał KOR. Na naszym Wydziale dość sprawnie to działało. W Szkole Głównej, w obrębie naszej pracowni, byłem lokalnym skarbnikiem. Zebrane pieniądze były przekazywane potrzebującym. Później pojawił się kolportaż druków. Głównym ich dostawcą był Tomek Umiński, który w plecaku przynosił różne wydawnictwa i książeczki. Przymykało się pokój, zapraszało odpowiednich gości i rozprowadzało druki.

Na UW działał związek zawodowy ZNP. Był on tyleż polityczny, ile być musiał, bo za politykę brała się przede wszystkim PZPR. Na Wydziale było niewielu członków partii, atmosfera była dobra. Ale jak zaczął się ruch tworzenia niezależnych związków zawodowych, to trzeba było się jakoś zdeklarować. Tak się złożyło, że przez krótki moment byłem przewodniczącym wydziałowego ZNP, a w międzyczasie powstawały niezależne związki.

Dowiedziałem się chyba od Andrzeja Prejsa, że na Hożej, u pani Isi Chroboczek będzie spotkanie działaczy, kandydatów tych niezależnych związków zawodowych w sprawie powołania dużego wspólnego związku zawodowego. Poszliśmy z Prejsem do tego mieszkanka na Hożej. A tam sporo nieznanych nam osób, gorąco dyskutujących, co tworzymy, jak tworzymy. W pewnym momencie wkracza do środka Zbigniew Bujak i mówi, że Ursus już stoi. I pada pytanie: „Dziś czy jutro tworzymy związki zawodowe?”. W końcu wyszło, że nie dziś, że trzeba się jeszcze z kimś porozumieć. Efektem tego było powstanie jedenasto- czy dziewięciowyrazowca. To był: Samorządny Niezależny Związek Pracowników Nauki, Techniki i Szkolnictwa Wyższego i czegoś tam jeszcze. Istniał przez dwa tygodnie. Wkrótce powstała „Solidarność”. W Auditorium Maximum odbyło się zebranie Biologii. Był chyba cały Wydział. Na tym spotkaniu zadeklarowaliśmy, że zamykamy na Wydziale ZNP i otwieramy nowy związek. Najpierw powstał ten wielowyrazowiec, a później „Solidarność”.

Przełomem była z pewnością zmiana siedziby – wyjście ze Szkoły Głównej. Warunki w starym miejscu urągały wszystkiemu. Na przykład magazyn

szkła laboratoryjnego mieścił się na strychu, ale to był raczej magazyn guana ptasiego, którego warstwa sięgała między 5 a 10 cm. Czego tam nie było! Nawet szkła archaiczne, sprzed I wojny światowej. Wszystko ubrane tymi gołębimi odchodami. Nie było gdzie tego trzymać, a trzeba było z tego korzystać. Te kręcone schody, warunki naprawdę okropne. Moja pierwsza samodzielna pracownia to był warsztat odziedziczony po szklarzu. Z pierwszego piętra zszedłem do piwnicy do warsztatu szklarskiego. Szklarz poszedł na emeryturę, a ja zostałem z tymi wszystkimi rurami. Musiałem doprowadzić pomieszczenie do takiego stanu, żeby wstawić meble i zacząć robić z tego pracownię. W zlokalizowaną obok pracownię izotopową zainwestowano trochę pieniędzy, bo musiała spełniać pewne wymogi, więc była w miarę przyzwoita. Ale te inne nory... takie sobie.

Stamtąd wyprowadziliśmy się na Pawińskiego do IBB. Wprowadzanie się do IBB odbierałem, jakbyśmy złapali Pana Boga za nogi. Nie dość, że warunki do pracy były świetne, to na dodatek IBB był doskonale zorganizowany. O ile na Uniwersytecie na wszystko czekało się miesiącami, o tyle w IBB na przykład kupno odczynników trwało krótko. Tamta administracja działała sprawnie i miała za zadanie umożliwić gładkie funkcjonowanie nauki. Korzystaliśmy z IBB-owskiej administracji i to naprawdę świetnie szło. A potem wszystkim oczy wyszły na wierzch, gdy zobaczyliśmy piękny gmach przy ul. Miecznikowa, nowe pracownie, na których urządzenie i geometrię mieliśmy wpływ. To było z nami konsultowane. Ten gmach to ogromna zasługa pani dziekan Ewy Symonides i szefa budowy ze strony Wydziału, prof. Jerzego Moraczewskiego. Też brałem udział w konsultacjach, jak nasza część laboratoriów ma wyglądać. To wszystko się działo sensownie i logicznie. Dużo aparatury zakupiono dla wyposażenia gmachu. Pierwsze 10 lat po wprowadzeniu się tutaj to był bardzo dobry okres w życiu Wydziału. Powstało dużo prac, wielu ludzi się habilitowało, doktoryzowało. Mnie samemu udało się czterech doktorantów „wyhodować”, więc to był dobry czas.

Andrzej Podstolski

Najbardziej przełomowym wydarzeniem w historii Wydziału była z pewnością przeprowadzka Instytutu Biochemii z gmachu Wydziału Geologii po 35 latach tułaczki do nowoczesnych i pięknych pomieszczeń w nowym budynku przy ul. Miecznikowa, zbudowanym dzięki staraniom ówczesnej dziekan Wydziału prof. Ewy Symonides.

Warunki na Wydziale Geologii były odpowiednie do przechowywania kamieni, a nie dla sprzętu laboratoryjnego. Pewne pomieszczenia wprawdzie adaptowaliśmy, ale było trudno i bardzo, bardzo ciasno.

Nie wyobrażałam sobie, że okres przed emeryturą spędzę w tak komfortowych warunkach. Tu można było siedzieć po nocach. Na Geologii, co

się musiało zrobić przy użyciu aparatury, robiło się na miejscu, a potem wszyscy uciekali do domu, bo nie było warunków do pracy koncepcyjnej. Nawet jak już potem mieliśmy komputery, nie było ich gdzie postawić, bo pierwszeństwo miał oczywiście stół laboratoryjny. Ostatnie 13 lat życia zawodowego na Uczelni to naprawdę niesamowita ulga i przyjemność.

Jadwiga Bryła

Jeżeli chodzi o „Solidarność” i stan wojenny, to zawsze byłem po wiadomej stronie, ale jakichś konkretnych wspomnień nie mam. No, może to jedno. Jak wróciłem z Antarktydy, to za dostawany tam dodatek dewizowy mogłem kupić tzw. niedostępne dobra. Kupiłem spodnie dżinsowe i kurtkę dżinsową. I szedłem sobie spokojnie Tamką do góry w momencie, gdy były jakieś rozruchy. Nagle wyskoczyło kilku zomowców i zatrzymali mnie. Miałem sprawę na kolegium. Przesiedziałem cztery dni.

Ryszard Halba

Byłam prodziekanem przez dwie kadencje. Pełniłam tę funkcję najpierw przy pani prof. Ewie Symonides, wtedy gdy przeprowadzaliśmy się na Miecznikowa (w drugiej kadencji współpracowałam z dziekanem Michałem Kozakiewiczem). To był wariacki czas. Uważam, że prof. Symonides należy się pomnik. Profesor Tarkowski powiedział na Radzie Wydziału, że to, co nie udało się dziekanom piętnastu powojennych kadencji, jej się udało w ciągu roku. Bo jak została dziekanem, to już po roku była wbita pierwsza łopata pod fundamenty nowego budynku Wydziału Biologii. A wtedy nie było unijnych pieniędzy, więc to był rezultat jej osobistego zaangażowania.

Przewodniczącym komisji wyborczej, która wybrała panią prof. Symonides na dziekana na pierwszą kadencję, był prof. Roman Mycielski, a ja jego zastępczynią. Na swoją drugą kadencję prof. Symonides zaprosiła mnie do tego prodziekanstwa. Zespół tworzyli Michał Kozakiewicz, Jacek Bielecki i ja. To wszystko działo się jeszcze tam, na Oboźnej, ale Wydział już się budował.

Przeprowadzka Wydziału Biologii, która odbywała się w sierpniu 2000 roku, była największym logistycznym wydarzeniem w Warszawie w owym czasie, a na Wydziale koordynowała to ówczesna dyrektor administracyjna Jagoda Auguścik. Bo na przykład, żeby wynieść aparaturę z pomieszczeń Instytutu Mikrobiologii, mieszczących się na rogu Nowego Świata i Świętokrzyskiej, trzeba było zamknąć ruch uliczny. Aparatura, która była montowana wewnątrz, musiała bowiem wyjść przez okno, a ciężarówki z wysięgnikami podjechać na chodnik na Świętokrzyskiej – a więc mogło się to odbywać tylko w niedzielę. Pani profesor, nie wiem jakimi sposobami, docierała do kogo się dało, żeby

żebrać o pieniądze. W pewnym momencie okazało się, że na skrzydło D pieniędzy już nie ma. I był pomysł, żeby poprzestać na skrzydłach A, B, C, a D się dobuduje w terminie późniejszym. Wtedy prof. Symonides zaprotestowała. Powiedziała, że po pierwsze, się nie dobuduje, a po drugie, gdyby nawet miało się tak stać, to niemożliwe będzie budowanie w pyle, hałasie i wibracjach przy już funkcjonujących pracowniach, gdzie jest aparatura, która wymaga czystości i spokoju. Więc budujemy od razu do końca. I ona tego dokonała. Dziekan Ewie Symonides naprawdę należy się pomnik.

Krystyna Skwarło-Sońta

Dobrze pamiętam początek stanu wojennego. Nie było mnie w Polsce na przełomie lat 1980 i 1981, więc nie miałem bezpośredniego kontaktu z ówczesnymi zmianami w środowisku wydziałowym. Przebywałem na stażu w Niemczech, w Getyndze i wróciłem tuż po wprowadzeniu stanu wojennego. Dzwoniłem do rodziny w noc poprzedzającą stan wojenny, później już nie mogłem zadzwonić, gdyż połączenia telefoniczne zostały przerwane. Byłem jedną z nielicznych osób, które wracały wówczas pociągiem do Polski. Pamiętam żołnierza na granicy, który spojrzał na mój paszport, potem ponuro na mnie i powiedział: „Ale pan wie, że już pan stąd nie wyjedzie?”.

Pamiętam także nałożony na pracowników obowiązek kontrolowania wchodzących do gmachów uniwersyteckich. Każdy z pracowników musiał spędzić pewną liczbę godzin, tkwiąc „na bramce” i teoretycznie sprawdzając legitymacje tych, którzy wchodzi. Oczywiście nikt nikogo nie kontrolował, jednak był to element nacisku na środowisko poprzez to, że ludzi wciągało się do kontroli: macie siedzieć tutaj i sprawdzać. Jako pozytywną stronę tego procederu pamiętam, że poznałem kilka ciekawych osób z Wydziału Geologii, z którymi siedziałem przy stoliku przy wejściu do gmachu.

Jeśli idzie o Wydział, moim zdaniem najważniejszym wydarzeniem było przeniesienie się do wspólnego budynku. W Katedrze, a potem Instytucie Biochemii bardzo mocno doskwierała nam separacja: w gmachu przy Żwirki i Wigury przez długi czas byliśmy jedyną jednostką wydziałową. Miało to skutki dla studentów: sam pamiętam, że podczas studiów nieustannie przemieszczałem się między różnymi miejscami, żeby dotrzeć na zajęcia. Izolacja dotyczyła także pracowników, szczególnie młodszych. Profesorowie czy docenci spotykali się na Radach Wydziału, natomiast młodszy pracownicy – nie. Po przeprowadzce Wydział bardzo mocno się zintegrował, także na poziomie doktorantów i młodych adiunktów. Widzę po moich pracownikach. Oni się znają, mają różnego rodzaju kontakty naukowe, ale także towarzyskie. Przenosiny w jedno miejsce były więc bardzo istotnym wydarzeniem dla Wydziału.

Krzysztof Staroń

W marcu '68 roku kończyłam studia. Pamiętam ZOMO biegające po Nowym Świecie, po Krakowskim Przedmieściu, od Domu Partii do Uniwersytetu. Nasz kolega z roku Zbyszek Sendułka był chory na hemofilię i nie mógł wyjść na ulicę. Był z tego powodu bardzo nieszczęśliwy, ale wziął stare jajka zaszczerpione wirusem grypy i starał się z okna na Nowym Świecie 67 trafić w hełmy zomowców. Nie pamiętam, czy trafił, czy nie, ale zomowcy zorientowali się, skąd lecą te jaja, i wpadli do Instytutu. Nie doszli na drugie piętro, bo prof. Kunicki powiedział: „Zamykać kraty!”.

Z okresu stanu wojennego najbardziej zapamiętałam moment, kiedy pan prof. Kunicki został zwolniony z Białoleki, gdzie był internowany, i przyszedł do Instytutu. Jaka była owacja na schodach, jakie wrzaski, jakie wiwaty! To była wielka radość, że znowu jest z nami, ale też, że witamy prawdziwego bohatera.

Członków partii na Wydziale było mało, a w Instytucie to na palcach jednej ręki można ich było policzyć, albo jeszcze mniej.

Krystyna I. Wolska

W marcu '68 główne osoby, które były zaangażowane w protesty, to byli studenci filozofii, historii, socjologii. Tam było jądro tych grup protestujących. Nas 8 marca zamknął w Katedrze prof. Kunicki. I dopiero po kilku godzinach wypuścił z budynku. Byłam wtedy na czwartym roku. Pamiętam, oglądałam przez okno scenę, jak zomowiec gonił z pałką kobietę z jakimś trzy- czy czteroletnim dzieckiem, która nie nadażała uciekać...

Wtedy prorektorem był prof. Zygmunt Rybicki. Zachował się wtedy bardzo źle. Zasłaniając się faktem, że jest państwowcem, powiedział, że wyprasza studentów z terenu Uniwersytetu. Doszło do pobicia wielu studentów przez tzw. aktyw robotniczy oraz wielu aresztowań.

Elżbieta K. Jagusztyn-Krynicka

Ósmego marca '68 odbywały się ćwiczenia z biochemii i jak przyjechałam na Krakowskie, było już po wszystkim. Dziewiątego marca byłam na wiecu na Politechnice, gdzie pałowano ludzi. Udało mi się uciec bez szkód. Parę dni później odbył się strajk na Krakowskim, w którym brałam udział. Pamiętam ze strajku prof. Jurka Kijowskiego z Wydziału Fizyki. Był tam z nami, z gitarą, po paru dniach spokojnie rozeszliśmy się do domów.

Stanu wojennego nie wspominam dobrze. Myśmy się po prostu zakopali w pracy. No i jeszcze moja córka Ola urodziła się w 1982 roku – to też

zmieniało perspektywę. Pamiętam, jak były demonstracje, to mąż z Olą szli na dach, bo gazy łzawiące dochodziły do nas przez okno.

Ewa Bartnik

W 1968 byłam na drugim roku, uczestniczyłam w wydarzeniach marcowych, protestowałam, okupowaliśmy Szkołę Główną i Auditorium Maximum. Dokładnie nie wiadomo, czy protestowaliśmy bardziej przeciw zdjęciu z afisza *Dziadów*, czy też z powodu braku wolności. Ci znikający koledzy pochodzenia żydowskiego... to było trudne do pojęcia, że w ogóle ktoś musi być w takiej sytuacji. Wydarzeniom marcowym towarzyszyło ogromne poruszenie, ogromne zaangażowanie. Dla mnie to jest legenda, to jest etos. Ojciec był siny z przejęcia, kiedy tzw. robotnicy weszli na teren Uniwersytetu.

Innym pamiętnym wydarzeniem był wybuch gazu w Gmachu Pomuzealnym w '69 lub '70 roku. W zakładzie mojego ojca pracowali prof. Matuszewski i pani dr Zofia Górską. I tak się stało, że pani Górską puściła gaz, zasnęła, a iskra przy termostacie spowodowała wybuch. Pamiętam, że do domu przyszła w nocy milicja. Ojciec miał wtedy 69 lub 70 lat. Przyszedł też pan prof. Matuszewski ze środkami uspokajającymi. Łyknęli to i poszli zobaczyć, co się stało, identyfikować spalone zwłoki pani Górskiej. Zostało to potraktowane jako wypadek. Zwierzętarnia została wysadzona, nad tym był Zakład Hydrobiologii, a poniżej chyba właśnie zwierzętarnia. Ponadto w powietrze wyleciały materiały do habilitacji pani Bożeny Zagrodzińskiej, uczninicy mojego ojca, niezwykle oddanej ojcu osoby. Praca była nie do odtworzenia. Nie było komputerów. Nie zrobiła już tej habilitacji.

Ważnym wydarzeniem była przeprowadzka Instytutu Mikrobiologii z Nowego Świata 67 do nowego budynku przy ul. Miecznikowa 1, na Kampusie Ochota. Przygotowania do przeprowadzki były uciążliwe, poprzedzone planowaniem rozmieszczenia pracowników i wyposażenia w lokalach, ale w efekcie od 2000 roku mieliśmy znacznie lepsze warunki pracy zarówno naukowej, jak i dydaktycznej.

Anna Kraczkiewicz-Dowjat

W moim życiu tak się ułożyło, że byłam na pierwszym froncie wydarzeń politycznych. Wszystko to za sprawą mojego męża, który był dziennikarzem niepokornym, zaangażowanym w działalność konspiracyjną. W 1981 roku był internowany. Przesiedział siedem miesięcy. Dla mnie był to dramatycznie trudny okres. Zostałam sama z czteroletnim synem i z wielkim lękiem o nasze dalsze losy. W tym miejscu chciałam mocno zaakcentować, że Wydział Biologii (a w nim „Solidarność”) otoczył mnie ogromną

opieką i życzliwością. Członkowie „Solidarności”, która wówczas potajemnie istniała na Wydziale, pod kierunkiem dr Anny Kwiatkowskiej (obecnie prof. Anny Kwiatkowskiej-Falińskiej), zbierali dla mnie pomoc finansową. Myślę, że w tę pomoc angażowały się też inne jednostki Uniwersytetu. Nigdy nie dowiedziałam się dokładnie, kto składał się na pomoc dla mnie. Pieńiądze otrzymywałam od bezimiennego darczyńcy. Do dzisiaj zachowałam w sercu ogromną wdzięczność dla Wydziału. W bardzo trudnym dla mnie okresie otoczono mnie sympatią i zrozumieniem. Otrzymywana wówczas pomoc finansowa była mi bardzo potrzebna. Należy przy tym pamiętać, że w wielu innych miejscach w Polsce żony osób internowanych traciły pracę.

Pomoc i życzliwość, którą wówczas otrzymywałam z wielu stron, bardzo mnie podtrzymywała, ale fakty były dramatyczne. Bardzo bałam się o męża. Jeździłam do tego internatu na drugi koniec Polski co dwa tygodnie, prowadziłam z nim rozmowy przy nastawionych karabinach, przeżywałam w domu rewizje, i to wielokrotnie. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację. Trochę lepiej się poczułam i starałam się wrócić do opracowywania wyników pracy doktorskiej. Jestem sama w mieszkaniu. Syn na kilka dni został u dziadków. Po całym pokoju mam rozłożone białe-czarne zdjęcia z mikroskopu elektronowego. Szósta rano, dzwonek do drzwi. Zarzucam na nocną koszulę szlafrok, otwieram drzwi, a tam trzech facetów z karabinami wchodzi do mieszkania na rewizję. Ogarnął mnie błydy strach, bo jak ja im wytłumaczę, co leży na podłodze? co to za zdjęcia? przecież one wyglądają jak zdjęcia lotnicze, kosmiczne albo jeszcze coś gorszego, tajnego, zaszyfrowanego i z pewnością bardzo groźnego!!! Okazało się jednak, że uzbrojeni po zęby panowie mieli wyraźne wytyczne od swoich dowódców. Otóż szukali drukarni albo przynajmniej maszyny do pisania. Może jakiegoś składu książek wywrotowych, czyli takich, które nie przeszły przez cenzurę. Na szczęście moje elektronogramy nie wchodziły w zakres ich zainteresowania. Panowie bardzo dokładnie przeszukali cały dom, włącznie z każdą zabawką syna. Potem zeszli do piwnicy i tam też szukali bardzo dokładnie. Po jakiejś godzinie wrócili i w końcu zadali mi kluczowe pytanie: „A gdzie jest maszyna do pisania?”. Odpowiadam: „Tu nie ma maszyny do pisania”. Oni: „Jak to nie ma maszyny do pisania?”. „No, nie ma. Mąż zawsze pisał długopisem, mogę wam oddać ten długopis”. Wszystko trwało około sześciu godzin. W końcu panowie zabrali trochę „bibuły” i na tym zakończyła się ta nieprzyjemna historia. Tylko ja długo nie mogłam dojść do siebie.

Faktem jest, że u nas nigdy nie było żadnej drukarni. Natomiast odbywały się liczne tajne spotkania. Dzięki temu dobrze poznałam wiele osób, które dzisiaj odgrywają kluczowe role w polityce. Często u nas bywali obaj bracia Kaczyńscy. Odbywaliśmy długie i ciekawe rozmowy z Jarosławem Kaczyńskim, późniejszym premierem. A na wspólnych wakacjach w górach byliśmy z nieżyjącym już Lechem Kaczyńskim, późniejszym prezydentem. Bywał u nas też Jan Olszewski, późniejszy premier. I wiele innych osób. Wszystkie prowadzone wówczas rozmowy dotyczyły tylko jednego – jak ratować Polskę?

Rzeczą bardzo dokuczliwą były telefony z groźbami, które ciągnęły się aż do 1989 roku. Ktoś dzwonił o różnych porach i groził! Tak po prostu groził, mówiąc, co nas spotka, jak nie zaprzestaniemy działalności wywrotowej. Najgorsze były groźby dotyczące naszego syna. To były telefony, które miały za zadanie nękać, dokuczać, wprowadzać element strachu. W sumie więc prześladowania, jakich doznała cała moja rodzina, były poważne i długotrwałe. Uważam się za ofiarę tego okresu.

W całym moim życiu zawodowym najbardziej przełomowym wydarzeniem była budowa nowego budynku dla Wydziału Biologii, przy ul. Miecznikowa.

Od czasów odzyskania niepodległości przez Polskę Wydział Biologii (wówczas pod inną nazwą) mieścił się w budynku dawnej Szkoły Głównej na kampusie głównym UW, czyli na Krakowskim Przedmieściu. Budynek był niewiarygodnie przepelniony. Dla pracowników były zajęte wszystkie strychy, piwnice, dobudówki. We wszystkich wyższych pomieszczeniach budowano antresole. Kupienie jakiegokolwiek większej aparatury (np. komory do hodowli roślin) nie wchodziło w grę. Po prostu nie było jej gdzie postawić. W tym czasie został zakupiony skaningowy mikroskop elektronowy. Bardzo był potrzebny do moich badań. Jednak nie było go gdzie postawić, stał długo w kontenerach, aż w końcu został oddany innemu wydziałowi. A mnie serce się ścisnęło z żalu.

Co więcej, ekspertyza budowlana uznała, że stropy w budynku są stare, drewniane i za słabe na tak wielkie obciążenia. Budynekowi groziło zawalenie. Otrzymywaliśmy zezwolenia na eksploatację budynku na pół roku, które były kolejno przedłużane. Pamiętam z tego powodu zabawną historię. Pierwszego kwietnia ktoś zamknął drzwi do Szkoły Głównej i przyczepił następujący napis: „Szkoła Główna się zawaliła! Nie możemy pracować, aż do wyjaśnienia przyczyn katastrofy”. Wszyscy poszli do domu. Dopiero później niektórzy zorientowali się, że to był tylko primaaprilisowy żart.

Wielokrotnie podejmowano próby rozwiązania tej niezwykle trudnej sytuacji Wydziału.

Jednak dopiero gdy dziekanem Wydziału została pani prof. Ewa Symonides, sytuacja diametralnie się zmieniła. W końcu zaczęto budowę nowego budynku dla Wydziału. W tym czasie nikt nie wierzył, że zakończy się to sukcesem!!! Ale po pewnym czasie pani profesor powiedziała: „No, wykopy już są zrobione”. Nadal wszyscy powątpiewali. Innym razem słyszę: „Zapraszam państwa, bo teraz będziemy wkopywać kamień węgielny”. Przyjeżdżam, patrzę – rzeczywiście. Mało tego, że jest pani prof. Symonides, że jest wiele ważnych osób, to jest jeszcze i dziura w ziemi. Ponadto jest zorganizowany i podany catering, co mnie wprowadziło w absolutne osłupienie. Pamiętajmy, że w tym czasie na naszym Wydziale nie było urządzanych żadnych cateringów. Po prostu byliśmy za biedni. Ale pani profesor dobrze wiedziała, w jaki sposób należy całą sprawę rozgrywać, a także jak zdobywać fundusze na kolejne etapy budowy. A na Wydziale dalej powątpiewano. Mówiono, że „dziurę można zasypać”.

Patrzyłam z podziwem na prof. Moraczewskiego, który raz w tygodniu pojawiał się w kasku i jeździł na budowę, i to przez kilka lat. Wiedziałam, że podjął się gigantycznej pracy. Ja sobie przychodziłam do Szkoły Głównej, do mojej piwniczki i zajmowałam się ciekawymi badaniami, a on raz w tygodniu jeździł na budowę i użerał się. I tak było do końca budowy. Zapewne tylko osoby bezpośrednio związane z budową wiedzą, jak wiele się naużerali z wszystkimi po kolei: urzędnikami, pracownikami, ślusarzami, stolarzami, potem z przyjęciem budynku i usuwaniem usterek itp., itd., a na koniec z nami wszystkimi – kiedy doszło do przeprowadzki.

Sierpień 2000 roku, przeprowadzka do nowego budynku – to kluczowe wydarzenie w całej znanej mi historii Wydziału. Po przeprowadzce po raz pierwszy doświadczyłam ogromnego luksusu. Wygodna sala do prowadzenia ćwiczeń. Na sali dostępne mikroskopy. Piękne sale wykładowe, nowoczesnie wyposażone. Ładna kolorystyka gmachu, ładny hol główny. Dla mnie wszystko zmieniło się diametralnie. Poprawa warunków pracy była ogromna – o 100 procent to źle powiedziane, o 1000 procent!

Bez wątpienia zawdzięczamy to pani prof. Ewie Symonides, która przychodziła jako pierwsza do dziekanatu o siódmej rano. Wszystkim potrafiła sterować po mistrzowsku. Zapewne posiada w tym kierunku nieprzeciętne uzdolnienia. Ale było to okupione koniecznością rozwiązywania niezliczonej ilości trudności, konfliktów i problemów.

Kiedy patrzyłam, jak budynek rośnie, to i we mnie rosła chęć do dalszych badań. To wszystko działało na mnie bardzo stymulująco. Pokazywało mi lepszą przyszłość.

Chociaż to kropla w morzu, ale ja również postanowiłam choć w małej ilości sposób przyczynić się do prac nad naszą nową siedzibą. Otóż podczas pakowania i przygotowywania się do przeprowadzki z wszystkich kątów wyłaniały się sterty starych rzeczy, różnych połamanych kabli, szkła, starych przedmiotów i sprzętów od dawna nieużywanych, rozmaitych mebli i starych szaf. Postanowiłam więc uratować przed śmietnikiem szereg eksponatów oraz starą oszkloną szafę. Po przeprowadzce szafę odnowiłam i teraz wraz z eksponatami prezentuję studentom, jakiej aparatury dawniej używaliśmy. Minęło 18 lat, a szafa z eksponatami jest ciągle oglądana, bo w miarę upływu czasu są one coraz ciekawsze.

Kiedy się przeprowadziliśmy do nowego budynku, to zastaliśmy już jako gospodarza pięknego czarnego kota, który został przez robotników nazwany Docentem. Kot Docent był pupilem całego Wydziału. Często tak bywało, że wchodził do sali ćwiczeniowej przez okno, po czym bardzo delikatnie przechodził pomiędzy mikroskopami, nie dotykając żadnego, ani też stojących odczynników, po czym wychodził drugim oknem. Wprowadzało to wszystkich studentów w zachwyty. Natomiast kot Docent był nielubiany przez naszych portierów i przez panią Jagodę Auguścik, a to z tego powodu, że wieczorem chował się w jedynie sobie znanym ciemnym zakamarku, po czym w nocy wychodził na przechadzkę. Powodowało to włączenie

wszystkich alarmów, po czym przyjeżdżała uzbrojona ochrona oraz pani Jagoda Auguścik, która bardzo dbała o nasz nowy budynek i ogromnie się niepokoiła przy każdej awarii. Taka wielokrotnie zarwana noc faktycznie mogła wzbudzić niechęć do naszego czarnego pupila.

Małgorzata Wierzbicka

Marzec '68. Byłam na czwartym roku studiów. Zostałam wylegitymowana na jakimś przystanku i wyrwano mi z ręki, zabrano, legitymację studencką. To było dla mnie ogromne, traumatyczne przeżycie, ale ponieważ byłam osobą dojeżdżającą, straciłam jednocześnie możliwość ulgi i to było całkiem dotkliwe także ze względów finansowych.

Szokiem było również to, że pewne osoby, które znałam z Wydziału, nagle po prostu zniknęły.

Teraz niespodziewanie o wielu z nich się dowiaduję.

Drugim takim pamiętnym okresem był czas rodzenia się „Solidarności”, a następnie ponury czas stanu wojennego. Ogłoszenie stanu wojennego zaskoczyło mnie podczas pobytu na stypendium w Molslaboratoriet Uniwersytetu w Aarhus. Typowe losy takiego przymusowego emigranta opisałam następnie w swojej powieści *Krótką smycz* (I wyd. w drugim obiegu).

Za to sytuacje, które bardzo ciepło i pogodnie wspominam, to na przykład okres, kiedy prowadziłyśmy z Joasią Pijanowską, dzisiejszą panią profesor, wykłady dotyczące relacji między roślinami i roślinożercami. Byłyśmy z tych wykładów bardzo dumne, bo ten kierunek badań mechanizmów obrony indukowanych atakiem był wówczas zupełnie nowy. Potem miałam jeszcze na Wydziale sporo zajęć, które bardzo dobrze wspominam. Muszę przyznać, że tak miłych kontaktów, jak wtedy ze studentami, już się potem tak łatwo nie doświadczało. To nie jest tak, że teraz my – staruszkowie – narzekamy, że kiedyś to byli studenci, ale dawniej studenci rzeczywiście studiowali. Teraz większość moich studentów pracuje, więc spotykamy się, kiedy ich obowiązki w pracy na to pozwalają. Zmieniły się techniki i warunki studiowania. A wtedy to był okres takiego naprawdę bardzo bezpośredniego kontaktu ze studentami. Ja to ogromnie czule wspominam. Podobnie jak opiekę nad kołem naukowym biologów i wspólne wyprawy nad Biebrzę. Do tej pory mam też bardzo miłe wspomnienia z prac magisterskich prowadzonych nad Biebrzą i na Bagnach Biebrzańskich.

Zaczęło się od tej pierwszej wyprawy koła naukowego, tropienia śladów wydry. To był spływ Jęgrznią, Biebrzą, a potem Narwią – wspaniała wyprawa z takim paradoksalnym akcentem, że kiedy w kraju działy się bardzo gorące wydarzenia roku '80, strajki, to do bagiennej dziczy nic nie docierało. Oczywiście żadnych telefonów, więc żeby gdzieś zadzwonić, trzeba się było do telefonicznej budki przedzierać przez uroczyńska mokradeł. Jak

płynęliśmy tymi dzikimi ostępami, to one były naprawdę dzikie. Wreszcie przycumowaliśmy na takiej grzędzie wśród bagien, rozstawiliśmy namioty, nie było tam żadnej drogi, więc jedyny odwiedzający nas gość przyплыł łódką. I pytamy: „Co nowego?”, a on mówi: „Nie, nic się nie dzieje”. Już odpłynął, potem się odwrócił i krzyknął: „Aha, rząd mamy nowy”.

To były pionierskie czasy i rzeczywiście panował wtedy prawdziwy romantyzm badań.

Anna Kalinowska

W 1968 roku Wydział Biologii i Nauk o Ziemi podzielił się na dwa wydziały. To nie było przypadkowe. Była taka doktryna czy taki przykaz dzielenia jednostek na mniejsze. W bardzo podobnym czasie Wydział Matematyczno-Fizyczny podzielił się na Wydział Matematyki i Wydział Fizyki.

Agnieszka Mostowska

Przeprowadzka z Alei Ujazdowskich, gdzie pracowałam przez blisko 40 lat, na Kampus Ochota to dla mnie jedno z bardziej traumatycznych wydarzeń. Trudno się pogodzić z tym, że nie mam już „pod ręką” Ogrodu Botanicznego, zachwycającego o każdej porze – wiosną przepięknie kwitnącego, co zapamiętam na całe życie... Naturalnie, zdaję sobie sprawę, że przenosiny były korzystne dla Zakładu, ale „starych drzew się nie przesadza”, a ja już jestem takim starym drzewem... W nowym, ultranowoczesnym gmachu warunki są wspaniałe, a Wydział Biologii zapewne na tym zyskał, ale ja nie umiem już „zapuścić tu korzeni”. Przychodzę, robię to, co muszę zrobić, i świadomie staram się już nie przywiązywać do tego miejsca. A w Ogrodzie Botanicznym powstanie, pomyślane z wielkim rozmachem, Centrum Edukacji Ekologicznej. Najserdeczniej życzę powodzenia przyjaciółom z Ogrodu!

Barbara Sudnik-Wójcikowska

Przed samym stanem wojennym były strajki na Uniwersytecie i towarzyszyliśmy strajkującym studentom. Pamiętam czołg przy skrzyżowaniu Obożnej i Kopernika. To robiło wrażenie. I potem wyjście po nocy spędzonej w Szkole Głównej ze studentami, i petardy na ulicach. Ja jeszcze jakoś tak nieświadoma myślałam, że się przeziębiam, a to już te gazy łzawiące podrażniły śluzówkę. Z bólem gardła i łzawiącymi oczami udałam się do lekarza – stoję w kolejce, a tam wszyscy z takimi samymi objawami. Kolportaż książek z powielacza

pomiędzy pracowników odbywał się na zasadzie przypadkowości, czyli w taki sposób, żeby nie stwarzać sytuacji, że wiadomo kto, co i dlaczego.

Maria Doligalska

Zaczęłam się zastanawiać, czy kontynuować badania taksonomiczne rodzaju *Chlamydomonas*. Po dziesięciu latach badań miałam poczucie, że nie jest to moja pasja i chyba wolałabym robić coś innego. Andrzej Batko, który był nie tylko moim promotorem, ale także przyjacielem i mistrzem, chyba też uważał, że jestem stworzona do innej pracy. Przegadaliśmy na ten temat wiele godzin w kuchni w moim domu.

W pewnym momencie Andrzej Batko zaczął mnie przekonywać, abym zajęła się zarządzaniem Ogrodem Botanicznym. Ogród w tym czasie był w złej kondycji, i Andrzej sądził, że zdołam wyprowadzić go na ścieżkę rozwoju. Na początku nie chciałam o tym słyszeć, zwłaszcza gdy przypominałam sobie tę nieszczęsną miesięczną praktykę. Przez rok byłam przekonywana. Pojechałam nawet z listem polecającym od dziekana Wydziału Biologii UW do świetnie rozwijającego się Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Wrocławskiego, którego dyrektorem był dr Tomasz Nowak, aby porozmawiać o problemach związanych z zarządzaniem taką instytucją. Była to ciekawa lekcja, i Tomek Nowak zachęcał mnie, abym spróbowała, uważając, że to się powiedzie.

Po powrocie postanowiłam porozmawiać z ówczesną dyrektorką Ogrodu Botanicznego UW dr Janiną Andrearczyk. Spotkałyśmy się w jej gabinecie, usiadłam na drewnianej ławce, która stała pod ścianą, i przez ponad godzinę pani Andrearczyk przekonywała mnie, że nie ma żadnych możliwości skutecznego zarządzania Ogrodem. Brak funduszy i nieprzychylność władz uniwersyteckich uniemożliwiają jakąkolwiek pracę i poprawę stanu Ogrodu. Wysłałam zupełnie zdruzgotana i powiedziałam Andrzejowi, że przyjęcie kierownictwa Ogrodu nie ma sensu. On jednak po wysłuchaniu mojej relacji nadal uważał, że jego pomysł jest dobry, i zachęcał mnie do zgody na objęcie funkcji. W końcu uległam i dziekan Wydziału Biologii prof. Stanisław Lewak powołał mnie na stanowisko kierownika Ogrodu z dniem 1 października 1987 r. Andrzej Batko na moją prośbę został kuratorem naukowym Ogrodu. Wspierał mnie od początku w kontaktach z władzami Uniwersytetu, które nie bardzo rozumiały, czym jest Ogród Botaniczny i czemu służy.

Hanna Werblan-Jakubiec

Stan wojenny, „Solidarność” to były poważne przeżycia. Czternastego grudnia o dziewiątej rano mieliśmy Radę Wydziału na Nowym Świecie. I wydaje mi się, że prawie nikt w ogóle o niczym nie wiedział. Myśmy tam przyjechali,

być może trochę było zaskakujące, że prawie w ogóle nie było ruchu. I nie było dwóch naszych kolegów: Kunickiego-Goldfingera i Tomka Umińskiego. Ale większość nie miała świadomości, co się wydarzyło.

W stanie wojennym trzeba było pełnić dyżury i legitymować wchodzących na Geologię. Pozwoliłem sobie na pewną demonstrację, bo miałem bardzo piękny, zresztą amerykański, szynel do połowy łydki. Ponieważ jeździłem konno, więc ubrany w oficerki i ten szynel legitymowałem wszystkich kolegów, których doskonale znałem. Nie wiem, czy to trwało dłużej niż miesiąc. To wszystko było niepoważne. Oczywiście, jak spacyfikowano kopalnię „Wujek” było smutno. Ludzie powpinali sobie wstążeczki, ja również, czego trochę się teraz wstydzę, bo nie znoszę takiej egzaltacji. Wiem, że prof. Bryła też nosiła.

Jan Fronk

Najsmutniejszą częścią dziejów Wydziału jest oczywiście odchodzenie i przemijanie ludzi. Z mojego najbliższego zakładowego grona odeszli kolejno Krystyna Prejs, Andrzej Kowalczewski, Waclaw Turlaj, który zatrudniony był w wydziałowej stacji terenowej w Pilchach i był naszym bardzo bliskim kolegą i przyjacielem, Jan Igor Rybak, nieodmiennie młodzieńczo zafascynowany ekologią wód i ich mieszkańców, który w akademickiej hierarchii nie zrobił tradycyjnej kariery, a był dla nas w tej dziedzinie autorytetem, zawsze życzliwy, służący dobrą radą i pomocą.

Niesłychanie ważnym okresem w moim życiu był radosny czas początków „Solidarności”. Szczególnie pamiętam pierwsze założycielskie zebranie związku zawodowego „Solidarność”, prowadzone przez Andrzeja Kowalczewskiego. To było naprawdę wielkie, doniosłe wydarzenie na Wydziale Biologii, wpisujące się w nastrój Sierpnia 1980. A potem strajki studenckie i stan wojenny. Doświadczylam wtedy poczucia przynależności do wielkiej akademickiej wspólnoty, czułam się potrzebna w podziemnych strukturach związkowych, w dystrybucji prasy i książek, w pomocy represjonowanym. Doskonale pamiętam powrót prof. Władysława Kunickiego-Goldfingera z krótkiego internowania. Kiedy zmierzał do swojego gabinetu na Nowym Świecie (tam na drugim piętrze mieściła się wówczas część Instytutu Mikrobiologii), tłumek pracowników i studentów witał go na schodach owacją.

Niestety, w czasie stanu wojennego mało pracowałam naukowo i z tego punktu widzenia czas ten był dla mnie stracony. Spędzaliśmy niekończące się godziny na zebraniach, dyskusjach, organizowaniu rozmaitych akcji pomocowych. Mam poczucie, że czas ten wyssał ze mnie pokłady energii, a dużo później zrozumiałam, że niektórzy moi koledzy zaangażowani w ruch „Solidarności” widzieli się już w strukturach przyszłego państwa; istotnie się w nich znaleźli, a dość szeregowe postacie, takie jak ja, które angażowały się w tę działalność na fali uczuć patriotycznych i wspólnotowych, pozostały

gdzieś na marginesie przyszłych przemian w Polsce. Poczucie jedności trwało zresztą niedługo. Pierwsze wybory prezydenckie – podział środowiska na zwolenników Mazowieckiego i Wałęsy był trudnym, niezdanym sprawdzianem z tolerancji. Okazało się, że środowisko akademickie, choć chwilami zdolne do wspólnych zrywów, jest mało tolerancyjne, nieszanujące odmienności poglądów, zbyt łatwo ferujące wyroki i stygmatyzujące ludzi myślących inaczej.

Kamieniem milowym w życiu Wydziału były z pewnością budowa i oddanie do użytku nowego budynku, co zapoczątkowało rozwój i rozrastanie się Kampusu Ochota. To jest ogromna, żeby nie powiedzieć wyłączna zasługa prof. Ewy Symonides, która jako ówczesna dziekan Wydziału za główny cel postawiła sobie wybudowanie nowej przestrzeni dla Wydziału. I zrobiła to ogromnym, często jednoosobowym wysiłkiem, dyplomacją, prośbą i groźbą, pozyskując sprzymierzeńców i sponsorów w parlamencie, rządzie, w urzędach i fundacjach, na Uniwersytecie. Dalsza rozbudowa Kampusu Ochota i przenosiny kolejnych zespołów do budynków CENT i CNBCh to kolejne ważne etapy w dziejach Wydziału, ale prawdziwym przełomem, który tę epokę modernizacji infrastruktury wydziałów ścisłych i przyrodniczych otworzył, było zasiedlenie nowego gmachu w 2000 roku.

Joanna Pijanowska

Przeprowadzkę wspominam strasznie. To była po prostu męka. Nie da się ukryć, że mój ojciec nie mógł się pogodzić, że Wydział się wyprowadził z Krakowskiego Przedmieścia. Ale bardzo dobrze się stało, bo tamte budynki nie nadawały się do utrzymywania laboratoriów. No i pod koniec to już była straszna ruina, naprawdę straszna. Wstyd już było przyjąć jakichś gości w Zakładzie – krzesła połamane, każdy mebel z innej parafii. Biegające myszy, biegające karaluchy, te duże, amerykańskie. Legenda głosiła, że to Umiński je wypuścił, te prusaczki wychodzące co chwilę ze stołu. Kiedyś ze schodów o mało co nie spadłem, bo wchodzę na górę, a tam na schodku stoi taki wielki okaz americana i wąsami do mnie rusza. Na piętrze mieliśmy swoją małą mysią zwierzętarnię, ale tam były złe warunki, po prostu śmierdziało strasznie. No a już ta zwierzętarnia w piwnicy to był zupełny horror, tam były dzikie szczury.

Umiński, mający swoje biurko na takim półpięterku, raz przecież spadł ze schodów. Ciągłe pożary. Za mojej bytności w Gmachu Pomuzealnym były chyba co najmniej dwa pożary. W piwnicy były drewniane wyciągi, ktoś zostawił włączony aparat Kjeldahla i zaczęło się palić. A raz był pożar zwierzętarni Skoczylasa, bo też jakaś maszyna zaczęła iskrzyć. Myśmy też mieli taką wpadkę. Robotnicy podczas remontu przycięli nam rury gazowe i zrobił się pożar w pustej wtedy zwierzętarni. No i jak major straży pożarnej wszedł na strych w Gmachu Pomuzealnym, to chociaż niejedno

pewnie widział, o mało nie zemdłał. Stała tam taka wielka pryzma wiórów dla naszych myszy, a obok silnik napędzający dygestorium, który ledwo się trzymał na swojej podstawie i jak się kręcił, to sypały się z niego iskry. A jak u państwa Kaczanowskich ktoś włączał wyciąg, to ja nie mogłem używać mikromanipulatora, bo wibracje szły po całym budynku.

Tak więc to była wielka ulga, że mogliśmy się przeprowadzić. Bo niezależnie od tego, że tu są piękne budynki, piękne miejsce, no, kampus cały, to naprawdę tam były wstyd i nędza. Dlaczego przeprowadzkę wspominam jako mękę? Bo to było tak, że zbieraliśmy się, to trwało, trwało, pakowanie, przeglądanie, co bierzemy, co zostaje itd. Po czym nagle się okazało, że z jakichś względów finansowych musimy się wynieść w ciągu jednego dnia.

Profesor Tarkowski nie przyjmował do wiadomości, że na Krakowskim nie robimy już doświadczeń, skoro się przeprowadzamy. A ponieważ byliśmy wszyscy poza nim zaangażowani przy przeprowadzce, no to przynajmniej on będzie robił doświadczenia. Mam takie zdjęcie: ostatni dzień na Krakowskim, ostatnie doświadczenie. Wszystko już rozebrane, rozwalone, kartony popakowane. Pośrodku pokoju stoi jeden stolik, na stoliku binokular, różne naczynka, pożywki itd. Profesor Tarkowski siedzi i robi doświadczenie, bo musiał je skończyć, choćby się waliło, paliło.

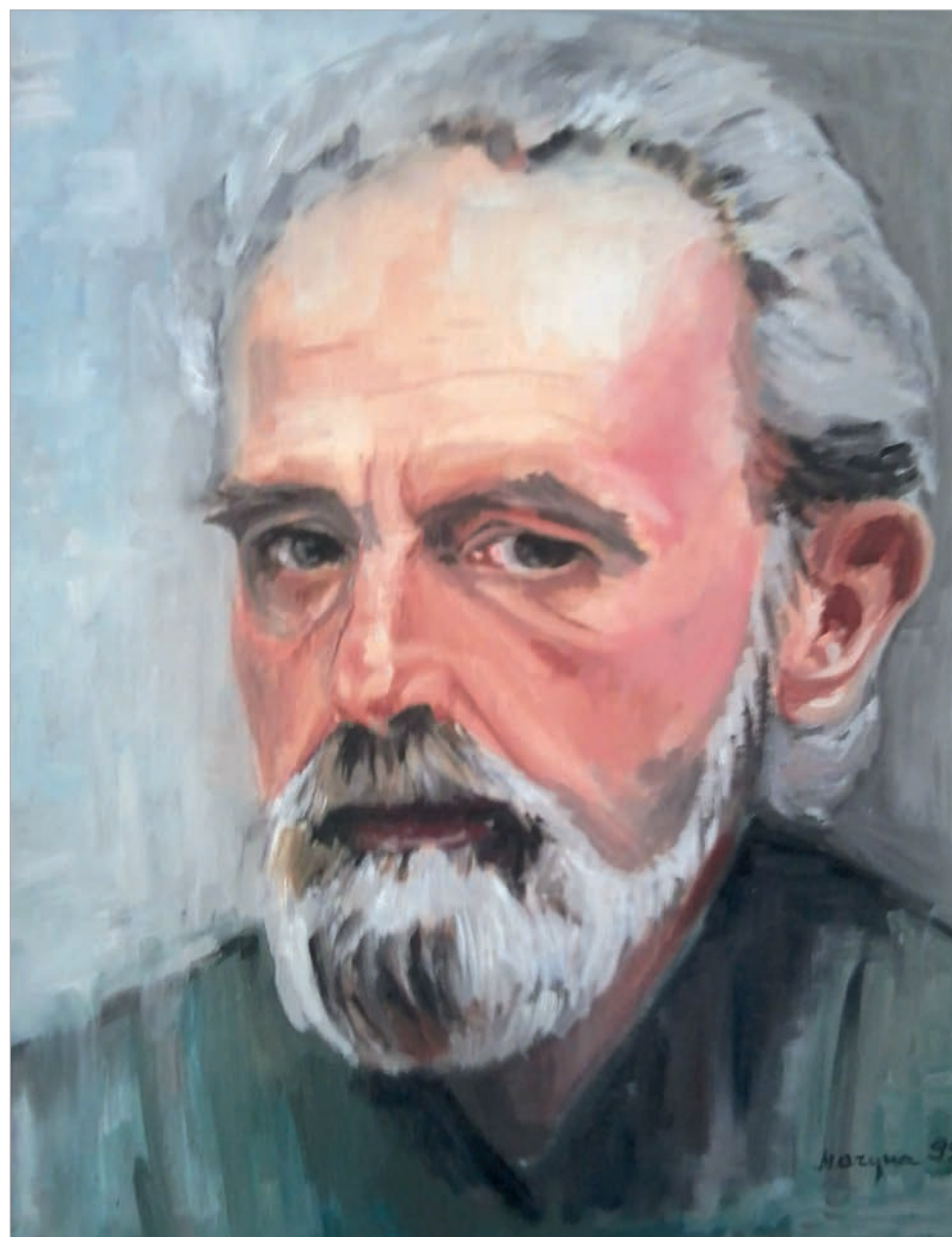
Marek Maleszewski

Studia zaczęłam w 1988 roku i zaraz potem przyszedł czerwiec '89. Byliśmy bardzo zaangażowani politycznie. Żyliśmy polityką i cieszę się, że miałam okazję studiować w tym właśnie czasie. Ja akurat nie strajkowałam nocą, nie spałam na Wydziale, ale miałam przyjaciół, którzy aktywnie włączali się do strajku, jak choćby Marcin Brzeziński i jego koledzy – Paweł Cygan i Maciek Faruga. To oni, szczególnie chyba Paweł i Marcin, aktywnie strajkowali. Była taka prześmieszna historia, że kiedyś do strajkujących studentów na Wydział Biologii wpadł nocą jenot. Zaszły się gdzieś za szafą i musiała przyjechać specjalna ekipa weterynarzy, by go wyciągnąć. Trudno zrozumieć, jak dzikie zwierzę znad Wisły odnalazło Wydział Biologii. Po zapachu? Na polonistykę byłoby mu bliżej...

Pamiętam też marsz i składanie wieńca przed tablicą poświęconą zdarzeniom marcowym, kiedy na czele pochodu szedł nieodżałowany rektor Grzegorz Białkowski. Kadra i studenci byli wtedy jednym politycznym organizmem. A przynajmniej my – może naiwnie – tak myśleliśmy.

Marta Wrzosek





OSIĄGNIĘCIA

s. 266: Maryna Szöllősi, portret meža Daniela Szöllősi, 1992 r.

Jedno z moich większych osiągnięć dydaktyczno-wychowawczych to przyjęcie do pracy pani Małgorzaty Kloc. Tak, jeśli mowa o uczniach, to pani Kloc jest moim największym życiowym osiągnięciem.

Bohdan Matuszewski

Z pewnych rezultatów naukowych jestem zadowolony. Ale żebym był taki szczęśliwy czy uważał to za wielkie osiągnięcie, to nie.

Na zlecenie prof. Bassalika zbudowałem fitotron, umożliwiający prowadzenie hodowli roślin w kontrolowanych warunkach termicznych, świetlnych oraz na podłożu glebowym lub hydroponicznym. W 1958 roku, po wielu trudach i z pomocą kolegów z Politechniki udało się takie urządzenie zainstalować w podziemiach Szkoły Głównej. To był pierwszy fitotron w Polsce. W 1959 roku prof. Bassalik uzyskał z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego pieniądze na rozbudowę fitotyonu, ale niestety nie doczekał końca budowy. Ostatecznie w dziewięciu komorach można było prowadzić hodowlę roślin w granicach temp. 4–40°C i o dowolnym czasie naświetlania. Długość fal świetlnych można było regulować odpowiednimi filtrami. Trudności przy budowie było wiele. Brakowało materiałów, a zwłaszcza elektronicznych elementów sterujących.

W ramach tzw. Centralnego Problemu, poświęconego ziemniakowi, opracowałem metodę hodowli tej rośliny, która pozwalała na uzyskiwanie nasion ziemniaka w okresie zimowym. Jak stwierdził prof. Świeżyński, kierownik Instytutu Ziemniaka w Młochowie, umożliwiała to przyspieszenie prac nad otrzymaniem nowych materiałów genetyczno-hodowlanych, co z kolei miało duże znaczenie dla postępu prac nad pozyskaniem nowych odmian ziemniaka.

Zbudowałem aparaturę do pomiaru natężenia pobierania wody przez rośliny, do oznaczania objętości przestrzeni międzykomórkowych, składu gazowego (tłenu i dwutlenku węgla) oraz deficytu wodnego roślin. Była ona wykorzystywana do prac badawczych i do ćwiczeń ze studentami w pracowni fizjologii roślin.

Prowadziłem badania, w których wykazałem, że w okresie letnim deficyty wodne roślin są znaczne i sięgają nawet 70 procent w stosunku do ich pełnego uwodnienia – turgoru. Prostowało to błędne wyniki prac, w których deficyty wodne roślin uprawnych w Polsce wahały się w granicach kilku procent.

Dzięki działalności mojej żony i mojej, ludzie, którzy by przypadli, którzy mieli tylko szkołę podstawową, zrobili maturę, skończyli studia wyższe, zaczęli pracować na wyższej uczelni – Uniwersytecie, a później SGGW.

Jerzy Czerski

Dużo publikowałam, z wieloma ciekawymi ludźmi współpracowałam, w różnych zawodowych gremiach i w międzynarodowych projektach uczestniczyłam. Mam satysfakcję, że na koniec mojej pracy, jako specjalistka od Strigeida, byłam zaproszona do udziału w opracowaniu międzynarodowego trzytomowego klucza do przywr występujących na świecie. Z Polski zaproszono tylko mnie i jeszcze jedną osobę. Książka jest gruba, a profesorów tam cała masa, więc uważam, że zostałam doceniona. A na którymś zjeździe Polskiego Towarzystwa Parazytologicznego (byłam wtedy prezesem Towarzystwa) podszedł do mnie prof. Jaczewski i powiedział: „Cieszę się, że się nie pomyliłem”. To była najważniejsza ocena mojej naukowej drogi.

Katarzyna Niewiadomska

Nie zrobiłem żadnego wiekopomnego odkrycia naukowego. Stawiałem sobie proste pytania, na które starałem się udzielać odpowiedzi. Ale nie mogę powiedzieć, że odkryłem to i to i klękajcie narody.

Dzięki współpracy z Instytutem Sadownictwa w Skierniewicach zatrzymałem się na badaniu spoczynku nasion i kontynuowałem te prace przez kilkadziesiąt lat, współpracując z szeregiem ośrodków. Wiem, że to ludzi nadal interesuje, że cytują moje prace.

Jeśli chodzi o naukę, swoje zrobiłem, czasu nie zmarnowałem.

Do moich osiągnięć można by zaliczyć także wychowanie (wykształcenie) kilkudziesięciu magistrów, czternastu doktorów oraz aktywny udział w powstaniu szeregu podręczników i opracowań dydaktycznych.

Stanisław Lewak

Nie pamiętam już, z jakiego powodu kierowniczką redakcji „Biologii” w PZWS zaprosiła mnie i zapytała, czy nie napisałbym jakiejś książki dla nich. Pomyślałem, że napiszę coś o zoogeografii, i w 1968 roku ukazały się *Zwierzęta i kontynenty*. Miałem z nimi wielki kłopot, bo popularna zoogeografia powinna być pełna pięknych kolorowych zdjęć. Tymczasem w peerelu druk kolorowy był zupełnie niedostępny, a jeśli już nawet był, to koszarnej jakości. Zresztą druk czarno-biały też był niewyobrażalnie niechlujny. Długo szukałem, ale w końcu znalazłem człowieka, który potrafił wizerunek zwierzęcia sprowadzić do tak prostego znaku graficznego, że nawet peerelowski druk nie mógł go zepsuć. A potem były jeszcze *Zwierzęta i oceany*.

Z podręcznikami biologii dla liceum też nie pamiętam, od czego się zaczęło – w każdym razie przez wiele lat pisałem kolejne ich wersje.

Potem, już po przemianie ustrojowej, w 1995 roku była – wreszcie z normalnymi, barwnymi fotografiami – *Ekologia, środowisko, przyroda*, z której do dzisiaj jestem bardzo zadowolony. I w końcu takie zoogeografie popularne, o jakich marzyłem w czasach peerelu – *Życie naszej Ziemi* i trzeci tom *Geografii świata – Zwierzęta Ziemi*.

Tomasz Umiński

W latach 90. rozwinął się w Polsce system pozyskiwania grantów z różnych źródeł. Oczywiście korzystałam z tych możliwości. Zakład Odporności Roślin na Wydziale Biologii UW stał się placówką znaczącą w kraju i za granicą. W sumie opublikowaliśmy ponad 100 artykułów naukowych, które ukazały się w renomowanych czasopismach zagranicznych, a także w wydawnictwach monograficznych.

Kierowane przeze mnie prace nad odpornością roślin trwały do 2008 roku. Wtedy ukazała się nasza ostatnia publikacja. Obecnie badania molekularne nad odpornością kukurydzy na niską temperaturę prowadzi prof. Paweł Sowiński w Zakładzie Ekofizjologii Molekularnej Roślin.

Alina Kacperska-Lewak

Spośród prowadzonych przeze mnie badań najistotniejsze wydają mi się te, które dotyczą interakcji między różnymi grupami roślin i zwierząt w strefie przybrzeżnej jezior, szczególnie w układzie roślina – roślinożerca. Jeśli chodzi o niepowodzenia, to niejednokrotnie wiązały się one z eksperymentami terenowymi, w prowadzeniu których wiele zależało od trudnych do przewidzenia czynników zewnętrznych. Ogólnie rzecz biorąc, sądzę, że mogłam zrobić więcej. Może niektóre tematy, które porzuciłam, należało jednak bardziej rozwijać, może inaczej ukierunkować.

Ewa Pieczyńska

Myślę, że osiągnięciem naukowym moim i moich współpracowników były prace dokumentujące programowaną śmierć komórkową (PCD) u roślin, prowadzone głównie na tapetum w pylnikach roślin okrytonasiennych. Wyniki, nowe i po raz pierwszy udokumentowane na materiale roślinnym, były opublikowane w czasopismach o międzynarodowym zasięgu, między innymi w „*Protoplasma*”.

Maria Charzyńska

Wielkim osiągnięciem jest to, że udało mi się po wielu latach zorganizować prężny, bardzo dobrze pracujący Zakład. Jak przejąłem Zakład Cytologii, tematyka badań była rozproszona, powstawały prace ciekawe, interesujące, ale typowo cytologiczne, trochę w duchu lat 50. Zakład składał się z czterech różnych pracowni, kierowanych przez prof. Matuszewskiego, prof. Kaczanowską, prof. Radzikowskiego, no i przeze mnie – pracownia hodowli komórek. Profesor Kaczanowska stworzyła Zakład Fizjologii Komórek, prof. Radzikowski objął Zakład Zoologii, a pracownia hodowli komórek weszła do Cytologii. Kiedy prof. Bohdan Matuszewski odchodził na emeryturę, powołano mnie na kierownika Zakładu Cytologii. Zbudowałem wszystko od początku, wprowadziłem nową tematykę badań, ściśle współpracowaliśmy z uniwersytetami w Paryżu. Wspaniałe, mądre dziewczyny, powinienem mówić: panie, bo będę uznany za mizogina, zrobiły u mnie doktoraty, stworzyły zgrany zespół. Największym moim osiągnięciem jest to, że ten zespół nadal istnieje, że w momencie, w którym odszedłem na emeryturę, tematyka, którą wprowadziłem na Uniwersytet, była i jest nadal aktualna, jest znacząca, w świecie i w Polsce. To również wielka zasługa mojej następczyni w Zakładzie Cytologii prof. Marii Anny Ciemerych-Litwinienko.

Były też porażki: oto ucieka za granicę doktorantka, a liczyłem, że zrobi fantastyczną pracę. To są także rozczarowania magistrantami. Jest kilka odrzuconych projektów badawczych, no i jeden nieukończony, ten mi czasami nie daje spać po nocach.

Jerzy Moraczewski

Opublikowałem pracę na temat transplantacji zegara biologicznego, bo chronobiologia to właśnie zegar biologiczny. Pobierałem komórki, w których znajduje się zegar biologiczny, od owada rytmicznego, mającego bardzo wyraźny rytm dobowy, i wszczepiałem je do owada nierytmicznego. I ten biorca stawał się rytmiczny. Niestety, tylko na 2–3 dni, bo implant dosyć szybko zamierał. Ale w każdym razie udało się opublikować pracę na temat transplantacji zegara biologicznego. Jestem z tego dumny.

Opublikowałem naprawdę bardzo dużo prac, około dwustu, w różnych czasopismach naukowych – zagranicznych i polskich. No i książki: *Zegary biologiczne*, która ma już trzy wznowienia (obecnie przygotowuję nowe jej wydanie), *Endokrynologię owadów*, przetłumaczoną na angielski.

Byłem dziekanem Wydziału w latach 1984–1987. Utkwiła mi w pamięci przede wszystkim chęć ludzi do robienia czegoś, do organizacji, do pomocy. Nikt nie pytał, ile za to dostanie. Ludzie się naprawdę garnęli do różnych funkcji zupełnie spontanicznie, każdy chciał mi w czymś pomóc.

Ale były też sytuacje dosyć dramatyczne, bo pewna grupa fizjologów roślin mówiła, że nasiona jabłoni kiełkują, a inna grupa twierdziła, że w warunkach sztucznych nie kiełkują. I oni między sobą: kiełkują, nie kiełkują, kiełkują, nie kiełkują itd. Trzeba było coś zrobić, wejść pomiędzy te grupy i powiedzieć, że potrzebne jest jakieś doświadczenie, by się wszyscy przekonali, że jest tak albo tak.

Okres bycia dziekanem był bardzo interesujący, choć mniej korzystny jeśli chodzi o badania naukowe, bo funkcja dziekana zabierała strasznie dużo czasu. Tak że jak po tym trzyletnim okresie ponownie dostałem propozycję startu na to stanowisko, powiedziałem: „Nie. W życiu, niech ktoś inny popracuje”. Nie wiadomo, czy byłbym wybrany, ale myślałem, że jednak trochę zrobiłem dla tego Wydziału, więc pewnie bym został wybrany. Ale zrezygnowałem; wtedy pan prof. Lewak startował i został dziekanem.

W 1971 roku wprowadziłem w życie pomysł olimpiady biologicznej, a od 1994 byłem przewodniczącym Komitetu Głównego Olimpiady Biologicznej. To była spora praca: zorganizowanie co roku takiej olimpiady, na którą przyjeżdżało 300 osób. Bardzo ją jednak lubiłem, bo oznaczało to pracę z uczniami, kontakty z nauczycielami, możliwość przyjrzenia się, jak się uczy biologii w różnych ośrodkach itd. Oczywiście zajmowało to strasznie dużo czasu, funkcja była honorowa. Ale olimpiadę biologiczną bardzo dobrze wspominam.

Bronisław Cymborowski

Moim osiągnięciem było to, że kiedy niespełna 10 lat temu odchodziłem na emeryturę i przekazywałem Joannie Pijanowskiej kierownictwo Zakładu Hydrobiologii, to Zakład ten był już dobrze zakotwiczony w międzynarodowym obiegu nauki dzięki pracy moich młodszych kolegów: Joanny, Piotrka Dawidowicza, Ani Jachner, Mirka Ślusarczyka i Pawła Koperskiego. W Zakładzie wiele się dziś dzieje, w miarę swoich możliwości z przyjemnością bywam na zakładowych seminariach, by się o tym co tydzień przekonać...

Maciej Gliwicz

W końcówce lat 80. zająłem się na szerszą skalę pracą organizacyjną. Najpierw na prorektorstwo namówił mnie prof. Białkowski, niesłychanie sympatyczny fizyk, rektor UW. Przez dwie kadencje byłem jego prorektorem. Po przerwie, gdy wróciłem z pobytu w MIT, zachęcony przez kilku przyjaznych mi profesorów Uniwersytetu, wystartowałem w konkursie na stanowisko rektora. Wygrałem wybory na pierwszą, a potem na drugą kadencję. Pamiętam, że w trakcie prezentacji kandydatur, kiedy przedstawiałem założenia

swojego programu, jakaś pani z Wydziału Ekonomicznego spytała mnie, czy minister skarbu Jan Węgleński w Królestwie Polskim to mój przodek. Odpowiedziałem, że tak. Na to ona: „To był bardzo zły minister!”. „Tak, to był zły minister – odpowiedziałem – ale dał 20 000 rubli w złocie na zakładany właśnie Uniwersytet Warszawski”. Dostałem oklaski i to pytanie, które może miało mi zaszkodzić, obróciło się na moją korzyść.

Wydaje mi się, że zarządzanie Uniwersytetem było dawniej łatwiejsze, niż jest obecnie. O wszystkim decydowało Ministerstwo, była ustalona dotacja, ustalone pensje, nie było swobody w polityce wewnętrznej. Przez cały okres rektorowania miałem czas na prowadzenie prac naukowych, kierowanie zespołem badawczym, pisanie książek i artykułów naukowych. Teraz byłoby to niemożliwe

Uczestniczyłem w zakładaniu „Solidarności” na Uniwersytecie Warszawskim. Pamiętam, że nasze pierwsze, w tym warszawskim świątku naukowym, zebranie odbyło się w jakimś mieszkaniu prywatnym, gdzieś na Żoliborzu. Na drugie, w mieszkaniu Wiśki Lutowicz, przybyło już ponad 20 osób. Znalazłem miejsce siedzące na brzegu wanny, a po chwili przyszedł młody człowiek, usiadł obok mnie i powiedział: „Nazywam się Zbyszek Bujak, właśnie założyłem »Solidarność« w Ursusie”. Teraz do „Solidarności” nie należę, zrezygnowałem w latach 90., gdy program Związku całkowicie przestał mi odpowiadać. Mam nadzieję, że niedawno powstały KOD stanie się „Solidarnością”, tą z dawnych lat.

Piotr Węgleński

Moje największe osiągnięcie to wypromowanie dziesięciu doktorów, magistrów nie policzyłam. Mam też satysfakcję z osiągnięć „moich” doktorów (trzy habilitacje, dwie panie profesor) i miłych stosunków z zespołem.

W tej chwili zastępuje mnie godnie dr hab. Bożena Szal, która znakomicie publikuje i jestem z niej bardzo dumna. To osoba, którą wychowałam od licencjatu. Jest świetna. Ma doskonały stosunek do zespołu i potrafi go zmotywować.

Anna Rychter

Muszę powiedzieć, że z czasem znacznie zmieniłem profil badań prowadzonych w Zakładzie. Między innymi zajęliśmy się nowym problemem chorób odkleszczowych. Pracowaliśmy między innymi nad epidemiologią i środowiskowymi uwarunkowaniami groźnych dla człowieka chorób: boreliozy i babeszjozy oraz ekologią kleszczy przenoszących te choroby. Co ważne, tematy, które podejmowali wtedy moi doktoranci, były bardzo

dobrze publikowane i ich doktoraty broniące na Wydziale były również bardzo dobre. Był to okres, kiedy naprawdę parazytologia w Instytucie Zoologii była dobrze oceniana i również uznana w środowisku międzynarodowym. W tym czasie nawiązaliśmy współpracę z wieloma uniwersytetami. Osobiście uczestniczyłem w wielu konferencjach międzynarodowych i byłem zapraszany do komitetów organizacyjnych oraz przewodniczyłem licznym sesjom; niektóre konferencje były też organizowane w Polsce.

Badania rozpoczęte kiedyś przeze mnie, obecnie kontynuują moi następcy – myślę tutaj o Ani Bajer, która już jest profesorem, o Renacie Welc-Fałęciak, która po skończeniu mikrobiologii podjęła pracę u nas. Renata miała świetne przygotowanie molekularne i to z jej udziałem kontynuowane są te badania, które dotyczą istotnych problemów filogenetyki oraz zmienności wewnętrznej i międzygatunkowej patogenów, takich jak *Borrelia*, *Anaplasma* czy *Babesia*, przenoszonych przez kleszcze. Małgosia Bednarska kontynuuje badania nad *Cryptosporidium*, które rozpoczynałem prawie ćwierć wieku temu. W moim przekonaniu aktualnie prowadzone badania są bardzo istotne w aspekcie zdrowia publicznego, a zespół, który je realizuje, zdobywa uznanie nie tylko w Europie, ale i na całym świecie.

Odczuwam dużą satysfakcję w związku z tym, że na naszym Wydziale miałem udział we wprowadzeniu i rozwijaniu nowych studiów doktoranckich – studiów III stopnia. Pamiętam, że Wydział Biologii był drugim, po Fizyce, który wprowadził ten typ studiów na Uniwersytecie Warszawskim. Cały pomysł rodził się od początku lat 90. Zostałem zobligowany przez ówczesną dziekan, panią prof. Ewę Symonides, do zajęcia się tą sprawą i w '94 roku zostałem powołany na stanowisko kierownika tych studiów. Na początku była to niesamowita praca, rodząca wiele formalnych problemów, ale z czasem studia te rozwijały się bardzo ciekawie. Przez Wydział przewinęło się wtedy kilkuset doktorantów. Oczywiście, nie wszyscy kończyli te studia w terminie, ale większość (około 90 procent) broniła doktoraty po czterech latach.

Wyjątkowo dobrze pracująca komisja ds. studiów doktoranckich ewaluowała postępy naszych doktorantów. Były to otwarte sesje sprawozdawcze dla wszystkich doktorantów i pracowników Wydziału Biologii. Po pewnym czasie studia te przekształcały się w studia międzywydziałowe i cieszyły się dużym zainteresowaniem również poza Wydziałem. Wspomnę tutaj tylko o Instytucie Ekologii PAN z Białowieży. W ostatnim etapie mojego funkcjonowania złożyliśmy nawet wniosek do Fundacji na rzecz Nauki Polskiej o ich finansowanie i przyznanie statusu studiów międzynarodowych, w których miało uczestniczyć około 20 uniwersytetów. Sprawy te były dość zaawansowane, jednak nie doprowadziłem ich do końca. Po latach mogę szczerze przyznać, że jestem wdzięczny prof. Ewie Symonides, że „wrobiła” mnie w to, bowiem kierowanie tymi studiami, szczególnie w ostatnim okresie, dało mi dużo satysfakcji.

Dla mnie bardzo ważnym, przełomowym wydarzeniem naukowym w życiu Wydziału był „Japoński Nobel” przyznany profesorowi Andrzejowi Tarkowskiemu. Ważne było też przyjęcie przez amerykański Departament Rolnictwa końcowego raportu zawierającego wyniki naszych dziesięcioletnich badań nad pasożytami owiec. Badania te prowadzili pracownicy Zakładu Parazytologii pod kierunkiem prof. Bernarda Bezubika w różnych miejscach Polski.

Badano też eksperymentalnie wpływ niektórych leków czy promieni UV na larwy nicieni. Udział w tych badaniach dał mi dużą satysfakcję. Porażką było, gdy okazało się, że próba opracowania szczepionki dla owiec przy użyciu odpowiednio naświetlonych promieniami UV larw nicienia *Strongyloides papillosus* nie powiodła się ze względu na możliwości techniczne w ovczarniach.

Wielu pracowników Instytutu Zoologii za osiągnięcia naukowe otrzymywało nagrody ministra lub nagrody rektora za badania naukowe i bardzo dobrą dydaktykę.

Osiągnięciem ostatnich lat, które najbardziej mnie cieszy, jest stopniowe wprowadzanie (tam, gdzie jest to możliwe) zastępczych metod badawczych w miejsce eksperymentów na zwierzętach.

Gdybym powtórnie stanęła przed wyborem drogi życiowej i kierunku studiów – wybrałabym biologię.

Maria Magdalena Borowik

Muszę się nieskromnie przyznać, że byłem pewnie autorem pierwszego w Polsce aparatu do elektroforezy w żelu poliakrylamidowym w rurkach. To były aparaciki wycinane scyzorykiem z wiaderk plastikowych, dostępnych w każdym sklepie. Konstruowane za pomocą korkoboru i kilku zupełnie prymitywnych narzędzi. Chemicy syntetyzowali nam akrylamid. I działały chyba we wszystkich uniwersytetach w kraju – w Krakowie, we Wrocławiu, w Gdańsku, Toruniu, Poznaniu, także w wielu instytucjach w Warszawie. Na tych aparacikach zarobiłem sporą część wkładu do spółdzielni mieszkaniowej. I był to dobry interes, bo wkład materiałowy był niski, zamawiający dostarczał kawałek drutu platynowego na elektrody, którego oczywiście nie miałem, a resztę robiliśmy ja i szklarz (na farmacji był bardzo zdolny szklarz, który toczył na tokarce niezbędne elementy). I co najważniejsze – to działało. Na tym aparaciku zrobiłem też doktorat.

Andrzej Podstolski

Wychowałam jedenastu doktorów, a wśród magistrantów i doktorantów, którzy przewinęli się przez Zakład, jest wielu profesorów w kraju i za granicą. Dr Winiarska i dr Drożak są po habilitacji, więc Zakład rozwija się nadal.

Jadwiga Bryła

Niewątpliwie największe osiągnięcie to stworzenie Urwitałtu. Stacja w Urwitałcu funkcjonuje do tej pory. Co prawda, nie w takiej formie, jak ja bym sobie to wyobrażała, bo młodzi ludzie, którzy tam w tej chwili zasiedli, chcą z tego zrobić biznes. Natomiast dla mnie Urwitałt miał zawsze rolę służebną wobec studentów, wobec dydaktyki. Myśmy tam wprowadzili w pewnym momencie opłaty za noclegi, ale to były opłaty nie z kieszeni studentów, tylko Wydziału.

Ryszard Halba

Za swój sukces uważam pierwszy informator wydziałowy, który przygotowaliśmy razem z już niestety nieżyjącą Bożenną Maciejewską (wówczas wicedyrektor Instytutu Botaniki) z okazji przeprowadzki rozproszonych części Wydziału do nowego gmachu przy ul. Miecznikowa. Zorganizowałyśmy też wtedy na Dni Uniwersytetu pierwszą sesję naukową połączonego Wydziału, obejmującą wykłady i sesję plakatową we wspólnym holu nowego budynku. Moim zadaniem było również zorganizowanie nowej Biblioteki Wydziałowej, po połączeniu mniejszych jednostek bibliotecznych, istniejących dotychczas w poszczególnych Instytutach w różnych miejscach Warszawy.

Krzyszyna Skwarło-Sołta

Przez habilitację przeszłam nadspodziewanie gładko (dwa głosy przeciw), a już rok później zmuszono mnie do kandydowania na stanowisko dyrektora Instytutu Botaniki, któremu z powodu konfliktów personalnych groził rozpad. Wybitni profesorowie zwyczajnie żarli się między sobą, prawdopodobnie z powodu fatalnych warunków lokalowych. Nieraz myślałam, że pracuję w domu wariatów. A szanse na dyrektorstwo Instytutu miałam głównie dlatego, że byłam z zewnątrz. Potem wielokrotnie bawiłam się i wyśmiewałam próby szkodzenia sobie wzajem. Fakt, że nie byłam wychowaną ówczesnych tuzów Wydziału, bardzo ułatwił mi życie.

Kandydatem na dziekana Wydziału zostałam tuż przed wyborami, kiedy rektorem był prof. Andrzej Kajetan Wróblewski, a ja byłam senatorem i poniekąd „budowniczym” uniwersyteckiego ośrodka wczasowo-kolonijnego „Bajka” jako przewodnicząca senackiej komisji ds. socjalnych. Pan rektor chyba cenił moją działalność, troskę o dobre imię Wydziału i konieczność poprawy jego warunków pracy. Namówił ówczesnego dziekana, prof. Lewaka, żeby wywarł na mnie presję w sprawie mojej zgody na kandydowanie. Mnie z kolei zapewnił, że pomoże w zdobywaniu pieniędzy na budowę nowego gmachu dla Wydziału. Wskutek pomyłki prof. Mycielskiego, przewodniczącego wydziałowej komisji wyborczej, wybory dziekana wyprzedziły wybory rektora. Reszta jak w ponurej komedii: ja wygrałam wybory dziekańskie, prof. Wróblewski wybory na rektora przegrał...

Kiedy zostałam już dziekanem, to nie chciałam tracić czasu. Uznałam, że pełnić jakąś funkcję to nie znaczy tylko ją „piastować”, to nie dla mnie. Odłożyłam wtedy badania, bo nie da się pogodzić tak wielu obowiązków. Jednocześnie coraz bliższe były mi sprawy ochrony przyrody, byłam członkiem i przewodniczącą Państwowej Rady Ochrony Przyrody, podejmowałam wiele trudnych zadań.

O nowym budynku dla Wydziału Biologii mówiło się bez przerwy. Duże rozproszenie Zakładów, pokoje z pakamerami pod sufitami w Szkole Głównej, brak odpowiednich pomieszczeń dla specjalistycznego sprzętu. Nie wszyscy to rozumieli. Był taki minister Czarny z Kielc, który tak mnie kiedyś zirytował, że postanowiłam urządzić mu wycieczkę w Szkole Głównej. Po prostu porwałam go z Ministerstwa. I zobaczył tę ciasnotę, laboratoryjny smrodzik, brud, to wszystko.

Pierwszy rok mojego dziekaństwa poświęciłam na nawiązywanie szerokich kontaktów z potencjalnymi sponsorami. Udało się zjednać sympatię całej komisji ds. nauki w Sejmie, władz Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska, często zmieniających się ministrów.

Po roku zaczęliśmy budowę, trwającą pięć lat. W czasie uroczystego otwarcia budynku urząd rektora pełnił już prof. Węgleński. Były pomysły poświęcenia budynku, ale na Radzie Wydziału stanowczo zaprotestowałam, przypominając, że to ma być Wydział Biologii, a nie kościół, i nie bardzo rozumiem, po co to święcenie. Podobnie nie zgodziłam się na wieszanie krzyży w salach wykładowych. Powiedziałam: „Rozumiem, że będziemy mieli studentów z różnych krajów, różnych wyznań... Jeśli chodzi o samą uroczystość, to każdy może iść rano na mszę, pomodlić się przed lub po, ale jeśli państwo koniecznie chcą święcenia, to bardzo proszę, tylko beze mnie. Niech ktoś inny otwiera budynek, i cześć”. I święcenia nie było. Pan rektor Włodzimierz Siwiński nie mógł wyjść z podziwu, że było mnie stać na powiedzenie „nie”, wszak nowa biblioteka uniwersytecka była święcona.

Potem, we wspomnieniach o Wydziale, prof. Lewak napisał, że sam „doszedł do etapu budowy... i jak pojawiły się pieniądze unijne, to nowa ekipa mogła natychmiast rozpocząć budowę”. Powiedziałam mu, że jak się

ma taką pamięć, to lepiej nie pisać wspomnień. Zostawił mi za to w spadku prof. Moraczewskiego jako „seniora budowy”. Miał on sprawiedliwie podzielić wydziałowe powierzchnie... Naprawdę prosiłam go, żeby – mając plany, już zmodyfikowane – rozsądnie podzielił powierzchnię w uzgodnieniu z kierownikami zakładów. I dodałam: „Wszystkiego nie należy dzielić, zróbcie tak, żeby wykorzystywanie powierzchni było elastyczne, żeby nie traktować tego jako własność dozgonną”. Niestety, wtedy bardzo skrzywdzona została mikrobiologia.

Pod koniec mojej pierwszej dziekańskiej kadencji pojawiły się, pierwszy raz od dawna, duże pieniądze, w tym na podwyżki płac. Wprowadzono wtedy samofinansowanie się wydziałów, lub inaczej – gospodarce finansową przekazano w dużym stopniu wydziałom. Poprosiłam kierowników zakładów o listę pracowników niebędących nauczycielami. Okazało się, że było mnóstwo „martwych dusz”, ludzi pozatrudnianych na pół, ćwierć etatu, jakichś laborantów, pomocników, w ogóle nie wiadomo kogo, bo wielu osób nikt nigdy nie widział. Zwolniliśmy wtedy 100 osób, a może więcej. Solidne podwyżki dostali młodzi naukowcy, a starsi adiunkci, którzy się nie wyhabilitowali – tylko symboliczne. Dr Andrzej Kowalczewski – już nieżyjący, niestety – urządził na Wydziale piekło i razem z panią dr Joanną Pijanowską zbuntowali przeciwko mnie wszystkich adiunktów i starszych wykładowców. Zaprosiłam ich wszystkich do Sali Śląskiej w Szkole Głównej. To było dwa miesiące przed wyborami na drugą kadencję. Andrzej Kowalczewski zaczął dowodzić, że to na tych starych adiunktach cały Wydział stoi. Powiedziałam wtedy: „Zazdroszczę wam takiego dobrego samopoczucia, bo w moim przekonaniu przyszłość Wydziału leży w tych młodych ludziach, ambitnych i pracujących. Państwa czas, przepraszam, ale minął. Większość wzięła stypendia habilitacyjne, urlopy i co? I nic. Struktura uczelni się nie zmieni, są potrzebni profesorowie, którzy będą mieli swoich doktorów itd. Wasz czas już niestety minął, więc proszę się nie dziwić, że dostaliście symboliczną podwyżkę...”. Mieli zamiar pójść na skargę do rektora. Powiedziałam: „Proszę państwa, za dwa miesiące będą wybory. Mamy rozbabraną budowę. Jakaś życzliwość rektora jest nam bardzo potrzebna... A poza tym mam inną propozycję. Skoro zaraz mamy wybory, proszę znaleźć kandydata na dziekana, który poprze państwa postulaty; jest ponad osiemdziesiąt osób w tej sali. Obiecuję, że jeśli kandydat zdobędzie odpowiednią liczbę głosów w wyborach indykacyjnych, to ja się wycofam i nie będę dziekanem”. Byli wściekli. A panią prof. Pijanowską – wtedy jeszcze panią dr Pijanowską, osobą niezwykle zdolną – zaprosiłam na drugi dzień na indywidualną rozmowę i powiedziałam, że daję jej pół roku na zrobienie habilitacji. Inaczej zwolnię ją z pracy. Tak się zaczęła nasza przyjaźń, a pani Pijanowska jest obecnie profesorem zwyczajnym. A nowy kandydat na dziekana oczywiście się nie pojawił, po prostu w ogóle nie było chętnych.

Wydaje mi się, że za osiągnięcie mogę uznać wykształcenie dużej grupy naukowców pracujących w różnych instytucjach. Do tej pory wypromowałam dziesięciu doktorów i byłam opiekunem wielu, pewno około 100 prac magisterskich i licencjackich. Część moich wychowanków rozjechała się po świecie. Pewną porażką jest to, że nie mam jak dotąd następcy. Myślę, że może Agnieszka Wyszyńska uzyskać stopień doktora habilitowanego.

Elżbieta K. Jagusztyn-Krynicka

Będąc w USA na stażu, dostałem zadanie, by sklonować pewien gen, i żeby to zrobić, musiałem wynaleźć zupełnie nową metodę testowania kolonii drożdży. Po roku niepowodzeń, siedząc o północy w ciepłym basenie, w Dallas, postanowiłem, że muszę odejść od wszystkich konwencjonalnych metod, że trzeba zrobić coś, czego jeszcze nikt nie zrobił. Chodziło o to, żeby w koloniach drożdży obserwować, jaki jest poziom konkretnego RNA. Potem się okazało, że ten gen jest również u człowieka, wobec tego już w Warszawie razem z moim zespołem zaczęliśmy prowadzić badania na komórkach ludzkich. Nasz ludzki gen SUV3 w dalszym ciągu jest badany i nadal ma wiele tajemnic.

Oczywiście na początku była tylko metoda, a nie odkrycie naukowe. Odkryciem można nazwać dopiero zbadanie tego genu i stwierdzenie, jaka jest jego funkcja. Udało się nam to ustalić dla dwóch genów drożdżowych i czterech ludzkich. Wszystkie pełnią ważne funkcje w metabolizmie mitochondrialnych RNA.

Piotr Stępień

Ukoronowaniem moich osiągnięć, które obecnie można mierzyć tak modnymi punktami czy *impact factor*, były moje publikacje habilitacyjne w „Phytochemistry” czy „Journal of Chromatography” (35 i 40 pkt). Ale ja z przyzwyczajeniem oka traktuję scjentometrię i za największe osiągnięcie uważam to, że zostałem koordynatorem całości grantu w ramach programu FP6. Byłem koordynatorem nie grupy badawczej, a całości grantu europejskiego, i to był pierwszy taki przypadek w historii Uniwersytetu Warszawskiego, jak mi powiedziała pani Pustuła z Biura Obsługi Badań. A za wspólne, trwające ćwierć wieku kontakty naukowe, wspólne prace, stanowiące pomost między nauką europejską a środkowoazjatycką, Narodowy Uniwersytet Uzbekistanu w Taszkencie nadał mi w roku 2011 doktorat honorowy.

Łącznie byłem prodziekanem przez trzy kadencje, kolejno w ekipach profesorów Lewaka, Symonides i Pijanowskiej. Do tego jeszcze jedna kadencja

wicedyrektorska i dwie dyrektorskie. Trochę się tych lat na organizacyjnych stołkach nazbierało, ale generalnie wspominam to dobrze.

Z okresu, kiedy byłem prodziekanem, bardzo miło wspominam panią dziekan Symonides, u której miałem okazję być jedną kadencją prodziekanem ds. studenckich. Wspominam ją jako osobę niezwykle rzutką, z którą doskonale się rozumieliśmy. Wystarczyło, że ona coś powiedziała do mnie albo ja powiedziałem do niej; taką współpracę się pamięta. No i to symboliczne wbicie łopaty pod budynek, w którym teraz siedzimy. Bo to akurat było w czasach, kiedy byłem prodziekanem.

Bogusław Wiłkomirski

Programy nauczania zmieniały się dość często. W połowie lat 70., gdy w ramach zmian programu studiów powstał kierunek „Biologia środowiskowa”, wspólnie z Anną Kwiatkowską opracowaliśmy program ćwiczeń z ekologii ogólnej dla biologii środowiskowej, który został nawet opublikowany w „Wiadomościach Ekologicznych”.

Jan Chojnacki

Za swoje osiągnięcie uważam zorganizowanie Pracowni Dydaktyki Biologii. Kilka osób idzie za mną od samego początku, wciąż mam z nimi kontakt. Pracują albo jako nauczyciele, albo jako adiunkci na uczelniach pedagogicznych i często zwracają się do mnie o pomoc. Dwie asystentki, które pracowały w Pracowni, są teraz moimi doktorantkami w Akademii Pedagogiki Specjalnej. Podczas konferencji naukowych w różnych uczelniach spotykam osoby, które mnie pamiętają z zajęć, a które dziś zajmują wysokie stanowiska w organizacjach społecznych czy instytucjach związanych z edukacją.

Ligia Tuszyńska

Moim największym osiągnięciem jest niedawno wydana książka *Ekotoksykologia: rośliny, gleby, metale*. W książce tej zostały opublikowane wszystkie nasze badania i badania innych zespołów, zajmujących się zblizonymi zagadnieniami. Moim zdaniem badania rozproszone w anglojęzycznej literaturze są trudno dostępne, a zebrane w całość dają dobry początek do dalszych badań, podejmowanych przez kolejne pokolenia badaczy. Moja książka została wydana w języku polskim, co uważam za cenne, gdyż może służyć naszym

studentom czy doktorantom jako podręcznik. Ponieważ jest napisana po polsku, stanowi mój skromny wkład w rozwój naszej kultury narodowej. Angielska wersja książki będzie przygotowywana w drugiej kolejności i już tylko w wersji elektronicznej.

Małgorzata Wierzbicka

Moją drugą, po ekologii, bardzo rozwijaną pasją, na której zaważył pobyt na stypendium w Oksfordzie, stała się ochrona środowiska i jej popularyzacja. Zorientowałam się, że to dziedzina, która u nas jest bardzo słabo reprezentowana na uczelni, a tam cały Oksford żył sprawami tej właśnie praktycznej ekologii, związanej z badaniami nie tylko nauki dla nauki, ale z konkretnymi praktycznymi pracami, z ochroną środowiska. A także z kształtowaniem świadomości ludzkiej, z prawami i obowiązkami wobec środowiska i koniecznymi zmianami, nawet decyzjami politycznymi w tym kierunku. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że moje dotychczasowe działania są bardzo ciekawe, ale i bardzo przyczynkarskie w stosunku do – by tak rzec – skali wyzwań. I nie dało się już tych dwóch rzeczy prowadzić naraz. Tak więc mój pobyt w Oksfordzie był takim punktem zwrotnym.

W 1988 roku z inicjatywy prof. Dobrowolskiego z Wydziału Biologii i dziekanów Wydziałów Geologii, Chemii oraz Geografii zostało powołane Uniwersyteckie Centrum Badań nad Środowiskiem – UCBS. Jego dyrektorem została prof. Aleksandra Macioszczykowa z Wydziału Geologii, a wicedyrektorem prof. Andrzej Prejs z Wydziału Biologii. A potem, jak była zmiana kadencji, Andrzej zaproponował moją kandydaturę na wicedyrektora Centrum. Niebawem z Wydziału Biologii przeszłam do pracy w UCBS. Zaczynaliśmy od jednego biurka, jednej pani sekretarki, żadnych studentów. Organizowaliśmy międzywydziałowe wykłady ochrony środowiska, co na owe lata było w Polsce wielkim *novum*. Te wykłady gromadziły tłumy słuchaczy, ochrona środowiska spotykała się wtedy z bardzo dużym zainteresowaniem. Na tej fali, także dzięki moim kontaktom z Uniwersyteciem w Aarhus i Uniwersyteciem w Londynie, stworzyliśmy pierwszy program wymiany i współpracy międzyuczelnianej „Tempus – Rozwijanie Uniwersyteckich Centrów Badań nad Środowiskiem”, obejmujący w Polsce Uniwersytet Warszawski oraz Uniwersytet Śląski. To było świeżo po transformacji, otworzyła się zupełnie nowa możliwość takiej międzynarodowej współpracy. To właśnie z Centrum (UCBS) wyłoniły się Międzywydziałowe Studia Ochrony Środowiska (MSOŚ).

Działania te wyprowadziły UCBS na międzynarodowe wody. Jak był wybór do Rady Światowej Unii Ochrony Przyrody (pełniłam przez dwie kadencje funkcję członka Rady i Komisji Edukacji), okazało się, że bardzo wiele osób mnie tam zna z moich różnych dawnych działań, tak że nie

pojawiałam się tam jako osoba anonimowa. Dzięki współpracy IUCN [International Union for Conservation of Nature – przyp. red.], NATO i Komisji Europejskiej udało się doprowadzić do tego, że bardzo wiele terenów poligonów wojskowych zostało obszarami Natura 2000. Były u nas przygotowane specjalne zasady szkoleń dla żołnierzy, dostosowywania nawet różnego rodzaju zabiegów wojskowych i manewrów do rytmu przyrody. Kontakty z tymi międzynarodowymi instytucjami stale trwają. To była bardzo ciekawa gałąź moich działań, no i dzięki temu również, jako delegat Światowej Unii Ochrony Przyrody, mogłam uczestniczyć we wszystkich Szczytach Ziemi, a także bywać na posiedzeniach Komitetu ds. Współczesnych Wyzwań Społecznych (CCMS) w kwaterze głównej NATO.

Moich pięćdziesięciu kilku magistrantów w różnych miejscach robi bardzo ciekawe kariery. Na przykład moja magistrantka Monika Wiśniewska zrobiła doktorat w Anglii z dziedziny Ecological Building Environment, czyli ekologii wnętrza budynków. To coś, o czym się bardzo mało u nas mówi, tymczasem spędzamy tam 80 procent życia, przynajmniej zimą. Inna moja magistrantka jest głównym ekologiem w IKEA, więc są różne fajne miejsca, gdzie mamy kontakty, a z tego wynika też takie poczucie, że mamy jakiś, choćby w skali mikro, wpływ na rzeczywistość.

Moim największym osiągnięciem jest to, że często spotykam ludzi, którzy mówią, że dziękują, że dzięki mnie i moim książkom wybrali sobie zawód związany z ochroną przyrody oraz z edukacją, i to jest niezwykle wzruszające.

A niedawna sprawa Białowieży? Jak pojechałam do obozu ekologów, wiele osób ucieszyło się, że się tam pojawiłam. „Rzeczpospolita” zamieściła mój duży artykuł, w którym napisałam, że taki protest przeciw niszczeniu przyrodniczego dziedzictwa Polski to piękny przykład współczesnego patriotyzmu. Myślałam, że to się źle skończy, jakąś wielką awanturą z różnymi instytucjami, ale przelknęli to. Nie da się tego tak zbyć, że to jacyś zwariowani ekolodzy. I to są, można powiedzieć, takie drobne sukcesy.

Niedawno zaproponowano mi utworzenie przy UCBS pierwszego w Polsce Regionalnego Centrum Ekspertckiego dla Edukacji dla Zrównoważonego Rozwoju, afiliowanego przy UNU – Uniwersytecie Narodów Zjednoczonych. Włączyło się w to wiele warszawskich uczelni wyższych i organizacji społecznych zajmujących się edukacją i takiej mocnej koalicji partnerów UNU wystawiło certyfikat, że jesteśmy pierwszym w Polsce Regionalnym Centrum – RCE Warsaw Metropolitan. Podpisaliśmy też umowę, że jeżeli miasto stołeczne będzie od nas czegoś potrzebowało, to ma taką grupę ekspercką do dyspozycji. Mnóstwo rzeczy się dzieje i staramy się wzajemnie informować, czasem coś zrobić wspólnie. Chcemy na przykład przygotować dla szkół wirtualną ścieżkę obiektów zrównoważonego rozwoju w Warszawie, żeby mogły wiedzieć, co warto zobaczyć.

Na pewno największą radością są dla mnie nasi absolwenci, wykształceni młodzi (i już nie tylko młodzi...) ludzie, którzy ciągle utrzymują ze mną kontakt. Jest to już spora gromadka. Większość z nich pracuje w zawodzie: na Uniwersytecie lub innych uczelniach, w obu warszawskich Ogrodach Botanicznych, w instytucjach związanych z ochroną przyrody czy w organizacjach ekologicznych. Niektórzy zrobili karierę za granicą. Wszystkich ciepło wspominam i najserdeczniej pozdrawiam.

Bardzo cenię, trwające już ponad 40 lat, kontakty z przyjaciółmi z naszego roku studiów – wielu z nich pozostało na uczelni, niektórzy pracują w instytutach PAN. Dzięki inicjatywie naszych kolegów, dr Hanny Werblan-Jakubiec i Marka Karolewskiego, spotykamy się dość regularnie. Są to niezwykle sympatyczne spotkania, ale zauważamy, że coraz nas mniej...

Barbara Sudnik-Wójcikowska

Za swoje osiągnięcie uważam przygotowanie moich studentów do samodzielnej pracy naukowej. Wielu z nich poszło w świat i odnalazło się tam. Wyjeżdżali na staże oraz w ramach wymiany studenckiej w programach Tempus czy Erasmus. Mój zespół był zawsze identyfikowany: „A, skoro jesteś od Marysi Doligalskiej, to na pewno dużo umiesz”. Takie zdanie mieli koledzy z Glasgow, Utrechtu, Manchesteru czy Berlina... Chyba potrafiłam zarazić moich studentów pasją do badań, w końcu przecież jestem parazytologiem.

Maria Doligalska

Początki w Ogrodzie były bardzo trudne. Nie wiedziałam, jak się zabrać do tego zadania. Personel był bardzo szczupły: 14 osób, w tym trzech mężczyzn. Z tak niewielką grupą trudno było realizować postawione cele. Konieczne było zatrudnienie młodych, dobrze wykształconych botaników i ogrodników, którzy przywróciliby Ogrodowi jego naukową i edukacyjną funkcję.

Rozpoczęłam od poszukiwania funduszy. W tym celu założyłam Społeczny Komitet Opieki nad Ogirodem Botanicznym UW, który działał od 29.06.1988 r. do 20.12.1997 r. Członkami honorowymi Komitetu byli Sylwia Wałasińska (lekarz medycyny i przyjaciółka Ogirodu, malarka amatorka) i gen. Edward Wejner (dowódca Jednostek Nadwiślańskich WP).

W Ogirodzie rozpoczęliśmy organizację wystaw prac malarskich Sylwii Wałasińskiej i Andrzeja Sankowskiego, między innymi „Wiosna, Lato, Jesień w Ogirodzie Botanicznym” i „Rośliny tropikalne w Ogirodzie Botanicznym”. Po zakończeniu wystaw obrazy sprzedawano na licytacji, a całkowity dochód

przekazywano Ogrodowi. W następnych latach Sylwia Wałasińska zorganizowała kilkanaście podobnych ekspozycji, z których dochód zawsze był przeznaczany na potrzeby Ogrodu. Rozpoczęto sprzedaż cegiełek na odbudowę Ogrodu Botanicznego – odbywała się w Teatrze Wielkim, Polskim, Filharmonii Narodowej oraz na terenie Ogrodu.

Żołnierze Jednostek Nadwiślańskich wykonali wiele prac porządkowych w parku. Ciężki sprzęt wojskowy posłużył do przewiezienia olbrzymiego głazu narzutowego, który został umieszczony przy wejściu na teren Ogrodu. Saperzy usunęli również kilkanaście ogromnych karp po wyciętych lub złamanych przez wichury drzewach.

W ciągu tych 30 lat udało mi się uzyskać na remont infrastruktury kwotę ponad 34 mln zł. Dotacje te zostały przyznane Ogrodowi między innymi dzięki niezwyklej sprawności Marioli Kukier-Wyrwickiej w przygotowywaniu wniosków o przyznanie środków finansowych na realizację wszystkich projektów.

W 1997 r. zainicjowałam powstanie Polskiego Towarzystwa Ogródów Botanicznych. Byłam pierwszą przewodniczącą Zarządu Towarzystwa. Towarzystwo istniało do 2012 roku.

Przed rozpoczęciem przeze mnie pracy w Ogrodzie nie prowadzono tam własnych zajęć dydaktycznych. Pomyślałam, że warto wykorzystać kolekcje roślinne i wiedzę ogrodników, aby uczyć o praktycznym zastosowaniu roślin. W 1988 r. zrodził się pomysł na ćwiczenia „Botanika praktyczna”. Uczyliśmy o tym, jak wykorzystuje się rośliny w kuchni, w kosmetyce, medycynie, w ogrodnictwie, w kulturze. Poza wiedzą o roślinach była także część praktyczna, czyli gotowaliśmy na przykład zupę ze stokrotek, robiliśmy sałatkę z zielska, jedliśmy kanapki z pokrzywą, ucieraliśmy kremy, myliśmy głowy studentom, stosując naturalne składniki roślinne, barwiliśmy wełnę barwnikami roślinnymi, mówiliśmy, jak i z czego robi się piwo i wino. Przedmiot stał się hitem na Wydziale Biologii. Zgłaszało się do nas co roku kilkudziesięciu studentów. Do dziś, czyli od ponad 30 lat są to jedne z najpopularniejszych zajęć dydaktycznych na Wydziale Biologii. Zyskały one uznanie niektórych obecnych profesorów, na przykład Pawła Golika, który 20 lat temu był jednym z moich studentów.

Po wielu latach przerwy, od 1988 r. starałam się przywrócić Ogrodowi jego funkcję naukową. Działalność naukowa początkowo prowadzona była przez pracowników naukowo-technicznych Ogrodu, a nabrała tempa od 1997 r., czyli od momentu przyjęcia do pracy Marcina Zycha, zatrudnionego początkowo na etacie asystenta, a po doktoracie – adiunkta, do którego w 2008 r. dołączyła prof. dr hab. Małgorzata Stpiczyńska. Tematyka badawcza ogniskuje się wokół kwestii biologii i ekologii roślin oraz ochrony przyrody.

Jestem członkiem PROP (Państwowej Rady Ochrony Przyrody) i z tego powodu w 1997 roku ówczesny Główny Konserwator Przyrody w Ministerstwie Środowiska prof. Kazimierz Dobrowolski zaproponował mi, abym wzięła udział w konferencji państw stron Konwencji Waszyngtońskiej

(CITES) w Harare (Zimbabwe). Pojechałam tam, zostałam wybrana do władz regionalnych CITES na reprezentanta regionu europejskiego. Tak zaczęła się moja praca na rzecz ochrony gatunków roślin i zwierząt zagrożonych wyginięciem w wyniku międzynarodowego handlu.

Obecnie Ogród ma liczącą się rangę naukową i edukacyjną. Potwierdzeniem tego było przyznanie mi w 2004 r. przez Polskie Towarzystwo Botaniczne prestiżowego Medalu im. Prof. Bolesława Hryniewieckiego. W roku 2016 tym samym medalem został uhonorowany Ogród Botaniczny UW jako instytucja w dowód uznania za działania na rzecz rozwoju i upowszechniania wiedzy botanicznej. W 2017 r. Ogród otrzymał kolejne ważne wyróżnienie, jakim jest Medal im. Wiktora Godlewskiego „Za działania na rzecz przyrody”.

Nadszedł rok 2018, rok szczególny dla mnie i dla Ogrodu Botanicznego UW. Minęło właśnie 200 lat od jego założenia.

Główną uroczystością związaną z 200-leciem był X jubileuszowy Światowy Kongres Edukacyjny BGCI, którego gospodarzem był Ogród. Odbył się on w Warszawie w dniach 9–14 września, pod hasłem „Bringing Nature to the City”, czyli „Przywróćmy miastu przyrodę”. Był on też zaszczytnym zwieńczeniem 200. rocznicy powstania Ogrodu Botanicznego UW.

Podczas przygotowań i w czasie trwania Kongresu wszyscy pracowaliśmy bez wytchnienia. Dzięki ogromnemu zaangażowaniu i wysiłkowi całego zespołu Ogrodu osiągnęliśmy ogromny sukces. Nasz Ogród będzie zapamiętany na długo przez trzystu uczestników Kongresu z 50 krajów świata. Po zakończeniu Kongresu otrzymaliśmy wiele gratulacji i podziękowań za jeden z najlepiej zorganizowanych i najciekawszych edukacyjnych kongresów ogrodów botanicznych.

Dwuwiecznie młody Ogród odzyskał swoją świetność, jest dobrze rozwijającą się instytucją naukową. Spełnia swoją funkcję związaną z ochroną różnorodności biologicznej. Popularyzuje wiedzę przyrodniczą i prowadzi na wysokim poziomie edukację wśród dzieci, młodzieży i osób dorosłych. Jest też niezwykłym zakątkiem w wielkim mieście, gdzie wśród zieleni i kwiatów można odpocząć i pospacerować. Dzieło rozpoczęte przed dwustu laty przez Michała Szuberta trwa i jest nadal rozwijane. Sądzę, że udało mi się w ciągu tych 31 lat przywrócić rangę, jaką posiadał Ogród za czasów Michała Szuberta, założyciela Ogrodu, i wybitnego dyrektora, jakim był prof. Bolesław Hryniewiecki.

Odchodzę na emeryturę w poczuciu spełnionego obowiązku, który rozpoczęłam 31 lat temu.

Hanna Werblan-Jakubiec

Największe osiągnięcie naukowe to moja, nadal trwająca, przygoda z mechanizmami obrony przed drapieżnictwem, szerzej – z ekologią i ewolucją

interakcji międzygatunkowych. Z kolei w dziedzinie dydaktyki za moją największą, a zarazem najnowszą przygodę uważam koncepcję i prowadzenie zajęć przyrodniczych oraz powołanie nowego, interdyscyplinarnego kierunku studiów antropozoologia dla humanistów na Wydziale „Artes Liberales”, gdzie ściągnął mnie przed paroma laty prof. Jerzy Axer. To pozwala mi na poszukiwanie miejsca osiągnięć nauk przyrodniczych w szerokim interdyscyplinarnym kontekście i zaspokaja częściowo moje humanistyczne tęsknoty.

Joanna Pijanowska

Miałam pewien udział w tworzeniu Polskiego Towarzystwa Mykologicznego. Po prostu ktoś musiał „wychodzić to” w KRS. Trzeba było najpierw napisać statut i w odpowiednim czasie dostarczyć do sądu mnóstwo dokumentów. Najczęściej te dokumenty są zwracane do poprawy i tak też było w naszym przypadku. Uparłam się, żeby to wszystko doprowadzić do końca. Pomysł nie był nowy. Pewnie pojawiał się już za czasów pani prof. Skirgiełło, ale ona bardzo nie chciała wyodrębnić mykologii z Polskiego Towarzystwa Botanicznego.

Nam zależało na tym, by po pierwsze, wprowadzić do Towarzystwa ludzi, którzy zajmują się nie tylko grzybami wielkoowocnikowymi, leśnymi, ale żeby było w Towarzystwie miejsce na mykologię medyczną, genetykę grzybów, biochemię grzybów. A także, by objąć różne tematy, niekoniecznie wiążące się bezpośrednio z mykologią. Chcieliśmy również, żeby amatorzy mieli szansę na kontakt z profesjonalistami. Otworzyliśmy więc Towarzystwo na obecność amatorów, co jest nietypowe dla towarzystw naukowych. I to jest moim zdaniem fantastyczne. Już wiele inicjatyw udało się przeprowadzić dzięki wspólnemu działaniu, a nawet powstały prace naukowe, których autorami są zarówno specjaliści, jak i amatorzy. Robimy wystawy, angażujemy studentów, opowiadamy o grzybach na festiwalach, w fundacjach i mediach. Wspieramy doktorantów – mykologów. Jestem pewna, że po chwilowej zapaści mykologii na naszym Wydziale w tej chwili dziedzina ta ma szansę na nową młodość. Mam nadzieję, że młody, świetny zespół dokona wielkich rzeczy.

Marta Wrzosek





MISTRZOWIE

s. 288: Zdzisław Raabe, Anioł z rysunku *Zwiastowanie*, lata 60.

Na Wydziale było dwóch ludzi zupełnie dla mnie wyjątkowych – nie mówię o moim opiekunie, prof. Kraczkiewicz. To byli profesorowie Władysław Kunicki-Goldfinger i Waclaw Gajewski.

Bohdan Matuszewski

Takim mistrzem, jeżeli chodzi o etykę, chociaż naukowo już nie, bo był bardzo posunięty w latach, był prof. Bassalik. Był człowiekiem rozumiejącym etykę, moralność w nauce. Dużo i często na różne tematy ze mną rozmawiał.

Bassalik habilitację i profesurę uzyskał w Bazylei. Tam, jak ktoś się chciał habilitować, to promotor przyjmował albo nie. Jeżeli przyjmował, to dawał ogłoszenie do prasy z prośbą, żeby ci, którzy znają kandydata nie od strony naukowej, ale postępowania, działania, określili jego charakter, postawę i tak dalej. Brano pod uwagę wszystkie te czynniki, nie tylko to, że masz zdolność popelniania dzieł naukowych.

Jerzy Czerski

Na pierwszych trzech latach studiów mistrzem bezwzględnie był prof. Wincenty Wiśniewski, bo z jego wykładów korzystało się najwięcej. A później to oczywiście prof. Gajewski. Był osobą niezwykle popularną, a czasem również zabawną. Kiedyś przeegzaminował pewną grupę studentów w terminie zerowym, a ja miałam zrobić im kolokwium w sesji. Przed tym kolokwium przychodzi profesor okropnie strapiony i mówi: „Co ja najlepszego zrobiłem! Miałem wszystkie stopnie spisane na kartce, ale wrzuciłem ją do kosza i sprzątaczką już wyrzuciła – przepadło. I co my teraz zrobimy?”. A ja na to: „Będę się starała wybadać, kto jaką dostał ocenę na egzaminie”. No i tak zrobiłam.

Zofia Świetlińska

Miałem bardzo różnych mistrzów. W Polsce to byli profesorowie Wiktor Lampe i Irena Chmielewska. Najwięcej chyba nauczyłem się jednak od mojego szefa we Francji, młodego Węgra László Szabó. Mieliśmy wspólny język, dyskutowaliśmy, a nie tak, jak bywało z Lampem, który rozkazywał. Bardzo dużo nauczyłem się też od Jurka Cieślaka, starszego kolegi, który

pracował u Chmielewskiej. Od niego tak naprawdę nauczyłem się pracy w laboratorium, on mnie w tym wytresował.

Stanisław Lewak

Autorytetami naukowymi było dla mnie na Wydziale Biologii kilka osób: prof. Irena Rejment-Grochowska (systematyk roślin), prof. Bohdan Matuszewski (cytolog zwierząt), książdź prof. Józef Szuleta (cytolog roślin), prof. Henryk Teleżyński (cytolog roślin). Prowadzili badania i pracowali uczciwie, także na polu dydaktyki, i co ważne, byli inteligentami w pełnym tego słowa znaczeniu – mieli wiedzę i zainteresowania z zakresu wielu dziedzin, także artystycznych.

Maria Charzyńska

W roku 1970 zakończyłem pracę w Tarchomińskich Zakładach Farmaceutycznych i po zdaniu egzaminu z podstaw biologii molekularnej oraz genetyki zostałem przyjęty na studia doktoranckie w Instytucie Mikrobiologii Uniwersytetu Warszawskiego. Dyrektorem tego Instytutu był wtedy prof. Władysław J. H. Kunicki-Goldfinger, który zdecydował, iż promotorem mojej pracy doktorskiej będzie świeżo mianowany doc. dr hab. Zbigniew Kwiatkowski.

Wspomnienia niniejsze dotyczyć będą obu tych uczonych. Profesor Kunicki oraz doc. Kwiatkowski różnili się między sobą pod wieloma względami, jak wiek – profesor był o trzynaście lat starszy od docenta; różnica dotyczyła również doświadczenia życiowego. Profesor Kunicki-Goldfinger legitymował się dorobkiem naukowym zdobytym częściowo przed II wojną światową. W 1939 r., jako polski inteligent mieszkający we Lwowie, został zesłany przez okupujące wschodnią Polskę władze sowieckie do Solwyczegodzkiego Rejonu, guberni Archangielskiej – przebywał tam do amnestii w 1942 r. Po uzyskaniu wolności przedostał się na południe ZSRR, gdzie w Kerminie wstąpił do formowanego tam Wojska Polskiego. W 1947 roku wrócił do kraju.

Profesor Władysław Kunicki-Goldfinger przez całe życie miał zdecydowane poglądy lewicowe, zbliżone do przedwojennej PPS. Był znany w Polsce jako człowiek niezależnie myślący, pełen pomysłów. Był inicjatorem powstania w kraju kilku katedr i innych ośrodków uprawiających genetykę, a później biologię molekularną. W świecie naukowym prof. Kunicki-Goldfinger uważany był za przedstawiciela odradzającej się po II wojnie światowej polskiej profesury. W Instytucie Mikrobiologii uważaliśmy go za mistrza, dzięki któremu prestiż Uniwersytetu Warszawskiego i poziom

biologii, a w tym mikrobiologii, zbliżał się powoli do poziomu europejskiego. Dzięki profesorowi i jego kontaktom naukowym w okresie PRL mieliśmy możliwości wyjazdów do dobrych ośrodków naukowych na Zachodzie. Korzystaliśmy też z zagranicznych książek i innych publikacji naukowych przysyłanych nam w ramach powojennej pomocy dla Europy Wschodniej. Wśród oficyn przyrodniczych na wyróżnienie zasłużyła sobie aktywność wydawnictwa niemieckiego Springer Verlag, które bezpłatnie zaopatrywało nas w nowości wydawnicze.

Od roku 1978 profesor wspierał działania opozycji demokratycznej – współorganizował Towarzystwo Krzewienia Nauki (TKN), stowarzyszenie, którego celem było głównie odkłamywanie tworzonej przez komunistów historii Polski oraz przygotowywanie prognoz rozwoju kraju w przyszłości. W latach 70., a potem w okresie stanu wojennego prof. Kunicki-Goldfinger uruchomił Kasę Stypendialną dla studentów i młodych naukowców, a później kierował nią. Jak sam podawał, z tego rodzaju pomocy skorzystało około stu stypendystów. Jedną z form pracy TKN były otwarte wykłady w ramach tzw. Latającego Uniwersytetu. Wykłady te wygłaszane były przez opozycyjnych działaczy, polityków oraz różnych specjalistów, często z tytułami naukowymi. Miejscem wykładów były przeważnie prywatne mieszkania.

À propos tych wykładów, pamiętam burzliwą dyskusję, jaka toczyła się na jednym z posiedzeń Rady Wydziału Biologii w okresie stanu wojennego. Dotyczyła ona faktu pobicia kilku studentów biologii przez „młodzież robotniczą”, która przybyła również na ten wykład. Opisany przez świadka incydent był niewątpliwie formą strategii stosowanej przez milicję do walki z opozycją demokratyczną. „Młodzież robotnicza” przychodziła na zapowiadane wcześniej wykłady, a następnie wszczyniała tam burdy, uniemożliwiając w ten sposób prowadzenie zajęć. Tym razem obstrukcja skończyła się pobiciem studentów biologii. Po wysłuchaniu relacji z zajścia członkowie Rady Wydziału byli oburzeni prowokacją i proponowali podjęcie rezolucji potępiającej ten incydent. W kontrze do tego koledzy, członkowie Rady należący do PZPR, domagali się wstrzymania podjęcia decyzji do czasu przedstawienia raportu milicyjnego z opisem wydarzeń. Wtedy zabrał głos prof. Kunicki-Goldfinger, który zdecydowanie sprzeciwił się uchwaleniu proponowanej rezolucji, „gdyż jak każdy wie, siła nie może być używana jako argument w jakiegokolwiek dyskusji. Proponowana rezolucja byłaby więc bezsensowna”. Rada Wydziału zastosowała się do sugestii profesora i odstąpiła od jej przygotowania.

Przykładem poczucia humoru prof. Kunickiego była sprawa wprowadzenia tzw. książki wyjść dla pracowników naukowych. Jej wypełnianie zostało zalecone jako obowiązkowe rozporządzeniem odpowiedniego dyrektora UW. Znajdowały się w niej następujące rubryki do wypełnienia: nazwisko, imię wychodzącego, stanowisko i ew. tytuł naukowy, godzina, wskazanie miejsca, do którego wychodzący udaje się, oraz cel wyjścia. Książka przeleżała w stanie

dziewiczym kilka dni w sekretariacie Instytutu Mikrobiologii, aż wpadła w ręce profesora, który dokonał jedyne go wpisu: Władysław J. H. Kunicki-Goldfinger; prof. zw. członek rzeczywisty PAN; 1980. 10. godz. 11; pomnik M. Kopernika; aby się wysusiać. Po tym wpisie książka zniknęła.

Niepowetowaną stratą była dla nas śmierć profesora w dniu 14 sierpnia 1995 roku. W 1996, w rocznicę odejścia profesora, zorganizowaliśmy dedykowaną mu konferencję naukową „Wszystko zaczęło się od bakterii”. Przewodniczyłem komitetowi organizacyjnemu tego spotkania i do moich obowiązków należało zaproszenie przyszłych jej uczestników. Wśród nich była grupa przyjaciół i współpracowników profesora, ludzi o różnych światopoglądach oraz różnych specjalnościach. Zaproszona była też grupa profesorów filozofii, między innymi prof. Stefan Amsterdamski, prof. Barbara Skarga (oboje z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN) oraz prof. Mieczysław Lubański, jak również o. Jacek Salij OP z ATK.

Na wspomnieniu Jacka Salija *A memory of professor Kunicki-Goldfinger* chciałbym się na moment zatrzymać. Ojciec Salij pamięta prof. Kunickiego z zebrań Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk. Pisał o nim: „Najbardziej rzucającą się w oczy cechą jego osobowości było to, że on po prostu lubił ludzi. Już w samym wyrazie twarzy miał jakiś taki naturalny optymizm, który zdawał się wołać »Jak dobrze, że jest świat, jak dobrze, że są ludzie!«. Dlatego spotkanie z nim było prawdziwą przyjemnością...”

Profesor był zdeklarowanym agnostykiem... Natomiast ze swojego agnostycyzmu zwierzał się wręcz często, a zawsze wówczas, kiedy wypowiadał się na tematy światopoglądowe. Rzecz jasna, nie zapomniał się przedstawić, kiedy przyszedł do mojego klasztoru, aby wygłosić odczyt do nauczycieli na temat moralnych problemów, przed jakimi stawia nas rozwój współczesnej genetyki.

Podkreślając swój agnostycyzm, przywiązywał wagę do tego, żeby nie brano go za ateistę. Czasem powtarzał w tym celu dowcipną uwagę Nielsa Bohra rzuconą podczas rozmowy z Wernerem Heisenbergiem na temat Paula Diraca, też fizyka i noblisty, który był żarliwym ateistą, i on sam »tak jak nasz przyjaciel Dirac ma religię, a główna jej zasada brzmi nie ma Boga, a Dirac jest jego prorokiem«.

W tym właśnie punkcie nie zgadzał się z Jacques'em Monodem, którego ogólne poglądy raczej aprobował... Profesor napisał, że Monod jest jak »poszukujący jakiegoś Boga, ateistyczny purytanin«.

Niepodzielanie ateistycznej wiary Monoda nie przeszkadzało profesorowi żywić głębokiego szacunku do jego duchowej postawy.

„Możemy w ewolucji – napisał kiedyś profesor – doszukiwać się programu transcendentnego pochodzącego od nadrzędnej istoty. Wiara, że taka istota istnieje i że to ona ustaliła program ewolucji, jest tak samo uzasadniona i dopuszczona jak i jej brak. Ponieważ nie tylko ta istota, ale i program przez nią ustalony nie poddają się badaniom metodą naukową. Wiara taka lub jej zaprzeczenie nie mieszczą się w nauce, są poza rzeczywistością naukową.

Co nie oznacza, że nie są rzeczywiste, że nie mają miejsca w innych rzeczywistościach człowieka, również uprawnionych, jak naukowa”.

Profesor dr hab. Zbigniew Kwiatkowski studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, początkowo na dwóch wydziałach: Humanistycznym oraz na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym. Po dwóch latach przeniósł się na Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, gdzie w 1954 roku uzyskał stopień magistra w zakresie mikrobiologii. W Lublinie spotkał się z prof. Kunickim-Goldfingerem, został jego uczniem, a później współpracownikiem. Wraz z prof. Kunickim uczestniczył w tworzeniu kolejnych katedr mikrobiologii w Lublinie, Wrocławiu i w końcu w Warszawie. Odbył dwa staże naukowe, pierwszy w 1954 w Zakładzie Genetyki Uniwersytetu w Glasgow, a następnie przez rok pracował na kontrakcie u słynnego brytyjskiego genetyka prof. G. Pontecorvo na Uniwersytecie Rutgers w New Brunswik. Jak wspomniałem, Zbigniew Kwiatkowski był już wtedy profesorem oraz opiekunem mojej pracy doktorskiej.

Był on typowym przedstawicielem polskiej inteligencji, której etos ukształtowany został w Drugiej Rzeczypospolitej. Jego stryjem był Eugeniusz Kwiatkowski, przedwojenny minister przemysłu i finansów, twórca Gdyni oraz koncepcji Centralnego Okręgu Przemysłowego. Normą moralną tego pokolenia było poczucie sprawiedliwości, obowiązku, patriotyzm oraz ogromna wrażliwość na los człowieka. Wartości te były szczególnie ważne dla profesora, o czym dobitnie świadczyć może ostatni okres jego pracy na Uniwersytecie Warszawskim.

W czasie stanu wojennego prof. Zbigniew Kwiatkowski jako dziekan Wydziału Biologii organizował na UW działalność opozycyjną w ramach tzw. Konferencji Dziekanów. Ocenę tej działalności znalazłem w relacji pióra prof. Mantel-Nećko, zamieszczonej w książce *Próba sił*. Pani profesor pod datą 29 września 1982 roku napisała: „Nie wiedząc, czy będę kontynuować relację, pragnę dodać tylko na zakończenie, że w okresie stanu wojennego wysokie uznanie w środowisku akademickim i rangę niemal równą rektorowi Samsonowiczowi zyskał sobie dziekan biologii Zbigniew Kwiatkowski, zwany popularnie dziekanem dziekanów. Postać szlachetna, odważna i jakże mało przedtem znana wszystkim”.

Dodać trzeba, że działalność opozycyjna dziekanów polegała na obronie niezależności Uniwersytetu oraz pomocy aresztowanym lub w innej formie represjonowanym studentom UW.

Jerzy Hrebenda

W sensie naukowym moim mistrzem był Kraczuś, bo Raabe... Na przykład przyniosłam swoją pracę doktorską z tymi zdjęciami z mikroskopu elektro-nowego, a on mówi: „Maryna, ja się na tym nie znam”. No, nikt się na tym

u nas nie znał, więc przebijałam się sama, ale to nie szkodzi, to ciekawe. Raabe rozbudzał szeroki wachlarz zainteresowań, bo on miał wiedzę i barwnie, ciekawie mówił. Normalnie wykładów się nie lubi, a jego były świetne.

Maryna Szöllösi

Mistrzem był ksiądz prof. Szuleta, który robił na nas niesamowite wrażenie i pokazywał, jak prowadzić interesujące wykłady. Profesor Raabe także potrafił niesamowicie zainteresować człowieka. Bardzo ważną rolę w moim życiu zawodowym odegrał prof. Kraczkiewicz. Ale takim moim bezpośrednim mistrzem był prof. Janusz Gill. On może nie cieszył się szczególną estymą na Wydziale, miał trochę inne podejście do badań naukowych. Przyszedł po śmierci prof. Rybickiego.

Bronisław Cymborowski

Studia na Biologii UW rozpocząłem w roku 1957 z myślą o oceanologii, ale pięć lat później napisałem pracę magisterską o zooplanktonie jezior tatrzańskich w Katedrze, potem Zakładzie Hydrobiologii UW u prof. Mariana Gieysztor. Dyplom obroniłem jednak u prof. Zdzisława Raabego, ponieważ prof. Gieysztor zmarł rok wcześniej, osierocając swych magistrantów. Utrzymywał z nimi niezwykle serdeczne stosunki, poświęcając im długie wieczory na wieczorną herbatę, którą parzył z prawdziwym kunsztem w swym gabinecie. Byli wśród nich fantastyczni ludzie, między innymi Jurek Moraczewski, Wanda Riedel, Ewa Kamler i Staszek Rakusa-Suszczewski. Na jednej z takich „herbatek” zdążył mnie przekonać, by – zanim wypłynę na morze – wybrać się do stawów tatrzańskich i wyjaśnić do końca tajemnicę zadychry (*Branchinecta paludosa*), skorupiaka powszechnego w słodkowodnych jeziorach Arktyki, ale znanego też z dwóch stawów tatrzańskich jako – jak sądził profesor – relikw połodowcowy... Nie zdążył sam sprawdzić, dlaczego właśnie jedynie w tych dwóch stawach (Dwoistym Gąsienicowym po północnej i Furkotnym Wyżnim po południowej stronie Tatr) trwają populacje zadychry: czy dlatego, że jej jaja przemarzają wskutek wysuszenia osadów dennych tych stawów pod grubą warstwą lodu? To właśnie według niego wymagało sprawdzenia...

Zamiast na Bałtyk trafiłem więc w Tatry, w których utknąłem na całe dwa lata, jesienią stawiając długie, pomalowane sygnałową czerwieńią kije od szczotek na brzegu każdego stawu podejrzanego o to, że zimą spod lodu spływa woda, pozostawiając pod nim wilgotną, ale nie nazbyt przemrożoną warstwę osadów dennych, gdzie mogłyby zimować przetrwalnikowe jaja zadychry. Takich tyk postawiłem 55, po jednej przy każdym z 55 stawów

i stawków tatrzańskich podejrzewanych o obecność zadychry. Od kwietnia 1961 przeniosłem się na Halę Gąsienicową, by wspólnie z moimi kolegami z roku, Wojtkiem Staręgą, Maćkiem Rembiszewskim i Czarkiem Dziadoszem, odnaleźć zaznaczone miejsca i sprawdzić, czy nie wylęgają się tam młode zadychry. Spośród 55 tyczek znakujących wybrane jesienią stawki – a prawie połowa z nich była po północnej stronie Polskiego Grzebienia, odnaleźliśmy 40, ale tylko w jednym, w Stawie Dwoistym w Dolinie Stawów Gąsienicowych odkryliśmy żywe młode zadychry. Staw ten zimą był trochę niebezpieczny; wykuwanie przerębli w samym środku jego pokrywy lodowej zakończyło się zarwaniem się płyty lodu, wspartej na kilku wielkich głazach sterczących z dna, i zasypaniem nas po szyję zjeżdżającymi ze wszystkich stron tonami śniegu... Okazało się jednak, że prof. Gieysztor miał rację, stawiając hipotezę, że zadychra żyje sobie w Dwoistym Stawie dzięki temu, że jej wymagające przemrożenia jaja przetrwalnikowe chronione są przed drapieżnikami i zmianami temperatury przez taflę opartej o głazy grubej płyty lodowej, zawieszanej ponad suchym dnem stawu.

Maciej Gliwicz

Pojęcie mistrza różnie można definiować. Można cenić kogoś, kto docho-
dził w danej dziedzinie do wyjątkowych osiągnięć i kogo poznało się oso-
biście. Takim przykładem był dla mnie prof. Andrzej Tarkowski, wielo-
letni dyrektor naszego Instytutu. Podziwiałem zawsze prof. Tarkowskiego
przede wszystkim za pragmatyzm, niebywałą pracowitość i konsekwentne
eksperymentowanie. Można też być zauroczonym czyjąś pracą, wyjątko-
wymi koncepcjami naukowymi, dorobkiem i uznaniem międzynarodowym
– choć tego kogoś osobiście się nie poznało. Takim był dla mnie proto-
zoolog i parazytolog prof. Konstanty Janicki, którego osiągnięcia naukowe
dokonane na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku do dzisiaj
inspirują wielu parazytologów. Profesora znam tylko z literatury, ale jest dla
mnie mistrzem.

Edward Siński

Osobą, której wiele zawdzięczam, jest prof. Lewak. To dzięki niemu zostałem
na Uniwersytecie plus cały rozwój naukowy, to jest doświadczenie bardzo
dobrej współpracy z nim. Był i jest bardzo dobrym szefem, potrafiącym
z jednej strony trzymać dystans, a z drugiej być bardzo przyjacielskim.
Myśmy się czuli bardzo zżyci, ale on nigdy nie miał problemu, żeby komuś
powiedzieć, że coś schrzaniał. Profesor Lewak się nie krępował i zawsze było
kawa na ławę, że to i to jest do bani, a ty się zachowaleś nie w porządku.

Bardzo cenię, że potrafił utrzymać zdrową, naukową atmosferę. Odbywały się regularnie seminaria, czyli każdy przedstawiał, co zrobił, co przeczytał. A niezależnie od tego mieliśmy zawsze o wpół do dwunastej spotkania przy kawie. Jak sięgam pamięcią, w Szkole Głównej, w korytarzyku przed pracowniami stał ekspres do kawy, wtedy jeszcze szklany, przelewowy, i robiło się kawę, paliło papierosy, było gęsto od dymu. To była pora na wymianę bieżących informacji naukowych, o ćwiczeniach, narodzinach dzieci, o chorobach. Takie normalne życie. Ta tradycja trwa do dzisiaj. Nadal spotykamy się o wpół do dwunastej na kawie. Kto ma czas, ten przychodzi.

Andrzej Podstolski

Moim mistrzem był przede wszystkim prof. Raabe. A drugim prof. Dobrowolski, bo on doprowadził mnie do doktoratu.

Ryszard Halba

Profesor Kunicki-Goldfinger był opiekunem mojej pracy magisterskiej, promotorem doktoratu, czuwał nade mną w czasie habilitacji, cały czas. Muszę powiedzieć, że miałam dwóch mistrzów – jeden to był prof. Kunicki-Goldfinger, a drugi to mój szef ze Stanów, prof. Roy Curtiss III, który też był wspaniałym naukowcem i człowiekiem. Choć ostatni raz pracowałam w jego laboratorium w latach 90., nadal utrzymujemy kontakty.

Elżbieta K. Jagusztyn-Krynicka

Miałem kilku mistrzów. Osobą, która mnie zwabiła do genetyki, był Norman Pieniążek. Na studiach ćwiczenia z genetyki nie były szczególnie atrakcyjne. Wydawało mi się, że to jest strasznie nudne, i chciałem kontynuować karierę jako biochemik. Przypadkiem ja i prof. Ewa Bartnik spotkaliśmy Normana w Zakopanem i powiedział nam, że w Zakładzie Genetyki robi się fantastyczne eksperymenty. Takim więc pierwszym mistrzem był Norman Pieniążek, mimo że ode mnie zaledwie dwa lata starszy. Jestem mu do dziś wdzięczny, bo gdyby nie on, moja kariera potoczyłaby się inaczej. Oczywiście niepodobna przecenić wielkiej roli, jaką odgrywali w moim życiu naukowym dwaj wielcy mistrzowie genetyki: profesorowie Wacław Gajewski i Piotr Węgleński.

Piotr Stępień

Moim autorytetem jest niewątpliwie prof. Władysław J. H. Kunicki. A na Wydziale – to zawsze wiedziałam, że wielkim uczonym jest prof. Andrzej Tarkowski. Taka gwiazda Wydziału, „Japoński Nobel” itd. A oryginały – to profesorowie Zdzisław Raabe, Wacław Gajewski z gestykulacją rękami i zarzucaniem nóg prawie za szyję. Profesor Raabe miał styl kumpla, trochę podszczypywał dziewczyny, przeklinał. Młodym ludziom to się bardzo podobało, mnie to nie brało.

Wzorowym wykładem był wykład księdza prof. Szulety. Mówił wszystko po kolei, tak jak sobie zaplanował, składnie, systematycznie, i ładnie rysował kredą na tablicy. Studenci zawsze robili sobie żarty, ale ciepłe, że panu profesorowi wychodziło, że wszystko jest koloru lilaróż. To był wzorowy wykładowca. Sama, prowadząc wykład, zaczynałam z kredą i lubiłam rysować, a teraz opowiada się to, co jest na przezroczu. Film się opowiada, jest to niewątpliwie usprawnienie i poszerza możliwości przekazu. Mojemu ojcu tablice zwijane w rulonach nosił na wykład pan Jan Sucharski – pedel-laborant, zaostrzał też kredę. W Szkole Głównej tę funkcję pełnił pan Józef Stecki. Panowie ci naprawiali wszelaki sprzęt. Pan Jan utrwał preparaty histologiczne i wszyscy wiedzieli, że spijał alkohol z tych preparatów.

Anna Kraczkiewicz-Dowjat

Wiele zawdzięczam pani prof. Kasprzyk. A od strony czysto naukowej – pamiętam, bo mu trochę zazdrościłem – osobą, od której sporo się nauczyłem, był prof. Wojciechowski. Jak przyszedłem, on był świeżo upieczonym doktorem habilitowanym, a ja magistrem. Ale pamiętam, że w wielu wątpliwościach to była właśnie ta osoba, do której się zwracałem z prośbą o jakąś wskazówkę, radę albo z czysto techniczną sprawą, albo z pytaniem z dziedziny podstawowej, tj. biochemii roślin. On był naprzeciwko w drugim pokoju, zawsze bardzo chętny do udzielania wszelkich rad.

Bogusław Wilkomirski

Za mistrza przeważnie uważa się kogoś, kto na samym początku zainspirował, dodał otuchy. Taką osobą był dla mnie prof. Andrzej Batko. Był naprawdę bardzo serdecznym człowiekiem, doskonale przygotowanym merytorycznie, ale przede wszystkim był ludzki. Dyskutował bez unoszenia się. Nigdy nie widziałam, żeby był zdenerwowany, żeby z kimś walczył. Miał bardzo wielu przyjaciół. W Zakładzie Systematyki wszyscy go lubili i chociaż czasem na seminariach miał ostre starcia, były to starcia merytoryczne, przeważnie

z prof. Krzysztofem Spalikiem, który wtedy był młodym doktorem. Byliśmy oburzeni na Spalika, że on tak sobie pozwala, ale prof. Batko zawsze zachowywał się z godnością.

Jeśli chodzi o sprawy organizacyjne, moim mistrzem była prof. Joanna Pijanowska. Doskonale się rozumiałyśmy. Kiedy trzeba było podejmować jakieś inicjatywy organizacyjne dla Wydziału, pani profesor zawsze dawała mi wolną rękę. No i ceniłam sobie też bardzo współpracę z prof. Bogusławem Wiłkomirskim. Jeździliśmy wspólnie na konferencje, byliśmy między innymi w Mołdawii.

Ligia Tuszyńska

Bardzo dużo zawdzięczam panu prof. Jerzemu Poskucie. Prawdopodobnie mój wybór fizjologii roślin wiązał się z tym, że jego wykład był bardzo ciekawy. Książek – jak wspominałam – nie mieliśmy, ale profesor przenieśliśmy „Plant Physiology” – sztandarowe czasopismo, którego nigdzie nie było, tylko u nas, więc przyjeżdżali nawet koledzy z innych miast, żeby sobie poczytać. Profesor nauczył nas też pisania próśb o odbitki prac. Sam dostawał ogromną ilość odbitek od różnych osób, które poznał w Stanach, czytał i nam przekazywał. Jak przychodziłam do pracy, znajdowałam na biurku publikacje, z którymi powinnam się zapoznać. To było doskonałe źródło najbardziej aktualnych wyników badań.

Profesor nauczył nas samodzielności. Kiedy przyszłam robić pracę magisterską, spytał, co mnie interesuje, i powiedział: „OK, wymyśl sobie, co byś chciała robić”. To było bardzo cenne, dawało poczucie wartości, niezależności. I miało taki efekt, że w naszym Zakładzie najwięcej osób zrobiło doktoraty, najwięcej osób też się habilitowało. Profesor Poskuta doktoryzował ponad 30 osób. Z naszego Zakładu jest też bardzo wielu profesorów, co moim zdaniem wiąże się w dużym stopniu z tym, że od początku mieliśmy samodzielność. Bardzo cenne było dostarczanie nam literatury. Czasami to nawet denerwowało, gdyż profesor ciągle nam donosił prace i potem od razu chciał, żebyśmy wszystko mieli przeczytane, przemyślane, do dyskusji.

Elżbieta Romanowska

Profesor Kazimierz Dobrowolski był dla nas, pracowników Zakładu Ekologii, niezwykle życzliwym i wyrozumiałym patronem. Starał się stworzyć w Zakładzie niemal rodzinną atmosferę. Bardzo to sobie ceniliśmy, ale szczególnie teraz, gdy słyszymy, z iloma problemami stykają się młodzi ludzie zatrudnieni na przykład w korporacjach, jeszcze bardziej uświadamiamy

sobie, w jak bezstresowych warunkach przyszło nam pracować. Do Zakładu jechało się właściwie jak do drugiego domu, a motywację do pracy stanowiły wspólne zainteresowania, chęć realizacji własnych pomysłów, ale także samodyscyplina. Szef nas dyskretnie wspierał i wyznaczał generalne cele badań; biada jednak temu, kto rzucony na głęboką wodę, zaniedbałby naukę i zachłysnął się zbytnią wolnością! Gdy po prof. Dobrowolskim kierowanie Zakładem przejął prof. Kozakiewicz, byliśmy prawie pewni, że dojrzewający naukowo w bezstresowej atmosferze Michał będzie równie świetnym szefem. I tak się stało. I tak jest do dziś.

Obserwując wystąpienia prof. Dobrowolskiego na rozmaitych radach naukowych, podziwiałem jego szczególne zdolności koncyliacyjne. Mówił zawsze mądrze i spokojnie, starając się znaleźć jak najbardziej racjonalne argumenty. U boku profesora spędziłem 10 lat jako sekretarz Sekcji Polskiej Międzynarodowej Rady Ochrony Ptaków. Z tego okresu na zawsze pozostanie w mej pamięci niezwykły gest profesora. Gdy w czasach głębokiego jeszcze PRL-u mieliśmy lecieć razem na kilka konferencji w Kanadzie, a nagle okazało się, że Ministerstwo może sfinansować podróż i pobyt tylko jednej osoby, szef natychmiast zdecydował, by pieniądze te przekazać mnie. Swoją wyjazd opłacił z własnych funduszy.

Krzysztof Dmowski

Mam paru mistrzów, którym dużo zawdzięczam. Pierwszy to dr Jan Żabiński. To tak bezwarunkowo. Drugi to prof. Kazik Dobrowolski, który w Zakładzie dawał nam wolną rękę, jeśli chodzi o kierunki badań w ekologii, a także jako współtwórca tego nurtu międzywydziałowego w ochronie środowiska. Trzecim jest prof. Andrzej Prejs – zrozumiał on i docenił moje zainteresowania ochroną środowiska i zaproponował współpracę z UCBS, która przekształciła się później w dziesięciolecie kierowania tą uniwersytecką jednostką.

Na początku moimi guru w dziedzinie ekologii byli prof. Kazimierz Petruszewicz i dr Halina Rudzka. A potem taką rolę odgrywały też liczne osoby ze świata, z którymi miałam zaszczyt osobiście się spotkać i prowadzić długie rozmowy. To między innymi prof. Lester Brown, dyrektor Worldwatch Institute, czy sędziwy autor pierwszych podręczników ekologii prof. Elton z Oksfordu, dzięki któremu dotknęłam klasyki tej dziedziny.

Wielkie wrażenie wywarł na mnie prof. Adam Łomnicki z Krakowa. Mnie to niezwykle pochwlebiało, że ja, młoda studentka, mogę sobie z taką potęgą intelektualną, ot tak, wymieniać poglądy naukowe i korespondować.

Intelektualną przygodą był dla mnie kontakt z prof. Andrzejem Wiktoorem z Wrocławia. To fascynujący człowiek, który, poza głęboką wiedzą, ma niezmiernie szerokie zainteresowania. To taka ogromna kultura przyrodnicza, ale włączona w ogólną kulturę humanistyczną. Później

bardzo inspirująca była przyjaźń z prof. Simoną Kossak, która zaprosiła mnie do Rady Białowieskiego PN, i prof. Henrykiem Skolimowskim, twórcą ekofilozofii.

Nie sposób tu wymienić wszystkich – wielu, wielu innych osób z Wydziału Biologii UW, Instytutu Ekologii PAN, innych uczelni oraz organizacji społecznych, którzy byli i są dla mnie mistrzami i inspirują do działania.

Anna Kalinowska

Byłam w zakładzie prof. Jerzego Poskuty, ale ponieważ on bardzo długo przebywał za granicą, wszystkich jego doktorantów rozdzielono pomiędzy inne osoby. Trafiłam do zupełnie niezwykłego profesora – Bohdana Rodkiewicza z UMCS w Lublinie. On miał w Warszawie gościnne wykłady po prof. Teleżyńskim.

Jeśli ktoś pyta, kto był moim mistrzem, to na początku na pewno pani Charzyńska, a potem pan prof. Rodkiewicz.

Agnieszka Mostowska

Wielką rolę w moim życiu zawodowym odegrały trzy osoby. Przede wszystkim prof. Zbigniew Podbielkowski, który był moim mistrzem i szefem, i właśnie on zainspirował moje długoletnie badania nad synantropizacją szaty roślinnej Warszawy, nad specyfiką i dynamiką flory. Profesor z ogromną życzliwością i zainteresowaniem śledził moje poczynania. Potrafił zmotywować w chwilach zwątpienia. Jego entuzjazm powodował, że praca była nie tyle obowiązkiem, ile przyjemnością.

Muszę też wspomnieć prof. Władysława Matuszkiewicza i prof. Janusza Falińskiego. Niezapomniane były wykłady i seminaria z prof. Matuszkiewiczem. A z wielu zdarzeń najbardziej utkwiło mi w pamięci nasze spotkanie przed obroną pracy doktorskiej. Przyjechałam na konsultacje do jego domu w Milanówku. Zaproszono mnie do pokoju profesora, a on chodził boso po pokoju zasłuchany w dźwięki *Eine Kleine Nachtmusik*... A potem była długa, życzliwa, uskrzydająca rozmowa.

Co do prof. Falińskiego, to nie zapomnę jego wykładów, błyskotliwych dyskusji i twórczego zaangażowania w czasie licznych konferencji i zebrań Sekcji Geobotaniki i Ochrony Przyrody Polskiego Towarzystwa Botanicznego. Interesujące były zwłaszcza jego debaty z prof. Janem Kornasiem z Instytutu Botaniki w Krakowie. Obaj reprezentowali nieco inne spojrzenia na fitosocjologię. Mówili o tym z wielką pasją.

Barbara Sudnik-Wójcikowska

Mysłąc o mistrzach czy mentorach, chciałabym wspomnieć prof. Jerzego Hrebendę, któremu zawdzięczam swoją tożsamość naukową. To był naukowiec, który nie narzucał swoich poglądów, ale potrafił słuchać. Nie aspirował do bycia naukowym guru, ale był życzliwy i gotowy do udzielania pomocy. Dobry, skromny człowiek. Życzę młodym naukowcom takich szefów i współpracowników. Cieszę się, że jeszcze od czasu do czasu zagląda do naszego Instytutu.

Na swojej drodze naukowej spotkałam wielu wybitnych uczonych. Do tej pory mam w pamięci prof. Kunickiego-Goldfingera – niekwestionowany autorytet i postać charyzmatyczną polskiej mikrobiologii.

Katarzyna Brzostek

Moim mistrzem była pani dr Riedel. Również pan prof. Dobrowolski, choć znałam go głównie z wykładów. Ale pan profesor ujmował swoim sposobem odnoszenia się do drugiej osoby. Jego wypowiedzi na posiedzeniach Rady Wydziału były bezstronne i pełne refleksji.

Maria Doligalska

Moja mama pracowała w tym czasie na Wydziale Chemii UW i znała dobrze Andrzeja Batkę, który pracował w Zakładzie Systematyki i Geografii Roślin. Poprosiła go, aby ze mną porozmawiał i zasugerował, jak mam się przygotowywać do egzaminu wstępnego. Tak więc umówiłam się na spotkanie z dr. Andrzejem Batką. Nie wiedziałam, że w przyszłości będzie on miał tak ważny wpływ na moje zawodowe życie. Przyjechałam do Zakładu w Alejach Ujazdowskich i odbyłam z nim bardzo sympatyczną rozmowę. Polecił mi kilka książek do przeczytania i zaczął opowiadać o glonach, przede wszystkim o toczkach (*Volvox*), którymi był w owym czasie zafascynowany. Miał pod mikroskopem preparaty z żywymi toczkami. Pierwszy raz w życiu widziałam takie wspaniałe glony. Byłam oczarowana. Po godzinie rozstaliśmy się. Doktor Batko powiedział, że wyjeżdża do Uzbekistanu ze studentami, i życzył mi szczęścia na egzaminie.

W 1999 roku, dwa lata po śmierci prof. dr. hab. Andrzeja Batki, mojego przyjaciela i mistrza, zorganizowałam poświęconą mu sesję naukową. Po sesji uroczyście nadaliśmy imię Andrzeja Batki pomnikowemu dwustuletniemu bukowi rosnącemu w Ogrodzie Botanicznym. Pod tym drzewem wielokrotnie siadywaliśmy, rozmawiając o Ogrodzie.

Hanna Werblan-Jakubiec

Niewątpliwie za swojego mistrza uważam prof. Macieja Gliwicza, Maćka, pod kierunkiem którego zrobiłam swoją pracę magisterską i doktorską, i który do tej pory jest dla mnie wielkim i nieustająco inspirującym autorytetem w dziedzinie ekologii, więcej, w sferze nauki i etosu jej uprawiania.

Joanna Pijanowska

Pierwszą osobą, która była dla mnie ważna naukowo, był Andrzej Jerzmanowski. Będąc na studiach, wiedziałem, że chcę robić pracę z biologii molekularnej. Mogłem pójść na genetykę, ale bardzo chciałem właśnie na biochemię. I poszedłem do Zakładu Biochemii Ogólnej prof. Toczeki, którego bardzo, ale to bardzo miło wspominam. A pracowałem z Andrzejem Jerzmanowskim. Właściwie cała moja praca magisterska to była współpraca czy też działalność z nim. Nie wiem, jak to nazwać, żeby dobrze oddać relację – opiekun i magister. On akurat robił wtedy pracę habilitacyjną, tak że to było bardzo intensywne. Nauczyłem się od niego pracy laboratoryjnej, w ogóle takiego podejścia, jak należy robić doświadczenia, żeby coś z nich wyszło. Musiałem bardzo dużo pracować, ale to było i fajne, i niezwykle ciekawe.

Do Zakładu prof. Tarkowskiego trafiłem właśnie dzięki Jerzmanowskiemu. Profesor Tarkowski chciał zatrudnić kogoś po biochemii, więc oczywiście z tego skorzystałem. Akurat wtedy zetknąłem się z pewną pracą przeglądową, referowałem ją na seminarium i bardzo mi się spodobało, że było to coś z pogranicza biochemii, genetyki i fizjologii zwierząt. A tematyka u prof. Tarkowskiego była właśnie z pogranicza biologii komórki i fizjologii, więc zgłosiłem się z ochotą. Profesor Tarkowski chciał przyjąć biochemika, mężczyznę. Był niezadowolony, że tok pracy laboratorium został przerwany, gdyż akurat dwie panie z Zakładu urodziły i udały się na urlop. Poszedłem do profesora i uczciwie uprzedziłem, że grozi mi pójście do wojska, choć będę się starał, by tak się nie stało. Załamał ręce, że kobiety u niego rodzą dzieci, a jak teraz chłop przyjdzie, to od razu grozi, że pójdzie do wojska.

Marek Maleszewski

Muszę przede wszystkim powiedzieć o Andrzeju Batce. Urodził się w Komarówce na Podlasiu, studiował entomologię w Moskwie, na Uniwersytecie Łomonosowa. I z tamtych czasów przywiózł worek dowcipów. Niektóre z nich powtarzał wielokrotnie, ale zawsze pokładaliśmy się ze śmiechu. Do tej pory dźwięczy mi w uchu jego głos i śmiech. Opowiadał na przykład anegdotkę dotyczącą prof. Kunickiego. (Kunicki-Goldfinger miał wyśmienity

wykład inauguracyjny, kiedy zaczynałam studia. To była osobowość, która wzbudzała ogromny respekt). Otóż Batko był z żoną na niedzielnym spacerze w Alejach Ujazdowskich i spotkał się z prof. Goldfingerem, który także był w towarzystwie żony. Panie szły przodem, panowie z tyłu i w pewnym momencie Kunicki-Goldfinger pyta:

- Panie docencie, o ile lat pańska małżonka jest młodsza od pana?
- O 17 lat, panie profesorze.
- Uuu. Ryzykant z pana, ryzykant.
- A pana, panie profesorze?
- Ooo. Tylko 16.

Batko miał cudowną, radosną osobowość, bez przerwy rzucał dowcipami, ale czasem ciężko było się z nim dogadać, jeśli chodzi o sprawy formalne. Był promotorem mojej pracy magisterskiej, więc chciałam, żeby ją sprawdzał, tymczasem on uciekał od takich i innych, administracyjnych zajęć, bo chciał się zajmować nauką. Można go było znaleźć w kawiarni Rozdroże, gdzie popijał „winiak klubowy”. To było właściwie jedyne miejsce, gdzie można go było spotkać. Wobec tego przychodziło się do kawiarni, on rzucał okiem na pracę i mówił: „Och, świetnie, Marta, że jesteś. Opowiem ci, co dzisiaj w nocy robiłem”. I opowiadał, czym się zajmował naukowo, i to były rzeczywiście fascynujące historie. Czułam się dopuszczona do tajemnic naukowych, do samego „mięsa” nauki. Było to wręcz podniecające, mimo że nie dotyczyło mojej pracy magisterskiej. I kiedyś, w czasie takich spotkań, Batko, który zajmował się wtedy taksonomią numeryczną, powiedział: „Wymyśliłem tekst, który ma być napisany na moim nagrobku: »Nie o prawdopodobieństwo mi szło, ale o prawdę i podobieństwo«”. Wygląda na to, że jestem jedyną osobą, która przejęła się tymi słowami i je zapamiętała. Na nagrobku ich nie ma, ale to motto rzeczywiście jest godne Andrzeja Batki.

On bardzo dużo palił. Miał ponadto rodzinne skłonności do nowotworu przełyku. Nigdy po nikim tak nie płakałam, jak po Andrzeju Batce. Po jego śmierci świat mi się zawalił, bo bardzo liczyłam na jego pomoc merytoryczną przy doktoracie. Liczyłam na jego pomysły, na entuzjazm i na intelektualne rusztowanie, na którym rozepnę moją pracę. To była ogromna strata dla nas wszystkich. My wszyscy z Zakładu Systematyki i z Ogrodu Botanicznego byliśmy w kompletnej żałobie, razem z Hanią Werblan, Hanią Szymańską, z wieloma osobami, które należały do grona jego przyjaciół, wielbicieli jego osobowości.

Marta Wrzosek



Electro AM.
Kombucha 11/11/2016



Electro



Prophet



Prophet



Prophet



Prophet



Prophet

IN MEMORIAM

s. 306: Kazimierz Dobrowolski, z teczki: Rysunki Kazika (konferencyjne), 1975 r.

Gdybym miał wymienić osoby, które były bardzo mi oddane, to trzeba by wymienić mojego laboranta – Franka Postoja. To był chłopak pochodzący z lubelskiej wsi, który nie mając skończonej szkoły, zawędrował do Warszawy. Chciał się dostać na ASP, ale go nie przyjęli, więc błąkał się po różnych instytucjach, także po Uniwersytecie. Zwrócił się do księdza prof. Szulety, a ten z kolei zapytał mnie, czy nie potrzebuję laboranta. Przeszedł, spytałem, co potrafi. „Rysować potrafię” – odpowiedział. Przyjąłem go. Pracował bardzo solidnie. Podarowałem mu aparat fotograficzny i przekonałem, by opanował fotografię. W ciągu kilku tygodni robił świetne zdjęcia. Namówiłem go też na zdobycie wykształcenia, zaczął chodzić na kursy zaoczne. W końcu zrobił maturę. Był znakomitym rysownikiem. Przychodzili do niego z innych zakładów, żeby robił dla nich dokumentację graficzną.

Żył cały czas kątem u kuzynów. W kuchni, jak wszyscy poszli spać, rozkładał łóżko. Jedynym wyjściem była wyprowadzka z Warszawy. Przeniósł się do Lublina, zaczął pracować na Akademii Medycznej jako fotograf i studiować historię sztuki na Uniwersytecie Lubelskim. Zrobił magisterium u prof. Woźniakowskiego. Przesyłał mi własne artykuły o lubelskim malarzu Karamańskim. Dla mnie to było szalenie krzepiące osiągnięcie.

Nieszczęśnik był chory na ciężką cukrzycę. Zmarł.

Bohdan Matuszewski

Emiliana Werońskiego poznałem w 1960 roku. Byłem zafascynowany jego przeżyciami w obozach niemieckich i radzieckich. Mimo wyjątkowo ciężkich warunków bytowych i zdrowotnych ukończył studia, uzyskując stopień magistra, doktora, doktora habilitowanego i docenta w rekordowo krótkim czasie. Współpracował z Zakładem Fizjologii i Mikrobiologii prof. Bassalika. Sądzę, że jego dwie książki: *Etyka uniwersalna jako najbardziej efektywna, najprzyjemniejsza i najłatwiejsza metoda życia-I* (Warszawa, 2003) oraz *Etyka uniwersalna w teorii i praktyce-I* (Warszawa, 2008) winny być obowiązkowo zalecane do czytania przez studentów i pracowników wyższych uczelni.

Jerzy Czerski

Kraczkiewicz używał nam niekiedy swojego lokalu na zebrania ZSP. Którejś niedzieli mieliśmy takie zebranie, bo wtedy oczywiście w soboty też były zajęcia, i wychodząc, nie zamknęliśmy drzwi. I gdy w poniedziałek przyszedł, to drzwi nie były zamknięte na klucz. Wtedy nas wezwał i powiedział – a był to oficer z armii Andersa, ale bardzo delikatny: „Proszę państwa,

zostawili państwo otwarty pokój z mikroskopami, które ja z takim trudem zdobywałem”. Rzeczywiście, każdy mikroskop był inny, w innym miejscu gdzieś zdobyty. „One mogły zostać skradzione. Gdyby to się miało jeszcze raz zdarzyć, to ja nie wiem, ale mógłbym się tak zdenerwować, że może nawet bym tupnął”. Kochany Kraczkiewicz – zawsze tak o nim mówiliśmy.

Napoleon Wolański

Kiedy studiowałam, kierownikiem Zakładu Systematyki Roślin i Ogrodu Botanicznego był prof. Bolesław Hryniewiecki. Jeszcze wtedy miał u nas wykłady z geografii roślin i historii botaniki. Pracownię prowadziły panie profesor Skirgiełło, Grochowska i Bujalska. Pamiętam, że pani doc. Karpowiczowa dostawała palpacji serca, kiedy przychodził [prof. Hryniewiecki – przyp. red.]. On miał taką teczkę skórzaną i specjalne nożyczki, które przywiózł z Chin, i zależnie od sezonu albo buszował na różance, albo w szklarni. Co ładnego zakwitło, ścinał dla synowej. Był na przykład taki biały śliczny storczyk, *Coelogyne cristata*, i jak tylko zakwitł, profesor nigdy go nie przegapił.

Janina Zielińska

Kiedyś powiedzieliśmy sobie z Tarkowskim, że najstarszy jest Kaniuga, drugi ja, a on trzeci. Gdy umarł Kaniuga, mówię: „No, czekaj teraz na mnie”.

Jak spotkałem Tarkowskiego ostatni raz, wchodził tu z żoną, taki dosyć marny był, zaczął coś narzekać. Powiedziałem: „Pamiętaj, że stoję w kolejce przed tobą, więc zachowuj się”. Dwa dni później dowiedziałem się, że umarł.

Stanisław Lewak

Pan Jan Sucharski to była legendarna postać. On był woźnym grubo przed wojną, jeszcze za prof. Janickiego. Zawsze przynosił i rozwieszał plansze do wykładów. I jak myśmy czasami – kiedy już był bardzo wiekowym człowiekiem – chcieli sami coś porozwieszać, uważał, że to byłoby nie w porządku, żeby go od tego odsuwać.

Kiedy świętowałem swój doktorat, oczywiście pan Jan był proszony, wznosił toast: „Niech ja mogę też, ostatni sługa panów doktorów”. Niektórzy żartowali, że po tym, jak pan Jan się kłaniał, można było poznać, czy kłania się studentowi pierwszego czy piątego roku, doktorowi czy docentowi. Niektórzy jeszcze to potrafią, ale w ukłonie pana Jana kierowanym do studenta

pierwszego roku nie było braku uszanowania, a w ukłonie kierowanym do profesora nie było uniżoności. Taki był pan Jan Sucharski.

Tomasz Umiński

Kunicki był bardzo nerwowy, porywczy. Kiedyś jego doktorantka Basia Kociszewska zaczęła referować swoje wyniki, a on na nią zaczął krzyczeć już po pierwszym zdaniu. A na to Basia najspokojniej: „Panie profesorze, ja jestem zdenerwowana, pan jest zdenerwowany. Jak pan jeszcze raz na mnie krzyknie, to ja stąd wyjdę”. Kunicki się zreflektował: „Dobrze, Basiu. Będę od tej chwili mówił szeptem” – i już na nią nie krzyczał. Ale on był jednak naukowcem i w pewnym momencie się zerwał, podskoczył do tablicy i mówi: „Ach! Jakie to ciekawe!”. Albo: „To trzeba koniecznie zbadać” itd. Kunicki był także wiecznym opozycjonistą, również politycznym.

Gajewski był recenzentem mojej pracy magisterskiej, doktorskiej i habilitacyjnej. Na egzaminie doktorskim musi być obecny dziekan. W moim przypadku był to prof. Bezubik, wspaniały człowiek zresztą. I po takim dość ostrym egzaminie, bo się spotkało dwóch genetyków – Kunicki i Gajewski – Bezubik mówi: „Mam jeszcze jedno pytanie do doktoranta”. Ścierpłem. Sporo pamiętałem z tej zoologii, ale nie wszystko. A on się pyta: „Chciałbym się dowiedzieć, co to jest to HFR, o którym ciągle mówicie” [HFR = High Frequency Recombinants – przyp. red.]. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Gajewski podskoczył na miejscu i zreferował szczegółowo, co to jest HFR, więc odpowiedział za mnie.

W dniu, w którym zdawałem kolokwium habilitacyjne, było potwornie gorąco, a ja nie znoszę upałów. Będę wdzięczny do śmierci prof. Gajewskiemu, który zaczął moje kolokwium następująco: „Z powodu upału proponuję, żeby habilitant też zdjął marynarkę”. Z radością na to przystałem, zostając w samej koszuli.

Znakomitymi wykładowcami byli prof. Raabe i prof. Dobrowolski, który wprowadzał wtedy w Polsce ekologię. Już nie znakomitym, ale dobrym wykładowcą był Kunicki-Goldfinger, a także profesorowie Bezubik i Gajewski. To znaczy, że wykładami Gajewskiego połowa słuchaczy się zachwycała, a połowa nie. Ku zaskoczeniu wszystkich świetnym wykładowcą był też bardzo młody człowiek – mgr Czarnecki, fizyk z Hożej. To były jedne z lepszych wykładów, jakie słyszałem w Warszawie. Zupełnie fenomenalne.

Roman Mycielski

Z profesorem Gieysztozem zetknęłam się w czasie studiów, gdy prowadził zajęcia z hydrobiologii. Po studiach, przez pewien czas (do śmierci profesora)

uczestniczyłam w kierowanych przez niego pracach Zarządu Polskiego Towarzystwa Hydrobiologicznego. Profesor Gieysztor był pierwszym prezesem Towarzystwa, które powstało głównie dzięki jego staraniom.

Profesor Tarwid był ekologiem. To były początki rozwoju ekologii, kiedy opisowe badania faunistyczne były często zastępowane przez badania ekologiczne. Specjalizował się w badaniach nad komarami. Bardzo pozytywnie wspominam profesora. Silnie oddziaływał na studentów, organizował nam różnego rodzaju seminaria dyskusyjne, które miały ciepły, kameralny charakter.

Andrzej Kowalczewski był głównym organizatorem, później kierownikiem stacji terenowej w Pilchach. Stacja mieściła się w budynku starej szkoły poniemieckiej, wybranym spośród różnych miejsc oferowanych przez władze miejscowe. Początkowo korzystaliśmy z budynku w stanie, w jakim go zastaliśmy. Potem rozpoczęły się różnego rodzaju przebudowy, dobudowywanie łazienek, pracowni i pokoi gościnnych. Prace finansował Wydział, choć pieniądze były niewielkie. Później pobyt na stacji był częściowo odpłatny, więc pojawiły się drobne wpływy z opłat od gości.

Ewa Pieczyńska

Wybitnym uczonym na Wydziale był prof. Andrzej Krzysztof Tarkowski (1933–2016) z Instytutu Zoologii, twórca warszawskiej szkoły embriologii doświadczalnej ssaków. Jego oryginalne prace zapoczątkowały kierunki badawcze nad komórkami macierzystymi, zapłodnieniem pozaustrojowym i klonowaniem. W 2013 roku został laureatem Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, najpoważniejszego wyróżnienia naukowego w Polsce, nazywanego Polskim Noblem. Przez całe życie naukowe był związany z Uniwersytetem Warszawskim. Współpracował z prestiżowymi ośrodkami naukowymi w świecie.

Maria Charzyńska

Profesor Raabe miał gruźlicę, która wlokła się chyba od wojny. Nie dbał o zdrowie. Siedział w swoim pokoju, zawsze drzwi miał otwarte i palił papierosa za papierosem. Nie bardzo też pozwalał sobie pomóc. Jak byłem na stypendium we Francji, wzięłem jakieś tłumaczenia, udało mi się zarobić i za 1000 franków kupiłem swój pierwszy samochód – Fiata 850. I jak próbowałem odwieźć profesora do domu tym samochodem, on się sprzeciwił: „Absolutnie! Co ty sobie wyobrażasz! Nie jesteś moim kierowcą!”.

Niektórzy za nim nie przepadali, ale studenci bardzo lubili prof. Raabego. Był dowcipny. Nie był uczonym światowej sławy, ale takich u nas nie było. Jesteśmy wychowani przez pokolenie ludzi, którzy ocalili z wojny, bo ci najstarsi i najlepsi zginęli.

Profesor Raabe uważał się za parazytologa, bo badał pierwotniaki pasożytujące na małżach i rybach. Sprowadził swojego ucznia i sekretarza – dr. Bernarda Bezubika. To było zabawne, bo my nie wiedzieliśmy, że on się też zajmuje nauką, tylko myśleliśmy, że jest sekretarzem Raabego. Profesor pisał wtedy podręcznik protozoologii, a on to przepisywał. Siedział w pokoiku koło profesora. Raabe krzyczał: „Benek, Benek!” i Benek przychodził. A potem się okazało, że Benek dostał Zakład Parazytologii. I zaczął ten Zakład rozwijać.

Jerzy Moraczewski

Na osobną i szczególną wzmiankę zasługuje postać laboranta Instytutu Zoologii pana Jana Sucharskiego. Rozpoczął swoją karierę jako młodzieniec, zatrudniony w Ogrodzie Botanicznym tuż po uruchomieniu UW po I wojnie światowej. Potem przeszedł do Instytutu Zoologii kierowanego przez prof. Janickiego. Podczas wojny, mieszkając w Instytucie, w gmachu Szkoły Głównej, starał się ratować zbiory, przenosząc je do piwnic. Ranny w powstaniu, pierwszy stanął do odbudowy Wydziału. Znany był we wszystkich placówkach warszawskich zajmujących się mikroskopowaniem ze swych niezrównanych teczek do preparatów. Niesłuchanie dokładny w działaniu, nawet przynaglany, sumitował się, że nie potrafi oddać roboty niewykończonej. Umiał wszystko naprawić, dorobić części i był prawdziwą opoką o każdej porze. Nigdy też nie odmawiał pomocy. Za te przymioty był powszechnie szanowany, toteż żadna uroczystość instytutowa nie mogła się bez niego obejść, a gdy do niej dochodziło, pan Jan przywdziewał uroczystą marynarkę z przypiętymi odznaczeniami państwowymi i często wygłaszał krótkie przemówienie. Gdy będąc już od dawna na emeryturze, ale pracując jak zawsze, zaniemógł na białaczkę, oddaliśmy z kolegami krew do transfuzji. Niestety, nie mogła mu już pomóc. Uważam pana Jana za jedną z bardziej niezwykłych postaci, z jakimi zetknął mnie los.

Swoją drogą, na Botanicę takim zasłużonym laborantem, opoką, był Józio Stecki, z zawodu tapicer. Z kolei w Zakładzie Cytologii pracował pan Kazio Wysocki. Kazio między innymi obsługiwał bibliotekę i przynosił nam też książki z innych bibliotek – z Nenckiego, z Wilczej. Był kulawy, ale nosił nam te książki całymi pakami. Z zawodu był fryzjerem, więc strzygł jeszcze mężczyzn na Wydziale.

Rafał Skoczylas

Profesor Rybicki był bardzo specyficznym profesorem, bardzo surowym w stosunku do studentów. Pod koniec studiów wpisał mi straszną naganę do indeksu. Spóźniłem się na zajęcia, bo obrączkowaliśmy ptaki nad morzem.

Na szczęście na tej samej stronie były jakieś dobre opinie też wpisane, trzeba było nawet dodatkową kartkę wkleić do indeksu, gdzie były jakieś pochwały. Ale pan prof. Rybicki był surowy, trzeba było 1 października być na zajęciach, na jego wykładach, a nie gdzieś tam nad morzem.

Musiałem spełniać najróżniejsze polecenia profesora, nie tylko naukowe. Profesor Rybicki wykorzystał moje zainteresowania malarstwem i rysunkiem, miałem mu rysować pierwotniaki żwaczowe. Był specjalistą od tych pierwotniaków. One są u krów, które mają żwacz, czyli dodatkowy żołądek. Rybicki pobierał próbki ze żwacza, były w nich najrozmaitsze pierwotniaki. Chciał opublikować wielką monografię o tych mikroorganizmach. No i do tego potrzebne mu były liczne rysunki, bo profesor nie uznawał zdjęć. Zrobiłem ich z tysiąc, a może i więcej. Mam je ciągle przed oczami.

Rysunki nie zostały nigdy opublikowane. Wciąż je mam, choć część zaginęła. Profesor zmarł i niestety publikacja się nie ukazała, a miała się ukazać nawet po angielsku. Ale nie żałuję tamtego wysiłku. Rysowałem te pierwotniaki tuszem na specjalnej, przezroczystej kalce. One mają takie piękne rzęski, za pomocą których się poruszają, a poza tym kolce.

Po śmierci prof. Rybickiego promotorstwo mojej pracy doktorskiej przejął prof. Kraczkiewicz. Fantastyczny, cudowny, życzliwy człowiek. Właściwie nic nie zmieniał w mojej pracy, mówił: „Ty jesteś specjalistą. Ja się na tych twoich badaniach nie znam”. A także: „Wierzę ci”.

Bronisław Cymborowski

Profesor Raabe był nieprawdopodobnie utalentowany. Posługiwał się bogatą i dosadną polszczyzną z odrobiną „łaciny” stosowanej we właściwych momentach. Jak on rysował i jak opowiadał! Jego gabinet znajdował się prawie naprzeciwko naszej pracowni i pan profesor całkiem często i niespodziewanie do nas wpadał, zwykle wieczorem przed wyjściem z Instytutu... Na początku szybko chowaliśmy spirytus pod ławkę, ale potem już nie, bo czasem wpadał „na szklaneczkę”... Spirytus był znakomity, bo wszystko, co się robi w dobrym towarzystwie, a do takich należało niewątpliwie towarzystwo prof. Raabego, staje się znakomite. Profesor zwracał się do nas wszystkich po imieniu. Stawał czasem w drzwiach, wychodząc do domu, i pytał „co słyhać”, co niekiedy zamieniało się w żywą dyskusję o nauce lub polityce. To w czasie jednej z takich dyskusji zasugerowaliśmy kiedyś profesorowi podjęcie kolejnej samodzielnej próby odnowienia zbiorów naszego podręcznego muzeum zoologicznego, nad którymi czuwał pan Jan Sucharski, nasz utalentowany konserwator. Przedwojenne zbiory tego Muzeum były już uzupełniane przez naszych starszych kolegów, Tomka Umińskiego, Jurka Nowickiego i Andrzeja Lisieckiego w czasie ich słynnego rejsu na Morze Czerwone w latach 1959–1960, ale nadal brakowało nam okazów wielu

grup taksonomicznych fauny morskiej, choćby z mniej tropikalnego środowiska, takiego jak Adriatyk. Wspólnie z Rafałem Skoczylasem i Stefanem Radzikowskim bez trudu więc namówiliśmy profesora, by załatwił nam nyskę z taboru UW na miesięczną wyprawę nad Adriatyk... W pierwszej wyprawie adriatyckiej latem 1968 roku mieliśmy cztery akwalungi. Policja jugosłowiańska, która nas zatrzymała na morzu, oznajmiła, że niedaleko znajdują się bazy wojskowe, i zarzuciła nam, że prowadzimy działalność szpiegowską. Był to oczywisty pretekst, by nas ukarać za... wkroczenie polskiego wojska do Czechosłowacji, o czym oczywiście nic nie wiedzieliśmy. Zdarzyło się to kilkadziesiąt godzin po wkroczenia sprzymierzonych armii do Czechosłowacji. Cztery osoby – tyle było akwalungów – musiały opuścić terytorium Jugosławii w czasie 24 godzin. Oczywiście byli nimi organizatorzy tej wyprawy, którzy przenieśli się wraz ze sprzętem nurkowym nad Balaton...

Maciej Gliwicz

W tym samym roku, kiedy zacząłem pracę w Zakładzie Systematyki (1965), przyszedł do nas Andrzej Batko. Przyszedł ze swoim etatem z Instytutu Ekologii PAN. Studiował w Moskwie entomologię, ale tematem jego pracy dyplomowej były grzyby pasożytujące na szarańczy. Od pierwszych naszych kontaktów polubiliśmy się, chociaż różniliśmy się krańcowo, i w światopoglądzie, i w sympatiach politycznych (po Marcu wstąpił do partii). Był to człowiek niezwykle i wszechstronnie uzdolniony; jego referaty i odczyty były zawsze na bardzo wysokim poziomie, dydaktykiem był znakomitym, uwielbianym przez studentki (na botanice zawsze w zdecydowanej większości). Krótco po przyjeździe do nas obronił pracę doktorską, którą była monografia taksonomiczna owadomorków, grzybów z rzędu *Entomophthorales* (mikroskopijne pasożyty owadów i niektórych roztoczy). Batko w swojej rozprawie, i w kilku wcześniejszych publikacjach cząstkowych, dał zarys nowego systemu tej grupy i zaproponował nowe kryteria dla ich klasyfikacji, przyjęte później przez ogół specjalistów (niektórzy z nich dzielą okres poznania tych grzybów na „przed- i pobatkowy”).

Niestety, rozprawy tej nie opublikował, nie opracował do druku, pozostały tylko kopie maszynopisu. Andrzej Batko zbyt szybko porzucił raz rozpoczęte tematy, które nagle przestawały go interesować. I tak, po owadomorkach zajął się grzybami wodnymi i tutaj miał także kilka naprawdę doskonałych publikacji, opisał kilka nowych dla nauki rodzajów i gatunków. Przygotował podręcznik *Zarys hydromykologii* (wyszedł drukiem w 1975), zawierający klucze i opisy służące do oznaczania wszystkich znanych wówczas z literatury grzybów wodnych świata. To była rzeczywiście świetna rzecz; proponowano mu wydanie jej na Zachodzie. I nawet miał

już rozpoczęte tłumaczenie... I znowu nie miał czasu tego dokończyć, bo... przyszły komputery. Zajął się taksonomią numeryczną i pracą nad programem do oznaczania roślin i grzybów; oczywiście ten program ma już dzisiaj znaczenie tylko historyczne. Potem zaczął chorować i zmarł przedwcześnie. Niewątpliwie był człowiekiem niezwykłych zdolności. Gdyby zajął się na dłużej choć jednym ze swoich ciekawych tematów, czy to owadomorkami, czy grzybami wodnymi, stałby się specjalistą na skalę światową. I jeszcze powtórzę: podziwiałem jego zdolności dydaktyczne. Jego wykłady były znakomite, był uwielbiany przez studentów. Po jego śmierci Ogród Botaniczny wydał jego obszerną biografię w osobnej książeczce.

Zaczynając pracę w Zakładzie Systematyki i Geografii Roślin w październiku 1965 roku, trafiłem tam akurat na rozpoczęcie przygotowań do zorganizowania IV Kongresu Europejskich Mykologów, zaplanowanego na wrzesień następnego roku. O organizację tego Kongresu zabiegała oczywiście od dawna prof. Skirgiełło, która zresztą sama regularnie uczestniczyła w kolejnych kongresach mykologicznych, zarówno europejskich, jak światowych; była jedyną, która wzięła udział we wszystkich kolejnych, dwunastu (w latach 1956–2003) kongresach europejskich. Czasy były trudne i pieniędzy na kongres nie udało się zdobyć wiele. Wiem, że głównymi sponsorami były Uniwersytet Warszawski i Polska Akademia Nauk. Do pracy zostali więc wciągnięci wszyscy pracownicy Zakładu. Do organizowania wycieczek przed- i pokongresowych zaangażowano oczywiście firmę profesjonalną (Sports-Tourist), ale bardzo wiele innych spraw załatwialiśmy sami. Niewątpliwie było to dla mnie ważne doświadczenie życiowe.

Tomasz Majewski

Barwnych postaci na Wydziale było niemało. Wspomnę tylko o trzech, moim zdaniem najbarwniejszych.

Profesor Kazimierz Dobrowolski, zoolog, ornitolog, obdarzony znakomitą poczuciem humoru i całkiem niezłym głosem. Niewyczerpana skarbnica piosenek różnych.

Profesor Kazimierz Petruszewicz, ekolog, zoolog, przez wielu naszych rodaków znany jako Dyzio z powieści Karola Borchardta *Znaczy kapitan*. Wspólne wesołe wieczory w terenie zawsze rozpoczynał tym samym przebojem: „Ej, wy czorty afrykancy...”.

Profesor Zdzisław Raabe, protozoolog, naturysta z zamiłowania. Znany z niekonwencjonalnego zachowania, jak choćby występowanie w koszulce gimnastycznej w upalne dni na posiedzeniach Senatu, rzecz w owych czasach nie do pomyślenia.

Andrzej Prejs

Szczególne miejsce w mojej pamięci ma prof. Stanisław Maleszewski. Po habilitacji, kiedy było jasne, że nie mogę zostać w Zakładzie prof. Lewaka, przyszedł do mnie i powiedział: „A czy pani by nie chciała przejść do mojego Zakładu?”. To był Zakład Fotosyntezy i Technik Izotopowych. Spytałam, czy jest pewien tej decyzji, przecież nie zajmuję się fotosyntezą. „Możesz się zajmować, czym chcesz. Przejdź do mojego Zakładu”. I przeszłam. A potem, gdy przeniósł się na Uniwersytet Białostocki, objęłam po nim kierownictwo Zakładu, zmieniając nazwę na Zakład Bioenergetyki Roślin.

Byłam wtedy sekretarzem komisji egzaminacyjnej, już chyba po doktoracie, dziekanem była prof. Alina Skirgiełło. Potrzebowaliśmy jeszcze do komisji sekretarzy. I ja miałam poprosić prof. Tarkowskiego, żeby się zgodził na to, by Jacek Kubiak był sekretarzem. Strasznie się go bałam. Poszłam do niego i powołując się na prof. Skirgiełło, mówię: „Panie profesorze, pani profesor Skirgiełło powiedziała, że Jacka Kubiaka najchętniej by widziała. I jednocześnie powiedziała, że tylko jak ktoś jest w ciąży, to może jej odmówić”. A Tarkowski patrzy na mnie i mówi: „Ale pani wie, że my to potrafimy zrobić?”.

Anna Rychter

Spośród naszych pracowników technicznych takim najważniejszym, najgodniejszym uwagi był pan Władysław Klemba. To był facet od wszystkiego. On był z takich techników, co to mówili: „Bo ja i pan profesor postanowiliśmy....”. Na pierwszych ćwiczeniach z mikrobiologii pokazywał studentom, jak się pakuje pipety i szalki, a wtedy pipety pakowało się w paski papieru i zawijało. I pan Władysław ciął takie paski, pokazywał, jakiej wielkości ma być wacik zatknięty na końcu pipety i jak się go wkłada, wreszcie jak się zawija pipety w papier. Widać było, jak dumny był ze swojej roli.

Był też Zdzisiek Cegielski – złota rączka techniczna. Robił nam pierwsze aparaty do elektroforezy z płytek pleksi, różne kolumny do oczyszczania ścieków itp.

I były panie: Helena Lach, bardzo miła, i Zosia Bury (Bekier), które robiły pożywki do hodowli bakterii, a przygotowywanie bulionu odżywczego rozpoczynało się od gotowania wołowiny i zapach niósł się po całym budynku.

Mirosława Włodarczyk

W czasach Łysenki to właśnie profesorowie Kraczkiewicz i Gajewski, i pewnie inni, ale głównie z Uniwersytetu Warszawskiego, mieli duży udział w walce z tymi łysenkowskimi poglądami. I mieli czasem z tego powodu

nieprzyjemności czy pomówienia. Gdy mój ojciec zmarł, odebrałam dokumenty i odebrałam też donosy na niego, w rodzaju: „To jest osoba ideologicznie obca, cytuje anglosaską literaturę na seminariach”. Tak brzmiał zarzut ideologicznej obcości sformułowany przez kolegów-donosicieli. Gdzieś mam jeszcze taki donos.

Anna Kraczkiewicz-Dowjat

Profesor Dobrowolski w stanie wojennym został mianowany rektorem. Pamiętam, przyszedł do nas do Zakładu i pytał, co o tym myślimy. Przeżywał wtedy ogromne rozterki. Profesor był człowiekiem bardzo głęboko związanym z naszym Uniwersytetem. I zgodził się zostać rektorem tylko dlatego – jestem pewien, że tak było – żeby przeprowadzić suchą nogą Uniwersytet przez te trudne czasy. Docent Eugeniusz Nowak opisał to w swojej książce [Nowak E., 2013 – *Ludzie nauki w czasach najtrudniejszych. Wspomnienia o przyrodnikach*. Bogucki Wyd. Nauk., Poznań, 460 pp. – przyp.red.]: „Jeszcze w dniu nominacji zaprosił nowy rektor na radę wszystkich dziekanów. Ci zastanawiali się, czy nie powinni, na znak solidarności z rektorem Samsonowiczem i czwórką jego prorektorów, także ustąpić. Po dyskusjach zaniechali tego. Przemawiając do dziekanów, Dobrowolski powiedział między innymi: Zaproponowano mi nominację. Przyjąłem ją z pełną świadomością wszelkich konsekwencji. Wyrażając uznanie dla rektora Samsonowicza oświadczam, że dołożę wszelkich starań, aby zachować i kontynuować jego dorobek. Deklaruję, że pragnę być lojalny wobec społeczności akademickiej, ale muszę być także lojalny wobec władzy, która nie pozwala kierować się duchem tolerancji i troską o dobro uczelni”. W tym czasie odwrócili się od niego niemal wszyscy, ale jego działalność pozwoliła uchronić wiele osób przed restrykcjami. Warto o tym pamiętać.

Po śmierci prof. Dobrowolskiego postanowiłem, że stacji w Urwitałcie powinno się nadać jego imię. I tutaj, na Wydziale, mój wniosek gładko przeszedł, natomiast na Senacie wywiązała się dyskusja i była jedna osoba, która się sprzeciwiła, mówiąc, że był to przecież reżimowy rektor. Na to parę osób się odezwało, że owszem, był, ale to był człowiek, który właśnie uratował Uniwersytet przed represjami. W końcu przy tylko jednym głosie przeciwnym Senat przyjął wniosek o nadanie stacji w Urwitałcie imienia prof. Dobrowolskiego.

Michał Kozakiewicz

Profesor Podbielkowski był już wtedy na emeryturze, ale pamiętam, że pisał bardzo piękne wiersze. Napisał też książeczkę *Torfowiska*. Akurat

prowadziłam zajęcia na torfowiskach w Sajzach i korzystałam z tej książeczki. Opowiadałam studentom na przykład, że nad torfowiskiem wysokim, które znajduje się w środku lasu, unoszą się opary mgły. Przytaczałam też zasłyszane od botaników różne opowieści, jak ta, że bagno – roślina, która rośnie na torfowiskach – wydziela silny zapach i z tego względu stosowano ją kiedyś jako środek przeciw molom. Obok bagna często występuje borówka bagienna nazywana przez miejscową ludność „pijanica”. Jej nazwa wzięła się stąd, że ludzie, którzy zbierali owoce borówki, wychodzili z torfowiska odurzeni, pijani. A działo się to za sprawą ostrego zapachu bagna, a nie borówki bagiennej

Profesor Batko wspaniale opowiadał. Prowadząc badania, odkrył gatunek grzyba, który nazwał *Nellymyces megaceros* A. Batko 1972 i mówił, że to na cześć byłej żony; wymyślił, że to są rogi Nelly. Opowiadał też studentom, że są grzyby jadalne i niejadalne, na przykład olszówka jest jadalna, ale tylko w Związku Radzieckim, co budziło śmiech. Profesor miał duże poczucie humoru, był bardzo dowcipny i bardzo przyjacielski. Pomógł mi wejść w środowisko akademickie. Przede wszystkim zainteresował mnie komputerem, ponieważ kiedy przyszedłam na Wydział Biologii, komputery już były, ale ja byłam absolutnie nieprzygotowana do posługiwania się nimi. Profesor Batko mówił: „Nie martw się. Przecież to zwykła maszyna, próbuj”.

Ligia Tuszyńska

Mama (prof. Irena Rejment-Grochowska) to był niedościgniony wzór, który powinno się naśladować. To, co było jej najbliższe w pracy naukowej, to na pewno poszukiwanie prawdy, także poczucie obowiązku. Ponadto cechowały ją upór i zamiłowanie do pracy.

Mama robiła bardzo wierne rysunki spod mikroskopu czy binokularu. W pracy wykonywała szkic, a potem w domu wykańczała go piórkciem. To rysowanie świetnie pamiętam, bo wiele czasu spędzałam w Zakładzie Systematyki i Geografii Roślin, żeby trochę więcej побыć z mamą. Miałam tam nawet swoją szufladkę i blat, na którym mogłam rysować. Nie spod mikroskopu, bo tego wtedy jeszcze nie umiałam.

Mama chyba nigdy nie była w bardzo bliskim kontakcie ze swoimi słuchaczami. Miała dość wymagający, surowy stosunek zarówno do siebie, jak i do wszystkich innych, również do studentów. Tak że jak studenci mieli wybór, to szli na egzamin do pani prof. Skirgiełło, bo ona uchodziła za znacznie bardziej tolerancyjną.

Mama miała bardzo ciepły stosunek do Polskiego Towarzystwa Botanicznego. To Towarzystwo było jej takim oczkiem w głowie.

Mama i pan prof. Hryniewiecki mieli pewną psychiczną więź. Cechował ich zresztą dość podobny charakter. Mam na myśli powściągliwość

w wypowiedziach, szczególnie tych związanych z emocjami. Mieli zbliżony typ osobowości i często rozumieli się bez słów.

Agnieszka Mostowska

Długoletni kierownik Zakładu Botaniki Środowiskowej prof. Zbigniew Podbielkowski mógł wydawać się nieco oschły i trochę nieprzystępny, ale przy bliższym poznaniu okazywał się wspaniałym, niezwykle wrażliwym człowiekiem. Miałam w życiu różne trudne sytuacje i profesor był tą osobą, poza najbliższymi, z którą mogłam o wszystkich problemach otwarcie rozmawiać. Potrafił doradzić, pomóc w sytuacjach, które wydawały się prawie bez wyjścia. Muszę też wspomnieć o postawie profesora w pierwszych dniach stanu wojennego. Pamiętam, jak następnego dnia po jego ogłoszeniu przyszliśmy do pracy. Była bardzo ciężka atmosfera, my – zdruzgotani i stłamszeni... Zaczęłam wtedy rozmawiać z profesorem i pamiętam jego: „Pani Basiu, nie dajmy się!”. I to jedno krótkie zdanie wypowiedziane przez profesora dało nadzieję i przywróciło mi spokój....

Wiadomość o śmierci profesora zastała mnie na Ukrainie. Nie było łatwo błyskawicznie zorganizować powrót, by zdążyć na pogrzeb. Zachowuję wdzięczność dla władz Wydziału, zwłaszcza dla pani dziekan Joanny Pijanowskiej za ułatwienie mi wtedy powrotu do kraju.

Barbara Sudnik-Wójcikowska

O profesorze Bezubiku do dzisiaj wszyscy mówimy „szef”. To chyba jedyny szef, bardzo otwarty człowiek z dużym poczuciem humoru, który wiele wybaczał i sobie, i nam, ale też zapewniał dobrą kondycję Zakładu. Może dlatego, że swoim autorytetem potrafił utrzymać tematykę badań. Większość osób przez długi czas pracowała u nas w ramach tzw. grantów amerykańskich, jedynych, jakie były wówczas dostępne. Prowadziliśmy badania na owcach. Wiązały się one z wyjazdami do Koronowa, w Bydgoskie i wyjazdami na południe, w góry. Zbieraliśmy tam materiał, który dostarczał bardzo ciekawych wyników dotyczących pasożytów przeżuwaczy. Pracowaliśmy w Zakładzie między innymi nad szczepionką po naświetlaniu larw promieniami UV. Ja zajmowałam się głównie nicieniem *Trichinella spiralis*, bo to był główny obiekt zainteresowań pana prof. Stankiewicza. Dopiero przy habilitacji zajęłam się innym gatunkiem.

Do pracy przyjmował mnie pan prof. Tarkowski, dyrektor Instytutu Zoologii. Bardzo ciepło wspominam tę rozmowę, podczas której pan profesor dociekał zjawisk rozpoznania immunologicznego, mogących towarzyszyć implantacji zarodków. W poprzednim miejscu pracy uczestniczyłam

w badaniach nad antygenowością guzów. Ta rozmowa właściwie dotyczyła zjawisk immunologicznych.

Bardzo mile wspominam profesora również z wykładów. To było na trzecim roku. Pan profesor miał bardzo dobrze przygotowane wykłady, mimo to oczekiwał od studentów opinii, czy to, co mówi, jest dla nas zrozumiałe. Na jednym z zebrań Instytutu, dotyczącym dydaktyki, sam kiedyś potrafił przyznać: „Nie jestem najlepszym wykładowcą, ale zawsze staram się to zrobić jak najlepiej”. Miał dystans do siebie, mimo że był naprawdę bardzo wielkim autorytetem, nie tylko naukowym.

Maria Doligalska

Chcę wspomnieć jedną tylko osobę, mojego bliskiego, wielkiego przyjaciela – Andrzeja Kowalczewskiego. Kiedy zostałam studentką Zakładu Hydrobiologii, Andrzej był młodym naukowcem, wtedy obdarzonym wielkim zapalem i entuzjazmem do pracy, ogromnie lubianym przez studentów, bardzo popularnym w środowisku akademickim. Przyjaźń nasza zaczęła się w okresie stanu wojennego i trwała nieprzerwanie do jego śmierci w 2007 roku.

Joanna Pijanowska

Profesor Tarkowski zaczął uczyć studentów, jak miał lat dwadzieścia. Dostał stanowisko zastępcy asystenta, chyba tak się to nazywało. Kadra była przetrzebiona strasznie, więc żeby prowadzić zajęcia, musiano zatrudniać bardzo młodych.

Profesor Tarkowski to w ogóle przede wszystkim pracował. Jako bardzo młody chłopak musiał sobie świetnie radzić. Wiedział, że jak ma coś zrobić, musi się sprężyć i zrobić to sam. Bo jak sam nie zrobi, to nic z tego nie będzie.

Moje pierwsze spotkanie z profesorem wyglądało podobno w ten sposób, że rodzice jechali ze mną pociągiem do Jeleniej Góry, a tym samym pociągiem jechał prof. Tarkowski z rodziną. Ja byłem tym Mareczkiem biegającym po korytarzu pociągu, a on znanym uczniem.

Kierownictwo Zakładu przejąłem w 2003 roku, kiedy prof. Tarkowski skończył siedemdziesiątkę. Zrobiłem habilitację i pan profesor nie miał nic przeciwko temu. Widział mnie na tym stanowisku, a sama zmiana przeszła zupełnie płynnie. Pieczętki mi dał i już. Profesor z tego powodu to chyba nawet źle się nie czuł, bo rzucił się wtedy w wir doświadczeń. Był zajęty tymi doświadczeniami przez kilkanaście lat, cały czas pracował jak szalony. Przez ostatnie trzy lata miał swój zespół z grantu Maestro i kierował tym zespołem. Wcześniej, zanim dostał grant, pracował z Renatką Czołowską i z Wackiem Ożdżeńskim, bo oni jeszcze tutaj sporo robili jako emeryci, wolontariusze.

Profesor nie miał takich ambicji, żeby dalej kierować Zakładem czy też pilnować, co ja robię. On takiej mięty wcale nie czuł. Przede wszystkim był doświadczalnikiem, on to po prostu strasznie lubił. Fotografię też, ale raz robił zdjęcia, potem troszkę rzadziej, a doświadczenia to było zupełne szaleństwo. Ja bym na przykład nie potrafił tak nadzorować młodych ludzi, żeby właściwie cały dzień stać im nad głową i dopytywać o każdy szczegół. Rzeczywiście było widać, że to pasja tam buzuje, że trzeba coś zrobić i zobaczyć.

Jeśli chodzi o osoby z Wydziału trochę zapomniane, to taką osobą jest według mnie prof. Kwiatkowski. Byliśmy z żoną zaangażowani w działalność Samorządu Studenckiego i z tej racji byliśmy blisko z prof. Kwiatkowskim w stanie wojennym. Spotykaliśmy się przy różnych okazjach i różne wspólne sprawy mieliśmy, jeśli chodzi o funkcjonowanie Wydziału. Profesor Kwiatkowski był takim cichym, nierzucającym się w oczy, spokojnym człowiekiem, a jednocześnie na Uniwersytecie uchodził za wielki autorytet, bo uczestniczył w Komisji ds. Osób Represjonowanych, no i oczywiście był dziekanem. Przez cały stan wojenny czuło się, że jak jesteśmy na Uniwersytecie, to jesteśmy u siebie. Że jest nad nami jakiś parasol. Była w tym bardzo duża zasługa Kwiatkowskiego i powinniśmy o tym pamiętać.

Ja go bardzo, bardzo lubiłem. Uroczy, sympatyczny, dobry człowiek. Zdawałem u niego egzamin. Wstyd mi było, bo jakoś nie najlepiej wypadłem. Piątkę co prawda dostałem, ale byłem z siebie niezadowolony.

Marek Maleszewski

W czasie II wojny światowej prof. Alina Skirgiełło została strażniczką dobytku Zakładu Systematyki i Geografii Roślin. W pewnym momencie, kiedy było wiadomo, że Niemcy będą stacjonowali na terenie Ogrodu Botanicznego, wzięła na siebie przeprowadzkę zielnika, księgozbioru, modeli botanicznych i obiektów dydaktycznych. Wszystko to pakowała w pudła i wywoziła do Muzeum Narodowego. Tylko jej praca i zaangażowanie pozwoliły te materiały ocalić. Do dziś w czasie zajęć używam modelu owocostanu figi i pokazuję nasienie lodoicji seszelskiej, które pani profesor ocaliła z wojennej pożogi.

Po upadku Powstania Warszawskiego Skirgiełło postanowiła, że pójdzie do prof. Hryniewieckiego, który był wówczas kierownikiem Zakładu Systematyki i Geografii Roślin, żeby opowiedzieć, iż uratowała wyposażenie Zakładu. Szczerze mówiąc, liczyła na jakąś pomoc. On mieszkał w Milanówku, w bardzo dobrych warunkach. Skirgiełło przymierała głodem i żyła bardzo skromnie, kątem w wynajętym, zimnym pomieszczeniu. Poszła z Tworek do Milanówka piechotą, w chłodzie i głodna, a on nawet nie dał jej herbaty. Przyjął ją na stojąco. Sam siedział w fotelu, a ona składała

mu relację. A potem podziękował i pożegnał. Wiem, że prof. Hryniewiecki jest dobrą legendą Zakładu Systematyki. Uznawany był za bardzo dobrego szefa, dobrego naukowca. Natomiast to jest jakaś rysa, choć opowieść pani Skirgiełło była tylko lekko doprawiona goryczą i myślę, że jako osoba twarda uznała, że to było zachowanie po prostu odpowiadające jego pozycji. A jednak kiedy zdarzało się nam – pracownikom Zakładu Systematyki – siedzieć wieczorami w gmachu przy Alejach Ujazdowskich i w ciemnościach dawało się słyszeć skrzypienie podłogi przypominające kroki, zgodnie uznawaliśmy, z przymrużeniem oka, ale i gęsią skórką na karku, że to duch prof. Hryniewieckiego wędruje po Zakładzie i pokutuje za chłód okazany w czasie wojny swojej najlepszej pracownicy.

Marta Wrzosek





WCZORAJ I DZIŚ

Jak już się zaczęła genetyka, na Uniwersytecie nie było w ogóle podręczników. Tłumaczyliśmy pierwszy podręcznik genetyki, nie znając w gruncie rzeczy dobrze angielskiego. Jedyne podręczniki genetyki Srba i Owena rozdzielono na kawałki, każdy tłumaczył jeden rozdział, a prof. Gajewski – który jako jedyny znał dobrze angielski i genetykę – sprawdzał poprawność tłumaczenia, a resztę to już robiła redakcja. Teraz to są niewyobrażalne rzeczy. Wszystko jest inaczej.

Zofia Świetlińska

Nie miałam żadnych sesji egzaminacyjnych, żadnych praktyk, nie miałam mikrobiologii, rozszerzonej zoologii, nic takiego nie miałam, bo to był ostatni rocznik tak zwanego przedwojennego systemu studiów. Ale za to była matematyka i fizyka. Było inaczej, ale myślę, że wtedy to się studiowało „bardziej”. Poza tym uważam, że większy był kontakt studenta z zakładem, w którym studiował. Pamiętam, że myśmy wszyscy byli w tej pracowni, w tym pokoju, w którym ja potem byłam, wszyscy magistranci byli w tym pokoju. Każdy miał pół stołu z szufladą, bo więcej miejsca nie było.

Janina Zielińska

Dobrze pamiętam dawne techniki nauczania. Za moich czasów studenckich było bardzo mało podręczników, nie było komputerów. Wiedzę przekazywało się głównie przy użyciu czarnej tablicy i kredy oraz plansz. Na ćwiczeniach z zoologii, botaniki i wielu innych rysowaliśmy preparaty spod mikroskopu, a formą zaliczenia była prawidłowość opisu tych rysunków. Dzisiaj to zupełnie inne czasy.

Czasy, kiedy pracowałam na Uniwersytecie – od 1955 roku przez pięćdziesiąt lat – to były czasy ogromnych przemian społeczno-politycznych. Okres stalinizmu, rządów komunistycznych, represji, niekiedy większych, niekiedy trochę mniejszych, potem „Solidarności” i stanu wojennego – to wszystko przypadło na lata mojej pracy. Panujący system polityczny wyraźnie wpływał na życie Wydziału. Bardzo boleśnie pamiętam, że gdy jeszcze byłam studentką czwartego roku, zwolniono z pracy prof. Szulecę. To jest historia, w której niestety pewna grupa studentów miała swój udział.

Było wiadomo, że choć odbywał się egzamin wstępny, to jego wynik nie był jedynym kryterium przyjęcia na studia. Preferowani byli kandydaci z określonych środowisk, równocześnie dzieci rodziców nieakceptowanych przez władze nie mogły studiować. Niemałą rolę odgrywały organizacje

młodzieżowe, choć na naszym Wydziale takich prawdziwych aktywistów było niewielu. Niemniej odbywały się otwarte zebrania organizacji, na których oceniano kolegów. Były sprawdzane listy obecności na wykładach, ale i w pochodach pierwszomajowych. Ogólnie jednak Wydział Biologii był i w tamtym czasie, i później miejscem, gdzie panowała ogromna solidarność, a ludzi łączyło poczucie wspólnoty.

Pamiętam też zdarzenia, które teraz mogą się wydawać trochę zabawne. W latach 70. pisałam z moją koleżanką Ireną Spodniewską książkę dla Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych. Były to materiały pomocnicze dla nauczycieli z dziedziny ekologii i ochrony środowiska. Pewnego dnia dostałyśmy z wydawnictwa informację, że cenzura domaga się zmiany opisu wpływu zanieczyszczeń, ściślej – gazów i ścieków przemysłowych, na środowisko. Uznano, że podane przykłady należy przedstawić mniej szczegółowo. Dodatkowym życzeniem było, aby jako przeciwagę dla opisu zanieczyszczeń w Polsce podać również przykłady dbałości władz o środowisko. Potem jeszcze wielokrotnie były ingerencje cenzury, niekiedy dość humorystyczne. Na przykład na mapie Jeziora Mikołajskiego można było zobaczyć drogę, która dochodzi do jeziora i pojawia się po jego drugiej stronie, ale most został wymazany. Cenzura działała wiele lat. Wszystkie artykuły musiały być sprawdzane przed publikacją.

Z moich obserwacji wynika, że na Wydziale od kilkunastu lat coraz częściej organizowane są różne spotkania integracyjne, wykłady i seminaria ogólnoinstitutowe czy ogólnowydziałowe. Kiedyś tego nie było. Częste są wykłady gości zagranicznych i są na nie zapraszani studenci i pracownicy. Wiele jest akcji popularyzatorskich, w których uczestniczą przedstawiciele różnych specjalności. W czasie moich studiów i później, jeszcze przez szereg lat, studenci nie mieli tak wielu różnych okazji, aby rozwijać swoje zainteresowania, pogłębiać wiedzę i nawiązywać kontakty naukowe.

Ewa Piczyńska

Przez wiele lat były egzaminy wstępne. Zmieniała się ich forma. Pamiętam egzaminy pisemne w dużej sali dla wszystkich kandydatów w danym roku. Pilnowano, żeby nie ściągać. Przyłapany musiał opuścić salę i mógł składać egzamin dopiero w następnym roku. Zaliczenie egzaminu pisemnego było warunkiem dopuszczenia do egzaminu ustnego, składanego przed Wydziałową Komisją Egzaminacyjną (wielokrotnie byłam jej członkiem), której przewodniczył profesor z Rady Wydziału. Zagadnienia poruszane w czasie egzaminu i zadawane pytania były tajne, ustalane co roku przez specjalną komisję.

Maria Charzyńska

Teraz są nieporównywalnie łatwiejsze warunki pracy. Moje pierwsze lata pracy to było zmaganie się ze zdobywaniem odczynników. W zasadzie cały mój doktorat był wykonany na pożyczonych odczynnikach i częściowo przywiezionych z zagranicy. Jak jechałam za granicę na zjazd czy sympozjum, to prosiłam kolegów o odczynniki. Oprócz odczynników pipety automatyczne, mikrostrzykawki, elektroda Clarka, nawet parafilm to dary kolegów z zagranicy. Pamiętam, byłam we Francji. Profesor Lance powiedział: „*We are not rich, but we are not poor. Show your shopping list*”. Dałam mu listę potrzebnych mi do pracy odczynników. Odczynniki zamówione oficjalnie, przez UW, pojawiały się po roku, kiedy pomysł już wyparował lub doświadczenie było zrobione na pożyczonych.

A wysyłanie publikacji do zagranicznych czasopism. Chodziło się na Poczta Główną, gdzie mieścił się Urząd Celny i była taka deklaracja, że artykuł nie zawiera treści szkodliwych dla Polski Ludowej. Trzeba było się podpisać, konieczny był też podpis rektora itd.

No i dostęp do publikacji zagranicznych. Jak wyjeżdżałam na Zachód, to pierwsza rzecz – do ksero i kserowałam wszystko, co tylko było możliwe. Pół walizki zajmowała literatura. Studenci zupełnie tego nie doceniają, że teraz wszystko, czy prawie wszystko, można znaleźć online.

Anna Rychter

Wymienię jeden, ale istotny szczegół. Głównym źródłem dostępu do literatury były „Current Contents”, które prenumerował prof. Andrzej Tarkowski. To były, zdaje się, miesięczniki. Sam pierwszy je przeglądał, zaznaczał, które czasopisma już zamówił. Ten wolumen krążył od jednej osoby do drugiej. Głównie stamtąd czerpaliśmy informacje dotyczące aktualnego piśmiennictwa z dziedziny, którą byliśmy zainteresowani. Proszę wyobrazić sobie te stosy odbitek, które przychodziły w żółtych kopertach i które przenosiło się z poczty w Auditorium Maximum na poszczególne wydziały. Większość naszych próśb była realizowana w miarę szybko i myśmy te odbitki dostawali. To był jedyny sposób, żeby być na bieżąco z piśmiennictwem światowym. Dzisiaj mamy komputery i do niemal każdej informacji naukowej można szybko dotrzeć.

Edward Siński

Mam wrażenie, że teraz wszystko toczy się szybciej. Staram się nie zjawiać w Zakładzie zbyt często, jak nie jestem potrzebna. Ale jeśli ktoś oczekuje ode

mnie pomocy, jestem na każde żądanie. Natomiast usiłuję nie przeszkadzać w pracy i nie zajmować czasu. Gdy przychodzę do Zakładu, to zjadam drugie śniadanie w pokoju socjalnym i rozmawiam z tymi, którzy w tym czasie się tam pojawiają. Ponadto staram się przybywać na seminaria Instytutu.

Jadwiga Bryła

Praca na uczelni i wówczas, i teraz stwarza złudne wrażenie, że człowiek jest ciągle młody. Zgodnie z kalendarzem starzeje się, jednak ludzie wokół są ciągle w tym samym wieku. To jedna z zalet pracy na uczelni, którą zawsze ceniłem. Te mniej przyjemne w czasach, gdy zaczynałem pracę, to trudne dziś do wyobrażenia braki odczynnikowe i aparaturowe. Nie było rzeczy podstawowych, w tym również ciężkiego sprzętu. Stanowiło to pole do popisu dla różnych amatorów, także dla samych pracowników. Konstruowaliśmy zdumiewające urządzenia, które z punktu widzenia BHP nadawały się natychmiast do wyrzucenia, jak na przykład wytrząsarki czy bardziej zaawansowane cieplarki, precyzyjnie utrzymujące temperaturę. Nie wszystko byliśmy w stanie zrobić sami. Mieliśmy więc kontakt z rzemieślnikami, którzy uzupełniali naszą amatorską działalność. Istniała grupa rzemieślników, którzy krążyli wokół nauki i tworzyli dość unikatowe urządzenia bez dokładnych planów i rysunków technicznych. Dzisiaj ta sfera działalności nie istnieje.

Nieco inaczej wyglądały obowiązki administracyjne. Dziś ludzie także zajmują się bieżącym zaopatrzeniem, kupują odczynniki, plastiki i inne materiały potrzebne do pracy w laboratorium, ale odbywa się to przy pomocy telefonu i komputera. Natomiast wówczas, żeby zamówić odczynniki dla zakładu czy katedry, trzeba było wsiąść do tramwaju lub autobusu i osobiście pojechać do centrali chemicznej. Tam stało się w kolejce razem z zaopatrzeniowcami przedsiębiorstw, które produkowały na przykład proszki do prania, zdecydowanie sprawniejszymi w zdobywaniu dóbr deficytowych.

Zajęcia dydaktyczne przebiegały podobnie jak dzisiaj, z tą oczywiście różnicą, że sale i laboratoria wyglądały nieco inaczej i inaczej były wyposażone. Jednak relacje między studentami i prowadzącymi zajęcia oraz sposób prowadzenia zajęć były mniej więcej takie same jak dziś.

Krzysztof Staroń

Byliśmy w latach minionych (80. czy 90. ubiegłego wieku) teoretycznie dobrze wykształceni, ale praktycznie to nam bardzo dużo brakowało do świata zachodniego, głównie pod względem wyposażenia. Nie startowaliśmy z publikacjami do tych samych zachodnich czasopism. Nie mieliśmy dostępu do literatury, albo był on bardzo ograniczony. Chodziliśmy do bibliotek i o ile

czasopismo było dostępne (a było dosyć rzadko), to sporządzało się notatki. Potem pojawiła się możliwość robienia kopii. Ale jak wybuchł stan wojenny, to zamknęły wszystkie kserokopiarki. Mieliśmy wtedy zaprzyjaźnionego pana w Ministerstwie Finansów, który odpłatnie kserował nam artykuły. Trzeba było pójść do biblioteki, znaleźć czasopismo, zanieść do tego pana, a potem od niego odebrać kopię. Pamiętam, że gdzieś na Czackiego było takie małe okienko i ów pan nam przez to okienko oddawał kserokopie. Była możliwość, żeby mieć kserokopiarkę w Instytucie, ale nikt nie chciał podjąć się opieki nad nią. Znaczyło to bowiem, że nad tobą będzie opiekun z MSW czy z UB, który będzie kontrolował, czy przypadkiem czegoś nielegalnego się na tej kserokopiarce nie powieli. I jeszcze była jedna możliwość: wysyłanie do zagranicznych autorów próśb o przesłanie odbitek artykułu. Przez kilka lat było dostępne wychodzące chyba co tydzień czasopismo, które się nazywało „Current Contents”. Był to spis publikacji z wielu czasopism, służący nam do przygotowywania próśb do autorów o odbitki publikacji. Ta działalność zabierała mnóstwo czasu.

Ja z pierwszym e-mailem spotkałam się w roku '80 albo '81. Było to w czasie mojego pobytu w USA, w St Louis University. Do laboratorium przyjechał nowy pracownik z Niemiec. Kiedyś powiedział mi, że idzie do pokoju komputerowego, żeby wysłać list do domu. Nie mieliśmy jeszcze wtedy osobistych komputerów. Byłam zdziwiona i pomyślałam – o czym on mówi? List się pisze na papierze, nakleja znaczek i wrzuca do skrzynki. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się o istnieniu poczty elektronicznej. U nas pierwsza poczta mailowa była dostępna w połowie lat 90.

Elżbieta K. Jagusztyn-Krynicka

Czego z dawnych lat brakuje mi na Wydziale? Trochę mi brakuje życia towarzyskiego. Myśmy tworzyli bardzo fajną paczkę ludzi. Mieliśmy, jeszcze przed przeprowadzką, w bibliotece na pierwszym piętrze w Ogrodzie Botanicznym słynne śniadanka. O jedenastej schodziliśmy się na herbatkę i się gadało. Jak przenieśliśmy się tutaj, strasznie się rozrosliśmy, i to przestało być możliwe. Tak że integracji w zasadzie nie ma żadnej.

Może słowo „brakuje” nie jest najwłaściwsze, bo jestem dość introwertyczna i mogę sobie spokojnie siedzieć na bezludnej wyspie, jeżeli tylko będę miała co czytać i internet.

Czy w tych czasach łatwiej robić karierę naukową? Teraz jest bardzo trudno, i to z wielu powodów. Dawniej jak człowiek był dobry, to robiąc doktorat, wiedział, że zostanie i będzie mógł kontynuować pracę. Kiedyś miało się też grupę ćwiczeniową. A dziś każdy prowadzi pewne ćwiczenia w różnych grupach. To jest prostsze do przygotowania, ale co z integracją grupy?

Ewa Bartnik

Dawniej, gdy publikacja była już napisana na maszynie, wkładało się ją do koperty łącznie z listem, podpisanym przez dyrektora Chmielewską, a potem przez dyrektora Toczke, następującej treści: „Do Urzędu Celnego. Uprzejmie proszę o zgodę na wysłanie pracy do takiego i takiego czasopiśma” i do tego nieśmiertelna formułka: „Praca nie zawiera tajemnic państwowych, wojskowych ani służbowych, a jej druk nie pociągnie za sobą rozliczeń dewizowych”. To był obowiązek. Dzisiaj młodym ludziom to się wydaje równie śmieszne jak fakt, że były kartki na cukier albo na buty, ale tak było.

W 1989 roku zmieniłem Instytut Biochemii na Instytut Botaniki. Wcześniej z wrodzoną sobie szczerością pani prof. Kasprzyk powiedziała mi: „Panie Bogusiu, po moim trupie pan będzie tu kierownikiem Zakładu”. Bo ona sobie upatrzyła panią prof. Janiszowską jako swojego następcę. A ponieważ jestem człowiekiem pogodnego i spokojnego usposobienia, odparłem: „Dobrze. To ja sobie coś znajdę”. Okazało się, że profesor, wtedy jeszcze docent, Batko chciał rozszerzyć profil badań swojego zakładu. W związku z tym uznał, że będę dobrą osobą do rozwinięcia pewnej dziedziny wiedzy, która nazywa się chemotaksonomia. Jak zwał, tak zwał. Może jest inne pytanie badawcze, ale to jest w praktyce nadal biochemia roślin, w której działałem przez 16 lat.

Bogusław Witkomirski

W czasach moich studiów wykładowcy nie mieli możliwości posługiwania się żadnymi pomocami (nie było jeszcze komputerów), pozostawało więc napisać lub narysować schemat kredą na tablicy. Można było jedynie zmieniać kolory kredy. Czasami posługiwano się starymi, często przedwojennymi kolorowymi tablicami, które pokazywały wygląd omawianych na wykładzie organizmów.

Myślę więc, że prowadzenie wykładów, i to na poziomie uniwersyteckim, było dużo trudniejsze dawniej, niż jest obecnie. Dzisiaj możemy korzystać z bardzo wielu udogodnień, jak prezentacje komputerowe czy filmy. Można wiele slajdów pokazywać bezpośrednio z książek, do których dołączone są płyty CD. Tak więc jeśli porównać czasy sprzed 40 lat z okresem dzisiejszym, to można powiedzieć: co to za sztuka dzisiaj prowadzić wykład? Dawniej to była Sztuka!!! Bo studenci byli i są zawsze bardzo wymagający – zarówno przed 40 laty, jak i obecnie. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Małgorzata Wierzbicka

Z jeszcze jednego powodu warto było przykładać się do nauki. Egzaminy były ustne, a prawie każdy z wykładowców miał w dorobku jakąś opasłą, liczącą 200–400 stron księgę, i wiadomo było, że pytając studentów, nie będzie ograniczał się do wiedzy przekazywanej na wykładach. A zatem chcąc dostać bardzo dobry stopień, należało znać te książki właściwie na pamięć. Jakże proste i mało selektywne wydają się dzisiejsze egzaminy testowe, sprowadzające się do zakreślenia jednej z czterech odpowiedzi i to tylko z materiału omawianego na wykładach!

Wielokrotnie trudniejszy egzamin, gdy się go zdało, dostarczał jednak znacznie większej satysfakcji. Właściwie to nie zawsze chodziło jedynie o ocenę, ale także o styl, w jakim przebiegała rozmowa; o przeświadczenie, że się człowiek nie wygłupił i rozmawiał prawie jak „fachowiec z fachowcem”. Szczególnie ciepło wspominam egzamin z genetyki u prof. Gajewskiego oraz z protozoologii u prof. Raabego. Z tym ostatnim konwersowaliśmy blisko 45 minut, najpierw o pierwotniakach, a potem o meandrach popularyzacji nauki.

Jednym z mankamentów studiowania na naszym Wydziale w tamtych czasach było znaczne ograniczenie kontaktów międzynarodowych pomiędzy bracią studencką, a tym samym brak możliwości praktycznego ćwiczenia języków obcych. Oczywiście o żadnych programach Socrates czy Erasmus nawet się nie śniło. Wybierana co roku na podstawie konkursu ocen nieliczna grupka studentów botaniki leciała na dwa tygodnie w okolice Samarkandy, a grupka studentów zoologii przemierzała trasę Moskwa–Leningrad–Kaukaz. Właściwie poprawniej byłoby napisać „studentek”, bo nasz rok był wybitnie sfeminizowany (przyjęto na pierwszy rok około stu dziewcząt i trzynastu chłopaków, a w wyprawie na Kaukaz w roku 1974 towarzyszyłem siedmiu moim przemilym koleżankom). Po wydarzeniach roku 1980 nawet ta skromna wymiana została zawieszona przez stronę radziecką. Notabene, gdy skończyliśmy studia w 1976 r., okazało się, że nasz rocznik był w pewnym sensie wyjątkowy. Na Wydziale pozostało aż jedenaście osób (!), a wiele innych znalazło zatrudnienie w instytutach PAN (np. w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego, Instytucie Biochemii i Biofizyki czy Instytucie Zoologii), dochodząc tam do najwyższych stanowisk.

Wśród tej jedenastki byli: mgr Elżbieta Auguścińska, prof. Maria Dolińska, mgr Hanna Obłój, dr Małgorzata Kalinowska, prof. Agnieszka Mostowska, dr Anna Namura-Ochalska, prof. Barbara Sudnik-Wójcikowska, dr Hanna Werblan-Jakubiec, a z chłopaków mgr Marek Karolewski, dr Antoni Miernik i ja.

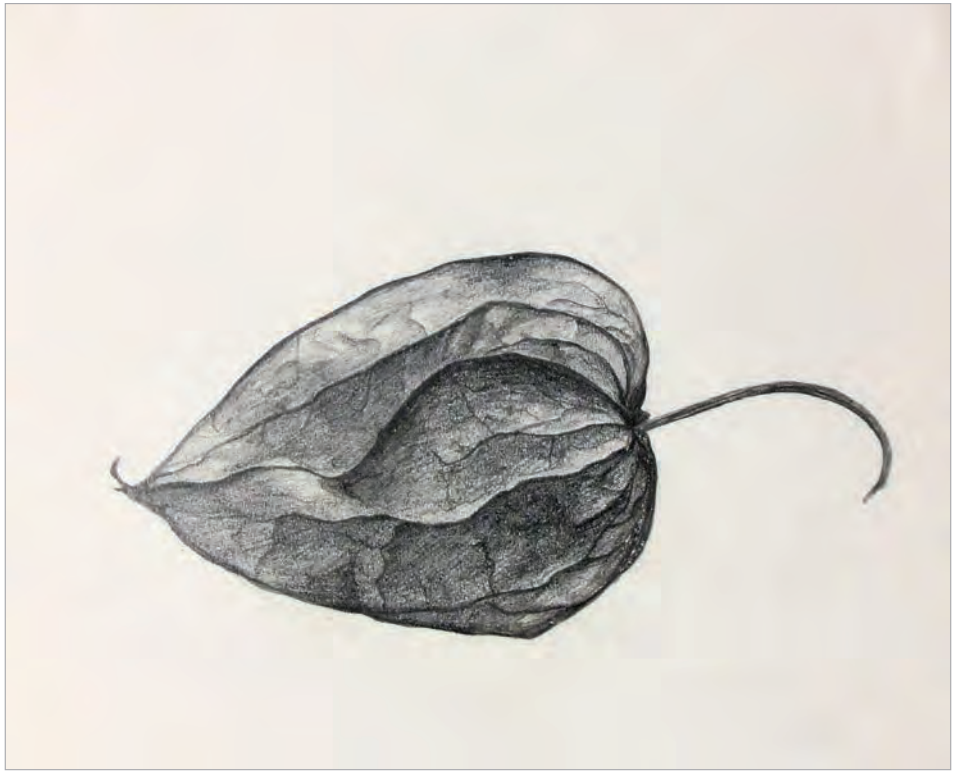
Dziś pracuje się nam łatwiej, natomiast podejrzewam, że w latach 1950–1990 mieliśmy z naszego Wydziału więcej publikacji w „Nature” niż między 1990 a 2018 rokiem, albo porównywalnie. Mało kto o tym wie. Ludziom się wydaje, że w tamtych czasach był zaścianek i tylko „Acta Biochimica Polonica”. To nieprawda. I ludzie, których bym o to nie podejrzewał, też mieli publikacje w „Nature”.

Byłem w Komisji ds. Nagród i była tam też pani prof. Kasprzyk. Ona była fajna, trochę trudna, ale nie uchodziła za orlicę intelektu, chyba zresztą niesłusznie. Do nagrody zgłoszono między innymi publikację Gliwicza, właśnie w „Nature”. Ale była spora konkurencja, a pieniędzy jak zwykle mało. I ja tam mówię: „Ale to jest publikacja w »Nature«, więc musimy dać”. A na to pani prof. Kasprzyk: „»Nature«? Co to jest »Nature«? Nawet ja mam publikację w »Nature«!”. I to *nawet ja* uznałem za zupełnie niesłychane. Potem sprawdziłem i rzeczywiście miała taką dużą, porządną publikację w „Nature”. Urosła w moich oczach. A prof. Gliwicz dostał tę nagrodę. Już nie pamiętam, za którą ze swoich publikacji, ale właśnie taką opartą na pomysle, a nie na 10 tysiącach urządzeń i odczynników.

Sporo przełomowych prac, które wyszły z Polski, to były prace wynikające właśnie z niedostatków. Choćby jedna z dziesięciu najczęściej cytowanych prac na świecie z biologii molekularnej (chyba), czyli metoda otrzymywania RNA Chomczyńskiego. On to robił, będąc jeszcze w Polsce na Akademii Rolniczej. A ponieważ nie miał dostępu do ultrawirówki, musiał wymyślić jakiś wygodniejszy sposób. I wymyślił chlorowodorek guanidyny. Potrzeba jest matką wynalazków. To slogan, ale sporo w nim prawdy.

Jan Fronk





REFLEKSJE

s. 336: Halina Galera, Owoc miechunki rozdętej (*Physalis alkekengi*)
– kartka ze szkicownika, lata 90.

Czy praca miała wpływ na moje życie osobiste? Powiedziałbym, że negatywny, ponieważ poza pracą zawodową nie miałem żadnego innego hobby. I jak się przejdzie na emeryturę, to wpada się wtedy w czarną dziurę. Pracowałem troszkę jak nierozsądny palacz, który pali jednego papierosa za drugim. Szedłem na dziewiątą na Krakowskie, siedziałem do godziny drugiej, potem obiad i znów praca od czwartej do siódmej.

W pracy kierowałem się tą samą zasadą, co prof. Kraczkiewicz. On nigdy nie nagiął do niczego, dawał absolutnie wolną rękę. Stwarzał warunki, klimat do własnych poszukiwań, nie narzucając swoich zainteresowań czy poglądów. Ja też wiedziałem, że przychodzą ludzie, którzy mają określone zainteresowania, kierunki badań, i nie zamierzałem wywierać jakiegokolwiek presji.

Wykłady nigdy nie sprawiały mi takiej przyjemności jak praca ze studentami przy konkretnych zadaniach badawczych.

Bohdan Matuszewski

Jak jeszcze żył prof. Wiśniewski, to bardzo aktywnie działało Polskie Towarzystwo Parazytologiczne. Tam się odbywały naprawdę znakomite zjazdy, zebrania, zawsze z jakimiś zagranicznymi gośćmi z wyższej półki. Tam się ucierały rozmaite poglądy. Czasem miały miejsce niemalże kłótnie na tematy zawodowe. To bardzo pomagało wchodzić w życie naukowe i uczyło, jak ono powinno wyglądać, a nie tylko tak po wierzchu, troszeczkę i koniec.

W latach tużpowojennych wszystko się robiło na sto procent i więcej. Nie było takiego wolnego czasu, że człowiek sobie siedzi, myśli, dokąd dzisiaj pójdę, z kim się spotkam. Zebrania naukowe były ważne, ludzie się spotykali, rozmawiali.

Kiedyś w Gmachu Pomuzealnym na Uniwersytecie, w odziedziczonym po kimś biurku znalazłam ciekawy tekst. Pewien student opisał, jak poszedł do kina i okazało się, że grany był film niemile widziany przez władze. I zobaczył tam jednego, drugiego, trzeciego studenta. Podeszedł do nich, żeby zwrócić im uwagę, że się niestosownie wybrali, a potem doniósł o tym swoim władzom.

Tak się naprawdę działo. Profesor Kraczkiewicz w dziekanacie słuchał skarg na studentów, którzy mieli dostać nagane. On przecież wiedział, że to bez sensu, i gimnastykował się, żeby powiedzieć to, co trzeba, a jednocześnie nie karać.

W moich doświadczeniach życiowych podobało mi się to, że na ogół kobiety nie były traktowane inaczej niż mężczyźni. Jeśli profesor widział, że warto kogoś zatrudnić, to zatrudniał.

A druga rzecz, która mi się podobała: że jak człowiek zrobił jakąś pracę, żaden promotor ani kierownik się do niej nie dopisywał. To była jego własna praca. A teraz się uważa, że promotor i każdy kolega może się dopisać.

Wymagania z czasem strasznie się zmniejszyły. Za moich czasów, żeby zrobić habilitację, trzeba było napisać osobną, oryginalną pracę, która musiała być koniecznie wydrukowana, i do tego jeszcze w języku angielskim. A teraz można wymienić ileś tam prac, które się zrobiło z kimś, i to właściwie wystarcza, żeby być habilitowanym. Nie wymaga się od kandydatów wykazania się czymś nadzwyczajnym.

Jedną z najcenniejszych rzeczy w moim życiu zawodowym było to, że miałam kontakt z naprawdę wybitnymi uczonymi. Takimi, którzy byli oddani sprawie, mieli pasję, żeby być dobrymi i w badaniach naukowych, i w wykładach. Dawniej trzeba było albo narysować własnoręcznie, albo kredą napisać na tablicy, tworzyć na bieżąco, ale wykłady były naprawdę wspaniałe. Nie mieliśmy podręczników, więc wszystko się pisało. Były całe grupy, które sobie nawzajem udostępniały notatki, żeby mieć pełną informację o tym, co było na wykładzie. Studiowanie nie było rzeczą tak łatwą jak dziś.

Katarzyna Niewiadomska

Pamiętam, że oceniana była wyłącznie praca naukowa, dydaktyka w ogóle nie stanowiła kryterium oceny pracownika. Mieliśmy obowiązek pracy badawczej. Jednym z warunków uzyskania dalszego zatrudnienia było zrobienie doktoratu, choć i publikacji trzeba było mieć trochę. Bez względu na to, jak patrzono na dydaktykę, ja, szczerze mówiąc, bardzo ceniłam sobie tę część zawodowej aktywności.

Nie bardzo sobie wyobrażam nauczanie botaniki z dala od Ogrodu Botanicznego. Żałuję, że obecnie kurs botaniki trwa tak krótko. Bo na przykład rośliny kwiatowe pokazywało się wtedy, kiedy kwitną. Trudno, żeby – jak kończymy semestr – pokazywać leszczynę, która już dawno przekwitła, czy krokusy, po których już dawno śladu nie ma. Staraliśmy się więc pokazywać wszystko w miarę, jak to się pojawiało w ciągu całego roku.

Zawsze na nas napierali genetycy i zoologowie, zawsze nas kontrolowali i zawsze było nam trudno się z nimi dogadać. Mieliśmy swój program, a oni w to ingerowali, uważając, że są ważniejsi...

Janina Zielińska

Gdybym miał powtórnie wybierać, wybrałbym znów naukę i chemię? Czy akurat chemię – nie jestem pewien, bo w tej chwili ta nauka wygląda inaczej. Ale z mojego punktu widzenia to było optymalne. Pracowałem i lubiłem to. Żyłem tym.

Stanisław Lewak

Ostatnio odkryłem, na własny użytek, pochodzenie rozpowszechnionego wśród osób wiekowych poglądu: „Za moich czasów młodzi mieli jakieś zainteresowania, o coś im chodziło, a ta dzisiejsza młodzież...”. Zacząłem mianowicie przypominać sobie koleżanki i kolegów z mojego pierwszego roku studiów 1950/1951.

Okazało się, że pamiętam dwie przywódczynie Związku Młodzieży Polskiej, straszne swołocze, których bali się wszyscy profesorowie (my trochę mniej, bo młodzi, głupi i mający mniej do stracenia). Strach był uzasadniony, w następnym roczniku podobne postacie spowodowały odsunięcie od wykładów księdza prof. Szulety.

Pamiętam dwie najładniejsze dziewczyny na roku, do których wszyscy wdychaliśmy. Platonicznie, bo one miały stałych partnerów, takich już po studiach.

Z pozostałych pamiętam dziewięcioro koleżanek i kolegów. Wszyscy oni zostali profesorami, albo Uniwersytetu Warszawskiego, albo SGGW, albo Akademii Nauk. Zarzucono mi, że pamiętam ich dlatego, że miałem z nimi kontakt w trakcie kariery akademickiej. To nieprawda. Miałem stały kontakt tylko z jednym, Andrzejem Krzysztofem Tarkowskim, z resztą straciłem kontakt po trzecim roku studiów, gdy nie przyjęto mnie na kurs magisterski (ze średnią 4,6!). Ta moja pamięć to była pamięć o koleżankach i kolegach z roku. A było nas na pierwszym roku studiów około 120 osób! Wszyscy pozostali gdzieś się rozplynęli w niebycie i tylko ta dziewiątka została w pamięci jako typowa „młodzież za moich czasów”. Ci, którzy „mieli jakieś zainteresowania, o coś im chodziło”.

Właściwie powinienem był dojść do tego wniosku znacznie, ale to znacznie wcześniej. Kiedy wykładałem, czy to zoologię, czy biologię zwierząt, w trakcie wykładu dużo pytałem. Zawsze najpierw rzucałem pytanie w przestrzeń, ale po najkrótszej chwili wskazywałem konkretną osobę do odpowiedzi, ewentualnie potem następną i następną. Zależało mi na tym, aby im uświadomić, jaką wiedzę już posiadają i jak ta ich wiedza wiąże się z tym, co im właśnie wykładałem. Już po kilku wykładach wiedziałem dość dokładnie, kto jest kim. Wśród około setki studentów było około dziesięciu tych, którym o coś chodziło. Większość pamiętam. I oni dzisiaj są profesorami.

Tomasz Umiński

Czym jest Wydział? Chociaż to tylko miejsce na Ziemi, w danym mieście, na określonej ulicy, w gmachu x, to tworzą go ludzie, ich działania uwarunkowane osobowością – w ramach wspólnoty studentów i pracowników. W obrębie tej wspólnoty mamy hierarchie, przepływ informacyjny i „ludzki”,

wzajemne przenikanie, ale też przepływ z podporządkowania do dominacji, czyli odwrócenie hierarchii. To wtedy, gdy na przykład dawny student zostaje dyrektorem Instytutu lub dziekanem Wydziału, a nawet rektorem.

Po uzyskaniu magisterium (w 1959 roku) prof. Henryk Teleżyński, zatrudniając mnie na stanowisku asystenta, powiedział: „Proszę pamiętać, że w moim Zakładzie wszyscy asystenci muszą znać cały materiał, który przekazujemy studentom” (tzn. nie tylko z zakresu naszej dyscypliny). Profesor był najlepszym przykładem, że nie jest to słuszne. Prowadził ciekawe i nowoczesne wykłady, ale studenci niechętnie wybierali przedmiot ze względu na trudność w przyswajaniu materiału i zdawaniu egzaminu. Miał ogromną wiedzę, ale nie publikował i nie widział badań własnych i publikacji u swoich podopiecznych. Nie była to słuszna postawa. Pracownik dydaktyczny wyższej uczelni musi mieć możliwość prowadzenia własnych badań naukowych, zdobywania grantów, współpracy z wybranymi ośrodkami w kraju i za granicą. Myślę, że zmiana, która nastąpiła w późniejszych latach, spowodowała niestety również plagę testów i rezygnację z właściwie pojmowanej pracy dydaktycznej ze studentami (w relacji uczeń – nauczyciel).

Maria Charzyńska

Ja się dość szybko nudzę. Robić to samo całe życie, to byłoby smutne. Ciągle szedłem własnymi ścieżkami. Wszystkie tematy badań, wszystko to ja sam proponowałem.

Wszyscy ludzie, którzy pracują na Uniwersytecie, powinni zapamiętać jedną zasadniczą rzecz, ideę chyba. Profesor Raabe nam to powiedział: „Jesteście tutaj od tego, żeby pomagać i uczyć studentów. Studenci tu są najważniejsi, to oni są tutaj panami, a wy jesteście do usług”.

Jerzy Moraczewski

Wszystko, zarówno w pracy dydaktycznej, jak i naukowej, wymaga ciągłości. Bez tego nic się nie dzieje, zwłaszcza jeśli chodzi o rzeczy pozytywne. Tu się nic nie dzieje z dnia na dzień.

Czy praca biologa wpłynęła na moje życie osobiste? Całkowicie, bo tutaj poznałem swoją żonę.

Coś ciągle jeszcze próbujemy robić. Na przykład przed dwoma laty udało mi się opublikować pracę w dobrym czasopiśmie, z pewnym wkładem prof. Brunka z Kalifornii, który zrobił sekwencjonowanie genów koniecznych do identyfikacji orzęsków.

Andrzej Kaczanowski

Chcę jeszcze dodać, że w pierwszych latach powstawania Instytutu mało było pracowników i studentów i być może dlatego stosunki między pracownikami, ale także i studentami były właściwie prawie rodzinne. Wiedzieliśmy, co się u kogo dzieje, wspólnie przeżywaliśmy smutki i radości. Prawie wszyscy byli chętni do pomocy. Na przykład kiedyś po remoncie nie była doprowadzona do porządku sala ćwiczeń. Studenci, którzy przyszli na zajęcia, w okamgnieniu wnieśli stoły i podłączyli je do prądu. Na zakończenie zajęć tego dnia w nagrodę wszyscy zjedliśmy lody. W czasie wspólnej pracy wytwarzają się specyficzne więzi, które często są głębokie i trwają przez długie lata.

Ewa Bieszkiewicz

Po powrocie z Francji nie wróciłam na Wydział. Miałam 60 lat, dostateczną emeryturę i hulaj dusza.

Rzeźba, malowanie. Ja pracuję codziennie. Codziennie. Od dziesiątej do trzeciej. I takie tam gadanie: „A wenę masz, wenę...”. Nie ma weny. Albo się chce pracować, albo nie chce. Mnie się udało. Naprawdę cieszę się, że się nie dostałam na rzeźbę, bo miałam bardzo ciekawe życie jako biolog. Tyłu przyjaciół – to jest mój skarb największy. A teraz rzeźbię, maluję i już.

Mam dobre życie, podoba mi się. Ludzie mi się podobają, naprawdę. Publikacje – ciekawe, a potem inne, mądrzejsze, lepsze. Wszystko przemija. Teraz jest rzeźba, malowanie, forma, kolor. Lubię dawać moje prace. Moje portrety profesorów Raabego i Tarkowskiego, i Darwina są na moim Wydziale. Popiersie Marii Skłodowskiej-Curie po wystawie w Pałacu Kazimierzowskim w 2017 roku wylądowało w Muzeum UW. Rzadko sprzedaję moje prace, ale sprzedaję, między innymi Darwin został kupiony! Ale w sumie w życiu to ludzie są ważni, moje córki, wnuki, przyjaciele. Utrzymuję przyjaźnie ze szkoły podstawowej, z gimnazjum, uczelni. Córka wyprawiła mi 77. urodziny. Było na nich 60 osób najbliższych z mojego życia. I to jest mój skarb, a reszta...

Dziewiątego kwietnia 2010, dzień przed katastrofą, miałam wystawę na Wydziale. I w trakcie tej wystawy pojawił się na schodach chór wydziałowy i zaśpiewał mi: „Wiwat! Niech żyje nam!”. Mało się nie popłakałam. Taki prezent.

Jak już mówimy o osiągnięciach, to moim osiągnięciem w biologii jest moja córka Ania. Studiowała u nas, skończyła genetykę, a potem pojechała do Niemiec. Pracuje w Kilonii, tam zrobiła doktorat, habilitację. Dostała profesurę na Uniwersytecie Kilonii i zajmuje się genetyką nowotworów. Ma świetną głowę, a poza tym jest kochaną córką i mamą. Jej dwaj synowie, moje wnuki, robią teraz magisterium z biologii.

Maryna Szöllösi

Miałem szczęście, że pracowałem na Uniwersytecie, gdzie mogłem sam regulować swoje zajęcia. Inaczej pracowało się – i chyba tak jest nadal – w Polskiej Akademii Nauk. Moja żona pracowała w Nenckim, gdzie trzeba było być od–do i był to zupełnie inny typ pracy. Natomiast tutaj mogłem przygotować wykłady dla studentów w domu albo gdzie indziej. W każdym razie, miałem to szczęście, że sam sobie byłem żeglarzem i sternikiem.

Ponieważ sporo podróżowałem, miałem różne wzorce zajęć dydaktycznych z różnych krajów i mogłem je – w lepszy lub gorszy sposób – wprowadzać u nas. Lubiłem dobrze przygotować wykład i zilustrować go, żeby zainteresować studentów. Tak że nie była to dla mnie jakaś katorga, wręcz przeciwnie, zdobywałem nowe doświadczenia. Po zakończeniu wykładu zawsze była dyskusja, pytałem studentów o zdanie.

Bronisław Cymborowski

Nie mogę pozbyć się wrażenia, że momentem przełomowym w historii Wydziału było nieuniknione odejście generacji profesorów przedwojennych: Gieysztor, Raabego, Szulety, Kraczkiewicza, Rybickiego, Petruszewicza, Podbielkowskiego, Kunickiego i Gajewskiego. W krótkim czasie zniknęły przed naszymi oczu wzorce zachowania i języka, jakże nam wszystkim potrzebne w codziennej dydaktyce...

Maciej Gliwicz

Moje zaangażowanie w inżynierię genetyczną spowodowało, że stałem się wrogiem numer jeden dla niektórych polityków i sporej części naszego społeczeństwa. Jej produktem są bowiem genetycznie modyfikowane organizmy (GMO), które z niewiadomych powodów są bardzo nie lubiane przez Polaków, a także większość Europejczyków, w przeciwieństwie do Amerykanów. Kilka lat temu PiS zorganizowało w Sejmie debatę pod tytułem „Polska wolna od GMO”. Jako główny specjalista wystąpił Jarosław Kaczyński, który wypowiedział się na mój temat. Cytuję z pamięci: „Przeraża mnie panujący w Polsce rozmiar korupcji, której ulegają osoby mające duże znaczenie w polskiej nauce i którym osobiście wiele zawdzięczam”. W okresie stanu wojennego wypłacałem stypendia przeznaczone dla opozycjonistów, którzy stracili pracę na uczelniach. Jednym z nich był Jarosław Kaczyński. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że pieniądze, którymi w Polsce dysponowała prof. Barbara Skarga, pochodziły od George’a Sorosa, bardzo przez Kaczyńskiego nie lubianego.

Na wspomnianym wyżej posiedzeniu Sejmu po sali biegał były minister środowiska Jan Szyszko i wymachiwał wydaną w Polsce książką *Nasiona kłamstwa*, którą napisał Jeffrey Smith, nauczyciel tańca ze stanu Iowa w USA. Książka ta jest ciągle dostępna w salonach Empiku, co niezbyt dobrze świadczy o tej firmie. Zawiera praktycznie same kłamstwa i jest pierwszorzędnym dowodem niekompetencji autora. Warto zaznaczyć, że w ciągu niemal pół wieku upraw nie wydarzył się żaden przypadek, by żywność wytwarzana z GMO komukolwiek zaszkodziła. Co więcej, wielką karierę zrobiła odmiana ryżu nazwana „Złoty ryż”, którą opracowano w Szwajcarii i dzięki Instytutowi Ryżu na Filipinach rozpowszechniono w Południowo-Wschodniej Azji, ratując wzrok milionom ludzi. Osoby, których dietę stanowi głównie ryż, cierpią na niedobory witaminy A, co jest powodem ślepoty.

Przykład GMO pokazuje, jak ogromnym problemem jest niewiedza społeczeństwa. Społeczeństwo boi się nie tylko GMO, ale także szczepień ochronnych, uchodźców czy wydobywania gazu łupkowego. Nie wierzy w globalne ocieplenie. Wydaje się, że w XXI wieku zaczynamy się cofać do średniowiecza.

Piotr Węgleński

Uniwersytetu, który zapamiętałem z czasów moich studiów, już dawno nie ma. Nie ma przede wszystkim ludzi, których tam widywałem. Niektórzy odeszli szybko, jak prof. Kazimierz Bassalik czy embriolog prof. Stanisław Bilewicz, który miał gabinet na piętrze Szkoły Głównej. Odchodzili starzy laboranci i woźni, pracujący tam jeszcze w latach międzywojennych. W 1958 roku, gdy zaczynałem studiować, budynek Szkoły Głównej zachował jeszcze wiele ze swojej dawnej, dziewiętnastowiecznej atmosfery. Drewniane schody i skrzypiące, wychodzone przez pokolenia podłogi, stare szafy muzealne na korytarzach Zoologii na parterze, pełne zakurzonych eksponatów prawdopodobnie jeszcze z czasów Dybowskiego, stare mikroskopy używane przez nas na ćwiczeniach z botaniki na pierwszym roku w narożnej sali na pierwszym piętrze (każdy inny, niektóre z pewnością jeszcze dziewiętnastowieczne), zagracone, ciasne pokoiki asystentów – to wszystko stopniowo znikało i ulegało modernizacji. Szokiem było dla mnie zniszczenie w roku 1966 zabytkowego Auditorium Botanicznego, przeznaczonego – na żądanie jednego z profesorów – na salę ćwiczeń. W roku 2000 Biologia ostatecznie opuściła gmach Szkoły Głównej, pozbywając się przy okazji przeprowadzki licznych pamiątek przechowywanych do tej pory w różnych zakamarkach budynku, a po paru miesiącach z zabytkowego gmachu, który przecież w całości przetrwał wojnę, pozostała tylko wydmuszka, zewnętrzne ściany, wypełnione wkrótce betonem i stalą.

I czego jeszcze nie ma: nie ma tej przyrody, którą pamiętam z czasów studiów i nieco późniejszych, a którą dzięki nabywanej w tym czasie wiedzy mogłem lepiej i głębiej dostrzegać i podziwiać. Tematem mojej pracy magisterskiej były grzyby pasożytujące na roślinach z terenów leżących wzdłuż rzeki Czarnej. Bierze ona swój początek na łąkach na wschód od Mińska Mazowieckiego, wpływała do Bugu koło Nieporętu. Idąc jej brzegami, mijalem zwykle, dawne wsie, chaty kryte słomą, było na nadrzecznych pastwiskach, pastuszków palących jesienią ogniska, pełne starych chwastów pola, w tym chłopskie poletka lnu z chwastami lnowymi, które już dawno znikły z naszej flory; wszędzie bogactwo roślin, ale i bogactwo najróżniejszych owadów, obecnie niewyobrażalne. Wiem, że tego bogactwa już nie ma. I nie ma już, oczywiście, bogactwa grzybów, które im towarzyszyły.

Tomasz Majewski

Dawniej bardzo brakowało pieniędzy na badania, a teraz słyszę, że cały Instytut ma 20 milionów. Przez 30 czy 40 lat mówiło się, że jak będziemy mieli na naukę milion dolarów na zespół naukowy, to Nagrodę Nobla zdobędziemy dla naszego kraju w ciągu kilku lat. Wydawało się, że to tylko kwestia pieniędzy. Pieniądze są potrzebne, ale pewne idee również.

Andrzej Piekarowicz

Zawsze musiałam się tłumaczyć z moich wszystkich wyjazdów zagranicznych. Ale uważam, że bardzo dużo tym wyjazdom zawdzięczam. Dlatego jak prowadziłam Erasmusa na Wydziale, zachęcałam ludzi, żeby jeździli. To daje człowiekowi zupełnie inne spojrzenie, z zewnątrz. Kiedyś pewien profesor zadał mi pytanie: „Jakie jest miejsce polskiej fizjologii roślin na świecie?”. Powiedziałam, że nie można mówić o nauce polskiej, japońskiej, francuskiej czy amerykańskiej. Nauka jest międzynarodowa.

Człowiek musi mieć przyjemność z pracy naukowej. Te emocje towarzyszące odkryciom... Pamiętam, jak zadzwoniła do mnie Iza Juszcuk: „Jest, jest oddychanie cyjanooporne! To wychodzi, pani profesor, wychodzi!”. Mąż patrzył zdziwiony, jak skacze z radości. Doświadczenie się nie udawało, nie udawało i nagle – jest. Ja bardzo pielęgnowałam u ludzi te emocje odkryć, bo praca naukowa to często więcej porażek niż radości. Szczególnie w biochemii, w precyzyjnych doświadczeniach. Wiele preparatów łąduje w zlewie, bo niestety preparat nie wyszedł.

Hoduje się rośliny przez miesiąc, robi się doświadczenie i ono nie wychodzi. Z różnych powodów. Czasami bez naszej winy, bo natura wymyśliła sobie inaczej, niż myśmy zaplanowali. A czasami z naszej winy albo z winy

przrzędów. Najlepszy preparat mitochondrialny, jaki zrobiłam we Francji, zbierałam ze stołu, bo nagle wyskoczyła mi pokrywka homogenizatora i wszystko poleciało na stół. Rośliny hodowane przez miesiąc i – klęska. I wtedy trzeba podtrzymać młodego człowieka na duchu: „Słuchaj, trudno, jutro będzie lepiej”, żeby widział jasną stronę tej ciężkiej laboratoryjnej pracy. Bo stanie za stołem laboratoryjnym to ciężka praca.

Miałam ostatni kursowy wykład z fizjologii roślin, w dużej sali – tam przychodziło ze 40–50 studentów. Wydawało mi się, że dałam z siebie wszystko, starałam się, żeby ten wykład był atrakcyjny. Skończyłam specjalnie parę minut wcześniej, mówię: „Proszę państwa, mamy jeszcze dwie, trzy minuty, może macie jakieś pytania?”. Jakiś człowiek podnosi rękę. Ja z uśmiechem: „Słucham pana”. „Przepraszam, czy mogę wyjść wcześniej?”. I to był finał mojego ostatniego wykładu. Tak to już bywa.

Anna Rychter

Zasadnicze zmiany w uprawianej przez nas nauce stały się ewidentne po transformacji i wstąpieniu Polski do UE. Punktem zwrotnym, który dopiero po pewnym czasie wydał mi się istotnym, napędzającym naukę, było finansowanie badań naukowych, a nie – jak mogłoby się przede wszystkim wydawać – rozwój nowych technologii (biotechnologia, biologia molekularna, nowe techniki mikroskopowania czy komputeryzacja Wydziału).

Ważnym momentem było utworzenie Komitetu Badań Naukowych (KBN), różnych instytucji pozarządowych oraz otwarty dla nas udział w naukowo-badawczych programach unijnych, które w sposób rzeczywisty umożliwiły naukowy rozwój Wydziału. Panowało wśród nas przekonanie: „Złożyłem wniosek, dostałem grant, jestem finansowany – jestem dobry; nie złożyłem wniosku, wniosek został odrzucony, nie mam finansowania, robię badania tylko za marne pieniądze statutowe – czyli jest coś ze mną nie tak”. Wpływało to szybko na różnicowanie się i podnoszenie poziomu badań oraz jakości publikacji. Miało to przełomowe znaczenie dla rozwoju naszego Wydziału.

Edward Siński

Ogromna radość z dokonanych w 1989 roku zmian społeczno-politycznych z czasem ziałała. Wiele działań rozmaitych polityków wzbudzało i wzbudza niechęć. W moim odczuciu najgorszym w ostatnim czasie ministrem dla biologów i polskiej przyrody był Jan Szyszko.

Złotymi latami Wydziału nazwałabym lata 70. i 80. Pomimo nieprzychylności ówczesnych władz, nieustającego braku wszystkiego, studenci

i pracownicy mieli możliwość obcować na co dzień z prawdziwymi uczonymi – ludźmi wszechstronnie i gruntownie wykształconymi, o ogromnej kulturze i wielkim obyciu, będącymi absolutnymi specjalistami w swojej dziedzinie, oddanymi pracy, która była ich prawdziwą pasją.

Maria Magdalena Borowik

Zamówienie czegokolwiek trwało latami, ale też korzystaliśmy ze wsparcia zagranicy. Gdy ktoś jechał za granicę, to przywoził wszystko, co się tylko dało przywieźć. Odczynniki, ciekawsze fragmenty aparatury. Oczywiście koledzy po fachu dawali nam to w prezencie. Różne kolumny do analiz. Wtedy nie było żadnych gotowych zestawów, wszystko przygotowywało się samemu. Kupowało się podstawowe odczynniki, z nich się układało kolumny, sprawdzało, testowało. Przyznam się, że to była jedna z przyjemniejszych części tej pracy. Teraz na wszystko są gotowe protokoły. Bieremy kolumnę, płuczemy, nanosimy, wlewamy, wymywamy, zbieramy frakcje i zrobione. Gdybym zapytał użytkownika kolumny, na jakiej zasadzie to działa albo po co się wypłukuje takim, a nie innym czynnikiem, mało kto by dokładnie wiedział. Natomiast myśmy musieli tego wszystkiego doświadczyć na własnej skórze. Dzięki temu zdobyliśmy dużo doświadczenia laboratoryjnego.

Była też większa swoboda. Nie było takiej presji, że to, co się teraz robi, musi być zaraz opublikowane. Można było spokojniej pracować. Oczywiście tych publikacji było grubo, grubo mniej niż później. Atmosfera do pracy była za to przyzwyczajona, wiedziało się, co się robi, i jak coś wyszło, czy nie wyszło, można było dociec dlaczego. Podobnie działała pracownia studencka czwartego roku i magisterska, gdzie studenci eksperymentowali dosłownie godzinami. W efekcie byli dość gruntownie przeszkoleni. Po prostu sami robili mnóstwo rzeczy i poznawali tę biochemiczną kuchnię od podszewki. Od czasu, gdy przeszliśmy na gotowe półprodukty, pracuje się dużo szybciej, dokładniej, precyzyjniej, ale świadomość tego, co się robi, jest mniejsza. Teraz bardziej liczy się szybki wynik. A wcześniej wiedziano dokładniej, jak się do tego wyniku dochodzi.

Ja nie mam skłonności kierowniczych. Bardziej nadaję się do pracy w grupie niż do kierowania dużymi zespołami. Nie poczytuję sobie czasu po przejściu Instytutu po Lewaku za szczególny powód do chwały. Dbałem, żeby sprawy się toczyły normalnie, żeby nie wydarzyło się nic złego. Bardziej udawało mi się to w Zakładzie. Po habilitacji miałem propozycję od prof. Pieniążka, żeby objąć jakieś wicedyrektorskie stanowisko w Skierniewicach w Instytucie Sadownictwa. Pomyślałem sobie: „Ja?! Nigdy w życiu! Nie chcę być żadnym dyrektorem”. Zawsze uważałem się za człowieka laboratorium. Wolałem przelewać z probówki do probówki, niż pisać sprawozdania i dozorować pracę ludzi.

Jestem bardzo zadowolony, że całe moje życie zawodowe przepracowałem na Wydziale Biologii UW i nadal mam z Wydziałem silny związek emocjonalny. Utrwalałem na zdjęciach wiele ważnych zdarzeń, uroczystości i świątecznych obchodów. Cieszy mnie też, że geny dziadka aptekarza i ojca leśnika nadal „pracują” – jeden z moich synów też skończył biologię (molekularną) na naszym Wydziale i zajmuje się roślinami w Ogrodzie Botanicznym UW.

Andrzej Podstolski

Znacznie łatwiej jest kierować czy rządzić wielkim zespołem ludzi niż małą grupą osób. Po prostu człowiek jest wtedy zbyt silnie z nią związany emocjonalnie. Mam spory niedosyt z powodu niewyhabilitowania się przynajmniej dwóch moich zdolnych współpracowników z kierowanego przeze mnie Zakładu, którym starałam się stworzyć optymalne warunki pracy.

Martwią mnie niektóre zmiany w programie studiów. Obecnie redukowane są zajęcia terenowe, florystyczno-faunistyczne. Jeszcze trochę, a student czy absolwent biologii nie odróżni sosny od świerka. Naprawdę, dla mnie to jest katastrofa. Rozpowszechnia się pogląd, że jeśli badania nie mieszczą się w zakresie biologii molekularnej, czy nią nie pachną, to nie są warte zainteresowania. I to w dobie światowego kryzysu różnorodności biologicznej i konieczności jej ochrony. Pytanie brzmi, w jaki sposób chronić coś, czego się nie zna?

Myślę, że uczelnia dużo straciła ze swego uroku i atrakcyjności z powodu ograniczenia swobody w doborze problematyki badań. Każdy, zanim je podejmie, zmuszony jest do kalkulowania, gdzie wyniki będą miały szansę na opublikowanie i jaką punktację ma docelowe czasopismo. Nastawienie na łapanie punktów, a nie na samą naukę. Moim zdaniem nie ma tej radości z uprawiania nauki.

Dobry jest system studiów, w którym po trzech latach człowiek może pochwalić się jakimś dokumentem. Nie zmienia to faktu, że nabór na studia magisterskie po jakichkolwiek innych studiach powoduje, że ktoś, kto rozpoczyna studia magisterskie po jakimś innym kierunku licencjackim, nie ma niezbędnych podstaw.

Niewątpliwie Wydział zawdzięcza swoją obecną sytuację lokalową przynależności Polski do Unii Europejskiej, stąd moje kolejne wspomnienia z lat działalności zawodowej i społecznej. Pamiętam, jak byłam wiceministrem – Głównym Konserwatorem Przyrody w okresie wchodzenia Polski do Unii Europejskiej (2001–2004). Miałam na głowie „przeróbkę” kilkunastu ustaw, nie tylko ustawy o ochronie przyrody, ale prawa ochrony środowiska, ustawy o lasach, ustawy o gruntach rolnych i leśnych itd., i to w huraganowym tempie. Wystarczy przypomnieć, że na przykład ustawa o ochronie przyrody była ostatecznie przegłosowana w sejmie 19 kwietnia 2004 roku, a 1 maja

wchodziliśmy do Unii. Było bardzo nerwowo i pracowicie, ale mamy w sąsiedztwie naszego gmachu wspaniałą budynek Centrum Nauk Biologiczno-Chemicznych Uniwersytetu Warszawskiego, w którym zlokalizowano kilka zakładów Wydziału Biologii, finansowany w dużym stopniu z funduszy unijnych. Dla mnie to także kolejna nagroda za wysiłek i czas poświęcony pracy na rzecz naszego kraju, jakkolwiek górnolotnie by to nie zabrzmiało.

Ewa Symonides

Kluczowe dla funkcjonowania na uczelni są relacje ze swoimi studentami. Ja miałem taką instytucję, działającą przez ponad 20 lat, mianowicie raz do roku zapraszałem studentów do siebie, do domu. Zawsze w czerwcu, kiedy było ciepło i zniknął problem ze stosem płaszczy, który pojawiał się zimą podczas wizyty większej liczby osób. To byli moi magistranci, później także moi licencjaci, oraz pracownicy Zakładu. Wydawało mi się, że jeżeli mam prowadzić przez jakiś istotny okres tych wszystkich ludzi, to oni powinni wiedzieć, kim jestem. To znaczy, jakie książki mam na półkach, jakie obrazy na ścianach, jakich płyt słucham. Dzięki Bogu, mam dość duże mieszkanie i na tych spotkaniach mogło zmieścić się ze 30 osób, więc sporo. Zawsze znalazło się trochę wina, trochę piwa i coś do jedzenia. Bariery były mniejsze niż w murach uczelni. Można było porozmawiać o różnych sprawach, nie tylko związanych ze studiami. To bardzo były miłe spotkania.

Wszystkich moich studentów dobrze wspominam. Wśród nich jest kilka takich osób, z których dalszych osiągnięć naukowych jestem bardzo dumny. Te kariery, które robią teraz w nauce, są też – tak uważam – trochę moje.

Krzysztof Staroń

Wykład to jest kontakt dwustronny. Studenci słuchają i albo im się podoba, albo nie, wykładowca to widzi i albo się cieszy, albo niezwykle peszy.

Krzyszyna I. Wolska

Gdy prowadzę egzamin, student nie musi wszystkiego pamiętać. Dla mnie ważniejsze jest, żeby był w stanie zapytać, dlaczego coś jest, a także żeby umiał powiedzieć, czego nie rozumie. To jedno z trudniejszych zadań. Bardzo wiele osób, nawet ze znaczącymi tytułami, tak nie myśli. Po prostu recytują, w sposób erudycyjny, regułki, dane itd. Natomiast tworzenie takiej „encyklopedii niewiedzy” – zresztą podobna książka kiedyś już się ukazała

– czyli pytać i umieć sformułować, czego się nie wie, jest znacznie kosztowniejsze intelektualnie niż recytowanie reguł.

Żeby być dobrym naukowcem, w umyśle człowieka powinny współpracować dwa różne poziomy. Po pierwsze, ten podświadomy, który nie ma jeszcze języka. Chodzi tu o najstarsze, najbardziej zwierzęce elementy w naszej korze mózgowej, w których mamy wspaniałe algorytmy bardzo szybkiego, bardzo prostego poznawania, również dlatego, że nie ma tam pojęcia, bo nie ma języka. To jest ów element wrażliwości emocjonalnej. Na to nakłada się druga warstwa, inteligencji pozawrażeniowej, intelektualnej, tej związanej z wiedzą. I dopiero te dwie inteligencje budują naszą świadomość, zdolność poznawania, a także nazywania tego, co widzimy. Zajmując się tym od wielu lat i sądząc, że to właśnie te dwa poziomy współpracują ze sobą w człowieku, budują jego potencjał.

Odróżniam też inne dwa poziomy – wiedzy i mądrości. To są zupełnie różne rzeczy. Ktoś może mieć dużą wiedzę, a nie być mądrym. Z kolei ktoś może być prostą osobą, która wcale nie jest pracownikiem żadnej akademii, ale jest po prostu mądrym człowiekiem. W mądrości zawarty jest jeszcze jeden element. Bardzo ludzki – mianowicie tolerancja. Ważne, żebym nie zrobił komuś krzywdy. Niech będzie kilka prawd jednocześnie. I niech one sobie współżyją razem, tak jak ludzie, którzy tworzą osobne zbiory, zbiorowiska itd.

Mam też inną pasję – fotografię, która połączona z entuzjazmem badawczym znalazła odzwierciedlenie w licznych publikacjach. Pierwszą moją ważną książką były *Emocje odkryć*. Do tej książki prof. Kunicki-Goldfinger oraz laureat Nagrody Nobla prof. François Jacob napisali teksty uzupełniające, które zawierają kwintesencję doznań związanych z poznawaniem.

Z albumem *Emocje odkryć* współgra pierwszy na świecie *Atlas zdjęć satelitarnych Polski*, który opracowałem wspólnie z prof. Andrzejem Ciołkoszem. Na jednym ze zdjęć widać kosmonautów i astronautów z całego świata, którzy osobiście promują tę publikację. Jej wyjątkową cechą jest to, że mogą z niej czerpać zarówno uczniowie szkół podstawowych czy średnich, jak i studenci – w zależności od umiejętności interpretacji mogą pracować na różnych poziomach intelektualnych. Wydałem również towarzyszące *Atlasowi* książki, stanowiące dodatkowe obudowanie metodyczne i pomoc dydaktyczną, umożliwiającą jego szersze wykorzystanie podczas nauki wielu przedmiotów. Pozycje te znalazły się we wszystkich szkołach w Polsce, a wersje anglojęzyczne także w Europie.

Założenia *Atlasu* wprowadzały nowy model (kierunek) kształcenia, oparty na nowoczesnej interdyscyplinarnej wiedzy, rozwijały twórcze myślenie, spostrzegawczość, umiejętność analizy i łączenie różnych punktów widzenia. To wkład w budowanie wizerunku nowoczesnego uniwersytetu.

Fotografia to umiejętność wybrania kadru. Ta umiejętność jest również bardzo ważna podczas prowadzenia wykładu, żeby było wiadomo, co jest jego motywem przewodnim. Wykład to też pewien kadr, kadr z wielkich zasobów wiedzy. To jest w pewnym sensie fotografia.

Młode osoby cechuje entuzjazm. Jeśli przyjmiemy, że to właśnie entuzjazm jest wyróżnikiem młodości, to człowiek może mieć siedemdziesiąt lat i nadal być młody. A z drugiej strony bywają osoby dwudziestopięcioletnie, które trudno nazwać młodymi, bo entuzjazmu w nich nie ma za grosz.

Marek Ostrowski

Badania genetyki molekularnej nigdy nie były tanie, ale teraz są szczególnie drogie, gdy się pracuje na ludzkich hodowlach tkankowych, które wymagają specjalnych pożywek. Podobnie jest z badaniami na zwierzętach, choćby na myszach, które w teorii są tanie, ale w praktyce trzeba mieć dobrze wyposażoną zwierzętarnię, trzeba spełniać wysokie standardy, żeby te myszy nie zachorowały, nie były zainfekowane. Koszty tego rosną i to nie tylko w Polsce, ale na całym świecie. Granty poniżej miliona złotych stały się niewystarczające.

Dla badacza w zaawansowanym wieku powrót do eksperymentów jest bardzo trudny. Brakowało mi pracy laboratoryjnej – do tego stopnia, że rok temu próbowałem do niej wrócić. Dostałem plazmid z USA i miałem koncepcję pewnych eksperymentów w drożdżach, ale jakoś się w tym nie odnalazłem. To znaczy, problem był taki, że ja już nie wiem, gdzie co stoi. Muszę się jakby na nowo nauczyć laboratorium, bo to jest rodzaj kuchni, i coś, co sprawiało mi niebywałą przyjemność przez długie lata, stało się zajęciem frustrującym. Zrobiłem w końcu ten plazmid, ale pomyślałem, że mimo wszystko to się nie uda. I tak jest z grubsza, jak się osiąga profesurę, tak między czterdziestką a pięćdziesiątką, ludzie zaczynają uznawać, że mają już dosyć tego gonienia w laboratorium. Jako profesorowie jesteśmy zajęci milionami różnych idiotycznych małych spraw, biurokacją, pisaniem grantów, ustawicznym składaniem sprawozdań. Zawsze, każdego dnia trzeba coś zrobić, co odrywa od pracy. Ja teraz w pobliżu emerytury mam trochę więcej czasu, ale jeszcze kilka lat temu miałem po dziesięciu interesantów dziennie i ustawiczne problemy administracyjno-formalne – i po prostu nie miałem czasu, żeby się zająć eksperymentem. Trzeba mieć czas, trzeba mieć wolną głowę. Profesura to taki szczebel kariery, w którym przechodzi się do pozycji menedżera, kierownika grantu. To daje satysfakcję, kiedy się planuje eksperymenty lub wysnuwa jakieś hipotezy, ale radość z przelewania z probówki do probówki należy już do młodszych badaczy.

Zawsze obdarzałem pełnią zaufania swoich współpracowników. Uważam, że to w nauce rzecz elementarna, bo ja naukę zawsze porównuję do wspólnej zabawy w piaskownicy. Bo to jest zabawa i jej elementem jest zaufanie do innych ludzi, na zasadzie: ja ci dam kubełek, ty mi dasz grabki i razem zbudujemy domek z piasku. Dlatego zawsze usiłowałem moim doktorantom i magistrantom dać maksimum swobody. Nawet jeśli uważałem, że wybrany przez nich kierunek to może być brnięcie w ślepią uliczkę, że ja bym tak nie zrobił. Zawsze

wtedy myślałem, że może oni wiedzą lepiej, mają więcej szczęścia, a może właśnie im się uda, bo są młodzi i bardziej ekspansywni, a ja już się robię troszkę konserwatywny. Jestem dumny, że aż pięcioro z nich zostało profesorami.

Emerytura będzie trudnym doświadczeniem, wszyscy się jej boją. Mam kilka pomysłów. Poza naukowymi mam projekt edukacyjny, który wynika z obecnej sytuacji politycznej w Polsce i z tego, że młodzieży w ogóle nie uczy się zasad obowiązujących w innych krajach UE, to jest zasad demokracji, praw człowieka, wartości humanistycznych itp.

Początkowo nie lubiłem pracy dydaktycznej, dlatego że nie miałem techniki. Mistrzami technik dydaktycznych są Amerykanie. Kiedy Amerykanin prowadzi seminarium lub wykład, to jest to rodzaj show. Oni są doskonale przygotowani, i to jest oczywiste, ale ponadto wykład musi być zaprezentowany w sposób, który nie nudzi słuchaczy. Ze słuchaczami trzeba nawiązać kontakt, co jest niebywale trudne. W początkowej fazie mojej kariery bardzo się tym męczyłem, bo widziałem, że część studentów przysypia. A im bardziej widziałem, że oni się nie interesują, tym bardziej mi skrzydła opadały. W Stanach i w Kanadzie obserwowałem wykładowców i uznałem, że są pewne sposoby na zainteresowanie słuchaczy i należy je wcielać w życie. Wiele rzeczy jest trywialnych, na przykład ile informacji można zmieścić na slajdzie, ale wielu wykładowców się do tego nie stosuje i na pojedynczym slajdzie małymi literkami usiłują upchać tabuny informacji. Potem nikt nie jest w stanie tego przeczytać ani zrozumieć i wtedy się właśnie robi zły wykład. Amerykański system jest taki, że jeśli mamy tytuł slajdu, powinno to być zdanie oznajmujące, z którego od razu wynika, że gen A jest niezbędny do tego i owego, a następnie nie za wiele ilustracji.

Ogromną pomocą dla mnie były wyjazdy na tzw. szkoły biotechnologiczne. Organizowała je dla swoich studentów (nieżyjąca już niestety) prof. Jagoda Podhajska z Uniwersytetu Gdańskiego. Wyjeżdżaliśmy na tydzień lub dwa, gdzieś nad jezioro czy nad morze. Prezentowali się tam wykładowcy z kraju czy z zagranicy. Wtedy po raz pierwszy zauważyłem, że studenci słuchają tego, co mówię, i są tym zainteresowani. To coś zupełnie fascynującego. To tak, jak aktor na scenie widzi, że ludzie reagują; mogą reagować subtelnie, ruchem oczu czy uśmiechem. Złapanie tego kontaktu ze słuchaczami to niebywały impuls dla wykładowcy. Wtedy zacząłem to lubić, i sądzę, że moje wykłady stały się znacznie lepsze.

W krajach anglosaskich istnieją również specjalne reguły pisania tekstów, w Polsce zupełnie nieznanne, tam wykładane w szkołach. Tępię u moich magistrantów czy doktorantów pisanie całych stron bez podziału na akapity, gdzie tekst jest tak zwarty, że się nie daje czytać. Gdy rozpoczynamy rozdział, zakładamy, że każdy wie, co zostało napisane w poprzednim, a to nieprawda. Czytelnikowi trzeba maksymalnie ułatwić odbiór, dlatego teksty powinny być jak najbardziej przejrzyste.

Widzę po moich studentach takie budowanie sobie kariery. Tu staż, tam staż, ówdzie staż. Tu wyjechał, tam zrobił. Część ich poczynań jest realna, ale w części to tylko papierek. Bardzo dobrze znam przykłady osób, które były na praktyce w miejscu dobrze mi znanym – nie zrobiły nic, ale mogą wpisać, że praktykowały.

Profesor Łukasz Turski zorganizował spotkanie z Leszkiem Balcerowiczem dotyczące problemów finansowania młodych naukowców i pozwoliłam sobie powiedzieć coś takiego: „Kiedyś wszyscy moi magistranci byli współautorami publikacji, a w tej chwili większość moich magistrantów nie ma czasu zrobić porządnie pracy magisterskiej, bo jeden pracuje tu, drugi pracuje tam”. Doktoranci też podejmują pracę i wcale nie informują o tym szefów. Ale co my możemy zrobić?

Jest taki komiks, który chyba nie był tłumaczony na polski, *O okropnym wezryrze*. Tam był ktoś przepełniony chęcią czynienia dobra i w związku z tym był bardzo groźny. Ja tak właśnie postrzegam większość rzeczy, które ostatnio dzieją się wokół nauki.

Te nieustające *selfies*. Kontemplacja pępka osiągnęła bardzo wysoki poziom społecznienia. Każdy sobie kontempluje własny, ale w miejscach publicznych. Plus te liczne rozmowy...

Ja się w tej chwili zwijam. Przechodzę na emeryturę w grudniu 2019 roku. Czy czuję się spełniona? Nie mam bladego pojęcia. To zależy, którą nogą wstanę danego dnia. To zbyt filozoficzne jak dla mnie.

Czy myślę o emeryturze? Myślę, ale nie wiem, jak będzie. Nigdy się jeszcze w życiu nie nudziłam, więc są dwie opcje: albo się wreszcie trochę ponudzę, co może być interesujące, albo sobie coś wymyślę.

Ewa Bartnik

W latach 70. i 80., kiedy zaczynałam swoją pracę naukowo-dydaktyczną, pracowało się intensywnie, żeby wszystko pogodzić: pracę eksperymentalną na marnej aparaturze, dydaktykę i życie rodzinne. Doktoraty robiło się na etacie i było na to osiem lat. Był przydział na ćwiczenia i nie było zmiłuj. Pan profesor Kunicki kierował zarówno tematami badawczymi, jak i tokiem dydaktycznym. Używał swojego autorytetu, ale i stanowczości, i nierzadko krzyku. Nie można było powiedzieć: „nie wiem, nie umiem, boję się”, więc się szło po omacku na te ćwiczenia i trzeba je było prowadzić. Ćwiczenia trwały dwie–trzy godziny, a przygotowywało się je dwa dni. Trzeba było jednocześnie realizować pracę naukową, musiały się pojawiać publikacje. Proces publikacyjny wyglądał zupełnie inaczej niż dziś i był zmuśny i długotrwały. Teraz są dużo większe możliwości techniczne do wykonywania prac

eksperymentalnych i do publikacji. Pisanie pracy magisterskiej, doktoratu na maszynie przez kalkę było nie lada wyczynem. Tę maszynę trzeba było wykombinować. Wielu osobom pisała pracę pani Zofia Lenarczyk z dziekanatu. Teraz są dużo większe możliwości techniczne. Po te lepsze warunki laboratoryjne i publikacyjne, czyli po szansę dobrej pracy naukowej bez obciążeń dydaktycznych i rodzinnych jechało się na zagraniczne staże po doktoracie – to była duża szansa rozwoju.

Anna Kraczkiewicz-Dowjat

Starałem się zawsze oddzielać pracę naukową od życia osobistego. Może to źle z punktu widzenia nauczyciela akademickiego, ale nigdy nie żyłem w ten sposób, że po powrocie do domu tylko czekałem, kiedy już będzie świt i znowu pojawię się w pracy. Praca jak praca. Naprawdę, nie traktuję tego jak powołania. Jeden buduje domy, inny przelewa z probówki do probówki i opracowuje wyniki.

Świat się zmienia, jest coraz większa roszczeniowość i pewnie im większe miasto, im większy uniwersytet, tym jest ona większa. Bo w Kielcach to jeszcze student potrafi zapukać i nieśmiało powiedzieć: „Czy pan profesor ma czas, bo...?”. Natomiast w Warszawie w ostatnich latach swojej pracy zaobserwowałem, że studenci dziwili się, że ja mogę nie mieć czasu w chwili, kiedy to akurat oni mają na coś czas i ochotę.

Bogusław Wilkomirski

Co to są prawdule? Chodzi o podawane z nabożeństwem oczywistości. Na przykład ktoś przedstawia swoje wyniki, a w rzeczywistości one nie są niczym nadzwyczajnym, tylko czymś oczywistym. A to ci dopiero odkrył! To jest taka prawduła. Taką prawdułę powiedział. W tej masie rozmaitych wyników, wycieczków, prawduł można się zupełnie pograżyć i oddzielenie prawdy od prawduły staje się bardzo trudne.

Jan Chojnacki

Trochę mi szkoda dawnych czasów, kiedy to nie tylko tworzyliśmy wspólne zespoły dydaktyczne i badawcze, ale też po prostu przyjaźniliśmy się, a naszych relacji nie dominowały wskaźniki cytowalności...

Michał Kozakiewicz

Jeśli chodzi o politykę, uważam, że Wydział Biologii jest wydziałem neutralnym. I bardzo słusznie. Niezależnie od politycznych prądów ma określoną drogę – drogę nauki. Wszędzie to podkreślam, że jeżeli pójdziemy na Uniwersytet Warszawski, na przykład na wykład prof. Węgleńskiego, usłyszymy, że mówi on o bardzo skomplikowanych sprawach takim językiem, że jest to zrozumiałe dla przeciętnego człowieka. W kwestii choćby edukacji seksualnej w szkołach społeczeństwo nie rozumie, że seks to znaczy płęć, ludziom kojarzy się to z jednym. Natomiast uważam, że rolą nauczyciela biologii jest wyjaśnić uczniom w sposób neutralny, na czym polega nasza natura, nasza biologia. I nie potrzeba do tego dodawać żadnej ideologii.

To, że pracowałam na uczelni, że cały czas byłam związana ze szkolnictwem, wpłynęło na całe moje życie. Do tej pory ważny jest dla mnie kontakt z przyrodą, i kiedy jeżdżę na nartach, na rowerze, uprawiam sport, zwracam uwagę na środowisko. Zawsze uwielbiałam chodzić po lesie, po łące, robić zdjęcia. Fotografia przyrodnicza jest nadal moim hobby. Czasem na konferencji wrzucę jakieś ciekawe zdjęcie. Obserwacja przyrody w pewnym sensie uzależnia. Wydaje mi się, że przyrodnik zwraca większą uwagę niż przeciętny człowiek na to, co się wokół dzieje.

Uważam, że dawniej studenci bardziej byli zaangażowani w pracę społeczną. Pamiętam, że kiedy zapytałam: „Kto chciałby pojechać ze mną w Podkarpackie poprowadzić warsztaty dla dzieci?”, natychmiast zgłosiła się grupa studentów. Była wśród nich Karolina Czaja, dziś dr Karolina Archacka. Ona zaoferowała się, że napisze projekt i zrobimy konferencję na Wydziale po tych warsztatach. Wtedy zdarzyło się, że po raz pierwszy studenci napisali wniosek do Urzędu Miasta. Oczywiście poszłam z nimi do Urzędu i otrzymaliśmy środki na ten projekt, który zakończył się bardzo ciekawą konferencją.

Do takich zaangażowanych, chętnych do pracy studentów należeli Michał Wronka, jego żona Magda Gerwel oraz Kornel Kurek. Obecnie bardzo trudno namówić studentów, aby chcieli udzielać się społecznie w różnych projektach, chyba że jest to związane z oceną z przedmiotu, wtedy mogą się zaangażować.

Kiedyś prowadziłam przedmiot dla pierwszego roku licencjatów biotechnologii. Na początku studenci mieli się przedstawić i opowiedzieć o swoich zainteresowaniach. Byłam zaskoczona wysokim poziomem ich determinacji. Ci świeżo upieczeni studenci wiedzieli, co chcieliby robić w przyszłości, do tego stopnia, że na przykład jeden z nich mówił, że w Kanadzie jest taki instytut, w którym on będzie pracował, jak tylko skończy tutaj studia. Lepiej wypadali studenci spoza Warszawy, którzy z poczuciem lokalnego patriotyzmu prezentowali na slajdach zabytki swoich miejscowości, wykazując się dużą wiedzą o swoim środowisku. Pamiętam, jak pewna studentka przedstawiała się, żartując, w następujący sposób: „Ja z Zamoscia przyjechała”,

po czym opowiedziała, że pochodzi z Zamościa, a warszawiacy nazywają ich „słiedzikami”. Pochwaliła się, że skończyła tam wspaniałą szkołę, i przedstawiła Zamość jako piękne, historyczne miasto.

Ligia Tuszyńska

Bardzo lubię moją pracę i zawsze szłam do niej z przyjemnością. Lubię też pracę ze studentami, która jest dla mnie zawsze poważnym wyzwaniem i w sumie dodaje mi sił poprzez kontakt z młodymi, ale bardzo wymagającymi ludźmi. Wszyscy mówią ...ta dzisiejsza młodzież... A ja widzę to inaczej. W moim odczuciu młodzież jest dokładnie taka sama jak dawniej. Są tacy, którym na niczym nie zależy, ale są również studenci nad wiek dojrzały, którzy mają autentyczne pasje. Oczywiście z tymi ostatnimi najlepiej jest pracować. To sama przyjemność. Bardzo lubię wspólnie planować eksperymenty, patrzeć, jak przebiegają, szukać przyczyn i być zaskoczona wynikami. Najciekawsze wyniki zawsze zaskakują – i dobrze, gdy wiemy, co dalej z tym zrobić.

Cały czas mam takie poczucie, że teraz mogę pracować bardzo lekko i łatwo. Duża zmiana dotyczy organizacji badań, czyli sprawy podstawowej. Teraz jak jest mi potrzebny jakiś nawet najbardziej wymyślny odczynnik, to po prostu go zamawiam i otrzymuję w ciągu kilku dni. A jak było poprzednio? Na Uniwersytecie był tzw. Dział Zaopatrzenia i wszyscy zamawiali z rocznym wyprzedzeniem to, co będzie im potrzebne. Do tego była specjalna lista wskazująca, co można zamówić. Zamówienie takie nie pociągało za sobą żadnych kosztów. Ale jeśli później czegoś zabrakło – to żadną siłą nie można już było zdobyć tego odczynnika. Wszyscy więc zamawiali, co tylko przyszło do głowy, czyli bez ładu i składu. To były absurdy, z którymi w tamtym czasie nic nie można było zrobić.

Podobnie było z odbitkami na ksero. Kserograf był pod ścisłą kontrolą, a szczególnie po 1981 roku, czyli w okresie stanu wojennego. Trzeba było się tłumaczyć, co się powieła, po co, i rozliczać się z zużytego papieru kserograficznego. W tym przypadku w grę wchodziły sprawy polityczne. Chodziło o ryzyko, że na ksero będą powielane wywrotowe ulotki czy nielegalne druki nazywane „bibułą”. Dlatego wszystkie kserografy na Uniwersytecie były dokładnie kontrolowane i sprawdzane, a niekiedy plombowane. Dzisiaj kserograf stoi na korytarzu, jest w pełni dostępny dla wszystkich i nikomu nie przechodzi przez myśl, że można na nim odbijać „bibułę”. Bardzo dobrze, że nie mamy już „bibuły” i nikt nie musi jej powielać.

Moim zdaniem poważną wadą dzisiejszych czasów jest niedocenianie wydawnictw polskojęzycznych. Wynika to z faktu, że do kariery naukowej potrzebne są tylko publikacje w języku angielskim. Za kolejne 45 lat taka

postawa może być odczytywana jako nieporozumienie i jako dziwactwo obecnego okresu oraz marnowanie talentów.

Uważam, że należy dobrze wyważyć oba sposoby publikowania prac. Bez wątplenia potrzebne są prace w języku angielskim, aby były dostępne dla szerokiej rzeszy naukowców, którzy posługują się tym językiem. Ale również bardzo potrzebne są prace w języku polskim dla osób, dla których język polski jest pierwszym językiem. Wzbogaca to naszą kulturę narodową i po prostu jedno nie wyklucza drugiego.

Małgorzata Wierzbicka

Czuję jakieś niebezpieczeństwo tego systemu, który dziś obowiązuje. Pali mi się czerwone światełko. Obawiam się, że ludzie naprawdę myślący, inteligentni, zostaną stłumieni przez tych walczących i zacieklej, mających klapki na oczach. I tak jak czołg do przodu, po trupach. Bez żadnej etyki, bez niczego. Ale zobaczmy. Może taka jest ewolucja, że tak być musi?

Jacek Bielecki

Wszyscy koledzy z mojego Zakładu byli ze sobą zaprzyjaźnieni. Nie była to taka przyjaźń, że spotykaliśmy się na herbatce w domu czy na urodzinach, ale w Zakładzie tworzyliśmy absolutnie jedną całość. Teraz zakłady są bardziej każdy sobie. Przedtem wiedzieliśmy dokładnie, co kto ma w sąsiednim zakładzie, w sąsiednim instytucie, i można było z tego korzystać, rozmawiać, współpracować. Teraz każdy jest bardziej zamknięty. Trwa wyścig szczurów.

Dawny system nauczania był też znacznie lepszy, bo posiadaliśmy dogłębną na owe czasy wiedzę w każdym kierunku i mogliśmy ją rozwijać tak, jak sobie tego życzyliśmy. A teraz studenci kończą biologię i pewnych zagadnień w ogóle nie znają. Od lat uczestniczę jako recenzent, egzaminator w olimpiadzie biologicznej. Mam więc kontakt z młodymi ludźmi interesującymi się biologią. Bardzo wielu z nich to byli ludzie z pasją, ale odpadali na testach, tymczasem to były takie osoby, od których my mogliśmy się wiele rzeczy nauczyć. Dla takiego jednego ucznia/studenta jestem gotowa siedzieć, rozmawiać, być dla niego dostępna 24 godziny na dobę, ale takich studentów jest bardzo niewiele.

Studenci są dziś źle kształceni. To nie nasza wina, to wina systemu, który narzuca nam te wszystkie absurdalne przepisy, mnożenie zbędnych bytów.

W moich czasach zostać profesorem czy zrobić habilitację było znacznie trudniej niż obecnie. Przygotowanie habilitacji po prostu graniczyło z cudem. Trzeba było albo włożyć gigantyczną pracę, albo wyjechać

i wykonać jakiś fragment badań za granicą. Ja miałam wyjątkowe szczęście, chciałam zrobić bardzo dobrą pracę habilitacyjną i to była główna moja motywacja do wyjazdu. Teraz, jak obserwuję prace habilitacyjne, to nie ma żadnego porównania. Rzadko zdarzają się naprawdę bardzo dobre habilitacje czy doktoraty. Często są takie „wymuszone”, bo kończy się termin, i wówczas zastanawiam się, jaką mam dać ocenę: negatywną czy pozytywną. Myślę, że niektórym należałoby powiedzieć „nie”, ale do tego trzeba mieć sporo odwagi, a przy tym świadomość, że można kogoś skrzywdzić.

Wydział Biologii to był strzał w dziesiątkę. Nie zmieniałbym tego, nie wyjechałabym stąd, aczkolwiek system nauczania nie podoba mi się. Także system organizacji studiów ma wiele mankamentów. Wydaje się, że dawniej również system oceny był prostszy i lepszy. Jeżeli ktoś był dobry, to był dobry, a jak zły, to zły. Nie było czegoś takiego, że kogoś chciano zrobić gorszym, niż był. Ale jeżeli troszeczkę sobie odpuściłam, to się czuło, że zaczynam odstawać. A ponieważ wszyscy pracowali, była taka wzajemna motywacja. Jeden drugiego wspierał, a nie starał się przeskoczyć przed drugiego, żeby zająć jego stanowisko.

Teraz ktoś, kto tylko stoi przy stole laboratoryjnym, udostępnia sprzęt – jest włączany do publikacji. A kiedyś, jeśli nie wykonał lwiej części pracy, to nie był jej współautorem i nikt nie rościł sobie do tego pretensji. Nie było w ogóle takich potrzeb. Nie było parametryzacji.

Elżbieta Romanowska

Jesteśmy wydziałem, którego pracownicy są relatywnie bliżej siebie niż na wielu wydziałach humanistycznych, społecznych, gdzie ludzie rzadziej przychodzą do pracy. Mamy inny styl działania.

Agnieszka Mostowska

Profesor Podbielkowski był dla mnie, dla nas wszystkich, wówczas młodszych pracowników, przyjacielem i mistrzem. Obawiam się, że teraz tego typu relacje stają się coraz rzadsze, a my obijamy się o siebie na zasadzie ruchów Browna. Ze smutkiem dostrzegam, że studenci są niekiedy traktowani z obojętnością, czasem wręcz jak intruzi zabierający nam cenny czas... Z drugiej strony, postawa studentów, ich roszczeniowość, brak zaangażowania nierzadko nas zniechęcają. I koło się zamyka... Cóż, jesteśmy pewnie kolejnym pokoleniem narzekającym na „dzisiejszą młodzież”...

Barbara Sudnik-Wójcikowska

My, studenci lat 70. tworzyliśmy zgrane paczki i uczyliśmy się w grupach, zwłaszcza przed egzaminami. Wyjeżdżaliśmy razem na imprezy, rajdy, spływy kajakowe, narty, co bardzo zbliżało ludzi. Przyjaźnie studenckie trwają do dziś. Takie wspólne spędzanie wolnego czasu obecnie nie jest popularne. Na studiach mieliśmy bardzo dużo zajęć, i te wędrowki po całej Warszawie, z zajęć na zajęcia, koszmar! W ogóle bardzo dużo się uczyliśmy, głównie w bibliotekach, bo w moich czasach studenckich nie było żadnych kserokopiarek, nie wspomnę już o komputerach czy internecie. Obecnie studenci naszego Wydziału mają luksusowe warunki do studiowania, ale nie mają czasu na naukę, wielu z nich pracuje. Niestety, łączenie studiów z pracą odbija się na jakości studiowania. Z drugiej strony dobrze, że znane powiedzenie „biedny jak student” straciło na znaczeniu. Realia dzisiejszej uczelni wyższej także zmieniły relacje między nauczycielami i studentami. Studiowanie, w tradycyjnym znaczeniu polegające na częstych kontaktach studenta z wykładowcą, skończyło się. Egzamin ustny zastąpiły wszechobecne testy.

Katarzyna Brzostek

Żyjemy w czasach, kiedy kierownik czuwa nad wszystkim tylko administracyjnie. Fundusze na badania przychodzą bowiem z zewnątrz i każdy z pracowników staje się własnym kierownikiem. W efekcie ludzie nie potrafią się integrować tak jak kiedyś. Tymczasem prowadzenie takich projektów to nie jest łatwa sprawa. Bo to nie tylko nauka, nie tylko badania, ale cała obsługa administracyjna i liczne sprawozdania. Pamiętam, jak wprowadzane były komputery i wydawało się, że odtąd wszystko będzie takie proste, takie szybkie, a okazuje się, że jesteśmy o wiele bardziej włączeni w proces dokumentowania wszystkiego. Czasami chyba niepotrzebnie.

Dydaktyka na początku na pewno jest stresująca. Młody człowiek musi przełamać słabość kontaktowania się z większą liczbą studentów, aczkolwiek studenci dawniej byli inni. Źródłem informacji był jeden podręcznik do ćwiczeń i asystent, więc wszyscy go bardzo pilnie słuchali, bo chcieli się jak najwięcej dowiedzieć na ćwiczeniach. W tej chwili student ogląda prezentację multimedialną i ma dostęp do literatury. Często obserwuję, że niektórzy studenci przychodzą bardzo dobrze przygotowani, i wówczas nie przekazuję im już podstawowej wiedzy, tylko muszę im raczej tę wiedzę porządkować.

Maria Doligalska

Gładka i płynna wymowa wcale nie ułatwia skupienia się na treści wykładu, bo człowiek zachwyca się tą płynnością wymowy i to jest wszystko, co mu zostaje.

Jak trzeba mordować stworzenia, to trzeba. Jak mordowaliśmy zwierzęta na studiach, to uważam, że słusznie, niestety. Jak się jest biologiem, to trzeba to żywe stworzenie wziąć do ręki i zakatrupić, zobaczyć, co ma w środku, bo inaczej się tego nauczyć nie da. Wiedziałem jednak od samego początku, że na pewno nie będę robił żadnych badań, dla których te stworzenia trzeba mordować. Przy czym takie badania są konieczne i różne głupstwa typu modele czy hodowle tkankowe to kompletny nonsens. Albo będziemy mordować więźniów, jak to się działo jakiś czas temu w czołowych demokracjach, albo naszych braci mniejszych. Inaczej postępów w biomedycynie zrobić się nie da.

Pamiętam bardzo głęboką myśl prof. Toczki, gdy przybiegłem do niego i mówię, że zrobiłem jakieś doświadczenie i mi nie wyszło, a on na to: „Panie Janku, to dobrze! Jak doświadczenie wychodzi, to w zasadzie nie warto go było robić. Ciekawe są tylko te, które nie wychodzą. To znaczy wychodzi inaczej, niż myśleliśmy!”. Zwrócił mi uwagę na to, że przyroda jest dużo bardziej skomplikowana, niż się nam wydaje, i trzeba połączyć to zaciekawienie, dlaczego nam nie wyszło, z tym, żeby się przyjrzeć, co to naprawdę oznacza. To strasznie trudne, bo mamy w mózgu jakieś kanały, którymi te myśli płyną, i trudno wyjść poza prekoncepcje, a z kolei trzeba mieć jakąś koncepcję, robiąc doświadczenia, bo inaczej się nie zaprojektuje eksperymentu.

Jesteśmy tak skonstruowani, że lubimy, jak przyroda czy nasi rozmówcy się z nami zgadzają. Ja całe życie byłem kontra we wszystkim i pochlebiam sobie, że dzięki temu różnych ludzi byłem w stanie zepchnąć z wygodnych pozycji i nakierować na nowe dla nich tory. Samemu nie mając nowego pomysłu, tylko krytykując. W tej chwili prowadzę seminaria magisterskie i też się staram tych młodych ludzi nauczyć z jednej strony prezentowania wyników, a z drugiej właśnie dostrzegania alternatywnych rozwiązań czy możliwości, dyskusji, naukowego spierania się.

Staram się też na wykładach pokazywać ludziom jakieś szersze uwarunkowania, a nie tylko przekazywać im wiedzę, bo tę mają w podręcznikach, lepiej napisaną i łatwo do niej dotrzeć. Natomiast próbuję pokazywać, że z tej biochemii, która sama w sobie jest kompletnie nieistotna, *de facto* wynika, jak funkcjonujemy, jak chorujemy, dlaczego chorujemy, jak się nas leczy. Takie szersze spojrzenie usiłuję zaprezentować.

Jan Fronk

Teraz w biologii rozwoju dominują przede wszystkim badania molekularne i genomowe. A podejście, które przez całe życie stosował prof. Tarkowski, było takie: zadajmy naturze – w tym wypadku zarodkowi – jakieś eksperymentalne pytanie i zobaczymy, co będzie. I w związku z tym przeprowadzaliśmy różne skomplikowane manipulacje na zarodkach. Tak jak na przykład z klonowaniem, które nie udało się, w tym sensie, że nie u nas zostało zrobione. Klonowanie myszy jest takie, że nie wychodzi, bo się zrobiło 100 razy. I jak 100 razy nie wyszło, to może zróbmy 300 razy i wtedy wyjdzie – takie to są niewdzięczne doświadczenia. Wciąż przeprowadzamy wiele takich doświadczeń z embriologii eksperymentalnej. I to jest tak, że można się napracować cały dzień, przeszczepić do myszy i nic się nie rozwija. A nie rozwinęło się, bo może coś źle zrobiliśmy, no to trzeba powtórzyć, powtórzyć, powtórzyć. I czasami to potrafi być takie beznadziejne i frustrujące, bo wydaje się, że powinno wyjść, a nie wychodzi.

Nie żałuję, że pracuję na Uniwersytecie, w tym Zakładzie, z tym zespołem, nie mam co do tego wątpliwości. No, czasami, w chwili jakiejś frustracji, stresu, myślę sobie: lekarzem można było zostać! Lekarz to ma fajnie, bo może na przykład być profesorem, a jak mu zbrzydnie, to może zostać lekarzem wyprawy arktycznej czy, powiedzmy, pracować na statku i wtedy ma wszystko gdzieś. Ale tak naprawdę to oczywiście jestem bardzo mocno emocjonalnie związany z Uniwersytetem, również ze względów rodzinnych. A nie wnikając już w detale tego, co mi się podoba, to lubię tzw. kształcenie kadr. Lubię wykładać. To wyczerpuje, ale przyjemność mi daje sporą. Patrząc, jak w Zakładzie ludzie się rozwijają, bo są już w tej chwili osoby, które zaczynały ze mną magisterium, a teraz robią habilitację. I to niewątpliwie jest dla mnie największa satysfakcja, jak widzę, że ludzie mogą się realizować. Obserwowanie tego rozwoju jest bardzo interesujące.

Marek Maleszewski

Po to, by czymś młode pokolenie zainteresować, musimy wejść w biologię organizmów, a więc w interakcje międzygatunkowe, strategie życiowe, przystosowania do środowiska. To jest dla nas, zwykłych ludzi, po prostu ciekawe. Jeśli ktoś wybiera studia biologiczne, to z reguły ciekawi go proces i przejawy życia. Dobrze jest te pasje podtrzymywać i wzmacniać. Znacznie trudniej zainteresować kogoś, ot, choćby zagadnieniem ekspresji konkretnego genu lub procesem wycinania intronów. Te kwestie, choć pasjonujące na wyższym etapie studiowania, na pierwszych latach są dla wielu zbyt techniczne, by mogły fascynować. Wobec tego dobrych studentów można rzeczywiście ściągnąć na wykłady dotyczące biologii organizmów i ekologii, jeśli takie

dobrze cykle dydaktyczne pojawiają się odpowiednio wcześniej w toku edukacji. Dlatego bardzo mi zależy, by w programie wciąż był wykład o interakcjach międzygatunkowych. Pojawiły się kiedyś pomysły, że może z niego zrezygnujemy, że ekologia odchodzi do lamusa. Myślę, że to błąd. Bardzo chcę nadal prowadzić zajęcia dotyczące symbiozy i mutualizmu, jestem w stanie je przekształcić, unowocześnić, prowadzić w innej konfiguracji, byleby taki wykład został. Gdyby można było zorganizować zajęcia bardziej eksperymentalne, ale dotyczące nie biochemii, tylko samego życia, byłoby to dla studentów jeszcze bardziej zachęcające. W tej chwili dr Anna Karnkowska prowadzi wraz z nami ćwiczenia dotyczące biologii mikroorganizmów eukariotycznych. Myślę, że dydaktyka powinna iść w tym kierunku.

Wielu dzisiejszych studentów nie potrafi się na dłużej skupić. Coś robią, koncentrują się na czymś przez chwilę, ale już za moment muszą zerknąć do Facebooka. Dostrzegam to na co dzień. Jesteśmy w laboratorium, żeby coś zaobserwować. Trzeba prowadzić eksperyment, ale oni muszą odpocząć, zajrzeć do telefonów, bo to jest ich życie i chcą się tym karmić. Myślę, że powinniśmy iść im naprzeciw i też wprowadzać naukę przez tworzenie grup na portalach społecznościowych. Tworzymy grupę „Mykologia” i tam wstawiamy zdjęcia z zajęć, ciekawostki, studenci tam udostępniają kolegom swoje prezentacje, a my wstawiamy wykłady. Z telefonu komórkowego – głównego „dystraktora” studentów – czynimy sojusznika w procesie kształcenia.

Moim marzeniem jest stworzenie mykoteki. Mam na myśli miejsce – lub może tylko inicjatywę przy Ogrodzie Botanicznym – które byłoby centrum edukacji mykologicznej w Polsce. Miejsce, gdzie lekarze, ale także wszyscy zainteresowani mogliby się skonsultować, gdzie byłaby literatura albo dostęp do wirtualnej biblioteki, gdzie można by prowadzić warsztaty dydaktyczne, identyfikować grzyby ciekawskim warszawiakom i mykologom amatorom, wspomagać artystów zainteresowanych wykorzystaniem grzybów. To nie musi być koniecznie miejsce fizyczne – w tej chwili coraz więcej inicjatyw ma swoje miejsce w wirtualnej rzeczywistości, ale chciałabym, by mykoteka instytucjonalnie była powiązana z Ogiem Botanicznym i jego wyśmienitą pracownią dydaktyczną. Grzyby są coraz bardziej doceniane, dostrzegane, a nawet traktowane jako potencjalni sprzymierzeńcy w walce o czystą planetę.

Marta Wrzosek



*Przedemną stoi dylemat:
Nowela czy poemat?
Powiastka czy rozprawa?
Nauka czy zabawa?*

prof. Janusz Bogdan Faliński, geobotanik

Ich lebte unter Kühen.
Sehr viele Dank für die
Zeit in Białowieska.

Nico van Opstal.
Landbouwhogeschool
Wageningen / Holland.



Dziękujemy za bardzo sympatyczne przyjęcie
i wierzymy w to, że szybciej niż za 20-dziesiąt
lat będziemy mogli zaprezentować organizowaną
obecnie naszą Stację Terenową Wydziału Geografii
i Studiów Regionalnych U.W. w Murzynowie
k/Płocka.

2. II . 1978 r.

Danuta Danielek
Wojciech Nowak
Waldemar Kwieciał
WITOLD LEKARZ

ILUSTRACJE



DZIENNIK URZĘDOWY

MINISTERSTWA OŚWIATY I SZKOLNICTWA WYŻSZEGO

A — Dziennik Szkolnictwa Wyższego

Warszawa, dnia 15 września 1968 r.

Nr A-10

Poz. 65-65

T r e ś ć

- Poz. Str. Poz. Str.
- ZARZĄDZENIA MINISTRA OŚWIATY I SZKOLNICTWA WYŻSZEGO:**
- 65 — z dnia 27 czerwca 1968 r. w sprawie organizacji wewnętrznego Uniwersytetu Warszawskiego
 - 66 — z dnia 29 sierpnia 1968 r. w sprawie utworzenia Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego
 - 67 — z dnia 5 lipca 1968 r. w sprawie zmian organizacyjnych w Wydziale Sztuki, Historii i Kultury Uniwersytetu Warszawskiego
 - 68 — z dnia 5 lipca 1968 r. w sprawie utworzenia jednostek organizacyjnych w Wydziale Sztuki, Historii i Kultury Uniwersytetu Warszawskiego
 - 69 — z dnia 10 lipca 1968 r. w sprawie utworzenia Wydziału Filologii Polskiej i Słowiańskiej w Uniwersytecie Warszawskim
 - 70 — z dnia 26 sierpnia 1968 r. w sprawie utworzenia Wydziału Filologii Polskiej i Słowiańskiej w Uniwersytecie Warszawskim
 - 71 — z dnia 31 lipca 1968 r. w sprawie organizacji Wydziału Filologii Polskiej i Słowiańskiej
 - 72 — z dnia 14 sierpnia 1968 r. zmieniające zarządzenie w sprawie utworzenia Podwydziałowego Studium Techniki Audiowizualnych w Politechnice Warszawskiej (im. Adama Mickiewicza w Warszawie)
 - 73 — z dnia 24 sierpnia 1968 r. w sprawie zmiany nazwy Wydziału Filologii Polskiej i Słowiańskiej Szkoły Wyższej Techniki Audiowizualnych w Politechnice Warszawskiej
 - 74 — z dnia 24 sierpnia 1968 r. w sprawie utworzenia stanowisk pracowników naukowo-badawczych w Wydziale Sztuki, Historii i Kultury Uniwersytetu Warszawskiego
 - 75 — z dnia 26 sierpnia 1968 r. w sprawie utworzenia Wydziału Filologii Polskiej i Słowiańskiej w Uniwersytecie Warszawskim

Poz. 65
ZARZĄDZENIE MINISTRA OŚWIATY I SZKOLNICTWA WYŻSZEGO
 z dnia 27 czerwca 1968 roku (DU-5-0146-09)
 w sprawie organizacji wewnętrznej Uniwersytetu Warszawskiego.

Nu podkazuje art. 10, 11, 13 i 15 ustawy z dnia 5 listopada 1968 r. o szkolnictwie wyższym (Dz. U. z 1968 r. nr 14, poz. 131) zarządza się, co następuje:

- Str. 2. Dziennik Urzędowy Ministerstwa Ciałwoty i Szkolnictwa Wyższego. Poz. 65
- 1) Wydział Historiografii,
 - 2) Wydział Matematyki i Mechaniki,
 - 3) Wydział Nauk Społecznych,
 - 4) Wydział Prawa i Administracji,
 - 5) Wydział Psychologii i Pedagogiki.
2. Powyższe jednostki organizacyjne:
- 1) Instytut Geografii,
 - 2) Studium Afrykanistyki.
3. Międzywydziałowe jednostki organizacyjne:
- 1) Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych,
 - 2) Studium Wskosowe,
 - 3) Studium Wytworzenia Fizycznego.
- § 2.
- W skład Uniwersytetu Warszawskiego wchodzi: biblioteka główna, która stanowi ogólnouniwersytecki organ organizacyjny o zadaniach naukowych, dydaktycznych i wydawniczych oraz biblioteka zbiorowa przy poszczególnych jednostkach organizacyjnych Uniwersytetu.
- § 3.
1. W skład Wydziału Biologii wchodzi:
- 1) Instytut Botaniki,
 - 2) Instytut Mikrobiologii,
 - 3) Instytut Zoologii,
 - 4) Katedra Biochemii.
2. W skład Wydziału Chemii wchodzi:
- 1) Instytut Podstawowych Problemów Chemii,
 - 2) Katedra Technologicznej Chemii.
3. W skład Wydziału Filologii Obcych wchodzi:
- 1) Instytut Filologii Antycznej,
 - 2) Instytut Filologii Romantycznej,
 - 3) Instytut Filologii Węgierskiej,
 - 4) Katedra Filologii Węgierskiej.
4. Wyższe Studium Języków Obcych,

5) Oddział Metodyczny Nauczania Języków Obcych,

6) Zakład Improwizacji Formalnej.

4. W skład Wydziału Filologii Polskiej i Słowiańskiej wchodzi:

 - 1) Instytut Filologii Polskiej,
 - 2) Instytut Filologii Rosyjskiej,
 - 3) Instytut Filologii Słowiańskiej,
 - 4) Katedra Filologii Klasycznej,
 - 5) Studium Języka i Kultury Polskiej dla Cudzoziemców.

5. W skład Wydziału Fizyki wchodzi:

 - 1) Instytut Astronomii,
 - 2) Instytut Fizyki Doświadczalnej z Katedrą Biofizyki,
 - 3) Instytut Fizyki Teoretycznej,

6. W skład Wydziału Prawa i Administracji wchodzi:

 - 1) Instytut Administracji i Zarządzania,
 - 2) Instytut Historyczno-Prawny,
 - 3) Instytut Prawa Cywilnego,
 - 4) Instytut Nauk o Państwie i Prawie,
 - 5) Instytut Nauk o Rolnictwie i Leśnictwie,
 - 6) Zakładowe Studium Międzynarodowego Publicznego, 7) Studium Administracyjne.

11. W skład Wydziału Psychologii i Pedagogiki wchodzi:

 - 1) Instytut Pedagogiki,
 - 2) Instytut Psychologii,
 - 3) Studium Kulturo-Opiekawcze,
 - 4) Studium Pedagogiczne.

§ 4.

Wykaz jednostek naukowych, wydziałowych, podwydziałowych i instytutów zawiera załącznik nr 2 do niniejszego zarządzenia.

§ 5.

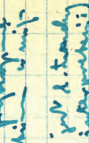
Zakres i tryb działania Instytutów, organów Instytutu i sposobu ich powoływania określa ramowy statut Instytutu stanowiący załącznik nr 1 do niniejszego zarządzenia.

Dziennik Urzędowy z dnia 15 września 1968 roku wprowadzający zmiany w organizacji Uniwersytetu Warszawskiego z wyodrębnieniem Wydziału Biologii

24.XI.1902

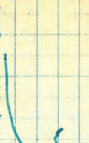
HYDROBIOLOGIA

Ważne jest: w jeziorach. Istotną rolę w życiu zwierząt w jeziorach pełnią glony. W wodzie żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne. W jeziorach żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne. W jeziorach żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne.



Ważne jest: w jeziorach. Istotną rolę w życiu zwierząt w jeziorach pełnią glony. W wodzie żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne. W jeziorach żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne.

Ważne jest: w jeziorach. Istotną rolę w życiu zwierząt w jeziorach pełnią glony. W wodzie żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne. W jeziorach żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne.

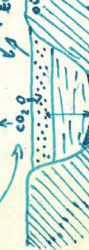


Ważne jest: w jeziorach. Istotną rolę w życiu zwierząt w jeziorach pełnią glony. W wodzie żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne. W jeziorach żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne.

15.XI.1902

HYDROBIOLOGIA

Ważne jest: w jeziorach. Istotną rolę w życiu zwierząt w jeziorach pełnią glony. W wodzie żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne. W jeziorach żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne.



Ważne jest: w jeziorach. Istotną rolę w życiu zwierząt w jeziorach pełnią glony. W wodzie żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne. W jeziorach żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne.

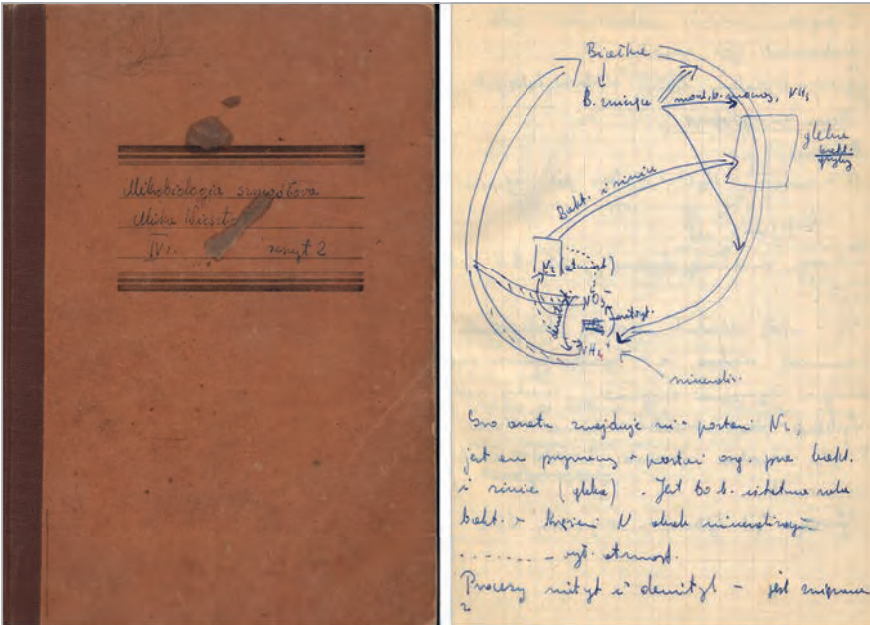
Ważne jest: w jeziorach. Istotną rolę w życiu zwierząt w jeziorach pełnią glony. W wodzie żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne. W jeziorach żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne.

Ważne jest: w jeziorach. Istotną rolę w życiu zwierząt w jeziorach pełnią glony. W wodzie żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne. W jeziorach żyją zwierzęta, które są bardzo różnorodne.

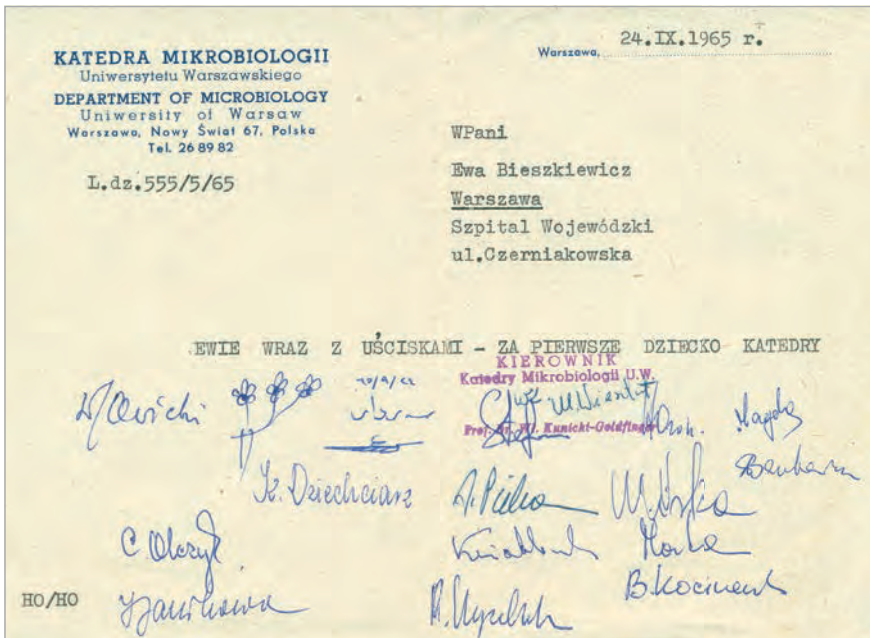
Notatki Kazimierza Dobrowolskiego z zeszytu „Hydrobiologia, K. Tarwid 1950/1951”

<p>MONOGRAFIE EGZEKUTYWY SERIA 6, NR. 183/52</p> <p>KLUCZ UNIWERSALNY ZE SPECJALNYM UWZGLĘDNIENIEM ZWIERZĄT</p> <p>ŁACZY 1952</p>	<p>BADAJ SZCZĘCIE I OZNACZAJ WYSIAK NIE HANBI ŻADNA PRACA</p> <p>KLUCZ NASZ JEST PRZEZNACZONY DLA TYCH WSZYSTKICH, KTÓRZY POSIADAJĄ PRZYRODNICZY SPOSÓB MYŚLENIA ORAZ PEWNA DOBROĆ, DOCIEKLIWOŚCI I SAMOZAPARCIA. MAMY NADZIEJĘ, ŻE PRACA NASZA ZOSTA- NIE PRZYJĘTA Z ENTUZJAZMEM I WYPEŁ- NI ŁUKI JAKA OD DAWNA DAWAŁA SIĘ OD- CZUĆ W DZIEDZINIE TEGO RODZAJU PUBLI- KACJI. JEŻELI PRACA TA POBUDZI KOGO- KOLWIEK DO MYŚLENIA I GŁĘBSZEGO ZAJNTERESOWANIA SIĘ GYSTEMATYKĄ BĘ- DZIEMY UWAŻAĆ ZADANIE NASZE ZA SPEŁNIONE. EGZEKUTYWA.</p>
<p>I(II) FORMA ŻYJĄCA A(B) FORMA ± MAŁA α(β) SEGMENTOWANE αα(ββ) SEGMENTACJA ± HOMONOMICZNA ααα(βββ) ŁĄDOWE βββ(ααα) WODNE 1(2) AEROBY γ(δ) FORMA MNIEJ WIĘCEJ DŁUGA I WĄSKA</p>	<p>δ(γ) FORMA KRÓTKA, GRUBA α(β) CZERWONE β(a) INNE 2(1) ANAEROBY β/β(αα). SEGMENTACJA HETERONOMICZNA C(D) POSIADAJĄ SKRZYDŁA CC(DD) POSIADAJĄ OGONEK CCC(DDD) PO 15 MINUTACH</p>
<p>TRZYMANIA W FORMALINIE RUSZAJĄ SIĘ DD(DD) W FORMALINIE NIE RUSZAJĄ SIĘ DD(CC) NIE POSIADAJĄ OGONKA ε(δ) POŁÓW ŁATWY γ(ε) POŁÓW TRUDNY D(C) NIE POSIADAJĄ SKRZYDEK</p>	<p>E(F) OBRZYDLIWE EE(FF) ZERUJĄCE NA GUANIE FF(EE) TRAFIA SIĘ GDZIEINDZIEJ F(E) MILUSIE F'(E') MYCHATE c(d) POSIADAJĄ OGONEK d(c) NIE POSIADAJĄ OGONKA</p>
<p>β(α) FORMY NIESEGMENTOWANE B(A) FORMY DUŻE II(I) FORMY MARTWE</p>	<p>LITERATURA: EGZEKUTYWA - DZIEŁA (całość) J. HAŠEK - PRZYGODY DZIELNEGO WOJAKA SZWEJKA 4/1/18.</p>

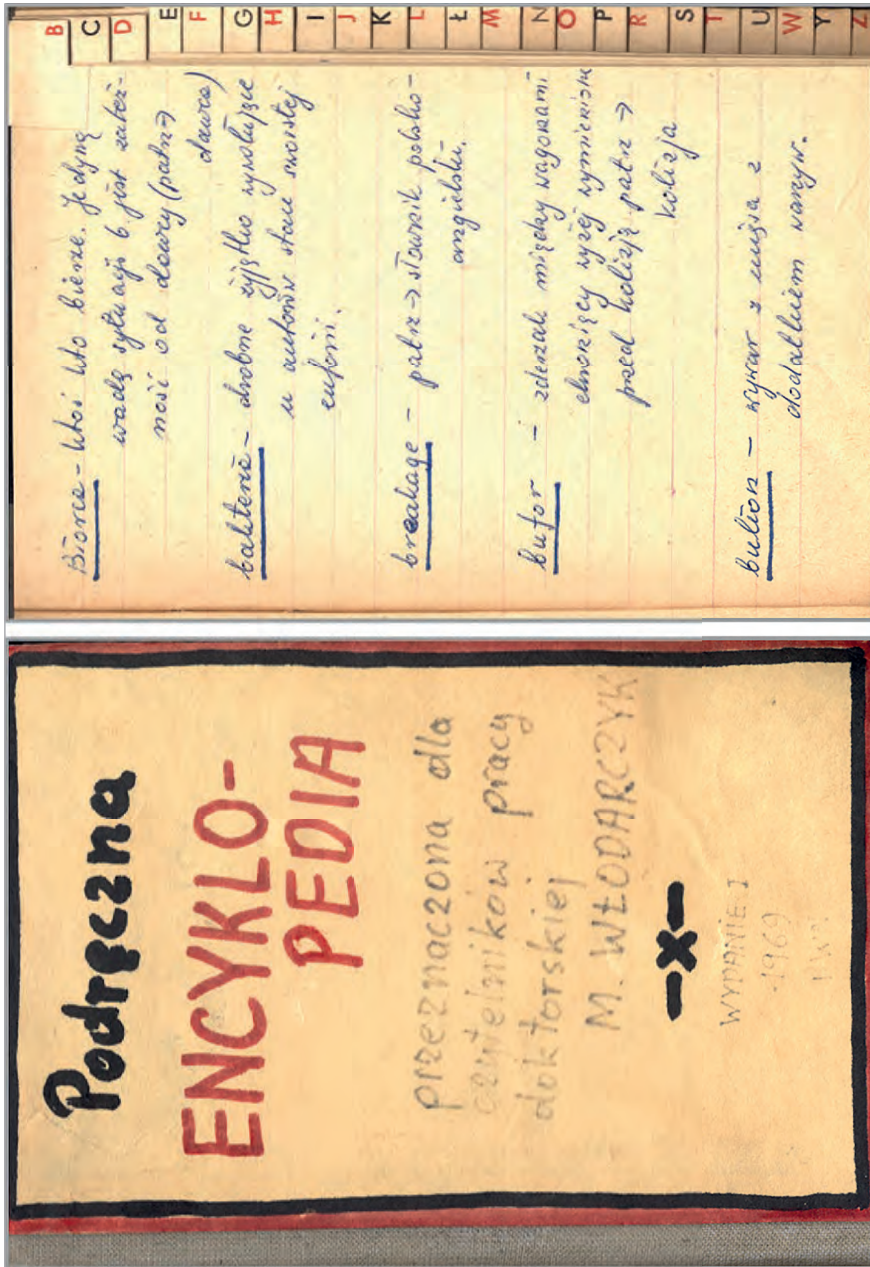
Z teczki „Z życia studentów... lata 50., aforyzmy, wierszyki itp.”



Notatki Mirosławy Włodarczyk (z d. Wiesztort) z wykładu „Mikrobiologia szczegółowa”, lata 60.



Życzenia od pracowników dla Ewy Bieszkiewicz z okazji urodzin syna, Katedra Mikrobiologii, 1965 r.



Pamiętkowa książeczka dla Mirosławy Włodarczyk przygotowana przez współpracowników z okazji obrony jej doktoratu, 1969 r.

UNIwersYTET WARSZAWSKI 1

UNIwersYTET WARSZAWSKI
Wydział Biologii i Nauk o Ziemi

Wydział..... *Biologia -
Botanika*

Nr alb. *43219*

INDEKS

Imiona..... *Jan*


Nazwisko..... *Chojnacki*

Imię ojca..... *Adam* ur. dn. *24 kwietnia* 19 *50* r.

w..... *Ludowie* pow. *Płock*

Rektor..... *Marszałkowska* dn. *1 października* 19 *68* r.

Dziekan..... *M...*



UNIwersYTET WARSZAWSKI 19

Jan Chojnacki

Semestr II

Zaliczenie			Egzamin				Zaliczenie semestru podpisane i pieczęć
Ocena	Data	Podpis	Ocena		Data	Podpis	
			cyfr.	słowna			
<i>3</i>	<i>20.06.68</i>	<i>[Signature]</i>	<i>4</i>	<i>dobry</i>	<i>30.08.1968</i>	<i>[Signature]</i>	<p style="color: red; font-weight: bold;">Zaliczono</p> <p style="color: red; font-weight: bold;">roku akademickiego 1968/69</p> <p style="color: red; font-weight: bold;">DZIEKAN</p> <p style="color: red; font-weight: bold;">Wydziału Biologii U.W.</p> <p><i>9-X-1968</i></p> <p><i>[Signature]</i></p>
<i>5</i>	<i>20.06.68</i>	<i>[Signature]</i>					
<i>5</i>	<i>22.06.68</i>	<i>[Signature]</i>					
<i>2al</i>	<i>28.06.68</i>	<i>[Signature]</i>					

OPUSZCZAM
nie wziąć egzaminu

Indeks Jana Chojnackiego, początek roku akademickiego 1968/1969. Widoczna zmiana nazwy Wydziału na pieczęciach

- 2 -

o pracy
G. Mirowskiej

Praca Mirowskiej z 1977 r.
dotyczy przede wszystkim nauki o
molekularnym mechanizmie
transkrypcji i translacji, i tamże opisuje
różne aspekty struktury i funkcji DNA.

Praca jest autorem lub współautorem
publikacji: m. in. ten temat o ustrój i
funkcjach, transkrypcji i translacji, praca Mirowskiej
z 1977 r. i inne.

Pracę Mirowskiej z 1977 r. poświęciłem
i publikacji w 1977 r. w czasopiśmie
"Wiadomości Biologiczne", w której
opublikowałem artykuł pod tytułem
"Transkrypcja i translacja".

Praca Mirowskiej z 1977 r. poświęciłem
i publikacji w 1977 r. w czasopiśmie
"Wiadomości Biologiczne", w której
opublikowałem artykuł pod tytułem
"Transkrypcja i translacja".

Praca Mirowskiej z 1977 r. poświęciłem
i publikacji w 1977 r. w czasopiśmie
"Wiadomości Biologiczne", w której
opublikowałem artykuł pod tytułem
"Transkrypcja i translacja".

Praca Mirowskiej z 1977 r. poświęciłem
i publikacji w 1977 r. w czasopiśmie
"Wiadomości Biologiczne", w której
opublikowałem artykuł pod tytułem
"Transkrypcja i translacja".

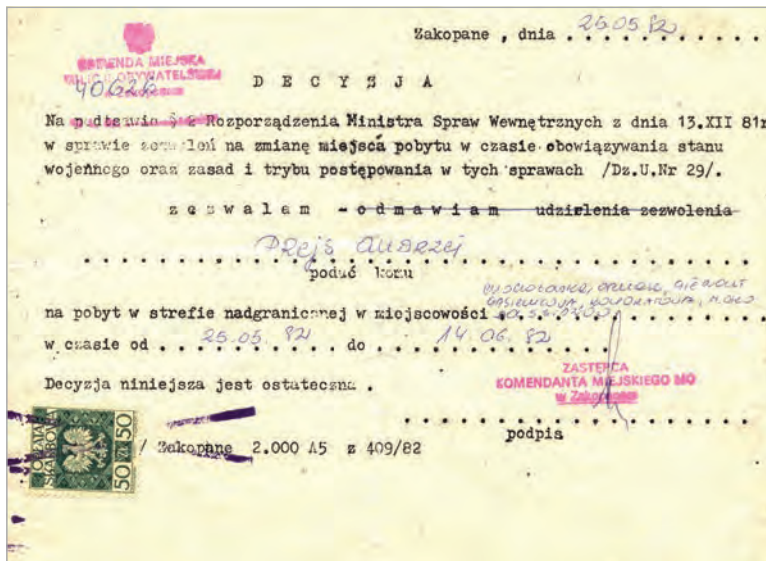
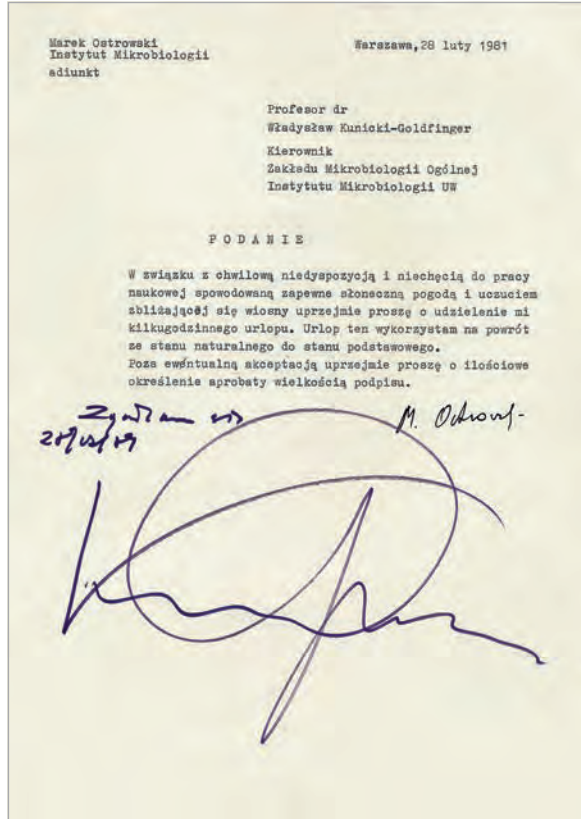
X

Autograf opinii prof. Władysława Kunickiego-Goldfingera wystawionej Mirosławie Włodarczyk, 1977 r.



Kartka z pozdrowieniami dla prof. Kazimierza Dobrowolskiego, wysłana przez Ryszarda Halbę z Antarktyki 10 marca 1980 r. Na zdjęciu wydrziki subantarktyczne (*Stercorarius antarcticus lonnbergi*)

Podanie o urlop
Marka Ostrowskiego
ze zgodą i autografem
prof. Władysława
Kunickiego-Goldfingera,
1981 r.



Pozwolenie wydane przez Komendę MO dla Andrzeja Prejsa na pobyt i badania w Tatrach w czasie stanu wojennego, 1982 r.



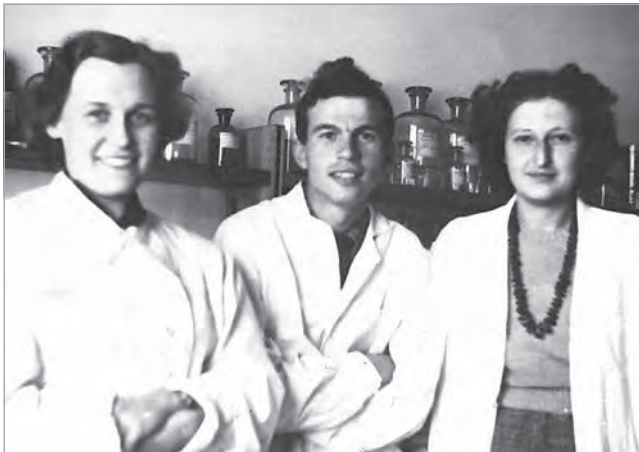
Studenci I roku biologii, grudzień 1953 r. Od góry, z lewej: Leszek Grim, Jerzy Moraczewski, Waldemar Mikołajczyk, Hanna Petruczynnik, Liliana Kamper, Ewa Sztumpf, Andrzej Grochulski, Stefan Mazur



Studenci kursu magisterskiego zoologii i fizjologii roślin, Szkoła Główna, lata 1953–1955. Stoją od lewej: Zofia Turecka (później Świetlińska), Pola Kożuch; siedzą od lewej: Zdzisław Kajak, dwie osoby nierozpoznane, Jerzy Świętosławski, osoba nierozpoznana, Maria Tuskiewicz i Lucyna Rogulska (w okularach); poniżej siedzą: Lucyna Wajda, Wanda Elkner (później Riedel), Kazimierz Dobrowolski i Jan Pinowski



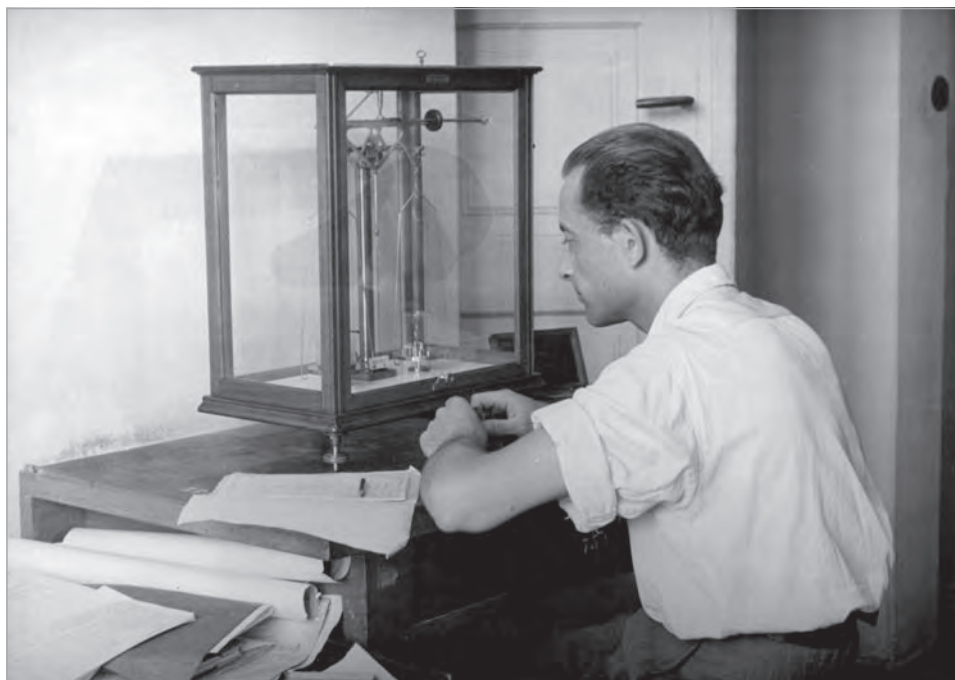
Studenci III roku biologii, grupa zoologiczna, jesień 1957 r.
 Od lewej stoją: Ala Lasota, Włodzimierz Ławacz, Gabriela Bujalska,
 Malina Charzewska, Karol Opuszyński, Mirosława Pyżuk, osoba
 nierozpoznana, Bogdan Styczyński i Krzysztof Dusoge. Siedzą od lewej:
 Tomasz Umiński, Zofia Cichowlas, Wiktor Kulerski, Hanna Bylina,
 Barbara Diehl, Maryna Marcinkowska (później Sołtyńska, Szöllösi)



Absolwenci biologii zatrudnieni w Zakładzie
 Antropobiologii Akademii Wychowania Fizycznego
 w Warszawie, 1952 r. Od lewej: Romana
 Kurniewicz-Witczakowa, Napoleon Wolański
 i Irena Geyer-Duszyńska



Roman Mycielski jako laborant prof. Ludwika Hirszfelda w Katedrze Mikrobiologii Lekarskiej we Wrocławiu, sierpień 1953 r.



Jerzy Czerski w pracowni Zakładu Fizjologii Roślin w Szkole Głównej, lata 50.



Maryna Marcinkowska (później Sołtyńska, Szöllösi), zbiór materiału do pracy magisterskiej, Kuźnica na Helu, 1959 r.



Alina Kacperska jako pracownik Instytutu Melioracji Użytków Zielonych, Zakład Łąkarstwa SGGW, lata 50.



Studenci mikrobiologii na dziedzińcu przed Szkołą Główną, ok. 1959 r.
Stoją od lewej: osoba nierozpoznana, Stefan Makowski, Ewa Gorzkowska
(później Bieszkiewicz)



Grupa młodych hydrobiologów i ekologów, Przerwanki na Mazurach,
1957 r. Od góry z lewej: Jan Igor Rybak, Teresa Wiśniewska (później
Rybak) i Eligiusz Pieczyński. Na dole z prawej: Ewa Pieczyńska
i gospodyni, pani Bronia oraz dwie osoby nierozpoznane



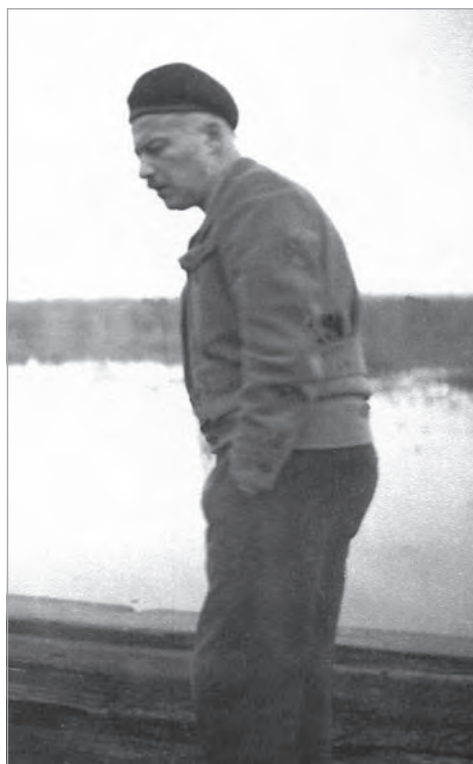
Uroczystość w Szkole Głównej, lata 50. Przy stole siedzą od lewej: prof. Zygmunt Kraczkiewicz, nad nim prof. Piotr Strebeyko, obok ks. prof. Józef Szuleta, prof. Kazimierz Bassalik z nierozpoznanym dzieckiem na kolanach, nad nim Józef Stecki, obok prof. Franciszek Ksawery Skupieński (botanik, uczeń prof. Zygmunta Wóycickiego) oraz grono współpracowników



Pracownicy Zakładu Systematyki i Geografii Roślin, ok. 1955 r. Siedzą: prof. Bolesław Hryniewiecki, Irena Rejment-Grochowska, Alina Skirgiełło. Stoją od lewej: Jadwiga Mickiewicz, Zbigniew Podbielkowski, Dygna Sobotka i Maria Polakowska (z Zakładu Ekologii Roślin)



Wykładowcy Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi, od lewej: Henryk Teleżyński, Zygmunt Kraczkiewicz, ks. Józef Szuleta, Jadwiga Tarkowska i Waław Gajewski, lata 50.



Profesor Wincenty Lesław Wiśniewski w trakcie badań nad krążeniem pasożytów w biocenozie, Mazury, lata 50.



Zajęcia z anatomii kręgowców w Zakładzie Zoologii, w środku siedzi prof. Zdzisław Raabe, za nim stoi Kazimierz Dobrowolski jako asystent, Szkoła Główna, 1957 r.



Pracownia magisterska w Zakładzie Cytologii, przy mikroskopie prof. Zygmunta Kraczkiewicza, nad nim stoi Teresa Perkowska (wolontariuszka), pod oknem Bohdan Matuszewski (później kierownik Zakładu), w głębi studentki Teresa Pawełczyk, Grażyna Ejsmont, Janina Saska i Irena Geyer-Duszyńska, Szkoła Główna, 1958 r.



Uczestnicy badań nad krążeniem pasożytów w biocenozie, projektu prof. Wincentego Lesława Wiśniewskiego, Mazury, jezioro Drużno, lata 50. Od lewej: Tomasz Umiński, Krzysztof A. Tarkowski i Kazimierz Dobrowolski



Katarzyna Niewiadomska – zbieranie ślimaków do badań na temat krążenia pasożytów w biocenozie, projektu prof. Wincentego Lesława Wiśniewskiego, Mazury, lata 50.



Uczestnicy wyprawy zoologicznej „Daru Opola” na Morze Czerwone, lata 1959–1960. Od lewej: Jerzy Knabe (III oficer), Henryk Jakubowski (zoolog, wolontariusz), Tomasz Umiński (kierownik naukowy wyprawy), Olgierd Baniewicz (II oficer, bosman).



Tomasz Umiński, kierownik naukowy wyprawy zoologicznej, na pokładzie „Daru Opola”, Morze Czerwone, 1960 r.



Tomasz Umiński (po lewej) i Jerzy Nowicki, uczestnicy wyprawy „Daru Opola” na Morze Czerwone – przygotowanie zbiorów (rozbijanie wydobytych z dna koralii w poszukiwaniu okazów zoologicznych), Morze Czerwone, 1960 r.



Wycieczka statkiem po Wiśle, lata 60. Od lewej: Zbigniew Podbielkowski, Henryk Teleżyński, Maria Podbielkowska, Zofia Kasprzyk i Jerzy Czerski



Wycieczka statkiem po Wiśle, lata 60. Od lewej: Zofia Kasprzyk, Zbigniew Podbielkowski, Jadwiga Tarkowska, Jerzy Czerski, osoba nierozpoznana



Ksiądz profesor Józef Szuleta, lata 60.



Ksiądz profesor Józef Szuleta i Andrzej Paszewski, lata 60.



Zaliczenie pracowni półdziejnej z anatomii roślin. Od lewej: Henryk Teleżyński, ks. prof. Józef Szuleta oraz studenci Tomasz Majewski, Zdzisław Świderski, Sylwia Kowalska i Mirosława Gągała, 1961 r.



Stanisław Lewak w pracowni Katedry Biochemii, lata 60.



Uroczystość w Katedrze Biochemii, lata 60. Od lewej siedzą: Janina Zielińska, Alina Skirgiełło, Zofia Kasprzyk; stoją: Zbigniew Kaniuga, Stanisław Lewak i dyplomanci

Uroczystość z okazji
zakończenia studiów
i uzyskania absolutorium
(rocznik 1955–1960).

Od lewej siedzą:
prof. Zdzisław Raabe,
Zdzisław Bień,
prof. Tadeusz Jaczewski
i Kazimierz Dobrowolski,
1960 r.



Od lewej siedzą:
Bohdan Styczyński,
prof. Aleksander
L. Godlewski (antropolog),
Teodor Neuman
i prof. Zdzisław Raabe,
1960 r.



Przemawia prof. Zygmunt
Kraczkiewicz. Od prawej
siedzą: Alina Skirgiełło,
Jan Sucharski i Hanna
Dobrowolska, 1960 r.





Profesor Alina Skirgiełło i Janina Zielińska na wycieczce terenowej w trakcie IV Kongresu Europejskich Mykologów, zorganizowanego w Warszawie, 1966 r.



Janina Zielińska, zbiór materiału do badań, Ruciane-Nida, lata 60.



Uroczystość z okazji promocji doktorskiej Kazimierza Toczki (stoi) i Witolda Jachymczyka (pierwszy z prawej), obok Stanisław Lewak, osoba nierozpoznana, prof. Irena Chmielewska i Zofia Kasprzyk, Katedra Biochemii, 1962 r.



Pracownicy Katedry Biochemii w trakcie obrad III Zjazdu Federacji Europejskich Towarzystw Biochemicznych (FEBS), 1966 r. Od lewej: Włodzimierz Zagórski (później wieloletni dyrektor IBB PAN), prof. Irena Chmielewska, Andrzej Gordas, Jadwiga Bryła i Jerzy Prus-Bogusławski (od 1968 r. w Saint Louis, Missouri, USA)



Ewa Pieczyńska – kierownik Zakładu Hydrobiologii w latach 1969–1983, 1964 r.



Badania ekosystemu jeziora Warniak na Mazurach, lata 60. Od lewej: Anna Stańczykowska z Zakładu Ekologii PAN, Ewa Pieczyńska i Andrzej Prejs



Zbiór materiału do magisterium – przygotowania do połowu zooplanktonu na Czarnym Stawie Gąsienicowym – transport sprzętu do badań na przyczepie rowerowej, Tatry, wiosna 1962 r. Od prawej: Zbigniew Maciej Gliwicz z siostrzeńcem Grzegorzem Pritulakiem (później znanym klawirzystą)



Zbiór materiału do magisterium – pobieranie prób zooplanktonu (głównie wrotków i skorupiaków) oraz wody do pomiaru rozpuszczonego w niej tlenu z „głęбочka” na Czarnym Stawie Gąsienicowym, analizy prowadzono następnie w schronisku Murowaniec na Hali Gąsienicowej, Tatry, wiosna 1962 r. Od lewej: Mirosław Gwarek (obecnie biznesmen w Nowym Jorku) i Zbigniew Maciej Gliwicz



Uroczystość po obronie magisterium. Od lewej: Bernard Bezubik, Maria Magdalena Borowik i prof. Zdzisław Raabe, 1965 r.



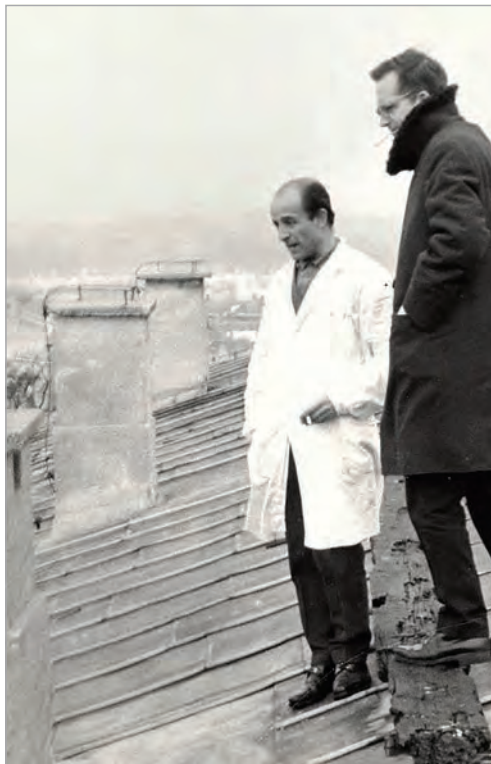
Uroczystość po obronie magisterium. Od lewej: Tomasz Umiński, Maryna Sołtyńska (później Szöllösi) i dyplomantki Maria Magdalena Borowik, Barbara Derelkowska (później Jacewicz) i Anna Puciłowska (z d. Szewczyk), 1965 r.



Grzegorz Soszka (później oceanolog) z zaskrońcem, wycieczka studentów biologii do Białowieży, 1964 r.



Wyprawa zoologów nad Adriatyk, 1968 r. W wyposażeniu były samochód Nysa i skuter Osa



Jerzy Czerski i Stanisław Lewak
na dachu Szkoły Głównej, lata 60.



Stanisław Stańczyk, szklarz
aparaturowy Zakładu Fizjologii
Roślin, i Jerzy Czerski – fitotron
w Szkole Głównej, lata 60.



Teresa Rogulska zostaje pracownikiem Instytutu Zoologii, 1966 r. Siedzą od lewej: Ewa Mystkowska-Bączkowska, Teresa Rogulska, Krystyna Adamczewska-Andrzejewska i Wacław Ożdżeński



150-lecie Ogrodu Botanicznego UW, 1968 r. Od lewej: prof. Zygmunt Kraczkiewicz, Ludmiła Karpowiczowa, Aniela Matuszkiewiczowa, Janusz Bogdan Faliński i osoba nierozpoznana



Mirosława Włodarczyk
(z d. Wiesztort) w pracowni
Instytutu Mikrobiologii, lata 60.



Pracownicy Instytutu Mikrobiologii, koniec lat 60. Od lewej: Mirosława Włodarczyk, osoba nierozpoznana, Danuta Klimuszko, Ewa Siwińska (?), Roman Mycielski, Władysław Klemba



Pracownicy Instytutu Mikrobiologii na rajdzie nad Wigrami, ok. 1969 r. Od lewej: Alma Szymanowska, Andrzej Piekarowicz, Joanna Kamińska (później Dusoge), Ewa Bieszkiewicz, Ewa Siwińska, Roman Mycielski



Roman Mycielski na spływie kajakowym Czarną Hańczę, zorganizowanym przez grupę kolegów z Instytutu Mikrobiologii, 1969 r. W spływie uczestniczyli też m.in. Mirosława Włodarczyk z mężem, Andrzej Najer i Szymon Szymanowski



Janina Kaczanowska – 60. urodziny
prof. Zdzisława Raabego, 1969 r.



60. urodziny prof. Zdzisława Raabego, 1969 r. Od lewej: Wanda Riedel,
prof. Tadeusz Jaczewski i Hanna Delimat



Andrzej Podstolski jako asystent w Katedrze Biochemii, lata 60.



Bogusław Wilkomirski jako asystent w Instytucie Biochemii, 1973 r.



Krzysztof Staroń jako asystent w Instytucie Biochemii, 1969 r.



Pracownicy i studenci Instytutu Biochemii, 1973 r. W pierwszym rzędzie siedzą profesorowie Kazimierz Toczko i Zbigniew Kaniuga, w drugim rzędzie: Antoni Jacek Zbrożyna, Jakub Ząbek i Paweł Kintii, w trzecim rzędzie: Andrzej Jerzmanowski i Krzysztof Staroń, pozostałe osoby nierozpoznane



Profesorowie Irena Chmielewska, Zofia Kasprzyk i Bernard Bezubik na Wystawie Radzieckiej Książki Biochemicznej, 1970 r.



Profesor Bernard Bezubik, Zbigniew Kaniuga i prof. Irena Chmielewska oraz Antoni Jacek Zbrożyna (z lewej) i Zofia Kasprzyk (w głębi) na Wystawie Radzieckiej Książki Biochemicznej, 1970 r.



Uroczystość z okazji promocji doktorskiej Anny Rychter i Andrzeja Podstolskiego, Szkoła Główna, 1972 r.



Pracownicy i studenci Zakładu Fizjologii Roślin na schodach Szkoły Głównej, początek lat 70. Od lewej: Stefania Egierszdorf, osoba nierozpoznana (siedzi), Jerzy Czerski, Alina Kacperska, Katarzyna Dziewanowska, Gabriela Smoleńska-Sym, Anna Halińska, Anna Rychter, Krystyna Szkutnicka, Melania Borodziuk, dwie osoby nierozpoznane i Stanisław Lewak



Zespół fizjologów roślin prof. Stanisława Lewaka, schody Szkoły Głównej, lata 70. Od lewej stoją: Irena Sińska, Bożenna Maciejewska, Irena Dudzińska, Andrzej Podstolski; siedzą: Krystyna Szkutnicka, Anna Rychter, Stanisław Lewak i Anna Halińska



Pracownicy Instytutu Mikrobiologii, ok. 1972 r. Od lewej: prof. Zbigniew Kwiatkowski (tyłem), prof. Władysław Kunicki-Goldfinger, Maciej Tabaczyński, Anna Kraczkiewicz



Instytut Mikrobiologii, przy projektorze Marek Ostrowski, za nim prof. Władysław Kunicki-Goldfinger, na pierwszym planie Ewa i Andrzej Piechuccy, lata 70.



Imieniny Andrzeja K. Tarkowskiego. Od lewej: prof. Zygmunt Kraczkiewicz, solenizant obdarowany orderem „Mysiej podwiązki” i Tomasz Umiński, 1970 r.



Krystyna Kowalska i Hanna Delimat w Bibliotece Instytutu Zoologii na parterze Szkoły Głównej, lata 70.



Stanisław Lewak i Tomasz Umiński,
Bieszczady, jesień 1971 r.



Jan Chojnacki, wyprawa studencka w góry
Tień-Szań, 1971 r.



Stacja Hydrobiologiczna Instytutu Ekologii PAN w Mikołajkach, przydział kwater studentom na zajęciach terenowych, lata 70. Od lewej: studentka, Andrzej Prejs, Jan Igor Rybak i Franciszek Szajnowski (IE PAN)



Ekipa prowadząca zajęcia terenowe w Mikołajkach, 1972 r. Od lewej: Andrzej Prejs, Feliks Grędziński, Jan Igor Rybak, Kazimierz Dobrowolski i Andrzej Kowalczewski



Ryszard Halba, akcja liczenia ptaków na Mazurach, przerwa śniadaniowa nad jeziorem Dgal Mały, 1973 r.



Kazimierz Dobrowolski nad jeziorem Śniardwy na Mazurach, 1971 r.



Eugeniusz Nowak w poszukiwaniu miejsc na ambony do obserwacji ptaków nad jeziorem Łuknajno na Mazurach, 1972 r.



Wycieczka w Bieszczady, jesień 1971 r. Prowadzi Rafał Skoczylas, za nim Małgorzata Gołembiewska, Kazimierz Dobrowolski i osoba nierozpoznana



Wycieczka pracowników i studentów na Stawy Milickie, 1971 r. Na dziobie łodzi siedzi Kazimierz Dobrowolski, od lewej stoją: Ewa Cielecka, Danuta Jędraszko (później Jędraszko-Dąbrowska), Rafał Skoczylas i studentka Pigłosiewicz



Praktyki robotnicze studentek Wydziału Biologii w warszawskim Zoo, lipiec 1970 r. Od lewej stoją: Elżbieta Ostrowska (ob. Romanowska), Barbara Ożóg (ob. Ożóg-Brodowska), Maria Nowaczek (ob. Nowaczek-Migas), Ewa Kupidłowska, Maria Uziębło (ob. Wałęza)



Splyw Bugiem na tratwie „Bulgotek”, 1970 r. Od prawej: Barbara Żbikowska (d. Korejwo), Wojciech Żbikowski, Zdzisław Markiewicz i Piotr Cęglowski (na dole). Zdjęcie zrobił uczestnik spływu Marek Ostrowski



Uroczystość z okazji promocji doktorskiej Teresy Tykarskiej z Instytutu Botaniki, 1977 r. Od lewej: Małgorzata Wierzbicka, Andrzej Batko, Teresa Tykarska (częściowo zasłonięta), prof. Alina Skirgiełło i prof. Jerzy Poskuta



Uroczystość z okazji promocji doktorskiej Andrzeja Prejsa, 1971 r. Od lewej: prof. Kazimierz Petruszewicz i Andrzej Prejs

Profesor Janusz Bogdan Faliński na stałej powierzchni do długoterminowych badań ekologicznych, prowadzonych przez Białowieską Stację Botaniczną, Puszcza Białowieska, lata 70.



Maria Podbielkowska, Maria Charzyńska i ks. prof. Józef Szuleta, zajęcia terenowe, Klembów, 1971 r.



Uroczystość po obronie pracy doktorskiej Marty Bednarskiej (na zdjęciu z prof. Kazimierzem Matusiakiem), 1972 r.



Uroczystość po obronie pracy doktorskiej Marty Bednarskiej, 1972 r. Od lewej: Danuta Klimuszko, Zbigniew Sendułka (siedzi), Janusz Popowski, Elżbieta Katarzyna Jagusztyn-Krynicka i Krystyna I. Wolska



Andrzej Piekarowicz z żoną
w Instytucie Mikrobiologii, 1972 r.
W tle – Ewa Piechucka



Uroczystość po obronie pracy
doktorskiej Marty Bednarskiej
(na zdjęciu z Jerzym Hrebendą),
w dole po prawej stronie siedzi
Elżbieta Katarzyna Jagusztyn-
Krynicka, 1972 r.



Profesor Władysław Kunicki-Goldfinger i Ewa Bieszkiewicz
w Instytucie Mikrobiologii, lata 70.



Uroczystość z okazji promocji doktorskiej Petera Genowa (Bułgaria), koniec lat 70. Od lewej stoją: prof. Irena Rejment-Grochowska, Alina Doroszevska, prof. Janusz Gill, prof. Maria Jeżowa (Prorektor UW), prof. Kazimierz Dobrowolski (promotor), Wanda Riedel i prof. Zbigniew Kwiatkowski oraz Hanna Delimat



Uroczystość z okazji promocji doktorskiej Petera Genowa (Bułgaria), koniec lat 70. Od lewej: prof. Janusz Gill, Alina Doroszevska, dwie osoby nierozpoznane, Andrzej Podstolski i prof. Andrzej K. Tarkowski (w głębi), prof. Irena Rejment-Grochowska, Krzysztof Staroń (w głębi), Stanisław Maleszewski, Jadwiga Bryła, Wirginia Janiszowska, osoba nierozpoznana, Kazimierz Toczko i Jerzy Tomczyk. Z lewej strony w głębi Andrzej Batko (?)



Wyjazdowa sesja Rady Wydziału Biologii w Białowieży, nierozpoznana uroczystość, na której przemawia prof. Zdzisław Pucek (Zakład Badania Ssaków), Białowieża, 1970 r. Od prawej w pierwszym rządzie stoją: Krystyna Falińska, Stanisław Lewak, Zofia Kasprzyk, Jerzy Czerni, Alina Kacperska (?), Henryk Teleżyński, Zbigniew Kaniuga, Zygmunt Kraczkiewicz, Bernard Bezubik, Irena Rejment-Grochowska i Ludmiła Bassalik-Chabielska; pozostałe osoby, też w drugim rządzie nierozpoznane



Profesorowie Wydziału Biologii, lata 70.
Od lewej: Jerzy Poskuta, Zbigniew Kaniuga
i Andrzej K. Tarkowski; w drugim rzędzie
z lewej strony Stanisław Maleszewski



Promocje habilitacyjne, 1979 r. Od lewej:
prof. Bernard Bezubik, prof. Kazimierz
Matusiak i doktorzy habilitowani Andrzej
Kaczanowski, Jerzy Moraczewski i Roman
Mycielski



Promocja doktorska pracowników Instytutu
Mikrobiologii, Pałac Kazimierzowski, 1976 r.
Od lewej: prof. Kazimierz Matusiak, Hanka
Boszczyk-Maleszak, Anna Kraczkiewicz-
Dowjat, prof. Władysław Kunicki-Goldfinger
i Mieczysław Błaszczak



Spotkanie z prof. Royem Curtisem III
(na zdj. pierwszy z lewej) w Instytucie
Mikrobiologii, poł. lat 70. W środku
prof. Władysław Kunicki-Goldfinger,
obok prof. Zbigniew Kwiatkowski



Uroczystość (ze śpiewami) po obronie doktoratu Ireny Sińskiej, pracownia na pierwszym piętrze Szkoły Głównej, 1974 r. Od lewej: Kazimierz Dobrowolski, Stanisław Lewak, Irena Sińska i Katarzyna Dziewanowska



Towarzyskie spotkanie na sali ćwiczeń z fizjologii roślin po obronie pracy doktorskiej. Od lewej: Krystyna Szkutnicka, prof. Stanisław Lewak, Elżbieta Ostrowska (ob. Romanowska), lata 70.



Przed Szkołą Główną, początek lat 80. Od lewej: Andrzej Czubaj, Maryna Sołtyńska (później Szöllösi) i Anna Kuferowicz



Pracownicy Instytutu Mikrobiologii, lata 80. Od lewej stoją: Marzena Kuźma, Grażyna Staszczyńska, Aleksandra Skłodowska, Halina Heleszko, Krystyna Dziechciarz, Janusz Popowski, Katarzyna Brzostek, Danuta Karnkowska, prof. Zbigniew Kwiatkowski, prof. Władysław Kunicki-Goldfinger, Ewa Bieszkiewicz; siedzą, od lewej: Andrzej Piekarowicz, Elżbieta Katarzyna Jagusztyn-Krynicka, Halina Ślubowska-Chróst, Marta Bednarska, Mirosława Włodarczyk



Obrona doktoratu Samy K. M. Hassana (Egipt), 1982 r. Od lewej w pierwszych rzędach siedzą profesorowie: Stanisław Maleszewski, Bronisław Cymborowski, Piotr Węgleński i Roman Mycielski; w trzecim rzędzie od lewej: Bożenna Maciejewska, Hanna Szymańska (obie w okularach), Hanna Werblan, Alicja Borowska i Tomasz Majewski (pod ścianą w okularach)



Profesor Janusz Bogdan Faliński wśród uczestników II Letniej Szkoły Geobotanicznej w Białowieży, zabawa w uroczyśku Stara Białowieża, 1985 r.



Edward Siński na wyjazdowej sesji Rady Wydziału Biologii w Białowieży, 1984 r.



Wyjazdowa sesja Rady Wydziału Biologii w Białowieży, 1984 r. Na pierwszej furmance siedzą od lewej: prof. Stanisław Lewak, Jolanta Sotowska-Brochocka, Tomasz Umiński, Mirosława Włodarczyk, Anna Kraczkiewicz i Andrzej Batko



Krzysztof Dmowski, zajęcia terenowe w Urwitalcie na Mazurach, lata 80.



Ryszard Halba wśród pingwinów. Stacja Arctowskiego na Antarktydzie, 1980 r.



Spotkanie pod lipą, stacja terenowa Zakładu Zoologii i Ekologii w Urwitalcie na Mazurach, 1985 r. Od lewej: Ryszard Halba (kierownik stacji), Hanna Dobrowolska, Anna Kozakiewicz z córką, Michał Kozakiewicz i Anna Kalinowska



Anna Kalinowska, stacja terenowa
w Urwitalcie na Mazurach, Wianki 1988



Zajęcia z biocenologii, Urwitałt na Mazurach, 1988 r. Od lewej siedzą: Michał Kozakiewicz, Joanna Pijanowska, Piotr Dawidowicz, osoba nierozpoznana i Marcin Brzeziński



Po uroczystości przyznania doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Władysławowi Kunickiemu-Goldfingerowi, listopad 1989 r. Od lewej: Krystyna I. Wolska, Jadwiga Baj, prof. Władysław Kunicki-Goldfinger, Władysława Kunicka, Marek Ostrowski



Po uroczystości przyznania doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Władysławowi Kunickiemu-Goldfingerowi, listopad 1989 r. Od lewej: Władysława Kunicka, Jadwiga Baj, Krystyna I. Wolska, prof. Władysław Kunicki-Goldfinger, Marta Bednarska



Choinka w Zakładzie Embriologii, 1987 r. Od lewej siedzą: Małgorzata Waksmundzka, Ewa Borsuk, prof. Andrzej K. Tarkowski i Teresa Rogulska. Od lewej stoją: Marta Modlińska, Alina Szarska i Zofia Dubak



Ewa Bartnik i Piotr Stępień udzielają wywiadu dla „Życia Warszawy”, Zakład Genetyki (dziś Instytut Genetyki i Biotechnologii) w gmachu IBB PAN, lata 90.



Hanna Werblan-Jakubiec, zbiór glonów na przybrzeżnych skałach w Irlandii, lata 90.



W drodze powrotnej z XII Międzynarodowego Sympozjum Fykologicznego w Płocicznie, 1993 r. Ligia Tuszyńska obok Andrzeja Batki, który wygłosił tam, przyjęty z dużym aplauzem, referat *Prawda glonów – prawda ekologów*



Od lewej stoją: Agata Tarmanowska (doktorantka), Bożena Zakryś, Jan Barica (Uniwersytet w Ontario), Małgorzata Briks (magistrantka), Andrzej Batko, Ligia Tuszyńska i Włodzimierz Winiarski (najwyżej)



Krzysztof Dmowski i Katarzyna Sawicka-Kapusta (Uniwersytet Jagielloński), lata 90.



Wigilia w Zakładzie Systematyki i Geografii Roślin, 1993 r. Od lewej: Marta Wrzosek, Andrzej Batko i Joanna Bogdanowicz (Ogród Botaniczny)



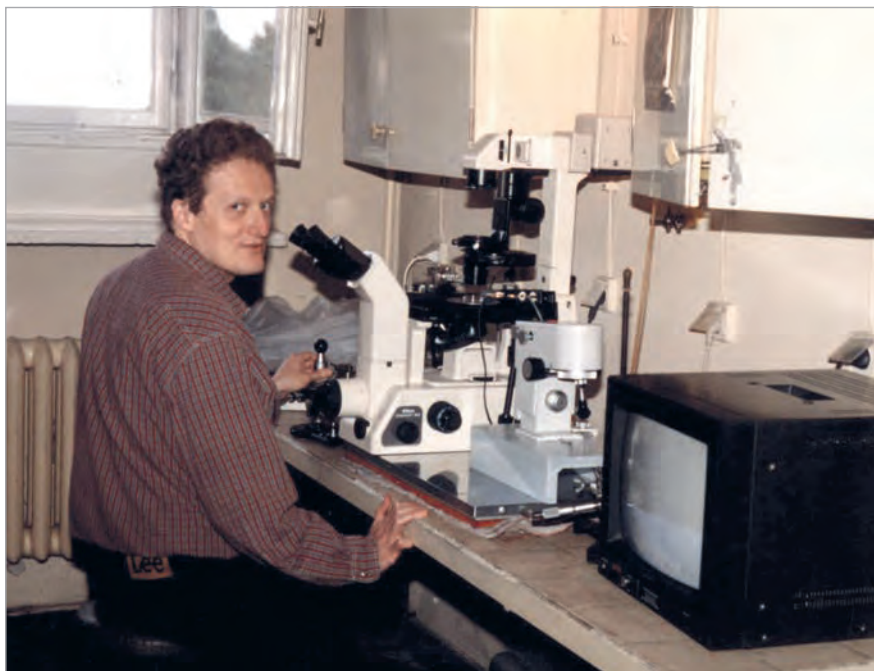
Profesorowie Władysław Matuszkiewicz i Janusz Bogdan Faliński na XLIX Zjeździe i uroczystości 70-lecia Polskiego Towarzystwa Botanicznego, Kielce, 1992 r.



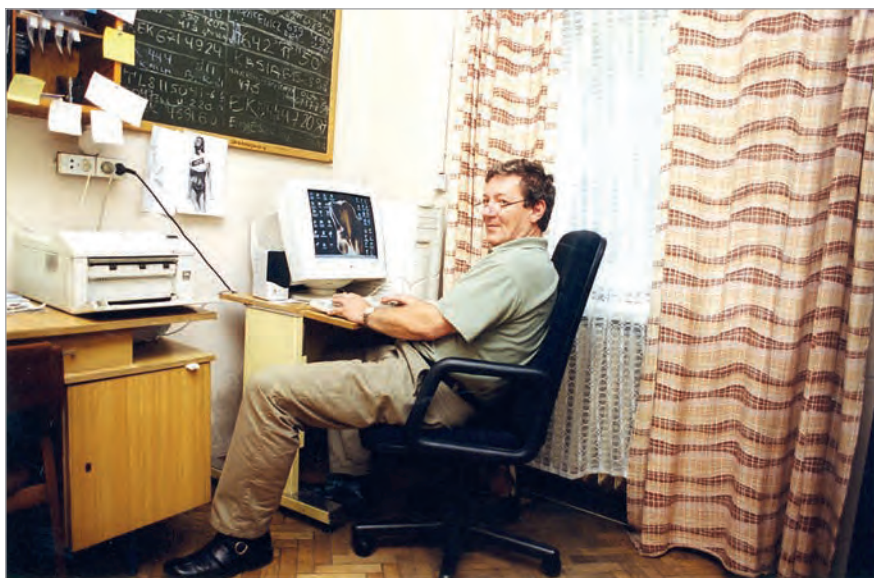
Promocja magisterska Wojciecha Podstolskiego z rąk prodziekana Bogusława Wilkomirskiego, 1996 r.



Obchody 175-lecia Ogrodu Botanicznego, 1993 r. W pierwszym rzędzie od lewej: Prezydent m.st. Warszawy Stanisław Wyganowski z żoną (z parasolką), Dyrektor Ogrodu Hanna Werblan-Jakubiec, prof. Ewa Symonides, prof. Stanisław Lewak i osoba nierozpoznana. Za nimi od lewej stoją dwie osoby – przedstawiciele administracji UW i Dariusz Wyrwicki



Marek Maleszewski w swojej pracowni w Zakładzie Embriologii, 1997 r.



Jacek Bielecki w swoim pokoju w Instytucie Mikrobiologii, lata 90.



Pracownicy Instytutu Mikrobiologii, lata 90. Od lewej: Zdzisław Markiewicz, Jadwiga Baj, Anna Kraczkiewicz-Dowjat



Po uroczystości przyznania doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Andrzejowi K. Tarkowskiemu, Kraków, 2000 r. Od lewej: Anna Kozakiewicz, Ewa Symonides, Agnieszka Mostowska, Jacek Bielecki, Krystyna Skwarło-Sońta i Michał Kozakiewicz



Uroczyste otwarcie nowego budynku Wydziału Biologii z udziałem prof. Ewy Symonides, prof. Jerzego Moraczewskiego, Rektora UW prof. Piotra Węgleńskiego i Prezydenta m.st. Warszawy Pawła Piskorskiego, Kampus Ochota, ul. Ilji Miecznikowa 1, 3 października 2000 r.





Lewakalia I – spotkanie byłych doktorantów prof. Stanisława Lewaka na podwarszawskiej działce, 2005 r. Od lewej: Sławomir Zagórski, Irena Sińska, Anna Halińska, Stanisław Lewak, Bożenna Maciejewska, Irena Siegiń, Anna Rychter, Alina Dawidowicz (pod oknem) i na pierwszym planie planie gospodarz Andrzej Podstolski



Konferencja naukowa „Różnorodność biologiczna i ekologia pasożytów w środowisku wodnym” poświęcona pamięci prof. Wincentego Leśława Wiśniewskiego w 50. rocznicę śmierci, wrzesień 2008 r. Halina Wiśniewska, wdowa po Profesorze, przyjmuje kwiaty z rąk prof. Edwarda Sińskiego



Profesor Maria Doligalska na Konferencji „Różnorodność biologiczna i ekologia pasożytów w środowisku wodnym” poświęconej pamięci prof. Wincentego Leśława Wiśniewskiego w 50. rocznicę śmierci, wrzesień 2008 r.



Profesor Barbara Sudnik-Wójcikowska – badania flory kurhanów i bałek (suchych wąwozów erozyjnych) w okolicach Czehrynia (Czyhiryn) w obwodzie Czerkaskim na Ukrainie, 2007 r.



Uroczystość 90. urodzin prof. Zbigniewa Kaniugi (z prawej), obok Jan Fronk, 5 grudnia 2014 r.



Uroczystość z okazji przejścia na emeryturę Danuty Niedzielskiej-Starzyk, wieloletniej kierownik Biblioteki Wydziału Biologii, 2017 r. Od lewej stoją profesorowie: Tomasz Umiński, Joanna Pijanowska i Krystyna Skwarło-Sońta. Od lewej siedzą: Barbara Kauc, Bożena Plejnerowska, Karol Wachowski, Zofia Kamińska, Danuta Niedzielska-Starzyk, Małgorzata Muszyńska-Pytel, Małgorzata Czerwińska, Andrzej Czubaj i Teresa Rogulska

INDEKS OSÓB

Indeksem objęto tekst główny i ilustracje. Gwiazdkami oznaczono numery stron, na których osoby są autorami wypowiedzi. Zastosowano skróty: właśc. – właściwie, zob. – zobacz.

- Adamczewska-Andrzejewska Krystyna 401
Albertsson Per-Åke 229, 230
Amsterdamski Stefan 294
André Jean 213
Andrearczyk Janina 262
Andrzejewski Roman 35, 36
Archacka Karolina 356
Aguściak Jagoda 253, 259, 260
Aguścińska Elżbieta 333
Austin Stuart 226
Axer Jerzy 287
Ayala Francisco J. 244
- Baehr Waclaw, von 161
Baj Jadwiga 7, 14, 34, 429, 435
Bajer Anna 275
Balcerowicz Leszek 354
Balicka Ewa zob. Bartnik Ewa
Baltimore David 220
Bałakier Hanna 204
Banaś-Stęпка Małgorzata 184
Baniewicz Olgierd 210, 389
Barankiewicz Teresa 202
- Barica Jan 431
Bartecka Barbara 22
Bartnik Aleksandra 255
Bartnik Ewa 34*, 76*, 77, 88, 89, 113*, 130*, 189, 190, 199*, 226*, 256*, 298, 331*, 354*, 430
Bartoszewska Zofia 247
Bartoszewski Władysław 247
Bassalik Kazimierz 25, 34, 48, 49, 58–60, 64, 65, 68, 83, 95, 96, 99, 102, 106, 111, 125, 126, 129, 137, 141, 237, 269, 291, 309, 345, 385
Bassalik Ludmiła zob. Bassalik-Chabielska Ludmiła
Bassalik-Chabielska Ludmiła 59, 64–66, 68, 74, 84, 96, 99, 102, 108, 128, 421
Batko Andrzej 80, 81, 90, 120, 151, 155–157, 203, 204, 228, 243, 262, 299, 300, 303–305, 315, 319, 332, 416, 420, 426, 431
Bednarska Małgorzata 113, 147, 168, 418, 419, 424, 429
Bednarska Marta 275
Behnke Jerzy 222

- Bekier Zofia zob. Bury Zofia
Benedek Witold 241
Benson Andrew 229
Benz Roland 231
Bersin vel Berse Brygida 89
Bezubik Bernard 38, 40, 69, 128, 139, 155, 165, 193, 194, 203, 222, 223, 241, 244, 276, 311, 313, 320, 398, 406, 407, 421, 422
Bębas Piotr 189
Białkowski Grzegorz 265, 273
Bidziński Andrzej 72
Bielecki Jacek 37*, 115*, 131*, 229*, 253, 358*, 434, 435
Bielicki Tadeusz 90, 157
Bieniak Beata 184
Bień Zdzisław 61, 393
Bieszkiewicz Ewa 25*, 59*, 102*, 111, 127*, 187*, 198, 245*, 343*, 372, 384, 403, 419, 424
Bieszkiewicz Jarosław 187
Biggs H. E. J. 212
Bilewicz Kazimierz 345
Błaszczyk Mieczysław 422
Bochenek Adam 21
Bogacz 55
Bogdanowicz Joanna 132, 431
Bogdanowicz Lech 132
Bogusławski Jerzy 72
Boguś Mieczysława 189
Bohr Niels 294
Bojanowska Anna 148
Boos Winfried 231
Borchardt Karol 316
Borodziuk Melania 408
Borowik Maria Magdalena 30*, 43, 70, 77, 109*, 121, 147*, 155, 167*, 194, 195*, 203, 224*, 251, 276*, 348*, 398
Borowska Alicja 105, 191, 425
Borsuk Ewa 204, 430
Boszczyk Hanka zob. Boszczyk-Maleszak Hanka
Boszczyk-Maleszak Hanka 198, 245, 422
Bottrell Howard H. 220
Brady John 218
Brandes Dietmar 173
Brehm Alfred 23, 38
Briks Małgorzata 431
Bronia 384
Brown Greg 224
Brown Lester 301
Brunk Clifford 342
Bryła Jadwiga 31*, 35, 72, 73, 77, 109*, 129*, 168*, 195*, 225*, 253*, 263, 277*, 330*, 395, 420
Brzeski Michał 214
Brzeziński Marcin 265, 428
Brzeziński Ryszard 192
Brzostek Katarzyna 40*, 117*, 132*, 232*, 303*, 360*, 424
Bujak Zbigniew 251, 274
Bujalska Gabriela 180, 310, 381
Burakowski Bolesław 192
Bury Zofia 317
Bylina Hanna 381
Bystrek Jan 181
Bystrzejewska Grażyna 202
Cegielski Zdzisław 198, 317
Cegłowski Piotr 75, 415
Charzewska Malina 381
Charzyńska Maria 23*, 30, 55*, 80, 87, 109, 172, 184*, 202, 213*, 240*, 271*, 292*, 302, 312*, 328*, 342*, 417
Chmielewska Irena 33, 53, 59, 70, 71, 73, 85, 95, 102, 109, 110, 113, 117, 125, 127, 140, 181, 195, 199, 200, 209, 210, 221, 291, 292, 332, 395, 406, 407
Chmielewska Małgorzata 77
Chmurzyński Jerzy 138
Chojnacki Jan 81*, 281*, 355*, 376, 411
Chomczyński Piotr 69, 334
Chomicz Lidia 194
Chroboczek Jadwiga 251
Chróst Ryszard 156
Chruszczow Nikita Siergiejewicz 101
Cichowlas Zofia 381
Cielecka Ewa 414
Ciemerych-Litwinienko Maria Anna 272
Cieślak Jerzy 291
Ciołkosz Andrzej 351
Ciświcka Marta 47
Cresti Mauro 213
Crick Francis Harry Compton 67
Curtiss III Roy 298, 422
Cybis Jan 67, 68
Cygan Paweł 265
Cymborowski Bronisław 26*, 103*, 128*, 189*, 196, 197, 200, 219*, 241, 273*, 296*, 314*, 344*, 425

- Cyrankiewicz Józef 63
Czaja Karolina zob. Archacka Karolina
Czajkowska Aleksandra 48
Czarnecki 311
Czarny Ryszard Michał 278
Czekanowski Jan 90
Czerski Jerzy 47, 49*, 95*, 100, 125*, 137*, 179*, 202, 237*, 269*, 291*, 309*, 382, 390, 400, 408, 421
Czerwińska Małgorzata 440
Czołowska Renata 108, 118, 189, 195, 218, 321
Czubaj Andrzej 189, 194, 195, 213, 424, 440
- Daleszyńska Teresa 24
Danilewicz Krystyna 59, 65, 66, 68
Dawidowicz Alina 437
Dawidowicz Piotr 156, 273, 428
Dąbmski Jerzy 52
Delimat Hanna 153, 154, 166, 183, 185, 200, 224, 404, 410, 420
Dembicz Iwona 174
Dembowska Stanisława 98, 100
Dembowski Jan 98, 100, 143
Derelkowska Barbara zob. Jacewicz Barbara
Dickson Richard 224
Diehl Barbara 381
Dirac Paul 294
Dmowski Krzysztof 39*, 84*, 154*, 172*, 301*, 333*, 427, 432
Dobben Han, van 173
Dobrowolscy 195
Dobrowolska Hanna 56, 171, 183, 393, 427
Dobrowolski Kazimierz 54, 61, 68, 89, 103, 116, 124, 138, 150, 153, 156, 160, 164, 166, 167, 169, 179, 195, 196, 200, 208, 223, 282, 285, 298, 300, 301, 303, 308, 311, 316, 318, 370, 378, 380, 387, 388, 393, 412–414, 420, 423
Dobrzańska Janina 62
Dobrzycka Irena 73
Doligalska Maria 40*, 69, 86, 87*, 118*, 132*, 136, 155*, 194, 203*, 223, 262*, 284*, 303*, 321*, 333, 360*, 438
Doliński Marian 129
Donajowa Maria 34
Doroszevska Alina 27, 155, 180, 187, 420
Doroszevska Urszula 27
Doroszevski Marek 138
Dorożyńska Natalia 144, 184
Dowjat Karol właśc. Dowjat Waclaw 77
Dowjat Waclaw zob. Dowjat Karol
Drożak Jakub 277
Dubak Zofia 430
Dubel Dieter 223
Duda Urszula 89
Dudek Marta zob. Bednarska Marta
Dudzińska Irena 408
Dudzińska Teresa 108
Duncan A. 220
Dusoge Joanna 403
Dusoge Krzysztof 381
Duszyński Jerzy 76
Dyakowski Bohdan 24
Dybowski Benedykt Tadeusz 345
Dziadosz Cezary 61, 297
Dziechciarz Krystyna 29, 424
Dziewanowska Katarzyna 72, 193, 408, 423
Dzik Jolanta 195
- Egiersz Dorf Stefania 408
Eichelberger Ewa 72
Ejsmond Grażyna 387
Elkner Wanda zob. Riedel Wanda
Elton Charles Sutherland 301
Engelman Wolfgang 219
- Falińska Krystyna 78, 80, 421
Faliński Janusz Bogdan 80, 81, 302, 365, 401, 417, 425, 432
Falkow Stanley 229
Falska Maryna 138
Faruga Maciej 265
Fałara Zygmunt 75
Fedorowicz Tadeusz 27
Feldman Ewa zob. Piechucka Ewa
Filipowicz Bronisław 33
Filipowicz Witold 33, 34
Fincham John 220
Fishel Richard 226
Fiuczek Mirosław 48, 58, 65, 66, 107
Fleming Aleksander 60, 231
Frankiewicz-Józko Anna 202
Frąckowiak Barbara 119
Fronk Jan 41*, 89*, 120*, 133*, 175*, 263*, 334*, 361*, 440

- Gajewski Wacław 27, 47, 50, 58, 60, 66, 80, 86, 99, 102, 103, 106, 108, 110–112, 114, 115, 117, 119, 129, 130, 137, 140, 149, 179, 180, 187–189, 291, 298, 299, 311, 317, 327, 333, 344, 386
- Galera Halina 338
- Gałecki Julian 80, 116
- Gałała Mirosława 391
- Genow Peter 420
- Gerwel Magdalena 356
- Geyer-Duszyńska Irena 101, 179, 186, 381, 387
- Gientka Anna zob. Rychter Anna
- Gieysztor Marian 27, 30, 47, 56, 62, 66, 109, 143, 296, 297, 311, 312, 344
- Gilert Liliana 77, 78
- Gill Janusz 148, 296, 420
- Ginocyńska Tatiana właśc. Ginetzinskaja Tatiana 223
- Ginetzinskaja Tatiana zob. Ginocyńska Tatiana
- Gliwicz Joanna 36, 145, 146, 170
- Gliwicz Wanda 26
- Gliwicz Zbigniew Maciej 27*, 63*, 103*, 118, 146*, 156, 164*, 170, 193, 220*, 273*, 297*, 304, 315*, 334, 344*, 397
- Głowacka Irmina 183
- Godlewski Aleksander L. 60, 71, 99, 102, 393
- Godwin Trevor W. 227
- Golik Paweł 285
- Golimowski Jerzy 153
- Gołembiewska Małgorzata zob. Golembiewska-Skoczylas Małgorzata
- Gołembiewska-Skoczylas Małgorzata 194, 195, 414
- Gomułka Władysław 26, 58, 240
- Gorzowska Ewa zob. Bieszkiewicz Ewa
- Górska Zofia 47, 164, 179, 237, 256
- Grabski Jerzy 77
- Graczyk Ryszard 24
- Grad Krystyna zob. Dziechciarz Krystyna
- Graniszewska Maja 7, 14
- Grędziński Feliks 412
- Grim Leszek 380
- Grochowska Irena zob. Rejment-Grochowska Irena
- Grochulski Andrzej 380
- Gruszczyńska Bożenna 89
- Grygierek Inka 219
- Grytner-Zięcina Barbara 194
- Gurkau Małgorzata 74
- Gwarek Mirosław 397
- Hałaczekiewicz Andrzej 242
- Halba Ryszard 31*, 73*, 87, 110*, 129*, 168*, 196*, 253*, 277*, 298*, 374, 378, 413, 427
- Halińska Anna 72, 193, 408, 437
- Hassan Sama K. M. 425
- Haydn Joseph 31
- Hays W. 220
- Heisenberg Werner 294
- Heleszko Halina 424
- Hillbricht-Ilkowska Anna 219
- Hirsfeld Ludwik 97, 141, 382
- Hofmokr Tomasz 75
- Honorata 185
- Horoch Maciej 245
- Hrebenda Jerzy 228, 231, 295*, 303, 419
- Hryniewiecki Bolesław 105, 137, 180, 191, 286, 310, 319, 322, 323, 385
- Jabłońska Elżbieta 77, 192, 223
- Jabłoński Bolesław 61
- Jabłoński Henryk 223
- Jacewicz Barbara 398
- Jachner Anna 273
- Jachymczyk Witold 395
- Jacob François 351
- Jaczewski Tadeusz 47, 50, 95, 96, 101, 109, 138, 139, 191, 270, 393, 404
- Jagielski Tomasz 7, 14*
- Jagusztyn-Krynicka Elżbieta Katarzyna 33*, 75*, 111*, 129*, 147, 168*, 198*, 226, 255*, 280*, 298*, 331*, 418, 419, 424
- Jakubiak Mirosława 72
- Jakubowski Henryk 210, 389
- Jan Paweł II właśc. Wojtyła Karol Józef 163, 164
- Janicki Konstanty 104, 297, 310, 313
- Janiszowska Wirginia 227, 332, 420
- Janka zob. Sobczak Nina
- Janota-Bassalik Ludmiła zob. Bassalik-Chabielska Ludmiła
- Jarecka Lena właśc. Jarecka Leokadia 138, 139
- Jarecka Leokadia zob. Jarecka Lena

- Jaruzelski Wojciech 27
Jerzmanowski Andrzej 119, 175, 304, 406
Jeske Edward 223
Jeżowa Maria 420
Jędraszko Danuta zob. Jędraszko-Dąbrowska Danuta
Jędraszko-Dąbrowska Danuta 84, 118, 414
Jopkiewicz Krystyna 86
Jusiak Magdalena 198
- Kacperska Alina zob. Kacperska-Lewak Alina
Kacperska-Lewak Alina 22*, 54*, 97*, 142*, 183, 239*, 271*, 383, 408, 421
Kaczanowscy 195, 265
Kaczanowska Janina 116, 143, 163, 272, 404
Kaczanowski Andrzej 24*, 30, 58*, 62, 101*, 114, 116, 118, 162, 186*, 218, 244*, 342*, 422
Kaczyński Jarosław 257, 344
Kaczyński Lech 257
Kadłubowska Joanna Zofia 181
Kajak Zdzisław 380
Kalinowska Anna 39*, 84, 86*, 118, 154*, 172*, 189, 231*, 261*, 283*, 302*, 427, 428
Kalinowska Małgorzata 86, 333
Kaliński Andrzej 35
Kamińska Joanna zob. Dusoge Joanna
Kamińska Zofia 440
Kamiński Maciej 89
Kamler Ewa 296
Kamper Liliana 380
Kanabus Jan 72
Kaniuga Zbigniew 70, 71, 117, 119, 120, 147, 167, 225, 310, 392, 406, 407, 421, 422, 440
Karabin Andrzej 67
Karamański Jan 309
Karasiewicz Jolanta 189, 204
Karlson Peter 35, 110
Karnkowska Anna 363
Karnkowska Danuta 424
Karolak Nela zob. Praszkiwicz Nela
Karolewski Marek 284, 333
Karpierz Krzysztof 201
Karpiński Andrzej 75
Karpowicz Wanda 140, 181
- Karpowiczowa Ludmiła 77, 310, 401
Kasprzyk Zofia 35, 71, 72, 113, 117, 131, 181, 227, 228, 299, 332, 334, 390, 392, 395, 406, 421
Kasprzykówna zob. Kasprzyk Zofia
Kauc Barbara 32, 226, 311, 440
Kauc Leszek 192
Kaufman Laura 169
Kelcey John G. 173
Kelly Don P. 226
Kemula Wiktor 48
Kennedy John S. 218
Kicińska-Habior Marta 201
Kijowski Jerzy 255
Kintii Paweł 406
Kiseliene Valeria 209
Klein Bruce 223
Klekowski Romuald 219
Klemba Władysław 317, 402
Klimowicz Henryk 143
Klimuszko Danuta 168, 402, 418
Kloc Małgorzata 69, 269
Kłopotowski Tadeusz 74
Kłosowski Stanisław 132
Knabe Jerzy 210, 389
Kochanowicz Jerzy 196
Kochman Józef 190
Kociszewska Barbara zob. Kauc Barbara
Kocur 72
Kołodziejczyk Andrzej 156, 183
Kołos Włodzimierz 88
Koperski Paweł 171, 273
Kordas Andrzej 395
Korejwo Barbara zob. Żbikowska Barbara
Kornaś Jan 302
Kossak Simona 302
Kostelecka-Myrcha Alina zob. Myrcha Alina
Kostrowicki Jerzy 149
Kosztójanc Ch. S. właśc. Koštoanc Hačatur Sedrakovič 74
Kościńska Ewa 85
Kowalczewski Andrzej 61–63, 76, 145, 156, 183, 193, 263, 279, 312, 321, 412
Kowalewska Łucja 203
Kowalkowski Jerzy 210
Kowalska Joanna 153
Kowalska Krystyna 69, 153, 183, 185, 200, 224, 410
Kowalska Sylwia 391

- Kowalski Bolesław 210, 212
Kowarik Ingo 173
Kozakiewicz Anna 37*, 83*, 116*, 171, 427, 435
Kozakiewicz Michał 36*, 81*, 114*, 150*, 169*, 171, 196, 200*, 253, 301, 318*, 355*, 427, 428, 435
Kozera Danuta 86
Kozłowska Elżbieta 58
Kozuch Pola 380
Kraczkiewicz Anna zob. Kraczkiewicz-Dowjat Anna
Kraczkiewicz Janina 34
Kraczkiewicz Zygmunt 34, 47, 52, 56, 102, 103, 109, 161, 163, 179, 196, 243, 291, 295, 296, 309, 310, 314, 317, 339, 344, 385–387, 393, 401, 410, 421
Kraczkiewicz-Dowjat Anna 34*, 78*, 113*, 130*, 147, 169*, 227*, 256*, 299*, 318*, 355*, 409, 422, 426, 435
Kraczuś zob. Kraczkiewicz Zygmunt
Krajewska Estera 52
Krajewski Władysław 60, 107
Krasnodębska-Ostręga Beata 153
Krasuska Katarzyna 62
Krotkov Gleb 201
Kubiak Jacek 204, 232, 317
Kubica Andrzej 35
Kucejko Henryk 80
Kuferowicz Anna 424
Kukier-Wyrwicka Mariola 285
Kulerski Wiktor 381
Kunicka Władysława 198, 429
Kunicki-Goldfinger Władysław J. H. 29, 59, 65, 66, 68, 90, 96, 97, 103, 106, 108, 111, 113, 115, 120, 126–130, 146, 147, 149, 156, 162, 169, 186–188, 194, 197, 198, 227, 241, 255, 263, 291–295, 298, 299, 303–305, 311, 344, 351, 354, 377, 379, 409, 419, 422, 424, 429
Kupidłowska Ewa 415
Kurek Kornel 356
Kurniewicz-Witczakowa Romana 381
Kuźma Konstanty 80
Kuźma Marzena 424
Kuźnicki Jacek 86
Kwiatkowska Anna zob. Kwiatkowska-Falińska Anna
Kwiatkowska-Falińska Anna 240, 257, 281
Kwiatkowski Eugeniusz 295
Kwiatkowski Zbigniew 59, 66, 68, 94, 111, 117, 126–128, 186, 192, 198, 228, 292, 295, 322, 409, 420, 422, 424
Lach Helena 317
Lampe Wiktor 52, 291
Lampert Winfried 220
Lance Claude 329
Larsson Petter 219
Lasota Ala 381
Lechowicz Waldemar 202
Lenarczyk Zofia 354
Lepieszynska Olga 59, 67
Leśniewska Joanna 184
Lewak Stanisław 22*, 53*, 71, 72, 87, 140*, 146, 150, 165–167, 179, 181*, 193, 195, 201, 210*, 238*, 242, 249, 262, 270*, 273, 278, 280, 292*, 297, 310*, 317, 340*, 348, 392, 395, 400, 408, 411, 421, 423, 425, 433, 437
Lewandowska Eliza 184
Lewanty Zofia 165
Leźnicka Barbara 74
Lilek zob. Pieczyński Eligiusz
Lisiecki Andrzej 62, 164, 210, 314
Loeffler Wolfgang 181
Lorkiewicz Zbigniew 198
Lubański Mieczysław 294
Lucyna 204
Luniak Maciej 69
Lutowicz Jadwiga 274
Ławacz Włodzimierz 381
Łomnicki Adam 301
Łopatowska Katarzyna 245
Łukina E. właśc. Łukina Jelizawieta 38
Łukowski Aleksander 171
Łysenko Trofim Denisowicz 27, 47, 59, 67, 100, 317
Maciejewska Bożenna 72, 193, 277, 408, 425, 437
Macierewicz Barbara 88
Macioszczykowa Aleksandra 282
Magasanik Borys 220
Majewski Paweł 197
Majewski Tomasz 14, 28*, 64*, 107*, 192*, 316*, 346*, 391, 425
Majstatowa Maria 165

- Makowski Stefan 58, 126, 186, 187, 198, 245, 384
 Maleszewski Marek 42*, 120*, 165, 204, 233*, 265*, 304*, 322*, 362*, 434
 Maleszewski Stanisław 317, 420, 422, 425
 Maleszka Joanna 184
 Mantel-Necko Joanna 295
 Marcinkowska Maryna zob. Szöllösi Maryna
 Markiewicz Zdzisław 75, 77, 415, 435
 Markowska Magdalena 197
 Markus Regina 197
 Martyszewska zob. Kraczkiewicz Janina 34
 Matusiak Kazimierz 97, 132, 186, 198, 418, 422
 Matuszewska Helena 246
 Matuszewski Bohdan 21*, 47*, 116, 125*, 161*, 179*, 186, 237*, 256, 269*, 272, 291*, 292, 309, 339*, 387
 Matuszkiewicz Władysław 80, 85, 105, 149, 302, 432
 Matuszkiewiczowa Aniela 401
 Mazowiecki Tadeusz 247, 264
 Mazur Stefan 380
 Messal Lucyna 101
 Michalski Wojciech 119
 Michel Hartmut 230
 Mickiewicz Jadwiga 107, 181, 183, 191, 485
 Mickiewiczowa Jadwiga zob. Mickiewicz Jadwiga
 Mielec Zofia zob. Śnieżek Zofia
 Miernik Antoni 333
 Mikołajczyk Waldemar 380
 Modlińska Marta 430
 Modliński Jacek 67, 120, 204
 Monod Jacques 294
 Moraczewski Ireneusz 90
 Moraczewski Jerzy 23*, 54, 56*, 99*, 144*, 163*, 189, 214*, 240, 241, 243, 252, 259, 272*, 279, 296, 313*, 342*, 380, 422, 436
 Moraczewski Jędrzej 55
 Mostowska Agnieszka 7*, 14, 39*, 86*, 117*, 172*, 184, 202, 203*, 261*, 302*, 320*, 333, 359*, 435
 Mroczkowski Maciej 192
 Mularska Danuta 58
 Müller Emil 181
 Müller Norbert 173
 Murray Kenneth 220, 221
 Muszewska Alina 205
 Muszyńska Małgorzata zob. Muszyńska-Pytel Małgorzata
 Muszyńska-Pytel Małgorzata 189, 440
 Mycielski Roman 97*, 111, 132, 141*, 156, 162*, 186, 245, 253, 278, 311*, 382, 402, 403, 422, 425
 Myrcha Alina 62
 Myrcha Andrzej 62
 Mystkowska-Bączkowska Ewa 401
 Najer Andrzej 166, 403
 Namura-Ochalska Anna 333
 Nanney David 244
 Neuman Teodor 23, 48, 56, 61, 165, 223, 393
 Nichols Wright 231
 Niedzielska-Starzyk Danuta 440
 Niemierko Maria 39
 Niewiadomska Katarzyna 26, 51*, 140*, 209*, 270*, 340*, 388
 Niewiarowska Janina 59, 65, 66, 68, 198
 Noblowie 224
 Nowaczek Maria zob. Nowaczek-Migas Maria
 Nowaczek-Migas Maria 415
 Nowak Eugeniusz 58, 195, 196, 318, 413
 Nowak Ewa 85, 86
 Nowak Tomasz 262
 Nowiccy 195
 Nowicki Jerzy 87, 164, 183, 185, 195, 210, 314, 389
 Obłój Hanna 333
 Olczyk Cecylia 59, 65, 66, 68
 Oleś Zdzisław 56
 Olszewski Jan 257
 Opuszyński Karol 381
 Orzełowski Seweryn 72
 Osiatyński Wiktor 90
 Ostrowska Elżbieta zob. Romanowska Elżbieta
 Ostrowski Marek 33*, 75*, 77, 112*, 130*, 245, 352*, 379, 409, 415, 429
 Owen Ray David 327
 Ozimek Teresa 156, 183
 Oździeński Waclaw 204, 321, 401

- Ożóg Barbara zob. Ożóg-Brodowska Barbara
 Ożóg-Brodowska Barbara 415
- Pałys Marian 6*
- Panabażys Małgorzata 42
- Pannenko Iwona 184
- Papińska Katarzyna 89, 156
- Parys Eugeniusz 202
- Paszewski Andrzej 25*, 61*, 125, 127*, 189*, 391
- Pawęlczyk Teresa 387
- Pawłowska Julia 205
- Pawłowski Wiktor 88, 113
- Perkowska Teresa 387
- Petruczynnik Hanna 380
- Petrusewicz Kazimierz 56, 57, 60, 85, 106, 116, 125, 143, 145, 146, 154, 193, 301, 316, 344, 416
- Piechucka Ewa 77, 78, 409, 419
- Piechucki Andrzej 409
- Pieczynska Ewa 22*, 54*, 57, 63, 97*, 125*, 142*, 145, 154, 156, 184*, 193, 271*, 312*, 328*, 384, 396
- Pieczynski Eligiusz 57, 384
- Piekarowicz Andrzej 28*, 66*, 111, 128*, 146*, 147, 168, 192*, 198, 221*, 346*, 403, 419, 424
- Piela Lucjan 88
- Pieniążek Norman J. 76, 189, 199, 298
- Pieniążek Szczepan 142, 224, 348
- Pieńkowski Stefan 49, 95
- Pietrzykowska Danuta 70, 155, 248
- Piǳosiewicz 414
- Pijanowska Joanna 41*, 86, 88, 89*, 120*, 156*, 164, 175*, 201, 240, 260, 264*, 273, 279, 280, 287*, 300, 304*, 321*, 428, 440
- Pinowski Jan 57, 380
- Piskorski Paweł 436
- Plejznerowska Bożena 440
- Pniewski Jerzy 47, 80
- Podbielkowska Maria (Maryla) 108, 183, 390, 417
- Podbielkowski Zbigniew 99, 107, 132, 155, 180, 191, 302, 318, 320, 344, 359, 385, 390
- Podhajska Jagoda 353
- Podstolski Andrzej 30*, 72*, 109*, 167*, 193, 195*, 224*, 248, 252*, 276*, 298*, 349*, 405, 407, 408, 420, 432, 437
- Polakowska Maria 385
- Pomianowska Irminda 86
- Poniatowska Irena 144, 184, 185
- Pontecorvo Guido 295
- Popiełuszko Jerzy 244
- Poplewski Roman 21
- Popowski Janusz 72, 147, 418, 424
- Portnoy Daniel 229
- Poskuta Jerzy 83, 172, 195, 201, 202, 230, 300, 302, 416, 422
- Postoj Franciszek 309
- Potapowicz Andrzej 77
- Praszkiewicz Nela 183
- Prejs Andrzej 28*, 62, 63, 67*, 145, 156, 165*, 193*, 248*, 251, 282, 301, 316*, 396, 412, 416
- Prejs Krystyna 118, 156, 183, 193, 263
- Prejsowie 195
- Pritulak Grzegorz 397
- Prus Tadeusz 57
- Prus-Bogusławski Jerzy 395
- Przełęcki Marian 60
- Ptoś Mieczysław 72
- Pucek Zdzisław 421
- Puchalski Włodzimierz 24
- Puciłowska Anna 40, 69, 203, 398
- Pułaska Maria 70
- Pustuła Diana 280
- Putrament Aleksandra 27
- Putrament Jerzy 27
- Puytorac Pierre, de 213
- Pyrek Jan Stanisław 71, 72
- Pyżuk Mirosława 381
- Raabe Zdzisław 25, 26, 29, 55–57, 60, 61, 69, 75, 80, 86, 100–104, 107–110, 114, 118, 138, 143, 145, 162, 164–166, 178, 185, 191, 196, 210, 213, 214, 216, 217, 223, 241, 243, 244, 247, 248, 290, 295, 296, 298, 299, 311–314, 316, 333, 342–344, 373, 387, 393, 398, 404
- Radomińska Anna 72
- Radzikowscy 195
- Radzikowski Stefan 118, 272, 315
- Rakusa-Suszczewski Stanisław 144, 296
- Rejment-Grochowska Irena 99, 104, 118, 120, 137, 180, 181, 292, 310, 319, 385, 420, 421

- Rembiszewski Maciej 61, 297
 Riedel Wanda 56, 108, 118, 138, 147,
 153, 162, 183, 194, 195, 203, 223, 296,
 303, 380, 404, 420
 Rodkiewicz Bohdan 302
 Rogulska Lucyna 380
 Rogulska Teresa 23*, 54*, 126*, 143*,
 162*, 182, 401, 430, 440
 Romanowska Elżbieta 38*, 84*, 117*,
 153*, 202*, 230*, 300*, 359*, 415, 423
 Romański Maciej 42
 Rosiński Bolesław 47, 52, 98–100
 Rudnicka Wanda zob. Rudnicka-Jezierska
 Wanda
 Rudnicka-Jezierska Wanda 105, 191
 Rudowska Łucja zob. Kowalewska Łucja
 Rudzka Halina 56, 301
 Rybacka Danuta 184
 Rybak Jan Igor 57, 156, 183, 193, 263,
 384, 412
 Rybak Teresa 384
 Rybicka Krystyna 138
 Rybicki Marian 60, 63, 65, 66, 69, 73,
 100, 109, 111, 125, 127, 144, 147–149,
 164, 184, 197, 244, 246, 313, 314,
 344
 Rybicki Zygmunt 255
 Rychter Anna 29*, 72, 146*, 165*, 193*,
 221*, 248*, 274*, 317*, 329*, 347*,
 407, 408, 437
 Rychter Tadeusz 72
 Ryć Maja 193
 Rzóska Julian 219
- Salij Jacek 294
 Samsonowicz Henryk 246, 295, 318
 Sankowski Andrzej 284
 Saska Janina 387
 Saunders David 219
 Sawicka-Kapusta Katarzyna 432
 Sawicki Marek 67, 146
 Sendułka Zbigniew 255, 418
 Seneta Włodzimierz 232
 Sęp Zbigniew Marian 70, 75
 Sharp Phil 220
 Siedlecka Zofia 202
 Siegień Irena 437
 Siemaszko Wincenty 190
 Simeonova Vasima 203
 Sińska Irena 72, 193, 408, 423, 437
- Siński Edward 29*, 68*, 69, 108*, 128*,
 166*, 194*, 203, 222*, 223, 250*,
 275*, 297*, 329*, 347*, 426, 438
 Siwińska Ewa 402, 403
 Siwiński Włodzimierz 278
 Skarga Barbara 294, 344
 Skirgiełło Alina 68, 77, 83, 85, 99, 104, 105,
 107, 117, 118, 120, 137, 163, 180, 181,
 190, 191, 240, 243, 244, 287, 310, 316,
 317, 319, 322, 323, 385, 392, 394, 416
 Skłodowska Aleksandra 424
 Skoczył Rafal 24*, 58*, 74, 101*, 126*,
 145*, 164*, 185*, 195, 200, 217*, 223,
 244*, 264, 313*, 315, 414
 Skoczylasowie 195
 Skolimowski Henryk 302
 Skrzeczkowski Jacek 167
 Skrzypczak Ewa 119
 Skrzypek Elżbieta 192
 Skupieński Franciszek Ksawery 385
 Skwarło-Sońta Krystyna 31*, 74, 148*,
 197*, 254*, 277*, 435, 440
 Slater Edward Charles 225
 Slim Pieter 173
 Słomczyński Tomasz 77
 Słonimski Piotr 112, 220, 227
 Smith Jeffrey 345
 Smoleńska-Sym Gabriela 408
 Smorawińska Maryla 192
 Sobczak Nina 74
 Sobotka Dygna 107, 181, 385
 Sobotkowa Dygna zob. Sobotka Dygna
 Sokołowski Jan 38
 Sołtan Andrzej 97
 Sołtyńska Maryna zob. Szöllösi Maryna
 Solżenicyn Aleksandr Isajewicz 240
 Sommer Ulrich 220
 Soros George 344
 Sosnowski Leonard 95, 96
 Soszka Grzegorz 399
 Sotowska Jolanta zob. Sotowska-
 -Brochocka Jolanta
 Sotowska-Brochocka Jolanta 58, 74, 426
 Sowiński Paweł 88, 271
 Spalik Krzysztof 90, 91, 300
 Spodniewska Irena 328
 Spuz Ewa 72
 Srb Adrian Morris 327
 Stalin Józef właśc. Dżugaszwili Iosif Wisa-
 rionowicz 53, 67, 237

- Stańczyk Stanisław 400
 Stańczykowska Anna 396
 Stankiewicz Mirosław 40, 69, 132, 194, 203, 223, 320
 Stankiewiczowie 195
 Starega Joanna 62
 Starega Wojciech 61, 62, 297
 Staroń Krzysztof 32*, 74*, 110*, 119, 133, 175, 254*, 330*, 350*, 405, 406, 420
 Starzyk Danuta 70
 Staszczyńska Grażyna 424
 Stecki Józef 299, 313, 385
 Stein Daniel C. 192
 Steinhaus Hugo 97, 141
 Stępień Piotr 33*, 76, 77, 112*, 113, 189, 199*, 280*, 298*, 353*, 430
 Stpiczyńska Małgorzata 285
 Strasburger Edward Bogumił 63
 Strebeyko Piotr 60, 102, 125, 181, 195, 385
 Styczyński Bogdan 381, 393
 Stypułkowski Henryk 196
 Sucharski Jan 57, 108, 109, 240, 248, 299, 310, 311, 313, 314, 393
 Sudnik-Hryniewicz Barbara zob. Sudnik-Wójcikowska Barbara
 Sudnik-Wójcikowska Barbara 39*, 87*, 132, 174*, 261*, 284*, 302*, 320*, 333, 359*, 439
 Sukopp Herbert 173
 Sulgostowska Teresa 138, 139
 Symonides Ewa 150*, 240, 242, 248, 252–254, 258, 259, 264, 275, 279*, 280, 281, 350*, 433, 435, 436
 Szabó László 291
 Szafer Władysław 190
 Szajnowski Franciszek 412
 Szal Bożena 274
 Szarska Alina 430
 Szczęsna Zofia 72
 Szewczyk Anna zob. Puciłowska Anna
 Szkutnicka Krystyna 72, 193, 408, 423
 Szöllösi Daniel 189, 268
 Szöllösi Maryna 26*, 61*, 68, 84, 86, 102*, 145*, 147, 178, 189*, 194, 195, 213, 218*, 223, 247*, 268, 296*, 343*, 381, 383, 398, 424
 Szpiganowicz Leon 100
 Sztumpf Ewa 380
 Szubert Michał 286
 Szuleta Józef 29, 34, 47, 48, 52–55, 60, 63, 66, 75, 79, 81, 87, 95–98, 100, 103–105, 108, 109, 111, 112, 116, 117, 119, 125, 131, 172, 292, 296, 299, 309, 327, 341, 344, 385, 386, 391, 417
 Szweykowski Jerzy 150
 Szybalski Waław 225
 Szymanowska Alma 403
 Szymanowski Szymon 245, 403
 Szymańska Hanna 80, 119, 156, 200, 203, 204, 305, 425
 Szymkiewicz Dezydery 28, 63
 Szyszko Jan 345, 347
 Śliwiński Krzysztof 58, 59, 74
 Ślubowska-Chróst Halina 424
 Ślusarczyk Mirosław 273
 Śnieżek Zofia 77
 Świdzki Zdzisław 391
 Świetlińska Zofia 21*, 50*, 95*, 138*, 180*, 237*, 291*, 327*, 380
 Świeżyński Kazimierz 269
 Świętosławski Jerzy 380
 Tabaczyńska Aurelia 66, 198
 Tabaczyński Maciej 66, 68, 110, 126, 146, 186, 197, 198, 409
 Tarkowska Jadwiga 80, 149, 386, 390
 Tarkowski Andrzej Krzysztof 115, 120, 126, 138, 156, 182, 189, 204, 214, 223, 232, 253, 265, 276, 297, 299, 304, 310, 312, 317, 320, 321, 329, 341, 343, 362, 388, 410, 420, 422, 430, 435
 Tarmanowska Agata 431
 Tarwid Kazimierz 48–50, 56, 57, 95, 125, 142, 312, 370
 Taylor Karol 225
 Teleżyński Henryk 56, 60, 98, 105, 172, 244, 292, 302, 342, 386, 390, 391, 421
 Toczko Kazimierz 35, 73, 80, 114, 117, 119, 133, 304, 332, 361, 395, 406, 420
 Tomaszewicz Henryk 132
 Tomczyk Jerzy 202, 420
 Truskowska Wanda 105
 Tur Jan 76, 161
 Turecka Zofia zob. Świetlińska Zofia
 Turlaj Waław 263

- Turowa właśc. z Maszewskich Knappe-Tur
Janina 76
- Turski Łukasz 354
- Turski Stanisław 63, 69, 70, 111
- Tuskiewicz Maria 380
- Tuszyńska Ligia 36*, 151*, 201*, 281*,
300*, 319*, 357*, 431
- Tykarska Teresa 416
- Ulmer Martin 223
- Umiński Tomasz 53*, 61–63, 68, 80, 90,
96*, 109, 121, 147, 156, 166, 167,
182*, 185, 210, 212*, 215, 223, 239*,
240, 246, 247, 251, 263, 271*, 311*,
314, 341*, 381, 388, 389, 398, 410,
411, 426, 440
- Urbanek Adam 90
- Uziębło Maria zob. Wałęza Maria
- Valtonen Tellervo Emerita 209
- Wachowski Karol 440
- Waga Antoni 138
- Wagner Richard 90
- Wajda Lucyna 380
- Waksmundzka Małgorzata 204, 430
- Walker John Ernest 229
- Wałasińska Sylwia 284, 285
- Wałęsa Lech 264
- Wałęza Maria 184, 415
- Warski Adolf właśc. Warszawski Adolf
Jerzy 107
- Warszawski Adolf Jerzy zob. Warski Adolf
- Waszkiewicz Joanna zob. Gliwicz Joanna
- Watson James D. 67, 112
- Wejner Edward 284
- Welc-Fałęciak Renata 275
- Werblan Hanna zob. Werblan-Jakubiec
Hanna
- Werblan-Jakubiec Hanna 20, 41*, 86, 87*,
91, 119*, 132*, 156*, 204*, 232*,
262*, 284, 286*, 303*, 305, 333, 425,
430, 433
- Weroński Emilian 309
- Wędrychowicz Halina 69, 194, 223
- Węgleńska Teresa 219
- Węgleński Jan 274
- Węgleński Piotr 27*, 76, 103*, 112, 130,
169, 190*, 198, 199, 220*, 226, 274*,
278, 298, 345*, 356, 425, 436
- Wierciński Andrzej 52, 71, 90, 99
- Wierzbicka Małgorzata 37*, 83*, 115*,
131*, 152*, 260*, 282*, 332*, 358*, 416
- Wiktor Andrzej 301
- Wild 229
- Wild Jadwiga 74
- Williams Karel 218, 219
- Williamson John R. 225
- Wilkomirski Bogusław 35*, 42, 119, 131*,
157, 200*, 228*, 281*, 299*, 300,
332*, 355*, 405, 432
- Winiarska Katarzyna 277
- Winiarski Włodzimierz 431
- Wiprzycki Julian 25
- Wisłocka Michalina 52
- Wisłocki Stanisław 52
- Wiśniewska Halina 438
- Wiśniewska Monika 283
- Wiśniewska Teresa zob. Rybak Teresa
- Wiśniewski Wincenty Lesław 25, 49, 95–
97, 128, 138–140, 291, 339, 386, 388,
438
- Włodarczyk Mirosława 29*, 68*, 108*,
111, 129*, 147*, 166*, 194*, 198,
223*, 226, 317*, 372, 375, 377, 402,
403, 424, 426
- Wodiczko Halina 170, 171
- Wojciechowski Zdzisław 227, 299
- Wojtczak Lech 232
- Wojtyła Karol Józef zob. Jan Paweł II
- Wolański Napoleon 52*, 310*, 381
- Wolska Krystyna Izabela 32*, 34, 74*,
111*, 168*, 197*, 226*, 255*, 350*,
418, 429
- Wood Ann 226
- Woroszyńska Janina 52
- Woźniakowski Jacek 309
- Wóycicki Zygmunt 152, 385
- Wróblewska Barbara 202
- Wróblewska Jadwiga zob. Wild Jadwiga
- Wróblewski Andrzej Kajetan 242, 278
- Wronka Michał 356
- Wrzosek Marta 43*, 91*, 121*, 157*,
191, 205*, 265*, 287*, 305*, 323*,
363*, 431
- Wyganowski Stanisław 433
- Wyrwicki Dariusz 232, 433
- Wysocki Kazimierz 313
- Wyszomirska Izabela 7, 14
- Wyszyńska Agnieszka 280

- Yuan Robert 192
- Zadara Maria 105
- Zagórski Sławomir 7, 14, 72, 193, 437
- Zagórski Włodzimierz 70, 248, 395
- Zagrodzińska Bożena 179, 256
- Zajmowie 191
- Zakryś Bożena 200, 203, 205, 431
- Zaleska Małgorzata 77
- Zaleski Jan 77, 195
- Zamarajewa Maria 228
- Zarzycki Kazimierz 148, 150
- Zawadzka Monika 70
- Ząbek Jakub 406
- Zbrożyna Antoni Jacek 406, 407
- Zdzitowiecki Krzysztof 61
- Zeiner 228
- Zielińska Janina 21*, 52*, 96*, 140*,
161*, 181*, 191, 310*, 327*, 340*,
392, 394
- Ziemiankowski Włodzimierz Bronisław
209
- Ziemięc Maria 24
- Zimowska Grażyna 89
- Zurzycki Jan 125
- Zych Marcin 285
- Żabiński Jan 38, 39, 301
- Żbikowska Barbara 415
- Żbikowski Wojciech 75
- Żernicka Magdalena 204, 232
- Żyniewicz Karolina 14

